

SIGRID UNDSET

# OLAF SYN AUDUNA

Z niemieckiego tłumaczenia przełożyła Wanda Kragen

INSTYTUT WYDAWNICZY PAX

1970

# TOM 2

CZEŚĆ CZWARTA  
NA ROZDROŻU

Pewnego dnia wiosną Olaf z jednym z parobków znajdował się na najlepszym swoim polu i rozrzucił gnoj po zmarzniętej nadal roli.

Na polach zwróconych ku północy lód iskrzył się jeszcze i lśnił, ale pod ścianą Rumaka sączyły się już i ciekły wartkie strugi wody. Po przeciwnej stronie naświetlonej słońcem zatoki prażyły się skały; Byk dźwigał się w górę wprost z morza, cały w migotliwej poświacie słonecznej na szarordzawej kamiennej powierzchni. Brunatniło się zbocze pod świerkami, a gąszcz leszczynowych krzaków ciągnący się w głąb doliny Kvern zakwitł bujnie żółtymi baziami.

W dole, na zatoce, wiosłował Eirik... Czerwony kaftan chłopca odbijał jaskrawo na tle błękitnej wody. Olaf stał chwilę wsparty na łopacie i spoglądał ku łódce. Wciąż powtarzała się ta sama historia z Eirikiem – on zawsze miał czas! Właściwie miał przewieźć na tamtą stronę tylko parę owiec; niedawno wypuszczono tam trzodę do lasu. A dziś akurat chłopak przydałby się w domu.

Za plecami Olafa przydreptało coś po skale – po wielkiej, łysej skale, osłaniającej urodzajne pole przed wiatrem od strony fiordu. Cecylia... Stała tyłem do słońca, promienie igrały w jej jasnych, błyszczących pod światło kędziorkach. Przysiadła i zsunęła się z góry, wołając na ojca i pokazując mu pęczek małych żółtych kwiatów, które trzymała w rączce.

Olaf chwycił córkę w ramiona.

– Nie przychodź tutaj, Cecyljo! Zabrudzisz się gnojem! – Podniósł ją i posadził na kamieniu. Dziewczynka przycisnęła kwiaty do twarzy ojca i zerknęła, czy pożółcił się pyłkiem. Ale nie bardzo to było widoczne, bo już przedtem zgmiotła kwiaty. Powtórzyła jednak raz jeszcze zabawę, śmiejąc się z uciechy.

Olaf poczuł gorzkawą i rzeźwą woń – pierwszy tegoroczny zapach młodych roślin. Zima, którą przeżył, była tak długa jak Ragnarök<sup>[1]</sup>. Ale teraz oto stał na polu i całą duszą radował się, że buty jego są mokre i ciężkie od ziemi; nawet i tutaj w cieniu skał lodowa powłoka cofnęła się nieco, zostawiając pas wilgotnej ziemi między kamieniami. Gnój rozrzucony dokoła parował aż miło, a od przystani niosła się mocna wiosenna woń morza, smoły, ryb i zbutwiałego drzewa.

Do zatoki wpłynął tymczasem niewielki żaglowiec, który Olaf zauważył przed chwilą pod ścianą Byka. Nie znał go... Prawdopodobnie byli w nim ludzie jadący do gminy.

Otarł ręce z brudu i poprowadził Cecylię z powrotem na górę.

– Idź do Liv, idź! A ty nie puszczaj drugi raz dziecka tak daleko od siebie, mogłaby jeszcze spaść z góry.

Dziewczyna odwróciła się do niego śmiejąc się od ucha do ucha.

– Dziś piękna pogoda – powiedziała. Siedziała grzejąc się w słońcu; ubranie, które miała załatać, wałało się na wrzosach.

Olaf odwrócił się niechętnie i poszedł do swej roboty. Łódź przybiła już do przystani, jacyś obcy ludzie szli z Eirikiem pod górę. Olaf udał, że ich nie widzi, póki nie stanęli przy płocie i nie powitali go.

Byli to dwaj mężczyźni w średnim wieku, smukli, wysokiego wzrostu, o wygiętych nosach i żywych, bystrych oczach. Olaf poznał ich, widywał ich często w Oslo, lecz nigdy nie rozmawiał z nimi. Byli to synowie angielskiego płatnerza, mistrza Ryszarda, który poślubił swego czasu gospodarską córkę z zachodu i osiadł w mieście. Olaf nie miał pojęcia, z jaką sprawą ci mężowie do niego przybyli. Jednak poszedł z nimi na górę, do dworu.

Dopiero po posiłku, przy piwie, starszy z synów Ryszarda, Torodd, zabrał głos: doszły go słuchy, że Olaf ma zamiar rozwiązać spółkę

[1] Ragnarök – zima, która poprzedziła zmierzch bogów. (Przyp. tłum.)

handlową z Klausem Wiephartem. Olaf odpowiedział, że nic mu o tym nie wiadomo. Torodd dowiedział się jednak w mieście, że Olaf nie posłał tego roku towarów i nie pozwolił Klausowi sprzedawać w jego imieniu.

I to nie odpowiada całkowicie prawdzie, odparł Olaf, tylko tej zimy po śmierci żony wyprawił stypę, co pochłonęło sporo zapasów. Poza tym wskutek śmierci żony nie mógł tak jak zazwyczaj zająć się gospodarstwem. Olafowi zaświtało w głowie, o co tamtym chodzi. Może zresztą byłoby naprawdę dobrze rozpatrzeć tę sprawę i poszukać sobie w mieście innego zastępcę.

Teraz odezwał się drugi z braci, Galfrid.

– Rzecz ma się tak, Olafie: mój brat i ja mamy tego lata coś do załatwienia w Anglii; wiemy, że jesteś dzielnym żeglarzem, a poza tym znasz ten kraj z czasów młodości. Nie byliśmy tam nigdy, chociaż mamy w Anglii krewnych po mieczu. Otóż oświadczono nam z całą pewnością, że tego lata wybierasz się za granicę...

W tej chwili w drzwiach izby stanął Eirik; w rękę niósł wianek z przyłaszczek. Olaf wiedział, że leszczynowa gęstwina po drugiej stronie zatoki niebieszczy się cała od tego kwiecica. Ale żeby dorosły chłopak tracił czas w jasny, roboczy dzień wiosenny na takie dziecinne igraszki jak zbieranie kwiatów!

Eirik zatrzymał się w drzwiach, nasłuchując w napięciu, w głębi ducha czekając tylko na to, kiedy mu ojciec każe wyjść.

– Kto to powiedział, Galfridzie? – zapytał Olaf.

Okazało się, że wspomniał o tym brat Stefan, ten bosy mnich, który w czasie zimy kręcił się tu po gminie. Synowie Ryszarda wstępowali często do klasztoru franciszkanów, mieli tam bowiem brata zakonnika. I tam właśnie dowiedzieli się, że Olaf syn Auduna zamierza latem pojechać za granicę, ale prawdopodobnie nie zawarł dotąd jeszcze z nikim umowy co do statku.

Olaf milczał. Nie pojmował wprost, w jaki sposób brat Stefan to wiedział. Z nikim, o ile pamiętał, nie mówił dotychczas na ten temat. Wyjechać... tak, Bogu wiadomo, że pragnął tego gorąco, lecz do tej pory nie myślał o tym poważnie. Nie posiadał ani statku, ani ładunku, szukanie zaś jakiegokolwiek okazji wydawało mu się nieprzewyciężoną przeszkodą. Poza tym we dworze było sporo roboty – wszystko leżało odłogiem po długoletniej chorobie gospodyni.

Ale skoro teraz ofiarowano mu tę okazję... Miał wrażenie, że serce ściska mu się w piersi, jak zaciska się dłoń, by uderzyć w stół, kiedy do głębi i naprawdę poczuł, że może rzucić tu wszystko i wyjechać na długi, długi czas...

– Nie mówiłem nic podobnego bratu Stefanowi – Olaf potrząsnął głową. – Może wymknęło mi się jakieś słowo, już nie pamiętam. Może wspomniałem, że miałbym ochotę rozejrzeć się znów kiedyś po świecie. Jestem przecież teraz wolnym człowiekiem.

Zauważył, że Eirik stoi jeszcze ciągle w drzwiach i słucha podniecony; kazał mu wyjść. Chłopiec zbliżył się prędko i powiesił wianek, na małym krucyfiksie wiszącym na ścianie nad łóżem, w którym umarła matka. Zaraz potem wyszedł.

W jaki sposób brat Stefan zwęszył swym długim nosem, że Olaf nosi się z podobnymi myślami, to była po prostu zagadka.

W ciągu popołudnia rozmowa dojrzała na tyle, że Olaf obchodził z obcymi gośćmi dwór i pokazywał im posiadane towary. Nie było tego wiele: piętnaście skór kozłich, trzy futerka wydr i kilka innych skór z dzikiego zwierza, ponadto parę beczek kory dębowej. Może zabrać cały

zapas śledzi i wędzonych ryb; ludziom dworskim przez lato wystarczyłyby świeże ryby. Znalazłoby się jeszcze kilka pni dębowych oraz drzewo klepkowe przeznaczone na własny użytek; jeśli nie spędzi lata w domu, ponieważ byłoby się tu tylko daremnie...

Późnym wieczorem Liv weszła do izby i prosiła pana, aby poszedł z nią do obory: jedna z krów ma się ocielić, tymczasem krowiarka ciężko zaniemogła; zresztą czuwanie nocą przy bydle nie należy do niej.

Kiedy Olaf wyszedł z obory, noc była bezksiężycowa, chłodna i cicha. Musiał obudzić starego Torego i prosić go, aby posiedział w oborze. Nie można było bowiem zostawić tam Liv samej; dziewczka była leniwa i bezmyślna. Wprost wierzyć się nie chciało, ale nawet wówczas, kiedy pomagali biednej krowie, która ryczała leżąc, nawet tam, w ciemnej i ciasnej oborze, nie mógł się opędzić przed tą dziewczyną. Liv ocierała się o niego niczym łaszcząca się kotka; raz po raz musiał ją siłą odpychać, aby mieć wolne ręce. Olaf zrozumiał, że Liv ubrdała sobie, iż teraz ona zostanie nałożnicą gospodarza. I chociaż dawał jej do poznania, że musi sobie wybić z głowy jego i jego dobytek, nic to nie pomagało.

Po cichu wstydził się wobec własnej czeladzi. Pewnie śmiali się w kulkach za jego plecami i czekali na to, czy dziewczce uda się wreszcie doprowadzić go tam, gdzie zamierzała. Zdawało mu się, że Liv już kręci się po dworze pyszniąc się pękiem kluczy u pasa. O nie! Nie wszedł nawet z Torem do obory, gdy namówił starca do wyjścia z domu.

W beczce z wodą pływał po wierzchu lód. Olaf zanurzył ramiona i umył ręce. Nasłuchiwał i wypatrywał w ciemności, myśląc równocześnie, czy o niczym nie zapomniano.



Cisza dokoła – chyży bieg potoków po skałach i stokach zamilkł ścięty mrozem, tylko morze na dole klaskało i szemrało, a w dolinie Kvern szumiała rzeka. Gwiazdy tej nocy były dalekie i nie tak liczne jak zwykle; lekki tuman snuł się w powietrzu.

Cielę urodziło się z gładką skórą i długimi uszami – wyglądało wcale obiecująco. Całe szczęście, bo trzy cielaki zdechły mu już na wiosnę. I dotychczas nie urodziła się ani jedna jałoszka.

Na północy, ponad czarnym zrębem Byka, od czasu do czasu przesuwały się blade płomienie światła polarnego, jak gdyby tchnienie wionące po niebieskim stropie. Nieczęsto widywano je tu na południu. W Oplandii światło polarne zagarniało nieraz pół nieba, a gdy je drażniono, gdy gwizdano lub machano płócienną płachtą, tryskały z niego długie ogniste jęczory w dół ku ziemi i z powrotem w górę. Pewnego razu, kiedy wymknęli się poza budynki gospodarskie i zaczęli wywijać najdłuższą chustką Ingebjörgi, przyłapał ich Arnvid i zbił porządnie. Jest wielkim grzechem, powiedział, robić coś takiego, gdyż niespokojne światło polarne sprowadza burzę.

Tutaj na południu światło polarne było przeważnie blade i nikłe.

Olaf wstrząsnął się; odzież jego cuchnęła. Jeszcze cztery dni pozostawały do święta i dnia kąpieli.

Mimo woli stąpał cicho idąc przez dziedziniec. Cienka skorupa lodowa przyskała tak głośno, a nie chciał tłumić cichych szmerów, które niby z otchłani nocy płynęły od wybrzeża na górę.

W izbie na krawędzi paleniska paliła się mała lampka tranowa.

Olaf oddał gościom komorę na nocleg, sam zaś siedząc na łożu Inguny

rozbierał się powoli, z przerwami. Wreszcie podniósł się, by obciąć knot.

Posłyszał szept z drugiego łoża: – Ojczy...

Po długiej chwili Olaf zapytał półgłosem:

– Nie śpisz jeszcze, Eiriku?

– Nie... Kiedy popłyniemy, ojczy?

Olaf milczał. Eirik jednak był przyzwyczajony do tego, że ojciec zdawał się nie słyszeć, albo że jego odpowiedź przychodziła nie od razu i jakby z pewnej odległości, niby głos karłów od ściany Byka, kiedy hukano w tę stronę.

– Ojczy, zabierz mnie z sobą! Będziecie mieli ze mnie pożytek – Eirik szeptał głośno i żarliwie. – Przydam się wam jak dorosły pacholek. Potrafię wykonać każdą robotę dorosłego mężczyzny, potrafię jeszcze więcej!

– Ależ tak, na pewno – Eirik wyczuł, że ojciec uśmiecha się, lecz głos jego nie brzmiał ani gniewnie, ani odpychająco.

– Czy wolno mi pojechać z tobą ojczy... w lecie do Anglii?

– Nikt nie powiedział przecież, że jadę – odparł Olaf po namyśle.

Zdmuchnął płomyk, urwał żarzący się koniuszek knota i wrzucił go do tranu. Potem położył się. Coś spadło ze ściany, musnęło w ciemności jego szyję – jakiś przedmiot miękkiej, chłodnej, budzący wspomnienie żywej skóry między szorstkimi, wełnianymi kocami: wianek Eirika. Olaf podniósł go i powiesił z powrotem na krzyżu. Przypomnił mu ciało Inguny, jej chłodne, miękkie i wątle ramię, kiedy koc ześliznął się z niej, a on podciągał go w górę i nakrywał ją.

Pojedzie z pewnością – w głębi ducha powziął już niezachwiane postanowienie. Nie zniesie, aby cokolwiek weszło mu teraz w drogę i stanęło na przeszkodzie. Tylko pozornie udawał jeszcze, że nie wie, czy skorzysta ze sposobności, aby nie gadano, że tak łatwo dał się przekonać zupełnie obcym ludziom, ba, że uległ natychmiast ich namowom.

Teraz gdy nawinęła się sposobność wyrwania się stąd, nie zostanie przez lato w Hestviken! To nic, że stary, niewielki stateczek synów Ryszarda był ńedznym wrakiem należącym jeszcze do ich dziada i że on sam tak mało nadawał się na żeglarza, iż z łatwością mogliby znaleźć innego, bardziej zdatnego. W Anglii był jeden raz z jarlem przed piętnastu laty, nie znał jej więc dobrze; młodzieniec z rycerskiej drużyny nie może na własną rękę włóczyć się po kraju. Ale jeśli synowie Ryszarda nie pytają o to, tym lepiej... Niewiele o nich wiedział, spostrzegł jednak, że są niedoświadczeni i niezbyt mądrzy. I z wolna doszedł do wniosku, że i on także nie będzie nigdy obrotnym kupcem. Złościł się, gdy widział, że go ktoś oszukuje. Lecz przyzwyczał się milczeć i nie okazywać niczego po sobie; nie na wiele by mu się zdało targować się z ludźmi sprytniejszymi od niego w tych sprawach. Nawet nie myślał dotychczas o tym, aby rozwiązać spółkę z Klausem Wiephartem; przecież mógł trafić na jeszcze gorszych i chytrzejszych.

Ci synowie Ryszarda wyglądali na takich, których łatwo można okpić... w takim razie wyjdzie jeszcze gorzej na tym, jeśli zawrze z nimi umowę. Mimo to...

Boleśnie odczuwał brak tej, której nie było już wśród żywych. Nie wiedział, jak potrafi żyć bez niej przez te wszystkie lata, które nadejdą. Kręcił się jak gdyby obezwładniony ciągłym zdumieniem...

Pamiętał dobrze, jak w ostatnich latach myślał nieraz: byłoby grzechem życzyć sobie, aby leżała tu i dręczyła się na próżno. Ale teraz, kiedy odeszła... tak, przypominał sobie pewną sagę; opowiadał im ją raz w dzieciństwie brat Vegard – o królu Haraldzie Luva, który przez trzy lata siedział pogrążony w żałobie przy zwłokach swej lapońskiej żony. Był opętany, mówił mnich. Możliwe, ale może nie było to tylko opętanie...?

Jak daleko sięgał wstecz wspomnieniem, był przyzwyczajony we wszystkim, co czynił i myślał, brać pod uwagę tak samo ją, jak siebie. Jeśli

dwa drzewa wyrosną z tego samego korzenia, ich wierzchołki są jakby jednym wierzchołkiem. I gdy runie jeden pień, drugi, który przetrwał, wydaje się kaleki. Tak Olaf czuł się ułomny i osamotniony po jej śmierci.

Wiedział dobrze, że ich wspólne lata przeważnie nie były radosne, lecz tym wyraziściej i silniej wspominał szczęście, jakie razem przeżyli. Działo się tu podobnie jak z owymi lipami na zboczach wokół fiordu: nie bardzo były widoczne, ale latem, gdy zakwitały, cała zatoka Rumaka była przepojona ich wonią i tę ich słodycz czuł człowiek wprost namacalnie na skórze, niby miodową rosę. W ciągu wszystkich lat, które spędził z dala od swego dziedzictwa, jako mały chłopiec i jako rosły mężczyzna we dworze obcych ludzi i wreszcie jako banita, ów zapach kwiecia lipowego był jedyną rzeczą, która przypominała mu, że posiada szmat własnej ziemi – wszystko inne zapomniał.

Nawet w najcięższych okresach ich współżycia Inguna należała do niego, była tą samą miłą dziewczeczką, rozkoszną i uroczą w dzieciństwie, wiotką i gibką w jego uściskach; od jej złocistych włosów płynęła woń siana, kiedy okrywał się nimi w ciemności. Miłował ją nieraz tak czule i tkliwie, jak się kocha wierne, najukochańsze i niewinne zwierzę – piękną jałówkę albo psa. Kiedy indziej znów miłował ją tak, że ciało jego drżało i wiło się z bólu na samo wspomnienie, na myśl, że wszystko się skończyło już na długo przed jej śmiercią. A mimo to Inguna była jedyną kobietą, o której ważył się myśleć jako o tej, którą posiadał. Innych nie mógł wspominać bez zimnego dreszczu odrazy...

Teraz stracił Ingunę, a gdy wracał myślą do ostatniej nocy przed jej zgonem, zdawał sobie jasno sprawę, że z własnej winy stracił ją zupełnie. Rozumiał dobrze znaczenie tego, co się jemu samemu wydarzyło. Pograżonemu w odmętach bezradnego cierpienia i żalości, ponieważ miał utracić jedynego wiernego towarzysza, którego miał w życiu, ukazał się Bóg; sam Zbawiciel stanął na jego drodze z wyciągniętymi

pomocnie dłońmi. I gdyby miał odwagę chwycić te rozwarte, przebite dłonie, nie byłyby teraz rozłączone z żoną. Gdyby miał odwagę wytrwać w postanowieniu, jakie powziął przy tym spotkaniu, bez względu na to, jaki los przypadłby mu w udziale tutaj, na ziemi – pielgrzymka czy też miecz kata – byłby w jakiś tajemny sposób złączony z umarłą, głębiej i mocniej, niż może być związany druh z druhem, dopóki obaj wędrują po ziemskim padole.

Ale raz jeszcze stracił odwagę. Stał z boku i patrzył, kiedy Bóg nadszedł i zabrał Ingunę – zabrał ją jedną.

Został sam, jak zostaje człowiek na brzegu, gdy odpłynie jego okręt.

Dalsze życie po tym wszystkim tutaj, w Hestviken, oznaczało tylko ustawiczne czekanie na dnie i noce sunące w nieskończonym pochodzie, wszystkie podobne do siebie.

Nie, nie odtrąci propozycji synów Ryszarda!

Z ciemności wypląnął całkiem rozbudzony głos chłopca:

– Słyszałem, ojcze, że Duńczycy czatują na Morzu Angielskim<sup>[2]</sup> i napadają na nasze statki.

– Morze Angielskie jest duże, Eiriku, a nasza łódź mała. Najlepiej będzie, jeśli latem zostaniesz jeszcze w domu.

– Nie tak to myślałem – Olaf usłyszał, że chłopiec siada na posłaniu.

– Sądziłem raczej... Miałbym taką ochotę wypróbować swoją odwagę – szepnął błagalnie i nieśmiało.

– Połóż się teraz i śpij, Eiriku – rzekł Olaf.

– Nie jestem już małym pacholęciem...

– Powinieneś więc mieć na tyle rozumu, aby nie przeszkadzać innym po nocy. Cicho bądź już!

„Głos ojca jest zmęczony, tylko zmęczony, lecz niegniewny” – myślał Eirik. Skulił się i leżał cichutko, lecz spać nie mógł.

[2] Morze Angielskie – Morze Północne.

Ufał mocno, że wolno mu będzie pojechać z ojcem; wierzył w to tak bardzo, że był tego pewien, gdy chwilę poleżał w ciemności, w duchu wyobraził sobie ową podróż. Z wszelką pewnością napotkają na drodze duńskie statki. Ich statki mają o wiele wyższe burty od norweskich, tak że najpierw zderzenie wyglądałoby groźnie. Ale potem on, Eirik, skrzyknie załogę, rozkaże jej, aby pobiegła na stronę statku osłoniętą od wiatru, i każe jej trzymać nad głowami tarcze. A kiedy napastnicy wskoczą na ich łódź, jego ludzie uderzą na nich. Ojciec wychodzi sam duńskiemu dowódcy naprzeciw, a ten dowódca jest zupełnie podobny do przyjaciela ojca, którego spotkali zeszłego roku w Tunsberg: tęgi i postawny, o pełnej, szerokiej i czerwonej twarzy, małych niebieskich oczach i rzyżych włosach, o wielkich ustach, z długimi, końskimi zębami... Eirik rzuca tarczę obcemu pod nogi, tamten potyka się na śliskim pokładzie i jego cios nie trafia w ojca... owszem, trafia, lecz ojciec nie dba o to, że został ranny. Duńczyk potyka się i pancerz, odkrywa na mgnienie oka jego kark. W tym momencie on, Eirik, topi swój krótki miecz jak sztylet w odsłoniętej szyi... Teraz Duńczycy chcą uciec na swój statek. Boki statków trzeszczą i pękają w miejscach, gdzie fala rzuca je o siebie; podczas gdy ludzie za pomocą toporów i bosaków usiłują wdrapać się i zaczepić o wysoką, nachyloną burtę duńskiego statku, Norwegowie używając włóczni i mieczów sieją wśród nich spustoszenie. – Zdaje mi się – powiada ojciec – że mój syn Eirik zasłużył w tej potrzebie na oręż dowódcy; lecz jeśli jesteście innego zdania, ofiarowuję się odkupić wasz udział w tym łupie. – Ale wszyscy mężowie zgadzają się, oczywiście, wszak to Eirik powalił tego olbrzyma, dzięki jego przytomności umysłu uratowali łódź...

Czyż to ty jesteś tym junakiem norweskim, Eirikiem, synem Olafa z Hestviken? Cały Londyn dowiedział się i mówi o jego bohaterskim czynie. Pewnego dnia spotyka Eirik burgrabie we własnej osobie. Zamek Londynu nazywa się Białą Wieżą; jest on zbudowany z białego marmuru.

Eirik idzie w górę, by ją sobie z bliska obejrzeć; zamek jest jeszcze piękniejszy i okazalszy od kasztelu w Tunsberg, góra zaś, na której stoi, jest o wiele wyższa. Aż tu nagle zjeżdża burgrabia na koniu w otoczeniu świty i niektórzy z panów szepczą coś do niego i wskazują na norweskiego chłopca...

Nie! Mimo wszystko nie chce pozostać w Londynie, kiedy ojciec powróci do domu. Nawet w zabawie nie chce Eirik myśleć o tym, że ojciec mógłby zostawić go i wrócić sam do Hestviken i że życie w domu toczyłoby się dalej zwyczajnym trybem, a on nie miałby tam być. W głębi serca czuje Eirik ustawiczną trwogę: chociaż udało mu się usnąć ją w ostatnich czasach, to jednak okrąża ją wielkim łukiem w obawie, aby jej nie zbudzić. A jeśli tak pewnego dnia dowie się, że nie jest prawowitym dziedzicem Hestviken? Nawet i teraz leżąc w izbie i snując tę swoją własną bajkę z zasłyszanych okrucich różnych sag, z opowiadań parobków o wyprawach duńskich, z bajek starego Aasmunda Rugi, rozmyśla chłopiec wciąż o swej trwodze: czy odtrącony przez ojca utraci Hestviken? w takim razie już woli bawić się w coś innego: w nieprzyjaciół, którzy napadają na ich dwór od strony zatoki... Ojca nie ma w domu, on sam musi zachęcić czeladź do zbrojnego oporu, ostrzec ludzi w gminie...

Ojciec i tak musi wkrótce zauważyć, jaki duch żyje w jego synu. Ojciec zadziwi się jeszcze...! Już on się ocknie i nie będzie więcej chodził jakby we śnie, nie widząc wcale Eirika, kiedy są razem.

Nazajutrz rano Olaf rozkazał Eirikowi zwieźć z lasu drzewo ścięte w lecie, oświadczając, że w ciągu dnia musi całą tę robotę wykonać. Śnieg leżał jeszcze na polach od południowej strony zatoki, lecz lada dzień mógł

stając zupełnie.

Wczesnym rankiem droga była dobra. Anki załadował jedne sanie, podczas gdy Eirik kierował drugimi. Ale później zrobiło się bardzo ciepło i już przed południem Eirik jechał po samym błocie.

Ciskał łopatą śnieg na drogę, ale śnieg topniał i rozpływał się natychmiast. Olaf stał nieco wyżej na polu i rozrzucił gnój. Krzyknął na chłopca, by objechał dołem, pod lasem. Droga tamtędy była jednak o wiele dłuższa, wiodła dokoła wszystkich pól uprawnych. Chłopak udał więc, że nie słyszy.

Kiedy Olaf znów rzucił okiem w dół, sanie z drzewem utknęły właśnie pod ostatnim wzniesieniem przed dziedzińcem. Eirik zrzucił z nich trochę drzewa na ziemię, aż echo poniosło się wśród skał, po czym podbiegł do konia, szarpał go za uzdę i krzyczał, ale koń nie ruszał się z miejsca.

– Ruszajże, kobyło! – huknął Eirik, zbliżył się do sań i ściągnął cugle. Wreszcie zrzucił jeszcze trochę drzewa.

Sanie zaryły się w gliniastym dole poniżej skały przy starej stodole, w miejscu, gdzie prowadziła droga z doliny Kvern na dziedziniec dworski. Słońce tu nie dotarło i skała była pokryta warstwą lodu, lecz woda ciekła i sączyła się po niej. Eirik podparł sanie z tyłu, próbował pchnąć je z miejsca. Ale koń nie ruszył się wcale. Chłopak wparł się z całych sił, zawisł niemal skośnie na zboczu; po chwili stracił równowagę na śliskim gruncie, osunął się na kolana i ręce; kilka polan spadło z sań trafiając go w plecy. W tej chwili ojciec zszedł na dół i stanął niedaleko między. Wściekłość i lęk opanowały chłopca do tego stopnia, że łkanie zacisnęło mu krtań. Rzucił się w przód, zaczął szarpać cugle i bić nimi konia. Zwierze drgnęło, rzuciło łbem, ale stało dalej jak wryte.

– Czy ruszysz się nareszcie, ty przekłeta szkapo?

Nieprzytomny z gniewu, ponieważ ojciec stał obok i przypatrywał się, runął Eirik z zaciśniętymi pięściami na konia i walił go, gdzie popadło: w



łeb, po pysku... Olaf zeskoczył z miedzy i zbliżył się, groźny.

Wtem koń zarył się przednimi kopytami w lód i stanął rozkraczony. Wyglądał tak, jakby miał upaść, lecz po chwili znalazł uchwyt, wyciągnął się w szlejach. Sanie ruszyły – obciążenie było przecież niewielkie – i szybko sunęły pod górę. Wtedy Eirik odwrócił się i zawołał do ojca ze łzami w głosie:

– Nie mogłeś pomóc nam i podeprzeć sań? Czemużeś stał tylko i patrzył...?

Rumieniec z wolna oblał czoło Olafa. Nic nie odpowiedział. Teraz, kiedy chłopiec się odezwał, sam doprawdy tego nie rozumiał. Ale tak było: stał, gapił się i nawet mu na myśl nie przyszło pomóc Eirikowi. Opanowało go dziwne, niesamowite uczucie – działa się to nie pierwszy raz. W ostatnich czasach zdarzyło mu się nieraz, że budził się jakby i spostrzegał, że stoi nieruchomo wpatrzony w przestrzeń, nie myśląc o tym, by się ruszyć albo zrobić coś najbardziej oczywistego.

Na dziedzińcu usłyszał, jak Eirik przemawia pieszczotliwie do konia. Olaf zauważył to już poprzednio: taki był ten chłopak i wobec ludzi, i wobec zwierząt. Najpierw w gniewie pienił się i wyskakiwał niemal ze skóry, a potem stawał się łagodny i błagający. Z niechętnym westchnieniem Olaf zawrócił i poszedł na pole do swej roboty.

Synowie Ryszarda wrócili do Oslo i Eirik: pojął, że ojciec zawarł z nimi umowę. Teraz jednak nie śmiał zapytać, czy zabierze go z sobą. A najbardziej niepokojące było to, że nawet ta ostatnia historia nie wyrwała ojca z jego złowróbnego milczenia. Kiedy Olaf zjawił się przy saniach, Eirik był pewien, że czekają go cięgi, skulił się już prawie pod twardymi

dłońmi ojca. Lecz później odczuł to jako bolesne rozczarowanie, że nic się nie stało. Bicie, najgorsze wymyślenia i groźby przyjąłby chętniej; oddałby je, bodaj w myślach – i odczułby to jako ulgę, byleby tylko skończyła się wreszcie ta niepewność co do zamiarów ojca.

Zdarzało się, że Olaf siedział wieczorem i bez przerwy wlepił oczy w Eirika, a chłopiec nie wiedział, czy ojciec wpatruje się w niego, czy też poprzez niego w ścianę, tak dziwne i dalekie było to spojrzenie. Chłopiec rumienił się i mieszał pod tym wzrokiem, nie umiając go sobie wytłumaczyć. Nieraz Olaf spostrzegał jego niepokój. – Co się z tobą dzieje, Eiriku? – pytał i cień podejrzenia dźwięczał w jego głosie. Eirik przeważnie nie odpowiadał. Niekiedy jednak przytomniał i zaczynał opowiadać spieszenie i z zapalem o czymś, co wydarzyło się w ciągu dnia, najchętniej o tym, ile roboty wykonał, albo o jakichś osobliwych zajściach; i ilekroć mówił o czymś z ojcem, wszystko stawało się o wiele większe, niż mu się poprzednio wydawało. Zwykle zanim jeszcze skończył mówić, spostrzegał, że ojciec wcale go nie słucha, że popadł z powrotem w zadumę. Najgorzej było jednak, kiedy ojciec przy końcu opowiadania ściągał usta w słabym uśmiechu i mówił spokojnie i chłodno: – Tak, tak, ważne sprawy dzieją się zawsze tam, gdzie ty jesteś – albo: – Pewnie, Eiriku, jesteś przecież dzielny chłopcem; wystarczy spytać ciebie samego, a człowiek natychmiast to zrozumie.

Wprawdzie Eirik w rozmowie z ojcem starał się przypomnieć sobie wszystko, tak jak się naprawdę odbyło i nie zmyślać nic ponadto. Ale gdy tylko się rozgadał, trudno mu było zatrzymać się i nim sobie uświadomił, opisywał jakąś rzecz tak, jak mogła albo też – jego zdaniem – powinna

była wyglądać. Winę ponosiła tu także czeladź, która pobudzała go nieraz do najbardziej uciesznego bajania. Wiedzieli równie dobrze, jak on sam, że przesadza w swych historyjkach i niejedno dodaje, ale uważali, że to jest w porządku, i nikt nie dał po sobie poznać, iż wie, że Eirik chętnie mija się z prawdą.

Ojciec natomiast był sztywny i mrukliwy, i żądał zawsze, aby chłopiec opowiadał wszystko dokładnie i zgodnie z prawdą.

Jednak pewnego dnia ojciec będzie zmuszony mimo wszystko uznać, że Eirik jest dzielnym chłopcem. Tego był zupełnie pewien.

Zresztą Eirik jak na swoje lata był ostatnio wcale użyteczny przy pracach dworskich, a także podczas wyjazdu na morze. Siły wielkiej nie miał, szczupły był bowiem i smukły, ale za to niez mordowany i wytrwały, jeżeli nie marnotrawił czasu i nie zapomniał o tym, co mu polecono. Ale parobcy chętnie go brali do roboty, bo był miły i pogodnego usposobienia; tylko gdy go drażniono, unosił się gniewem. Miał także jasny piękny głos, nadający się doskonale do wszelkiego rodzaju zawołań i przyśpiewów.

Tej wiosny tak stary Tore, jak i Arnketil mówili o nim kilkakrotnie z Olafem, chwalili jego pilność i zręczność. Olaf kiwał głową, zdawał się jednak nie dostrzegać napięcia, z jakim śledził go syn. I jakkolwiek Eirik starał się usłużyć ojcu i przypodobać mu się – no tak, parę razy Olaf podziękował mu nawet, to prawda – to jednak przeważnie było tak, jak gdyby nie widział wcale starań syna; przyjmował wszystko nie patrząc na chłopca albo też nie darząc go nawet skinieniem głowy.

Wówczas gniew kipiał w Eiriku. Kręcił się po dworze i głowił nad tym, co by tu takiego spletać, aby rozdrażnić ojca; przynajmniej sobie

przypomni, że trzeba go ukarać. Skoro jednak nadarzała się sposobność, nie śmiał niczego zbroić, bo wtedy nie wolno mu będzie w ogóle pojechać do Anglii.

W tygodniu po białej niedzieli Olaf syn Auduna wybrał się do Oslo, a w dziesięć dni potem mały statek synów Ryszarda Płatnerza przybił do przystani w Hestviken. Bardzo prędko załadowano towary, które Olaf miał zabrać, mimo że wziął jeszcze kilka drobiazgów od Baarda syna Paala na Skikkjustad: skóry oraz żelazo wytopione z rudy bagiennej. Z wyjątkiem tych rzeczy nie mógł o tej porze roku zdobyć w gminie żadnych innych towarów. Więc już następnego dnia łodzie Olafa wyholowały statek z zatoki; na fiordzie rozwinięto żagiel. Był przejrzysty, pogodny dzień wczesnego lata.

Eirik aż do odjazdu był na pokładzie żaglowca, pomagał ładować towary i rozmawiał z załogą. Nie było jednej deski ani kawałka drzewa, jednego dźwigu czy liny, których by nie obwąchał lub nie dotknął.

Pod wieczór chłopiec siedział sam na górze na skale i śledził wzrokiem maleńki statek niknący z oczu daleko, na południu.

Zszedł na dół do przystani, odwiązał swoją łódkę i popłynął pod ścianę Byka.

Na zboczu góry, niedaleko od jej podnóża, znajdowała się niewielka zielona łączka, a na jej środku leżało kilka dużych bloków skalnych. Na największym rosły trzy sosny; Eirik zwał go Królem. Łatwo było wczougać się pomiędzy te głązy; pod Królem była maleńka jama, w której chłopiec miał kryjówkę.

Z tej strony Byka było tylko jedno miejsce, do którego można było przybić łódką i przez skalną szczelinę dostać się na górę. Można też było opłynąć skałę od północy albo wylądować w głębi zatoki. Łączka nad wodą kończyła się stromym urwiskiem. Eirik wyobrażał sobie nieraz, że człowiek otoczony tu przez wrogów mógłby skoczyć w dół, przepłynąć

spory kawał pod wodą i uratować się, zanim tamci odnaleźliby drogę do łodzi na brzegu.

Tego wieczoru było mu jednak tak ciężko i smutno na duszy, że nie miał wcale ochoty myśleć o tym. Wpełził do jamy i wydobył z niej swoje rzeczy, ale gdy usiadł i trzymał je na kolanach, nie czuł zwykłego napięcia i rozkoszy ich posiadania. W tym roku wyjął je tylko jeden raz z ukrycia i z tą samą głęboką radością co zawsze przetrząsnął kryjówkę.

Były tu dwie toczone skrzynki drewniane; mniejszej używał latem do przechowywania żywicy, teraz jednak znajdowały się w niej tylko połuczone skorupki kilku jajeczek ptasich, które schował, ponieważ były czerwieniejsze od innych. W drugiej skrzynce leżały ości jakiejś cudacznej ryby. Rybę tę złowiono w sieć przed kilkoma laty, ale nikt nie widział dotąd takiej ryby, Olaf polecił więc wyrzucić ją na powrót do morza. Obawiał się, że jest trująca. Eirik zobaczył jednak, że ryba wpadła między okrągłaki starej przystani, i gdy dorośli udali się do dworu, powiosłował w tamtą stronę i wyłowił ją z wody. Przecież nie wiadomo, czy i ości ryby są niebezpieczne; a może miały w sobie jakąś ukrytą siłę? Dlatego uważał je zawsze za bardzo cenne. Aż do tej chwili – bo teraz wydały mu się rupieciami.

Miał tu również skórzany worek pełen gładkich i zębatych kamyczków. Tuż nad wodospadem, pod stromą skałą w dolinie Kvern, w piasku była moc takich kamyczków, on jednak wybierał tylko najpiękniejsze, te, które podobne były do grotów. Ojciec powiadał, że są to prawdziwe groty kamienne; podobną bronią posługiwali się Lapończycy w okresie pogaństwa, na długo przedtem, zanim przybyli do kraju Norwegowie. Ale Eirik myślał, że w tych kamyczkach tkwi coś szczególnego – może są to prawdziwe krzemienie? Sam znalazł także pewnego razu haczyk – piękny przyrząd z drugim małym haczykiem oraz uszkiem na przeciągnięcie włosia. Ułożył sobie, że kiedyś użyje tej wędki, jeśli ryby nie zechcą iść

na zwyczajną przynętę: wtedy wszyscy się zbiegną i dopiero będą się dziwić, że on jeden nałowił takie stopy ryb! Teraz jednak zgubił gdzieś tę wędkę...

Najcenniejszym skarbem ze wszystkich był konik. Był to korzeń jakiegoś drzewa, niewiele większy od ręki Eirika i tylko lekko przystrugany. Eirik sam nie wiedział, skąd ów konik pochodzi. Zdawało mu się, że przywiózł go stamtąd, gdzie się jako dziecko wychowywał, i wierzył, że konik wyskoczył spod kamienia, w którym zamieszkiwały duszki leśne, że jest darem tych istot. Inne swoje zabawki dziecinne podarował już dawno rozumiejąc, że jest dorosły, więc wstyd było bawić się nimi. Konik jednak był jak gdyby czymś więcej niż zabawką; dlatego ukrył go tutaj w jamie pod Królem.

Chłopiec ukląkł na ziemi i patrzył na konika. Był on ciemny i zniszczony; jedna z tylnych nóg była tak krótka, że zwierzę stało na trzech. Miał tylko jedno oko, wystające po jednej stronie głowy; okiem tym był ostrugany sęk. Wyglądał prawie na zaczarowanego.

Eirik podniósł się i postawił go na płaskim białym kamieniu. Cofając się z zamkniętymi oczyma obszedł trzykrotnie kamień przeciw kierunkowi słońca przyspiewując przy tym cicho:

*Słońce zapada w morzu, drzewo butwieje na brzegu,  
w górę i w dół pędzimy, mój piękny bułanku...*

Gdy skończył, nie śmiał jednak uczynić na odwrót znaku krzyża: był to grzech, a do tego głupota. Niby złe przecucie ogarnęła go w tej chwili myśl, że ta zabawa zawsze była głupia. Z pewnością nie oczekiwał nigdy, aby drewniany konik zamienił się nagle w miedzianego rumaka w srebrnej uprzęży. Ale mimo to wierzył, że kiedyś stanie się coś nadzwyczajnego, gdy wypowie nad nim to przejmujące zaklęcie.

Jörund Rypa uważałby to na pewno za głupią zabawę. Eirik obawiał się zawsze, że Jörund mógłby kiedyś przyłapać go tutaj zajętego swoimi skarbami. Było to mało prawdopodobne – Jörund miał krewnych mieszkających daleko w górze parafii, do których czasem chodził w odwiedzin; było więc zupełnie nie do pomyslenia, żeby nagle zjawił się tutaj, w górach wokół Hestviken. Mimo to Eirik bał się stale, że Jörund mógłby go tutaj kiedyś przydybać. Wyczuwał, że Jörund nie zrozumiałby niczego, uważałby raczej, że Eirik zajmuje się głupstwami niczym małe dziecko – a znał go na tyle, iż wiedział, że Jörund rozpowiedziałby to dalej i naraziłby go na pośmiewisko. A przecież Jörund Rypa był właśnie jedynym chłopcem, którego Eirik pragnął mieć za druha, jedynym z rówieśników, do którego Eirik się zbliżył i którego polubił. Ale obecnie Jörund już przeszło od roku nie był w tych stronach. Pochodził ze wschodu znad jeziora Eyja.

Eirik splótł ręce na podciągniętych kolanach i oparł na nich brodę. I tak siedział zapatrzony w dwór.

O tej porze całe obejście pławiło się w zachodzącym słońcu, a zatoka pod nim była tego wieczoru tak zwierciadlana i cicha, że nie podobna było rozeznać, gdzie kończy się ląd, a zaczyna jego odbicie w mrocznym cieniu poniżej brzegu. Obok przystani z szopami odbijała się druga przystań w wodzie, dalej zaś na zatoce ujrzał Eirik obraz wyłożonych zorzą skał na wzgórzu oraz spalone od słońca darniowe dachy zabudowań dworskich. Zobaczył łąki i dorodne zieleniejące pola, na których wschodziła równa i piękna ruń zboża; środkiem przez owo wodne Hestviken szła niespokojna, jasna smuga nurtu.

Coraz bliżej słyhać było nie ustające ani na chwilę dzwonki bydła z lasu pod Rumakiem. W tej chwili Ragna zaczęła nawoływać bydło ze stoku; stado wynurzyło się przy płocie, na skraju lasu. Szereg jasnoczerwonych i łaciących krów sunął powoli wzdłuż górnej krawędzi pól.

Uczucie niechęci podniosło się znowu w sercu chłopca. Na krótko przed wyjazdem posłał go Olaf z jakimś zleceniem do Saltviken. Po drodze spotkał Eirik stado i zerwawszy trochę mchu zatkał nim kołatkę krowy, nie mając nic złego na myśli; po prostu zrobił to dlatego, że taka go naszła ochota. Ale wieczorem pastuch Jon poskarżył na niego przed gospodarzem. I znowu zdarzyła się ta zatrważająca rzecz: jego figiel ani nie rozżłościł, ani też nie rozśmieszył ojca. Bąknął tylko coś pod nosem o dziecięcych psotach, zupełnie nieporuszony.

Tam idzie Liv w górę od grobli... była więc znów w szopie, pewnie z Ankim. Eirik poruszył się niespokojnie, gorące dreszcze i ciągotki przeniknęły go, czuł się jakby zawstydzony i winny... A przecież on nie popełnił nic złego. Nie mógł nic na to poradzić, że ta dziewczyna gada do niego o takich sprawach, i tylko zżymał się i wstydził, kiedy w ciemności ocierała się o niego i chciała go do siebie przycisnąć. Po co to robiła? Nie był przecież jeszcze dorosły, miała chyba mężczyzn dość, ta sprośna suka...

Ta myśl nie dawała mu spokoju, zrozumiał bowiem, że ona lata także za ojcem. I na nowo spiętrzyło się w nim wszystko zło i cały żal z tamtych czasów, kiedy uświadomił sobie jasno sprawę ojca z Torhildą – trwogę i rozpacz, ponieważ nie wiedział, czy jego słuszne prawo do ojca i do Hestviken jest pewne, i zadzumione źródło szkaradnych, brudnych myśli i obrazów, i śmiertelną nienawiść – taką, że policzki jego stawały się blade i zimne na samą myśl o tym, jak strasznie nienawidzi.

Długotrwałe napady milczenia, podczas których ojciec nie odzywał się słowem, zapadłe bruzdy koło jego ust, oczu i przejrzystych powiek, ba, nawet sposób, w jaki się przeciągał podnosząc się z ławy po chwilach odpoczynku, aby znów iść do pracy; zdawało się, jakby zbierał z wysiłkiem myśli z nieznanych dali – wszystko to napawało duszę dziecka niepewnością. Przeczuwał, że żyje obok jakiegoś cierpienia, które go



przerazi, gdy ujrzy je kiedyś obnażone. I chłopiec nienawidził i szalał z powodu tego wszystkiego w świecie, co budziło jego niepokój i nie dawało mu żyć. Widział, że ojciec jest jeszcze pięknym i wcale niestarym mężczyzną. Czeladź rozważała całkiem otwarcie, które z dziewic i wdów w ich i sąsiednich gminach wchodzi w rachubę jako równe mu stanem małżonki. Choć Olaf tak mało radości znalazł przez te wszystkie lata z pierwszą żoną, niewątpliwie ożeni się wkrótce powtórnie...

Gdyby ta Liv nie była tak odrażająca i wstrętna, byłoby już niemal lepiej... Jej przynajmniej ojciec nie mógłby poślubić. Wielu mężów zadowalało się tym, że brało na swoje dwory nałożnice. Ale potem przypominał sobie ów czas, kiedy tu była Torhildą. Nie, ojcu nie wolno wziąć obcej kobiety do Hestviken, on, Eirik, nie chce, żeby się tu ktoś kręcił, zamykał i otwierał spichrze, i wydzieliał strawę, a wieczorem leżał z ojcem w łożu, szeptał i naradzał się z nim, prosił go o coś i mówił źle o Cecylii i o nim, a tymczasem zaludniał dwór własnym potomstwem...

Z miejsca, gdzie siedział, widać było pod skałami tylko rząd darniowych dachów zabudowań Hestviken. Cień posuwał się wyżej i wyżej po skłonie góry, ale słońce padało jeszcze wciąż na dachy i czarną skalną ścianę poza nimi z zielenią w szczelinach. W górze, na grzbiecie Rumaka połyskiwały nawet jeszcze rude jak spiż pnie sosen.

Nagle łyzy trysnęły z oczu Eirika. Przywiązanie do tego dworu zabolalo go niczym tęsknota, a zmartwienie o ojca, który odjechał bez niego, zmogło go do reszty. Wszystkie dotychczasowe dziecinne radości straciły sens. Eirik poddał się cierpieniu; rzucił się jak długi na trawę płacząc, a łyzy ciekły mu ciurkiem po twarzy.

Na skale nad nim poruszyło się coś z szelestem... Chłopiec zerwał się, gorąco mu się zrobiło ze wstydu. To owca wysunęła czarny łeb z krzaków, za nią przeświecały jej białe towarzyszki. Eirik skoczył, odegnał je. Szczęście, że to nie byli pasterze. Albo Jörund...

Powoli wrócił na łąkę pod kamień. Stał na nim jeszcze wciąż drewniany konik – mała, nędzna zabawka. Chwycił ją, pobiegł na brzeg urwiska i cisnął w morze.

Tymczasem tutaj, pod górą, zapadał mrok, tak że chłopiec nie widział, gdzie konik spadł – czy wylądował poniżej na rafach, czy też w wodzie. Przez mgnienie oka stał jak zaklęty – więc zrobił to naprawdę! – potem zawrócił i zaczął biec jęcząc z żalu. Pędził co tchu, skakał po stromej perci w dół, do wąwozu, gdzie zostawił łódkę.

Wsiadł i odczepił linkę. Ach, musi odnaleźć swego drewnianego konika! Był tak podniecony, że nękał go nawet cichy plusk wody o dno łodzi. Starał się wiosłować i odpychać od brzegu jak najciszej wzdłuż podnóża góry, wpatrując się z napięciem w cienie i nasłuchując. O, tam kołysze się coś czarnego w pianie między kamieniami... Przyciągnął wiosłem ten przedmiot – nie, to tylko kawał zwykłego drewna. O tam... nie! Może znajdzie jutro, gdy przeszuka za dnia całe wybrzeże – jest przecież niewielkie.

„Droga, Święta Panienko, pomóż mi odnaleźć mojego drewnianego konika! Dam moje trzy pieniążki Heldze z jednym zębem, gdy przyjdzie do nas... *Ave Maria, gratia plena, Dominis tecum...*”

O, tam płynie konik, po drugiej stronie łódki, nieco dalej od brzegu! Był to po prostu cud, że fale nie wepchnęły go między głązy nad brzegiem; tam nigdy by go nie odnalazł. Chłopiec westchnął głęboko, szczęśliwy, że trzyma drewnianego konika w mokrej dłoni. Ale nie miał odwagi pójść z powrotem na górę i ukryć go pod głazem, było już za późno. Wsunął go w fałdy kaftana. Potem ujął wiosła i szybko popłynął ku przeciwnemu brzegowi zatoki.

Kiedy wylądował, przystań była pusta. Na górze w lesie śpiewał drozd; Eirik musiał przystanąć i posłuchać trochę. Potem pobiegł pędem ścieżką do domu, wprost nieprzytomny ze szczęścia. Od czasu do czasu zatrzymywał się nagle, aby słuchać śpiewu ptaków.

Na dziedzińcu i w zabudowaniach dworskich panowała cisza. Kiedy Eirik ujął klamkę drzwi wejściowych, przypomniał sobie nagle, że teraz przez całe lato będzie spał sam w izbie. Zdarzało się, że sypiał tu już sam jeden przez kilka nocy, gdy ojciec wyjeżdżał – i nigdy się nie bał. Jednak w tej chwili uczuł lekką trwogę.

Dymnik nie był zamknięty. Na pustym, wymiecionym do czysta palenisku stało przygotowane dla niego jedzenie. Lecz w bladym świetle zmierzchu wpadającym przez dymnik wszystko miało wygląd dziwnie niesamowity. Eirik spiesznie zawarł drzwi prowadzące do czarnego wnętrza komory. Chciał zamknąć także drzwi wejściowe, zanim zabrał się do jedzenia. Ale gdy wszedł do przedsionka, mimo woli zatrzymał się. Jak głośno śpiewały ptaki tej nocy!

Na łące przed domem zamajaczył jakiś ciemny kształt. Eirik gwizdnął cicho – pies przybiegł pędem, ale przystanął w pewnej odległości, machając ogonem i nie śmiać się zbliżyć. Eirik wabił go i przyzywał: – Pójdź tu, pójdź, Królu Ring, coś tam znów nabroił? – Psisko było istnym potworem. Olaf i czeladź od dawna już przysięgali mu śmierć, ale nie znalazł się nikt, kto by się zdobył na to, by psa zabić.

Wreszcie Król Ring nabrawszy odwagi wsunął się do izby, skulił ogon i zaczął ocierać łeb o nogi Eirika. Chłopiec z pośpiechem zamknął drzwi, a gdy chciał przykucnąć w ciemności, pies o mało go nie przewrócił, łaszcząc się, skomląc i liżąc po twarzy gorącym językiem.

Siedząc na krawędzi paleniska Eirik zjadł zimną kaszę z kwaśnym mlekiem, a suszonym na wietrze mięsem podzielił się z psem. W tej chwili wydało mu się cudowną rzeczą, że przez całe lato będzie rządził

sam w izbie.

Drewnianego konika schował pod poduszkę. Pies wskoczył na posłanie i położył się na nogach chłopca.

A kiedy wejdzie do izby czarownica i po ciemku wyciągnąwszy łapę będzie szukała tego chrześcijanina, on gwizdnie na swego białego niedźwiedzia...

Eirik podciągnął wyżej kolana i jeszcze raz przemyślał całą historię od początku. Jest pewien mąż – i tym mężem jest jak gdyby on sam; przez cały dzień wędrował po głuchych borach, a późnym wieczorem przybywa do jakiegoś domu. Pusto jest w tym domu, ale znajduje w nim jadalnię i łóżko, więc kładzie się i zasypia. W nocy zaś budzi go wielki hałas i do izby wchodzi olbrzymka tak wysoka, że głową sięga kalenicy, i tak pleczysta, jak wysoka. I węszy nosem na wszystkie strony, i czuje zapach chrześcijańskiej krwi. Szuka więc i obmacuje ściany rękami, bo chce schwytać tego człowieka i upiec go żywcem na ogniu. Ale wtedy on gwizdnie na swego psa...

Sen morzył chłopca coraz bardziej, myśli jego gmatwały się. I znów to samo od początku – cały dzień przez bezludne głusze, sam jeden z białym niedźwiedziem – a potem wchodzi czarownica... Najpierw przychodzi do szopy w samym środku gęstego lasu. Widział całkiem wyraźnie łączkę i opuszczony dom... Aż sen obezwładnił go i zgasił wszystkie widzenia.

Cisza na morzu i wiatr przeciwny opóźniały jazdę *Rena* na południe wzdłuż wybrzeża i dopiero dwunastego dnia po odejście z Hestviken mogli żeglarze skierować dziób statku na pełne morze. Za to tutaj sprzyjał im wiatr. Już na trzeci dzień dostrzegł Olaf daleki ląd. Był to wysoki skalisty brzeg, który jego zdaniem musiał być Szkocją. Słyszał, że król szkocki i król angielski prowadzą ze sobą wojnę; postanowił przeto raz jeszcze puścić się na pełne morze. Tak więc jeden dzień krążyli niemal w miejscu, potem jednak powiał północny wiatr. Wszyscy nałożyli pancerze i stalowe hełmy, na południu bowiem, na morzu między Flandrią i Anglią, zawsze był niepokój i żeglarzom groziło niebezpieczeństwo.

Morze i morskie podróże pociągały Olafa nieodparcie, może dzięki temu, że spędził dzieciństwo w głębi łądu. I mimo że był zmęczony, czuł się teraz dziwnie wypoczęty i rześki. W długie, jasne noce spędzane bezsennie, podczas których wszystkie jego zmysły zwrócone były ku morzu i niebu, w spokoju czuwania miał wrażenie, że odpływa daleko od samego nawet wspomnienia tych nie kończących się, bezsennych nocy, gdy leżał jakby uwięziony w ciemnym łożu, w czarnej otchłani komory. Wspomnienia zapadały się i znikały poza widnokregiem, podobnie jak brzegi łądu, od którego odbił. Pogoda utrzymywała się niemal przez cały czas, silny wiatr poświstywał w linach, wydymał żagle. Wydłużone, toczące się fale unosiły szkuner i przez mgnienie oka zdawało się, że statek waha się i namyśla, zanim runie w wodną dolinę. A potem skłębione, bryzgi dokoła rufy, strzępy piany, błysk przejrzystej, szarozielonej wody wzdłuż burty, pełny ton napierającego na boki statku morza i znowu trzy fale większe od innych następujące po sobie w pewnych odstępach czasu, jedna za drugą... Jasnoszare chmury pokrywały całe sklepienie, sunęły po

nim bez pośpiechu, tu i ówdzie przedzierał się przez nie promyk słońca, kładł się bladą wstęgą na mokrym, pochyłym pokładzie. Pod wieczór wypogadzało się zwykle, daleko na widnokręgu błyszczało na morzu światło słoneczne. Potem ławica chmur gęstniała znowu, prześwietlona zorzą wieczorną.

Sen za dnia pokrzepiał go, budził się jak odrodzony. Owinięty w skóry, przyłgnąwszy policzkiem do futzanego podbicia opończy, Olaf leżał i spał. Morze huczało, deski statku trzeszczały i wzdychały, od czasu do czasu wołanie i krótki łoskot, potem ciężkie kroki na pokładzie – wszystkie te głosy dochodziły do niego, podczas gdy leżał i czuł, jak fale unoszą statek w górę i znów strącają go w głębię. Pod rozległym, widnym namiotem nieba, gdzie woda i powietrze krążyły swobodnie i napełniały jego głowę jednostajnym szumem, zasypiał lekko jak dziecko.

Czuł się młody. W owo południe, kiedy wreszcie stał na rufie statku płynącego w stronę Londynu, pchanego bryzą i przyptywem ku miastu, miał wrażenie, że wiatr i morze wykapały go i uleczyły zupełnie jego duszę i ciało z nadmiernej wrażliwości. Łąd z obu stron ciągnął się płaski i zielony, widać było błotniste pastwiska i orne pola na zboczach wzgórz, bujne lasy liściaste na niewielkich wzniesieniach, falujących hen, jedno za drugim, aż gdzieś, daleko ostatecznie z nich ginęły w bladobłękitnym, mglistym powietrzu. Słaby błysk słońca sączył się z lśniących szczelin między chmurami. Na zachodzie promienie padały na ziemię w bladych, nasyconych wilgocią wiązkach. Słońce piło deszcz.

Krajobraz przypominał Danię. Olaf nie patrzył nigdy na wybrzeża, z których kiedyś przybyła jego matka, takim wzrokiem pełnym

wyczekiwania jak teraz na ten kraj. Anglia miała obecnie o wiele lepsze domostwa. W głębi lądu, ponad lasami sterczała nieskończona mnogość wieżyc i strome dachy wielkich kościołów. Płynęli obok wielu potężnych budowli z białego kamienia, okolonych murami i basztami strażnic. I kiedy jeden z ludzi stojących na dziobie krzyknął, że widzi już Londyn, Olaf skoczył i pod żaglem przebiegł szybko na dziób statku.

Poprzez słoneczny opar ujrzął liczne wieże i blanki skupione obok siebie. Ciemniejszy, szary pas, który ciągnął się nisko nad rzeką, to był zapewne słynny most londyński. Olaf zapomniał o wszystkim patrząc przed siebie.

Torodd syn Ryszarda podszedł do niego. Rozmawiał już z pilotem, który wsiadł na statek przy ujściu rzeki. Ów potężny kasztel z czterema wieżycami i murem dokoła to wznoszący się wprost; z rzeki zamek londyński, to właśnie Biała Wieża. A ten długi grzbiet ołowianego dachu tam, z tyłu za zamkiem, to kościół Świętej Katarzyny. Najwyższą ze wszystkich wież była wieża na wzniesieniu, należąca do kościoła Świętego Pawła.

Najgłębsze wrażenie wywarł na Olafie most; czegoś podobnego nie widział dotąd nigdy. Był to prawdziwy cud zbudowany na olbrzymich, kamiennych łukach, wpartych w rzekę; na górze wzdłuż mostu wznosiły się domy.

Na południe od rzeki stał kościół Świętego Olafa – ciągnął Torodd – dokąd udadzą się jutro na mszę; być może, spotkają tam rodaków. Dawniej, kiedy Norwegowie sami wyprawiali się z towarami do Londynu, był to ich kościół. Teraz norwescy żeglarze rzadko zapuszczają się tak daleko na południe. *Ren* jest jedynym statkiem, który w tym roku przypłynął tu z Oslo. Lecz w mieście zawsze można było spotkać ludzi z okolic Trondheim lub z Björgvin.

Olaf ledwie słuchał gadania tamtego. Jak urzeczony patrzył dokoła i

czekał – sam nie wiedział na co.



Nazajutrz dosyć późno wysiedli na ląd. Słońce wzeszło już, kiedy sześciu ludzi z *Rena* szło przez most Londynu.

Olafowi dziwnie było na duszy na myśl o tym, że owa wąska uliczka między budami kramarzy ciągnie się przez szeroką rzekę. Fale przyplýwu toczyły się w górę rzeki i znów się cofały wysysane przez morze. Zauważył już w porcie, gdzie statek ich zarzucił na noc kotwicę, że tutaj różnica między przyplýwem a odpływem jest o wiele większa aniżeli w kraju, w Hestviken. Ludzie potrafili jednak osadzić ogromne słupy kamienne w wartkim prądzie i przerzucić most. Myśl o tym uszczęśliwiała go.

Miejscami uliczka ścieśniała się tak, że niebo nad głowami przeświecało już tylko wąskim pasem. Ale dalej na moście rząd domów przerywał się, aby wozy mogły się w tym miejscu mijać. Norwegowie podeszli do kamiennego obmurowania, aby spojrzeć na rzekę.

Słońce wzniosło się tymczasem ponad lasami na wschodzie, lekka mgła snuła się w powietrzu i blask odbijał się w śnieżnobiałych plamach na wodzie. Z jednostajnym, równym szumem płynęła woda pod sklepieniem mostu; aż dziwnie było patrzeć na ten kamienny mur prostopadłe wyrastający z rzeki. Olaf mimo woli wyprostował plecy i spozrzał w stronę miasta. W porannym blasku wieże i blanki lśniły we mgle. Nagle wyfrunęła skądś olbrzymia chmura gołębi i zatoczywszy szeroki krąg zawróciła. Słońce opromieniało ich białe i błękitne jak morze skrzydła.

Jakaś łódź płynęła z trudem pod prąd; migaly wiosła, dwanaście czy czternaście par. Łódź nie była podobna do tych, jakie Olaf zwykle widywał,



przypominała raczej bryg. Olaf chętnie postąpiłby tu jeszcze chwilę, by zobaczyć, jak przepływa pod mostem. Lecz Galfrid oświadczył, że jest dość późno i że zaraz będą odprawiać msze we wszystkich kościołach.

O tej późnej już porze dnia niewielki ruch panował na moście.

Ale teraz musieli się cofnąć i stanąć w drzwiach jednej z bud, by ustąpić miejsca przechodzącemu właśnie orszakowi. Na czele kroczył wysoki, barczysty starzec niosąc w ręku laskę, na kaftanie, na piersiach miał wyhaftowany herb. Za nim szły dwie młode dziewczyny w barwnych, powłóczyстых sukniach, z trenami przerzuconymi przez ramię; każda z nich trzymała w rękach różaniec i modlitewnik. Na jasnych, rozpuszczonych włosach miały wianki z kwiatów; obie były śliczne jak świeży poranek. Zamykała pochód stara służebna i dwóch młodych paziów niosących płaszcze dziewic. Jeden z nich trzymał nadto w ręku małego pieska, który szczekał głośno i dzwonił dzwoneczkami obroży.

Tymczasem z wnętrza sklepu, przed którym stanęli Norwegowie, wynurzył się młody człowiek. Mówił coś i chciał pokazać swój towar; chwycił Olafa za poję kaftana, trzymając przed nim dwubarwne spodnie, z jedną nogawką żółtą, a drugą niebieską. Spostrzegłszy jednak, że cudzoziemcy nie zamierzają nic kupić albo też nie rozumieją jego słów, wyduł usta śmiejąc się przy tym wzgardliwie.

Na blankach muru nad południową bramą mostu sterczało kilka ludzkich głów wbitych na pale. Olaf i towarzysze przystanęli na otwartym placu przed murem, aby sobie to obejrzeć. Natychmiast przykuśtykała o dwóch kulach jakaś leciwa babinka, a za nią przywłókł się wyrostek bez nóg; poruszał się za pomocą deszczulek pod rękami i kolanami. Wskazywali ścięte głowy i coś gadali. Tylko Torodd rozumiał trochę angielską mowę, objaśnił więc, że cztery pierwsze głowy należały do najpotężniejszych wielmożów z północy kraju, którzy podnieśli bunt przeciw władzy królewskiej.

Olaf poważnie i ze zrozumieniem kiwał głową. Nie było nic niesamowitego w tym widoku. W zadumie podniósł oczy. Słońce padało na nagie szarozółte kości, wiatr igrał w kosmykach pozostałych jeszcze włosów. Mięso zgniło już lub może wydziobały je wrony – obecnie na żadnej z czaszek ptak nie znalazłby pokarmu. Dziwny spokój był w tych beznosych czerepach, które nieruchomymi oczodołami patrzyły prosto w słońce. Były jakby spleśniałe, pokryte czarniawym i zielonkawym nalotem, lecz spokojne.

Olaf nie widział do tej pory nigdy z tak bliska ściętych głów ludzkich. Nieraz wprawdzie żeglował obok szkery skazańców pod Sigvaldasteiner, ale nigdy tam nie lądował. Miejsce zaś straceń w Oslo znajdowało się w części grodu, do której nigdy się nie zapuszczał, nie było zresztą przyczyny, aby tam chodzić, gdyż w czasie jego pobytu w mieście nie skazano nikogo na śmierć.

Ten widok nie przejmował go grozą, nie było w tym nic takiego, co by krzyczało o wstydzie i profanowaniu zmarłych. Wyglądali na odważnych mężów, którzy pełniąc straż na murze zdawali się czekać na coś cierpliwie, wpatrzeni w słońce i świeże powietrze poranku.

Olaf pierwszy pomyślał o tym, aby się przezegnać. Półgłosem zaczął odmawiać:

– ...*Pater noster, qui es in caelis, sanctificetur nomen Tuum. Adveniat regnum Tuum...*

– *Opera manuum Tuarum, Domine, ne descipias* – wraz z jego towarzyszami odpowiedzieli żebracy.

– ...*Requiem aeternam dona eis, Domine, et lux perpetua luceat eis.*

Olaf i Galfrid dali żebrakom jałmużnę, po czym dwoje nędzarzy pokuśtykało, każde w swoją stronę. Olaf pomyślał w duchu, że pierwszymi słowami, jakie zrozumiał w tym kraju, była modlitwa za dusze straconych.

Ludzie wójta w porcie londyńskim wyznaczyli *Renowi* miejsce postoju na zachód od mostu, w niewielkim czworobocznym basenie; przycumowane tam były tylko mniejsze statki, przeważnie angielskie. Woda była tu gęsta, przy niskim poziomie rzeki jej muliste dno odsłaniało się wielkimi płatami. Ale sam port był pięknie zabudowany z trzech stron, z przystanią dla statków i spichrzami dokoła. Górne piętro spichrzy spoczywało na słupach i miejsce pod nimi przypominało krużganek klasztorny. Przez cały Boży dzień kipiało życie na tych pomostach; więcej niż dwudziestu ludzi zajętych było od rana do nocy ładowaniem i wyładowywaniem towarów oraz przewożeniem ludzi przez rzekę. Torodd dowiedział się, że lepiej nie używać własnej jolki do przejazdu na ląd; przewoźnicy niechętnie na to patrzyli, nie miałyby więc sensu zadzierać z nimi. Tak więc ułożyli się z jednym z nich, że ma codziennie przewozić załogę *Rena* na ląd i z powrotem, i że dostanie za to pięć angielskich fenigów tygodniowo. Droga to była zapłata – Olaf bardzo prędko zrozumiał, że ta podróż do Anglii niewielki mu przyniesie zysk.

Pni dębowych, skór oraz futer mieli tutaj dosyć, takie rzeczy szkoda było przewozić przez morze, za ryby zaś o tej porze roku płacono kiepską cenę. Skóry wydr i kun oraz żelazo Baarda były jedynymi przedmiotami, które mógł sprzedać z pewnym zyskiem. Gniewało go to trochę, że tak całkiem nie miał pojęcia o tym, co się dzieje w świecie. Ale nie żałował, że wybrał się w podróż.

Nie miał zresztą potrzeby wstydzić się wobec synów Ryszarda; nie byli oni wcale mądrzejszymi kupcami. Głównym celem ich podróży nie była sprzedaż. Właściwie to ich brat z zakonu minorytów nakłonił ich do tej podróży. Kiedy przed kilku laty bawił w Anglii, spotkał tam krewnego, bardzo majątnego księdza gdzieś na zachodzie kraju. Wnuk siostry przypadł tak bardzo do serca zamożnemu księdzu, że obiecał braciom bosym w Oslo wiele kosztownych ksiąg oraz szat mszalnych w spadku.

Ubiegłego roku przyszła wiadomość, że proboszcz umarł, więc synom Ryszarda poruczono przywiezienie spuścizny po nim; zakon minorytów w Londynie miał im w tym pomóc i wysłać paru ludzi razem z nimi na zachód.

Ponadto brat polecił im, aby zakupili w Londynie jedwabną przędzę, złote nici, płótno i aksamit dla klasztoru mniszek pod Oslo i dla niewieściego dworu królowej.

Synowie Ryszarda mieli mieszkać w czasie pobytu w Londynie u jakiegoś krewnego, który zwał się Hamo i był płatnerzem. Olafowi również ofiarowano tam gościnę. W wąskiej uliczce, przy której stał dom Hamo, w każdym obejściu znajdowała się kuźnia, a poza tym w tej stronie miasta mieściło się sporo szynków i domów rozpusty. W ciągu dnia panował tu więc hałas, po nocach krzyki i wrzaski. Zresztą na odjezdnym musiałyby i tak obdarować wszystkich mieszkańców domu bogatymi darami. Postanowił więc pozostać na statku z dwoma ludźmi załogi: z pewnym młodym chłopcem i ze starym człowiekiem, którego przezywano Tomaszem Bębmem, zimą bowiem waleśał się po Oslo i podczas uczt bił w bęben. Dwaj pozostali majtkowie przenieśli się z synami Ryszarda do miasta. Olaf powziął takie postanowienie również dlatego, że dobrze sypiał pod gołym niebem. Nocami często padał deszcz, tak że woda przeciekała aż do luku. Jednak wołał to anizeli dzielić ciepłe łóżę z przygodnym towarzyszem.

Co rano przewoźnik przyplęwał łódką po niego i jednego z jego towarzyszy i przewoził ich na ląd. Już drugiego dnia pobytu w mieście dowiedział się Olaf, że dominikanie mają tu wielki klasztor, i odtąd udawał się tam na mszę; kościół Świętego Olafa był bardzo daleko, zresztą nie zależało mu wcale tak bardzo na tym, aby spotkać rodaków. Przybiwszy do brzegu, jakiś czas musieli iść wzdłuż rzeki w kierunku zachodnim przez wąską ulicę ciągnącą się na tyłach spichrzów; ciasne przejście pod

wysokimi domami o ostrych szczytach ziało chłodną zgnilizną. W końcu dochodzili do niewielkiego zielonego placyku, pośród rumowiska i stert kamieni, między którymi rosły krzewy i kwiaty; w tym miejscu rozebrano mur grodu i przesunięto go na zachód, by zrobić miejsce dla budynków wznoszonych przez dominikanów. Klasztor stał tuż pod nowym murem, kościół był jeszcze niezupełnie gotowy. Jego ściany zewnętrzne stały nagie, nie ozdobione, wewnątrz jednak było niezwykle piękne; z ostrymi łukami wysoko w górze krzyżowały się strzeliste żebrowania stropu. Poranne słońce wnikało jasną, pełną strugą przez wąskie i wysokie okna, w które nie wprowadzono jeszcze witraży.

Olaf wyszukiwał sobie miejsce blisko ołtarza, by słyszeć dobrze słowa księdza podczas mszy. Wprowadzie jego łacina brzmiała nieco inaczej niż w ustach Norwegów, ale nie aż do tego stopnia, aby nie można było z łatwością poznać miejsc odmawianych w mszach na uroczystości Świętych:

*Me exspectaverunt peccatores, ut perderent  
me: testimonia tua, Domine, intellexi: omnis  
consummationis vidi finem: latum man-datum tuum  
nimis. Beati immaculati in via: qui ambulant in lege  
Domini.*<sup>[3]</sup>

Było to oficjum na intencję pewnej dziewicy, która zginęła śmiercią męczeńską. Lecz *Beati immaculati* śpiewa się również nad małymi dziećmi niesionymi do grobu. Zacisnąwszy splecione dłonie na klamrze

---

[3] *Me exspectaverunt peccatores...* – „Czekają na mnie niezbożnicy, aby mię zatracili; ale ja świadectwa Twoje uważam. Wszelkiej rzeczy koniec widzę; ale przykazania Twoje bardzo szerokie. Błogosławieni, którzy żyją bez nagany, którzy chodzą w Zakonie Pańskim” – Ps. 119. (Przyp. tłum.)

pancerza, Olaf wpatrywał się w szkarłatny ornat kapłana. Ewangelię teraz odczytowaną poznał swego czasu przez Asbjörna All-Feita.

*In illo tempore: Dixit Jesus discipulis suis parabolam hanc: Similie est regnum cælorum thesauro abscondito in agro: quem qui invenit homo, abscondit, et præ gaudio illius vadit, et vendit universa quæ habet, et emit agrum ilium<sup>[4]</sup>*

Ilekróć przychodził do tego kościoła, zawsze myślał o Arnvidzie synu Finna. Ksiądz przed ołtarzem był jak gdyby Arnvidem, chociaż wcale nie był do niego podobny, kiedy zwracał się ku wiernym, i chociaż Arnvid nigdy nie osiągnął celu, do którego dążył: święceń kapłańskich. – *Et vendit universa quæ habet, et emit agrum ilium...* – tak, o tym pewnie myślał Arnvid, gdy się ostatni raz spotkali.

Kiedy indziej znowu obchodzono dzień pewnego świętego, którego imienia Olaf do tej pory nigdy nie słyszał: chyba to był jakiś Anglik. Na pewno był także męczennikiem.

*In illo tempore: Dixit Jesus discipulis suis: Nolite arbitrari, quia pacem venerim mittere in terram: Non veni pacem mittere, sed gladium<sup>[5]</sup>*

---

[4] *In illo tempore: Dixit Jesus discipulis suis parabolam hanc...* – „Onego czasu mówił Jezus do uczniów swoich w przypowieściach: Podobne jest królestwo do skarbu ukrytego w roli, który gdy znalazł człowiek, skrył, a przejęty radością idzie i sprzedaje wszystko, co ma, a kupuje oną rolę” – Mt. 23. 44. (Przyp. tłum.)

[5] *In illo tempore: Dixit Jesus discipulis suis: Nolite arbitrari...* – „Onego czasu mówił Jezus uczniom swoim: Nie mniemajcie, że przyszedłem zsyłać pokój na ziemię: nie przyniosłem pokoju, ale miecz” – Mt. 10. 34. (Przyp. tłum.)

*Gladium* – Olaf uważał zawsze, że to słowo brzmi pięknie. I rozumiał, że nie mogło być inaczej: skoro Bóg sam zstąpił na ziemię i jako człowiek stanął pomiędzy ludźmi, musiały się wypełnić słowa. „*Nie przyniosłem pokoju, ale miecz.*” Gdyż Bóg nie mógł i nie chciał być jako ten, który usypia wolę ludzką. Musiał przyjść z bojowym wezwaniem: Ze mną lub przeciw mnie! Pokój Boży był zapewne podobny temu pokojowi, który nastaje, kiedy nawałnica przejdzie i bój jest stoczony – taki pokój ujrzał także święty Jan Ewangelista w swych widzeniach. Biskup Torfinn mówił kiedyś o tym.

W tych wczesnych godzinach rannych, kiedy Olaf klęczał tutaj i słuchał mszy, wspomnienie porannych godzin w kościele w Hamarze stawało się bliskie i żywe; wówczas jednak trwała zima i ciemno było na dworze, gdy szedł z Asbjörnem do kaplicy w północnej wieży, gdzie Asbjörn miał odprawiać mszę przy ołtarzu świętego Michała. Było tak zimno, że widział oddech księdza niby biały dym na tle czerwonych płomyków dwóch świec. Ludzie nigdy nie przychodzili tam słuchać mszy, a czasami było tak wcześnie, że nawet żacy szkolni spali jeszcze. Dlatego też Asbjörn nauczył go służenia do mszy. A kiedy Olaf nie odpowiadał od razu, Asbjörn szeptał pierwsze słowa; nieznacznym skinieniem głowy i ruchem palca dawał mu znak, że ma przenieść księgi, podać ampułki i tackę.

Serce Olafa wypełniała wówczas po brzegi głęboka, pełna powagi radość, że wolno mu pomagać w świętej czynności, w wielkiej ofierze składanej na progu dnia i nocy. W tajemniczej ciszy o świcie dnia czuł, że po długiej, uciążliwej podróży poprzez huragan własnych, rozpętanych namiętności i namiętności innych zawinął do przystani. Szedł i udawał, że nie dostrzega burzy – ale był tak młody, że drżał ze zmęczenia. I nie uszło mu to bezkarnie. Serce jego było tak zmącone jak leśne jezioro wiosną, kiedy szare i wartkie potoki nasycają je wodą roztopów. Ale dopiero gdy

się rozjaśni po wylewie, sosnowy las dookoła otwiera pąki i prószy żółtym pyłem na brunatną wodę. Lecz tu, u stóp ołtarza, Olaf czuł tchnienie Boga jak wiejący wiatr – lekki nalot został zdmuchnięty: jego życie miało być znów uczciwe i czyste jak woda jeziora, w którym przegląda się błękit, słoneczny blask i wędrujące po niebie chmury.

„Panie, Panie – wiele czasu minęło od tej pory, nie jestem już młodym człowiekiem. Ale i jesienią, kiedy lód zaczyna się ścinać wokół kamieni i jezioro porośnięte jest zwiędłym szuwarem i pokryte kożuchem wodorostów – przecież i wtedy możesz zesłać taki wiatr, który roztopi cienką powłokę i zamiecie powierzchnię wody tak, aby przez pewien czas była przejrzysta i błękitna, zanim przyjdzie zima i skuje ją lodem.”

Nie były to żadne określone myśli – raczej obrazy, które nawiedzały Olafa, kiedy klęczał w kościele z pochyloną głową i twarzą ukrytą w fałdach płaszcza. Wszystko pamiętał – nie usiłował niczemu zaprzeczyć. Mimo to był spokojny i pełen ufności.

Zadzwęczał mały dzwonek mszalny. Ksiądz pochylił się nisko przed ołtarzem i ukląkł, po czym podniósł się, trzymając w wyciągniętych rękach Przenajświętsze Ciało Pana, utajone w pokornej szacie chleba.

Olaf spojrział w górę i modlił się: „Panie mój i Boże!”

Czy chciał, czy nie chciał, serce jego nie przestanie miłować Boga, wiedział o tym w tej chwili – cokolwiek by uczynił i czegokolwiek by próbował, aby stłumić ów głos, który zalił się w głębi jego duszy: „Panie, Ty wiesz, że Cię kocham”.

Teraz także myślał o tym: oto tutaj klęczy zdrajca i zbieg z hufca Bożego. Przez całe lata postępował źle, bynajmniej nie dlatego, że nie potrafił inaczej. Pomimo to nie czuł teraz tych szarpiących wyrzutów zbolełego sumienia, które go gnębiły, kiedy się modlił lub też udawał, że się modli. Teraz każda modlitwa napełniała go takim uczuciem, jak gdyby kładł się przy źródle i gasił pragnienie.



Poza sobą w czasie i przestrzeni pamiętał te wszystkie lata w Hestviken, niby obłożną chorobę, niby wspomnienie nieustannie trawiącej go gorączki. Ból i jątrzenie zjawily się od wewnątrz; wszystko zło, wszystkie straszliwe zmyry wyhodował sam w sobie. A teraz jak gdyby otworzyły się drzwi i chłód, i światło spłynęły na niego z zewnątrz.

Czuł, że jest znów zdrowy. Morska wichura i morze, noce spędzone na ciągłym czuwaniu spłukały z niego trawiącą gorączkę i zagoiły przewrażliwioną jak od oparzenia skórę.

Nie żeby rozmyślał teraz mniej o swym grzechu; lecz we własnych oczach wydawał się sobie o wiele mniej ważnym. Dopóki przebywał w domu, w Hestviken, i rozmyślał milczący i zrozpaczony nad zatrąta swęj duszy, nad wszystkim, co musiałby porzucić, aby móc pojednać się z Bogiem, to wszystko wydawało mu się tak cenne: cześć, dostatek, może i życie. Teraz, kiedy przybył do tego kraju i zobaczył tu więcej bogactw i wspaniałości świata, niż przypuszczał, że może być nagromadzonych w jednym miejscu – nagle wydało mu się marne i mało ważne wszystko to, co nazywał swoją własnością. I to właśnie powinien mężczyzna umieć odrzucić od siebie z łatwością, tak jak potrafi zawiesić harfę na ścianie, kiedy dźwięk rogu wzywa go do broni.

Na Boga – zawsze chyba zostanie dość mężczyzn na ziemi! Ale duszy żadnego człowieka nikt nie może ująć, odważyć i zmierzyć miarą, jaka obowiązuje pośród ludzi. A na ostatku Bóg zbierze wszystkie dusze i odważy je na wadze, która jest Jego tajemnicą.

Tak więc w spokojnej zadumie słucał tego jedyneę głosu, który przemawiał w zrozumiałej dla niego mowie – tutaj, w tym obcym kraju, gdzie wszystkie inne głosy podbieęały do niego z bełkoczącym zgiełkiem, jakby między nimi a nim wznosiła się ściana. Głos Kościoła był tym samym głosem, którego słucał, gdy był dzieckiem, młodzieńcem i dojrzałym mężczyzną. On zmienił się – zmienił głos, sposób, myślenia i

mowę, w miarę jak przechodził z jednego wieku w drugi. Kościół jednak nie zmienił ani głosu, ani zasad. Przemawiał do niego w Mszy świętej tak samo, jak przemawiał wtedy, kiedy Olaf był małym chłopaczkiem i niewiele słów rozumiał, ale dostrzegał za to wiele oczyma, jak dziecko rozumie matkę z jej ruchów i wyrazu twarzy, nim pojmie treść wymawianych wyrazów. I wiedział, że choćby objechał świat chrześcijan aż po najdalsze granice, mowa, obyczaje i natura narodów wydadzą mu się może niepojęte i dziwaczne, lecz wszędzie, gdziekolwiek przestąpi próg kościoła, zabrzmi mu w uszach ten sam głos, który przemawiał do niego w dzieciństwie, wszędzie z otwartymi rękoma poda mu Kościół zawsze te same sakramenty, którymi żywił go w czasie dorastania i które on odrzucił i znieważył.

Olaf czuł się jak człowiek, który powrócił do matki; powrócił z dalekich podróży, która mu przyniosła więcej strat i ran aniżeli zysku i czci. Ale teraz siedzi sam na sam z matką, słucha jej spokojnych, przemyślanych słów i mądrej rady: chociażbyś nawet przegrał każdą walkę, w jaką się wdałeś, jedno jest pewne: nawet człowiek zupełnie nie mający szczęścia nie przegrał walki, do której jeszcze nie stanął.

Poranne słońce pięknie oświetlało zielony pagórek przed kościołem; tego lata deszcz prawie zawsze padał w nocy.

Po mszy Olaf z towarzyszącym mu pachołkiem szedł ulicami, które wiodły pod górę, na cmentarz Świętego Pawła.

Domy były tu o wiele wyższe niż w Oslo, zbudowane przeważnie z muru pruskiego, a szczyty ich pokryte deskami. Gdzieniegdzie kamienne budowle, otoczone murem, przerywały rząd domów. U wrót ich stali

strażnicy wsparci na dwuręcznych mieczach. Wewnątrz na pokrytym murawą dziedzińcu widać było, jak pachołkowie grodzczy zaprawiają się w strzelaniu z łuku oraz w grze w piłkę.

Wzdłuż muru cmentarnego rozstawione były stragany. Ledwie ktoś przystanął na chwilę, by obejrzeć towar, zaraz zjawiał się jakiś człowiek, aby schwycić go w swoje szpony. Tego nikt nie robił w Oslo, z wyjątkiem niemieckich kupców w Miklegaarden, gdy przed straganami zatrzymywały się młode kobiety. Każdy mężczyzna mógł chodzić tam, gdzie mu się podoba, mógł rozglądać się w sklepie, brać do ręki każdy wystawiony na sprzedaż przedmiot. Kupiec nie zwracał na to wcale uwagi, zaledwie odrywał oczy od roboty odpowiadając, jeśli go o coś pytano. Tutaj natomiast czeladnicy wybiegali za człowiekiem aż na ulicę. Panował tu krzyk i gielk.

Nad głowami nieprzerwanie dzwoniły dzwony kościołów. Dźwięczały tu i tam – wielkie dzwony o głębokim tonie i gorliwie trzepoczące małe dzwoneczki. A potem przez chwilę rozdzwoniły się wszystkie razem w jednym przeogromnym rozbrzmiewającym chórze. Olaf miał wrażenie, że gdyby policzyć kościoły klasztorne oraz małe kościółki gminne, to musiało ich chyba być w Londynie dużo więcej niż pół setki. Co najmniej dziesięć z nich było tak wielkich jak kościół Świętego Hallvarda w Oslo, Kościół zaś Świętego Pawła był wspanialszy od wszystkich, jakie kiedykolwiek widział.

Po stronie wschodniej, pod murami miasta stał klasztor franciszkanów, a na placu przed nim odbywał się targ zbożowy. Ogromne wozy zaprzężone w woły i rosłe ciężkie konie tamowały ruch na placu i na przylegających uliczkach. Olaf i Tomasz Bęben kręcili się tu godzinami, podziwiając to wspaniałe bogactwo. Nawet i teraz w połowie lata olbrzymie, pełne wory leżały rozwiązane na kamiennym bruku, tak że widać w nich było piękne, złote ziarno. Kurzawa unosiła się nad placem niby jasna mgła. Gruchanie

gołębi brzmiało jednostajnym tonem w pomruku i wrzawie wielorakich głosów.

Mury miejskie, ich silne wieże i przyczółki przed bramami również zasługiwały na dokładne obejrzenie. W niektórych basztach nad bramami siedzieli więźniowie; od czasu do czasu spuszczała oni z otworów okiennych małe koszyki, do których ludzie mogli kłaść jałmużnę. Straż składała się wszędzie z silnych chłopów, doskonale odzianych i uzbrojonych.

Z kościołów klasztornych zabrzmiały dzwony wzywające na ostatnią mszę. Słońce wzniosło się tymczasem tak wysoko, że upał zaczął doskwierać. Olaf i jego pachołek ubrani w kolczugi pod kaftanami pocili się; synowie Ryszarda mówili im, że w tym mieście należy je zawsze wkładać. Ziemia przez setki lat nasiąkła odchodami ludzkimi zaczęła wydzielać przykry zaduch; lecz z ogrodów na tyłach domostw, zza wałów i murów klasztornych płynęła słodka woń bzu i róż, gorący korzenny zapach goździków i selerów, a do tego dołączała się woń gotowanej i pieczonej strawy, bijąca z otwartych drzwi. Zbliżał się czas południowego posiłku.

Dwaj obcy mężczyźni szli teraz szybciej uliczkami w stronę rzeki. Czuli, jak głód skręca im kiszki.

Czarne stada wron i kawek gnieźdzących się w kościelnych wieżach spadały w ulice, ilekroć wyrzucano odpadki. Śmierdziała krew, która ciekła z podwórzy rzeźników i zapełniała ściek na środku drogi czerwonym strumieniem. Gdy weszli w ulicę browarników, buchnął ku nim słodkawy zapach ciepłych wyłoczyn; musieli odpędzać tłoczące się świnie, by utorować sobie drogę. Przyjemnie było czuć głód i moc po drodze kupić sobie chleb – dwa okrągłe, błyszczące, złotawe bochny.

Łagiew piwa czekała już na nich w łodzi przewoźnika. Przewoźnik ofiarował się kupować im co dzień rano świeże piwo, nie żądając za to

osobnej zapłaty; natomiast brał cło za łagiew. Olaf i jego towarzysze śmiali się trochę, a trochę kłękli potrząsając łagwią.

Powyciągali śpiwory na pokład, do słońca, wydobyli skrzynki z masłem, solone mięso i ser. Olaf zrobił nożem znak krzyża nad chlebem i podzielił go. Potem położyli się na worach, jedli i pili w milczeniu, głodni i spragnieni; piwo było wyborne. A do tego ten świeży, chrupiący chleb, który tu codziennie jadali. Wszyscy osądzili zgodnie, że póki starczy im własnej żywności, nie będą tracić pieniędzy w karczmach.

Olaf czuł się dobrze w towarzystwie swoich dwóch pachołków; obaj byli małomówni. Dobrze, że ten gadatliwy Sigurd Gębacz – jak go nazywano – poszedł z Galfridem na ląd.

Po posiłku Olaf i Leif wyciągnęli się na swoich worach. Tomasz Bęben zaczął grać na małej piszczałce, którą kupił w mieście. Słaby dźwięk jak gdyby wznosił się po stopniach w górę, opadał i biegł jakiś czas równo, by potem znów się wznieść. Olaf w półśnie miał wrażenie, że to mała dziewczuszka wspina się w górę po schodach spichrza i bawi się – chwilami widział wyraźnie Cecylię...

Pod wieczór wziął jolkę<sup>[6]</sup> i wypłynął na rzekę. Najpiękniej wyglądało miasto od strony wody – na rzece panował ruch jak na jakiejś handlowej ulicy. Od strony pańskich dworów w górze rzeki płynęły wielkie barki, poruszane szybko przez dziesięć lub dwanaście par wioseł; po wodzie niosła się muzyka grajków i flecistów, którzy grali ku rozrywce panów i pań na pokładzie.

Dalej, w dolnej części miasta wprost z rzeki sterczały warowne mury

---

[6] Jolka – łódź norweska z jednym prostokątnym żaglem.

z potężnymi bramami wodnymi i zwodzonym mostem; za nimi wznosiły się wysokie hale, kryte spadzistymi dachami: *Domus Teutonicorum*<sup>[7]</sup>. Olaf patrzył na warowny zamek, mijając go w swej łódeczce. Współzawodnictwo z niemieckimi kupcami nie miało wprost sensu dla ludzi należących do innych narodów. Z goryczą w sercu pomyślał, że przyjdzie dzień, kiedy i na wybrzeżach Oslo Niemcy postawią swój dom. Mimo to piękny był ich zamek, jak piękne jest w pewnym sensie wszystko, co świadczy o sile.

Zawrócił i powiosłował w górę rzeki. Prześliznął się pod południowo-zachodnią wieżą wodną, dojrzał z zewnątrz tylko zachodni pierścień muru z basztami i przyczółkiem przed bramą. Po chwili ukazały się nad koronami drzew dachy *praeceptorium* templariuszy.

Olaf nie był jeszcze nigdy w tej stronie, lecz Galfrid radził mu, aby poszedł tam kiedyś w piątek rano. Zakonnicy wynoszą wtedy ogromny czerwony krzyż na łąkę, a podczas kazania rycerze stoją wokół w kolczugach, z wyciągniętymi ku niebu mieczami – stoją, jakby ulani ze spiżu. Ich kapłan jest chyba jednym z najświetniejszych mówców, gdyż cały naród szlocha głośno.

Myśli Olafa krążyły dokoła tego zakonu wojowników. Powiadano, że papież dał ich zwierzchnikowi prawo, jakie posiadał tylko on sam – wiązania ślubami i zwalniania z nich. Zanim jakiś mąż został przyjęty w szeregi bractwa, musiał wypowiedzieć się z wszystkiego, czym zgrzeszył w życiu, zarówno ze zbrodni odpokutowanych, jak i nie odpokutowanych; o twardej zaś pokucie, jaką mu nakładano, świat wiedział nie więcej niż o tym, co się dzieje w ogniu czyścicowym. Ludzie opowiadali, że

---

[7] *Domus Teutonicorum* – dosłownie: dom niemiecki, placówka Hanzy podejmującej już wówczas akcję podporządkowywania interesom kupiectwa niemieckiego handlu w centralnej, północnej i północno-wschodniej Europie.

templariusze mieli dziwaczne zwyczaje: kto pragnął wstąpić do zakonu, ten musiał do naga rozebrany przeleżeć jedną noc w otwartym grobie w kościelnej nawie, na znak, że umarł dla dawnego życia...

Olaf widział parokrotnie templariuszy przejeżdżających konno ulicami Londynu. Od stóp do głów zakuci byli w pancerze, na zbrojach mieli białe szaty naznaczone krzyżem i również czerwony krzyż na białych płaszczach; ich wielkie bojowe maczugi nosiły również znak krzyża. Już i przedtem słyszał Olaf nieraz o mnichach-rycerzach, nigdy ich jednak do tej pory nie widział.

Poza tym mieszkało w mieście dużo anachoretów. Niektórzy z nich mieszkali w celach w murach miasta lub małych domkach pod kościołami; domki te miały w kościelnym murze okienko, tak że mieszkańcy ich mogli widzieć przez nie ołtarz oraz cyborium z Ciałem Pańskim. Niektórzy z pustelników mieli na swe usługi braciszka albo siostrę świecką, którzy załatwiali im różne sprawy w mieście, lecz wielu mężczyzn i niewiast kazało się zamurować żywcem, aby w ten sposób dzielić los najędźniejszych więźniów. Jeden z pustelników mieszkał w murze pod wieżą więzienną i ślubował aż do śmierci przebywać w czarnym, zimnym, zaciekającym wodą lochu, w smrodzie własnych odchodów i gnijących, spleśniałych łachmanów. Artretyzm sparaliżował go i uczynił kaleką. A żywot tego człowieka już od dziecka i potem, kiedy był mnichem w klasztorze, odznaczał się wielką świętobliwością. Kiedy prowadzono przed jego okienkiem więźniów na chłostę, anachoreta wołał Ze swej nory: *„Bądźcie miłosierni, jak miłosiernym jest wasz Ojciec w niebiesiach!”*

W ostatnich latach zdarzało się czasem, że myśli Olafa biegły ku życiu klasztornemu – może to zakończyłoby jego trudności. Jednak na serio nie wierzył w to ani przez mgnienie oka. Cokolwiek Bóg zamierzał z nim uczynić – nie miał powołania na mnicha. Był tego najpewniejszy.

Nie obawiał się surowego życia klasztornego, przeciwnie. Porzucić to wszystko, czego mnich musi się wyrzec, ugiąć się pod biczem reguły – za tym tęsknił nieraz. Zakonnikiem mógł zostać tylko taki człowiek, któremu Bóg użyczył szczególnej łaski. Ale Olaf w niepokoju błąkał się już tak długo nad granicą niebieskiego państwa łaski, że pojął, iż dopiero wówczas moc Boska nad nim jest bezgraniczna, kiedy człowiek sam dobrowolnie odda się w ręce Boga i wszystko przyjmie. I podczas długich, bezsennych nocy myślał nieraz: teraz w klasztorach mężczyźni i kobiety idą do prezbiterium, wstają z posłania, aby służyć Panu pochwalnymi hymnami, modłami i rozmyślaniami, jak strażę wokół uspiętego obozu... Mimo to nie potrafił bez niechęci myśleć o tym, co nakłada reguła zakonna dla ulżenia ułomnej naturze ludzkiej: o wspólnym życiu, o godzinach spędzanych na rozmowie, w których każdy mnich musi być łagodny i miły w stosunku do swych towarzyszy, bez względu na to, czy ich lubi, czy ma ochotę mówić lub milczeć; albo też musi iść między obcych i posługiwać im w gospodzie na rozkaz przeora, chociażby się wolało być samemu. Widował i to, iż wielu mnichów nie mogło znieść takiego życia, chociaż poza tym byli pobożnymi i dobrymi ludźmi; wobec obcych stawali się cierpcy i nieustępliwi, a między sobą kłótniwi. To jednak było najlepszym dowodem, że nie nadawali się do klasztornego życia. „Podobiznę Chrystusa można równie pięknie wystrugać z sosnowego drzewa, jak z lipowego” – rzekł pewnego razu biskup Torfinn do Arnvida, kiedy ten pragnął być tak spokojnym i pogodnego ducha, jak był Asbjörn Allfeit. „Nigdy jednak nie słyszałem, aby On zmienił sosnę w lipę, prawdopodobnie dlatego, że byłoby to niepotrzebnym cudem. Z Bożą pomocą możesz zostać tak samo dobrym człowiekiem jak Asbjörn, nie sądzę jednak, aby Bóg dla tej przyczyny chciał cię zrobić z usposobienia podobnym do Allfeita.”

Teraz jednak ujrzał Olaf, że w życiu zakonnym istnieją inne drogi niż



te, które znał w Norwegii. Istniała też droga dla tych, co nie nadawali się do współżycia z braćmi: życie wojownika w rygorze klasztorным przy jednoczesnym rygorze rycerskim – niby włosienica pod kolczugą... w Ziemi Świętej niejedną raz wycinano w pień całe zastępy templariuszy. W klasztorze kartuzów każdy mnich mieszkał sam w maleńkim domku, bracia schodzili się tylko w kościele. Widywał tu jeszcze innych mnichów, maturynów; ich biały habit podobny był do habitu dominikanów, ale na piersiach mieli wyszyty czerwony i niebieski krzyż. Ci znowu zbierali jałmużnę, wyprawiali się za morza i wykupywali chrześcijan z niewoli saraceńskiej. A gdy zabrakło pieniędzy, najmłodszy i najsilniejszy z mnichów brał na siebie dobrowolnie jarzmo niewoli w zamian za chorych i wyczerpanych jeńców.

Do tej chwili w umyśle Olafa nie dojrzało żadne postanowienie, lecz ten nowy pogląd na rzeczy pogrążył go w zadumie. Świat rozszerzył się przed jego oczyma – a ów świat, którego sklepienie ciągnęło się od krańca do krańca ziemi, był bez granic. I gdy teraz widział siebie samego stojącego pod tym niezmiernym sklepieniem, czuł się tak mały, samotny i wolny! Czyż miałyby jakiegokolwiek znaczenie to, że pewien kmicz z Folden nie powróciłby do swej ojczyzny? Mógł być przecież zabity sztyletem któregoś wieczoru w przystani, mogli jesienią w drodze powrotnej zostać napadnięci i rozbici przez korsarzy u wybrzeży Flandrii, ich statek mógł rozbić się na norweskich szkerach. Każdy, kto wybierał się jako kupiec do obcych krajów, wiedział, że coś podobnego może go łatwo spotkać, a jednak nikogo nie zatrzymywało to w domu. Dziwne, że tam, w ojczystym dworze, w ojczystej zatoce dobre prowadzenie gospodarstwa zdawało mu się aż tak ważne, że z tego względu chciał skazać na zaturę własną duszę.

Póki ona żyła, może było tak naprawdę. Ale teraz... Córki Arnego i ich mężowie zajmą się dziećmi i majątkiem, jeśli jesienią prześle wiadomość, że nie wróci...

Zahuczały dzwony londyńskich kościołów. Była to godzina, w której zakrywa się popiołem żar na palenisku. Olaf popłynął z powrotem do miasta i przybił do małej przystani tuż pod zachodnią wieżą wodną. Starzec, który odebrał od niego łódkę, był tak kudłaty i zaniedbany, że wyglądał jakby okryty porostami. Olaf zamienił z nim kilka słów; nauczył się już trochę po angielsku. Potem wśród wąskich uliczek, po których z wrzaskiem uganiały nieposłuszne wezwaniom matek dzieciaki, poszukał drogi w górę, do kościoła.

Odmówił wieczorne pacierze oraz *De profundis* za swych zmarłych, po czym usiadł na stopniach wiodących do jakichś drzwi w murze. Wsparłszy brodę na rękach siedział i czekał, aż zbiorą się mnisi w prezbiterium, aby odśpiewać psalmy.

Wysokie okna zaczęły z wolna ciemnieć, mrok zbierał się w górze pod stropem, wypełniał boczne nawy. Jedna tylko świeca płonęła przed bocznym ołtarzem, a w prezbiterium, pod wiązaniem dachu unosiła się złocista lampa, samotna niby gwiazda o zmierzchu. Na dworze poza otwartymi drzwiami dzień stawał się coraz bledszy. Do kościoła zaczęli wchodzić ludzie, pragnący posłuchać pieśni zakonników. Echo cichych, stłumionych głosów szeptało i szemrało w wysokim, wspartym na filarach wnętrzu, tłumione kroki dudniły na kamiennych płytach. Potem rozległ się łagodny a przenikliwy szum kroków licznej gromady i łoskot podnoszonych siedzeń. Zapłonęły małe płomyki świec na pulpitych; można było dostrzec teraz orszak biało ubranych mężczyzn, stojących w rzeźbionych stallach. W kościele wszczął się hałas, ludzie podnosili się i zbliżali do prezbiterium, gdzie silny, czysty i wysoki głos męski zaintonował pierwszą krótką strofę. Odpowiedziało mu około pięćdziesięciu głosów, aż cały chór męski podjął psalm Dawidowy – jednostajne, powoli wznoszące się i opadające tony.

Kiedy zaczęto śpiewać psalm, Olaf usiadł z powrotem. Chwilami

zapadał w półsen i budził się dzięki temu, że głowa opadała mu na piersi; ale po chwili znów spowijał go welon snu, w którym ginęły jego myśli. Wyrzeźwiał dopiero na dobre przy dźwiękach *Salve Regina* i szmerze procesji, która schodziła z prezbiterium. Ludzie przesuwali się do środkowej nawy, podczas gdy pochód białych i czarnych zakonników obchodził kościół śpiewając:

*Et Jesum, benedictum fructum ventris tui, nobis post  
hoc exsilium ostende. O clemens, o pia, o dulcis Virgo  
Maria!*

Olaf schodził szybko do przystani. Zmierzch zapadł tymczasem zupełny, w ciemnościach przemykały nietoperze, niczym strzępy sadzy. Musiał jeszcze przed całkowitym zapadnięciem mroku wrócić na pokład *Rena*; poprzedniego wieczoru wołano do niego z łodzi strażników. Do głębi duszy odczuwał błogość tego nabożeństwa. Było ono takie samo jak nabożeństwo, na które uczęszczał kiedyś w Hamarze, w Oslo, w szwedzkich i duńskich portach; w dobrych i złych czasach udawał się zawsze na nieszpory, wszędzie, dokądkolwiek przybył, znajdowały się klasztory dominikanów. Pewnego dnia słyszał tu także w Londynie po raz pierwszy w życiu śpiew mniszek. Do tej pory nie był nigdy w kościele żeńskiego klasztoru, tutaj jednak kiedyś wieczorem zabrał go z sobą Tomasz Bęben. Dziwnie czysto brzmiał śpiew zakonnic, a mimo to nie wzruszał człowieka tak silnie, aż do samego dna duszy. Jasne, wysokie głosy kobiece przesuwwały się niby długie, złote pasma chmur na widnokręgu pomiędzy ziemią i niebem. Jednak nie wznosiły się ze świata,

na który opuszcza się całun ciemności, jak hymn śpiewany przez chór męski u progu zapadającej nocy.

Kiedy Olaf przybił do statku, Tomasz Bęben wychylił się do niego przez burtę.

– Noc się zbliża – skarżył się – a Leifa nie ma. Pewnie znowu zostanie na łądzie, a jutro znajdzie wymówkę, że nie miał łódki. – Olaf przeskoczył przez burtę na pokład.

– Musisz mu zabronić wychodzenia na ląd, Olafie! Nie jest on wcale taki pewny, jakeśmy przypuszczali.

– Tak, tak wygląda – Olaf wzruszył ramionami i roześmiał się krótko. Obaj przeszli na rufę statku i wczołgali się do luku.

– Ani chybi, to ta dziewczyna z Sudrvirke tak go opętała. Wsunęli się do śpiworów i już leżąc zajadali chleb.

– Jeszcze się na tym skończy, że ktoś dźgnie chłopaka nożem. W tej części miasta kręcą się najgorsze wyrzutki i opryszki.

– Ech, Leif na pewno jest uważny.

– Toż on sam skory jest do noża! Musisz to zrobić, Olafie, musisz mu zakazać wychodzenia bez nas na ląd.

– Chłopiec jest już w tym wieku, że nie mogę go pilnować.

– Mój ty Boże, Olafie, i my także mając siedemnaście lat nie byliśmy tak mądrzy i stateczni jak dziś...

Olaf przełknął ostatni kęs chleba. Po chwili rzekł:

– Dobrze, już dobrze. Jeżeli nie może wracać o właściwej porze, nie otrzyma więcej pozwolenia na opuszczenie statku. Zresztą już się chyba dosyć nabrykał, może się teraz ustatkować na jakiś czas.

Wkrótce potem odezwał się stary Tomasz:

– Wydaje mi się, że znów zaczyna padać.

– Tak, słychać szmer kropel – odparł Olaf sennie.

Ulewa bębniła o dach luku, deszcz pluskał na pokładzie, szumiały

krople spadające na powierzchnię rzeki. Obaj mężczyźni wczolęali się pod daszek tak głęboko, jak tylko mogli, i wnet zasnęli, podczas gdy letnia ulewa przeciągała nad miastem.

Torodd i Galfrid bawili wciąż jeszcze na zachodzie kraju; może nie takie proste było otrzymanie spadku po proboszczu Jonie. Olafowi było to na rękę... I dni mijały jeden za drugim.

Pewnego wieczoru Olaf siedział jak zwykle w swym kącie w kościele, na poły drzemiąc. Usłyszawszy szuranie nóg w prezbiterium podniósł się i przeszedł do środkowej nawy.

Na wprost niego po niewieściej stronie na filarze był umieszczony posąg. Matka Boska, z Dzieciątkiem na ręku, wsparta stopami o sierp księżycy. Tego wieczoru gruba świeca woskowa paliła się przed figurą. Tuż pod nią klęczała jakaś młoda kobieta. W chwili gdy Olaf spojrzał na nią, odwróciła ku niemu twarz.

Na mgnienie oka tchu mu zabrakło, zapomniał o sobie i o całym świecie... Bo to była Inguna. To ona klęczała tam, niecałe pięć kroków od niego...

Po chwili dopiero oprzytomniał i uświadomił sobie, gdzie się znajduje i że Inguna nie żyje. Nie wiedział, co ma sądzić; miał wrażenie, że serce jego zatrzymuje się i drży w piersi. Nie wiedział, czy to przerażenie, czy też radość pozbawia go sił – a może widzi przed sobą umarłą?

Szczupła twarz o prostym nosie i wydłużonej, delikatnej brodzie, cień rzęs na czystych licach. Nad skronią fala ciemniejących, złotobrzązowych włosów; przezroczysty welon spadał w sutych fałdach wzdłuż szczupłych, spadzistych ramion.

Wchłaniając w siebie pierwsze wrażenie jej uroku Olaf zrozumiał, że przecie to nie ona... Ale jak dwoje ludzi mogło być tak do siebie podobnych! Tak samo zgrabna i smukła w biodrach, te same długie ręce o cienkich palcach. Trzymała przed sobą jakąś książkę i wargi jej poruszały się cicho, teraz obróciła kartkę. Klęczała na czerwonej jedwabnej poduszce.

Z zimnym dreszczem Olaf uświadomił sobie, że to jednak nie jest

Inguna. Jak człowiek zbudzony z głębokiego snu rozpoznaje z wciną miejsce, w którym przebywa, i czuje, że tamto było tylko snem, tak to odczuł Olaf.

Jego biedaczka nie umiała czytać. I nigdy nie miała takich szat. Gdy patrzył na bogaty strój obcej kobiety, wezbrało w nim gorzkie współczucie dla żony: Ingunie nikt nigdy nie podarował czegoś podobnego. Stanęła mu przed oczyma taka, jaka była przez te wszystkie lata w Hestviken, chora i odarta z uroku młodości, biedna i nie pielęgnowana, w szorstkim, chłopskim wełnianym kaftanie. Inguna powinna była prowadzić takie życie jak ta niewiasta, klęcząca na jedwabnej czerwonej poduszce, rumiana, zdrowa i zgrabna. Dokoła niej w szerokich fałdach ścielił się na kamiennych płytach płaszcz z jakiejś ciemnej, bogatej tkaniny; suknia była z przodu tak rozcięta, że widać było pierś i ramiona osłonięte tylko cieniutkim, złocistym jedwabiem spodniej szaty. Na pół ukryty w fałdach wycięcia błyskał wielki różaniec, niektóre paciorki były czerwone jak wino i połyskiwały w miarę tego, jak pierś podnosiła się i opadała przy oddechu. Kobieta była bardzo młoda... Wyglądała jak Inguna wówczas, gdy klęczała w kościele hamarskim, podobna do dziecka, młoda i urodziwa pod niewieścim czepcem.

Kobieta wyczuła widać, że Olaf wpatruje się w nią bez przerwy, i spojrzała na niego. I Olaf znowu poczuł, że serce jego ogarnia przerażenie: miała również te same wielkie, ciemne oczy i niepewny, kosy, jakby wahający się wzrok, tak jak patrzyła Inguna na ludzi, których po raz pierwszy widziała. Na niego nie patrzyła nigdy w ten sposób. I w sercu mężczyzny zbudziło się nagle nieokreślone, głuche uczucie, że został oszukany, ponieważ Inguna na niego nie spojrzała nigdy po raz pierwszy.

Młoda kobieta opuściła znowu oczy na książkę, policzki jej pokraśniały i powieki zdrząły niespokojnie. Olaf zauważył, że drażni ją swym uporczywym przyglądaniem się. Spróbował więc przestać na nią

patrzeć. Jednak nie potrafił myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, że ona tu jest – i coraz to zerkał w jej stronę. W pewnej chwili napotkał jej skryte spojrzenie, zaciekawione i nieśmiałe – prędko spuściła wzrok.

Procesja wyszła z prezbiterium. Krople święconej wody obudziły go i wróciły mu przytomność. Ale i tak nie przestał się dziwić, że tutaj w Londynie spotkał białogłową tak bardzo podobną do jego zmarłej żony. I tak młodą, że mogłaby być córką ich obojga...

Przypomniał sobie, że nie odmówił jeszcze wieczornych pacierzy; ukląkł więc i zaczął się modlić, lecz zupełnie bezmyślnie. Nagle ujrzał, że kobieta podeszła w jego stronę, przesunęła się tak blisko, iż jej okrycie musnęło jego płaszcz. Gdy podniósł się z klęczek, stała tuż obok, zwrócona do niego plecami. Położyła dłoń na ramieniu jakiegoś mężczyzny, który jeszcze klęczał. Za nią stała stara służebna w płaszczu z kapturem, trzymająca pod pachą czerwoną poduszkę swojej pani.

Mężczyzna podniósł się; Olaf zrozumiał, że to jest małżonek obcej kobiety. Znał go dobrze z widzenia, gdyż prawie codziennie bywał w tym kościele. Był to niewidomy młody człowiek, ubrany zawsze w kosztowne szaty; trudno byłoby go nazwać brzydkim, gdyby nie duża blizna ciągnąca się poprzez brwi i martwe oczy. Lewego oka zdawał się nie mieć wcale, powieka przylepiona była do oczodołu, z prawego widoczny był jeszcze mały skrawek pod powieką – szarobiały, porysowany ciemnymi żyłkami, jak bywają czasem kamyki w piasku nad morzem. Twarz jego była blada jak u więźnia; wyglądał na człowieka przesiadującego ciągle w domu. Małe, ładnie wykrojone usta ściągnięte były w kącikach ku dołowi, tań się w nich rys niechęci i znużenia. Czarne kędziory spadały w wilgotnych kosmykach na czoło. Był średniego wzrostu, dobrze zbudowany, tylko trochę za tęgi.

Olaf stanął przed kościelną bramą i patrzył za nimi. Ślepiec opierał się na ramieniu żony, z tyłu postępowwała służebna i pacholek. Szli ulicą ku



północnej stronie miasta.

Tej nocy Olaf nie mógł zasnąć. Leżał i czuł, jak statek kołysze się lekko na nurcie rzeki, słyszał szmer wody pod sobą, a przed oczyma ukazywały się wspomnienia Inguny z czasów, kiedy oboje byli jeszcze młodzi. Chwilami wspomnienia mknęły szybciej, skłębiały się i przybierały kształt sennych widzeń. Zdawało mu się, że rozwiera ramiona, by przygarnąć Ingunę; zrywał się zupełnie wytrzeźwiony, zlany potem, dziwnie osłabiony.

W skórzanym worze zrobiło mu się za gorąco. Wysunął się z niego i wyszedł na pokład. Wszystko tu mokre było od nocnej rosy; niebo było przejrzyste ponad lekką mgłą snującą się wiecznie nad rzeką i wilgotnymi łąkami. Poprzez opar przeświecało kilka wielkich, jakby mokrych gwiazd, woda bulgotała i klaskała pod palami wybrzeża. Gdzieś w ciemnościach słychać było uderzenia wiosel.

Olaf usiadł na rufie, na skrzyni z bronią. Wychylony za burtę wpatrywał się w ciemną noc. Rąbek lasów na południu czernił się na tle granatowego nieba. Gdzieś w oddali szczekał pies. Wspomnienia i marzenia płynęły bez przerwy; to nawiedzała go młodość – jego i Inguny; wszystkie późniejsze lata, okres jego wygnania, nieszczęsny czas, jaki nastał potem i obrócił w niwecz nadzieje, i lata następne, w których usiłował dźwigać własne brzemie i brzemie Inguny, jak gdyby sam wiosłował w tył, pod prąd.

Naraz wzdrygnął się. Zasnął na skrzyni i przemarzył do szpiku kości. O, teraz usnie z pewnością, gdy wsunie się z powrotem do śpiwora. Ranek świtał.

Warknął, kiedy Tomasz Bęben przyszedł go zbudzić. Tym razem niech Tomasz zabierze Leifa na mszę, on zaś zostanie na statku.

Po południu Olaf przygotował się, aby popłynąć do miasta. Słońce przygrzewało już silnie, trudno więc było wytrzymać w kolecie pod kaftanem; był on ciężki, z grubego płótna i do tego podbity wełną. Chodzenie po Londynie bez zbroi nie było chyba aż tak groźne, do tej pory nie zetknął się z żadnym niebezpieczeństwem w tym mieście, a kolet pogrubiał go i zniekształcał. Olaf przypasał krótki, szeroki miecz, po czym włożył kaftan rozcięty na lewym biodrze, aby móc z łatwością sięgnąć po ukrytą broń. Był to odświętny kaftan sięgający do kostek, z czarnego, niemieckiego materiału w zielone kwiaty, lekki i stosowny na ciepłą pogodę. Inguna uszyła mu tę szatę wiele lat temu; wówczas co prawda przydałoby mu się bardziej robocze ubranie, nieczęsto przywdziewał ten kosztowny strój, chociaż był pięknie skrojony i oblamowany. Na kaftan wdział brązowy płaszcz bez kaptura, obszyty skórkami kuny, na głowę włożył czarny kapelusz filcowy o wąskim rondzie, opasany srebrnymi łańcuszkami. Nacisnął go tak głęboko na czoło, że srebrnozłote, posiwiałe włosy układały się wokoło. A jednak sam jak gdyby nie chciał się przyznać do tego, że gdy zadał sobie nieco trudu, wciąż jeszcze wyglądał na pięknego i okazałego mężczyznę i niewielu ludzi odgadłoby, że ma już trzydzieści siedem lat.

Popłynął jolką do miasta, wałęsał się po ulicach i placach. Ledwie jednak zadzwoniono na nieszpory, udał się natychmiast do kościoła dominikanów. Zaraz po nim nadszedł młody ślepiec z żoną i dwójgiem służących.

Olaf zakazał Leifowi opuszczać statek po południu, natomiast raz na dwa dni z rana posyłał go ze starym Tomaszem Bębem na ląd; w ten sposób sam tylko co drugi ranek uczęszczał na mszę, ale było to lepsze, niż żeby chłopca miały spotkać jakieś nieprzyjemności w Sudrvirke. Wszyscy zaś mieliby na pewno kłopoty, gdyby komuś z załogi *Rena* stało się coś na lądzie.

Ślepiec każdego rana zjawiał się w kościele klasztornym, często był też obecny na *completorium*. Ona przychodziła codziennie na nieszpory, niekiedy bywała także razem z mężem na śpiewach wieczornych...

Olaf nie wiedział, kim są ci ludzie, ani też gdzie mieszkają, i w głowie mu nie powstało dowiadywać się o to. Tyle tylko, że dusza jego była jak gdyby odmieniona – wszystkie myśli, które go zajmowały od lat, wszystkie czynności i frasunki powszedniego dnia, wszystko, co należy do życia człowieka dorosłego, zostało niejako zatopione w bijącym z jego serca źródle. Nie miał nad tym władzy... Przez wszystkie minione lata, ilekroć jego myśl biegła wstecz, ku wspomnieniom młodości, nie przypominał ich sobie w ten sposób. Teraz nie były to sprawy przeszłe: wędrował pośród nich i było mu tak na duszy, jak gdyby wszystko to miało się dopiero stać, albo tak, jak się dzieje z człowiekiem będącym między snem i jawą, który wie dobrze, że sennie marzenie jest marzeniem, a mimo to pragnie je zatrzymać i broni się przed zupełnym przebudzeniem. I co dnia chodził do kościoła, aby zobaczyć małżonkę ślepcy. Albowiem na jej widok owe podobne do sennych widzeń, jasne wspomnienia płynęły o wiele swobodniej, szerszym nurtem i obraz młodej, bogatej kobiety łączył się w całość z powiewnym, uroczym cieniem młodej Inguny.

Spostrzegł także, że ona nie gniewała się bynajmniej na niego, że tak uporczywie wpatruje się w nią. Pewnego wieczora wszedł prędko do kościoła i chciał uklęknąć przechodząc przed Najświętszym Sakramentem. Pochwa miecza przypasanego pod kaftanem oparła się mocno o podłogę,

a rękojeść skoczyła do góry i uderzyła go w brodę. Wyglądał w tej chwili bez wątpienia śmiesznie i kiedy spojrział w stronę obcej kobiety, spostrzegł, że z trudem powstrzymuje się od śmiechu. Twarz jego z, gniewu powlokła się purpurą. Po chwili jednak rzuciwszy znów okiem w jej stronę napotkał wzrok młodej niewiasty – uśmiechała się do niego... On także uśmiechnął się, choć był zły i stropiony. Odtąd nie spuszczał z niej oka. Czytała pilnie w modlitewniku, ale przez cały czas słaby, skryty uśmiech igrał na jej wdzięcznym obliczu, niby błysk światła.

Po nabożeństwie stał na placu przed kościołem, kiedy wyszła prowadząc męża. Spojrzała na Olafa i skłoniła się lekko. Nie wiedział, czy to ma być powitanie, lecz zanim się połapał, oddał ukłon przyciskając rękę do piersi. Potem zły był na siebie. Gdyby chociaż wiedział, czy jej skinięcie miało coś oznaczać!

Nazajutrz w porze, kiedy ludzie schodzą się na nieszpory, stanął przed kościelną bramą. Obca pani nadeszła ze zwykłą świtą. Olaf skłonił się, ale udała, że go nie widzi, i weszła do kościoła. Rozgniewany i zawstydzony nie patrzył w jej stronę; próbował słuchać śpiewu i nie myśleć o niczym innym. Ale po chwili poczuł, że ona patrzy na niego, a gdy napotkał spojrzenie jej wielkich, ciemnych oczu, uśmiechnęła się tak łagodnie i promiennie, że uśmiech ten był niczym światło słońca.

Od tej pory zamieniali uśmiech i spojrzenie jak starzy znajomi, chociaż nie odezwali się słowem do siebie i chociaż Olaf nie znał nawet jej imienia.



Olaf nie zastanawiał się nigdy nad tym, że jego towarzysze ze statku musieli zauważyć zmianę, jaka się w nim dokonała. Nie zdawał sobie

sprawy z tego, że stwarza przedział między sobą a nimi. Dawniej żyli jak towarzysze i równi stanem; że Olaf to gospodarz z Hestviken, a Tomasz zimową porą bywał grajkim w Oslo, Leif zaś był synem wdowy, służącej u płatnerza – o tej różnicy wiedzieli. Była ona zresztą tak widoczna, iż nie zastanawiali się nad nią więcej niż nad tym, że Olaf ma jasne włosy i jest w średnim wieku, Tomasz jest stary i siwy, Leif zaś to młody, rudy i piegowaty chłopiec. Teraz Olaf chodził wśród nich, nie uświadamiając sobie nawet tego, że ich nie widzi, zupełnie jak młody syn wodza, który bez namysłu opuszcza dziecięce życie spędzone w otoczeniu parobków dworskich w dniu, kiedy po raz pierwszy przeczuwa, jaka droga go czeka, i że stworzony jest do innego losu niżeli tamci ludzie.

Za każdym razem, gdy wybierał się do miasta, Olaf nakładał długi kaftan i golił starannie brodę, a pewnego wieczoru zaszedł nawet do golibrody. Tamci dwaj udali, że nic nie widzą, Olafowi zaś nie przyszło do głowy zastanowić się, czy zwracają na niego uwagę. Sam nie czuł, że jest jakby odmieniony i że zachowuje się tak, jak przystoi raczej dwudziestoletniemu młodzieniaszkowi niż mężczyźnie w sile wieku.

Torodd i Galfrid wrócili tymczasem do Londynu i postanowiono wkrótce szykować się do drogi powrotnej. Olaf myślał o tym ze ściśniętym sercem. Miał wrażenie, iż nie jest jeszcze gotów do opuszczenia Anglii, i na nowo obudziły się w nim owe nieokreślone myśli, że nie powróci do ojczyzny. Wyobrażał sobie, że wstąpi do któregoś z zakonów, najchętniej do maturynów, i że wyruszy do pogańskich krain. Ale jeszcze nie był gotów do zrobienia tego. Właśnie teraz był jakby głuchy i nieprzystępny dla głosu, który przemawiał do niego tak silnie... To jednak nie może

już trwać długo. Musiał tylko przemyśleć pewną rzecz do końca, sam nie wiedział dobrze jaką. Czuł już przedsmak spokoju, który ogarnia człowieka oddającego się całkowicie Bogu. Był więc pewien, że to uczyni.

Dwóch młodych Anglików umówiło się z synami Ryszarda, że popłyną do Norwegii na *Renie*; chcieli odbyć pielgrzymkę do świętego Olafa w Nidaros. Obaj byli wprawnymi żeglarzami. Synowie Ryszarda mogli się więc bez Olafa obejść...

A tymczasem nastąpiło lato...

Trzy tygodnie minęły, odkąd Olaf po raz pierwszy ujrzał obcą kobietę. Pewnego wieczoru nie przysłała na wieczorne nabożeństwo. Lecz gdy Olaf opuścił kościół, ktoś podszedł do niego i pociągnął go za poły płaszcza. Odwrócił się: była to stara sługa w kapturze. Powiedziała coś – nie zrozumiał ani słowa. Mimo to wiedział... w milczeniu skinął głową i poszedł za nią.

Dotychczas Olaf nie przekroczył jeszcze nigdy zachodniej bramy miasta. Idąc przez most zwodzony przypomniał sobie, że za godzinę będą dzwonić na gaszenie ognia; wtedy zamkną się bramy, on zaś nie miał pod kaftanem pancerza ani żadnej zbroi poza krótkim mieczem ukrytym w fałdach szaty. Ale nawet te myśli nie zdołały przemóc burzliwej fali uczuć, która go zaalała.

Tuż pod zachodnim murem płynęła mała rzeczulka z głębi łądu, wpadająca do Tamizy, mętna i cuchnąca odpadkami, jakie wyrzucano spoza muru. Niewiele domów stało przed bramą, a grunt wzdłuż rzeki był bagnisty, lecz po kilku krokach natrafili na ścieżkę wiodącą przez moczary. Po obu stronach widać było nieduże przejrzyste i jasne stawy,

otoczone kobiercem sitowia i niskich krzewów. Dalej za nimi ciągnęła się płaszczyna, na której rozrzucone były dwory, zagajniki i wieże kościelne, a niebo rozpinające się nad nią pokryte było przezroczystymi chmurami, przez które przeświecały żółte jak mosiądz promienie zachodzącego słońca.

Ścieżka opadała znowu w dół, nad rzeczkę. Służebna powiedziała coś i wskazała kilka domów za łąkami. Olaf dojrzał szczyt murowanego kamiennego budynku, wierzchołki drzew oraz dachy zabudowań gospodarskich. Nie szli jednak z tej strony, gdzie się znajdowała murowana świetlica, lecz obok płotu, wzdłuż którego bujnie rosły zielone, cierniste krzewy; Olaf po zapachu poznał, że za płotem znajduje się bydło. Potem szli pod ścianą jakiegoś glinianego budynku, krytego strzechą. W murze znajdowała się brama; w jednym z jej skrzydeł kobieta otworzyła małe drzwi. Buchnął ku nim ostry, gorzkawy smród świń, a w przejściu między zabudowaniami ziemia była tak grząska, że Olaf niemal po kostki zapadał w czarne, tłuste błoto.

Przeszli wreszcie niewielką łąkę, na której leżało rozpostarte płótno do bielienia, po czym przez małą furtkę w plecionym płocie kobieta wpuściła Olafa do ogrodu.

Murawa pod jabłoniami była już zroszona, w chłodnym powietrzu unosił się zapach drzew owocowych, kopru, selerów i kwiatów, których Olaf nie znał. Wszystko było jakby skapanie i orzeźwione chłodem przedwieczornej godziny. Światło dnia zaczynało już gasnąć tu, w ogrodzie.

Sługa powiodła Olafa w kąt warzywnego ogrodu, gdzie krzaki rosły półkolem. Znowu coś powiedziała. Zrozumiał, że ma tutaj poczekać. Przewodniczka opuściła go i zniknęła między jabłoniami.

Tuż obok rosły wysokie białe lilie, które świeciły w zapadającym zmierzchu i wydawały ciężką, słodką woń. Nagle spostrzegł, że lilie stoją

u wejścia do chłodnika, na pół ukrytego w krzewach. Zbliżył się i zajrzał do środka. Tuż przy drzwiach wisiała wiklinowa klatka, jakiś ptak skakał cicho z jednego pręta na drugi. W głębi dostrzegł rozesłane łoże.

Serce biło mu w piersiach. Stał bez ruchu. Cma musnęła mu w przelocie twarz, wzdrygnął się... Wtem ujrzał nieznaną: szła po murawie między drzewami. Stąpała z pochyloną głową, jedną ręką podtrzymując suknię. Płaszcz odrzucony w tył spływał z jej szczupłych ramion i Olaf zauważył, że ubrana jest tylko w żółtą szatę spodnią. Z westchnieniem i dreszczem rozkoszy poczuł, że za chwilę będzie tulił jej wiotkie, zgrabne ciało, okryte cienkim jedwabiem.

W drugiej ręce niosła srebrne naczynie. Stała tuż przed Olafem i pochyliła jeszcze niżej głowę. Podniosła puchar i przepiła do niego. Olaf wziął kielich i przytknął go do ust; wino było tak słodkie, że aż lepkie.

Zwrócił jej kielich. Młoda kobieta zatrzymała go chwilę w dłoni, potem opuściła w trawę. Podniosła twarz i spojrzała na Olafa. Ogromne oczy, rozszerzone nozdrza i wpółotwarte usta były niby ciemne czeluście w bladej, szczupłej twarzy. Olaf zrobił krok i oplótł ramionami smukłą postać, spowitą w jedwab.

Przyłgnęła do niego całym ciałem, jej palce zimne jak lód zacisnęły się na jego szyi. Olaf przyciągnął jej głowę do swoich ust, chciał przede wszystkim wessać w siebie zapach jej ciała. Z przykrością poczuł, że bije od niej cłkiwy i mdły zapach maści. Całował wprawdzie jej włosy, ale słodkawy zapach wonności, którymi się natarła, napawał jego zmysły odrazą jak zdrada. Łaknął woni młodych włosów i skóry.

Mimo woli odwrócił głowę. Wiedział, że bogate niewiasty namaszczają się pachnącymi olejkami, ale przejmowało go to wstrętem. On, który już od lat nie trzymał w uścisku kobiety, czuł, z jakim oddaniem nieznaną tuli się do niego, i wiedział, że ma ją całą w ramionach. A pomimo to zimnym dreszczem przeszła go świadomość, że tej kobiety



nie zna wcale...

Nie, to nie była ona... I wydało mu się, że z oddali dochodzi wołanie: jakiś głos, który słyszał nie swym cielesnym uchem, wołał na niego opętany z trwogi, chciał go ostrzec... Gdzieś, jakby spod ziemi, spod jego stóp, wydobywał się ten krzyk... To Inguna, wiedział, że to ona. To prawdziwa Inguna walczy, aby przyjąć mu z pomocą: Zrozumiał, że zmarła jest w strasznej potrzebie. W więzach niemocy czy też grzechu walczyła o to, aby ją usłyszał poprzez rozdzielające ich ciemności...

Kobieta zawisła mu na szyi, z głową przyciśniętą do jego ramienia. Olaf trzymał ją wciąż jeszcze, czuł własną żądzę jakby z szumem przetaczającą się gdzieś daleko nad nimi. Lecz ponad głową obcej wypatrywał i nasłuchiwał czegoś w przestrzeni, z dala od niej. Inguna wołała na niego w obawie, że mógłby nie pojąć, iż ta obca jest kimś, kto wziął tylko na siebie jej postać, aby go zgubić. Nie, nie, Inguno, słyszę cię, idę...

Wyteżył wszystkie zmysły, aby zrozumieć wyraźnie przejmujące wołanie. Nie słyszał go cielesnymi zmysłami i niecielesnymi oczyma dojrzał postać zmagającą się pod fałdami ziemi. Głos cichnął powoli.

Olaf rozplótł ostrożnie ręce nieznanym zacisnięte na jego karku i cofnął się trochę. Przynęła się i podniosła oczy. Prawie słabo mu się zrobiło, gdy ujrzał jej przerażone zwierzęco-łagodne spojrzenie. Była tak podobna do Inguny, że drżał z pożądania, by ucałować jej żywe usta... Ale równocześnie zdawał sobie sprawę z tego, że to jest obca kobieta, która spogląda na niego błagalnie i żąda czegoś głębią oczu – tak straszliwie podobnych. Miał uczucie, że musi wyteżyć wszystkie siły, aby oderwać się od niej: było to jakby kuszenie podczas najgorszych nocy, kiedy przypominał mu się fjord: pograćzyć się i uciec przed wszystkim...

– Nie, Inguno, słyszę cię.

– Pomóż, Maryjo!

Kiedy cofnął się jeszcze o krok, kobietą rzuciła się na niego niby fala opływająca dziób statku. Mimo woli stanął na palcach i odepchnął ją. Musnęły go długi, białe ręce. Odwrócił się i szybko odszedł.

Usłyszał za sobą stłumiony, przeciągły krzyk, a potem wołanie, słowa jak drwiące, wściekłe skomlenie. Przesadził płot, poła kaftana zaczepiła się na mgnienie oka. „Teraz zapewne nadbiegną tu ludzie, zwoła swoją służbę” – pomyślał. Biegł bez tchu przez łąkę, na której bielilo się płótno, wpadł między stajnie, dopadł częstokołu... Był on więcej niż dwa razy wyższy od człowieka...

Nie miał pojęcia, jak dostał się na drugą stronę, kiedy stanął na suchej łączce pomiędzy badylami trawy. Zdawało mu się, że coś odsunął i równocześnie miał wrażenie, że już raz w życiu zdarzyło mu się coś podobnego: ucieczka przez częstokół...

– Tak więc skończyło się... – powiedział głośno, wyciążając słuch, czy od dworu nie usłyszy głosów. Znajdował się z innej strony domu niż ta, z której przyszedł ze starą sługą. Panowała zupełna cisza. Pobiegł na ukos przez pole ku najbliższej gęstwinie.

Idąc przez zagajnik natrafił na dróżkę wiodącą wzdłuż kilku lepianek w dół przez bagna nad małą rzeczkę. Nie wiedział dobrze, gdzie się znajduje – prawdopodobnie w jakiejś dolinie. Szedł dalej ścieżką wzdłuż rzeki i rozważał w duchu, że bramy będą już pozamykane i że ciemność zapada coraz szybciej. Nie było mowy o tym, aby tej nocy dostać się do miasta, a cóż dopiero na statek. Zresztą to obojętne. Przeciągnął ręką po włosach i zauważył, że zgubił kapelusz. Tak, tak. I to także obojętne. Wreszcie dotarł do jakiejś kładki, a gdy wyszedł na przeciwną zbrocze, ujrzał w zmierzchu jasne mury miasta i wysoką basztę strażniczą. Szedł dalej wąską miedzą pośród pól, w głąb lasu. Od strony Tamizy rozpościerały się tylko bezdenne trzęsawiska.

Nie miał pojęcia, jak długo tak szedł, lecz zdawało mu się, że znajduje

się gdzieś na północ od miasta. W ciemności świeciła tu i ówdzie woda na moczarach, z oddali dobiegało szczekanie i wycie psów. Olaf wiedział, że bractwo łowieckie Londynu ma tu gdzieś w okolicy hodowlę psów, ale w ciemności szczekanie brzmiało groźnie.

Na lewo od ścieżki dostrzegł wzgórze pokryte dużymi drzewami, pod nimi zwiędłe liście tworzyły jasną plamę. Olaf podświadomie wyczuł, że zbocze jest suche i że lepszego nie znajdzie. Wszedł więc na górę. Cierniste zarośla czepiały się jego szat i dały je. Znalazł wreszcie odpowiednie wgłębienie, ułożył się w nim i owinął, jak mógł, okryciem.

Teraz dopiero poczuł, że cały zlany jest potem, powalany i mokry aż pasa; nie tylko pończochy, ale i kaftan nasiąkł wodą. Olaf odpasał miecz, lecz nie wypuszczał go z dłoni, położył się na boku z bronią pod sobą. Zasnął natychmiast.

Zbudził się w czarnej jak smoła nocy, dusząc się z trwogi. Miał wrażenie, że krzyczał. Jeszcze walcząc z cieniami snu nie wiedział, gdzie się znajduje; leżał na gołej ziemi, a dokoła obejmowała go nieprzejrzana ciemność, w której poruszało się coś i chybotąło, on zaś był przemoczony i zdrętwiały, a serce pękało mu z rozpacz, żalu i poczucia winy. Leżał na zwiędłych liściach...

Potem zaczęły w nim świtać wspomnienia przygody i snu, stopione w jedno. Razem z przypomnieniem, w jaki sposób znalazł się w nocy w lesie, wróciła również pamięć snu i przerażenie odpłynęło z wolna. Niesamowita była i teraz myśl o nim, ale zawsze był to tylko sen. Nie zrobił tego, nawet we śnie nie przypominał sobie, żeby zrobił krzywdę temu dziecku. W podróż nie wziął przecież nawet trójściecznego sztyletu, pozostawił go w Hestviken, w skrzyni...

Śniło mu się, że stoi nad jakimś łóżem w ciemnym lesie, pad łóżem pełnym zwiędłych, mokrych i zgniłych liści, a w tym łóżu zagrzebany leżał nagi człowiek. Liście przykrywały go tylko do połowy, zasłaniały również

górną część twarzy. Olaf nie wiedział z pewnością, czy to chłopiec, czy dziewczyna; zdawało mu się jednak, że to młoda dziewczyna – dziecięca, gładka pierś była taka biała i miękka! Pod lewą brodawką piersi widać było trójkątną ranę, jak gdyby ktoś zatopił w tyra miejscu aż po rękoność sztylet o trójsiecznym ostrzu. Kilka kropel krwi wyciekło z dolnego brzegu rany; była to jedna z tych brzydkich, niemych ran, co to prawie nie krwawią, krew spływa do środka, zatapia i dławi bicie serca.

Olaf myślał we śnie, że on to zrobił – stąd wyrosła śmiertelna groza, z jaką się obudził. Nie mógł znieść tej myśli. Chciał wziąć martwą na kolana, musiał ją przywrócić do życia! Chociaż nie pamiętał, aby mu się śniło, że to on pchnął sztyletem to dziecko; zresztą był to tylko sen!

Lekki wiatr poruszał trawę, wzdychały korony drzew. Wstrząsany nocnym chłodem Olaf leżał i usiłował po ciemku rozpoznać otaczające go przedmioty. Jakieś zwierzątko zaszeleściło w suchych liściach. Senna zmora dręczyła go wciąż jeszcze. Nie rozumiał wcale, co ten sen znaczy. O ile sobie przypominali nie skrzywdził żadnej białogłowy, z wyjątkiem Torhildy, ale tamta we śnie była młodą dziewczką. Pamiętał dokładnie twarz zmarłego dziecka ukrytą w liściach: podbródek szeroki i krótki, pełne usta i ciemne włosy opadające tylko do ramion. Nie przypominał sobie, żeby znał kogoś takiego.

Nie mogła to być Cecylia, jego złotowłosa córeczka. Z ulgą przeniknęła go świadomość, że sen nie oznacza grożącego jej niebezpieczeństwa.

Mimo to myśli jego krążyły dalej dokoła snu. Było to albo zwodnicze mamidło złych mocy, albo ostrzeżenie, którego nie umiał – jeszcze na razie nie umiał – sobie wytłumaczyć. Pomyślał o wieczornej przygodzie w sadzie: czy to była rzeczywistość, czy też jakieś czary? Nieznajoma tak podobna była do Inguny, że nie mogło to mieć naturalnej przyczyny. Zarazem czuł, że prawdziwą Inguna była w pobliżu, tuż obok niego, pograżona w płonącym stosie bólu i niemocy... I nagle zrozumiał:

gdyby nie potrafiła uczynić się dosłyszalną stamtąd, gdzie przebywała w więzach niemocy, ziemi i śmierci, byłaby świadkiem, jak oddał się w moc czarownicy, czy też czymkolwiek ta nieznajomą była...

Miał wrażenie, jakby coś w nim pękło. Żałość i tkliwość zalały go gorącym strumieniem, wypełniały jego duszę, przeniknęły w nim każde włókno. Tak bliski był tego, aby ją zdruzgotać po tych wszystkich latach jej żywota, kiedy starał się ochraniać ją ze wszystkich sił...

Nagle przypomniał sobie, iż krzyknął „Pomóż, Maryjo!” i zadziwił się. Lata minęły, odkąd prosił Ją o cokolwiek. Uważał, się za zbyt prawego, aby móc prosić Ją o pomoc, kiedy był krnąbrny wobec Jej Syna. Odmawiał Zdrowaśki, jak to robił od dziecka, aby okazywać Jej cześć, do której miała prawo, ale nigdy po to, aby coś uzyskać. A więc przyzywał ją tego wieczoru, jak zbłąkane dziecko woła matki!

Odrzucił się na drugi bok i ułożył głowę na ramieniu, tak aby zasłonić twarz i odgrodzić się w ten sposób od ciemności. *Salve Regina, mater misericordioe* – będzie powtarzał tę antyfonę, póki, nie zaśnie i nie przestanie myśleć. Tak, Panno Najświętsza, teraz przyjdę i poproszę o łaskę Króla naszego...

Od czasu do czasu zapadał w sen, budził się, znów zasypiał i błąkał się pośród sennych widziadeł bez związku, nad którymi jednak unosiła się jakaś głucha niesamowitość. Za każdym razem budził się z bolesnym skurczem serca. Znowu jednak kładł się i wielkim wysiłkiem woli skupiał myśli na pacierzu, który tej nocy miał mu być puklerzem.

W końcu obudził się, zobaczył, że słońce świeci i poczuł, że jest wypoczęty. Czuł w duszy urok jakiegoś snu, który miał nad ranem, niby słodką? niczym nie dającą się porównać, ufność.

Surowy chłód ziemi przenikał go na wskroś. Leżał jednak dalej i patrzył na leśne podszycie, gdzie w blasku poranka lśniła biało-modra rosa. Na każde źdźbło nanizane były perły kropel, a twarde, ciemne i

kolczaste liście świeciły jak szlifowana stal. Głębiej w lesie siwe opary snuły się między pniami spowitymi w zielony pokrowiec bluszczu, i sen przepływał przez jego duszę jak łagodna, mleczna poświata.

Zdawało mu się, że leży na piersiach jakiejś kobiety, z głową przytuloną do jej serca; po głębokiej, nie skalanej pożądaniem czułości poznał, kim jest ta niewiasta, i powiedział głośno: – Matko! – Nie pamiętał jej oblicza – nie pamiętał go w tej chwili, lecz we śnie czuł, że je poznaje, choć był niemowlęciem bez odrobiny rozumu, kiedy go matka odumarła.

Również Arnvid ukazał mu się na chwilę we śnie w długiej białej szacie – zapewne w stroju zakonnym – rozmawiał z jego matką. Ale mówili jak gdyby ponad jego głową, tak jakby był dzieckiem w powijkach, które matka trzymała na kolanach. I widział także biskupa Torfinna... Wszyscy troje przeniknięci byli światłem, jak bywają czasem od słońca rozjaśnione chmury. Ten blask jednak nie padał na niego i Olaf zrozumiał, że to nie słońce, lecz jakaś wiedza lub jasnowiedzenie, którego on nie posiadał; widział tylko światło...

Gdzieś niedaleko zabrzmiał mały dzwonek kościelny. Olaf podniósł się zdrętwiały i przemarznięty. Wyglądał jak oberwaniec w rozdartym kaftanie, cały zavalany błotem. Strząsnął z siebie grudki ziemi, oczyścił się z liści i źdźbeł. Gdyby miał chociaż płaszcz z kapturem! Zdjął kaftan i przewiesił go sobie przez ramię; teraz nie wyglądało już tak dziwacznie, że idzie z odkrytą głową.

Podążył za dźwiękiem dzwonka. Ścieżka wiodła w dół skrajem lasu. Okrążywszy las bukowy mimo woli rzucił okiem w zachodnim kierunku i w tej chwili pomyślał, że daremnie szuka w tej stronie dworu; z pewnością już go tam dziś nie znajdzie. Mały kościółek, w którym dzwoniono, stał na wzgórzu, po drugiej stronie potoku. Olaf skierował się w tę stronę pewny, że w nim znajdzie rozwiązanie tego wszystkiego, czego nie pojmował.

Był to niewielki, nagi i ubożuchny dom Boży, ziejący wewnątrz

spleśniałą wilgocią. Olaf zrozumiał, że nieczęsto odbywa się tu nabożeństwo, a mszy, odprawianej w tej chwili, słuchało zaledwie dziesięciu czy dwunastu biednie odzianych ludzi stojących z chorągwią w pobliżu ołtarza: zapewne jakieś skromne bractwo, które obchodziło dzień swego patrona. Ludzie ubrali się, jak mogli najlepiej. Lecz ornat księdza był wytarty, diakon i ministranci wyglądali na leniwych i poruszali się bez wdzięku i godności, a ksiądz śpieszył się z odprawianiem mszy jak gdyby myślał tylko o tym, żeby się jej jak najprędzej pozbyć.

Olaf nie mógł tu dostrzec żadnego znaku dla siebie z wyjątkiem tego, że oto stoi obcy i ubogi między ubogimi ludźmi i słucha wraz z nimi niedbale odprawianego nabożeństwa. I jeszcze jaśniej zrozumiał w tej chwili, jak mało znaczy w świecie człowiek starszy, pozbawiony majątku i rodowej wspólnoty, które podnoszą jego znaczenie i wartość. Będzie to musiał zrozumieć coraz lepiej, w miarę jak oddalać się będzie od ojczyzny – widział to teraz.

Już dawniej to zauważył – w latach młodości, w latach wygnania. Wezbrała w nim chłodna fala goryczy. Po to powrócił, po to trwał przez te wszystkie lata ze swoją jedyną miłością, niby w posepnym domostwie, aby Bóg teraz wyprowadził go zeń po raz wtóry, zawarł za nim drzwi i kazał mu znowu iść daleką wędrówkę?

Ujrzał przed sobą swój dwór jakby na jawie – wyraźniej, niż widział go kiedykolwiek. Przystań i szopy przybrzeżne, pod których palami pluskała woda fiordu, długi rząd spalonych od słońca dachów, brunatne, szare szczyty na wzgórzu i z tyłu za nimi Ścianę Rumaka, pola między rudymi skalami, góry dokoła szare i zwietrzałe, sosny wygięte przez wichry ku zatoce, a w głębi doliny łąki i wreszcie bór. Nie było to znowu takie wspaniałe, widział już rzeczy piękniejsze. Wszystko to jednak było jego własnością; z tego miejsca ciągnęli przodkowie w świat i do tego miejsca wracali. Jeśli nawet wszystko w jego życiu ułożyło się inaczej,

niż tego oczekiwał, dziedzictwo swoje odzyskał i utrzymał – i nie zostawił mniej, aniżeli otrzymał. Teraz tam, na brzegu, kołyszą się mniejsze i większe statki, ciągną się pola i łąki, świeżo wykarczowane na omszałych, porośniętych osiką wzgórzach w dolinie Kvern.

Członkowie uboższego bractwa podeszli gromadką do ołtarza i Olaf zobaczył obraz na ich chorągwi: Jezus siedł zgięty pod brzemieniem krzyża, a za Nim człowiek podtrzymujący Go, chłop z Cyreny. Zapewne była to korporacja tragarzy. Jakiś diakon skinął na Olafa sądząc, że należy do bractwa. Olaf potrząsnął głową i ukląkł w miejscu, gdzie stał dotychczas, przy drzwiach.

W niepozornej szacie Hostii zstąpił z wyżyn nasz Król, aby obdarzyć sobą maluczkich – tylko Olaf nie śmiał przystąpić do stołu Pańskiego. Od lat już wiedział, że ilekroć musiał podczas Wielkanocy zbliżyć się, siedł tak, jak siedł ongi Judasz na ostatnią wieczerzę. Gdy był dzieckiem, nie rozumiał nigdy, jak Judasz mógł to uczynić – zdawał sobie chyba sprawę, że Bóg wie o jego zdradzie. A teraz z nim samym było podobnie, jak z owym Judaszem Iskariotą: żył wśród braci chrześcijan i szanowano go jako dobrego chrześcijanina; podobnie apostołowie szanowali jeszcze Judasza, kiedy zasiedli w ów wieczór do stołu. On zaś myślał jedynie o tym, że wśród gromady przebywa sam na sam z tym, który wie o jego zdradzie.

Zaszedł więc aż tak daleko... A przecież jego dusza była niegdyś jakby młoda niwa, zieleniejąca unią dobrego zboża, które na niej posiano: spuścizną po przodkach, mężach wiernych i nieustraszonych, którzy nie oglądali się za utraconym szczęściem, dopóki tylko mogli zachować honor bez skazy. To on sam tak sobie urządził życie, że było odtąd jak te ugory pełne dzikich chwastów, które zastał powróciwszy na Hestviken.

Olaf podniósł oczy. Na ścianie naprzeciw niego wymalowany był wizerunek Pana podczas weselnych godów w Kanie. Tuż obok Niego



stała Maryja. Ręką dawała znak sługom rozlewającym wino, podczas gdy oczy Jej patrzyły prosto w oczy człowieka klęczącego przy drzwiach:

*„Cokolwiek wam powie, czyńcie”*

Olaf nie wiedział, czy usłyszał te słowa z zewnątrz, czy też w swym sercu.

„Karczuj przeto, Panie, jak chłop karczuje ziemię ogniem i lemieszem. Zabierz z powrotem Twoje dziedzictwo, aby Tobie mogło przynieść owoce!”

Znowu ujrzał Hestviken niby miraż. Zobaczył szare morze, mieniące się srebrem grzbiety fal, granatowy przeciwny brzeg. I ujrzał samego siebie tak małego i samotnego jak człowiek, co stoi na najdalszej wysepce szkerów Samotnie czekał na Tego, który kroczył po lśniących falach, jak gospodarz idzie przez swoje pola, i który uciszał burzę, jak gospodarz uspokaja rumaka. Wolny był ów człowiek na szkerach – tak wolny, że zrozumieć to mógł tylko ten, kto przez całą długą noc śmiertelnego grzechu dusił się w mroku.

Wzdłuż szeregu ubogich wyrobników szedł teraz ksiądz pomiędzy ministrantami niosącymi świece. Ilekroć wyjmował z cyborium Hostię, Olaf modlił się cicho: – Chryste Wszchemocny, ulituj się nade mną! Chryste Wszchemocny! – Nigdy dotąd nie zastanawiał się nad tym, dlaczego ludzie nazywają tak Boga. W tej chwili zrozumiał to. „Panie, jam nie godzien, abyś wszedł pod dach mój, jestem nagi i wyzuty z wszystkiego, nie posiadam, nic, czym bym Cię mógł ugościć: wejdiesz, o Panie, do pustego domu i napełnisz tych, których stworzyłeś, błogosławieństwem. Przeto zechcesz może przyjąć mnie na powrót do Twojej służby. Jeśli jestem za stary, aby wyuczyć się śpiewów pochwalnych na Twoją cześć, jestem dość młody i silny na to, by zostać sprzedanym w zamian za jakiegoś mizernego jeńca w pogańskich krajach...”

Nagle spostrzegł, że ktoś stoi tuż obok i stuka w ścianę. Jakiś wyrostek

oblupywał kluczem tynk, widocznie czekał niecierpliwie, kiedy będzie mógł zamknąć bramę. Kościół był już zupełnie pusty. Olaf podniósł się i wyszedł.

Na dole przez pola szli wszyscy: członkowie bractwa, ksiądz oraz jego pomocnicy. Błękitny jedwab chorągwi połyskiwał nad bladym łańcem pszenicznym. Wyrostek zamknął drzwi i zbiegł pędem. Olaf poszedł za nim powoli, z gołą głową.

Kiedy przybył do przystani w zachodniej części miasta, nie było łodzi. Musiał pójść dalej do portu i odszukać przewoźnika. Ów rozeźmiał się widząc Olafa i coś powiedział; Olaf zrozumiał sens, ale nie pojął słów. Potrząsnął więc tylko głową i rozeźmiał się także. Było mu dziwnie lekko i pogodnie na duszy – jak przed wyruszeniem w drogę.

Na pokładzie *Rena* zastał synów Ryszarda. Dostrzegł, że mówili o nim i – spoglądali na niego z chytrym uśmieszkiem, iż o tak niezwyklej godzinie, w rozdartych szatach i bez kapelusza zjawia się na statku, Ale zachowywali się jakby nigdy nic i Olaf zachował się tak samo.

Synowie Ryszarda przybyli, aby zabrać załogę na pielgrzymkę. W głębi borów, na północ od Londynu znajdowała się kaplica, a w niej słynna cudowna figura Matki Boskiej. Kiedyś, w czasach kiedy Wikingowie pustoszyli kraj, ukryto te figurę w dziupli dębu i tam ją potem odnaleziono. Nazajutrz miał się odbyć w tamtejszym kościele doroczny odpust.

Olaf ucieszy! się szczerze. Miał i tak zamiar od jutra zacząć chodzić do kościoła poświęconego Matce Boskiej. O kościele dominikanów nie chciał nawet myśleć.

Nazajutrz po południu Olaf stał na łące, przed kościołem i rozglądał się za swymi towarzyszami.

W żółtym blasku popołudniowego słońca wirowały jasne smugi kurzawy nad zdeptaną murawą. Roiło się od ludzi, wybierających się w drogę powrotną. Olbrzymi krzyż dźwigany pośrodku gromady przez mężczyzn w pokutnych szatach chwiał się ponad łąką. Pokutnicy śpiewali litanie; powłócząc nogami wzbijali nowe tumany pyłu. Dźwięki pieśni płynęły za nimi z wolna, niby wstęga, poprzez szum głosów, dudnienie ziemi pod tętentem odjeżdżających jeźdźców, żalospny jęk skrzypiec i akordy harf.

Bukowy las niby murem otaczał łąkę, spłowiełe od słońca korony drzew błyszcząły na tle błękitnego nieba. Dzień był gorący. Na dole nad strumykiem u stóp wzgórza odbywał się jarmark; dym palących się ognisk wzbijał się ponad zarośla. Byli tu tacy, co piekli nad ogniem całe woły i owce, a wrzaskliwe nawoływania przekupniów górowały nad ogólnym jazgotem i zgiełkiem. Ludzie popili sobie już uczciwie, rosły więc rechet i wesołość.

Wielu wciąż jeszcze wchodziło i wychodziło z kościoła. Bano ludzi z *Rena* z trudem przecisnęli się do wnętrza na nabożeństwo – nie sposób było cokolwiek zobaczyć w gęstym tłumie. Dość długo trwało, zanim łokciami utorowali sobie drogę do kaplicy, w której stał posąg Matki Boskiej z Dębu. Płonęło tam co najmniej sto woskowych świec – prawdziwy mur żywych płomieni migocących srebrem i złotem. Cokół rzeźby był czarny od starości, jak smoła, twarz Dziewicy podłużna, jakby zeszywniała, o ostrych rysach pod złotą koroną, a Dzieciątko wyzierające z brokatowych fałd płaszcza podobne było do sękatego korzenia. Mimo

to stara rzeźba wywoływała głębokie wrażenie. Niewiele mieli czasu na modlitwę przed cudownym posągiem, tak się ludzie tłoczyli.

Później, zanim usiedli, aby spożyć własne zapasy, kupili sobie zieleniaku; był to doskonały trunek i wkrótce poczuli lekki szum w głowie. Wskutek tego zgubili się w tłoku jarmarcznym. Najdłużej trzymali się razem Olaf i stary Tomasz, ale potem Tomasz tak długo stał w miejscu, aby słuchać jakiegoś minstrela, że Olafowi sprzykrzyło się to i poszedł dalej. Teraz został sam na skraju lasu i wypatrywał, czy nie ujrzy choćby jednego z towarzyszy w falującym tłumie.

Dotknął paczek ukrytych w fałdach kaftana nad pasem. Były to gościńce, które zamierzał posłać do domu jako ostatnie pozdrowienie. Haftowane aksamitne rękawiczki dla Sygne i Uny, różaniec z korali i złotych paciorków dla Cecylii, sztylet dla Eirika, mimo że Eirik i tak odziedziczy teraz całą jego broń – z wyjątkiem Attarfylgii. Żeby tylko nie zapomniał przesłać o tym wiadomości do domu, że topór ma przejść na własność rodu Cecylii...

Ta myśl poruszyła w nim na nowo całe gniazdo kąśliwych jak osy wspomnień. Olaf przegnał je i rozejrzał się znów – niej nie dostrzegł nikogo z towarzyszy.

Gdzieś w lesie poza sobą usłyszał śpiew, który brzmiał jak melodia taneczna. Odwrócił się i poszedł wolnym krokiem ścieżką do lasu – był pewien, że przy tańcu znajdzie Galfrida i Leifa.

Po chwili dotarł do przestronnej polany. W środku lasu tańczący wypoczywali właśnie. Na trawie pod drzewami rozłożyli się ludzie, którzy jedli i pili. Jakiś chłopak zaplątał się pod nogami Olafa, potknął się i przewrócił. Olaf podniósł wrzeszczącego malca i próbował go uspokoić. Stał z dzieckiem w ramionach i rozglądał się, gdy nadbiegła młoda, tęga i dorodna kobieta. Olaf uśmiechnął się i pokiwał głową słuchając jej rozlewnego gadania. Nagle przycisnął chłopczyka do piersi i ucałował,

po czym oddał go matce. Było to jakby pożegnanie z czymś...

Tańczący ustawili się tymczasem znowu w krąg – sami mężczyźni. Stąpali spleceni ramionami, nucąc przy tym jakąś dziką, podniecającą pieśń. Olaf wcisnął się w przyglądający się tańcom tłum.

Dziwnie niespokojny, rozlegający się dalekim echem taniec podniecił go. O walce śpiewali ej mężowie i zdawało mu się, że już gdzieś, kiedyś słyszał tę pieśń. Serce w nim drgnęło, jak poruszają się ziemia nad umarłym, który budzi się do życia, chce powstać i iść... A gdy ujrzał wyraz twarzy stojących dokoła ludzi, coś zadrżało w nim jeszcze silniej i gwałtowniej. Starcy z rozpalonymi twarzami stali pochyleni naprzód, kiwając głowami w takt pieśni. Duże, rosłe niewiasty słuchały z posępnymi twarzami, jak gdyby śpiew mówił o nieszczęściach, które same przecierpiały. Olaf takie wiedział, że czuje coś znajomego, nie mógł sobie tylko jasno uświadomić co.

I nagle przypomniał sobie. Potężnym nurtem toczy się rzeka w Glaattil, zimna od padających na nią cieni, chociaż słońce pali się jeszcze na blankach wież; twierdza stoi na małej wysepce i rozdziela prąd rzeki. A on stoi na łące, na brzegu i przypatruje się, jak ludzie jarla w otoczeniu Anglików i Szkotów tańczą i śpiewają pieśń o boju. Przebóg, to ta sama pieśń!

Wspomnienia, o których nie myślał lata całe, zerwały się w oto jak burza, jak jeńcy z ponurego lochu. Wartki potok obrazów: szalona walka wręcz człowieka z człowiekiem, blask pochodni, dzikie zabawy rycerskie w ciasnej, sklepionej bramie, która prowadziła w Ciemność... potem znalazł się w łodzi, wiosłował na ginącej w zmięczeniu rzece pod murami Sztokholmu, a przed nim na ławie siedział jarl, pleczysty i niski niczym drzwi poddasza, kudłaty, ciepły i potężny jak niedźwiedź, w szacie koloru rubinu, z tymi jasnymi jak bursztyn oczyma, które śmiały się i płonęły z żądzy przygód i walki. O panie Alfie, o Alfie, panie mój!

Taneczny łańcuch przemknął jak szalony koło niego – dziki, przejmujący śpiew zdawał się nie mieć końca. Mężczyźni tańczyli zwarci mocno ramionami, odchyliwszy ciała w tył, krąg kołysał się. Ilekroć podskakiwali wysoko w górę, ciężko opadając z powrotem na ziemię, migały w kłębach kurzu ich rozpalone, purpurowe twarze. Nagle całe koło zakolysało się w prawo, po czym pierścień zaczął sunąć znowu w lewo...

Wspomnienia pędziły wciąż jeszcze przed oczyma Olafa: o mężach, z którymi przyjaźnił się w sposób przyjemny i chłodny – każdy, z osobna zamknięty w samotnej skorupie żelaznego pancerza, a jednak w potrzebie jeden poświęcający się za drugiego. Och, do diabła ze wszystkimi kobietami, które tylko czepiają się człowieka... Blask ognia między ciemnymi szczytami na ulicy grodu. On sam, dwudziestoletni młodzieniec, w pełnej zbroi stoi w jakichś drzwiach. Młoda dziewczyna, której imienia nie pamiętał, chce go wciągnąć i ukryć – on śmieje się, całuje ją przelotnie, wyrwa się i z wyciągniętym mieczem w dłoni biegnie ulicą w górę, skąd słychać dźwięk rogu – opętany zawziętą trwogą, że ludzie jarla mogliby bez oporu dać się przepędzić na statki.

Ręce Olafa ścisnęły kurczowo brzeg płaszcza, umysł jego wzburzył się gwałtownie: że też mógł o tym wszystkim zapomnieć! I znowu ujrzął obraz dworu na wzgórzu nad zatoką, teraz jednak dziwnie spłowiały i zwiednięty, nasiąkły wspomnieniami bezsily i ustawicznej walki z szarą, bezkształtną przemocą, obraz chorej kobiety, która wysysała z niego młodość, a pomimo to była coraz bledsza i więdła coraz bardziej, chociaż jemu odbierała całą energię.

I nagle wszystko, co zazwyczaj odczuwał przy tych wspomnieniach, przybrało inne kształty, przejął go wstręt i odraza. Jezu!

Czyż nie żył jak zaczarowany we wnętrzu góry albo jak więzień, w krainie zmarłych?

Śpiew mężczyzn skończył, się głośnym rykiem i dudnieniem pół setki

stóp, tupiących równocześnie o ziemię. Olaf odetchnął głęboko.

Taneczny pierścień rozluźnił się, tłum widzów zaczął się rozchodzić. Olaf poruszył się nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Nagle zderzył się z kimś. Spojrzał i poznał ślepcę z kościoła dominikanów.

Przez krótką chwilę stali obydwoj i wpatrywali się w siebie – tak wydało się Olafowi. Ziemiste, bezokie oblicze niewidomego skurczone goryczą czy nieszczęściem było jak jedno jedyne spojrzenie. Olaf nie myślał o niczym, stał tylko jak wryty. Nagle twarz obcego zmieniła się, jak gdyby zbudził się z upiornego snu, i zakwitł na niej uśmiech. Ślepiec wyciągnął ręce przed siebie i wyrzekł kilka słów.

– *Cognovis me?*<sup>[8]</sup> – szepnął Olaf niepewnie.

Nieznajomy, pacholeł prawie, zauważył teraz Olaf – odpowiedział natychmiast w tym samym języku, ale tak płynnie i szybko, że Olaf nie zrozumiał ani słowa.

– *Non capio bene latinum*<sup>[9]</sup> – bąknął stropiony.

Tamten uśmiechnął się dwornie i powtórzył zdanie raz jeszcze, tylko krócej. Olaf zrozumiał tyle, że towarzysze ślepego zgubili się gdzieś, prosi więc Olafa, aby go zaprowadził przed kościół. Z wahaniem ujął Olaf wyciągniętą rękę i poczuł z niesmakiem, że jest spocona. Potem pozwolił, aby obcy wziął go pod ramię, i tak powiódł go Olaf tą samą ścieżką, którą przybył na polanę.

Młody człowiek próbował zacząć rozmowę po łacinie, po angielsku i po francusku, po trosze z każdego języka. Olaf zrozumiał z jego słów, że tamten zna go z kościoła dominikanów.

– *Non es...* nie jesteś... – szukał słowa oznaczającego: ślepy. Ukradkiem patrzył na zagasłe oczy ślepcę. Nie, ten człowiek jest na

[8] *Cognovis me?* – „Poznajesz mnie?” (Przyp. tłum.)

[9] *Non capio bene latinum* – „Nie rozumiem dobrze po łacinie.” (Przyp. tłum.)

pewno zupełnie ślepy! Nagle błysnęła mu myśl, że w takim razie ktoś musiał mu zwrócić uwagę na niego...

– *Non es caecus?*<sup>[10]</sup> – wyszeptał. Napięcie przeniknęło go uczuciem podobnym do rozkoszy. Musi się mieć na baczności!

W lesie panował mrok. Olaf ostrożnie prowadził ślepcę przez wykroty i kamienie na dróźce, równocześnie rozglądając się na wszystkie strony, czy ktoś nie czatuje w krzakach. A do tego tak się niezręcznie złożyło, że obcy wsunął mu rękę pod prawe ramię – a może uczynił to rozmyślnie? Olaf wstydził się teraz przejść na drugą stronę, ale uważał na prawą rękę nieznanego.

Szedł tedy i czekał, że lada chwila zabłyśnie jakiś sztylet albo że ktoś wyskoczy z gęstwiny – przecież droga na polanę nie była przedtem wcale tak długa ani wąska, A jak ciemno zrobiło się naraz w lesie! Na pytania ślepego odpowiadał jednak spokojnie, że nazywa się Olaf i jest norweskim kupcem. Miał ochotę powiedzieć również, gdzie stoi jego statek – niech obcy nie myśli, że ma zamiar się ukrywać. Lecz kiedy chciał mu to wytłumaczyć, nie umiał tego skłecić w obcej mowie.

Nagle wyszli z lasu... Olaf prowadził ślepego pod górę do kościoła; jaśniejącego blado w przedwiecznym zmierzchu. Głuchy, nieokreślony lęk ogarnął Olafa – obcy nie zamierzał widać pchnąć go sztyletem ani napaść na niego z gromadą uzbrojonych towarzyszy. Lecz do kościoła z nim za nic nie wejdzie!

Wtem jakiś pachołek zbiegł z kościelnego wzgórze na dół i ujrawszy swego pana zawołał głośno. Ślepy puścił ramię Olafa, uściśnął mu dłoń i podziękował za pomoc. Olaf stał osłupiały ze zdumienia. Młody rycerz zwrócił się do swego pachołka, oparł ręce na jego ramieniu i poszedł z nim, raz jeszcze odwracając się i pozdrawiając Olafa ostatnim *vale*.

Olaf stał nie ruszając się z miejsca. Wszystko było tak niepojęte, że

[10] *Non es caecus?* – „Nie jesteś ślepy?” (Przyp. tłum.)



czuł się nieomal zawiedziony. Popatrzył za nieznajomym. Przed, bramą małego klasztoru, koło kościoła gromadka jeźdźców dosiadała właśnie koni. Po chwili minęli go i pojechali dalej.

Było to kilku panów w aksamitnych szatach i złotych łańcuchach na piersiach. Jechali na wspaniałych rumakach przybranych w kosztowne rzędy. Ślepy siedział na karym ogierze, prowadzonym za uzdę przez giermka. Świta jadąca z tyłu za panami była odziana i uzbrojona jak do drogi, na końcu szło parę objuczonych koni. Olaf spostrzegł, że przybyli z daleka.

W tej chwili zrozumiał, że ślepiec musiał od kilku dni być poza domem. Wtedy ona, jego małżonka, posłała po Olafa korzystając z tego, że jest sama. Ujrzał przed sobą chłodnik ukryty w kącie ogrodu i młodą kobietę, która zbliżała się do niego z namaszczonymi włosami, naga pod cienką jedwabną szatą. Żadna czarownicą ani żadne opętanie zmysłów, jak pragnął w sobie wmówić, tylko zwykła niewierna żona!

W kipiącej wściekłości, która go porwała, Olaf sam poczuł się jak zdradzony mąż. Wezbrał w nim gniew jak żądza, gorący i purpurowy. Byłby teraz zdolny chwycić tę kobietę i udusić ją gołymi rękami. A zarazem czuł zawrót głowy od dziwaczного, nierzeczywistego uczucia: że już kiedyś wydarzyło mu się coś podobnego...

Po chwili krew przestała w nim tętnić, czerwona mgła przed oczyma rozwiała się, poczuł znowu grunt pod nogami i rozpoznał dokoła siebie przedmioty szczególnie ostro i wyraźnie. Korony buków stały w bladym, płowym świetle a nad nimi rozciągała się białawe nieba, po którym wędrowało kilka jasnych chmur. Szare mury kościoła zaróżowiły się słabo w blasku gasnącego słońca. Było już prawie pusto, nad wydeptaną murawą unosił się zapach pyłu i rosy. I nagle z pełną przytomnością i jasnością umysłu Olaf uświadomił sobie, że to, co tu przeżył, już raz było, że podobną przygodę miał już kiedyś w życiu. Ale teraz on był złodziejem!

Oburącz szarpnął płaszcz, jak gdyby chciał rozerwać na sobie Jakieś więzy. Ale teraz, kiedy zmuszony był wreszcie spojrzeć w głąb samego siebie, milcząca ciemność przemówiła z największej głębi jego duszy. Więc to byłoby celem ostatniego wydarzenia? Żona bliźniego została postawiona na jego drodze, tak że wystarczyło wyciągnąć rękę, aby ją wziąć. Póki nie posłyszał owego krzyku, płynącego z nieba czy też z czyścica, który go ostrzegł... Gdyby nie oderwano go od tej niewiasty, jak matka odsuwa dziecko od ognia, zostałyby gachem zamężnej kobiety...

Olaf zaczął iść szybko, jakby w ucieczce przed tymi myślami. Przeszedł plac jarmarczny. U stóp zbocza w zapadającym zmierzchu żarzył się jeszcze ogień, gdzieś dalej palił się jasnym płomieniem stos drzewa. Kręciło się tu sporo ludzi i wszyscy wyglądali na pijanych; Poszedł prędko naprzód, znów dostał się do lasu, na szeroką ścieżkę wiodącą przez wzgórze.

W rozpaczliwej wściekłości walczył o to, aby zagłuszyć ten głos w swym wnętrzu: „Do diabła, przecież nie tknąłem tej kobiety! Prawda, polazłem tam jak głupiec i gapiłem się na tę angielską sukę, bo mi się wydawało, że jest podobna do mojej żony! – Doprawdy, mógł się złościć, że w tym wieku dał się złapać w potrzask kobiecie: – Nie myślałem o niczym i przecież dość szybko uciekłem, ledwie spostrzegłem, czego chce ode mnie!” A że go ślepiec poznał, nie było w tym żadnego cudu. Widział przecież nieraz, że ślepi, na przykład żebracy i ludzie starzy, widzą jakby całym ciałem; Ich słuch i węch zaostrzony jest jak u psów.

Jakkolwiek usiłował zagłuszyć w sobie głos, że nie uchybił czci żadnego męża, niewiele to pomagało. Inaczej myślał o tej sprawie idąc przez las ze ślepcem. Był wówczas pewien, że tamten czyha na jego życie i ma do tego pełne prawo. Teraz wiedział także, że zgrzeszył już w chwili, kiedy poszedł za posłańcem nieznaomej, i że wypłynęła na światło dzienne dawna, pogrążona ty niepamięci wina.

Gdy tak szedł w rosnącym zmierzchu po leśnej drodze, pewną nogą jakby we śnie omijając wykroty, kamienie i kałuże, miał wrażenie, że owa ciemność, w którą zapuszczał się coraz spieszniej, jest jego własnym wnętrzem i że wkrótce dotrze do najtajniejszej i najbardziej posępnej głębi. Za chwilą wpędzony do niej, uderzy plecami o ostatni mur. Lecz wiedział także, że będzie się bronił i walczył przeciw temu do ostatka, i wiedział, że...

Po raz pierwszy Bóg mówił z nim twarzą w twarz owej nocy, kiedy miał stracić Ingunę. O tej godzinie, w której wiedział, że opuści go jedyny przyjaciel, Bóg przemówił do niego ze swego opuszczenia na krzyżu. W tę noc, kiedy mu się zdawało, że ze zgryzoty spłynie krwią serdeczną, Bóg objawił się, skrwawiony rosą śmiertelnej męki i biczowanego ciała, przebitego gwoździami i ukoronowanego cierniami, i przemówił do niego jak przyjaciel do przyjaciela: O, wy wszyscy, którzy przechodzicie drogą, uważajcie i patrzcie, zali jest boleść równa mej boleści. Olaf ujrzał swój grzech i swoją żalność niby krwawą pręgę na tych krwawiących ramionach. A jednak nie zdobył się na to, aby iść...

I Bóg przemówił do niego po raz drugi w swym świętym przybytku, gdy Olaf został na tyle uleczony z gorączki nieszczęścia, że mógł się skupić i słuchać rozważnych słów. Mimo to dobrowolnie zawahał się w pół drogi... I teraz też nie był pewien czy poszedłby za wołaniem, gdyby nie...

Ale wydarzyła się ta ostatnia rzecz i ona zmusiła go do zastanowienia się, kim jest i na czym polega jego grzech.

Nagle stanął jakby na zewnątrz samego siebie i przyglądał się sobie podobnie jak ktoś, co stoi za płotem i przypatruje się chłopu, który trzusi się nad zachwaszczonym ugorem.

Chłop mozoli się nad jakimś kolczastym krzakiem, chce go wykarczować, drze sobie przy tym ubranie i ręce kaleczy do krwi. Ale

chwastów dokoła, wybujałych, paskudnych i cuchnących, pokrzyw i ostów, zdaje się nie dostrzegać. A przecież to wcale nie ten kolczasty krzak zdławił wszelkie dobre ziarno na jego roli. Wprawdzie wygląda okazałe, stojąc tak w pełnym rozkwicie, ale nie rozmnaża się i nie rozrasta, można go wykorzenić raz na zawsze, jeśli tylko wziąć się do niego właściwie. A gdy tak stoi i kwitnie, bujny i niepotrzebnie piękny, nikt nim nie gardzi...

Olaf uznawał jedynie swoje wielkie grzechy. Były one co prawda krwawym przekroczeniem praw uznawanych w królestwie niebieskim, to wiedział zawsze. Lecz wiedział również, że wśród ludzi inna jest miara. Według zaś praw obowiązujących wśród ludzi, do których z urodzenia należał, uczynił tylko to, co musiał uczynić; bronił swego prawa i czci swojej żony.

Gdyby nawet wyszła na jaw zbrodnia, której potajemnie dokonał – morderstwo, skrytobójstwo – nie był pewien, czy uznano by go za człowieka pozbawionego czci, nawet i w takim wypadku, gdyby musiał na szafocie odpokutować za swój czyn.

Ani jeden człowiek z tych, których uznawał za równych sobie, nie uważałby go za złoczyńcę, gdyby wiedział o wszystkim. I Olaf zrozumiał teraz, że to przeświadczenie tkwiło w nim gdzieś głęboko, na samym dnie duszy już od dawna, zawsze.

Ponieważ los sprzął go z bezprawiem i nieszczęściem innych, nie mogło w jego młodości stać się inaczej niż tylko tak, że i on sam pchnięty został na drogę bezprawia. Całe późniejsze zło wynikało jednak z tego, że ci, którym powierzono opiekę nad dwojgiem dzieci, zawiedli jego i Ingunę. Aż do ostatniego i najgorszego momentu, do fałszywej spowiedzi i świętokradztwa, które paliło mu wargi i serce – krok za krokiem wciągnięty został w to wszystko, ponieważ sprawę swoją i przybraną siostry musiał wziąć we własne ręce, i niewprawnymi, chłopięcymi dłońmi ujął ją fałszywie.

Nigdy dotąd nie widział tej sprawy w tak jasnym i wyrazistym świetle. Ale milcząco, w głębi swej nędzy miał zawsze przeświadczenie, że Bóg Wszechwiedzący widzi to daleko lepiej od niego: jego najcięższe grzechy były w równej mierze grzechami obcych, jak i jego własnymi. Nerozerwalnie związany z brzemieniem własnych złych czynów dźwigał jarzmo innych ludzi.

Przeto chylił się pokornie i uderzał w pierś, ilekroć ksiądz podczas mszy mówił *Confiteor*. Był gotów przyznać: „Ani jeden z ludzi stojących wokoło nie zgrzeszył tak ciężko jak ja”, w zwierciadle Boskiej sprawiedliwości widział samego siebie o tyle niżej upadłego od tamtych, o ile głębiej od odbicia rosnących dokoła krzewów zapada w jezioro odbicie dębu. Takie i w ludzkich sądach widział siebie stojącego wyżej, jak dąb wyrastający ponad ciżbę pospolitych krzaków.

W tym niezemijskim świetle, jakie wdarło się nagle w mrok jego duszy, ukazało mu się wreszcie to, co pragnął ukryć w najgłębszej tajemnicy przed okiem Boga: pycha grzesznika, którą przełamać jest jeszcze trudniej aniżeli sprawiedliwość człowieka sprawiedliwego... Bez względu na to, jak ta rzecz wygląda, nie popełniłem nigdy grzechu marnego...

Dwukrotnie Jezus pełen słodczy w swym miłosierdziu przemawiał do niego – on jednak cofnął się jak przestraszony pies. Dwukrotnie mówił głoś: Spójrz, kim jesteś, spójrz na bezmiar mej miłości... A dziś mówił do niego: Teraz poznaj, kim ty jesteś. Poznaj, że nie jesteś wcale większym grzesznikiem od innych. Poznaj, iż jesteś takim samym nędznym grzesznikiem!

Miecz uderzał w najgłębsze korzenie jego życia i zadawał ciosy.

*Non veni pacem mittere, sed gladium. Qui invenit animam suam,*

*perdet illam, et qui perdidit animam suam propter me, inveniet eam.*<sup>[11]</sup>  
Olaf zrozumiał, że te słowa były prawdą, o jakiej mu się dawniej nie śniło, a gdy je pojął, miał wrażenie, że tonie pod lodowatą masą wody wielkiego morza.

Śmiał się z bólu, biegnąc przez ciemny las.

Udawał, że boi się stracić życie – on, który od dawna był tak znudzony życiem, że gdyby nie wzgląd na Ingunę, ani dnia nie wytrzymał w nim dłużej. Nie chciał wrócić do życia, nie byłoby to żadną dla niego ofiarą, gdyby wybrał posłuszeństwo, ubóstwo i czystość, ba, nawet niewolę a w końcu śmierć męczeńską! Bo nie przykładał żadnej wagi do tego, czego się musiał wyrzec, natomiast to, co było przed nim, kusilo niezmiernym zyskiem: przygodą i dalekimi podróżami, a na końcu spokojem, przebaczeniem; Bożym i przyjęciem go z powrotem do wspólnoty Pana.

Nareszcie zrozumiał, że wtedy musiałby wybrać nie między Bogiem a tym czy tamtym na ziemi, chociażby nawet życiem doczesnym, lecz między Bogiem a samym sobą.

Dróżka biegnąc z boczem wysoko przez wyrąbany las wyprowadziła go na otwartą polankę. Nad sobą widział Olaf tylko kawał nieba, granatowy i zasiany gwiazdami. Pod nim leżała mała dolinka, czy też wąwóz, który widział pomiędzy drzewami; gdzieś z dołu dochodził szmer płynącej wody.

Mimo woli zwolnił kroku. Słaby podmuch wiatru chłodził jego zlaną potem twarz. Olaf parę razy otarł dłonią czoło. I nagle gdy uświadomił sobie, że stąpa po jakimś wzgórzu, otoczony zewsząd! zapadającą się pod nim powietrzną przestrzenią, uderzyła go myśl, że został wyprowadzony na puszcę: oto idzie sam jeden w obcym kraju i nie wie, gdzie się

---

[11] *Non veni pacem mittere...* – „Nie przyniosłem pokoju, ale miecz. Kto znalazł duszę swoją, straci ją, a kto by stracił duszę swą dla mnie, znajdzie ją” – Mt. 10. 34. 39. (Przyp. tłum.)

znajduje.

Nie dostrzegł żadnego znajomego przedmiotu ani żadnego miejsca, gdzie by się mógł schronić aby nie widzieć tego, czego widzieć nie chciał. Mowa ludzi, której nie rozumiał, nie mogła się wedrzeć i zagłuszyć tego głosu, którego wolałby nie słyszeć...

Nagle przystanął. Było tak, jakby z otaczającej go ciemności: i surowego chłodu ziemi pod stopami czerpał siły, aż poczuł, jak: jego „ja” rośnie i powiększa się w mrocznym oparze.

– Dlaczego postępujesz ze mną w ten sposób? Inni popełnili gorsze i bardziej nędzne czyny, ich jednak nie wypędzasz z domu nie odbierasz im spokoju, nie nawiedzasz ich tak jak mnie!

Głos, który odpowiedział, zdawał się płynąć z ciszy pod dalekim, zasianym gwiazdami niebem, z lasu, poruszanego słabo nocnym, wietrzykiem, z cichego szemrania potoku na dnie dolinki.

– Nawiedzam cię, ponieważ wciąż jeszcze mnie miłujesz. Prześladowę cię, ponieważ idziesz w ślad za mną. Gonię, cię, ponieważ: przyzywasz mnie, chociaż uciekasz przede mną.

Ścieżka spadała stromo w dół i gubiła się w leśnej gęstwinie. Olaf znowu przystanął, rzucił się na ziemię przy wejściu do ciemnego otworu ginącego pod liściastym lasem i siedział z głową ukrytą w ramionach.

Zaroilo się od widziadeł, których nie mógł powstrzymać. W pewnej chwili wydarł mu się z krtani głośny, żalony krzyk. Więc po to zawrócono go tak daleko wstecz, aż do samego początku, do młodości, aby to zobaczył? w cichości ducha dumny był ze swej młodości: „Mimo wszystko miałem przeciw sobie przeważające siły i byłem sam, nikt mi nie pomagał. Cokolwiek uczyniłem, jakakolwiek postąpiłem, nie były to grzechy małego człowieka”.

Czy doprawdy nie było nikogo, kto by ci pomógł?

Teraz głęboko. W dole dojrzał małe światelko – latarnię na podłodze

ciemnej stajni, a w stajni dwóch młodzieńców. Poznał twarz Arnvida zmieszana i bolesna, bo on, przyjaciel, okłamał go przed chwilą. Tak jest, ten grzech był jego własnym grzechem, niczym więcej. I pojął, że to był zapewne pierwszy grzech, jaki popełnił celowo i z rozmysłem: kiedy zwałił winę na przyjaciela, który – wiedział o tym – nigdy nie wzdragał się przed wzięciem na siebie brzemienia drugiego człowieka.

– Nie! – wyszeptał bez tchu. Nie chciał tego! To może dobre dla mnicha i księdza, on jednak za nic nie chce być zamknięty w tej celi samopoznania, o której opowiadają. Niechaj sami przeglądają się w zwierciadle, w którym objawia się światłość Boża i ludzkie otchłania!

Ale nie mógł odsunąć tych myśli – światełko płonące w ciemności rozblyskiwało co chwila, widział w nim tysiące rzeczy, o których umyślnie zapomniał.

Czy doprawdy nikt mu nie pomógł? Pomagali mu ci, których prosił o pomoc – Arnvid oraz zacny biskup Torfinn. Tych ludzi miłował, patrzył na nich jak na stojących wyżej od niego; takich, których uważał za gorszych od siebie, nigdy o nic nie prosił. Lecz przyjaźń tych obu wyzyskał do ostatka, tak jak jego wyzyskałby ktoś stojący niżej od niego. Różnica była tylko taka, że jemu ani w głowie nie powstało nazywać druhem i równym sobie człowieka, który zwracał się do niego z prośbą. Rozdawał dary wiedziony litością, w której tała się obojętność i pycha zarazem. Natomiast ci, którzy jego wzięli pod swą opiekę, przyjęli go, gdy zwrócił się do nich o pomoc, jak młodszego brata. Upokorzenie runęło na niego jak lawina, czuł się zmiażdżony pod jej kamieniami.

„Nie, Boże, tego nie zniosę! Inguno, pomóż mi! – błagał zrozpaczony – ty złóż za mnie świadectwo... Inguno, wszak z tobą nie postępowym nigdy fałszywie...”

I znów poczuł z niezwykłą wyrazistością, jak bliska mu jest w tej chwili. Śmierć ukryła tylko jej postać jak ciemność, lecz posłyszał jej



odpowieź tuż obok siebie, pełną głębokiego smutku, że żywi są jak dzieci, co nie pojmują niczego.

– Świadcę za tobą, Olafie, i każdy człowiek, wobec którego postąpiłeś miłosiernie, da świadectwo twym dobrym uczynom. Dużo ich było, Olafie. Byłeś wybrany, aby złożyć Panu wielokrotny plon. Ale twoje dzieła stały się jak zwiędła słoma, stoczona robactwem od korzenia aż do samej góry – zbyt długo krzewiły się wśród niej chwasty...

Ujrzał swoje występki – chore i blade kłosa, w których nie dojrzało ziarno. Stworzyła je najbardziej istotna jego wola – wola, jaką mu dał Bóg, aby umiał rządzić i otaczać opieką innych.

Jednak tę wolę zwyciężyły kaprysy i pragnienia, złe chęci i nierozsądne życzenia, podobnie jak drobni królikowie zwyciężają swego prawowitego władcę. Skryta дума, że jego grzechy nie są w żadnym razie grzechami tchórzostwa i podłości, utrzymywała go dotąd na powierzchni. Teraz jednak zrozumiał, że te wielkie grzechy były ciężarem, którym obarczał innych, gdyż nigdy nie potrafił przemóc się na tyle, by wyznać, że zbłądził ze słabości, tchórzostwa i bezmyślności.

Bezecnym lub uczciwym zachowaniem, odrobiną kłamstwa i odrobiną prawdy, razem pomieszanymi, zdobywał sobie różne korzyści i szacunek tych niewielu ludzi, których spotkał w świecie i których uznał za dostatecznie dobrych, aby ich nazwać swymi przyjaciółmi, i aby ich kochać i cenić. Nigdy nie odważył się powiedzieć im całej prawdy o swym postępowaniu, ponieważ pragnął, aby go szanowali, i ponieważ potrzebował ich pomocy. Zaciągnął u swych przyjaciół ogromny dług – on, który każdego człowieka obciążonego długiem uważał za godnego pożałowania.

Nieprawdą było to, co mówił biskupowi Torfinnowi i wszystkim swym przyjaciołom, co powtarzał tak długo, aż sam prawie zapomniał, gdzie jest prawda. Kłamstwem było, że uwiódł swoją narzeczoną dlatego

tylko, że łotrzy chcieli obalić prawa ich obojga. O nie, nie postąpił wcale jak dojrzały mężczyzna, zdecydowany i silny, kiedy wziął Ingunę jako sobie należną, ponieważ liczył na to, że w chwili kiedy wynika spór, wygrywa ten, który sprawę ujmuje w swoje ręce. Prawda była inna, upokarzająca... A równocześnie ogarnęła Olafa słodycz na wspomnienie chłopięcej miłości – i teraz, kiedy wreszcie wspomnienia ukazały się obnażone i odarte z kłamstw, pod którymi usiłował je ukryć. Był zaledwie chłopcem wówczas, na Frettastein, i nie myślał o prawie i bezprawiu, kiedy dziki i nieprzytomny z żądzty posiadał swą młodą narzeczoną, aby nasycić się jej słodyczą i wdziękiem. Nie myślał wtedy więcej aniżeli dziecko, które chwytą wszystko, czego pożąda, a biegnąc nie troszczy się o to, że upadnie.

Pod zamkniętymi powiekami ujrzął kamienistą szczelinę, na dnie której płynął strumyk; czerwone wierzbówki chwiały się nad urwiskiem. Przed nim szła Inguna, widział jej wątle plecy w czerwonej sukni; szła zaplatając bujne, ciemnożółte włosy i wydawała mu się tak urodziwa, że stąpał za nią jak urzeczony. Przy końcu jaru proste sosny pięły się po stromym zboczu gór; błękitne powietrze nad skalnymi wrotami zdradzało, że grzbiet górski opadał tam stromą ścianą. Szedł za Inguną i patrzył na nią z sercem i zmysłami przepojonymi ukrytym wspomnieniem o ich nocnych spotkaniach w komorze, dumny, iż jest panem jej urody. Gdy przybyli do miejsca, gdzie jar się kończył i jezioro Mjös rozciągało się nisko w dole, u stóp wzgórz pokrytych borami, na maleńkiej polance otoczonej wysokimi, szeleszczącymi osikami podbiegł nagle, przyciągnął dziewczynę do siebie i zbliżył jej twarz do swojej twarzy. Policzki jej były blade i zroszone od skwaru; ledwo jej dotknął, poczuł, że zwisa mu w ramionach, cała drżąca z tej wiecznej zwierzęco-łagodnej powolności... Było to przedtem, zanim wiedział, że Steinfinn musi umrzeć, i kiedy nie miał jeszcze pojęcia o tym, że ktokolwiek mógłby uważać układ

dotyczący jego i Inguny za nieważny.

W ciągu tych wszystkich lat nie śmiał przypominać sobie dokładnie tego wszystkiego; jak wówczas nie czuł nic innego, tylko własną młodość i urodę całego świata wcieloną w jedną młodą dziewczynę. Tęsknota dusiła go, oczy płonęły.

Podniósł się i opuścił ramiona. Wpatrzył się w skrawek nieba rozpostarty jak czarny aksamit przyprószony złotem nad ciemnym krajem, w którym zablądził. Nie uświadamiając sobie tego, czuł zapach dymu, płynącego ku niemu z palącego się gdzieś w ciemności ogniska.

Miał wrażenie, że teraz rozplatał już cały prawie kłębek nieszczęść swojego życia, aż do samego końca nitki. „Od moich ukrytych ułomności oczyść mnie, Panie” – tak nauczył się modlić w pacierzu porannym. W ciągu tych wszystkich lat, ile razy Olaf przypominał sobie ten psalm, rozmyślał nad swoimi złymi postępkami. A teraz zrozumiał, że jedną rzecz pragnął ukryć zarówno przed Bogiem, jak i przed ludźmi: to, że zblądził ze słabości, z dziecięcej bezmyślności i ze ślepej żądz. To przede wszystkim chciał ukryć za wszelką cenę. Wolał nawet wziąć na siebie winę za znacznie gorsze zbrodnie, obarczyć się raczej brzemieniem zgryzoty tak ciężkim, że groziło mu to zmiążdżeniem; aby tylko wyglądało tak, jakby działał świadomie i z rozwagą, i dobrowolnie wziął na siebie te troski...

„...I strzeż Twojego słuę przed przemocą obcych. Jeśli nie będzie im wolno panować nade mną, pozostanę czysty i bez zmazy... Abym tylko nie musiał ukorzyć się przed wrogami...” – tak myślał.

Była to więc jego własna naga natura, że nie ugiął się przed wrogami; nie schylał karku wobec ludzi, których nie považał, lub tych, którzy mu stawiali opór. Całe życie przeciwstawiał im odpychającą szorstkość i chłodną hardość. Wobec przyjaciół był uległy i schylał przed nimi głowę aż do obłudy i fałszu... Kiedy po raz pierwszy zrozumiał, że kocha swą

młodziutką narzeczoną, rozgorzał cały i porzucił prostą drogę, a dusza jego wygięła się niby woskowa świeca od gorąca. Dlatego powinien był modlić się o odwagę, aby wyznać, że rumieni się z powodu swych błędów, o siłę, aby miał odwagę postępować uczciwie i mówić prawdę nie pytając, co sądzą o niej ci, których kochał.

Przez te wszystkie lata zawsze myślał, że jest człowiekiem opanowanym, twardym i nieugiętym. Sam wybrał gorzki los Kaina, a wybrał go dlatego, że musiał, ponieważ stał się panem i obrońcą chorowitej i niemądrej kobiety, z którą był od dziecka związany. Nieraz musiał zadawać sobie gwałt, aby postąpić tak jak człowiek twardy – zagłuszyć własne sumienie, które ostrzegało: Czy nie wiesz, jak łatwo człowiek w zaślepieniu posługuje się bezprawiem, gdy w grę wchodzi przyjaźń i miłość, gdy wabi rozkosz i pożądanie? Sam siebie przekonywał, że prowadzi wysoką grę, a tymczasem nie grał, tylko przesuwiał kostki jak dziecko! Nie wybrał losu Kaina, sam nigdy nie wiedział, kiedy wybiera...

Olaf zacisnął zęby. Miał wrażenie, jakby ktoś inny odczytał ten wyrok, on zaś pragnął się jeszcze bronić, pragnął go odeprzeć, ale wynurzyło się przed nim wspomnienie wieczoru w sadzie. Chociaż nie był już młody, wystarczyło jedno fałszywe mamiłło młodości, a już pozwalał się uwieść, już biegł, aby uchwycić płasającą przed nim zjawę. Oczywiście nie myślał nawet o popełnieniu grzechu, nie myślał w ogóle o niczym. To zaś, że istnieje ślepy młodzieniec, z którym codziennie ramię przy ramieniu słuchał Mszy świętej, nie przyszło mu nawet do głowy.

Ślina napłynęła mu do ust, jak w dzieciństwie, kiedy zobaczył padlinę, w której roiło się od robactwa...

Miękki, zapalczywy, nierozważny, z duszą o gładkiej skórze i mlecznych zębach: takim był on, mężczyzna blisko czterdziestoletni! Olaf roześmiał się głośno z rozpaczy. Nie, na Boga, tego wyroku nie potwierdzi!

Zamajaczyło przed nim senne widzenie poprzedniej nocy: w ciemności posłanie z liści, na nim coś białego i nagiego – zamordowane dziecko, podobne do tych, które malują na obrazach wyobrażających śmierć człowieka: dusza ulatuje ustami w postaci małego dziecięcia, a aniołowie i szatani walczą o nią...

Wstrząsnęło nim straszliwe przerażenie. Znów ogarnęło go uczucie, jakie miewał w dzieciństwie na widok robaków. I w dzikiej grozie, która go opanowała, kiedy dojrzał, co ukrywa sam przed sobą pod jawnymi zbrodniami, zbudziła się pokusa; dorzucić jeszcze więcej liści na zabite dziecko, zasłonić je całkiem i uciec...

Niby wypowiedziane za sobą usłyszał słowa: „Dziecinny, bez hartu i zastanowienia...” Nie, takiego świadectwa nie wystawiono by mu w ojczystej gminie! On – bez hartu? Wróciły wspomnienia przywołane bojową pieśnią; teraz wydały mu się zbawienną odsieczą. Nie mógł sądzić wszystkich swoich uczynków z lat dojrzałych według bezmyślnych głupstw, popełnionych wówczas, kiedy jako nieletni chłopiec wziął w ręce sprawę, której pomyślne zakończenie nawet od człowieka dorosłego wymagałoby sporo przytomności umysłu. Nie sposób ich także osądzić według lat, które przeżył w Hestviken, związany z kobietą niezdolną ani do życia, ani do śmierci. Zawsze był inny wtedy, kiedy mógł działać niczym nie skrupowany. Nie miał chyba potrzeby nazywać się słabym i czułego serca dlatego, że nie lubił niepotrzebnych i szalonych okrucieństw wuja Barnima. Nie był chyba miękki dlatego, że coś w nim sprzeciwiało się zabójstwu Teita – zgładzenie jego było wedle słów samego Teita jak łowy z sokołem na muchy. Czyż nie był równie odważny i nieustraszony w walce jak najdzielniejsi ludzie z drużyny jarla? Wierny towarzysz broni, lubiany przez rycerzy, zaprzyjaźniony prawie z wszystkimi, z nikim jednak zbyt bliski, gotów bronić sąsiada, ostrożny z tymi, którym ułał. „Boże, Tyś mógł ukształtować mój los tak, abym żył życiem prawdziwego

męża, abym mógł dokonać czynów wielkich jak moi ojcowie, Tyś mógł użyzyć mi chwały sławnej wyprawy – a jednak postawiłeś mnie tam, gdzie musiałem walczyć z chorobą i nieszczęściem, aż mnie samemu się zdawało, że zanurzam się po kolana w trzęsawisku... Czy dlatego jestem tchórzem, iż wiem, że nieraz bałem się, choć nikt nie widział mnie drżącym? Czy uganiałem się ślepo za własną zachcianką, porzucając list żelazny, dziedzictwo i żonę tej samej godziny, kiedy wszystkiego mogłem osiągnąć własnymi rękoma – aby iść znowu z moim pozbawionym praw panem?”

Na samą myśl o jarlu serce jego zaczęło znów drżeć w dawnej bezmiernej wierności. O nie! Jeżeli kiedykolwiek poszedł ślepo za własnym życzeniem, stało się to wtedy, gdy pociągnął za jarlem.

W tym czasie zapomniał prawie o Ingunie. Wiedział, że jest z nią związany, nigdy nie przestałby żądać, aby ich związek owej jesieni uprawomocnić zawarciem ułożonego niegdyś małżeństwa. Ale nie pamiętał o tym, że kocha swoją żonę. O swoim przywiązaniu do Alfa nie mówił nigdy z nikim; przeznaczenie dało mu kobietę za jedynego wiernego przyjaciela, a jakże ona miała pojąć miłość giermka do swego pana...?

Olaf wyprostował się w nagłym buncie. Przed nim wznosiły się korony drzew, czarne i olbrzymie, i przesłaniały gwiazdziste niebo. Miał uczucie, że ucieka w głąb lasu i że trzyma w dłoniach siebie samego jak zdobycz. W tym miejscu leśna ścieżka opadała tak stromo, że Olaf potykał się prawie na każdym kroku. Czarno było tutaj, nisko pod ogromną kopułą liści, niczym w borsuczej norze, ścieżka zaś pełna była poskręcanych korzeni i gałązów. Olaf zrozumiał, że oddalił się od wygodnej, szerokiej drogi, którą szedł przedtem. To napełniło go osobliwym uczuciem lekkości. Teraz musiał próbować nogami, gdzie stąpa, i zastanawiać się, w jakim kierunku idzie, i czy mu się uda dostać do ludzi, którzy by go przenocowali. Tutaj,

w tym kraju nie można było iść do pierwszego lepszego z brzegu dworu i prosić o nocleg, tak jak się to robiło w Norwegii.

Gdy zatrzymał się na chwilę, by wysypać ziemię z obuwia, poczuł znowu ten sam przenikliwy swąd dymu, który zauważył już przedtem, siedząc na górze. Musiał to być ogień w lesie – o tak późnej porze nikt już chyba nie palił ognia w domu. W takim razie będą to ludzie nocujący w lesie. Olaf wyciągnął miecz spod kaftana i przesunął go tak, aby go mieć w pogotowiu. Na wszelki wypadek spróbował, czy miecz tkwi dość luźno w pochwie, potem wziął go w lewą rękę, i powoli, spokojnie poszedł dalej.

Dróżka okrążała jakby występ, na którym nic nie rośnie i który zbiegał na dno doliny. Nieco dalej w dół, wprost przed sobą dojrzał ognisko płonące w zaroślach.

Ten widok nappełnił go niewymowną radością. Różni włóczędzy mogli nocować tu w lesie – to prawda. Olaf jednak ucieszył się na samą myśl, że spotka wreszcie kogoś – niech to będzie kto bądź, byleby tylko uciec przed samotnością.

Widział już wyraźnie ognisko między drzewami i usłyszał trzask. Ognisko rzucało blask na małą polankę u stóp lesistego zbocza po drugiej stronie rzeki, odbijało się czerwoną plamą w czarnej, płynącej wodzie. Olaf spostrzegł przed ogniem czarnych mężczyzn i usłyszał głosy.

Ścieżka wyprowadziła go przez kładkę na polankę. Mężczyźni leżący dokoła ognia nie zauważyli zbliżającego się człowieka; właśnie rzucili spore naręcze suchego chrustu na płomienie. Byli to trzech młodzi chłopcy ubrani wcale przyzwoicie, wyglądający na porządnych ludzi. Olaf zawołał na nich.

Porwali się z miejsca. Olaf lewą ręką przytrzymał ściśle okrycie. W chwili gdy przekraczał krąg światła, przyszło mu na myśl, że uczyniłby roztropniej, gdyby najpierw ściągnął z palców dwa złote pierścienie z drogimi kamieniami, które miał na tej ręce. Teraz jednak

było już za późno. Pozdrowił młodzieńców i zapytał, jak umiał, czy tędy prowadzi droga do Londynu.

O ile mógł zrozumieć z ich odpowiedzi, ta droga nie prowadziła do miasta. Mężczyźni wskazali mu rękoma w dół, z biegiem strumienia i potem na wzgórze. Rzecz miała się tak, że droga do miasta wiodła przez wyżynę w kierunku południowo-zachodnim, sądzili jednak, że Olaf nie odnajdzie jej po ciemku. Uważali, że lepiej będzie, jeżeli zostanie z nimi, póki się nie rozjaśni. Olaf skinął głową i podziękował im.

Rzucili mu parę wiązek świeżych gałęzi. Olaf rozpostarł je i ułożył się obok ognia. To mu dobrze zrobiło. Teraz dopiero poczuł śmiertelne znużenie, a głód skręcał mu kiszki; tego dnia jadł tylko raz przed wieloma godzinami. Pragnął wręcz, aby nieznajomi poczęstowali go czymś do jedzenia, nie zrobili tego jednak; sami byli już po wieczerzy, bo zawiązali swoje sakwy i dwóch z nich ułożyło się na liściastych posłaniach. Trzeci miał prawdopodobnie czuwać. Więc Olaf nie chciał pytać o jedzenie.

Leżeli i rozmawiali trochę. Mężczyźni pochodzili z zachodnich stron kraju – Olaf słyszał, że mówili nieco inaczej niż ludzie w Londynie. Na ich pytania odpowiedział, że był na odpuszcie w kościele Matki Boskiej z Dębu i tam stracił z oczu towarzyszy, a także że jest Norwegiem. Ale rozmowa nie bardzo się kleiła. Jeden z obcych zaczął wkrótce chrapać. Zaraz potem Olaf zasnął.

Kiedy się obudził, była jeszcze noc, lecz mrok wydawał się nie tak gęsty; już prawie zaczynało szarzeć. Spał mocno i bez snów, a zbudził go chłód. Ognisko wypaliło się niemal zupełnie, a ten, który miał czuwać, siedział i spał widać również.

Olaf podniósł się bez szelestu i poszedł ku rzece, aby przynajmniej napić się wody. Ukłękł i zaczerpnął jej ręką... w następnym momencie zerwał się jednym skokiem – czuł, że ktoś skrada się za nim. Nie było czasu na wydobycie miecza – rzucił się na nadchodzącego. Poczuł, jak



nóż zadrasnął mu twarz, szczęśliwym trafem nie ugodził w oko. Ale trzymał napastnika mocno przyciśniętego do ziemi i w ten sposób prawie zagłuszył jego krzyki. „Nóż” – pomyślał Olaf, ale nie mogąc puścić opryszka, podciągnął kolano i kopał go między żebra. Prawie nie czuł, że jednocześnie otrzymał ranę w udo, w chwili gdy wrywał tamtemu nóż. Nieznajomy mógł teraz łatwiej go chwycić – spleceni ze sobą szamotali się i pasowali w ciemności usiłując zepchnąć się nawzajem do rzeki. Zapach tego mężczyzny i gorące zwarcie się z przeciwnikiem z krwi i kości przeniknęło Olafa głęboką, niezmierną rozkoszą. Całą siłą rzucił się w tę walkę jak człowiek, który opiera się o okute żelazem wrota, aby powstrzymać natarcie wroga.

Nagle usłyszał, że tamci dwaj nadbiegają – równocześnie udało mu się odrzucić przeciwnika; ciało jego z głuchym łoskotem upadło w krzaki. Olaf wyciągnął miecz i biegł pod górę, naprzeciw tamtym, nie pamiętając, że zamiast uciekać, sam z nimi szuka spotkania. W ciemności wytrącił komuś jakąś broń z ręki, prawdopodobnie topór, rąbał dokoła i czuł, że dobrze trafia, bo ktoś krzyknął, zachwiał się i runął na ziemię. Gdy znów uderzył mieczem, natrafił już tylko na próżnię. Pobiegł dalej do kładki. Była za daleko – Olaf rozpedził się i skoczył do rzeki.

Zrobił parę ruchów, potem trafił na dno, a gdy się wyprostował, stał po biodra w wodzie. Lecz dno było zamulone i wciągało go. Chwycił się zwisających nad rzeką gałęzi, korzenia, darń obsunęła się jednak pod jego kolanami, ziemia i żwir stoczyły się z szelestem do wody. Po chwili stał już na przeciwległym brzegu. Łotrzykowie z drugiej strony wrzeszczeli na całe gardło...

Olaf zrzucił ociekające wodą okrycie i owinął je dokoła lewego ramienia. Wpadł w gęstwinę, przebijał się przez podszybie lasu, z nagim mieczem w prawej dłoni. Dopiero teraz zauważył, że został ranny w rękę, prawdopodobnie w chwili wydzierania noża pierwszemu przeciwnikowi.

Od czasu do czasu przystawał i nasłuchiwał – tamci byli z pewnością na kładce; nie mieli widać odwagi ścigać go, rozumieli też może, że niepewne to przedsięwzięcie w ciemnościach i w gęstym podszyciu lasu; w dodatku był to las pełen ciemistych krzaków i dzikich ożyn.

Olaf przedarł się wreszcie przez zbrocze osłaniając twarz, jak mógł, lewym ramieniem okręconym w płaszcz. Wyszedłszy na wyżynę, po pewnym czasie natrafił na szeroką drogę. Niebo rozjaśniło się, gwiazdy gasły i bladły, las nabrzmiał był ciemnością w pierwszym przeblysku rannej godziny.

Olaf znów stanął i wyteżył słuch. Nie słyszał już zupełnie ludzkich głosów, żaden dźwięk go nie dochodził poza cichutkim szelestem jakiegoś małego stworzenia w podszyciu, na którym jaśniały opadłe liście. W tym miejscu las był wysokopienny, bukowy, wilgotny.

Szedł dalej nieco wolniej i teraz czuł wielki ciężar objającego mu się o nogi przemoczonego ubrania. Był mokry od stóp do głów, toteż idąc równym krokiem po pewnym czasie poczuł dotkliwie zimno; lodowate odzienie przyłgnęło do ciała.

W pewnym sensie dobrze mu to zrobiło. Zupełnie na trzeźwo i z dziwną obojętnością przypomniał sobie rwący tok wewnętrznych wydarzeń, który porwał go w swój wir od ubiegłego wieczora do północy... To, co się potem wydarzyło, walka ze zbójami i ucieczka przez najeżony kolcami las, wzniosło jak gdyby ogromną zaporę między nim a czasem jego jasnowidzenia. Zdawał sobie sprawę, że tego, co widział, nie dojrzał przy pomocy sił tkwiących w nim samym; była to światłość płynąca z zewnątrz. Miał pełną świadomość, iż przeciw tej sile wezwał na pomoc zastępy, których człowiek nigdy nie wzywa nadaremnie do walki z prawdą – i że udzielono mu pomocy. Wiedział również, że gdyby w tej godzinie zdolny był widzieć jasno i zrozumieć dokładnie to, co uczynił, zrozumieć nie tylko głową, ale także sercem – musiałyby być pograżony

w rozpaczy. Ale odczuwał ulgę, a chłód mokrych szat spowijał go i gasił wewnętrzną burzę, jak gasi się ogień mokrymi żaglami.

Otarł twarz i zauważył, że jest zalana krwią i rozdrapana cierniami, a krew ciekła również po wewnętrznej stronie prawego uda. Po chwili zaczął nawet utykać, ale nie ustawał: miał po prostu uczucie, że nie może ani na chwilę się zatrzymać. Szedł więc i szedł, zmorzony sennością.

Mgła podniosła się tymczasem ze wszystkich zagłębień ziemi.

Nagle gęsta i biała skłębiła się dokoła samotnego wędrowca, przesłoniła błękit nieba i zgasiła ostatnie gwiazdy. W końcu Olaf szedł już na pół drzemiąc, co chwilę potykając się w głębokich koleinach, z których wyrwana była darń przydrożna. I znów na mgnienie oka wracał do przytomności.

W wilgotnej, tłumiącej wszystkie odgłosy mgle drzewa zdawały się rozrastać do ogromnych rozmiarów. Coś jak iskra przeszło umęczoną głowę Olafa – ostatni błysk światła zjaw, w którym przebywał od niedawna i z którego uciekł. Iskra równie prędko zniknęła.

Trawa ociekała rosą, przygięta jej srebrzystymi, ciężkimi kroplami. Droga wiodła pomiędzy starymi, wielkimi dębami; w gąszczu podsycia pająki rozpinały swoją przędzę na krzakach pokrytych perlami rosy. Olaf stanął zamarznięty do szpiku kości, a gdy ruszył znowu dalej, poczuł ból w prawej zdrtwiałej nodze; pończocha była sztywna i zlepiona krwią.

Po pewnym czasie wy dostał się na jakieś pole, gdzie we mgle pasła się łaciata trzoda. Olaf zawołał na starego pastucha, lecz nie otrzymał zrozumiałej odpowiedzi. Ale już po chwili znalazł się na wiejskim trakcie i mógł rozpytać o dalszą drogę. Przekroczył bramę Londynu właśnie w chwili, kiedy słońce przedarło się przez całun mgieł i rozdzwoniły się wszystkie dzwony w mieście. Wszedł przez jedną z bram wschodnich, musiał więc chyba tej nocy obejść nie byle jaki szmat drogi. Nie patrzył ani w prawo, ani w lewo. Na pół we śnie kuśtykał przez miasto, zabłocony,

obdarty, z zakrwawioną twarzą. Na przystani odszukał przewoźnika, który przewiózł go na statek.

Towarzysze Olafa wrócili poprzedniego wieczoru. Uradowali się ujrzawszy Olafa. Opowiedział im, że w borze otoczyło go paru mężczyzn, którzy go chcieli ograbić; zdołał im się wprawdzie wyrwać i zbiec w ciemności, ale potem zabłądził. Zresztą niewiele o tym mówili. Lecz gdy Galfrid chciał mu pomóc i obmyć zakrzepłą krew, a Leif przyniósł miskę z wodą, chłopak nie mógł się jednak powstrzymać.

– No, więc ostatecznie ty oberwałeś, Olafie, a nie ja – odezwał się z filuternym uśmiechem.

– Aha, różnie to bywa – Olaf wzruszył ramionami.

Galfrid przewiązał mu rękę i udo. Inne draśnięcia nie były godne uwagi.

W następnym tygodniu, dopóki stali jeszcze w porcie londyńskim, Olaf przebywał przeważnie na statku. Potem pożęglowali z powrotem do domu.

Pewnego poranka z rześkim wiatrem północnym Olaf wracał do domu przez fiord Oslo. Dzień był słoneczny i piękny, granatowy fiord wieńczyły białe piany. Każde drzewo na lesistych zboczach wybrzeża świeciło i jaśniało, wiatr zmiatał pierwsze złote liście z koron brzoź. Błyszczące grzywy fal zalewały szkery i przylądki pokryte pożółkłą, spaloną słońcem trawą. Olaf czuł, że nawet bijące w niego i zalewające go słońce bryzgi są dobre i swojskie, zupełnie inne niż na pełnym, pustym morzu. Siedział oto znowu we własnej łodzi przy wiosle: już dość długo przebywał z dala od swych bliskich. W Hestviken wszystko jest w porządku, opowiadał Arnketil. Olaf krzyknął coś do Eirika na dziobie łodzi; chłopiec wstał właśnie i o mało nie upadł na ławkę, bo łódź w tej chwili przechyliła się, uniesiona falą.

Eirik pojechał z Ankim do Oslo, po ojca. Urósł zadziwiająco podczas jego nieobecności. W ciągu paru dni pobytu w mieście nie miał Olaf jednak sposobności mówić z nim wiele, poza tym Eirik zamęczał go ciągłymi pytaniami o pobyt w Anglii. Olaf nie bardzo był zadowolony z wyników podróży; zysk został niemal całkowicie pochłonięty przez wydatki, tak że wołał już więcej o tym nie rozmawiać. Z pewnym zdumieniem zauważył również, że Eirik ośmiela mu się sprzeciwiać, uparcie i krnąbrnie. Widać nie wyszło chłopcu na dobre, że przez lato puszczone był samopas i nie czuł nad sobą nikogo, z kim musiałby się liczyć. Ale żeglując teraz znaną sobie dobrze drogą obok wyspy Haa i cieśniny Haugsvik, Olaf skłonny był puścić w niepamięć zachowanie się chłopca i okazać mu życzliwość; toteż kiedy Eirik kołysząc się przeszedł na tył łodzi i usiadł na ławce naprzeciw ojca, Olaf skinął do niego z uśmiechem głową. Eirik opowiadał głośno i z przejęciem o jakimś zabójstwie, które miało miejsce w gminie w wigilię

świętego Jakuba<sup>[12]</sup>, i o tym, że pozwolono mu pojechać z Baardem ze Skikkjustad na wiec. Olaf kiwał głową obojętnie. Nie znał ani zabitego, ani mordercy; byli to jacyś obcy parobcy służący w jednym z dworów na północy, w leśnej gminie.

– A Fager ocielila się – ciągnął Eirik – ma dwoje cieląt.

– Hm, to mi dopiero nowiny – Olaf roześmiał się.

– Ragna zaś powiła na świętego Kmita dwóch synów...

– O, to niedobrze – stwierdził Olaf z uśmiechem. – To za dużo dzieci, a Ragna jest sama. – Ragna, dziewczka stajenna, owdowiała na Nowy Rok i miała już jedną córkę.

Eirik, rozweselony, odpowiedział, że Cecylia o mały włos nie postarała się o to, aby tych dzieci było mniej. Lubiała maleńkie bliźnięta i pewnego dnia, kiedy Ragny nie było w izbie, Cecylia weszła i wetknęła jednemu z niemowląt pełną garść dzięglu do ust, aby je uspokoić. Dziecko omal nie przypląciło tego życiem.

Olaf potrząsnął głową i śmiał się.

Kiedy łódź przybiła do brzegu, psy rzuciły się na niego jak szalone, skowycząc i szczekając z radości. Stał teraz w swojej własnej przystani, witał się z ludźmi, podając im rękę, a psy obszczekiwały go, kłapiąc pyskami i liżąc mu twarz.

Liv wypchnęła naprzód Cecylię. Dziewczynka ubrana była w spłowiata czerwoną sukienkę, widać było, że już z niej wyrasta, w słońcu jednak sukienka i tak jaśniała; włosy dziecka okalały srebrzystą powiewną aureolą białą, okrągłą twarzyczkę. Wyglądała zdrowo. Jej mlecznobiała cera robiła wrażenie świeżej niby trawa i kwiaty. Ogromne oczy były zupełnie jasne, modroszare, czy też zielonkawe jak morska toń. Patrzyła na ojca, jak gdyby nie poznawała go, gdy pochylił się nad nią i mówił do niej. Olaf wziął córkę za rękę i poprowadził do domu otoczony

[12] Świętego Jakuba – 25 lipca. (Przyp. tłum.)

skaczącymi psami i czeladzią, która szła nieco w tyle za nimi.

Szedł pod górę ścieżką, która wiodła wzdłuż Dobrego Pola. Zboże było białe i pełne; Olaf poczuł szczególną ulgę w sercu; niewiele chwastów wyrosło tego lata. Było tak, jak gdyby jego żywot sprzęgnięty był w jakiś tajemniczy sposób z tym polem. Należało jednak wcześniej zżąć zboże, bo wiatr położył je trochę.

– Słyszałem, ojcze, żeś mi przywiózł piękne podarki – szepnęła Cecylia. To były pierwsze słowa dziecka.

– No, skoro tak słyszałaś, musi to być chyba prawda – odparł Olaf z uśmiechem.

Wieczorem siedział na swym poczesnym miejscu, pod dłońmi czuł rzeźbione głowy wytartych poręczy, głowę oparł o stary dywan, zasłaniający belki na ścianach. W myśli przechodził raz jeszcze wszystko, co widział i zrobił w ciągu dnia, podczas gdy spojrzeniem ścigał bezmyślnie blask ognia płaszący po zadymionych ścianach.

Przepelniała go nieokreślona błogość i szczególnie wyczekiwanie przeszłości. Uczucia te nie przybierały wyraźnej postaci, lecz po raz pierwszy pomyślał bez bólu, że Inguny nie ma już na świecie. Pustkę po niej odczuwał podobnie jak ów cielesny spokój, który następuje po odcięciu ropiejącego, bolącego członka ciała, gdy rana po nim się zagoi. Olaf nie uświadamiał sobie tego prawie wcale, ale od owego wieczoru w ogrodzie obcej kobiety stracił wszelką ochotę do myślenia o Ingunie. Pamięć o hańbie przygody jakby skaziła leżące głębiej wspomnienia.

Liv weszła do izby, przekręciła kocioł nad ogniem, dorzuciła drew. „Nieprawdopodobnie brzydka – pomyślał w duchu Olaf. – Trudno wprost

uwierzyć, że chłopaki z nią się zadają.” A przecie widoczne było, że to robią...

– Spóźniasz się dzisiaj z wieczerzą, Liv – powiedział, a dziewczka wyszczerzyła zęby, szczęśliwa jak zawsze, gdy pan choćby jednym słowem zwracał się do niej.

Drzwi były na oścież otwarte dla przewiewu, z dziedzińca dochodził szcęk podków na skalistym gruncie. Po chwili w mroku przedsionka ukazała się jasna główka Cecylii. Olaf patrzył na nią, gdy przelażyła przez próg. Dziewczynka zbliżyła się do paleniska, blask ognia padł na jej czerwoną sukienkę i jasne włosy; zebrała kilka ziaren kaszy, rozsypanych z garnka na kamienne obmurowanie i włożyła je do ust.

– Chodź do mnie, Cecyljo – zawołał Olaf cicho. Dziecko podeszło i stanęło obok ojca.

– Czyś schował już mój różaniec, ojczcie?

– Tak. – Olaf wyciągnął ręce i chciał posadzić sobie dziecko na kolanach. Lecz mała wysliznęła się i pobiegła z powrotem do ognia.

Kasza gotowała się już i wzdymała małymi bąbelkami. Olaf cieszył się, że dostanie kaszę i piwo; odkąd wyjechał z domu, nie jadł gotowanej strawy.

Zanim udał się na spoczynek, poszedł się jeszcze przejść po dziedzińcu. Wiatr ucichł pod wieczór, fiord szeptał i wzdychał w nadbrzeżnych trawach u stóp wzgórza. Było ciemno na dworze, gwiazdy świeciły jasno; bardzo możliwe, że przed świtem spadnie szron. Olaf skierował się ku stajniom, skąd dochodziło stłumione stukanie w ścianę. Zatrzymał się chwilę, potem otworzył drzwi. Podeszedł do kłaczy Ran, przemówił do



niej kilka razy – nazwano ją Ran dlatego, że była ciemnej maści – wciągał z przyjemnością głębokimi wdechami cierpką woń stajni.

Na górze, na wschód od stodoły znów przystanął, nasłuchiwał słabego jesiennego szmeru rzeki w dolinie i patrzył na gwiazdy płonące nad czarnym, lesistym wzgórzem. Rozpoznał jasną smugę wzdłuż wybrzeża fiordu, tam gdzie morze rozbijało się o skały. W głębi doliny bieleły pola pod zasłoną ciemności.

„Bóg” – przemknęło mu nagle przez głowę... Patrzył właśnie na wielką gwiazdę błyszczącą między szczytami drzew. I przypomniał sobie ową usianą gwiazdami noc w Anglii, kiedy zatrzymał go i przemówił do niego głos, o którym żaden człowiek nie pamięta, jeśli go słuchać nie chce. Olaf chciał go słuchać – i teraz miał wrażenie, że ucieka i kryje się, że wpełza pod zboże dojrzałe i blade w nocnym mroku. Wyciągnął się na surowej zimnej ziemi i schował się...

Zresztą naprawdę wygląda tak, jak powiadali ludzie: dziwnie martwo było tu, w Hestviken. Starzy ludzie twierdzili, że to Olaf Półmnich przegnał wszystkie duchy i podziemne moce – poza jednym duchem, nad którym nie posiadał władzy. Nikt nie wiedział dokładnie, jakiego rodzaju jest ta istota. Przebywała przeważnie w pobliżu mostu przed ujściem rzeki i ukazywała się w postaci nadnaturalnej wielkości jaźwca na trzech nogach, nie wyrządzając nikomu krzywdy ani przysługi. W tej chwili Olaf niemal pragnął, aby wokoło dworu w Hestviken było więcej życia...

Powoli zszedł z powrotem do izby i położył się spać.

W chwili gdy już zasypiał, przyszło mu coś na myśl – Liv. Żeby tylko ludziom w gminie nie przewidziało się, że to jego sprawka. Natychmiast rozbudził się, całkiem wytrzeźwiony. Zawsze miał wstręt do tej krótkonogiej, rozpustnej dziewczyny, podobnej do żaby; wolałby, aby ludzie wszystko raczej o nim myśleli, tylko nie to, że dzielił z nią jej wstrętne łoże. Tym: razem musi postarać się, by ją wydać za mąż i oddalić

stąd jak najprędzej. Najłatwiej chyba będzie skłonić do tego Arnketila. Olaf leżał jeszcze długo bezsennie, dręczony niepokojem.

Nazajutrz rozmówił się z Liv. Dziewczyna chichotała i próbowała się wykręcić, ale w końcu przyznała, że dziecko jest prawdopodobnie Arnketila. Z początku okazywała mierną tylko radość, gdy Olaf oznajmił, że chce im dopomóc w ożenku. Ale potem zmieniła zachowanie; zaczęła mu dziękować i wychwalać jego dobroć. Spodziewała się widocznie, iż ona z Arnketilem zostaną rządcami we dworze. Olaf oświadczył krótko i stanowczo, że nie jest to wcale jego zamiarem. Chce im dopomóc w założeniu własnego gospodarstwa.

Sam nie wiedział, w jaki sposób ma tego dokonać. Nie mógł przecie wypędzić żadnego ze swych dzierżawców. Jedynie w Rundmyr nikt nie mieszkał...

Przez te wszystkie lata, odkąd Torhilda córka Björna przeniosła się do Hestviken, kazał Olaf uprawiać pola w Rundmyr dla niej i jej rodzeństwa. Ale z biegiem lat większość pól pozostawiono odłogiem, nie było bowiem możliwości uprawiania ich; Olaf używał ich więc tylko jako pastwiska, domy zaś stały pustką. Niekiedy zamieszkiwali w nich najstarsi synowi Björna i Gudrydy. Wdali się oni w matkę, mieli naturę włóczęgów i nie cieszyli się zaufaniem ludzi. Najstarszy, Egil, liczył obecnie przeszło dwadzieścia lat. Od czasu, gdy Olaf zgrzeszył z ich przyrodnią siostrą, Egil ilekroć był w potrzebie zjawiał się w Hestviken, żądał rzeczy możliwych i niemożliwych, jakby to było jego prawem, dawał do zrozumienia, iż jest synem zacnego człowieka i że Olaf nieprędko będzie mógł powiedzieć, iż odpokutował hańbę, jaką ściągnął na ich ród. Olaf poddawał się temu, chociaż swego czasu zapłacił braciom pełny okup za uwiedzenie Torhildy i wyposażył hojnie i ją, i dziecko – ale Egil prawdopodobnie nigdy nie był u przyrodniej siostry. Teraz Olaf pomyślał, że przez kupno Rundmyr uzyska jeszcze i to, że pozbędzie się najbliższego sąsiedztwa Egila.

Gdy jednak wezwał Arnketila, nie mógł się zdobyć na to, by omówić z nim tę sprawę. Parobek wyglądał jak uosobienie nędzy i głupoty: długie, Hakowate ciało o zwisających kończynach i zbyt małej głowie, osadzonej na cienkiej i żyłastej szyi, z której wyskakiwała wielka grdyka. Twarz jego była brudna i blada, nie sposób było poznać, ile ma lat. Nie mógł jednak mieć dużo więcej niż dwadzieścia pięć albo sześć, ponieważ wtedy, kiedy rozpoczął służbę u Olafa, był zaledwie wyrostkiem. Anki był prawdziwym matołkiem, z całą pewnością brakowało mu kilku klepek. Mimo to na swój sposób był dobrym pracownikiem i zawsze służył wiernie Olafowi, póki nie zaczął zadawać się z Liv. Dziewka namawiała go nie tylko do kradzieży, ale także do okłamywania pana i chociaż sama nie posiadała krzty rozumu, w takich rzeczach była szczególnie chytra. Olafowi żal się zrobiło przyglądka i nie wspomniął o ożenku.

Ale w parę dni później Olaf przemoczony i zmęczony wszedł na wieczerzę do izby. Liv roznosiła miski z jadłem – odkąd była szafarką, nigdy prawie nie ustawiano stołu. Eirik usiadł na ławie dość daleko od ojca, obok Arnketila. Jakieś głupstwo czy też psota sprawiała im taką uciechę, że bez przerwy musieli wpatrywać się w miski na kolanach, aby nie parsknąć śmiechem, od czasu do czasu jednak nie mogli się od tego powstrzymać. Olaf rzucił ku nim parę razy groźne spojrzenie, ale w końcu Eirik nie wytrzymał, pochylił się naprzód tłumiąc śmiech i kasza trysnęła mu z nosa i ust. Wtedy Arnketil nie mógł już dłużej zapanować nad sobą, zaczął się śmiać, do krtani dostało mu się kilka ziarenek kaszy, kaszłał więc i kaszłał, i śmiał się na przemiany, aż łzy ciekły mu z oczu; Eirik zanosił się od gwałtownego śmiechu.

Olaf obrócił się ostro w ich stronę. Eirik zerwał się i wybiegł z izby rycząc ze śmiechu, Arnketil zaś upuścił miskę na ziemię, do reszty stracił panowanie nad sobą śmiejąc się do rozpuku, a Liv stała obok i szczerzyła zęby, nie wiedząc nawet, co napawa chłopaków taką nieprzystojną

wesołością.

Po wieczerzy Olaf zabrał z sobą Arnketila i oznajmił mu, że ma zamiar ożenienia go z Liv. Parobek odpowiedział potulnie i zdawał się zadowolony. Olafowi znowu żal się go zrobiło. Bóg raczy wiedzieć, jak to stadło gospodarzyć będzie na Rundmyr. Ale już musiało tak być – w razie potrzeby nie odmówi im pomocy.

W nocy Olaf leżał i rozmyślał; a może by jednak zostawić ich dalej w Hestviken? Ale w końcu rozstrzygnął, że nie. Liv kiepsko gospodarzyła podczas jego nieobecności, poza tym jeśli pozostaną tutaj z dziećmi, z kilkoma sztukami bydła i świń – za dużo byłoby niepokoju we dworze. Ragny bowiem z jej trojgiem dzieci nie mógł się pozbyć. Była zaciętą kobietą, wdową po prawym człowieku, i miała, zdaje się, szczęśliwą rękę do bydła.

Nazajutrz pod wieczór Olaf wziął najmniejszą łódkę i przeprowił się na drugą stronę fiordu. Droga przez góry okazała się dalsza, aniżeli sobie przypominał.

Od czasu do czasu zatrzymywał się, niepewny, czy dobrze idzie. Ale pytać nie chciał.

Dzień był ciemnobłękitny i cichy pod ciężkimi chmurami. Lecz akurat w tej chwili ze szpary między nimi wyjrzało oko słońca, tak że iglasty bór rozbłysnął ciemną zielenią, a żółte liściaste zagajniki zarysowały się szczególnie mocną barwą na tle ponurego, siniego nieba. Drżały poząłkłe listeczki osiki, korony drzew tu, na górze, były już bardzo przeredzone, a ścieżka pod drzewem prześwitywała jasną smugą opadłego listowia. Leśny grunt ział chłodem, jak zawsze w jesieni, chociażby nawet suchej.

Wreszcie Olaf rozpoznał znów okolicę. Za wielkim moczarem otoczonym czerwonymi kępami wrzосу i srebrzystą wełnianką stał dwór; aby go postawić, wykarczowano Auken. Uszedłszy kawałek lasem Olaf natrafił na ogrodzenie i ujrzał żółte, nowo zbudowane domy na rozległym kamienistym wzgórzu; pod nimi rozciągały się małe pólka, na których zboże stało w stogach.

Droga wiodła skrajem pól, obok kilku wielkich stosów kamieni. W pewnym miejscu skręcała i Olaf zobaczył nagle tuż przed sobą dziecko, dwuletniego chłopaczka o jasnych jak len włosach, wijących się dokoła karku. Chłopczyk bawił się pod stosem kamieni i zbierał maliny. Spostrzegłszy zbliżającego się człowieka, odwrócił się. Miał na sobie skórzane pończochy, o wiele za duże, obwiązany więc był szelkami przez piersi i plecy, we wszystkich kierunkach. Bajowa koszulina wyzierała z otworków z przodu i z tyłu, co wyglądało śmiesznie. Ale pomimo to dziecko było wyjątkowo śliczne.

Olaf przystanął i chłopczek podniósł oczy; mała, zawałana malinami twarzyczka ściągnęła się w płacliwym grymasie. Olaf rozejrzał się dokoła i teraz spostrzegł Torhildę. Wyprostowała się właśnie nad jasnym łąnem zboża. Popatrzyła w jego stronę, potem odłożyła sierp, rozluźniła chustkę, która ześliznęła się jej na szyję, i obwiązała nią włosy. Była tak samo ubrana jak zwykle, kiedy szła do pracy; w białoszarą wełnianą koszulę sięgającą kostek i przewiązaną zwyczajnym tkanym pasem. Bose nogi tkwiły w grubych chodakach. Nie wyglądała ani młodziej, ani starzej niż przez wszystkie te lata, odkąd Olaf ją znał. Ale gdy zbliżała się teraz do niego z sierpem w dłoni, wydała mu się piękna, tak dumnie, prosto i silnie stąpała.

Pozdrowili się cicho. Torhilda powiedziała:

– A to mi niespodzianka. Czy bawisz dziś w tych stronach?

– Tak, mam tu coś do załatwienia.

Torhilda położyła sierp na kamieniach, schyliła się i wzięła dziecko na ręce.

– Jak on wygląda w tych pończochach! – rzekła jakby dla usprawiedliwienia. – Ale roi się tu od węży i boję się puszczać go bosy...

Poszli razem w górę ku zabudowaniom. W izbie poprosiła gościa, aby usiadł.

– Jesteś pewnie spragniony? – Przyniosła z komory czarę pieniącego się piwa i przepiła do niego. – Uwarzyłam je niedawno na świętego Michała.

Olaf siedział i wdychał znowu nikłą, lotną woń zwiędłych wianków kwiatnych, które Torhilda rozwieszała zawsze w izbie przeciw robactwu. Ona tymczasem weszła za łożo, narzuciła na roboczy strój zieloną szatę i wdziała pas z miedzianą klamrą, który nosiła w mniejsze święta. Potem usiadła z chłopczykiem na kolanach i ubrała go. Czyniąc to, rozpytywała Olafa o ludzi z Hestviken, o Cecylię i Eirika, oraz o żniwa.

Olaf odparł, że lato spędził poza krajem.

– Tak, wiem, doszły mnie o tym słuchy. I w dodatku byłeś w dalekiej podróży. Zresztą można się było tego spodziewać. Teraz, kiedy jesteś wolnym człowiekiem, miałeś pewnie ochotę rozejrzeć się po świecie...

Przyniosła posiłek dla gościa, sama zaś stanęła w pewnej odległości z dzieckiem na ręku. Olaf nie mógł się powstrzymać i rzekł spuszczać oczy:

– Malec wydaje mi się duży na swój wiek. Ma ze dwie zimy, tak?

– Powiadają, że jest duży. – Matka pochyliła głowę i musnęła twarzą liczko dziecka. Ale chłopczyk zaczął się wzdragać i wyrwać, chciał stanąć na ziemi, Torhilda puściła go więc. Podszedł od razu do obcego mężczyzny i stanął przy nim nie spuszczać z niego oczu. Ale po chwili rozmyślił się i podreptał do kąta, tam przykucnął i zaczął się bawić.

Olaf poprosił Torhildę, aby usiadła.

– Chciałbym pomówić z tobą – rzekł.

Młoda kobieta zabrała miskę i odstawiła ją. Po czym usiadła na krawędzi paleniska naprzeciw niego i z rękami na kolanach patrzyła wyczekująco w podłogę. Olaf wyjaśnił, po co przyszedł.

– Co do Rundmyr, muszę się porozumieć z braćmi – oświadczyła, gdy skończył. – Oczywiście, masz pełne prawo oczekiwać, że ułatwię ci tę sprawę, po nas wszystkich możesz się tego spodziewać. Ale chciałabym wiedzieć, Olafie, czy to mądrze z twej strony posadzić takich ludzi jak Liv i Anki tak blisko twego dworu?

– Sam już o tym myślałem; uważasz zapewne, że polegać na nich nie można. Ale w ciągu roku nie zwędzą tyle, abym nie potrafił znieść tej straty i zbiedniał całkowicie. A nie widzę dla nich innego wyjścia.

Torhilda przyrzekła pomówić z braćmi.

Potem wyszli na dwór, aby rozejrzeć się nieco w obejściu. Torhilda zabrała skopek na mleko. Tuż za płotem pasły się w lesie dwie krowy i jedna piękna jałówka. Olaf przechylił się przez płot i patrzył, jak doiła krowę. Zamienili kilka słów o pogodzie, o bydło. Mały Björn przydreptał za nimi i chciał wdrapać się na płot, aby popatrzeć na matkę. Olaf wziął go na ręce, pomógł mu wspiąć się na górę i trzymał go rozmawiając z Torhildą.

Z lasu wyszło troje większych dzieci z płozami pełnymi gałęzi; dwaj chłopcy ciągnęli, a dziewczyna popychała je z tyłu. Olaf poznał Kaarego i Ranveię, najmłodszych z przyrodniego rodzeństwa Torhildy. Przywitał ich serdecznie – dzieci wyrosły przecież w Hestviken.

Trzeci chłopiec był wysokim, smukłym i jasnym wyrostkiem o płaskim, długim podbródku i zlepionych włosach; wyglądał nieco głupkowato. Torhilda jednak powiedziała, że ma w nim dużą pomoc.

– Ketil to mój pierwszy parobek. Przed czternastu laty znalezione go tu, noworodka, pod krzyżem na rozstaju. Starzy ludzie, co się nim dotąd

opiekowali, umarli, w ten sposób dostał się na Auken.

Poszli z powrotem do domu i Olaf oświadczył, że równie pięknego zboża jak na Auken nie widział tego roku nigdzie.

– W takim razie posłę ci miarkę ziarna siewnego, Olafie – odparła Torhilda z uśmiechem – o ile zechcesz przyjąć ode mnie ten skromny dar.

– Dzięki ci, ale to stanowczo za dużo.

Dzieci siedziały już przy posiłku, kiedy Olaf z Torhilda weszli do izby. Oznajmiła im, że tej nocy muszą spać w oborze: – Mamy gościa, który przybył z daleka.

Dzieci wyszły natychmiast. Torhilda wyjęła ze skrzyni poduszkę oraz dwa kawałki samodziału tkanego w gwiazdy, by ozdobić nimi łożo.

– Nie róbże sobie z tego powodu żadnych zachodów – szepnęła Olaf cicho. – Muszę jeszcze tego wieczoru wracać do Hestviken.

Torhilda stała odwrócona do niego plecami. Milczała chwilę. Potem rzekła:

– Droga na dół na wybrzeże jest niedobra. I mrok zapada szybko...

– Tak jest... Nie ma sensu, abym tu dłużej czekał.

– Nie. Jeśli naprawdę musisz jeszcze tej nocy przeprowić się przez fiord, lepiej, abyś zaraz poszedł.

Olaf podniósł się, wziął okrycie i włącznię. Zbliżył się do Torhildy i podał jej rękę.

– Znam krótszą drogę, odprowadzę cię.

Podniosła dziecko, które siedziało na podłodze i grzechotała kamykami w drewnianym kubku, i ułożyła je do snu. Potem wyszła z Olafem.

Niezwykły błękit dnia przeszedł w szary zmierzch, spadło kilka kropel deszczu. Ale gdy Olaf prosił Torhildę, aby wróciła, bo przemoknie, odparła, że nie będzie większej ulewy. Szła przed nim przez łąkę w kierunku południowym, w stronę strumyka na dole, odgraniczającego



Auken od głównego dworu. Gdy dotarli do obszaru dworskiego, Torhilda zatrzymała się i szli odtąd obok siebie skrajem pola. Zagony bladego rżyska rozpościerały się pod pośepnym niebem.

– A kogo nająłeś zamiast Liv jako szaf arkę w Hestviken na tę zimę?  
– spytała Torhilda.

– Nie miałem dotąd czasu rozejrzeć się za kimś – odparł. – Ale jakaś rada znajdzie się na pewno.

Torhilda szła chwilę w milczeniu. Potem spytała, jak gdyby brakło jej tchu:

– Olafie, którą kobietę ze wszystkich, jakie znasz, uważasz za najbardziej godną tego stanowiska?

Nie odpowiedział. Więc natarła mocniej:

– Kto, twoim zdaniem, zabiegałby najgorliwiej o to, aby pomnożyć twój dobytek i służyć ci wedle najlepszych sił, wierniej od wszystkich innych?

Olaf odrzekł, a głos jego brzmiał ochryple:

– Wiesz, co myślę o tym... Szli dalej. Nagle odezwał się:

– Chyba rozumiesz również i to: niedługo znowu... Nie chcę cię prosić, abyś powróciła w tak... niegodne warunki.

Szepnęła:

– Byłabym zadowolona z tych warunków, Olafie, gdybym je miała u ciebie.

Znowu uszli kawałek w milczeniu. Nagle Olaf wybuchnął:

– Nie! Za nic nie chcę, abyś z mojego powodu wycierpiała jeszcze więcej zła. A tutaj, na Auken, tobie i malcowi będzie najlepiej. I widziałem dziś dosyć, aby wiedzieć, że dasz sobie radę, Torhildo.

– Oczywiście, dam sobie radę. – Wyczuł, że uśmiecha się. – Nie jestem niewdzięczna, Olafie. Ale nie wiem... Gdyby nie wzgląd na Ingunę, która leżała chora i bezwładna i wobec której nie postąpiliśmy uczciwie, nie

wiem doprawdy, czy uważałabym, że źle mi się wiodło ostatniej zimy w Hestviken.

Olaf potrząsnął głową. Wkrótce potem dotarli do ogrodzenia na brzegu lasu.

– Tak, tu nie możesz już zbłądzić – powiedziała. – Tą drogą zejdiesz szybciej do miejsca, gdzie stoją łodzie, niż tamtą, którą przyszedłeś.

Wyciągnęła do niego rękę na pożegnanie.

Olaf spojrział na kobietę. W ostatniej gasnącej resztkie światła dziennego widział niewyraźnie podłużny, jasny owal jej twarzy i pełną smukłość ciała. Mogła wyglądać na bardzo jeszcze młodą. Głęboko pod lasem leżał fiord, zamary i czarny pod ciężkim jesiennym wieczornym niebem. W deszczowej mgłę przeciwny brzeg stapał się w jedną ciemną plamę.

Z nagłym dreszczem i porywem żądzzy pomyślał, aby wziąć ją tutaj, od razu. W głębi lasu jaśniały opadłe liście na falujących wzgórkach wrzosowisk, w izbie na górze tlił się przytulnie żar na palenisku, chłopczyk leżał i spał. Sama myśl o powrocie napawała go niechęcią.

Wyczuł, że Torhilda czeka, znieruchomiała.

Cicho pożegnał ją, odwrócił się i szybko zbiegł na dół.

Od czasu do czasu przystawał na ścieżce i pogrążał się w zadumie. Było już zupełnie ciemno, gdy zeszedł nad zatokę. Odszukał miejsce, gdzie wyciągnął łódkę na brzeg, i chciał ją zepchnąć na wodę: potem stanął, wsparł się na burcie nasłuchując i wbił oczy w otaczającą go ciemność.

Sam nie pojmował, co się z nim stało, że opuścił Torhildę – musiał to zrobić... Nagle zauważył, że deszcz pada; nie spostrzegł wcale, kiedy zaczęło kropić, a teraz szumiały już tysiące kropel spadających na wodę. Poza nim w liściastym lesie deszcz szeleścił i szemrał.

I kiedy tak stał w ciemności moknąc w jesiennej ulewie, poczuł aż

do największej głębi swego jestestwa, że zdany jest już na zawsze na samotność, zupełnie jak gdyby związał się zakonnymi ślubami, tylko że wola jego nie miała w tym żadnego udziału. Tak być musiało, czy chciał, czy nie. Życie jego ukształtowało się obecnie w ten sposób, jakby przedzierał się przed bezdrożną puszczą. Nie widział ani ścieżki, ani żadnych znaków, sam musiał odnaleźć w niej drogę...

Pchnął łódź do wody. Szuranie dna o piasek i słabe, puste dźwięki przy zakładaniu wiosel otrzeźwiły go; deszcz lał jeszcze wciąż. Od czasu do czasu spozierał przez ramię ku drugiemu czarnemu brzegowi, by nie odpłynąć za daleko.

Torhilda... Czuł, że serce kurczy się w nim na myśl o niej. Żał doprawdy, że rodzony ojciec nie troszczył się bardziej o córkę.

Gdyby Björn syn Egila nie roztrwonił całego majątku, nie ożenił się na dobitkę z tą Gudrydą i nie spłodził z nią tych wszystkich dzieci, które wyrastały na parobków i łazików... Wiosłując podsycił Olaf w sobie złość i gniew na Björna za to, że tak zupełnie nie dbał o córkę. Według urodzenia i stanu Torhilda mogła słusznie oczekiwać, że wyjdzie za mąż dobrze i uczciwie.

Olaf sam przeczuł, że jego dusza odmieniła się teraz. Nigdy dotąd, gdy stawał wobec nieszczęścia, nie próbował uchylić się od swego przeznaczenia, nigdy nie obawiał się wziąć na siebie części swojej winy, a nawet więcej niż zasłużył, skoro ktoś słabszy usiłował obarczyć go swoim brzemieniem. Teraz sam szukał kogoś, na kogo mógłby przerzucić winę za nieszczęście, jakie na niego spadło.

CZEŚĆ PIĄTA  
PUSZCZA

Wczesną wiosną, w rok po zagranicznej podróży Olafa, zwołano pewnego dnia ting do Haugsvik i Olaf pozwolił, aby Eirik mu towarzyszył. Kiedy jednak szykowano się do drogi powrotnej, tak wypadło, że ludzie z Eynjul wsiedli do łodzi Olafa, Eirik zaś miał pojechać innym statkiem.

Przybył do domu dopiero pod wieczór małym żaglowcem, pełnym wyrostków. Ragna weszła do izby i oznajmiła gospodarzowi, że wielu spośród nich pochodzi z odległych gmin, trzeba im więc dać coś do zjedzenia i picia, zanim wybiorą się w dalszą drogę. Olaf przytaknął.

Chłopcy ociągając się weszli do izby; Olaf skinął im głową na powitanie. Po chwili wyszedł, bo i on także czuł się zmieszany wobec tych wszystkich obcych dzieci, które zakłopotane tłoczyły się na ławach.

Stał przed drzwiami stajni, kiedy chłopcy po posiłku opuścili izbę. Ale gościom bynajmniej się nie spieszyło. Przystawali po dwóch i trzech na dziedzińcu, kręcili się między domami i przyglądali się wszystkiemu z ciekawością; inni znowu skupiali się w gromadki, gadali, śmiali się i droczyli wzajemnie. Lecz wszystko odbywało się na razie żartobliwie i na wesoło.

Olaf stał dalej tam, gdzie przedtem, nie miał bowiem ochoty przeciskać się przez chłopięcą gromadę. Zrobiło się zimno po zachodzie słońca i młode, przenikliwe głosy chłopięce dźwięczały ostro w ciszy wiosennego wieczoru.

Po północnej stronie domów leżał jeszcze śnieg, chłopcy więc zaczęli obrzucać się kulami ze śniegu. Olaf nie zwracał na nich uwagi, widział tylko, że jeden góruje wzrostem nad innymi. Był najwyższy z całej gromady i miał swoistą urodę: twarz jak krew z mlekiem i długie, proste jak słoma włosy. Eirik trzymał się stale u jego boku i pomagał mu.

Po chwili jednak zauważył, że wszyscy chłopcy połączyli się, aby pokonać Eirika. Ciskali w niego śniegiem i przecięli mu drogę do śnieżnej zasy, tak że nie mógł się bronić. Wysoki chłopak stał obok i przyglądał się.

Nagle Eirik wpadł pomiędzy obory. Zagłębienie za zabudowaniami pod skałą pełne było jeszcze śniegu. Eirik wskoczył do dołu, zaczął ugniatać kule i ciskać nimi w gromadę, która rzuciła się za nim. Olaf także przeszedł na tyły zabudowań, ciekaw, co z tej walki wyniknie.

Eirik strząsnął z siebie pierwszych napastników, którzy skoczyli za nim w śnieg. Twarda powłoka załamała się pod nim, obsunął się więc biodrem w mokry śnieg i w ten sposób dotarł do skalnego wiszaru za wgłębieniem. Stamtąd ciskał pełnymi garściami ziemię i żwir na głowy atakujących, ci zaś odpowiadali śniegiem. Gromada wyła przy tym i wrzeszczała – zabawa bliska była przekształcenia się w prawdziwą bijatykę.

Jedna śnieżka trafiła Eirika w oko. Schylił się i zasłonił twarz ręką. W tej chwili wysoki jasnowłosy chłopak, który do tej pory przyglądał się nieruchomo, skoczył i schwycił Eirika, po czym obalił go głową w dół. Teraz cała czereda runęła na leżącego i wśród głośnych krzyków i śmiechów zaczęła tarzać się w brudnym śniegu. Eirik na pół uduszony pod kłębowiskiem ciał ryczał z wściekłości.

Olaf zbliżył się o parę kroków. Wysoki dryblas zauważył go i szepnął coś towarzyszom. Podnieśli się natychmiast.

Eirik wstał; krew ciekła mu z ust. Zwrócił się do wysokiego chłopca i z dziką pasją zawołał:

– Ty wściekły, podły psie! Ja ci pomagałem... – rozplakał się z wściekłości.

Olaf zauważył, że wysoki blondyn patrzy teraz bardzo głupkowato, mruga oczyma i odwraca się od niego. Zresztą naraz wszyscy chłopcy zaczęli się śpieszyć, wymykali się jak najszybciej z wgłębienia. Olaf

postępował powoli za nimi. Doszedłszy na dziedziniec, ujrzał całą gromadę już w górze obok stodoły; skierowała się na wschód. Nie podziękowali za poczęstunek ani nawet nie życzyli dobrej nocy.

Eirik stał tuż za ojcem. Łkał wciąż jeszcze i przyciskał grudę śniegu do spuchniętego oka i krwawiącej wargi.

– Kto to ten blondyn? – zagadnął Olaf.

– Jörund Rypa. – Eirik chlipiąc połykał łzy. Patrzył za gromadą, która znikwała w ciemnej już dolinie Kvern.

– Jörund? Czy to imię tutejsze, gminne?

Eirik odpowiedział, że Jörund pochodzi z wielkiego dworu leżącego daleko na wschodzie nad jeziorem Eyja; jego ciotka wyszła jednak za męża na Tjernaas. Jörund ma również krewnych na Ramdaberg i nieraz tam przebywa.

Olaf potrząsnął obojętnie głową. Nie znał dobrze tych ludzi i nigdy z nimi dotychczas nie rozmawiał.

Po wieczerzy ludzie siedzieli w izbie; przynieśli narzędzia i uprzęż, aby ją naprawić przed wiosenną orką. W pewnej chwili, kiedy Olaf ocknął się z zadumy, zauważył, że parobcy siedzą i szczerzą zęby, a Eirik mówi coś z przejęciem.

– Przecież napadli na mnie całą hurmą! Jak wam się zdaje, czy nie uporałbym się z każdym z osobna, gdybyśmy się potykali na otwartym polu?

– Ależ tak, oczywiście...

– I dość długo miałem nad nimi przewagę...

– Tylko potem twój druh tak cię pięknie urządził – zaśmiał się jeden

z ludzi.

Eirik zamilkł natychmiast. Olaf spostrzegł, że usta chłopca drgają; rozgniółł dłonią łyzy cisnące się do oczu i usiłował przybrać obojętny wyraz twarzy.

W Olafie wezbrał nagle głuchy gniew. Tu było coś nie w porządku, że parobcy śmieli w ten sposób wyszydzać i wyśmiewać syna w obecności pana domu! Eirik nie był już dzieckiem. Olaf odłożył przedmiot trzymany w rękach, przeciągnął się sennie i ziewnął:

– Tak, tak, chłopcy, wieczór już późny, wielki czas iść spać. Kiedy ojciec i syn zostali sami w izbie, Olaf zbliżył się do Eirika i stanął przed nim. Chłopak siedział na ławie i popłakiwał cicho.

– To musi się wreszcie skończyć, Eiriku! Nie wolno ci chwalić się tak dziecinnie, żeby nasza czeladź śmiała drwić z ciebie w żywe oczy...

Ponieważ chłopiec nie odpowiadał, tylko siedział i dalej próbował opanować płacz, Olaf ciągnął nieco ostrzej:

– Wstydz się, chłopcze, beczeć dlatego tylko, że cię obito. Eirik zachłysnął się parę razy:

– Nie dlatego płaczę...

– Dlaczego w takim razie?

– Jörund... – Eirik przełknął ślinę. – Przysięgliśmy sobie stać wiernie w każdej potrzebie jeden za drugim. Złożyliśmy na jesieni ślubowanie braterstwa, a teraz...

– Cóż to znowu za wymysł! – ofuknął go ojciec trochę drwiąco.

Eirik zaczął gorliwie tłumaczyć. Pewnego dnia jesienią spotkali się przy kościele i Eirik opowiedział Jörundowi o tym, co usłyszał od kogoś: że dawniej istniał między druhami zwyczaj wiązania się ślubami braterstwa. Jörund był zaraz gotów złożyć ślub. Jednak, gdy na ostrza włóczni mieli położyć pas darni, pas przerywał się wciąż i w końcu Jörund zniecierpliwiał się i nie chciał więcej ponawiać prób. Tymczasem



wyszedł sira Hallbjörn i rozgniewał się widząc dziury wyskubane na swym pastwisku.

Olaf potrząsnął głową zniechęcony. Co za głupota!

Eirik oparł nogę na krawędzi paleniska, tuż nad żarem; po chwili z buta zaczęło się ostro dymić. Chłopiec wyglądał tak nieszczęśliwie, z tym swoim smukłym, nad wiek wyrosniętym ciałem, z długą szyją i kędzierzawą pochyloną głową – wszystko w Eiriku było młode i wiotkie. Olaf poczuł nieprzepartą chęć okazania dziecku życzliwości.

– Nie stójże tak i nie trzymaj buta nad ogniem, jutro będzie twardy jak kamień. – Podał mu parę własnych chodaków. – Masz, możesz je jutro włożyć, a twoje wypchaj dobrze sianem, niech schną powoli.

Eirik podziękował uradowany. Olaf zaczął się rozbierać. Wtem chłopiec zawołał ze śmiechem:

– Ojcie, wyrosłem już z twoich butów, popatrz! – Tak było naprawdę. No tak, Olaf miał niezwykle drobne stopy. A nogi Eirika zapowiadały się duże i ciężkie.

Olaf leżał długo nie mogąc zasnąć. Myśl o Eiriku nie dawała mu spokoju, wwiercała się w serce.

W ostatnich latach, odkąd sprawa z Torhildą przybrała ów nieszczęsny obrót, unikał chłopca prawie nieświadomie. Eirik żył tutaj w Hestiviken, lecz im mniej Olaf myślał o nim, tym było lepiej.

Ostatniej zimy jednak było tak, jak gdyby chłopak starał się wprost ściągnąć na siebie uwagę ojca. Początkowo Olaf przypisywał to temu, że smarkacz przez całe lato nie czuł nad sobą niczyjej silnej dłoni; należało koniecznie teraz stłumić głośny sposób zachowania, jaki sobie przyswoił.

Ale po pewnym czasie spostrzegł ku swemu zdumieniu i smutkowi, że nie udaje mu się zepchnąć Eirika z powrotem poza nawias ojcowskiego życia, gdzie chłopiec tak długo przebywał.

Pojął, że musi zająć się pilniej wychowaniem dziecka mimo niechęci, jaką przepełniała go myśl o tym. Wprawdzie znał dobrze wszystkie przywary i wady Eirika, ale nie można było dopuścić do tego, aby podwładni jawnie okazywali, że i oni widzą jego błędy. Chłopak był już na tyle dorosły, że należałoby go zabierać między ludzi, z którymi spotykał się ojciec. I Olaf musiał postarać się, aby odnoszono się do niego z szacunkiem należnym stanowisku ojca.

Eirik jednak nie posiadał na tyle rozumu, aby zachowywać się należycie. Tutaj, w Hestviken, przebywał przeważnie między czeladzią. Jednego dnia odnosił się do ludzi poufale, dziecinnie i niemądrze, nazajutrz zaś okazywał pychę i zarozumiałość, z czego czeladź śmiała mu się w twarz.

Największym złem było jednak, że po całych dniach wysiadywał na Rundmyr. Była to prawdziwa nora, odkąd gospodarzyli tam Arnketil i Liv. Egil i Vilgard, młodszy bracia Torhildy, mieszkali tam również, a na domiar złego sprowadzali swoich przyjaciół. Olaf dowiedział się, że Eirik grywał już nawet w kości z różnymi drabami, z wszelką hałastrą, która prosto z gościńca ściągała do Eundmyr ze swymi kobietami. Zawołał wtedy chłopca i skarcił go w ostry sposób. Wówczas jednak ku jego niewymownemu zdziwieniu Eirik odpowiedział mu hardo i bezczelnie. Olaf złapał go za kark, przygniół i odepchnął, ale nie był bynajmniej zachwycony czując, jak Eirik zapada mu się pod ręką, zwiotczały i jakby bez kości. Wyraz oczu Eirika, wściekły i uległy zarazem, wzbudził w Olafie odrazę, choć żał mu było chłopca.

Jeszcze i druga sprawa gnębiła Olafa tej nocy. Zrozumiał dobrze, czego chciała Una, kiedy dzisiaj po wiecu zesła na wybrzeże i prosiła go,

aby zabrał ją do swej łodzi. Odgadł od razu. Zaledwie dobili do przystani, urządziła się tak, aby zostać z nim sam na sam przy szopach okrętowych. A potem oświadczyła wprost: są jeszcze inni, którzy starają się o rękę Dizy córki Erlanda. Ale zarówno ona, jak Torgrim życzą Olafowi z całego serca tego małżeństwa.

Olafowi zdawało się, że nic na to nie odpowiedział. Jednak nie może dłużej usuwać się od dania ludziom stanowczej Odpowiedzi. I na pewno ochłodnie wielce przyjaźń między nim a jego krewnymi, gdy okaże się tak nierozsądnym; wszak sam widział wyraźnie, jak bardzo mu idą na rękę, przeznaczając mu za żonę bogatą siostrzenicę Torgrima. Cała gmina wiedziała już o tym. Olaf pojął w tej chwili, że już dawno powinien był im dać do poznania, że nie chce się ożenić powtórnie.

Słusznie będą mogli użalać się, że odplacili wzgardą za ich krewniaczą wierność. Odkąd owdowiał, spotykał się częściej ze swymi krewnymi, z córkami Arnego oraz ich mężami. Tak. Dostrzegł również, że torowano mu niejako drogę w gminie; jeśli tylko zechciał, mógł teraz wystąpić i zająć na powrót miejsce, jakie sprawiedliwie należało się gospodarzowi z Hestviken. Wraz ze swymi krewnymi ze Skikkjustad i Rynjul mógł pozyskać na nowo poważanie i władzę w całym okręgu. Lubił zresztą Torgrima i Baarda – tak, Baarda wołał od innych mężów.

To córki Arnego i ich mężowie kryli się poza tym wszystkim, to oni nasyłali ludzi; przychodzili do niego ci, co posiadali łodzie i szopy na wybrzeżu Olafa, i nagle gotowi byli załagodzić i wyrównać wszystkie zadawnione sporne sprawy, dotyczące praw różnych dworów oraz praw Olafa do wykorzystywania wybrzeża. Spory te przez długie lata pozostawały w zawieszeniu, Olaf bowiem nigdy ich nie załatwiał, ponieważ był samotny i zapracowany. Sąsiedzi zaś i inni, którzy do tej pory trzymali się z dala od dworu pod Rumakiem i w razie potrzeby wybierali dolną drogę wzdłuż zatoki, zachodzili obecnie coraz częściej

do jego domu pod byle jakim pozorem i byli podejmowani z taką gościnnością, z jakiej słynęło Hestviken. Nie było w tym zresztą nic nienaturalnego. Zrozumiałe, że ludzie unikali dworu, póki leżała w nim cierpiąca i bezwładna kobieta.

Teraz dano więc Olafowi sposobność do wyrównania wszystkiego – tak, mógł śmiało nazwać rzecz po imieniu: miał sposobność wyrównania tych wszystkich strat, jakie poniósł wskutek tego, że był wychowankiem Steinfinna i narzeczonym Inguny. Ale nie chciał.

Diza była bogata, pochodziła z jednego z pierwszych rodów, poprzednie małżeństwo dodało jej znaczenia, a niedawno odziedziczyła jeszcze Roaldstad i majątek po nieletnich synach, którzy podczas ostatniej wiosny utonęli pod załamującym się lodem. Była akurat w stosownym dla niego wieku, miała około trzydziestu lat. A chociaż nie odznaczała się wielką urodą, nie była wcale brzydka. Była niewiastą dobrze zbudowaną, miłą i pogodną. Tak dobry ożenek nie trafi mu się drugi raz w życiu. Jeśli natychmiast nie pochwyci tej sposobności, wszyscy osądzą, że sam lekceważy swoje dobro. Poza tym młoda wdowa podobała mu się, choć nieczęsto ją widywał.

Mimo to jednak nie chciał poślubić Dizy córki Erlanda. To nie było to samo co przedtem, gdy odtrącił Torhildę. Tamto uczynił pod przymusem, sam nie wiedział, skąd to wypłynęło. Czasami gdy wspomniał Torhildę, targało nim pożądanie, tęsknił za jej zdrowym, silnym uściskiem, jak człowiek po krwotoku tęskni za ugaszeniem pragnienia. I gdy sam musiał zajmować się sprawami, które należały do kobiety, był wprost chory z niecierpliwości, aby złożyć wszystko w dzielne ręce Torhildy. Oderwał się od niej, ponieważ czuł, że musi to uczynić bez względu na to, czy chciał ją mieć u siebie, czy nie.

Skoro jednak myślał o tym, że Diza miałaby kręcić się tutaj, w Hestviken, wychodzić mu naprzeciw do drzwi, że co dnia musiałyby

słuchać jej gadania i odpowiadać, wówczas wiedział, że nie chce tego za nic, chociażby mu nawet wniosła w posagu całe złoto Norwegii. Kulił się i dygotał z odrazy na samą myśl, że w długie bezsenne noce leżałaby w łóżu między nim a ścianą. Nie ścierpiałby obecności obcej kobiety w pobliżu. Torhilda... Gdyby ona leżała tu teraz i spała, wiedziałby, że we śnie czy na jawie jej wierne serce przepełnione jest troską jedynie o jego dobro. I jej nie wstydziliby się, chociażby jego dusza była wzburzona jak nigdy.

Tak było: nieraz czuł gorycz, że jakaś siła, której sam nie rozumiał, zabrania mu wziąć do siebie Torhildę i uczynić z dawnej służebnej nałożnicy; jednocześnie cała jego istota buntowała się na myśl, że jego najlepsi i najwierniejsi przyjaciele chcą go ożenić z bogatą i zacną wdową po Sveinie na Roaldstad.

Przecież sam myślał o tym niegdyś. Mogłoby kiedyś być tak, że jego życie byłoby zbliżone do takiego szczęścia. Było to wówczas, kiedy zrozumiał, że Ingunę czeka rychła śmierć. Ale wtedy odsuwał od siebie podobne myśli jak niewierność. Wówczas ona była jeszcze tutaj, była jego małżonką i po każdym posępnym złym dniu i każdej nowej walce i nowej goryczy, jaka sączyła się do jego kielicha, zdawał sobie sprawę, że woli takie życie, jakie ma, że woli Ingunę u swego boku aniżeli inny los bez niej.

Teraz jednak już jej nie było. I wystarczyło jedno słowo, a posiadłby majątek i Roaldstad, zdrową i zapobiegliwą żonę oraz dziedziców tego wszystkiego, co kiedyś wspólnie będą posiadali; poza tym umocniłby związek ze swymi krewnymi, których lubił, oraz swoją pozycję w gminie. A jednak czuł, że woli raczej umrzeć aniżeli pozyskać to szczęście.

Wspomnienie Inguny zbladło od chwili, gdy przeżył ową przygodę w Londynie; jak gdyby od tej pory nie mógł odróżnić Inguny od tej drugiej kobiety. Wszystko zdawało się ślepe, bezmyślne, zwierzęco nierozumne...

to, że zaprzepaściła szczęście ich obojga, że on sam zeszedł z prostych dróg, po których powinien był chodzić, aż w końcu poczuł, że jego własna dusza jest jak mały, szary, stwardniały kamień...

Od owej nocy po pielgrzymce do kaplicy Matki Boskiej zdawało mu się, że wszystkie myśli, z którymi się borykał, przeistoczyły się w głąz. Pamiętał je i znał w jakiś sposób jak ów chłopiec z bajki, który poznał swych druhów w kamiennych słupach przed dworem olbrzyma. Ale on sam pozostał zimny i nieczuły...

Zdawał sobie jasno sprawę, że mimo tego nowego spokoju, który na niego spłynął, uboższy jest niż wówczas, kiedy żył w udęcie i trwodze. Pod każdym ukłuciem żalu, pod każdą falą tęsknoty za pokojem czaiło się coś znacznie większego i silniejszego od trwogi: kochał Tego, przed którym uciekał, i aż do końca wierzył potajemnie, że nadejdzie godzina, w której nie będzie już mógł uciekać. Ufał, że wcześniej czy później, osiągnie pojednanie z Bogiem, chociaż nie będzie zmuszony sam wybierać. Ale wciąż i wciąż na nowo zmuszony był do wyboru i dopóty wybierał siebie samego, póki nie stracił miłości do Boga. Jednak miał wrażenie, jakby równocześnie z jego miłości do wszystkiego, co było mu tu, na ziemi, drogie i cenne, uleciał cały żar i cała moc.

Bóg, Jezus, Matka Boża... kiedyś, dawniej, już na sam dźwięk tych imion serce jego gorzało w piersi niby płomień. A teraz obojętnie odmawiał pacierze w kościele albo w domu rankiem i wieczorem, gdy ludzie na niego patrzyli i była odpowiednia pora... Albo też nie modlił się wcale, kiedy był sam. Ta zaś nowa obojętność była o tyle bardziej nędzna od dawnej męki, o ile nędzniejsza jest garść popiołu od płonącego stosu.

Inguna... mimo że wspomnienie o niej nigdy tak jak teraz nie było zszarzałe i wygasłe, nie chciał go zupełnie wymazać, by na jego miejsce przyjąć nowy dar. I gdy tak ułożyło się jego życie, nie chciał ani posiadać nowego, ofiarowywanego mu szczęścia, ani też wiązać go z tym życiem.

Olaf Pólmnich opowiadał mu niegdyś o kurhanie Hvitserka, najwyższym pagórku na skraju lasu. Działo się to jeszcze przedtem, zanim nastąpiła w kraju chrześcijańska wiara. W Hestviken żył ród Inggjalda, ten sam, z którego pochodziła babka jego dziada, a głową rodu był wówczas Aale Hvitserk. Słynął on jako bohaterski Wiking, lecz gdy był już bardzo stary, wrogowie podpalili mu domostwa w Hestviken; był to pierwszy z trzech pożarów, jakie kolejno zniszczyły dwór. Synowie Aalego wykarczowali wzgórze i kazali zwieźć z boru pnie na budowę nowego dworu. Aale jednak rozkazał swoim parobkom usypać kurhan i tego dnia, kiedy zaczęto rozbierać przepalone belki, które pozostały z izby, starzec wszedł do jamy wykopanej w pagórku i polecił niewolnym przywalić otwór głazami.

Olaf syn Auduna pamiętał, że kiwał głową, gdy jego imiennik opowiadał mu tę historię. Ale i tak miał przekonanie, że ów stary poganin był prawdziwym zuchem.

Teraz leżał po ciemku i uśmiechał się do swych myśli. Nie zamierzał wprawdzie powierzyć jakiemukolwiek księdzu tej historii, lecz na Boże Narodzenie ofiarowywał duchowi w kurhanie misę kaszy, a w wigilię uroczystych świąt wnosił mu czarę piwa. Nawet Arnvid czynił to u siebie na Miklebö; nie jest to wielki grzech, mówił, jeżeli tylko robi się takie rzeczy w cichości i nie prosi się ducha o oddanie w zamian żadnej przysługi... Teraz trzeba było może składać nieco gorliwej ofiary. Zanosilo się prawie na to, że spotka się w końcu ze swym pogańskim praszczurem.

Podczas pobytu Olafa w Anglii Eirik dowiedział się, że na pewno jest ślubnym synem.

Pewnego dnia musiał wybrać się z jucznym koniem do Rynjul, aby odwieźć naczynia i statki pożyczone przez Olafa na stypę po śmierci Inguny. Na Rynjul była mała, niezwykle złośliwa suczka, zawsze uwiązana. Właśnie tego dnia, kiedy chłopiec zjawił się pomiędzy domami, udało jej się zerwać z łańcucha; rzuciła się na Eirika i ugryzła go w nogę. Eirik kopnął psa z całej siły, aż potoczył się po trawie z głośnym wyciem. W tej chwili Torgrim stanął wściekły w drzwiach.

– Takiego pieska się bać i kopać go! Wstyd, na to może się zdobyć tylko taki bękart jak ty!

Eirik wszedł do izby i Una zaczęła liczyć naczynia. Nagle chłopak wybuchnął:

– Uno, czy to, co powiedział Torgrim, jest prawdą?

– Co ma być prawdą? – powtórzyła Una, zajęta liczeniem swych drewnianych misek.

– Że jestem bękartem, synem nałożnicy. Czy to prawda, Uno? – szepnął Eirik żałośnie.

– Jak to? Co to znaczy? – Podniosła oczy, spojrzała na chłopca. Stał bład jak trup, jego ściągała młoda twarz zmieniona była z rozpacz. – Matko Najświętsza! Co ci jest, Eiriku?

– Czy jestem bękartem? Powiedz mi prawdę, Uno! – Una stała zmieszana.

– Widzisz, zrozumiałem to już dawno – szepnął Eirik.

– Co takiego zrozumiałeś? Nie wstyd ci pleść takich rzeczy o ojcu i matce, która spoczywa już w grobie? Bóg niech mi będzie miłościw,



cóżeś ty znowu wymyślił?

– Słyszałaś przecie, co powiedział Torgrim. A ojciec też sam nazwał mnie kiedyś bękartem...

– Wiesz chyba – rzekła Una łagodniej – że żaden z nich nie przezwąbył cię tak, gdybyś był nim naprawdę. Jesteś chyba na tyle rozsądny, aby pojąć, że było to tylko przezwisko dane ci przez rozgniewanego człowieka.

– Więc matka była ślubną małżonką ojca? – pytał Eirik.

– Nie masz nawet potrzeby pytać o to. Olaf odnosił się zawsze dobrze i otaczał cię niebogę, póki żyła. Sam chyba widziałaś.

– Odebrał jej klucze i oddał je nałożnicy – bąknął Eirik. – To było na długo przedtem, zanim matka straciła zdrowie...

– Nie mów tak, chłopcze. – Una pokraśniała z oburzenia. – Ty tego nie rozumiesz. Nie chcę powiedzieć nic złego o twojej matce, biedaczka była chora, ona z pewnością nie była winna temu, że jej krewni zdradzili Olafa, tak jak nie była winna, że była taką, jaką była – chorowitą i słabą na umyśle. Ale trudno wymagać, aby jakikolwiek mężczyzna był zadowolony z takiego małżeństwa, jakie przypadło naszemu krewnemu. Za ledwie ród synów Steinfina dostał w swe ręce bogatego dziedzica, a już ułożył zrękowiny między młodym wyrostkiem i jedną ze swoich córek. Od tej pory oszukiwali go ustawicznie na wszystkim, co miał otrzymać razem z narzeczoną, i Olaf nigdy nie doznał pomocy ani nie otrzymał części należnej mu od krewnych żony. Natomiast musiał wziąć do siebie chorą niewiastę, bo zwabili go do jej łóża, zanim zdążyła mu broda wyrosnąć. \

Una mówiła jeszcze chwilę, mówiła to, co naprawdę myślała o małżeństwie Olafa. Była dobra dla całej swojej rodziny i Olafa kochała jak brata. Ale choć była dobra i zawsze pomagała jego żonie, ledwie ją lubiła i w głębi duszy nazywała kaleką.

Równocześnie z pierwszą bezmierną ulgą, jaką Eirik poczuł dowiedziawszy się, że nikt nie wypędzi go z Hestviken, wezbrała w nim gwałtowna gorycz ku ojcu. Mógł być sobie oszczędzić lęku i niepewności ostatnich lat. To była wina ojca. Okazał tyle zuchwałości w swym sromotnym pożyciu z tą przeklętą dziwką, Torhildą, że nie dziw, iż on, syn, obawiał się najgorszego. Jego biedna matka znosiła we własnym dworze bezprawie i niesprawiedliwość bez końca.

Tego lata każdy węgiel starych domostw w Hestviken, każda bruzda w szarordzawych, wyglądzonych wodą skałach ukazywała spojrzeniu chłopca oblicze pełne dobroci i łagodności. Pas traw morskich na jego własnych szkerach wyglądał inaczej niż algi gdzie indziej. Żadna obca przystań, żadne łodzie nie pachniały tak jak ich własne. Kiedy ujmował wiosła swojej łódki albo zapuszczał swoją sieć w głębinę, całe jego wnętrze przenikała rozkosz posiadania. On posiadał! Głaskał każde napotkane zwierzę, jeżeli należało do dworu. Brał nieraz kłos jęczmienia i kładł go na dłoni, nad pulsem, tak że wślizgiwał mu się pod rękaw; stara zabawa dziecięca zamieniła się w tajemniczy, czarodziejski obrzęd: to było jego zboże... Nie musiał już czuć obawy, chodząc po polach i dziedzińcu, ta „własność” nie wymknie mu się nigdy z rąk...

Wspomnienie matki zbladło rychło w pamięci Eirika. Już w ostatnich latach życia, kiedy skuta chorobą wciąż leżała, zniknęła właściwie ze świata chłopca; po jej śmierci przestał wkrótce myśleć o niej. Teraz jednak, ponieważ czuł żal do ojca, martwił się także o matkę, jego miłość do niej ożyła na nowo i nieraz za nią tęsknił. Kochał ją bardzo, póki była zdrowa i mógł przebywać koło niej; ojciec obszedł się z nią tak srogo i okrutnie...

Wystarczyło jednak, by Olaf zwrócił się do Eirika z jednym życzliwym słowem, a chłopiec zapominał o całym rozgoryczeniu. Potem gorycz wracała znowu i gniewał się na siebie za swoją słabość. Zaledwie

jednak Olaf robił choćby krok w jego kierunku, gdy blade chociażby cień zimnego uśmiechu pojawiał się na jego twarzy, syn nie czuł nic innego, jak tylko ślełą miłość do ojca.

W jakiś czas po powrocie Olafa z Anglii doszły Eirika słuchy, że ojciec ma poślubić Dizę córkę Erlanda. Na Rundmyr gadano otwarcie o wszystkim.

Wzburzenie opanowało na nowo duszę Eirika. Nie chciał mieć macochy. Nie chciał mieć współdziedziców w Hestviken. Żaden obcy człowiek, żadne nowe zwyczaje, nic nowego nie śmiało się tu zjawić. Wszystko ma należeć do niego i Cecylii: dwór, przystań i bory na zboczach Byka i na grzbiecie Rumaka, i dolina Kvern, i Saltviken. Znał tu każdą ścieżkę, miał tu swoje miejsca, swoje skały z widokiem oraz ukryte, porosłe trawą zagłębienia między szarymi kamienistymi górami nad wodą; lubił tam chodzić, przesiadywać samotnie i radować się jakąś nieokreśloną, niezgłębioną radością, że posiada tę kryjówkę. Łowy w kniejach, polowanie na foki, rybołówstwo – wszystko miało kiedyś jemu podlegać. Ale w najskrytszej głębi serca czaiło się coś, o czym nie mógł myśleć bez dzikiej grozy. Wiedział bowiem, że nie ma mocy, by zapobiec temu: lęk, że ktoś inny mógłby stać się ojcu bliższy od niego samego. Jeszcze wciąż kręcił się po Hestviken i snuł nie kończące się mrzonki o bohaterskim czynie, dzięki któremu zdobędzie kiedyś łaskę ojca.

Polowanie na foki zawiodło niemal całkiem tego roku. Na domiar

złego Olaf stracił na szkerach dobrą, nową, sześciorozową łódź. Pewnej nocy przecięto linę, którą łódź przycumowana była do pala, i nie wiadomo było, czy ktoś łódź ukradł, czy złośliwie ją odciął. Z tych przyczyn Olaf powrócił z łowów ponury i jeszcze posepniejszy niż zazwyczaj.

W kilka dni później miał coś do załatwienia na górze w gminie i polecił Eirikowi, aby wybrał się z nim do kościoła. Było to na tydzień przed Bożym Narodzeniem i sira Hallbjörn pilnował, aby wszyscy, którzy mogą, uczęszczali w tych dniach na nabożeństwo. Mroźna śrężoga snuła się rankiem nad ziemią powlekając kamienie i drzewa cienką powłoką lodową. Olaf stał przed drzwiami stajni, kiedy Eirik wyprowadził konie, aby je osiodłać. Olaf był znużony, śpiący i wycieńczony postem; nagle zwrócił się do syna gwałtownie:

– Powinieneś potrzeć uzdę, zanim włożysz ją zwierzęciu do pyska w taki siarczysty mróz!

– Wcale nie jest zimno – odrzekł Eirik przekornie. – Tak się tylko wydaje przez tę wilgoć.

– Milcz! Mnie chcesz uczyć, co mam myśleć o pogodzie! Gdyby tak tobie włożono do gęby lodowate żelazo!

Eirik chwycił żelazny drążek zatknięty w ścianę stajni i wsunął go między wargi. Ojciec wyrwał mu go i odrzucił.

– A widzisz, krwawisz...

– Nie dlatego, żebym się sparzył, tylko rozdarłeś mi wargę.

– Milcz – rzekł Olaf krótko. – I spiesz się!

W południe niektórzy z przybyłych do kościoła kmieci siedzieli w izbie probostwa i posilali się swoimi zapasami przed powrotną drogą. Rana w kącie ust Eirika zaczęła znowu krwawić, opowiedział więc kilku wyrostkom, w jaki sposób do niej doszło, ale przedstawił sprawę tak, jak gdyby to ojciec wepchnął mu żelazo do ust.

Zauważył, że po jego słowach nastąpiło szydercze milczenie.

W końcu jakiś młody chłopak powiedział:

– Fuj, hańba, pozwalasz, aby ojciec robił z ciebie szkapę zaprzęgową.

Eirik stropiony rzucił okiem dokoła. Myślał, że będzie mógł chęłpić się tym wydarzeniem. Ale gdy dostrzegł pogardę obecnych, coś jakby się w nim skurczyło. Chciał naprawić niedobre wrażenie:

– Nie... Ale daremne byłoby podejmowanie walki z ojcem – tłumaczył gorliwie, z zapałem. – Możecie mi wierzyć, że chwyciłem drązek i rzuciłem nim w ojca. Ale mój ojciec jest siłaczem, jak król gór. Dawniej, kiedy był w drużynie jarla, założono się pewnego razu, jaki ciężar zdoła udźwignąć. Wówczas ojciec wziął ławę na barki i wyprostował się, unosząc ją na swym grzbiecie. Na ławie siedziało ośmiu mężów. – Lodowate milczenie. – Wtedy jarl powiedział: Jeśli potrafisz podnieść tę tarcicę, Olafie synu Auduna, całe srebro, jakie się na niej znajduje, należeć będzie do ciebie. I ojciec podniósł tarcicę w wyciągniętych ramionach.

– O, to zupełnie podobne do sagi, którą opowiadałeś nam zeszłego roku, siro – rzekła z uśmiechem jakaś młoda dziewczyna – o tym chrześcijańskim rycerzu, co to był w niewoli u Saracenów. Jakże mu tam było? – Paru wyrostków zachichotało.

Sira Hallbjörn siedział na swoim łożu. Tego dnia wydawał się przygnębiony i bez humoru. Spojrzał chłodno na dziewczynę.

– Pamiętasz przecie, siro Hallbjörnie? Na weselu mojego brata opowiadałeś tę sagę.

– Nie znam takiej sagi. Mylisz się.

Jednak nieco później, kiedy ludzie zabierali się do powrotu, ksiądz podszedł nagle z tyłu do Eirika i ujął go twardo za ramię:

– Co ty sobie właściwie myślisz, że zmyślasz bajki o swym ojcu?

– Ależ ja nie kłamię, siro – odparł zuchwale Eirik.

– Łżesz. – Sira Hallbjörn trzepnął go w ucho. – A teraz na dobitkę okłamujesz swego proboszcza. Widzi mi się, że czart cię opętał. Wynoś

się stąd, a żywo!

Olaf o zmierzchu zajechał konno przed probostwo i zatrzymał się przed drzwiami. Nie wejdzie, oświadczył księdzu, już późna pora. Nie zsiadając z konia wręczył sirze Hallbjörnowi szkatułkę z listami i natychmiast chciał jechać dalej. Ksiądz wyszedł i odprowadził go kawalek. Olaf jechał stępa między opłótkami.

– Nie powinieś dopuszczać do tego, Olafie – zaczęła proboszcz gwałtownie – aby twój syn wałęsał się pośród tych ludzi, których nierozważnie usadowiłeś na Rundmyr. Niczego dobrego się tam nie nauczy.

Olaf nie wiedział, co na to powiedzieć. Ponieważ milczał, ksiądz mówił dalej i powtórzył, co Eirik opowiadał o ojcu. – Twój syn staje się pośmiewiskiem całej gminy dzięki temu, że tak kłamie i w dodatku głupio kłamie. – Doszli tymczasem do rozstaju dróg. Ksiądz ujął konia za uzdę i trzymał go mocno patrząc Olafowi prosto w oczy. Ostatni błysk dziennego światła przedzierał się jeszcze przez znowu gęstniejącą mgłę. Olaf spostrzegł ze zdziwieniem, że ksiądz wydaje się do żywego poruszony.

– Nie pojmuję, dlaczego Eirik plótł coś podobnego – Olaf opowiedział, co zaszło między nim a synem.

– Tak, tak się dzieje, kiedy młodzi mają złych nauczycieli.

Olaf ściągnął brwi i zacisnął wargi, jak gdyby w uśmiechu, nic jednak nie odrzekł. Eirikowi nie trzeba było nauczycieli w takich rzeczach jak kłamstwo. Tę zdolność posiadał już od urodzenia.

– Gdyby jakiś mądry człowiek poradził memu ojcu zawczasu, tak

jak ja tobie radzę teraz – odezwał się sira Hallbjörn – to ojciec zabrałby mnie ze dworu, na którym wychowywałem się po śmierci matki. Byłem pobożny, póki żyłem u jej boku; ślubowała mnie Bogu, zanim się urodziłem. Ale potem ojciec posłał mnie do opiekuna, ten zaś pochodził z Lapończyków...

– To na Valdres mieszkają Lapończycy? – zapytał Olaf. Czuł, że musi coś powiedzieć.

Ksiądz skinął głową.

– Napatrzyłem się ja dosyć osobliwości w okresie dorastania, Olafie. Lapończycy są najświetniejszymi łowcami na świecie, a tam w górach pętają się przeróżne istoty, zarówno zwierzęta jak ludzie... i coś innego jeszcze... Od tej pory ciężko mi jest przywyknąć i zadomowić się gdzie indziej. W latach spędzonych za granicą, kiedy przechodziłem ze szkoły do szkoły, nie tęskniłem tak bardzo za krajem mego dzieciństwa. Ale ten naród tutaj, osiadły po gminach, drażni mnie tak, że tracę nieraz cierpliwość... – Rzeczywiście tak wygląda. – Olaf nie potrafił powstrzymać drwiącego uśmiechu.

– Tak jest – odparł gwałtownie ksiądz. – Niedobrze się tu mieszka. I ty również nie masz tu przyjaciół, Olafie.

– Ano, tak wygląda – rzekł znów Olaf. – Lecz nie wiem, czy dlatego, że... Ludzie nie są tu chyba inni niż gdzie indziej.

– Czyś polował już kiedy na reny? – zagadnął ni stąd, ni zowąd ksiądz. – Tam, w górach, gdzie znajdują się stare paści na reny? Czy widziałeś już kiedy ciągnące stada tych zwierząt, tysiące, tysiące renów?

– Nie – odrzekł Olaf. – Nigdy dotąd nie widziałem żywego rena.

– Wybierz się kiedyś ze mną – ksiądz prosił go niemal, zapalając się coraz bardziej – gdy pojedę do moich braci.

– Dzięki, siro. Jeśli się tak ułoży, chętnie pojedę z tobą. Zaczęli się żegnać. Nagle ksiądz powiedział:

– Eirika jednak nie puszczaj na Rundmyr. W przeciwnym razie gotowi będą na niego jeszcze rzucić podejrzenie o kradzież albo wmówić mu ojcostwo jakiegoś bękartu, nim dwa lata miną. A żadnemu z was nie przypadłoby to do smaku.

Jadąc po ciemku do domu rozważał Olaf jeszcze długo słowa księdza. Czuł niemal rozczarowanie. Nie dlatego, żeby między nim a proboszczem było jakieś nieporozumienie – przeciwnie, należał do tych niewielu ludzi w gminie, którzy dotąd nie poważnili się z księdzem. Ale i on miał wrażenie, że w życiu siry Hallbjörna kryje się jakaś tajemnica, a na dobitkę ksiądz żył tutaj jak wygnaniec, z dala od wszystkich stanowisk i godności, do których upoważniały go pochodzenie i wiedza. Olaf oczekiwał więc prawie, że pewnego dnia wyjdzie coś na jaw o księdzu. A teraz okazało się, że nie tai się za tym nic więcej, jak tylko to, że Hallbjörn syn Erlinga nie czuł się dobrze tutaj, na nizinach, i niełatwo mu było zżyć się z ludźmi, ponieważ był kłótniwy i samowolny, jak bywają zazwyczaj ludzie z gór. Na pewno nie dogadzało mu to, że musiał siedzieć jak malowany w parafii i być zawsze na miejscu, ilekroć ktoś potrzebował jego usług.

Dawniej Olaf przestawał nieświadomie z ludźmi, w których wyczuwał, że są czystego serca i wierni Bogu. Nie zastanawiając się wcale nad tym unikał parszywych owiec, gdziekolwiek je spotykał. Obecnie czuł się dobrze również w towarzystwie mężów mniej surowych, o których mówiono, że wobec siebie nie są zbyt wymagający, chociaż drugich osądzają ostro. W cichości ducha radował się nawet spostrzegłszy, że jakiś człowiek ma taką, czy inną wadę, szczególnie wówczas, gdy tym człowiekiem był ksiądz lub mnich. I teraz także nie łowił bezmyślnych plotek i milczał, gdy ludzie obmawiali kogoś, ale słuchał ich gadania bez dawnej odrazy i wrażliwości.

Rozmyślał też o tym, co powiedział sira Hallbjörn o Eiriku, i był zły. Lecz z chłopcem nie będzie o tym mówił – uda lepiej, że nie wie o niczym.



Musi jednak zakazać Eirikowi tego kręcenia się po Rundmyr.

Uczył to istotnie. Ale Eirik nie posłuchał i Olaf dowiedział się o tym. Parę razy złajał go ostro, potem udawał, że nie wie, iż Eirik w dalszym ciągu zachodzi do Rundmyr.

Głupi to był zaiste pomysł usadowić tak blisko Ankiego i Liv! Gdyby przynajmniej okradali tylko jego – z tym mógłby się od biedy pogodzić i przymknąć na to oczy, ale już w okolicy zaczęto przebąkiwać, że na Rundmyr mają długie palce. W końcu Olaf musiał rozmówić się z parobkiem. – Zdaje mi się – powiedział ostro – że powinno wam wystarczyć na długo tego, co zabieracie z Hestviken! – Arnketil przyrzekł poprawę i odszkodowanie, ale Olafowi jego obietnica wydała się niewiele warta.

Teraz trudno było uwolnić się od nich. Kiedy Arnketil przyszedł prosić go na ojca chrzestnego swego syna, Olaf nie miał serca odmówić biedakowi. Poza tym sądził, że jeśli będzie ojcem chrzestnym chłopca, nikt nie ośmieli się podejrzewać go o ojcostwo. Nie zastanawiał się wcale nad tym, czy ktokolwiek ma w ogóle coś podobnego na myśli – on sam tylko obawiał się, że ludzie mogliby wymyślić taką plotkę, opowiadano bowiem coś podobnego przy poprzednim dziecku Liv. Ale wtedy był na ustach wszystkich z powodu owej historii z Torhildą... a zresztą zawsze się znajdują tacy, którzy chętnie oczerniają innych. Wskutek tego jednak, że zgodził się być ojcem chrzestnym, był zmuszony wspierać rodziców.

Dla Eirika Anki był zawsze na poły opiekunem, niełatwo więc przyszyłoby rozłączyć z nim chłopca. Liv zaś z dzieckiem na plecach przychodziła do Hestviken i plątała się cały dzień po oborze i kuchni, udzielając dziewczkom rad i gadając, jak to ona zwykła była sobie poczynać, kiedy tu rządziła.

Torhilda miała zupełną słuszność, gdy mówiła, że Olaf postępuje niemądrze osadzając takich ludzi w pobliżu dworu. Myślał o tym z głuchą

goryczą: wszystko składało się akurat w ten sposób, że nie mógł wziąć do siebie Torhildy i korzystać z jej roztropnych rad.

Z wolna stało się to dla Olafa prawdziwą udręką, że osoba Eirika tak bardzo wrosła w jego myśli i wyobraźnię. Ciągłe na nowo zderzał się z tym niepojętym zachowaniem chłopca i za każdym razem było ono dla niego zagadką. On sam kłamał, to prawda, kłamał na zimno i bez zająknięcia – nie zapomniał o tym; ale wiedział, dlaczego kłamał. Kłamał, bo musiał. Eirik jednak łągał i łągał, a ojciec nie mógł dopatrzeć się w tym jakiejś rozsądnej przyczyny – nie kłamał po to, aby coś osiągnąć, i rzadko robił to w tym celu, aby coś zataić. Olaf zauważył już, choć nie poświęcał zbyt wielkiej uwagi Eirikowi, że ten bardzo rzadko usiłuje czemuś zaprzeczyć lub kłamać, kiedy go wprost pytano; nawet do najgorszych przewinień przyznawał się chętnie. Mieniąc się na twarzy, ze zmrużonymi oczyma opowiadał, jak wygląda sprawa, gdy go o to zapytano. Było więc niemal tak, jakby zmyślał tylko dla uciechy swoje kłamliwe bajki. To zaś wydawało się Olafowi prawie niepojęte.

Od lat wahały się uczucia Olafa między nieokreśloną tęsknotą, aby móc kochać to młode życie, które dostało się pod jego władzę, a niechęcią do tego obcego, co niby cierń tkwiło w jego ciele. Obecnie te uczucia przybrały jak gdyby określony kształt. Bywały chwile, kiedy niezrozumiała kłamliwość Eirika budziła nienawiść w sercu Olafa: jakby to kłamstwo, które niby jarzmo wziął na swoje barki, ożyło w postaci Eirika i szydziło z niego czarownie pięknym uśmiechem piwnych oczu ślicznego chłopca.

Kiedy indziej znowu było zupełnie inaczej...

Drugiego lata po śmierci żony Olaf musiał wybrać się na Eidsivating. Nie trzymał teraz wiele służby we dworze, tak że trudno byłoby mu wziąć ze sobą pacholka w okresie robót polnych. Eirik miał więc pojechać z ojcem.

Olaf nie miał zbyt wielkiej ochoty na tę długą podróż, nie tęsknił też bynajmniej za swym szwagrem. Od trzynastu lat, odkąd zabrał do siebie Ingunę, nie odwiedził okolic na północ od Oslo, poza tym wypadkiem, kiedy przyjechał po Eirika, to zaś było w zimie.

Tym razem jechał w lecie na północ przez Raumarike. Pogoda była piękna i słoneczna, ale w południe upał dokuczał. Wyszukali sobie więc odpowiednie miejsce na odpoczynek niedaleko drogi. Eirik rozkulbaczył konie i spętał im nogi. Po posiłku wyciągnęli się obaj w trawie i Eirik wkrótce zasnął.

Olaf leżał z siodłem pod głową i patrzył przed siebie przez zieloną sieć trawy. Łąka żółciła się kaczeńcami, których rosło tu bardzo dużo, a wokół małego, błękitnego stawku poniżej lśniły srebrzyste puchy wełnianek. Po drugiej stronie strumyka błyszcząły czerwone goździki polne w cieniu olszyny. Olaf patrzył na kwiaty jak na dobrych znajomych spotykanych co roku; wprawdzie i w domu na Hestviken dostrzegał, kiedy zakwitały takie czy inne kwiaty, i wnioskował z tego, jakie będzie lato. Tu jednak, gdy leżał beczynn timer, wpatrzony w kwitnącą łąkę, której właściciela nie znał, była to rzecz zupełnie inna – było to jakby powitanie miejsc, w których żył w młodości.

Wielkie srebrzystoszare z białymi brzegami chmurzyska wypełzły znad wierzchołków sosen i dziwnie cicho i szybko zasnuły gorący błękit. Tu, w dole, nie poruszał się nawet najlżejszy wiaterek. Teraz zaczęły sunąć po niebie i zgasiły światło słoneczne. Olaf naciągnął płaszcz na twarz dla ochrony od komarów i zasnął.

Po południu wyjechali z lasu i ujrzeli przed sobą obszerny dwór w

blasku zachodzącego słońca. Okolony łąkami królował na szczycie wzgórza, z małym jasnym kościółkiem kamiennym na końcu rzędu domostw – doprawdy siedziba potężnego pana. Eirik wydał głośny okrzyk zachwytu, tak bardzo podobało mu się tutaj. Olaf nie odezwał się na to ani słowem.

Droga prowadziła na wzgórze i szła środkiem dziedzica dworskiego. Dwór widziany z bliska był nie mniej okazały z tą niezliczoną ilością zabudowań, starych i nowych, stojących po obu stronach drogi. Oko napotykało wszędzie dowody zamożności i porządku. Gdy zjechali potem w dolinę, nad rzekę, Olaf zagadnął, syna:

– Czy wiesz, Eiriku, jak się zowie ten dwór?

– Nie – odrzekł chłopiec z ciekawością.

– To Dyfryn.

– Ach, więc to jest Dyfryn!

Wkrótce potem odezwał się głęboko poruszony:

– Właściwie po sprawiedliwości myśmy powinni tam siedzieć, prawda, ojczcze?

– Tak. – Olaf jechał w milczeniu dalej. Po czym zapytał jak gdyby z uśmiechem: – Który z dworów podoba ci się bardziej: Dyfryn czy Hestviken?

– Hestviken – odparł chłopak gorąco i bez namysłu.

– Dyfryn jest przeszło dwa razy większy, przecie sam widziałeś.

– Mimo to... Na Dyfryn nie mają morza ani przystani, ani łodzi... Ale serce boli na wspomnienie bezprawia. Wydaje mi się, że człowiek, który tyle niesprawiedliwości i zła ma na sumieniu co ów Sverre, nie nadaje się na króla.

– Jakąś cząstkę bezprawia ma na sumieniu każdy, kto pragnie przeprowadzić swoje zamierzenia – zauważył Olaf.

Eirik zaczął rozpytywać o dawne dzieje, o Torgilsa Eivila, jego

synów i wdowę, którą król Sverre oddał jednemu ze swych wasalów. Olaf odpowiadał na pytania chłopca. Potem ujrzeni przed sobą wygodną i płaską drogę, wiodącą przez polanę, wokół której stały świerki, i Olaf spiął konia ostrogami. Rozmowa się urwała.

Hallvard syn Steinfinna przyjął swego szwagra oraz siostrzeńca serdecznie. Olaf widział, że z biegiem lat Hallvard upodobił się do ojca, przypominał go także usposobieniem. Był hojny, pogodnego usposobienia, niezbyt mądry. Na ting zabrał najstarszego syna Tory i Haakona. Eirik cieszył się bardzo ze spotkania z krewnymi matki, ale chociaż odnosili się do niego życzliwie, zdawał się być bardzo onieśmielony i w czasie tingu trzymał się zawsze i wszędzie przy boku ojca.

Całkiem niespodziewanie Olaf spotkał również swych krewnych z Tveit w Soleyar, Gudbranda i Jona, synów Helgego, ich synów oraz zięcia. Raz jeden tylko zetknął się z mężami z Tveit w tym czasie, kiedy miał uścić grzywnę za zabójstwo Einara; wtedy zaś osądził, że nie bardzo się wysilili dla młodego krewnego. Obecnie postarzelisi wszyscy, i on, i synowie Helgego, zresztą było za późno na odnowienie zażyłości między krewnymi. Mimo to przy spotkaniu zamienił z nimi kilka słów. W jeden z ostatnich dni tingu, kiedy Hallvard zaprosił Olafa do swej gospody na piwo, spotkał tam również mężów z Tveit; Hallvard posłał po nich, aby okazać życzliwość szwagrowi.

Hallvard mieszkał na tym samym dworze, gdzie niegdyś zwykł przebywać Steinfinn podczas tingu. Olaf nie pamiętał już dobrze tego domu, nie był pewien, czy izba, w której siedzieli i pili, jest tą samą, gdzie zaręczono go z Inguną. Poza tym przypominał sobie żywo

wszystkie wydarzenia owego wieczoru – ją i Steinforma, i własnego ojca, tak... wspomnienie ojca zachował niemal tylko z tego wieczoru... I widział przed sobą jak żywe twarze wielu gości biorących udział w owej biesiadzie.

Olaf milczał prawie przez cały wieczór, ale inni nie zwracali na to uwagi; pili i w końcu zdawało się, że zapomnieli o jego obecności. Olaf tymczasem patrzył przede wszystkim na Eirika. Chłopak zachowywał się spokojnie, zupełnie inaczej niż zwykle.

Siedział razem z młodymi chłopcami z Tveit na zewnętrznej ławie. Olaf przyglądał mu się. Dawne uczucia, dziwnie odmłodzone i raczej życzliwe, odnawiały się teraz. W czasie podróży Eirik nie zrobił nic takiego, co by rozdrażniło ojca. A teraz siedział tu skromnie i ściszo, lecz swobodnym głosem rozmawiał z Knutem i Joarem. Śniada chłopięca twarz o ostrych rysach nabierała z wolna cech dorosłego mężczyzny; czoło było wysokie i wąskie pod czarną czupryną, nos wielki i cienki, zgięty, a raczej garbaty u nasady, usta w silnie wykrojonej górnej szczękę wyskakiwały nieco w przód. Gdy Eirik przysłuchiwał się czemuś, ukazywał zazwyczaj przednie, bardzo białe zęby; dwa środkowe rosły nieco krzywo. Mimo to nie był wcale brzydki: ogorzały od słońca, z rumieńcami, z czerwonymi wargami i ogromnymi złotobrązowymi oczami, tak przejrzystymi, że mimo woli nasuwały wspomnienie bursztynu lub wody na moczarach, w której przegląda się słońce. Niby przelotny dreszcz uczuł Olaf, że siedzi tu ze swymi krewnymi i szwagrami i niewiele ma z nimi wspólnego. Mimo prawdziwych, uczciwych więzów, które go z tymi ludźmi łączyły, więzów krwi i prawa, jest związany z tym smukłym chłopcem o ciemnej cerze, który niby obcy siedział między jasnymi i rudymi wyrostkami z Tveit. Sam nawet nie zdawał sobie sprawy, jak mocno był z nim związany.

Hallvard kazał wnieść wino; dochodziła niemal północ, gdy goście wstali od stołu. Do szopy, gdzie sypiał Olaf, trzeba było iść z pół godziny,

a na rozstaju stał jeszcze chwilę gawędząc z paroma ludźmi idącymi w stronę przeciwną. Potem prędko zaczął schodzić z Eirikiem w dół. Noc była ciepła i tak jasna, że blask księżyca wydawał się blady i łagodny. Uszedłszy kawałek posłyszeli przed sobą głosy ludzi z Tveit. Byli pijani i mówili głośno. Olaf nie miał więc ochoty przyłączyć się do nich i wracać razem. Zboczył z Eirikiem ze ścieżki i szli przez usianą wielkimi kamieniami, porośłą jałowcem i jakimiś małymi krzewami łąkę na zboczu wzgórza. Kilka koni pasło się pomiędzy kępami traw w nikłym świetle księżyca.

Dotarli do pasma niewysokich wzgórz i tu zagroziło im drogę szerokie bagno, zbyt wielkie, aby je okrążyć. Olaf usiadł, aby przepuścić ludzi z Tveit. Ale po chwili okazało się, że i oni rozłożyli się na drodze nie mając może siły iść dalej. Gudbrand wymiotował, jęczał i sapał, tamci zaś pletli głupstwa i żartowali z niego.

Eirik położył się na brzuchu w trawie, śmiał się cicho i naśladował okrzyki i stękanie dochodzące z dołu.

– Popatrz na księżyc, ojciec – wykrzyknął nagle. Półksiężyc, bliski już zachodu, płynął ponad wierzchołkami drzew, otoczony kilku przeźroczystymi, złotymi chmurkami. Tuż za nim na niebie jarzyła się samotnie wielka gwiazda w bladoniebieskim przestworzu.

– Aha – rzekł Olaf – wiatr się zrywa.

– Wygląda zupełnie jak okręt – mówił Eirik, śmiejąc się cicho ze swego pomysłu – jak okręt, co żegluje po morzu. A ta wielka gwiazda za nim jest jak pies goniący za okrętem.

– Zmiłuj się, Eiriku – Olaf uśmiechnął się mimo woli – jak może pies gonić za okrętem płynącym po morzu?

– Ależ tak – odparł Eirik, wcale nie zbity z tropu. – Okręt odpłynął, a pies biega po wybrzeżu, po wszystkich przylądkach i szczeka, i wyje za łodzią...

Słowa chłopca wzbudziły w Olafie dawne wspomnienia. Słyszał już kiedyś albo może śniło mu się coś podobnego o psie, który gonił po brzegu i czekał za uchodzącym statkiem... Był to pies – a może człowiek, którego zostawiono...

Spojrzał na zwróconą ku górze twarz chłopca. Wydawała się blada w wieczornym świetle, a szeroko rozwarte oczy były mroczne w cieniu. I miał wrażenie, jak gdyby niewidzialna więź pomiędzy nim a chłopcem napięła się...

„...Z dudnienia kroków kocich i niewieściej, brody, z górskich korzonków i oddechu ryb, ze śliny ptasiej...” – taką bajkę znał kiedyś w dzieciństwie. Opowiadała o kimś, kto sporządził sznur delikatniejszy od jedwabnej wstęgi, a wiążący mocniej niż łańcuchy ze stali – jakiś dziki zwierz miał być nim spętany aż po dzień Sądu Ostatecznego.

Na drodze uczyniła się tymczasem cisza.

– Chodź – zwrócił się Olaf do syna; mimo woli ręka jego opadła na ramię chłopca i spoczęła na nim przez chwilę.

Zeszli na dół i odnaleźli znowu ścieżkę. Ludzi z Tveit nie zastali już na niej i spokojnie doszli do szopy, gdzie Olaf wynajął miejsce do spania.

Łoże było bardzo wąskie. Eirik zasnął natychmiast i obrócił się zaraz we śnie, tak że stoczył się prawie całkiem na ojca. A Olaf leżał na niewygodnym, ciasnym pościeliu w mroku przesyconym cierpkim zaduchem i czuł ucisk długiego, chudego ciała i ciepłą woń włosów i skóry chłopca. Nie wywołało to odrazy, lecz jakieś dziwne uczucie litości. Chociaż tylko Bóg jedyny i Jego święta Rodzicielka raczyli wiedzieć, dlaczego miał się litować nad Eirikiem.

Nie wiedział, dlaczego musiałyby żałować syna, ale miał takie uczucie, jakby sama młodość chłopca roztkliwiała go. „Ale z tego przecież prędko się wyrasta” – rozmyślał w duchu.

Olaf leżał i jak kłoda rzucona przez falę kołysał się pomiędzy snem i



ją. Po kilku godzinach, gdy usłyszał, że ludzie w sąsiednich komorach już się ruszają, wysunął się ostrożnie spod śpiącego chłopca, wstał i poszedł sam oporządzić konie. Nie chciał budzić Eirika.

Przyjaźń, jaka zakwitła między Olafem synem Auduna i jego krewnymi na Rynjul i Skikkjustad, wkrótce znów ochłodziła. Una powiedziała tak dużo owego dnia wiosną, kiedy wracała łodzią Olafa, że choćby ze względu na honor nie mogli narzucać się więcej. A Olaf ani palcem nie kiwnął w tej sprawie. Tak więc unikali się wzajemnie. Wiedział dobrze, że krewniacy na Rynjul są źli na niego.

Jak ludzie tłumaczą sobie jego postępowanie, dowiedział się pewnego dnia, spotkawszy się przypadkiem z sirą Hallbjörnem koło przystani. Ksiądz z miejsca ofuknął go w swój rubaszny sposób:

– Głupiec wierutny z ciebie, Olafie, że znowu zadajesz się z Torhilda. To ona namówiła cię do kupna tego nędznego obejścia, a co gorsza, powstrzymała cię od dobrego ożenku.

– Cóż to znowu za gadanie? – Olaf zaczerwienił się z gniewu. – Nie pytam nikogo o radę, czy chodzi o zakup gruntu, czy o żonę. W takich sprawach postępuję wedle własnego uznania.

– Aha, chcę wierzyć, że tak sądzisz. Pewnie sądziłeś również, że postępujesz według swojej woli, robiąc to, co ona chciała. Z was dwojga Torhilda jest mądrzejsza. Uważaj dobrze, Olafie, aby nie skręciła znowu na ciebie postronka ze swego powróśla.

Olaf zachnął się wściekły.

– Bez względu na to, jak jest, to nie twoja rzecz, siro, póki z nią znowu nie śpię! A rady poszukam sobie tam, gdzie zechcę. Nie prosiłem cię o nią.

Odwrócił się i wskoczył do łodzi.

Potem jednak rozgorzało w nim znowu dzięki pożądanie Torhildy i nękało go dniem i nocą. Wziąć ją do siebie, choćby na przekór wszystkim! Jeśli ludzie koniecznie chcą wtykać nos w jego sprawę, niech mają

przynajmniej w co. A Björn? – sam zakazał sobie myślenia o dziecku, odpędzał myśli, ilekroć biegły w tym kierunku. Teraz nagle zadał sobie pytanie: czy to wszystko warte jest zachodu? Tyle rzeczy ułożyło mu się w życiu na opak – niechby wziął przynajmniej to dobre, co się samo nasuwało...

Marzył teraz o swym synu we śnie i na jawie. Lecz poza obrazem jasnowłosego chłopaczka wyłamało się natychmiast drugie jasnowłose dziecko – Cecylia. Dla niej musi pozostać silnym i odmówić sobie tego, czego pożądał. Żle byłoby, gdyby Cecylia wyrastała we dworze, w którym rządzi nałożnica ojca. Nie zniszczył do tej pory przyszłości Cecylii i nie uczyni tego.

Olaf rzadko teraz widywał córkę. Jeśli biegała po dziedzińcu i bawiła się, a ojciec zatrzymywał ją, aby z nią pomówić, Cecylia zwykle nie miała czasu na to, aby mu odpowiedzieć. Nocą zaś sypiała z Ragną w izbie Torhildy. Ragna była jednak tylko ubogą sługą nie nadającą się do tego, aby później, gdy Cecylia podrośnie, wychowywać córkę człowieka jego stanu. Ponadto Ragna prowadziła całe wielkie gospodarstwo i miała troje własnych dzieci do pilnowania. Najstarsze leżało calutki Boży dzień przed domem, śliniło się, chrapało i kiwało ogromną głową – biedactwo było chyba niespełna rozumu. Natomiast dwoje rocznych bliźnięt zwinnych jak koty raczkowało po dziedzińcu i czołgało się wszędzie, przez wszystkie progi w ciągu całego dnia.

Olaf bezradnie głowił się nad tym, co począć z córką i w jaki sposób dać jej odpowiednie wychowanie. Sprawa byłaby może o wiele prostsza, gdyby poślubił Dizę. Chociaż nigdy o żadnej niewieście nie można z góry powiedzieć, jaką byłaby macochą. I ta Liv, co się tu pętała przez cały dzień do późnego wieczora... Cecylia trzymała się zawsze u jej boku, nie pamiętała żadnej innej matki.

Potem niespodziewanie znalazło się wyjście z tych wszystkich trudności – tak się przynajmniej Olafowi wydawało. Pewnego dnia przybyli do Olafa na Hestviken dwaj mieszczanie z Tunsberg z wiadomością, że Asger syn Magnusa leży umierający w klasztorze w ich mieście i pragnie z nim pomówić. Olaf nie miał tego dnia żadnej pilnej roboty, a wiatr dął pomyślny; pożegłował więc od razu do miasta.

Dziwnie uderzył go fakt, że teraz oto zgłaszają się jeden po drugim wszyscy mężowie, których znał w młodości i o których przez całe lata prawie nie myślał. Miał wrażenie, że opuścił zaklętą górę i wszystko układa mu się podobnie jak owym zaczarowanym: czuł się obcy i obojętny wobec tych ludzi...

Nie dlatego, żeby stosunki między nim a Hallvardem albo ludźmi z Tveit były kiedykolwiek bardzo serdeczne. Asger był bądź co bądź jego przyjacielem, byli nawet dalekimi krewnymi i w czasie pobytu w Danii dość często się widywali, choć nigdy nie mieli sobie wiele do powiedzenia. Ta przyjaźń należała do związków zawartych w czasie wygnania – jedyne węzły, których nie zerwał. Poza tym wspomnienie lat spędzonych u wuja na Vikingavaag przesuwano się przed oczyma Olafa jak na pół zapomniany sen. Asger jednak przybył do Norwegii z wyjętymi spod prawa panami duńskimi i w ten sposób zostali towarzyszami broni w wojennych wyprawach przeciw Danii. Na myśl o latach wojaczki radość nappełniła Olafa – cieszył się, że spotka się z druhem. I na tym przyłapał sam siebie, stojąc u steru i biorąc kierunek według morskich znaków. Asger nie był z pewnością aż tak chory, jak przedstawiali to posłańcy, to było do niego niepodobne.

Kiedy jednak nazajutrz po mszy zaprowadzono go na poddasze, gdzie leżał Duńczyk, zrozumiał od razu, że śmierć czyha w pobliżu. Wielka, szeroka twarz Asgera miała pod rudym zarostem kolor szarzielony, a z silnego, nieco chrypliwego głosu pozostało tylko skrzypiące dyszenie.

Zaledwie ujrzał Olafa, powiedział natychmiast:

– Zbliża się koniec, Olafie.

Na skrzyni, pod małym okienkiem umieszczonym w szczytowej ścianie, siedziała stara kobieta z małą dziewczynką. Kiedy Olaf pozdrowił ją, kobieta podniosła się i podała mu rękę. Wygląd jej zadziwił Olafa. Była o głowę wyższa od niego, barczysta, chuda i prosta w swej czarnej szacie; niewieści czepiec przykryty był granatową chustą wdowią. Szczupłe i blade oblicze musiało być niegdyś bardzo piękne; pod krzaczastymi, siwymi jak stal brwiami błyszcząły jeszcze wielkie niebieskie oczy, a delikatny grzbiet wygiętego nosa lśnił jak kość słoniowa. Policzki pokryte już były głębokimi bruzdami, a w kątach ust rosły pęczki siwego zarostu. Była to świekra Asgera, Maerta córka Birgera. Olaf nie słyszał dotąd nigdy, aby jakakolwiek kobieta miała na imię Maerta. Ta tutaj wyglądała jednak tak, jak gdyby nie przynosiła wstydu swej patronce, zapobiegliwej gospodyni z Betanii.

Maerta wyszła zaraz i Olaf usiadł na łożu przyjaciela. Asger był obecnie wyjęty spod prawa i w Norwegii, i w Danii, zdarzyło mu się bowiem nieszczęście; w swej rodzinnej gminie Hising, gdzie się ożenił, zamordował bogatego człowieka. Zabity był zarówno przyjacielem Haakona jak i hrabiego Jakuba. Mimo to Asger schronił się do Tunsberg; znano go dobrze w klasztorze z dawnych lat i z pewnością przynajmniej na czas choroby i do zawarcia umowy zostawią go w spokoju lub pozwolą mu umrzeć pod opieką klasztoru. Przeor upierał się przecież zawsze przy tym, że klasztor posiada prawo azylu, choć nie było pewności, czy to prawo zostało kiedykolwiek potwierdzone. Ale bez względu na to, jak się rzecz miała, jego świekra i dziecko są tutaj. Czy Olaf zechce je wziąć do siebie? Olaf obiecał natychmiast i uderzeniem ręki potwierdził przyrzeczenie.

Słyszał swego czasu, że Asger dobrze się ożenił na południu. Przyjaciół

opowiedział mu teraz, że jego żona umarła przed trzema laty, on sam zaś zaniemógł ciężko od czasu owego wypadku, kiedy coś w nim uległo widocznie zmiążdżeniu, tak że od tej pory pluł krwią i nie mógł jeść.

– Ale mimo to miałeś dosyć siły, by rozciągnąć pana Paala w pełnej zbroi? – zagadnął Olaf z uśmiechem.

Asger roześmiał się i odchrząknął:

– No, nie... – Olaf zrozumiał z jego opowiadania, że to Świekra przyczyniła się do uwikłania go w ten spór. Dalibóg, wyglądała na to, a i Asger również nie należał do potulnych. Ale był przyzwyczajony do tego, że szczęście jego jest zmienne, i znosił spokojnie porażkę; która go dotknęła. Wydawało się jednak, że troszczy się bardzo o los dziecka.

Olaf rzucił okiem w stronę, gdzie siedziała dziewczynka, i wyciągnął do niej rękę:

– Chodź tu, Bothildo! Jeśli masz zostać moją przybraną córką, musimy porozmawiać ze sobą.

Dziewczynka siedziała na skrzyni cicho jak mysz, a gdy niezajomy mężczyzna przemówił do niej, spuściła powieki; rzęsy miała czarne i gęste. Była nieco większa od Cecylii. Ma sześć lat – oświadczył Asger.

Olaf spostrzegł, że jest prześliczna, chociaż podobna była do ojca. Odziedziczyła po nim szeroką twarz, szerokie, niskie czoło, oczy osadzone dość daleko od siebie i krótką, czworokątną brodę. Ale cera jej lśniła jasnością, czoło było białe jak mleko pod gładkimi rudawymi włosami, które w dwóch grubych warkoczach opadały na piersi. Gdy popatrzyła na Olafa, przez jedną krótką chwilę oczy jej rozbłysły najczystszy błękitem. Braciszek lekarz, który przyprowadził Olafa na poddasze, dał jej wielkie jabłko, siedziała więc na skrzyni i trzymała je w rękach na podołku nie skosztowawszy wcale. Wyglądała tak bojaźliwie i nieśmiało, jak gdyby rozumiała sama, jak bardzo jest opuszczona i samotna na świecie.

Olaf nigdy nie lubił zapachu jabłek, woń ich wydawała mu się przykra

albo spleśniała, a teraz mieszała się z zaduchem choroby, słomy na posłaniu i stęchłych, przepoconych koców.

Widok nieruchomego, smutnego dziecka obudził w Olafie nieokreśloną tkliwość i ból. Wspomnienie bezbronnej młodości, jaką widział w życiu, i nieuleczalnej słabości, narażonej na śmiertelne ciosy, każda myśl o jego własnych dzieciach, które kiedyś mogłyby być pozbawione opieki, myśl o dziecku, którego był ojcem i któremu nigdy nie będzie mógł dać ojcostwa – wszystkie te uczucia przesuwwały się w tej chwili niby cienie w jego duszy. Podniósł się, podszedł do dziewczynki i pogłaskał jej okrągłe, chłodne, dziecinne liczko.

– Spójrz na mnie, Bothildo, bardzo cię lubię. Mam w domu córeczkę Cecylię. Teraz będziesz jej przybraną siostrą i razem będziecie się chować. Jak ci się to podoba?

Dziewczynka bez słowa ześliznęła się ze skrzyni i wysunęła się spod ramienia Olafa. Podbiegła do łóżka ojca, przytuliła się do niego i oburącz objęła jego dłoń.

– Ja chcę zostać przy tobie, mój drogi ojczu: – powiedziała żałośnie.

Olaf podniósł jabłko z podłogi i podał je dziewczusce.

Asger otworzył jakby z bólem małe, bystre, niebieskie oczy, głos jego drżał bezsilnie.

– Nie bierz jej tego za złe, bracie Olafie. Rozpieściłem tę moją córkę. – Objął ją ramieniem i przytulił małą, ciemną główkę do swej piersi. – Nie tłumacz sobie tego źle.

– Ależ nie, nie. – Olaf siedział na krawędzi łóżka i patrzył w inną stronę. Współczucie, jakie miał dla ojca i córki, onieśmiałło go po prostu.

W miesiąc potem Olaf otrzymał wiadomość, że Asger syn Magnusa umarł. Ale przeciągnęło się aż do Bożego Narodzenia, zanim mógł pozełgować do Tunsberg po starą kobietę i dziecko. Przeor oznajmił mu, że spuścizna po Asgerze została wzięta w sekwestr, ale Maerta córka Birgera zdołała zabrać do swej wielkiej skrzyni sporo pieniędzy w dobrej monecie. Ponieważ Asger za życia darzył klasztor zawsze przyjaźnią, przeor ofiarował się, na wypadek gdyby Olaf nie chciał wziąć dziecka do siebie, dać mu list do ksieni Groi w Oslo. Może ona przez chrześcijańskie miłosierdzie zajmie się Bothildą – dziewczeczka wydaje się stworzona na mniszkę, jest potulna i cicha, godna naprawdę miłości. Olaf podziękował i odparł, że przyrzekł zmarłemu, iż zastąpi dziecku ojca.

Opuszczając izbę przeora Olaf natknął się na Bothildę. Klęczała na ganku i bawiła się układaniem kamyków. Pogoda była wietrzna i wilgotna, mokry śnieg nawiewał na ganek. Olaf przemówił do dziecka i kazał mu wstać. Bothilda podniosła się natychmiast bez słowa. Olaf wziął ją za rękę; była lodowata, roztarł więc jej rączki w swych dłoniach. Miał coś do załatwienia na przystani, przy łodziach, i spytał Bothildę, czy zechce z nim pójść. Skinęła głową, wziął ją więc ze sobą.

Rączyna dziecka leżała tak posłusznie w jego dłoni, że ciepło zrobiło mu się na duszy. Ilekroć chciał wziąć Cecylię za rękę, wymykała mu się zaraz, nigdy nie potrafiła chodzić spokojnie u boku dorosłego. Nie udało mu się jednak wydobyć ze swej wychowanki słów innych niż bardzo ciche „tak” lub „nie”.

Zabrał potem Bothildę do gospody. Gdy usiadł obok ognia, aby osuszyć przemoczoną odzież, przyciągnął dziewczynkę do siebie i wziął ją na kolana. Usadowiła się wygodnie i oparła głowę na piersiach mężczyzny; włosy jej słodko pachniały. Olaf podniósł drobną twarzyczkę i pocałował dziewczynkę w usta. Poczuł, jak miękkie wargi dziecięce poruszają się i oddają całusa. Przebiegł go słodki dreszcz.



Eirik chętnie siadał na jego kolanach, gdy byli mały, Cecylia natomiast wrywała się zaraz na ziemię. A gdy zdarzyło się niekiedy, że próbował ucałować córeczkę, zauważył, że Cecylia tego nie lubi.

Od roku Olaf sypiał w izbie, w łożu, które było niegdyś jego łożem małżeńskim. Bezsensowność nie prześladowała go obecnie tak bardzo jak dawniej, ale i teraz leżał nieraz długo w nocy i czuwał. Przyjemnie mu więc było spać w izbie. Do komory nie wnikało nigdy światło dnia, powietrze w niej było lodowate i stęchłe, przesiąknięte chłodnym, surowym zapachem tranu i zapasów przechowywanych tam zimą. W izbie pachniało ludźmi i dymem, ciepło zdawało się promieniować nawet w nocy od paleniska, gdzie żar przykryty był popiołem. Pewnej nocy huragan zerwał kawał zasuwu nad dymnikiem i Olaf dotychczas tego nie naprawił. Tak więc, gdy miesiąc świecił, mógł dostrzec w dymniku zasłoniętym zwierzęcą skórą smugę światła i poznać, kiedy szarzeje. I lubił to.

Teraz przeniósł się z powrotem do komory. Maerta i dzieci miały spać w południowym łożu, w izbie.

Olaf spodziewał się, że Cecylia będzie się dąsać i krzyżeć, gdy się dowie, że ma odtąd spać z obcymi, a nie z Ragną, do której przywykła. Ale stało się inaczej. Przybył do Hestviken wieczorem po trzydniowej podróży. Burzliwe morze zmusiło go do trzymania się wybrzeży. Bothilda była na wpół martwa, kiedy ją niósł na górę do dworu; przez cały wieczór siedziała skurczona na zydlu, jak gdyby wciąż jeszcze płynęła statkiem. Ludzie wchodzili i kręcili się po izbie wnosząc łuby podrózne. Cecylia zaś okrążała bez przerwy obce dziecko wpatrując się w nie spod jasnych jak len kędziorów szeroko rozwartymi oczyma.

Zaledwie Maerta nakrywszy kożuchem wycieńczone biedactwo ułożyła je na posłaniu i Olaf polecił Cecylii, aby się położyła obok przybranej siostry, mała w mgnieniu oka ściągnęła ubranie i wskoczyła do łoża. Po chwili nadeszła Maerta i podniosła śpiącą Bothildę chcąc jej podsunąć poduszkę pod głowę. Cecylia szybko oplotła ramieniem obce dziecko:

– Nie ruszaj jej! To moja siostra!

Ludzie w gminie żartowali z tego, że Olaf syn Auduna otrzymał mimo wszystko spuściznę po swych bogatych krewnych duńskich: odziedziczył świątkę. Wkrótce też zaczęli ją nazywać panią Maerta.

Olaf czuł się dobrze z nową gospodynią we dworze. Nie miał potrzeby troszczyć się teraz o nic więcej, tylko o sprawy należące do niego. Poza tym wydawało się, że Maerta jest dobra dla Cecylii.

Galfrid syn Ryszarda winien był Olafowi trochę pieniędzy i ofiarował mu zamiast tego piękną, zaprawioną do łowów sokolicę. Galfrid odkupił ją wiosną od pewnego Islandczyka, nie znał się jednak na polowaniu z sokołem i wołał pozbyć się ptaka. Olaf wiedział od dawna, jak trudno jest hodować ptaki w Hestviken, aby nie chorowały w zimie, nie posiadał również konia zdatnego do łowów z sokołem. Mimo to nie mógł oprzeć się chęci posiadania pięknego ptaka. Killakroć, póki trwały przymrozki, wyprawiał się z nim rankiem na łowy. Przeważnie polował na cietrzewie, ale parę razy poszczęściło mu się i widział, jak sokół pędzi przed sobą czaplę. Kiedy w takie dni powracał do domu szczęśliwy i rozgrzany pięknym widokiem walki w powietrzu, Eirik miał sposobność wykorzystania dobrego humoru ojca. Chłopak snuł plany, że na wiosnę

złapie młode jastrzębie i wyćwiczy je w łowach. Olaf śmiał się – to wcale nie było łatwe dla kogoś, kto nie miał w tym wprawy; lecz w młodości napatrzył się sam temu, obiecał więc pomóc Eirikowi w miarę możliwości. Do chłopca należało przynoszenie piasku i utrzymywanie porządku w pomieszczeniu ptaka. Ojciec uczył go brać sokoła na rękę, narzucać kaptur na głowę i pętać mu nogi rzemykiem. I tak ucząc ptaka mężczyzna i wyrostek zaprzyjaźnili się z sobą.

Potem czaple wywędrowały na południe i spadł śnieg. Olaf ustawił w komorze pręt dla sokoła i rozpiął dokoła kilka płacht na kształt namiotu. Po nocach, kiedy ściany komory były chropowate od mrozu, a para jego oddechu osadzała się szronem na przykryciu, leżał i nasłuchiwał, czy sokół się porusza. Martwił się, że ptak mógłby zachorować i wiosną okazać się niezdatnym do łowów. Codziennie badał jego szpony oraz wydzieliny i pilnie przestrzegał, aby sokół jadł. Mimo tych trosk był szczególnie szczęśliwy, że posiada ów skarb – tak dumny i nieokiełznany, a zarazem tak wrażliwy i łatwo ulegający zniszczeniu. Lubił ważyć ptaka na przegubie raki, trzymać go pod światło i oglądać z wszystkich stron delikatny rysunek, szare pręgi i jasnobrązowe cętki widoczne Via białym upierzeniu. Nocami, kiedy zimno tłumilo wszystkie zapachy, zdawało mu się mimo to, że czuje ostre wyziewy drapieżnika; tęsknił za wiosną i cieszył się, jak nie cieszył się już od dawna – sam nie wiedział, od jak dawna...

Jelenie wywędrowały jeszcze dwie zimy temu, odkąd w okolicy pojawiły się wilki.

Z początkiem nowego roku zauważył parokrotnie, że w domu

zaczynają się niesnaski, ponieważ Eirik nie słucha pani Maerty. Olaf rozgniewał się bardzo, gdyż teraz pragnął przede wszystkim spokoju i skarcił chłopca ostro, lecz to niewiele pomogło. Od początku uważał, że Eirik ponosi winę. Tak dworna niewiasta jak Maerta córka Birgera nie spodziewała się zapewne, że syn gospodarza z Hestviken jest dziecinnym, nieokrzesanym gburem.

Eirik nie troszczył się przedtem zbyt o swą małą siostrzyczkę, ale też nie dokuczał jej nigdy. Jeżeli bawił się z Cecylią, był zawsze dla niej dobry i pomagał jej w zabawach. Teraz i to się zmieniło. Chłopiec ciągle chodził za dziewczątkami, drażnił je i sprawiało mu przyjemność, gdy Cecylia wpadała w złość i stawała się podobna do młodego jastrzębia. Bothilda na pół martwa z żalości kryła się cichutko przed nim w kąciku.

Pewnego wieczora Olaf wszedł do przedsionka, aby wydobyć skrzynię z przyciętymi strzałami, bełtami i grotami; chciał sobie przygotować strzały na ptactwo. Podobnie jak przez te wszystkie lata, w których rozmyślanie nad tyłoma sprawami stało się jego przyzwyczajeniem, zachowywał się zupełnie cicho. Nienawidził hałasu.

Wewnątrz, w izbie usłyszał głosy dzieci, Eirika i Cecylii. Eirik śmiał się, a Cecylia była zagniewana. Olaf zajrzał do środka. Cecylia siedziała przed paleniskiem na małym, trójnożnym zydlu, który był jej własnością; stary parobek Tore sporządził go dla niej.

Siedziała i trzymała się zydlu obiema rączkami, nóżki wparła mocno w podłogę. Usta jej były ściągnięte, a oczy aż okrągłe, białka prawie tak niebieskie jak jej jasne źrenice; podobna była do białego, modrookiego kociątka siedzącego na czatach. Z tyłu za nią stał Eirik, stopę wsunął pod zydel i huśtał go, a dziewczynka robiła się umyślnie ciężka.

Olaf wszedł do izby po światło. Eirik odsunął się od siostry.

Ale zaledwie ojciec wyszedł z powrotem do przedsionka, zaczął na nowo kołysać zydel. Wywijiał przy tym czerwoną wstążką i upuścił ją na

posypaną słomą podłogę. Cecylia chciała prędko porwać wstążkę, lecz Eirik był szybszy; z głośnym śmiechem rzucił się na jej stołek.

Siostra skoczyła i wjechała rękoma w jego włosy. Szarpała go bez słowa. Eirik jednak odsunął ją ze śmiechem. W końcu upadła na polepę obok paleniska i chcąc się czegoś uczeplić, schwyciła tlejące jeszcze polano. Wtedy z krzykiem rzuciła się jak szalona na brata i zaczęła pluć na niego, aż ślina ciekła po małej bródce.

Olaf wszedł, wziął Eirika szorstko za rękę i odrzucił go na bok. Chłopiec schwycił Cecylię za włosy, bo go chciała ugryźć. Ojciec podniósł ją:

- Ciągniesz, jak widzę, małe dziewczynki za włosy.
- To ona pierwsza zaczęła...
- Tak, doprawdy?

Eirik zmieszał się i poczerwieniał. Cecylia przypomniała sobie, że się sparzyła w rękę, i zaczęła żałośnie płakać. Olaf uspokajał ją, znalazł łój i posmarował oparzone miejsce. Bothilda wyszła z kąta, stanęła obok i patrzyła.

Olaf cieszył się, że może siedzieć chwilę z Cecylią w ramionach i z drugą dziewczynką opartą o jego kolana. Na Eirika nie zwracał najmniejszej uwagi. Gdy jednak do izby weszły pani Maerta z Ragną niosąc wieczerzę i Maerta spytała, co się stało, Olaf odparł:

– Nic...

Wtedy Cecylia podniosła głowę opartą na piersiach ojca:

- Czy Eirik nie powinien mi teraz oddać mojego konika, ojczec?
- Ależ oczywiście, że ci go odda.

– To nie jej koń – odezwał się Eirik czerwieniąc się znowu. Pani Maerta zabrała głos:

– Darowałam dziewczynkom małego drewnianego konika, którego znalazłam w łóżu Eirika, kiedy zmienialiśmy przed Bożym Narodzeniem

słomę. Już od dwunastu tygodni dzieci wojują o tego konika.

Olaf uśmiechnął się drwiąco:

– Czy ten koń jest aż tak cenny, Eiriku, że nie dasz go swojej siostrze?

– Tak – odparł Eirik zawzięcie. – Matka wystrugała mi go, kiedy byłem dzieckiem.

– W takim razie musisz go oddać Eirikowi – rozstrzygnął ojciec. – Dostaniesz drewnianych koników, ile tylko zechcesz.

Później, po wieczerzy Eirik zbliżył się do ojca i zapytał, czy może mu pomóc w przygotowaniu strzał. Olaf pozwolił. W pewnej chwili, kiedy Eirikowi nie udało się osadzić bełtu we właściwym miejscu, Olaf oderwał oczy od roboty i popatrzył na niego:

– Nie bardzo ci to idzie, Eiriku...

Nie było to zgodne z prawdą. Eirik był zręczny i obrotny. Ale brzechwa była uszkodzona i wrąb na bełt wypadł zbyt płaski.

W parę dni potem ojciec i syn stali pod wieczór w szopie okrętowej i oprawiali rybitwy. Olaf ściągał z nich skórę, Eirik wycinał piersi, wkładał do kadzi i solił. Od czasu do czasu Olaf ocierał ręce o połę kaftana. Eirik chciał go naśladować, lecz sól paliła jak ogień jego spuchnięte i popękane od mrozu ręce, tak że przy samym zbliżeniu do szorstkiej wełny czuł ból.

Południowy wicher wylł i napierał na ścianę szopy, chwilami pluskała gwałtowna ulewa. Pod podłogą chłupotały i uderzały fale, odrywały lodowe grudki i ciskały je na skały. Zaczynała się brzydka pogoda. Eirik był szczęśliwy, że wolno mu stać tutaj z ojcem i pomagać mu.

Wkrótce po Wielkanocy przybył na północ król Haakon z Elven do Tunsberg. Zaraz też gruchnęła wieść po gminach leżących dokoła fiordu, że pokój z duńskim królem zawarty został na dwa lata. Ludzie cieszyli się, bo pierwsze wiadomości, jakie dotarły w te strony o spotkaniu dwóch królów, brzmiały, że wiosną król Haakon ma zamiar nawiedzić Danię z większą jeszcze flotyllą wojenną niż kiedykolwiek.

Olaf jednak nie był bynajmniej rad, że musi jak zwykle zająć się wiosenną orką i siejbą. Nudno było mieć przed sobą całe lato w Hestviken. Nie zastanawiał się nad tym, czemu teraz dni wydają mu się jeszcze bardziej czcze, skoro wreszcie miał za sobą całą długą mękę i zgryzotę o ustawicznie chorą żonę. Czas dłużył mu się wtedy okropnie, obecnie biegł szybko, a pomimo to Olaf targany był wewnętrzną niecierpliwością. Miał uczucie, jakby zaprzedał swą duszę i został oszukany.

Nie po to przecież, aby krzątać się tutaj, we dworze na wzgórzu, na zatoce, wypływać rybackimi kutrami na morze, orać ziemię, jeździć do młyna i do Saltviken – nie po to zmusił do milczenia głos, który go tak długo przyzywał i upominał. Tajemna walka duchowa, która przez dwanaście lat tworzyła całe jego życie, była jak materia utkana przez niego i przez jeszcze Kogoś. I uczynił zupełnie tak samo, jak czyni kobieta, która odcina kawał dywanu rozpiętego na krosnach, zwija go i zamyka w skrzyni.

Olafowi było tak na duszy, jak gdyby klucz od owej skrzyni wrzucił w morze...

Nie zrobił tego w tym celu, aby zamienić duchową rozterkę na jednostajne, spokojne dni. Zapomniał o swych przeżyciach w Anglii, o wszystkim, co wtedy przemyślał – zapomniał tak gruntownie, że nigdy nie

przypuszczał, iż człowiek może do tego stopnia zapomnieć. Mimo to od czasu do czasu odzywało się w duszy wspomnienie rozstrzygającej chwili – wspomnienie bojowej pieśni i słonawo- mdłego posmaku własnej krwi, krótkiej i niespokojnej młodości, którą obudziła owa pieśń. Przypomniał sobie rozkosz walki – przeciwnicy z krwi i kości, zbójcy, którzy znienacka wyciągają nóż w ciemności. Zdawało mu się, że to są owe tajemnice, dla których był wybrany, sprawy niewielkie, lecz dostatecznie ważne, aby rozstrzygnąć je w momencie, kiedy ogarnęła go pokusa całkowitego odwrócenia się od Boga. Zbyt ciężko jest mężczyźnie, który został zdrajcą i zbiegiem, powrócić pod sztandary prawowitego pana.

Tej wiosny kilkakrotnie nachodziła Olafa pokusa... Stał pod wieczornym niebem, które rozpinało się nad nim, blade i niezgłębione, złotawe jeszcze po zachodniej stronie fiordu nad zrębem wzgórz. Szara tafla wody u jego stóp migotała niespokojnie. W dole, gdzie ciemność opadała z wolna na brzegi, jednostajnie bełkotało morze.

Olaf obmyślił się z pierwszego brudu w kadzi przed drzwiami izby... Cokolwiek przedsięwziął, praca każdego dnia rozpoczynała się i kończyła tym, że musiał dreptać utartymi ścieżkami – z dziedzińca i znów na dziedziniec, wchodzić do domu i kłaść się na posłaniu w ciemnej komorze. I na mgnienie oka nawiedzała go pokusa: uczynić jak Judasz – czuł tak piekielną odrazę do spotkania się z tamtymi w izbie.

Z początkiem zimy, kiedy przebąkiwano o wojennej wyprawie, Olaf oświadczył, że tego roku weźmie ze sobą Eirika na pokład statku. Dopóki wszyscy przypuszczali, że wyprawa dojdzie do skutku, Eirik zaprawiał się we władaniu bronią i przeglądał rzeczy, które miał zabrać ze sobą. Ale gdy potem dowiedziano się, że wyprawa spełzła na niczym, Eirik stał się jeszcze gorliwszy i rozpowiadał o wszelkich możliwościach – gdyby, gdyby, gdyby... Olaf gniewał się za każdym razem, kiedy słyszał paplanie chłopca.



Inna jeszcze rzecz gnębiła Olafa: oto Eirik wечно śpiewał albo nucił. Póki był dzieckiem, nie drażniło to ojca tak bardzo, bo chłopiec miał taki miły i czysty głos. Teraz jednak przechodził mutację, a mimo to podśpiewywał dalej. Nie brzmiało to wcale pięknie.

Pewnego dnia w południe podczas sianokosów Olaf posłał Eirika do dworu po linę do wiązania snopów. Jakoś długo nie było go widać z powrotem. Grzmot przewalał się nad Huderheim, nadciągała burza, ludzie uwijali się jak mogli, aby znieść przed deszczem siano do jaskini w skale, a Olaf złościł się, ponieważ musiał nosić snopy w rękach. W końcu pobiegł sam na górę do domu.

Na dziedzińcu Cecylia bawiła się piłką; rzucała odskakującą kulę na ściany szopy i chwyciła ją jedną ręką – druga wolna ręka wykonywała podobny, lecz słabszy ruch. Ilekroć cisnęła piłkę o ścianę, podnosiła wdzięcznym ruchem jasną główkę. Bothilda siedziała na ziemi i przyglądała się zabawie.

Wtem Eirik skoczył między ścianę a siostrę i złapał piłkę. Pobiegł na wzgórze, wyrzucił piłkę w powietrze i schwycił ją w biegu. Cecylia pobiegła za nim, chcąc mu ją odebrać. Parę razy Eirik udawał, że chce jej rzucić piłkę. – Złap ją, no złapże! – Ale droczył się tylko. Nagle rzucił piłkę ponad dach domu.

W tej chwili spostrzegł ojca. Podniósł liny zostawione na ziemi i podał je Olafowi.

– Bardziej zgniłych nie mogłeś znaleźć?

– Te nie są wcale zgniłe, ojciec – upierał się Eirik.

Olaf wsunął stopę pod wiklinową obręcz, pociągnął linę i odrzucił urwane końce. Eirik chciał zawrócić do szopy, lecz Olaf rozkazał mu krótko: – Poszukaj siostrze piłki – i sam poszedł do spichrza po nową linę.

Wewnątrz przewracane było wszystko do góry nogami. Nim wyszedł, poustawiał rzeczy na zwykłym miejscu. Chciał związać liny,

gdy wtem usłyszał wrzawę od strony mlecznej komory.

Pani Maerta dała dziewczynkom do wylizania miskę po śmietanie. Eirik wcisnął się między nie i chciał też zlizywać śmietanę. Maerta chwyciła go za rękę i wyrzuciła za drzwi. Eirik zawołał rozszłoszczony:

– Zachowujesz się tak, jak gdybyś ty rządziła tu, we dworze! To chyba nie są twoje miski!

Pani Maerta nie zwracała na niego uwagi, lecz Cecylia z uwalanym palcem w buzi pokazała bratu język. Eirik rozgniewał się jeszcze bardziej i wrzasnął:

– Do ciebie nie należy nic w naszym dworze, chociaż ojciec przygarnął i żywi ciebie i tę przybłądę!

W tej chwili Olaf stanął obok niego:

– Szkaradnie to powiedziałeś, Eiriku. Musisz przeprosić swoją opiekunkę.

Eirik stał uparty i milczący mieniąc się na twarzy. W Olafie rozgorzał gniew. – Proś panią Maertę o wybaczenie! Pocałuj ją w rękę!

Błyskawica mignęła w granatowej otchłani nad fiordem. Olaf liczył półgłosem, oczekując uderzenia piorunu. Grzmot przetoczył się nad wzgórzami.

– No, pośpiesz się, rób, jak ci mówię, a potem przyjdź na łąkę, do siana.

Eirik stał jak wrośnięty w ziemię. Olaf przeciągnął skórzaną linę między palcami. Spokojnie i chłodno powiedział:

– Lata już minęły, odkąd podniosłem na ciebie rękę, Eiriku. Ale teraz rób, co ci kazałem. Inaczej zakosztujesz tego tu – podniósł koniec liny trochę w górę.

Eirik opuścił się na jedno kolano i prędko ucałował rękę pani Maerty. Olaf jednak poczuł w tej chwili nagle, że nie może znieść żalostnej twarzy chłopca.

Wziął zwój lin i prędko pobiegł na łąkę. Nie obejrzał się nawet za synem. Choć Eirik zasłużył w pełni na to upokorzenie, Olaf cierpiał nad tym, że zmusił chłopca do ugięcia kolan przed kimś obcym, nienawidził syna za to.

Mimo to jeszcze rok, a nawet dłużej, ojciec z synem znosili się wzajemnie w ów szczególny sposób.

Potem przyszła druga zima i czas adwentu, a z nim ubój przedświąteczny.

Arnketil i Liv przed świtem przybyli do Hestviken; parobek miał bić świnie, ona zaś pomagać kobietom przy wyrobie kielbas.

Przed tygodniem spadło tyle śniegu, że ziemia oblekła się białym całunem. Ale wraz z pełnią miesiąca nadeszła odwilż. Tego rana, gdy Olaf wyszedł na dziedziniec, mgła słała się tak nisko nad ziemią, że z trudem można było rozeznaczyć coś między domami. Olaf polecił więc ludziom wziąć na postronek świnie przeznaczoną na rzeź, bo jeśli wyrwie się im w taki czas, trudno będzie ją znowu złapać.

Stał na progu domu i widział, jak pochodnie migają w gęstej mgle; po chwili błyskały jeszcze tylko w puszystym, szarym mroku jak małe, czerwone płomyki, aż wreszcie całkiem znikły. Nagle usłyszał wołania, krzyki i ryk wieprza; ludzie pędzili przez skalisty dziedziniec – coś otarło się o niego w ciemności. Olaf domyślił się, że to świnia, i chciał jej zagrozić drogę, lecz zwierzę pognało już w mrok w kierunku wschodnim przez pola.

Po chwili nadbiegli ludzie z łuczywem i pochodniami – czarni i skłębieni w ciemnościach. Olaf pobiegł z nimi na dół. Arnketil i Eirik biegli zgięci i oświetlali ziemię, chcąc wytropić ślady wieprza w śniegu. Olaf zatrzymał się obok stodoły i stary Tore opowiedział mu, w jaki sposób się to wydarzyło. Eirik miał trzymać świnie, a Arnketil dosiąść jej i zgonić; lecz chłopiec puścił powróż. Równocześnie druga świnia wymknęła się z chlewa.

Tak więc wieprz zadyszę się przed zarznięciem. Słyszać go było gdzieś z dala we mgle.

Olaf wiedział od dawna, że Eirik w dniu uboju jest rozdrażniony. Ale przecież nikt nie lubił tych dni. A chłopak był zawsze tak samo nieporęczny i niepewny w ruchach, gdy miał przytrzymywać zwierzę przeznaczone na ubój. I na nic nie zdały się jego usiłowania, aby ukryć niechęć pod powłoką zuchwalstwa i głupich żartów...

Czeladź wróciła z niczym; doszli do przekonania, że przed świtem nie schwytają zwierząt. Ludzie kłeli na taką stratę czasu.

W godzinę później nadszedł Arnketil z Eirikiem; prowadzili świnie, która utknęła w zaspie śnieżnej. Olaf wszedł do izby i wyciągnął się na ławie. Według odwiecznego bowiem zwyczaju gospodarz nie powinien pomagać przy uboju, ale dopiero potem zjawić się na dziedzińcu z misą piwa. Leżał więc i słyszał dziki hałas i kwik świni – tym razem trwało to niezwykle długo, zanim ją dorznięto.

Dzień był już i mgła zrobiła się szara i przenikliwa, kiedy Olaf z Arnketilem szedł do kuchni. Na śniegu przed drzwiami leżała zabita i przepołowiona świnia.

Pod ścianą kuchni stał Eirik z Aastą, najmłodszą dziewczką dworską. Myli się w beczce z wodą, śmiejąc się i pryskając na siebie. Eirik nie dostrzegł ojca we mgle. Przyskoczył do dziewczyny chcąc otrzeć ręce o jej spódnicę, przy czym zachował się niezbyt dwornie. Aasta krzyczała śmiejąc się i nie zadając sobie zbyt wielkiego trudu, aby ująć zuchwałości chłopca. Eirik sięgnął rękami pod jej suknię...

W następnej chwili Olaf schwycił go za kark i odepchnął. Eirik ujrzał twarz ojca szarą i zmienioną z wściekłości, równocześnie poczuł uderzenie pięścią w szczękę. Cios był tak silny, że chłopiec zachwiał się. Olaf chwycił go raz jeszcze, potrząsnął nim i rzucił nim tak, że Eirik upadł jak długi na wznak w śnieg.

– Zbieraj się stąd, bezwstydnico! – rzekł do Aasty, która stała jakby w ziemię wrosła. Dziewczyna znikła w oka mgnieniu. – Wstawaj! – Trącił Eirika nogą.

Eirik podniósł się i stanął zmieszany przed ojcem. Olaf rzekł cicho, trzęsąc się z wściekłości:

– Myślisz pewnie, że wolno ci tak się zachowywać na dworze własnego ojca z tą twoją dziewczką i na oczach wszystkich... w biały dzień, jak pies.

Fala krwi zalała twarz Eirika. On również zaczął dygotać ze złości.

– To nieprawda! To był tylko żart! – Łzy napłynęły mu do oczu z gniewu. Wybuchnął: – Wolno mi chyba pobawić się z dziewczką dworską! A ty myślisz od razu, że postępuję z nią tak jak ty z Torhildą!

Podniósł ręce, aby zasłonić się przed uderzeniem. Olaf cisnął go na ziemię, rzucił się na niego i zaczął okładać z całych sił, przyciskając kolanami chłopca rozciągniętego na mokrym, zbroczonym krwią śniegu; nie puścił go, dopóki czuł w nim iskrę oporu. Eirik leżał bezwładnie, z twarzą na wpół ukrytą w śniegu; Olaf podniósł się i zostawił go.

Stary Tore stał niedaleko i widział, jak Olaf bije syna. Teraz przykląkł na brudnym śniegu i zaczął cucić chłopca leżącego bez przytomności.

W ciągu dnia ludzie odnaleźli drugą świnię wypuszczoną przez Eirika o brzasku. Leżała martwa za stajnią w dole, w kałuży z błotem. Olaf wzruszył ramionami i zacisnął zęby, gdy mu doniesiono o tej stracie: dziś z rana nie ukarał Eirika zbyt surowo.

Eirik tego dnia nie pokazał się więcej, ale że ludzie mieli moc roboty, nie zwrócono na to uwagi. Jeden tylko stary Tore widział, jak Olaf bił chłopca. Reszta czeladzi domyśliła się wprawdzie, że między ojcem i synem panują znowu niesnaski, ale zdarzało się to tak często...

O zmierzchu, kiedy Olaf wszedł do domu, ktoś stał w przedsionku i czekał. Ten ktoś wszedł za nim do pustej izby i zamknął drzwi za sobą. Był to Eirik. Na palenisku płonęło słabo kilka polan – w niepewnym blasku ognia Olaf dojrzał, że twarz chłopca jest obrzmiała i posiniaczona.

Olaf usiadł na ławie. Na stole leżała kromka chleba z kawałkiem dymiącej jeszcze kiełbasy do spróbowania. Gospodarz ugryzł kawałek i jadł powoli. Ale Eirik stał obok w ciemnej izbie – smukły, wyprostowany, milczący.

– Czego chcesz? – zapytał w końcu szorstko ojciec.

– Chciałbym wiedzieć, czy wierzysz w to, co powiedziałeś rano – odparł Eirik tak stanowczo i spokojnie, że najpierw ogarnęło ojca zdumienie, a potem jakby powiew chłodnej trwogi. Nigdy dotąd nie słyszał chłopca mówiącego w ten sposób. – Jeśli wydaje ci się aż tak wielkim przestępstwem, że dotknąłem tej młodej dziewczyny, to nie jesteś zbyt sprawiedliwy, ojcze. Ale rzadko jesteś sprawiedliwy albo wyrozumiały wobec mnie.

Olaf odłożył chleb i kiełbasę. Siedział wyprostowany na ławie. Jakiś bolesny ucisk miażdżył mu serce, potem ogarnęła go zimna pewność jak rozpoznanie klęski: Eirik miał słuszość.

Syn odczekał chwilę. Potem odezwał się jak poprzednio.

– Wydaje się niemal, że nienawidzisz mnie, ojcze!

A ponieważ mężczyzna na ławie siedział dalej nieporuszony, Eirik ciągnął gwałtowniej i już bardziej podobny do siebie samego:

– Postępujesz z nami tak, że można by sądzić, iż nienawidzisz własnych dzieci! Nie masz dla swego syna żadnego szacunku, nie dajesz

mi żadnej władzy, obchodzisz się ze mną jak ze smarkaczem, zacząłem już przecież szesnasty rok! – Głos jego załamał się, chłopiec krzyczał teraz.

– Rozumiem, że ci się tak zdaje – odrzekł ojciec. Po chwili dodał z lekkim szyderstwem: – Mimo to jesteś za młody, Eiriku, aby móc ocenić własną wartość...

Eirik odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Kiedy wieczorem Olaf wszedł do izby, Eirik leżał już w swym łóżu – tak przynajmniej mu się wydawało. Dziewczynki w drugim łóżu spały już, Maerta zajęta była jeszcze w kuchni. Nazajutrz rano, gdy chciała obudzić Eirika, ujrzała, że pod skórą leży zwinięty tłumok.

Drwa i wiązki siana wypadły na podłogę, kiedy podniosła stare okrycie. Maerta rozgniewała się – sądziła, że chłopak zrobił to, aby z niej zakpić. Olaf stał obok i widział wszystko. W pierwszej chwili wstrząsnęła nim trwoga... Głupstwo, uspokoił się sam i odwrócił się, zły. Co za żalosne, dziecinne żarty! Chłopiec nie spędził tej nocy w łóżku, chciał pewnie okazać, że czuje się dotknięty. Ale takie głupstwa, jak ten tłumok...! Nagle przeszła go myśl: a może poszedł do Aasty, na złość jemu? No, w takim razie dostanie lanie, o jakim mu się nie śniło! Nie chciał nikogo pytać. Ale około południa cała służba wiedziała już, że Eirika nie ma we dworze.

Nie brakowało żadnej łodzi i koń Eirika stał w stajni. Tego dnia również ta sama gęsta, mokra mgła spowijała ziemię – szukanie chłopca byłoby daremne, zresztą Olaf nie mógł puścić żadnego z parobków. Lecz głowił się nad tym, w którą stronę chłopiec się udał – czy poszedł do Rynjul, czy do Skikkjustad, a może do tego Jörunda Rypy?

W nocy zaczął dąć wiatr z południa i padał deszcz. W ciągu dnia pola pokryły się cienką powłoką szklistego śniegu, a powietrze rozbrzmiewało szumem morza i borów.



Olaf nie wspomniał do tej pory nikomu ani słówkiem o całej sprawie. A gdy pani Maerta chciała z nim o tym pomówić, przerwał jej krótko.

Chwilami ogarniał go śmiertelny lęk. A nuż chłopak wziął sobie tę awanturę aż tak bardzo do serca, że... Chyba nie spadł gdzieś w nocy i mgłę? Dręczyły go widziadła, które usiłował odsunąć. To było nieprawdopodobne... Miał coś do załatwienia na wybrzeżu, przy łodziach – zdobył się na odwagę i przetrząsnął wszystkie szopy i całą przystań, przeszedł wzdłuż zatoki powtarzając sobie wciąż, że Eirik jest na pewno w Rynjul. Zawsze był ulubieńcem Uny.

W niedzielę spotkał się z ludźmi z Rynjul i Skikkjustad przed kościołem. Po mszy wdał się w rozmowę z krewnymi Jörunda Rypy. I zaraz zrozumiał, że nic nie wiedzą o ucieczce Eirika.

Udał się na probostwo. Zebrało się tam już sporo ludzi, którzy chcieli pomówić z księdzem; msza również opóźniła się, gdyż szaruga zniszczyła drogi. Sira Hallbjörn nie przełknął tego dnia jeszcze ani kęsa i wskutek długiego postu bladość rozlała się na: jego twarzy.

Olaf oznajmił, że jego syn uciekł z domu.

– No tak, wcale nie za wcześnie – osądził ksiądz.

Stara szafarka weszła do izby z miską kaszy. Ludzie zbliżyli się powoli i obstąpili stół. Proboszcz z diakonem odmówili modlitwę. Olaf stał milcząco przy drzwiach i czekał. Sira Hallbjörn dał mu znak, aby usiadł i posilił się z innymi.

Lecz Olaf podziękował i odrzekł, że musi wracać do domu. Poprosił księdza, aby wyszedł z nim przed drzwi, chciał mu bowiem powiedzieć na osobności parę słów. Hallbjörn szedł za nim niechętnie.

– Nie wiesz więc nic o Eiriku, siro Hallbjörnnie? Nie dowiedziałeś się przypadkiem, dokąd umknął?

– Ja?

Olaf odszedł. Przed domem stał na deszczu jego koń z pochylonym

łbem; woda ściekała mu z grzywy i w strugach sączyła się po ciemnej sierści. A gdy Olaf zdjął płaszcz rozpostarty na siodle i zadzie wierzchowca i chciał go wdziać, spłynęły z niego potoki wody.

W drodze do domu zboczył na Rundmyr i wypytał dokładnie Ankiego i Liv. Mówił z nimi zupełnie otwarcie. Oboje zaprzeczyli, jakoby cokolwiek wiedzieli. Olaf zrozumiał, że ten jeden jedyny raz mówią prawdę.

Wieczorem przewyciężył dumę i zapytał Aastę:

– A może tobie wiadomo, Aasto, dokąd udał się Eirik? Byliście przecież tak dobrymi przyjaciółmi?

Dziewczyna pokraśniała i łzy ukazały się w jej oczach. Potrząsnęła bojaźliwie głową.

– Był zapewne u ciebie i pożegnał się z tobą, zanim opuścił dwór?

Aasta wybuchnęła płaczem:

– Nijakiej przyjaźni nie było między mną a Eirikiem, gospodarzu Olafie. – Prawda, chłopak żartował z nią niekiedy, był wesoły i zuchwały, ale dobry. A widząc kwaśny, niedowierzający uśmiech gospodarza, zaniosła się głośnym płaczem i zaklinała się na wszystkie świętości, że nie zapomniła jeszcze dotychczas rad swych zacnych rodziców: jej cześć i dobre imię są bez zmayı i hańby.

– No, jeśli w ten sposób pozwolisz się obłapiać młodzieniaszkom, jakem widział niedawno, niedługo zachowasz cześć i dobre imię – odparł Olaf szorstko. – Idź teraz i wypłacz się na dworze.

Tak więc nie pozostało mu nic innego, jak patrzeć w twarz własnej rozpaczki. Przez cały dzień łamał sobie głowę nad tym, aby znaleźć odpowiedź na pytanie, co Eirik mógł zrobić... Chłopak odszedł z domu

w luźnym okryciu z kapturem, zabrał swój miecz i włócznię. Koszulę miał zawsze spiętą małą złotą szpilką, a kubrak – wielką kłamrą, na palcu nosił pierścion z czerwonym agatem. Jeśli więc udał się do miasta, mógł zapewnić sobie na jakiś czas miejsce w gospodzie, sprzedając jeden z tych klejnotów. Być może, poszedł do Klause Wiepharta lub do płatnerza, albo do jednego z klasztorów. A może nadarzyła mu się sposobność popłynięcia fiordem do Tunsberg? Mogło być i tak, że chłopcu wpadło do głowy poszukać szczęścia w grodzie, gdzie kręciło się tylu dowódców i rycerzy. Czasami Olaf próbował podsycać w sobie znowu pierwsze rozgorczenie z powodu ucieczki Eirika...

Po nocach jednak leżał bezsennie i nie potrafił odegnąć myśli krążących bez ustanku wokół pytania, co mogło przytrafić się Eirikowi? Mógł zabłądzić we mgle owej nocy, mógł spaść ze skały. Syna gospodarza z Hestviken znało przecież tylu ludzi – niemożliwe więc było, aby zniknął, jakby się zapadł w ziemię... Zaczarowany, zaklęty, usidlony przez złe moce? Olaf przypomniał sobie teraz to wszystko, co Erik opowiadał w dzieciństwie, jak to obcował z „tamtymi”... Może jednak była w tym jakaś cząstka prawdy, jeżeli nawet reszta była kłamstwem? A może znalazł się w dzień po ucieczce na fiordzie? Owego dnia na fiordzie utonęło kilka łodzi. Zresztą i drogi z jednej gminy do drugiej nie były tak pewne, aby nie przedstawiały niebezpieczeństwa dla samotnego, dobrze ubranego i noszącego klejnoty wyrostka. Chodziły nawet słuchy o zbójcach na północy, w puszczech Gerdarud. A może, może... Olaf znał doskonale humory Eirika, chłopak przerzucał się szybko i gwałtownie od zuchwalstwa do smutku. Nie mógł jednak aż tak wziąć sobie do serca ojcowskich razów, aby rzucić się do wody...

Inguno, Inguno, moja Inguno, pomóż mi, gdzie jest chłopiec?

Jezu, Maryjo, gdzie jest Eirik?

Olaf ukląkł na posłaniu z głową w splecionych dłoniach, oparł

czoło o twarde kant łoża... „Nie dla siebie błagam o zmiłowanie. Panno Najświętsza, ja sam wyuczyłem chłopca tych modlitw, gdy był jeszcze maleńki, pamiętaj o tym.”

Od tej pory upłynęło już wiele, wiele lat... Nie wiedział, czy Eirik pamięta bodaj jeden pacierz. Lata minęły, odkąd Olaf myślał o tym, aby uczyć dzieci modlitwy. Cecylii nie uczył nigdy, zostawił to pani Maercie. Doszło do tego, że nie śmiał i nie mógł. Ale Boże, mój Boże, chyba dzieci nie będą musiały pokutować za to! Prosił Boga, aby wziął Eirika pod swoją opiekę, prosił Matkę Boską o orędownictwo u Syna, modlił się do świętego Olafa i świętego Eirika, do których jeszcze nigdy się nie zwracał.

Chwilami spływał na niego spokój... Niechaj się z nim samym stanie, co chce, byleby tylko ten chłopak, syn Inguny...

O Cecylii nie myślał nigdy w ten sposób – była zarówno córką jego, jak Inguny.

Nie mógł już dłużej przeciwdziałać temu, aby czeladź nie mówiła o ucieczce Eirika. Sam nie odzywał się prawie wcale, tylko nasłuchiwał, zesztywniały z napięcia, czy inni nie dowiedzieli się już o czymś...

Śloty trzymały się uporczywie. W wilię Bożego Narodzenia wicher świstał w kościele, chwilami, gdy huragan wzmagął się, płomienie świec pochylały się w oświetlonym prezbiterium. Wówczas przestrzeń nad nimi pogrążała się w cieniu, ciężkie drzwi drżały i stukwały okiennice. Jak gdyby burzliwe moce całą siłą nacierały na zasuwę i rygle, aby przeszkodzić świętej czynności, dokonującej się w prezbiterium. Wiatr wył i huczał dokoła węglów, potężny dziki szum szedł w koronach jesionów na starych grobach za cmentarzem. Poprzez huk i ryk burzy dźwięczał

kościelny śpiew osobiwie łagodnie i mocno niby lśniąca smuga nurtu w niespokojnym morzu...

Kiedy rozdzwoniły się srebrne dzwonki i cała gmina padła na kolana, a w prezbiterium rozległo się *Sanctus, sanctus, sanctus* – nastąpiła cisza. Płomienie świec wyprostowały się, malowane postacie na tynkowanych ścianach zajaśniały, zdawały się ożywać i rozbłyskiwać błękitną, żółtą i rdzawoczerwoną barwą. Wysoka postać siry Hallbjörna w białej powłóczystej komży, z narzuconym na nią złocistym ornatem wyglądała jak anioł z niebiańskich widzeń świętego Jana – posłaniec Boskiej nowiny i zwiastun Bożych wyroków.

Potem nowy zryw wichury załomotał i zawył wokół ścian. Prezbiterium zatonoło w mrokach i w tejże samej chwili kapłan pochylił się nad pateną i zaczął powtarzać półgłosem modlitwę. Ryk nawałnicy zagłuszył dźwięk dzwonów w dzwonnicy nad głowami wiernych.

Kiedy ludzie po *Agnus Dei* podnieśli się z kłęczek, Olaf syn Auduna pochyłony kłęczał dalej. Baard syn Paala ze Skikkjustad, stojący obok niego, pochylił się i próbował w ciemności zajrzeć mu w twarz.

– Czy jesteś chory, Olafie?

Olaf potrząsnął głową i podniósł się.

Po mszy Olaf z Baardem ramię w ramię przedzierali się w wirze przez kościelne wzgórze do szopy. Wielka latarnia pod pułapem huśtała się na wszystkie strony. W mroku dojrzeli ludzi leżących na słomie, którzy odpoczywali przed pasterką.

Olaf zawiesił okrycie na haku i strząsnął z niego wodę.

– Może jesteś chory? – spytał powtórnie Baard. – Błady jesteś jak

trup.

– Nie – odparł Olaf. Podeszedł do słomy rozłożonej na ziemi i położył się. Paru mężów przesunęło się, aby zrobić miejsce dla nowo przybyłych.

– Sądziłem, że chorujesz – ciągnął Baard – ponieważ nie odprowadziłeś Eirika do miasta. Widziałem, jak zbladłeś podczas mszy, i zdawało mi się, że nie czujesz się dobrze. Gunnar i Arne gadali już o tym, dziwili się bardzo, że puściłeś syna samego, tylko ze znakiem...

– O czym myślisz?... – wykrztusił Olaf z trudem. Baard nie odpowiedział: nie zrozumiał, o co Olaf pyta.

– Gunnar i Arne... czy mówisz o Arnem z Haugsvik? Ponieważ Baard dalej nie odpowiadał, Olaf ciągnął tak obojętnie, jak tylko mógł.

– Nie dałem swego zezwolenia na to, aby Eirik wyruszył z domu, ale i nie było to wbrew mojej woli. Osądził, że jest dość dorosły na to, aby sam mógł postanawiać o swoim losie, więc pomyślałem: zgoda, niech chłopak spróbuje szczęścia. Ruszył więc do Oslo – dodał na chybił trafił. – Chyba przybył tam zdrow? – spytał nie otrzymując odpowiedzi.

– Tak jest, przybył zdrow – odrzekł Baard sennie. – Było to w dzień burzy. I Arne opowiadał, że Eirik był w dobrym humorze, kiedy się z nim rozstawał. Ale gdy przybył do Haugsvik i szukał okazji przejazdu, twierdził, że Olaf umówił się z pewnym panem w mieście, iż Eirik ma wstąpić do jego służby, by wyuczyć się rycerskiego rzemiosła i dwornych manier. Nie, Eirik nie chciał powiedzieć, kto jest jego nowym panem – to było jego zwyczajem, zawsze otaczał się tajemnicą.

Olaf trzymał kurczowo zaciśnięte ręce pod okryciem. „Boże, Boże, dziękuję Ci. Maryjo Przesłodka, Panno Najświętsza, co mam uczynić,

aby Ci okazać moją wdzięczność...?” Wspomnienia wypalonych myśli poruszyły się niby popiół, rozdmuchany powiewem wiatru. Nie, nie chce już myśleć o niczym... Ale podaruje coś biednym, podaruje krowę Indze, która ma trędowatego syna...

Kiedy jednak po rannej mszy wracał konno w ulewnym deszczu do domu – wiatr ucichł teraz – gniew wezbrał w nim na nowo. O czymś podobnym nigdy dotąd nie słyszał; na dobitkę Eirik jeszcze w Haugsvik chełpił się i naopowiadał bajek; tyle Olaf wyrozumiał z mowy Baarda... Znak, przyszło mu nagle do głowy – jakież to mógł być znak? Eirik nie zabrał chyba pieczęci ani sygnetu. Czyżby odjechał z domu jak złodziej?

Milczący i ponury siedział przy stole nie zważając na parobków, którzy rzucili się na dymiące misy z mięsem. Od czasu do czasu opamiętywał się, podnosił czarę z piwem, przepijał do nich i puszczał ją w obieg.

Po posiłku wszedł do komory i przetrząsnął swoje skrzynie. Nie brakowało niczego.

Gniew falował w nim, wznosił się i opadał ustępując miejsca niepokoju. Eirik udał się do Oslo – tyle wiedział. Niedoświadczony gołowąs mógł tam łatwo uwikłać się w różne sprawy. Musi sam chyba pojechać do miasta i zająć się chłopcem – chociaż w tym czasie wcale mu to nie było na rękę.

Wreszcie trzynastego dnia po Godach Olaf spotkał na górze w gminie pewnego chłopca, który rozmawiał z Eirikiem w mieście. Ów chłop

bawił w czasie świąt w Nonneseter; klasztor był współwłaścicielem gospodarstwa, którym wieśniak zarządzał, i w refektarzu klasztorным zetknął się z Eirikiem. Chłopiec siedział tam i czekał na swego pana, rycerza Ragnvalda syna Torvalda, który rozmawiał z matką przełożoną.

Nazajutrz Olaf pożeglował do Oslo. W okolicy Sivgaldasteinar fiord pokrył się lodem. Znajdowało się tam już mnóstwo łodzi pozostawionych na granicy lodu i na żadnym z dworów nie można było wypożyczyć konia. Olaf zostawił więc starego Tore przy łodzi, a sam poszedł po łodzie do miasta.

Odszukał Tomasza Bębna i posłał go na stary dworzec królewski do Oren; pan Ragnvald mieszkał w nim jako burgrabia. Ale Eirik nie od razu zjawiał się w gospodzie ojca. Zbliżał się już wieczór drugiego dnia, a Olaf wciąż jeszcze siedział i czekał.

Goście, którzy wrócili do gospody, leżeli pod ciepłymi skórami w komorach; było zimno. Szafa siedziała na pół drzemiąc obok paleniska, gruba w nałożonych na siebie futrach. Czekwała tylko na to, aby przykryć żar popiołem i zamknąć drzwi. Olaf usiadł na swym łożu z rękami zwieszonymi bezwładnie. Nogi miał zupełnie zdrętwiałe, taki ziąb ciągnął od podłogi. Był zmęczony czekaniem.

Kobieta podniosła się i zakrzętnęła koło dwóch latarni, wiszących na dwóch końcach długiej izby gościnnej.

– Nie kładziesz się jeszcze spać, gospodarzu? – zapytała. Wtem zapukano do drzwi i stanął w nich Eirik.

Olaf podszedł parę kroków synowi naprzeciw i wyciągnął rękę na powitanie. Spotkali się akurat pod latarnią. Wprawdzie ojciec zauważył już przedtem, że Eirik przerósł go i że ciemny meszek zarostu ocienił jego górną wargę, lecz nigdy dotąd nie widział zmiany tak wyraźnie, jak w tej chwili. Eirik był dorosłym młodzieńcem.

Ubrany był starannie, na głowie miał gładki hełm stalowy, a pod nim



granatowy czepek wełniany opinający szczelnie smagłą, szczupłą twarz, która dzięki temu robiła wrażenie jeszcze bardziej ściągłej. Płaszcz jego był barwy brązowej, długi, z dobrej wełny, a pod spodem widać było opięty kubrak skórzany. U pasa wisiał miecz na znak, że Eirik należy obecnie do rycerskiej świty burgrabiego. Gdy szedł, pobrzękiwały jego długie żelazne ostrogi.

– Nie uda ci się zabrać mnie z powrotem do Hestviken, ojciec – oświadczył natychmiast, gdy Olaf puścił jego rękę.

– Wcale nie mam takiego zamiaru – odparł Olaf. – Skoro raz wstąpiłeś w służbę rycerza, nie chcę, abyś uciekał z niej w niewłaściwym czasie, wiesz chyba dobrze. – Do szafarki, która podeszła z pytaniem, czy ma podać coś do picia jemu i gościowi, powiedział: – Owszem, najlepsze piwo niemieckie.

– Nie – ciągnął Olaf, gdy obaj usiedli na jego łożu. – Byłbym tylko wolał, żebyś najpierw pomówił ze mną, zanim uciekniesz cichaczem z domu. Teraz nie warto już powracać do tego.

Eirik zarumienił się trochę i spytał stropiony:

– Czy masz coś do załatwienia tu w mieście, ojciec?

– Mam do załatwienia rzecz następującą: chcę ci dać to, czego ci potrzeba. Skoro puszczasz się w świat, musisz być wyposażony tak, jak przystało mojemu synowi.

Wyjął z łoża worek z odzieżą, dobry topór wojenny oraz ostrze włóczni. Po czym wręczył synowi mały trzos.

– Tutaj są cztery marki srebrne w dobrej, starej monecie. Moją wolą jest, abyś kupił sobie za to jak najprędzej konia. Będą cię wówczas bardziej cenili. Nie godzi się giermkowi dosiadać wierzchowca pańskiego, jak pachołkowi z rodu wyrobników. Więcej nie dostaniesz ode mnie, póki będziesz z dala od domu. Sam roztrzygnąłeś o swym postępowaniu i losie, postępuj więc według własnej woli, ale tak, abyś zyskał szacunek.

Eirik wstał i podziękował ojcu całując go w rękę. Przeniknęło go serdeczne uczucie wdzięczności, że ojciec mówi z nim jak z dorosłym; nieczęsto się zdarzało, żeby ojciec miał do niego tak długą przemowę. Pomimo to odczuł jednak pewne rozczarowanie: spotkanie nie wypadło tak, jak sobie wyobrażał od chwili, gdy Tomasz Bęben przyniósł mu zlecenie ojca. Oczekiwał, że ojciec będzie się bardzo gniewał, będzie mu groził i zmuszał do powrotu. Wówczas dałby mu odpowiedź... Tymczasem było tak, jak gdyby ojciec przyjął jego ucieczkę z największym spokojem i wcale nie myślał o tym, aby nakłonić go do powrotu.

– Może coś zjesz? – zapytał Olaf.

– Dziękuję, nie jestem głodny. – Mimo to posilał się zapasami ojca i za każdym razem, gdy Olaf podawał mu dzban, pociągał tęgi łyk piwa. Właściwie po krótkiej chwili zaczęła go rozpierać duma. Było rzeczą niezwykłą i prawie uroczystą, że oto siedzi tak z ojcem w gospodzie, je i pije, i rozpytuje o wiadomości z domu – on i ojciec, dwaj dorośli mężczyźni.

– Ale w jaki sposób dowiedziałeś się, że jestem w Oslo u rycerza Ragnvalda?

Olaf ściągnął usta w słabym, jemu tylko właściwym, chytrym uśmiechu:

– Och... Dowiaduję się niemal o wszystkim, o czym chcę wiedzieć, Eiriku. Gdy kiedyś będziesz w moim wieku, będziesz może miał na tyle rozumu, aby nie okazywać wszystkiego, co wiesz...

Eirik spłoszował. Przez głowę przemknęły mu wspomnienia rozmaitych tajemnych, małych i dużych sprawek młodego życia i na mgnienie oka stracił pewność siebie. Ojciec zauważył to i znów się uśmiechnął. Mówił spokojnie dalej, dawał synowi dobre rady, jak ma się zachowywać w poczcie rycerza, opowiadał też o własnej młodości.

Tymczasem ostatni goście weszli do izby. Dźwięk dzwonów wezwał

do gaszenia ognia. Eirik oznajmił, że musi już odejść.

– Zamierzam jutro w południe wracać do domu. Czy zobaczymy się przedtem, Eiriku?

Eirik sądził, że to będzie niemożliwe. Olaf odprowadził go aż do drzwi.

– Sprawuj się więc dzielnie i godnie, Eiriku. Bóg Wszechmocny i Jego miłosierna Matka niechaj cię mają w swojej opiece. – Ucałował chłopca w oba policzki i skinął lekko głową, kiedy Eirik zatrzymał się na chwilę przy drzwiach. Chłopcu zrobiło się dziwnie na sercu przy tym uroczystym pożegnaniu, gdy poczuł na swej twarzy wąskie, twarde wargi ojca.

Olaf miał nazajutrz coś do załatwienia u Klauza Wiepharta. Niemiec towarzyszył mu potem w drodze wzdłuż gminnych gruntów. Naprzeciw nich, wprost na południu, stała słoneczna kula w mroźnej mgłę i wyślacała lodową tafelę fiordu.

– Piękna dziś pogoda, Olafie – odezwał się Klaus.

Skręcili w wąską uliczkę obok spichrzów wiodącą przez piaszczysty pas pomiędzy przystaniami. Stamtąd prowadziła droga wprost na lód. Z góry, od strony gminnych gruntów doszły ich odgłosy konnego orszaku rycerskiego, szcęk broni i uprzęży. Olaf i Klaus musieli się przycisnąć do ściany spichrza, bo w tej chwili gromada jezdnych wjechała z hałasem w uliczkę. Na czele jechał barczysty, krępy rycerz – Olaf znał pana Ragnvalda syna Torvalda z widzenia. Giermkowie jechali za nim gęsiego, gdyż uliczka była za ciasna. Potem jeden z koni wtłoczony został między dwa inne, w szeregach powstało małe zamieszanie, kilka koni stanęło dęba. Olaf poznał w gromadzie Eirika, siedział prosto i swobodnie

w siodle, ojca jednak nie dostrzegł. Miał dość zajęcia przy kierowaniu wierzchowcem, który wydawał się bardzo płochliwy. Śmiał się i wołał co w ciżbie dymiących koni do poprzedzającego go towarzysza.

– Jak to? Czy to nie twój syn? – rzekł Klaus Wiephart.

– Tak, to on.

– Tak, tak, czas ucieka. Nim się obejrzyysz, jesteś starym człowiekiem. Ile sobie liczysz lat, Olafie?

– Czterdzieści.

– No, toś jednak młodszy, niż wyglądasz. Cztery lata upłynęły już od śmierci Inguny, nieprawdaż? Za młodyś jeszcze, aby zapuścić brodę i sypiać bez niewiasty w długie, zimowe noce.

– Toż widzisz, że brodę golę sobie wciąż jeszcze, a co do białogłowy, dostanę ją na czas, jeśli mi jeszcze przeznaczona. – Olaf roześmiał się niechętnie.

Klaus pożegnał go i poszedł do swego spichrza. Olaf powędrował przez lód – ślad wydeptanej drogi ciągnął się w miedziano lśniącym zwierciadle aż po sam kraniec lodu. Raz jeszcze ujrzał w dali gromadkę jeźdźców. Jechali przez fiord na Akersneset, gdzie nowy zamek króla Haakona wznosił potężne masywy murów w delikatnych oparach mrozu.

Znów myśl o Eiriku ścisnęła mu serce niby więzy. Tym razem jednak była to raczej zawiść, że tamten jest tak młody...

Trzy następne lata minęły o wiele szybciej – czas ulatniał się dla Olafa jak dym.

Uspokoił się wreszcie. Nigdy dotąd Olaf syn Auduna nie zakosztował takiego życia. W najtajniejszym swym wnętrzu odczuwał ten spokój niby pustkę lub brak czegoś. Gdyby miał jednak powiedzieć, co sądzi teraz o swym życiu, musiałby przyznać, że jest zadowolony.

Jego stosunki majątkowe układały się pomyślnie w ostatnich latach; zakupił kilka udziałów dworskich w sąsiednich gminach – nie mógł nigdy wyzbyć się tego, że bardziej ufał ziemi niż morzu. I w gospodarstwie wiodło mu się lepiej niż dotychczas. W pierwszych latach, gdy osiadł w Hestviken, kiedy był jeszcze młody, pełen odwagi i zapału, brak mu było doświadczenia – a potem był zawsze związany.

Mimo to nie sposób było zaprzeczyć temu, że w Hestviken zawsze panował dobrobyt. Tylko teraz pod rządami Maerty córki Birgera był on bardziej widoczny. Ustały wszelkie trudności ze służbą. Starzy, co tu byli od dawna, pozostali. Pierwszy parobek, stary Tore, wykonywał cicho i sprawnie swą robotę; pastuch Svein, parobcy Jon i Bodvar – wszyscy trzej pozostali nieżonaci; Ragna mieszkała w izbie Torhildy ze swymi dziećmi i sprawowała obowiązki krowiarki; Aasta zaś wyzbyła się wszelkiej płochości i cieszyła się jak najlepszą sławą. Poza tym był we dworze jeszcze wyrostek oraz młoda dziewczyna do pomocy. Prawda, w Hestviken nie było zabaw ani wielu rozrywek, ale czeladź żyła dobrze, a gospodyni była sprawiedliwa i dostatecznie hojna. Biedacy gminni mieszkający kolejno po dworach chwalili sobie pobyt w Hestviken.

Gospodarz był małomówny i ludzie nie zawsze czuli się dobrze w jego towarzystwie, ale tylko dopóty, póki się z nim bliżej nie poznano,

tak twierdziła służba. Potem przyzwyczajano się do niego. Olaf był raczej lubiany przez swoich ludzi. Pani Maercie pozwolił rządzić swobodnie i sam zasięgał nieraz jej rady we wszystkim, co mu podlegało. Wytworzył się między nimi prawie taki stosunek, jak gdyby była jego matką – energiczna matka i uległy syn. Nawet w Rundmyr, w tej norze, ucichło obecnie. Maerta córka Birgera ujęła w silne karby Arnketila i Liv. On pochylił się nieco, był pomarszczony i zasuszony. Ona grubiała coraz bardziej – co rok z wiosną zjawiało się w ich chałupie niemowlę. Zawsze, ilekroć Liv przychodziła do Hestviken, brak było potem paru drobiazgów, żywności, wełny lub innych przedmiotów. Ale z czasem ustalił się jak gdyby przywilej dla niej, że wolno jej było brać bez pozwolenia, byleby nie przekraczała pewnych granic. Zresztą kradła teraz jeszcze tylko u Uny w Rynjul. Arnketil nie kradł już nigdy, od czasu kiedy Maerta przyłapała go na gorącym uczynku. Stał w jednym ze spichrzy i zamierzał właśnie skrzesać hubką ogień.

– Nie trzeba ci chyba światła, Anki, jesteś tu przecie jak u siebie w domu – powiedziała tylko pani Maerta.

Dwie dziewczuszki wyrastały nad podziw urodziwe, tak że ludzie nawet już mówili o tym. Dorosły na tyle, że mogły towarzyszyć ojcu na ucztę i biesiadę. Wiele tych zabaw co prawda nie było, gdyż Olaf obcował tylko z kołem najbliższych sąsiadów, którzy co rok zapraszali się wzajemnie. Lecz w niedzielę widywano nieraz dziewczątka przed kościołem. Olaf syn Auduna jechał pierwszy, Bothilda córka Asgera siedziała za nim na koniu i trzymała się go oburącz, a Cecylia jechała ze starym Torem. To było jego przywilejem i gdyby mu go odebrano, nie pozostałby ani dnia

dłużej we dworze – groził żartem. Obie były bogato i ślicznie ubrane. Gdy jechały na mszę, pani Maerta dawała im sukienki z farbowanej wełny obszyte kolorowymi bortami, a rozpuszczone włosy związywała haftowanymi złotem wstążkami.

W dzień powszedni Olaf rzadko widywał swoje córki. Obok starej tkalni postawił teraz izbę niewieścią; Maerta sądziła bowiem, że kobiety muszą mieć dla siebie dom, gdzie by mogły przesiadywać swobodnie ze swymi warsztatami tkackimi, szyciem i tym podobnymi rzeczami. Czas, aby Cecylia i Bothilda wyuczyły się niewieścich zajęć – mówiła.

Ładna była ta nowa izba. Bodvar był zręcznym rzeźbiarzem, przyozdobił ją więc bogato.

Niekiedy mijał miesiąc, a Olaf nie przestępował progu tej izby. Ale chociaż tak rzadko widywał dzieci, od dwu lubych istot, które wyrastały tak blisko jego własnego, przedwcześnie zwarzonego żywota, padał błąd, jak gdyby zimowy blask słońca na jego duszę.

Miał wrażenie, że pani Maercie udało się poskromić porywczosć Cecylii – może zresztą dziewczeczka sama nabrała z wiekiem rozsądku. Była wprawdzie nadal uparta, ale spokojnego usposobienia, tylko nieco szorstka. Ludzie dworscy śmiali się, gdy odpowiadała krótko i węzłowato: wdała się kubek w kubek w ojca, mówili, ale jej z tym do twarzy. Była taka ładna, że cokolwiek czyniła lub mówiła, ze wszystkim było jej dobrze.

Lubiła panią Maertę, to było widoczne, chociaż Cecylia tylko rzadko okazywała czułość. W podobnie powściągliwy sposób wyrażała się jej miłość do starego Tore, do Ragny i jej dzieci. Było to milczące, wierne przywiązanie... Jedyne do przybranej siostry odnosiła się inaczej, łagodniej i tkliwiej. O ile można było dostrzec, ta spokojna, skryta dziewczeczka miłowała Bothildę nad wszystko w świecie. A jednak chociaż w Hestviken każdy odnosił się do Bothildy przyjaźnie, była ona nadal bojaźliwa i nieśmiała; tkwiło w niej coś, co zdawało się prosić ludzi o

wyrozumiałość i dobroć. Nawet Olaf okazywał więcej czułości przybranej córce niż własnej. Jeśli zdarzało mu się, że miał ochotę popieścić dzieci, to głaskał liczko lub włosy Bothildy – przychodziło mu to jak gdyby łatwiej, albowiem dziecko promieniało przy najłżejszej pieściocie. Kiedy dzieci wychodziły mu naprzeciw do przystani albo chodziły z nim po polach, brał Bothildę zawsze za rękę, gdyż widział, że dziewczynka to lubi. Przy każdym jego słowie patrzyła na niego uważnie i jej modre oczy miały wtedy nabożny wyraz. Jasne, przejrzyste oczy Cecylii patrzyły otwarcie i bez lęku w świat; w całej jej drobnej, zwartej postaci był hart i samodzielność. Była jego rodzonym dzieckiem – Olaf nosił w sobie miłość ku córce jak bezpiecznie zamknięty skarb, o który nie potrzebował się troszczyć. Uczucie dla przybranej córki mógł łatwiej rozmiąć na drobną monetę.

W całej istocie Cecylii córki Olafa nie było jednego rysu, który by przypominał matkę. I miało się wrażenie, że ze dworu zniknął ostatni cień nieszczęsnego, jałowego życia Inguny. Sira Hallbjörn wspomniał o tym pewnego dnia, kiedy przybył do dworu, aby wybrać się łodzią z Olafem:

– Rad bym wiedzieć, czy tutaj we dworze ktoś jeszcze prócz ciebie pamięta twoją żonę?

Mówiąc to nie patrzył Olafowi w twarz. Mimo woli odwrócił głowę, jak to czynił, kiedy słuchał spowiedzi.

– Ty przecie ją pamiętasz – odparł Olaf po chwili, niemal niedosłyszalnie.

– Wszak wiesz, że dopiero niedawno odprawiałem mszę za jej duszę. Przyszło mi tak teraz do głowy, myślę o tych wszystkich latach, kiedyś ją widział leżącą tam, w łóżu... Sądziłem zresztą, że zobaczę cię w kościele w rocznicę śmierci – ciągnął ksiądz.

– Zapomniałem, który to dzień. Dopiero wieczorem przypominałem sobie. Tak, to prawda – przytaknął Olaf. – Niewielu już ludzi pamięta



Ingunę...

Pewnego wieczora wczesną wiosną paru mężczyzn weszło do izby w Hestviken – ludzie z gminy, którzy posiadali na wybrzeżu Olafa pomost dla łodzi. Wrócili z godów na północy fiordu i byli jeszcze lekko podchmieleni.

Olaf siedział ze starym Torem w izbie i naprawiał gospodarski sprzęt. Reszta ludzi nie wróciła jeszcze z pola, a kobiety były w zabudowaniach dworskich. Tylko obie dziewczynki bawiły się na ławie pod ścianą. Olaf posłał Torego po piwo dla gości i rozmowa toczyła się jakiś czas spokojnie o weselu i o innych rzeczach. Wtem jeden z mężów powiedział do Olafa:

– Ta Torhilda, z którą miałeś dziecko, kiedy tu mieszkała, była również na weselu. Kazała nam oddać pozdrowienia w Hestviken.

Olaf podziękował i zapytał, jak jej się wiedzie.

Znakomicie, odparli goście, cieszy się wielkim poważaniem w swej gminie i ma się dobrze. Tak bardzo zagospodarowała Auken, że ludzie nazywają teraz ten dwór Torhildrud.

Tore zaczął gorliwie rozpytywać o dalsze wiadomości dotyczące Torhildy córki Björna; zawsze lubił ją bardzo. Tak więc gadali jeszcze jakiś czas o gospodarstwie. Olaf przysłuchiwał się, sam jednak nie zabierał głosu. Raz tylko spytał:

– Czy miała z sobą chłopaczka na weselu?

Owszem, odparli tamci. Urodziwy to bardzo chłopak, jasnowłosy i świetnie zbudowany – nie trzeba nawet pytać, kto jest jego ojcem.

Kiedy goście podpili sobie i podchmielenie wróciło, najpierw ogarnęło ich roztkliwienie, a potem dwóch z nich zaczęło się sprzeczać

i wygrażać sobie wzajemnie. W końcu Olaf musiał ich prosić, aby albo zachowali spokój, albo opuścili izbę. W tej samej chwili między dwoma zwaśnionymi wybuchła bójka. Dziewczątka wskoczyły na skrzynię Olafa i tam stały. Jeden z mężów zauważył je i zbliżył się, aby z nimi pożartować.

Olaf podniósł się, tak że wszystko, co trzymał na kolanach, stoczyło się na podłogę; chciał rozdzielić walczących. Równocześnie trzeci spity gość wyciągnął rękę i schwycił dziewczęta. Olaf widział, jak Bothilda osuwa się w dół z bezsilnym, słabym okrzykiem trwogi. Coś błysnęło w rękę Cecylii – dziecko wyciągnęło swój mały nóż i pchnęło nim napastnika. Olaf schwycił go za barki i uderzywszy kolanem w plecy obalił na ziemię. Tore podbiegł i otworzył na oścież drzwi. Olaf ujął gościa pod pachy i wywłókł do przedsionka, a stamtąd na dziedziniec. Potem skoczył do izby i zabrał się do pozostałych.

Łomocąc o ściany i odrzwia, wśród obelg i przekleństw, lecz po niezbyt ciężkiej walce udało się Olafowi i Toremu oczyścić izbę z pijaków i zamknąć za nimi drzwi. Wyrzuceni na dwór darli się i szaleli przez jakiś czas na dziedzińcu, rzucali się na drzwi i walili pięściami w ściany. Olaf i Tore nasłuchiwali, śmiejąc się, dysząc i porządkując swą odzież. Im także oberwało się trochę, częściowo od pięści i obcasów pijanych mężczyzn, częściowo od obijania się o sprzęty w ciemnym przedsionku.

Ze śmiechem zwrócił się Olaf do dzieci. Okrągła, młecznobiała twarzyczka Cecylii była jeszcze wciąż ściągnięta z wściekłości, a oczy gorzały zielonkawym ogniem. Bothilda zaś stała oparta o ścianę i dygotała tak, że zęby jej szczykały. Kiedy Olaf jej dotknął, wybuchnęła tak strasznym płaczem, że przybrany ojciec po prostu się przeraził. Przyciągnął ją do siebie, usiadł i otoczył mocno ramieniem, przemawiając do niej dobrotliwie i czule jak do małego dziecka, chociaż już nim nie była; Olaf czuł to. Ciało jej było smukłe, o długich kończynach, miała chyba ze

dwanaście wiosen. Głaskał jej głowę i długie warkocze prosząc, aby się uspokoiła, ale to niewiele pomagało. Znał ją i wiedział, jak bardzo się boi, ilekroć ludzie w jej obecności zaczynają kłótnię, choćby nawet nikt nie zamierzał wyrządzić jej krzywdy. Chwilami, kiedy wrzaski i łomot przed domem wzmagały się, szczupłym ciałem dziewczynki wstrząsał dreszcz.

Olaf odsunął ją łagodnie, wstał i wyszedł na dziedziniec. W tej chwili nadeszli parobcy i obcy uciekli.

Później, kiedy wszyscy zasiedli do stołu i Cecylia chciała sobie ukroić kawałek sera, jeden z mężczyzn zawołał ze śmiechem:

– Twój nóż jest zakrwawiony, Cecylio!

Bothilda wydała głośny okrzyk trwogi, ale teraz Olaf i służba musieli się roześmiać z jej bojaźliwości. Podnieceni wieczorną utarczką siedzieli wygodnie przy smacznym piwie i jadle. Wesoły ogień buzował na palenisku.

Cecylia napłuła na nóż i otarła go rąbkiem spódnicy. Po czym odcięła sobie duży kawał sera i włożyła między dwie kromki chleba – wszystko bez jednego słowa. Olaf roześmiał się:

– Czy mogę obejrzeć twój nóż? To była słaba i byle jaka obrona, córko!

– Daj mi więc lepszy nóż, ojczy – odparła dziewczynka.

– Owszem, zrobię to – rzekł ojciec wesoło.

Po wieczery wniósł do izby małą, obitą żelazem skrzynię, w której przechowywał kosztowności. Podczas gdy szukał w skrzyni, dziewczęta stały pochylone nad nim – nieczęsto wolno im było przypatrywać się skarbowi w niej ukrytym. Wołały więc głośno z zachwytem i pytały o każdy przedmiot. Olaf zaś tego wieczora w dobrym nastroju, pozwalał im brać każdą rzecz do ręki i nawet przymierzać klejnoty. Na dnie kutej szkatuły leżały cztery piękne sztylety – Olaf nie nosił ich nigdy. Cecylia chwyciła najdłuższy.

– Daj mi ten sztylet, ojczy! – Wyciągnął go z pochwy. Była to broń walijska o trójkanciastym ostrzu, pochwa oraz głowica ozdobione były połączanymi pierścieniami. Olaf wziął broń z jej ręki i oglądał chwilę.

– Nie jest to sztylet niewieści, Cecylio. Nadaje się tylko do tego, aby uderzyć nim wroga. Ten tutaj przyda ci się bardziej – podał jej wielki norweski nóż o szerokim mocnym ostrzu i rękojeści z rzeźbionego kła wieloryba.

– Wolę tamten – oświadczyła dziewczyna. Olaf rozważał chwilę.

– Nieczęsto zdarza się, abyś mnie o coś prosiła, weź go więc! – Objął jej gruby, jasny, zwijający się warkocz. – Ty nie córką powinnaś być tutaj, we dworze, Cecylio...

Od Eirika dochodziły od czasu do czasu wiadomości. I gdy Olaf oswoił się z tym, że chłopiec opuścił dom, nawiedzała go niekiedy myśl: może Eirik nigdy już nie wróci?... Zdarzało się czasem, że uważał to za najlepsze wyjście. Coś przecież powinien otrzymać w zamian za to, że diabłu zaprzedał swą duszę. Jeśliby jego zdrada została wymazana, tak aby ród i następstwo dziedziczne nie uległy zagładzie, to zdawało mu się, że wtedy będzie mu może łatwiej iść śmierci i Sądowi Ostatecznemu naprzeciw. Własne życie przetrwoniał – z własnej winy. Myślał o tym ze szczególnym, trzeźwym opanowaniem. Odczuwał coś w rodzaju chłodnej radości widząc, że po jego stronie nie ma słuszności, że Bóg jest sprawiedliwy. Nie pojmował nigdy, jak ktoś może znajdować pocieszenie w tym, że Bogu przypisuje winę albo Mu złorzeczy. On sam jest przecież tylko człowiekiem, od jego losu niewiele zależy. Dobrze jest natomiast wiedzieć, że los świata leży w rękach Dobrotliwego Chrystusa, bez

względu na to, czy ludzie będą się buntować... Szczęście Cecylii... w to wierzył niezłomie.

Tego samego roku w połowie lata Baard na Skikkjustad i Sygne córka Arnego wydali za mąż najstarszą córkę. Pan młody mieszkał w sąsiedniej parafii i Olaf przywiózł mu oblubienicę do domu, był bowiem jej ojcem chrzestnym.

Szczególnie dobrym ojcem chrzestnym nie był nigdy; niewiele troszczył się o dziewczynę. Helga była niepozorna i drobna, uchodziła raczej za nieładną. Ale w dzień swego ślubu wyglądała pięknie.

Baard nie chciał z początku słyszeć o tym małżeństwie; niejedną raz powaśnił się z narzeczonym, który był o wiele starszy od Helgi. Tego roku jednak na tingu w śródpociu pojednali się, po czym Baard zgodził się na zrękowiny córki z Hoskoldem synem Jona.

Olaf był dziwnie wstrząśnięty widokiem panny młodej – Helga córka Baarda była tak odmieniona, jak gdyby wzięła na siebie inną postać. Zauważył, że wielu innych gości weselnych dostrzegło to samo. Mówili o tym siedząc wieczorem trzeciego dnia godów w małej świetlicy weselnego dworu. W tej izbie przyszykowano wszystko dla starszych i bardziej poważanych kmieci. Na poczesnym miejscu u góry stołu posadzono Olafa, tuż obok Torgrima z Rynjul, wuja narzeczonej. Naprzeciwko siedział sira Hallbjörn.

Z Helgi i Hoskolda rozmowa zeszała na inne kobiety, które były szczególnie pięknymi i szczęśliwymi oblubienicami albo też słynęły jako dobre gospodynie. Starzy mężczyźni uważali, że żadna z żyjących obecnie niewiast nie da się porównać z tymi, które pamiętali z czasów młodości.

Sira Hallbjörn pochylił się nad stołem i palcem kreślił coś w rozlanym piwie. Nie czuł się dobrze na weselu, był przez cały czas znużony i milczący. Rozmowa mężów nudziła go widocznie.

– Czy cały wieczór macie zamiar siedzieć tu i wychwalać pod

niebo te nieboszczki? Póki żyły, ich mężowie byli pewnie tak samo z nich niezadowoleni, jak mężowie bywają zazwyczaj. Zdaje mi się, że nadobna towarzyszka Olafa bardziej jest godna posiadania niż wszystkie białogłowy wzięte razem – roześmiał się słabo, lekko pijany. – Słyszysz, Olafie, czy chcesz mi sprzedać tę twoją piękną kochankę?

Olaf wyprostował się gwałtownie i poczerwieniał z gniewu – nie rozumiał, do czego ksiądz zmierza. Torgrim z Rynjul nie rozumiał również i spytał:

– O czym myślisz, siro?

Sira Hallbjörn roześmiał się znowu, sięgnął w tył, poza plecy Torgrima, pogłaskał ostrze Olafowej siekiery wiszącej za nim na ścianie.

– Ją mam na myśli – opuścił rękę na ramię Olafa.

– Nie, księżu. Niedawno chciałeś odkupić mojego sokoła, a ta siekiera nie jest...

Wtem Attarfylgia wydała dźwięk – wszyscy w świetlicy go usłyszeli. Głęboki ton wibrował w przestrzeni, zamierając z wolna. Ksiądz zerwał się i chwycił siekiere.

– Czy twój topór, Olafie, jest tak zrobiony, że śpiewa? – zapytał żywo.

– Tak powiadają. Ale sądziłem, że zamilkł już dawno ze starości. – Odebrał księdzu broń i powiesił ją z powrotem na ścianie.

Chłopi zaczęli teraz głośno rozprawiać: czy siekiera sama z siebie zadzwęczała, czy też dlatego, że ksiądz jej dotknął?

Olaf i proboszcz spojrzeli sobie w oczy – potem obydwaj roześmiali się jednakowo, bez uciechy. Jak gdyby naraz poczuli łączące ich więzy. Żaden z nich nie brał udziału w weselu z prawdziwą ochotą.

Tego jeszcze wieczoru Olaf pojechał do domu, ludziom swym jednak oświadczył, że mogą pozostać do następnego dnia i przywieźć do Hestviken panią Maertę z dziećmi.

Niebo było wysoko osłonięte cienką płachtą chmur. Pod bezbarwnym namiotem letniej nocy leżały szare dwory otoczone nie skoszonymi łąkami i zielonymi łąkami. Olaf jechał ścieżką wiodącą przez gąszcz krzaków na skraju pastwiska. Wszystko pogrążone było we śnie, tylko chruściel szurgotał gdzieś na łące.

Dotarł do dworów w pobliżu kościoła, koń rwał się dalej do stajni. W górze, na niewielkim wzniesieniu stał kościół; kamienne mury świeciły blado, gontowy dach opadał aż na wąskie otwory okienne. Olaf skierował konia na wydeptaną ścieżkę prowadzącą na kościelne wzgórze. Kiedy trawiaste, wilgotne zbocze stłumiło stuk kopyt, nocna cisza zdawała się zewsząd napierać na niego jak coś żywego.

Tuż obok cmentarnego muru wznosiło się kilka starych kurhanów; największy znajdował się tak blisko kraty, że wiekowe jesiony rosnące za murem rzucały na niego cień. Olaf zsiadł z konia i przywiązał go do słupa w pobliżu wrót... Nie wolno mieć przy sobie stali, przemknęło mu w tej chwili przez głowę. Rozpiął więc pas i odłożył wraz z siekierą. Po czym podszedł do największego kurhanu.

Już sam trzask kruszących się pod stopami suchych gałęzi, które grubym kobiercem zaścielały ziemię pod drzewami, wywołał w Olafie takie napięcie, że włosy z jeżyły mu się na głowie. Przeszedł przez kurhan i wspiął się na niski mur cmentarny. Na cmentarzu nagrobki zapadały się w bujnej trawie pod kościelną ścianą. Olaf wpatrywał się w nie tak długo, aż czarne płatki zaczęły mu latać przed oczyma, a serce biło tak, że na podniebieniu czuł smak krwi. Ten zawrót głowy wywoływał w nim uczucie, jak gdyby cały świat dokoła niego płynął, a w głębi jego duszy panował spokój, jak nienaruszalne jądro. A jednak przymknął mimo woli

oczy, słysząc dźwięk własnego głosu, który wołał wyraźnie i mocno:

– Inguno córko Steinfina, powstań!

Usłyszał, że koń stojący za murem cmentarza poruszył się niespokojnie. Nie miał odwagi odwrócić się i spojrzeć tam: patrzył na ścianę kościoła, gdzie niewyraźnie rysowały się kontury płyty grobowej tuż przy wejściu dla kobiet. Zesztywniały, z bladymi policzkami, zawołał powtórnie:

– Inguno córko Steinfina, powstań!

Znów zamknął oczy, ale mimo to widział – szara płyta nagrobna podniosła się z wolna, białe widmo wypłynęło z głębi i wyprostowało się, strąsając pył z pośmiertnych całunów.

Przechylił głowę nieco w tył, zaczerpnął głęboko tchu i otworzył oczy. Niczego nie dostrzegł prócz szarej, łagodnej nocy. Wyteżył wzrok – jak gdyby to było bardziej niewiarygodne aniżeli wszystko inne. Ale cmentarz leżał we śnie, z zapadniętymi, na pół ukrytymi w trawie nagrobkami, tuż przy szarym zrębie kościoła.

W końcu Olaf odwrócił się i obok kurhanu poszedł do konia. Odwiązując cugle zauważył, że zwierzę coś wietrzy; stało z podniesionym łbem i szeroko rozwartymi chrapami kładąc uszy po sobie, a gdy go dotknął, wzdrygnęło się dwa razy. Ale Olaf nie mógł niczego dostrzec. Dosiadł konia i popędził go – szybki kłus przywrócił mu równowagę umysłu. Napór powietrza i dudnienie kopyt zagłuszały okropną ciszę.

Kiedy przyjechał do Hestviken, dzień szarzał już; chmury różowiły się od zorzy. Wprowadził wierzchowca do stajni i poszedł pod górę – obserwowanie pogody stało się jego przyzwyczajeniem. Lekki wietrzyk przed wschodem słońca mącił wodę fiordu.

Izba ziała pustką. Olaf wszedł do komory i tak jak stał, w ubraniu, rzucił się na posłanie. Ledwie jednak przymknął oczy, zerwał się na równe nogi, wytrzeźwiony. Utkwił wzrok w szarawym otworze drzwi prowadzących do izby. Ale nikogo tam nie było...



Jak gorzki zdrój napłynęły myśli. Przyrzekła mu to kiedyś – o ile zmarli mogą powracać do żywych...

Teraz była już od niego o wiele dalej niż przedtem. Pierwszego roku – nie, zaraz pierwszego lata po jej śmierci czuł wyraźnie, jak wciąż jeszcze jest mu bliska mimo mroków ukrywających ich wzajemnie przed sobą. Teraz dzieliła ich już tak wielka odległość, że nie słyszała jego wołania.

Gdy tak leżał, otaczająca go samotność zmieniała się z wolna w rodzaj widzenia. Znajdował się na jakimś wzgórzu, na nagim zboczu góry, pokrytym rzadkimi kępami wrzosów i głazami szarymi od mchów. Poniżej wokoło rozpościerał się bór, kosmaty od szronu; w dole, w zagłębieniach gruntu pośrodku zamarzniętych bajorek widniały zwiędłe szuwały; w oddali szare niebiosy zlewały się z niskim granatowym zboczem wzgórz. Olaf stał tam i chciał coś krzyknąć, zdał sobie jednak sprawę, że to jest bezcelowe. Obraz rozplynął się z wolna, aż wreszcie przeszedł w zupełną ciemność snu bez żadnych widzeń. Olaf obudził się dopiero, gdy Ragna weszła z porannym posiłkiem do izby. Dziwiła się bardzo, powiedziała, posłyszawszy od Sveina, że koń Olafa stoi w stajni sam, bez innych koni...

Tej jesieni Olaf widywał nieraz dym wznoszący się z wyżyny ponad Huderheim. Przerywał wtedy pracę i przez chwilę spoglądał w tamtą stronę. Było to miejsce, gdzie znajdowało się Torhildrud, jeśli się nie mylił.

Potem przyszły rozbłękitnione, oślepiające dni, w których nawet szum uderzających o skały fal wydawał się przesycony światłem i wichrem. Żółte liście żeglowały w powietrzu i cały przestwór jak gdyby olbrzymiał – od granatowej, spienionej powierzchni fiordu aż po przejrzyste, omiatane wiatrem sklepienie, po którym na niedosiętej wysokości gnały mleczne, maleńkie obłoki. Pewnego takiego dnia po południu Olaf zeszedł na dół do przystani, wziął najmniejszą łódkę i wypłynął sam na fiord.

Rozkosznie było leżeć tak w łodzi i ślizgać się po pełnych, prześwietlonych falach; piana jak miękka skóra lśniła bielą. A niebo było tak wysoko nad nim, że mogło mu się zdawać, iż jest całkiem ukryty pośród fal w swej małej łupince. Ilekroć zaś fala wynosiła łódź na swym grzbiecie w górę, widział, że łódź po drugiej stronie zbliża się i zarysowuje coraz wyraźniej. Czuł się niemal tak, jak w chłopięcych latach, kiedy wymykał się z Frettastein, aby bawić się w lasach.

Przybivszy do brzegu poszedł szybko ścieżką do góry. Liściaste lasy po tej stronie fiordu były już mocno przerzedzone. Żółte liście kołowały i płynęły w powietrzu, chwilami przemykały obok niego jak wir świetlistych drzazg, to znów płały po ścieżce. Szum wichru przepełniał Olafa radością.

Dziwił się tylko, że już dawniej o tym nie pomyślał: powinien był przecież rozejrzeć się za Torhilda, dowiedzieć się, jak powodzi się jej i synkowi. Nie dlatego, żeby się obawiał, iż nie da sobie sama rady, bo zawsze była dzielna. Lecz powinien był ofiarować jej pomoc – gdyby

zechciała ją przyjąć od niego – ojca jej syna.

Teraz nie rozumiał wcale, czemu spotkanie z Torhilda wydawało mu się niemożliwe. Jak gdyby nie mogli spotykać się swobodnie, jak gdyby koniecznie musiały wyniknąć stąd nowe trudności! Ani on, ani ona nie byli już przecież młodymi ludźmi, ale nad tym nie zastanawiał się do tej pory.

Dotarł do ogrodzenia na brzegu lasu i szedł między kamiennymi wałami. Było tu teraz znacznie więcej uprawnej ziemi. Zboża stało już niewiele, widocznie sprzątnęła całe żniwo.

Cieszył się, choć bez podniecenia, że znów zobaczy ją i małego Björna.

W domu zaczął ujadać pies, drzwi otworzyły się, pies skoczył na niego, poszczekując. Za nim wyjrzała Torhilda, wychylając się z niskich drzwi.

Nie umiał wyłumaczyć sobie wyrazu jej twarzy, ale był on zupełnie inny, niż Olaf oczekiwał. Z lekkim wahaniem podała mu rękę:

– Więc i ty wybrałaś się do nas?

– Tak. Czy cię to dziwi?

– Ach nie. To zupełnie zrozumiałe – odparła cicho. Poprosiła go do izby i wskazała miejsce za stołem, po czym przyniosła kubek mleka.

– Piwa dziś nie mam – rzekła. Uklękła przed paleniskiem, rozdmuchała żar i dołożyła drew. – Jesteś na pewno przemoczony i zziębnięty. Może usiądziesz tutaj?

Olaf podziękował i usiadł na zydlu, który przysunęła do ognia. Zresztą gdy szedł szybko pod górę, ubranie jego wyschło zupełnie – dodał.

– Zagrzej sobie przynajmniej nogi – radziła Torhilda.

Od strony łoża dobiegło ciche kwilenie – niemowlę, domyślił się Olaf. Torhilda rzuciła okiem w tamtą stronę, lecz nie przerwała roboty. Zawiesiła kociołek na haku nad ogniem i wlała do niego mleko. Podczas

tęgo gawędzili o wietrze i pogodzie; rozmowa nie bardzo się kleiła!

– Björna nie ma w domu? – spytał Olaf.

– Nie, poszedł z Ketilem. Mieli zaprowadzić krowę na sąsiedni dwór.

– Opowiadano mi, że rozszerzyłaś znacznie swoje gospodarstwo. Masz, widać, dosyć bydła, jeśli możesz uprawiać tyle gruntu?

– Mam cztery krowy dojne i trzy jałówki. – Podczas gdy niemowlę krzyczało coraz głośniej, Torhilda rozmawiała z Olafem o swojej trzodzie.

– Krzywda mu się straszna dzieje – rzekł Olaf z uśmiechem. Już chciał zapytać, czyje to dziecko, ale w tej chwili przypomniał sobie Ranveigę, młodszą siostrę Torhildy, więc nic nie powiedział.

– To dziewczuszka – powiedziała Torhilda wstając szybko. – Muszę ją uspokoić. – Prędkim ruchem rozsunała fałdy sukni i wyciągnęła pierś błękitnie żyłkowaną i jędmą.

Olaf patrzył na nią z na wpół otwartymi ze zdumienia ustami. Potem pochylił głowę. Czuł, jak policzki jego spłonęły rumieńcem, a żar palił czoło. Nie śmiał spojrzeć w jej stronę. Siedział i wbijał oczy w jeden punkt na podłodze. Była to jedyna rzecz, o której nie pomyślał: że sprawa mogłaby kiedykolwiek wziąć taki obrót.

Torhilda usiadła na stopniu przed łóżem z dziecięciem przy piersi. Olaf czuł, że wpatruje się w nie, i gniewał się w duchu sam na siebie, gdyż nie mógł zapobiec temu, że policzki jego płonęły. Siedzieli tak długą chwilę w milczeniu. Nagle Torhilda odezwała się spokojnie i wyraźnie:

– Wołę, Olafie, żebyś od razu powiedział, w jakiej sprawie tu przyszedłeś, wówczas odpowiem ci, jak potrafię.

– W jakiej sprawie? Chciałem tylko... Zdawało mi się, że... Chciałem zapytać o Björna, zobaczyć go i usłyszeć, jak się wiedzie jemu i tobie...

Torhilda odpowiedziała, jak gdyby zastanawiając się nad każdym słowem:

– Rozumiem dobrze, Olafie, możesz uważać, że to nie było twoim

zamiarem, kiedyś mi darował dwór... Dostałam Auken, aby móc utrzymać się z dzieckiem. Ale jak ci już powiedziałam, gospodarstwo jest teraz dwa razy większe niż wówczas, kiedy tu przybyłam. I wydaje mi się, że lepiej jest mieć do pomocy męża, niż gospodarzyć samej z najemnymi parobkami. Musisz też wziąć pod uwagę i to: jestem już w takim wieku, że Björn nie będzie miał wiele rodzeństwa. Może nie więcej niż tę małą...

– Pochyliła czule twarz nad niemowlęciem i przytuliła je do siebie.

Olaf nie odezwał się ani słowem. Torhilda więc mówiła dalej:

– Zastanawiałam się zeszłego roku, zanim dałam mu odpowiedź, czy mam iść do Hestviken i pomówić o tej sprawie. Potem zdawało mi się, że już dawno nie dałeś znaku życia... Wiem jednak, że może ci się wydawać, iż postąpiłam inaczej, niż chciałeś, kiedyś mi dał dom i ziemię... Chociaż nigdy nie było między nami mowy o tym, że mam pozostać niezamężna...

Olaf potrząsnął głową.

– Nie wiedziałem, żeś wyszła za męża.

– Rok już wnet minie – odrzekła krótko.

Olaf podniósł się, zbliżył do niej i wyciągnął rękę.

– Życzę ci szczęścia i wszystkiego dobrego. – Wzięła jego rękę, nie podniosła jednak oczu. – Masz córkę, jak widzę. Jak się nazywa?

– Borgny, po mojej matce. – Odsunęła dziecko od piersi, zawiązała suknię, wierzchem dłoni wytarła dziecku usta i odwróciła jego twarzączkę do Olafa.

– Ładne dziecko – Olaf miał wrażenie, że musi to powiedzieć. Z maleńkiej, rumianej twarzączki wyzierały ciemne, głębokie oczęta, i zdawały się wpatrywać w jego oczy. Potem przymknęły się z wolna, dziecko zasnęło. Torhilda trzymała je dalej na kolanach.

Olaf czekał, że powie coś o mężu, którego przyjęła i poślubiła, lecz nie mówiła nic.

– A twoi bracia – zapytał – czy zgodzili się na to?

– Wiesz przecie, że od dziecka przyzwyczajeni są do tego, aby mnie słuchać... jeśli ich widzę...

Pomyślał, że w takim razie zrobiłaby lepiej zatrzymując jednego z nich tutaj. Ale odrzekł tylko:

– Tak, masz słuszność. Na pewno potrzebny ci był gospodarz we dworze.

– Tak jest, sprawa wyglądała tak, że musiałam poślubić Ketila. Nie chciał tu pozostać dłużej na innych warunkach. A gdybym przez te wszystkie lata nie miała jego pomocy... Wykonał tu, w Auken, więcej roboty, niż przypada na jednego mężczyznę, zanim jeszcze zupełnie dorósł. Gdybym go puściła i wzięła innego pracownika, kto wie, czy pewnego dnia nie zażądałby tego samego. Było więc bardziej sprawiedliwe, aby Ketil mnie dostał i mógł korzystać z dostatku, który w większości jemu zawdzięczamy.

Olaf nie odpowiadał. Torhilda spytała:

– Przypominasz sobie Ketila? Czyś go widział, kiedy byłeś tu ostatnio?

– Nie.

– No tak, wtedy nie był jeszcze całkiem dorosły...

I w tej chwili nasunęło się Olafowi wspomnienie: na pół dorosły chłopak o głupkowatej twarzy – podrzutek, który pomagał Torhildzie. Purpurowy z gniewu, nie patrząc na nią, zapytał:

– Więc to jego upatrzyłaś sobie na ojca mego syna?

– Tak jest – odparła twardo.

– To prawda, nie żądałem nigdy, abym miał prawo postanawiać o twym życiu – wzruszył ramionami. – A Björn? Jest pewnie za młody, aby mieć własny sąd w tej sprawie?

– O, nie, Ketila zna, jak dawno sięga jego pamięć. O, idą już! – Mocne rysy jej bladej twarzy zmiękły i rozjaśniły się w uśmiechu.

Drzwi otworzyły się gwałtownie – prowadziły wprost na dwór – i

wraz z wiatrem wtargnęły do izby młode, roześmiane głosy dziecka i mężczyzny. Dym izby zaczął falować błękitną smugą w świetle dnia. Chłopiec niósł w ręku mały wiatraczek. Promieniejąc z radości podbiegł do matki i coś zawołał. Za nim wszedł jasnowłosy wysoki młodzieniec; odgarniając rozczochrane włosy i ocierając sobie twarz powiedział ze śmiechem parę słów. Nagle obydwaj zauważyli gościa.

Olaf spostrzegł, że Ketil go zna. Mąż Torhildy zatrzymał się jak gdyby stropiony i niepewny.

Był dość wysoki, trochę niezgrabny; wielkie, spracowane pięści zwisały na długich ramionach prawie do kolan, twarz zaś robiła wrażenie dziecinne i trochę głupkowate z tą płaską, długą brodą porośniętą jasną szczecinią. Żółte, zmierzwione włosy opadały w kosmykach na czoło. Mimo to nie był bynajmniej brzydki...

Torhilda podniosła się i położyła dziecko do łóżka, po czym zajęła się kociołkiem. Dała znak Ketilowi, aby zasiadł na poczesnym miejscu.

Chłopczyk stał jeszcze wciąż obok matki. Nie był duży na swój wiek, ale ciało miał muskularne, silnej, a zarazem delikatnej budowy. Olaf widział, że Björn wdał się w ród z Hestviken: białe, kędzierzawe włosy, wielkie, przejrzyste oczy, nieco za daleko rozstawione pod jasnymi, prostymi brwiami. Cera jego była biała jak mleko, a u nasady nosa widać było kilka ciemnych piegów. Stał cicho i przyglądał się nieznanemu chłodno i badawczo.

Torhilda zaczęła rozmawiać z mężem i wypytywać go, jak załatwił sprawę w sąsiednim dworze. Potem mówili trochę o pogodzie i żniwach; usiłowała wciągnąć obu mężczyzn do rozmowy, co jej się nie bardzo udawało. Wreszcie weszła obca młoda kobieta – jedna z sąsiadek zastępująca w oborze Torhildę, która nie odbyła dotąd kościelnego wyvodu po urodzeniu dziecka. Torhilda spytała Olafa, czy nie miałyby ochoty wyjść z Ketilem i obejrzeć sobie gospodarstwo.

Björn towarzyszył im. Ujął rękę ojczyma i podczas gdy dwaj mężczyźni obchodzili dwór, oglądali domostwa i pola, chłopczyk rozgadał się na dobre. Przytakiwał wszystkiemu, co powiedział ojczym, albo dodawał coś od siebie. Do tej pory, mówił Ketil, pożyczali konie, jeśli jednak w następnych latach poszczęści im się podobnie, wówczas...

– Wiesz dobrze, Ketilu – wtrącił Olaf – jeśli Torhilda uważa, że przydałaby się jej jeszcze moja pomoc...

– Wiem, że tak nie uważa – przerwał mu Ketil. I Olaf spotkawszy jego wzrok zrozumiał, że młody człowiek nie zawsze wygląda na głupca. – Przez te wszystkie lata radziliśmy sobie sami...

Spożyli kaszę i Olaf oznajmił, że musi zabierać się w drogę powrotną. Przywołał do siebie Björna.

Chłopczyk zbliżył się, stanął przed Olafem i patrzył na niego z tym swoim chłodnym, badawczym wyrazem w ładnej, poważnej twarzączce.

– Wiesz, kim jestem, Björnne? – spytał Olaf.

– Tak jest, wiem. Ty jesteś Olaf z Hestviken, mój ojciec. Olaf ściągnął z palca złoty pierścień.

– Chcesz więc, Björnne, przyjąć ode mnie ten pierścień, podarunek ojca?

Chłopczyk zerknął najpierw w stronę matki, potem w stronę ojczyma. Oboje skinęli głowami, odparł więc:

– Chętnie, Olafie, i dzięki ci za ten dar!

Spróbował, czy pierścień nadaje się na jego rękę, i przyglądał mu się chwilę. Potem podszedł do matki i prosił, aby go schowała.



Wkrótce potem Olaf pożegnał się i poprosił Torhildę, aby go odprowadziła. Zmierzchało już, wiatr był znów silniejszy. Potężne zrywy wichury szarpały nagimi gałęziami jarzębin, które jak postronki rysowały się na mroźnym, zielonkawym niebie. Od południa wznosiła się groźna ściana chmur. Torhilda rzekła:

– Będziesz musiał żeglować pod wiatr. Może lepiej, abyś przenocował u nas, Olafie?

Odparł, że musi jechać. Zarzucił poję płaszcz na ramię i powiedział:

– Ponieważ jesteś zamężna i masz ślubne dziecko, czy nie lepiej byłoby, gdyby Björn przeprowadził się do mnie?

Nie dosłyszał w wicherze jej odpowiedzi, powtórzył więc swoje słowa.

– O to nie powinienes mnie prosić, Olafie.

– Dlaczego? Nie ożenię się powtórnie. I będę chłopca wychowywał tak, jak przystoi mojemu synowi.

– Nie. Ty masz również ślubne dzieci. Nie chcę, aby Björn żył tam, gdzie uchodziłby za coś gorszego. Lepiej być pierwszym w Torhildrud niż ostatnim w Hestviken.

– Eirika od czterech lat nie ma w domu. Rzadko dochodzą nas o nim wieści. I nie wiadomo, kiedy powróci...

– Wiem o tym. Ale jest jeszcze Cecylia, a poza tym twoja przybrana córka i twoja krewna, pani Maerta. Prócz tego wiesz dobrze, że moi bracia nie cieszą się dobrą sławą w gminie i to nie przysporzyłoby chłopaczkowi szacunku.

– Jak widzę, wiesz dokładnie o wszystkim, co się u mnie dzieje – stwierdził Olaf szorstko.

– Jesteś przecie tak potężnym mężem, że łatwo można dowiedzieć się takich rzeczy...

Olaf pożegnał się z nią i odszedł.

Schodząc w ciemności i huraganie ku wybrzeżu, usiłował otrząsnąć

się z rozczarowania. Głupio z jego strony, że gniewa się o to. Torhilda miała pełne prawo wyjść za mąż. Ale to była jedyna rzecz, której się nie spodziewał.

Miała słuszność... Potrzebowała gospodarza we dworze i miała także rację mówiąc, że gdyby puściła Ketila, następny parobek mógłby zażądać tego samego. Ale że musiała właśnie wziąć tego znajde! Stała mu przed oczyma twarz Ketila, chłopięca i jasna – wielki, silny młodzieniec, idący za rękę z chłopaczkim, obaj równie skorzy do zabawy i śmiechu. Kiedy ostatnim razem zęgnął się z nią – chyba siedem lat minęło już od tego czasu – pragnęła, aby wziął ją z powrotem do siebie... Nie, nie chciał myśleć o tym. Niegodną jest rzeczą myśleć o kimś źle, skoro się nie wie dobrze wszystkiego.

Björn... Gorzko, strasznie gorzko jest stracić takiego syna, kiedy się go miało.

Zgiełk bijących o skały fal napełniał cały przestwór, przez dojmującą ciemność rozbłyskiwały jak żywe spienione bałwany. Kamienie podtrzymujące pomost małej przystani ocierały się o siebie z głuchym grzechotem. Olaf stał chwilę wpatrzony w zatokę – wiatr przerzucił się teraz na południe. Jeśli chodziło o sprawy, które miał do załatwienia w domu, to mógł równie dobrze przenocować w Torhildrud...

Nigdy nie powstało mu w głowie, aby na nowo związać się z Torhilda, mimo to gniew kipiał w nim, ilekroć wracał myślą do tego, co u niej zobaczył. Był tak oburzony, że sam się sobie dziwił.

Wiedział przecież przez ten cały czas, że Torhilda nigdy już nie będzie należeć do niego. A jednak miał wrażenie, jak gdyby posiadał coś na własność, gdy myślał o niej, żyjącej tam w górze...

Kiedy wszedł na pomost, chlusnęła na niego fala, tam gdzie od strony nawietrznej kołysała się w ciemności mała łódź.

Mróz chwycił wcześniej tej zimy. Tydzień za tygodniem upływał, zimny i cichy. Żółte jak mosiądź dni wschodziły ponad ciemnymi grzbietami wzgórz, ziemia leżała zwarzona i pokryta szronem, woda i bagna zamarzyły. W pogodne dni fiord marszczył się granatową falą, potem wiatr zamierał i wodna tafla zdawała się rozszerzać i szarzeć pod mroźnym oparem, który przejmującą wilgocią spowijał osiedla. Pewnego dnia niebo zasnuło się chmurami, powietrze pachniało śniegiem. Po południu zaczęły padać pierwsze twarde, małe ziarenka – potem śnieg zgęstniał i padał z cichym, suchym szelestem, a pod wieczór zamienił się w wielkie płaty.

Tak padało przez kilka dni. Pewnego wieczora powiał wiatr z południa i przyszła prawdziwa zadymka.

W Hestviken położono się wcześniej spać – było to na dwa dni przed świętą Łucją<sup>[13]</sup>. Olafa zbudziło z głębokiego snu głośne stukanie do drzwi wejściowych. Słyszał, że jeden z parobków wstaje i wychodzi do przedsiionka. Zdarzało się czasami w taką niepogodę, że ludzie z gminy wracający późnym wieczorem przez zatokę prosili o nocleg we dworze. Położył się więc z powrotem i już w północy zauważył, że jacyś ludzie wchodzą do izby; ktoś rozgarnął żar na palenisku i podsycił ogień. Nagle ocknął się całkiem, bo zawołano go głośno po imieniu. Przed jego łóżem stała Torhilda córka Björna z płonącym łuczywem w wyciągniętej ręce. Biały śnieg pokrywał jej kaptur i ramiona. Olaf oparł się na łokciu.

– Na miłość boską, ty tutaj? Björnowi stało się coś złego?

---

[13] Świętej Łucji – 13 grudnia. (Przyp. tłum.)

– Nie, nie chodzi o Björna. Tylko księżę Eirik<sup>[14]</sup> przybył z Vannsjö z pięciuset rycerzami, powiadają. Chce zapewne udać się do Oslo i odplacić teściowi za wyrządzoną krzywdę.

– Gdzie się o tym dowiedziałaś?

Torhilda zatknęła łuczywo w szparę ściany, usiadła na łożu Olafa i opowiadała. Bracia jej posiadali od jesieni kuter rybacki i ona wybrała się z nimi do Tesal, aby odwiedzić swych krewnych po matce. Nad ranem przybyli tam chłopci, którzy zbiegli przed Szwedami – Szwedzi postępują okrutnie, grabią i plądrują po drodze wszystko, towary i bydło. – Niech Bóg ma chłopów w swej opiece – rzekł Olaf. – Teraz w zimie nie mogą nawet zapędzić trzody do lasu.

– Hestviken leży wprawdzie z daleka od drogi – odparła Torhilda – mimo to pomyślałam, Olafie, że po naszej stronie fiordu twoje dziewczątka i kobiety będą bezpieczniejsze. Mówią, że w wojsku księcia znajdują się niemieccy żołdacy. Uprosiłam więc Egila, aby wpłynął tu, do zatoki. Chcę zabrać twoich ludzi do siebie.

– Wierna jesteś mnie i moim, Torhildo – powiedział Olaf cicho. – I przewidująca...

– Dobrze mi było w twoim domu, a Cecylia jest siostrą mego syna. Ale co ty zamierzasz uczynić, Olafie?

– Jechać na północ z wiadomością do Galaby.

Torhilda odeszła od łoża i przyłączyła się do czeladzi w izbie. Kiedy Olaf wyszedł do nich, był już ubrany do drogi; miał na sobie krótki kaftan fryzowy, pod którym widać było skórzany pancerz. Długie, wełniane spodnie związał dokoła łydek, na głowę włożył angielski hełm z osłonami

---

[14] Księżę Eirik – brat króla szwedzkiego Birgera, ojciec późniejszego króla Szwecji i Norwegii Magnusa (jest on jednym z bohaterów *Krystyny córki Lavransa*). „Krzywda” jego polegała na tym, że Haakon V nie udzielił mu pomocy w walce o tron z bratem Birgerem.

na oba policzki i szyję, w rękach trzymał swoją tarczę i Attarfylgię. Torhilda spojrzała na niego.

– Sądziś, że Reidulf spróbuje podzegać chłopów do oporu?

– To nie byłby zły pomysł – odparł Olaf. – Mamy tu Dziurę i Wąwóz Pstrągów, ciasne przejście między skałami, gdzie jeźdźcy nie mogliby umknąć i rozproszyć się. Książę liczył pewnie na to, że mróz potrwa do zmiany księżyca. Tymczasem zadymka opóźni jego pochód.

Maerta córka Birgera oświadczyła, że pozostanie we dworze. Jeśli Szwedzi istotnie przybędą, może się zdarzyć, że znajdzie pośród nich krewniaków i znajomych z pogranicznych gmin...

– A wtedy będzie dobrze, gdy pomówię z nimi, poproszę, aby obeszli się względnie z twym dobytkiem. Zawdzięczam ci tyle, Olafie, że pragnę ci wyświadczyć przysługę, jeśli potrafię.

– Nie myśl nawet o czymś podobnym – zachnął się Olaf. Dziwnym niepokojem przejmowała go myśl, że te biedne kobiety chcą mu okazać wdzięczność za niewielkie dobro, jakie im wyświadczył. Przypominało mu to dawne, na pół pogrzebane sprawy, przypominało kogoś, kto ongi wyciągnął ku niemu pomocne dłonie, on jednak, niewdzięczny, odtrącił je...

Polecił Bodvarowi, aby przywdział zbroję – pójdzie z nim do Galaby. Potem wyszedł ze starym Tore do spichrza. Zapakowali do worów zapasy żywności, bo Olaf przypuszczał, że przydadzą się one jeszcze tej nocy, Torhilda nie będzie mogła wyżywić tylu ludzi przez dłuższy czas. Podczas tych przygotowań trącił przez nieuwagę swoje narty stojące w spichrze. Mało ich używał, odkąd przybył na południe – ludzie dokoła fiordu już od jednego pokolenia zarzucili jazdę na nartach. W tej chwili jednak przyszło mu do głowy, że dziś mogą mu się przydać. Droga z wybrzeża do Galaby pewnie zasypana była świeżym śniegiem.

Z pomocą swoich ludzi przeniósł rzeczy na pokład kutra synów

Björna; kuter nie był wcale taki mały, miał siedmiu ludzi załogi. Podczas gdy w ciemności i zamieci ładowali wory i skrzynie, blask łuczywa oświetlił wielki, zakryty toboł, leżący pod masztem między beczkami i łubami. Owinięte w ciepłe chusty i skóry spały tam dzieci Torhildy. Olaf dostrzegł błysk jasnej główki chłopca.

Kuter odbił od przystani. Olaf stał jeszcze chwilę nasłuchując, póki noc nie pochłonęła statku. Mrok i kłębiąca się śnieżycą objęły go niby namiot. Wiedział, że ma za sobą z tyłu góry i dom wysoko pod czarną, stromą ścianą Rumaka, przed nim czarne jak smoła morze biło w pale pomostu; wir śnieżnych płatków tonął i znikał. Olaf stał na brzegu z Bodvarem i jakimś obcym młodzieńcem z załogi kutra, który widząc gospodarza w zbroi prosił o pozwolenie towarzyszenia mu. I nagle coś jakby nieposkromiona radość ogarnęła Olafa, jak gdyby opadły zeń pęta. Ciemno było przed nim i ciemno za nim, a on stał tu oto sam z dwoma obcymi, uzbrojonymi ludźmi i nie miał pojęcia, co się jutro stanie.

Bodvar wskoczył do łodzi i zaczął wylewać z niej wodę.

Północ dochodziła już, gdy trzech mężczyzn z Hestviken przybyło do Galaby. Poprzez śnieżycę poczuli zapach wydobywającego się z dymnika dworu dymu, a stanąwszy przed drzwiami Olaf usłyszał, że w izbie są jeszcze ludzie – pijani mężczyźni, którzy wrzeszczeli i śpiewali. Musiał sporą chwilę dobijać się do drzwi, zanim je wreszcie otworzono. Otworzył je wysoki, chudy człowiek, który wydał lekki okrzyk zdumienia na widok wchodzącego w niskie drzwi Olafa i jego towarzyszy. Olaf poznał się Hallbjörna.

– Czy wici wojenne niesiesz, Olafie? A jeśli nie, to czemu jesteś w

hełmie i zbroi, ty i twoja drużyna?

– Mówisz, jakbyś był jasnowidzem, księże.

Olaf rozejrzał się po izbie. Dwie płonące świece stały na długiej tarcicy, a ośmiu czy dziewięciu mężczyzn, którzy siedzieli dokoła stołu albo leżeli pod nim, było pijanych. Znał prawie wszystkich, byli to chłopci z okolicy lub sąsiedniej parafii. Reidulf syn Jona, lennik wójta, osunął się między poczesnym miejscem a stołem tak głęboko, jak mu zezwalał na to jego kałdun, wielka głowa z ciemną brodą opadła mu na piersi. Jego najmłodszy brat siedział na podłodze i śpiewał, z nogami ukrytymi w słomie, z głową na kolanach drugiego młodzieńca, który usiadł okrakiem na ławie i trącał struny małej harfy. Jeden tylko ksiądz był prawie całkiem trzeźwy. Sira Hallbjörn cierpiał na podobną chorobę jak Olaf: dary Boże nie miały się go. Mógł jeść, ile chciał – był zawsze chudy, mógł pić, ile chciał – był zawsze smutny.

Stał teraz wyprostowany i podniecony słuchał poselstwa Olafa. Olaf nie zauważył dotąd, jak bardzo posiwiwały w ostatnim czasie rude, włosy proboszcza. Jego koścista i piegowata twarz postarzała się i poorana była zmarszczkami. Ale i teraz golił sobie stale brodę – tak samo jak Olaf. W czasie ich młodości było to w zwyczaju.

Kilku tylko spośród pijanych chłopów potrafili ocucić na tyle, aby można było naradzić się z nimi. Wszyscy przybyli do Galaby dla załatwienia pewnej spornej sprawy.

– Twój krewniak Baard odjechał wcześniej do domu – odezwał się ksiądz. – Szkoda, on jedyny nadaje się na przywódcę. Reidulf nie bardzo jest do tego zdatny.

Olaf odparł, że przede wszystkim muszą pchnąć gońca do miasta, do starosty na Akershus.

– Chociaż jeśli mam rzec prawdę, miałbym raczej ochotę tutaj pozostać. Chyba zgodzicie się ze mną, że byłoby wielką hańbą, gdybyśmy

przepuścili księcia z jego wojskiem przez Wąwóz Pstrągów nie próbując mu stawić oporu.

– Słusznie, pięćdziesięciu ludzi potrafi bronić przejścia w wąwozie przynajmniej przez jeden dzień przeciw paru hufcom – osądził ksiądz.  
– Dzięki temu ludzie z miasta zyskają na czasie, o ile my nie zyskamy więcej.

Młody Ragnvald wytrzeźwiał tymczasem na tyle, że zrozumiał, o czym mówiono. Ofiarował się natychmiast pojechać do miasta. Proboszcz wyszukał przybory do pisania, Olaf zaś z paroma kmieciami przeszli do izby czeladnej, aby obudzić ludzi.

Kiedy gromada chłopów szła pod górę do parafii, śnieżycza zmniejszyła się trochę. Ale wszelki ślad drogi był zawiany. Ksiądz oraz kilku kmieci jechali konno, wyprzedzili więc znacznie innych, którzy brnęli pieszo w śniegu. Olaf sunął na nartach cicho i szybko obok jeźdźców – od czasu do czasu wyprzedzał ich nawet. Czekał właśnie na brzegu małej polanki, kiedy z mroku wynurzył się sira Hallbjörn. Ksiądz wstrzymał konia, z którego unosiła się para, i pochylił się ku Olafowi.

– Rozważałem akurat... My dwaj umiemy jeździć na nartach. Co powiedziałaś na to, gdybyśmy jeszcze tej nocy pojechali na południe na zwiady?

Olaf odpowiedział, że myślał właśnie o tym samym.

Na probostwie było zupełnie ciemno i lodowato zimno. Sira Hallbjörn opuścił dom przed świtem, a jego czeladź udała się już na spoczynek. Wreszcie skrzesał ogień i zapalił świecę. Olaf miał wrażenie, że już wiele dni upłynęło, odkąd wsiadł w Hestviken do łodzi... Ta noc była



niezwykła i taka długa – jazda łodzią w głąb fiordu, potem jazda na nartach od jednego dworu do drugiego dobrze mu zrobiła. Z komory usłyszał pytanie księdza, czy chce nieco wypocząć, zanim ruszą w dalszą drogę. Olaf jednak był zdania, że nie powinni tracić czasu. Wpakował do swego chlebaka zmarznięty chleb i mięso oraz osełkę masła, które przyniósł księży pachołek – przypomniał sobie przy tym, że sam nie wziął ze sobą ani zapasów, ani pieniędzy. Zdawało mu się, że zanim wyruszą, powróci jeszcze do domu. Ale czuł się rześko na samą myśl, że zaraz wyruszy tam, gdzie już nie będzie spokoju.

Sira Hallbjörn wyszedł z komory. Na głowę wsadził gładki, staroświecki szyszak o długich nausznikach, na niebieską podkasaną sutannę naciągnął smołowany pancerz skórzany, miecz zawiesił na rzemieniu przez ramię. W rękę trzymał długi łuk, jakiego zwykle używali Anglicy i mieszkańcy Telemarken, strzały chrobotwały w worku na plecach.

Olaf nie mógł powstrzymać uśmiechu:

– Jesteś gotów, jak widzę, wielu mężom zaśpiewać *Requiem*, czcigodny ojcze!

Jak gdyby drzenie przebiegło po ostrym obliczu księdza.

– *Tempus occidendi et tempus sanandi*. Powiedziałeś raz, że w młodości, kiedy byłeś w Hamarze, nauczono cię wielu rzeczy z Pisma świętego. Czy zacny pan Torfinn nie wyuczył cię także tych słów?

– Nie. Ale znam na tyle łacinę, że rozumiem, co one znaczą. Czas zabijania i czas leczenia?

Ksiądz skinął głową, opuścił łuk i umocnił cięciwę.

– *Tempus telli et tempus pacis*. Salomon napisał to w księdze, zwanej Ekleziastes. Jest to jedna z najważniejszych ksiąg Biblii. Zdejmij pancerz, Olafie. Będzie ci przeszkadzał w jeździe.

Olaf ściągnął kaftan i zdjął pancerz. Był on z łosiowej skóry, w środku nabijany cienkimi żelaznymi płytkami dla ochrony miękkich części ciała.

Składając go i ściągnając rzemieniem zapytał:

– Czy więcej takich zdań o wojnie mieści się w księdze, o której mówiłeś?

– *Laudavi magis mortuos quam viventes. Et feliciorem utroque judicavi, qui necdum natus est, nec vidit malo quæ sub sole fiunt* – to zdanie jest tam również.

Olaf potrzęsnał głową.

– To dla mnie zbyt trudne.

– Chwaliłem więcej umarłe niżli żywe. I miałem za szczęśliwego nad obydwu, który się jeszcze nie narodził, ani widział złego, które się dzieje pod słońcem.

– To taka jest Salomonowa mądrość? – Olaf zarzucił sobie pancerz na plecy i obaj wyszli z izby. Śnieg padał już znowu, objęła ich migotliwa noc. – Pewnie mówił tak dlatego, że zbyt spokojnie siedział w swym zamku na Syjonie i zbyt wygodnie spędzał dni – powiedział Olaf i roześmiał się cicho. Książdz także zaczął się śmiać, po czym oddalił się, po chwili pochłonęła go noc; szukał swoich nart.

Podczas jazdy przez otwarte pola wiatr dał im w twarz i Olaf musiał dobrze wyteżać siły, aby w zadymce nie stracić z oczu czarnego cienia przed sobą. Sira Hallbjörn sunął długimi, zamaszystymi krokami, dzioby jego nart pruły śnieg głęboko przy każdym ruchu. W ślepej nocy sterował z nieomylną pewnością wzdłuż każdego zagradzającego drogę płotu ku otwartemu, miejscu, które latem zamykano furtką. Olaf od czasu do czasu przesuwiał ręką po twarzy i hełmie, z którego tający śnieg spływał mu w strugach na szyję, lecz stanąć nie mógł ani na chwilę, jeśli chciał

dotrzymać kroku towarzyszowi.

W lesie było lepiej. Olaf wkrótce stracił orientację, ale ksiądz sunął wciąż jeszcze pewnie naprzód. Szli przez miejsca, gdzie sosny stały tak gęsto, że narty szurały po gołej ziemi, gdy schylali się pod białymi okiściami konarów. Olaf przypomniał sobie, co słyszał dawniej o księdzu; przebąkiwano, że nie boi się polować w kniei innego męża, lecz nikt nie mówił o tym otwarcie. Sira Hallbjörn i bez tego był przyczyną licznych nieporozumień. Ta pogłoska była zdaje się prawdziwa. Ksiądz szedł lasem tak, jakby każda ścieżka i każda droga były mu dobrze znane pomimo zawiei i ciemności.

Raz jeden rozpoznał Olaf okolicę – weszli do wąskiego wąwozu o stromych, nagich ścianach skalnych i kamienistym dnie. Olaf lękał się, że foki nart zedrą na strzępy, tak często natrafiali na kamienie. Pod pokrywą śnieżną szemrała słabo woda. Tymczasem śnieg przestał padać, wysoko nad wąwozem ukazał się skrawek czarnego nieba z jedną świecącą gwiazdą pomiędzy jasnymi chmurami. Ludzie niechętnie tędy chodzili o zmroku, co wieczór można było słyszeć wysoko na stromej skale szczekanie psa gór. Mimo woli Olaf ściszym głosem przywołał księdza, który wyprzedził go o kilka kroków.

– Boisz się, gospodarzu? – zaśmiał się Hallbjörn, gdy Olaf zrównał się z nim. – Nawet duch gór nie wypuszcza swego kundla w taką noc.

– Nie boję się – Olaf zdjął hełm i zsunął go na kark. – Swędzi mnie tylko głowa od potu.

Sira Hallbjörn zaczekał, aż tamten był gotów, po czym ruszył rażno w dalszą drogę. Jechali obok siebie po białej, rozległej płaszczynie, tu i ówdzie pociemniałej od wody, która sączyła się spod śniegu.

Sira Hallbjörn przystanął, pochylił się nad kijem i zaczerpnął tchu.

– Zmęczyłeś się pewnie, Olafie?

Nad ich głowami chmury zaczęły się z wolna rozplýwać, w

bezdennych studniach mroku ukazało się kilka słabo świecących gwiazd. Westchnienie szło zaśnieżonym borem wokół jeziora, tu i ówdzie gałęzie zrzuciły z siebie mokre czapy z cichym, jęklwym szelestem.

– O, nie. Czuję tylko, że nie jestem już tak dobrym narciarzem jak za młodu.

– Nie umiesz, zdaje się, po ciemku odnajdować drogi?

– Jechałem raz nocą z Hamaru do Miklebö w dolinie Elfar. Za dnia często odbywałem tę drogę... Ale wówczas przejechałem prawie połowę nocą i szukałem jej po omacku nie wiedząc, gdzie jestem.

– Sam byłeś?

– Do połowy drogi miałem towarzysza, młodego chłopca. Lecz był słaby i nie nadawał się do jazdy na nartach.

Sira Hallbjörn nie pytał dalej. Stali jeszcze chwilę, aby odetchnąć, po czym ksiądz pochylił się w przód i znów ruszyli. Przez jakiś czas objęci lasem sunęli łożyskiem potoku. Olaf musiał iść wciąż śladami tamtego; jechali i jechali... Właściwie był rad, że ksiądz nie pytał o więcej, i jak dobrodziejstwo odczuwał zmęczenie ciała, które poruszało się jakby samo, bez udziału woli. Ilekroć zjeżdżał ze zbocza, spostrzegał, że bicie jego serca nieco słabnie; wiatr dmący w twarz chłodził spocone czoło. Złość ogarniała go tylko, kiedy gałęzie czepiały się tłumoka na plecach i skrapiały go mokrym śniegiem. Nie wiedział, jak długo tak suną, z wolna jednak noc zaczęła blednąć i stawała się przejrzysta.

Robiło się już jasno. W szarawym świetle niebo było brzemienne śniegiem. Olaf i sira Hallbjörn jechali skrajem pastwiska opadającego ku kilku dworom na równinie. Olaf wytrzeźwiał nagle zupełnie – wszystkie dziedzińce przepełnione były ludźmi. Mężczyźni na koniach, w hełmach, zbrojni w dwuręczne miecze. Z wszystkich dymników płynął czarny, gęsty dym, a w jednym z dworów leżących bardziej na południu płonął na dziedzińcu ogromny stos.

Sira Hallbjörn zatrzymał się i spojrzął w dół wietrząc zapach dymu. Potem wsunął się w gąszcz olszyny i uważnie rozglądając się zaczął zjeżdżać krótkimi zakosami. Olaf ożywiony i baczny podążył za nim.

Dojechali do jakiegoś częstokołu. Przed nimi białe, duże pole opadało ku gospodarskim zabudowaniom najbliższego dworu. U węgła obór kilku uzbrojonych ludzi otaczało dwóch chłopów, którzy ściągali skórę z ubitego bydłęcia. Olaf i ksiądz przypatrywali się temu chwilę.

– Dobrze sobie! – Sira Hallbjörn wybuchnął gniewnym śmiechem. – Samego Sygurda zmusili, aby trzymał bydłę, a syn je oprawia.

Olaf poznał w tej chwili, gdzie się znajduje – te dwory leżały na południe i wschód od Kambshornu. Zagrodę otaczał las oddzielający ją od gminy na wschodzie w kierunku cieśniny Jalund. Olaf poszedł dalej wzdłuż płotu rozważając, jak i któredy należy jechać, aby pod osłoną zarośli dotrzeć do wielkiej gminy i tam zrobić przegląd głównych sił księcia.

Nagle z tyłu za sobą usłyszał jęk cięciwy. Widział, jak strzała leciała i zaryła się w śniegu za plecami jednego z ludzi stojących przed oborą. Sira Hallbjörn klęknął na jednej nartce i sięgnął po drugą strzałę; miał ich kilka zatkniętych przed sobą w śniegu. Olaf odwrócił się prędko, chciał zatrzymać księdza. W tej chwili strzała nieprzyjaciela świsnęła tuż koło jego ucha i wpadła w olszynę, strąsając śnieg z gałęzi. Mężczyźni stojący koło domów wybiegli teraz na pole, lecz zapadali się w puszystym śniegu – nagle jeden z nich upadł. To sira Hallbjörn strzelił jeszcze raz, potem jednak zerwał się i razem z Olafem zaczął umykać przez łąkę w górę. Kilka strzał poleciało za nimi, ale Szwedzi daremnie ścigaliby obu narciarzy.

Zatrzymali się chwilę i nasłuchiwali – na białej polance, nieco głębiej w lesie, na karczowisku stało parę starych szop na siano.

– Nierozważny to był strzał, siro – odezwał się Olaf gniewnie.

– Dawniej trafiałem na większą odległość – odparł chłodno ksiądz. – Lecz dziś z rana zwichnąłem sobie kciuk, dlatego moja pierwsza strzała chybiła.

– Nie to miałem na myśli – zachnął się Olaf. – Niewiele teraz będzie korzyści z naszej wyprawy. Nie więcej zobaczyliśmy niż to, co nam już przedtem było wiadome. A poza tym Szwedzi pomszczą się na tych biedakach w zagrodzie...

Sira Hallbjörn zaczerwienił się z gniewu, na skroniach wyskoczyły mu grube pręgi żył. Nic jednak nie powiedział i tak poszli dalej.

Starali się dostać teraz na główny trakt i jeszcze wczesnym rankiem przybyli do dworów znajdujących się w południowej części parafii Saana. Ludzie wiedzieli tu już o zamieszkach i kiedy Olaf z księdzem zapuścili się dalej, usłyszeli odgłos bijących dzwonów. Na północ od kościoła obok mostu natknęli się na wielką gromadę chłopów, którzy chciwie rozpytywali ich o nowiny.

Powietrze było łagodne, ciemnoszare niebiosa zwisały nisko nad płaskim krajem, lecz lód na rzece pod śnieżną przykrywą trzymał mocno. Nie byłoby więc sensu zatrzymywać Szwedów na moście. Zresztą wielu ludzi z tych stron pociągnęło wraz z bydłem na wschód w górę, do leśnej gminy Gardar; leżała ona na uboczu, daleko od drogi.

Sira Hallbjörn zachęcał mężczyzn, aby poszli z nimi i połączyli się z chłopami na północy, szczególnie wszyscy młodzieńcy zdolni do noszenia broni. Ale wnet zauważył, że ludzie z Saana nie uważają najścia Szwedów za wielkie nieszczęście. Spodziewali się, że obce hufce przejdą przez ich gminę nie wyrządzając im dotkliwych szkód. I nawet odniósł wrażenie, że

nie życzą sobie, aby pobito Szwedów, bo najgorzej byłoby wtedy, gdyby ich wojsko zwyciężone i wściekle zwróciło się przeciw ludności.

– Moźni mieszczenie, kupcy oraz panowie duchowni mogą łatwiej znieść kontrybucję aniżeli my...

Olaf spostrzegł, że w księdzu kipi tak wielka złość, iż nieroztropnie byłoby dopuścić go teraz do głosu. Sam więc wysunął się i rzekł:

– Czyż doprawdy nie pojmujecie, dobrzy przyjaciele i krewniacy? Jeśli księciu Eirikowi uda się usadowić na zamku Akershus, wówczas my wszyscy będziemy podlegać temu srogiemu panu, i to kto wie, jak długo, co najmniej do wiosny; a do tego czasu zedrze z nas dziesiątą skórę. Wiedzie ze sobą trzystu jeźdźców niemieckich, a wszyscy wiemy, co to znaczy, do tego zalega im z żołdem. O wiele lepiej byłoby, gdybyśmy stawili mu zbrojny opór i spróbowali nadać inny kierunek jego myślom.

Niektórzy chłopci uważali, że król Haakon powinien wrócić i bronić kraju.

– Król zajęty jest całkowicie obroną granic wzdłuż rzeki. O nas, chłopach dokoła fiordu, mówiono w dawnych czasach, że miłujemy pokój, dopóki zostawiano nas w spokoju. Czyż nie pamiętacie? Nasi ojcowie niejedną raz puszczały się w tany z wrogami na łodzie pod Oslo!

– I nie odnosili wcale zwycięstw w tym tańcu, Olafie synu Auduna – przerwał mu jeden z kmieci. – Czy nie wiesz o tym?

– Mimo to, Erlingu, w ostatecznym wyniku zwyciężyli. Najgorzej zawsze wiedzie się temu, kto nie ma odwagi się bronić. W okolicy tak gęsto zaludnionej jak ta znajdzie się chyba dość mężów, którzy odwiodą księcia od jego zamiaru.

Stanęło na tym, że Pall Knut z Husaby oraz synowie Bergljota z Tegneby przyrzekli pójść za nimi z tyloma ludźmi, ilu będą mogli zebrać na tę wyprawę. Po czym sira Hallbjörn i Olaf pojechali dalej.

– To ty nie wiedziałeś – zapytał ksiądz – że król przed świętym

Marcinem pozęgłował do Björgvin? Pan Helge i hrabia Jakub siedzą z niewielu tylko ludźmi w nowym zamku na Baagaholm...

– Lepiej, aby tu w gminach sądzono, że mają nasze wojsko z tyłu w odwodzie.

– A gdzieś się dowiedział, że księżę zalega Niemcom z żołdem? – zapytał po chwili ksiądz.

– Nigdy nie słyszałem nic innego o księżętach i najmitach – Olaf roześmiał się. – *Tempus bellus*, czy tak rzekłeś?

– *Tempus belli* – powiedział ksiądz i roześmiał się także.

Kiedy przybyli z powrotem do swojej gminy, dowiedzieli się, że Baard ze Skikkjustad i Reidulf po wytrzeźwieniu porzucili pierwotny plan, aby zatrzymać wojsko księcia w Wąwozie Pstrągów, i z przeszło osiemdziesięcioma mężami pociągnęli dalej, aby połączyć się z mieszkańcami wzgórz; ci także chwycili za broń. Chłopi sądzili, że wobec złych warunków na drogach, księżę nie dotrze pierwszego dnia dalej niż do Kraakastad lub Skeidis; chcieli go więc oczekiwać bardziej na północy, w miejscu gdzie droga wiodła pod małym wiszarem skalnym, a na wschód od niej rozpościerały się bagna nie zamarzające nigdy przed połową zimy, ponieważ na tym obszarze tryskało wiele źródeł. Spodziewali się, że w tym miejscu uda im się zwabić jazdę księcia na moczary i tam ją rozbić. Olaf nie znał dobrze tych stron, ksiądz jednak mruczał pod nosem i kiwał głową słysząc o tym planie.

Dotarli tam dopiero o zmierzchu. W niewielkim zagłębieniu gruntu na wzgórzu trzymający straż ludzie rozpalili ognisko. Olaf i ksiądz zdali sprawę ze zwiadów, tak jak poprzednio między sobą uradzili – wydało



im się obu bezcelowe mówienie, że niewiele tylko widzieli z sił księcia. Zdjęli buty i powiesili je na żerdzi obok ognia, po czym rzucili się na posłanie z gałęzi przy trzaskającym ogniu, przy którym kilku chłopów sporządziło z płaszczy i kaftanów rodzaj namiotu. Zdrożeni daleką wędrówką, natychmiast zasnęli.

Ranek był jeszcze mroczny, kiedy Olafa zbudził ruch w namiocie. Zdjął buty z żerdzi i wdział je, były twarde jak kamień, za to grzały wspaniale, a on przemarzył do szpiku kości. Naciągnął pancerz na kaftan i z toporem w dłoni pobiegł w górę na brzeg urwiska.

Skała wysokości trzech ludzi opadała pod nim stromo ku wąskiemu traktowi na skraju moczaru. Dalej przed nimi droga wspinała się na połogi, niski pagórek i to był właśnie słaby punkt tego stanowiska; jar wybiegał na obie strony płasko i szeroko, pośród skąpego lasu i skał pokrytych mchem. W górze zaczęli się ludzie z wyżyn i gminy Saana – około setki chłopów. Przygotowali tu wał z kamieni i pni.

Z dołu dobiegało już głucho dudnienie zbliżającej się jazdy i klaskanie podków na rozmięklej drodze. Olaf dojrzał pierwszych jeźdźców; wynurzyli się od południa. Mogli jechać tylko po trzech w szeregu. W dali na bagnach dostrzeżono teraz ciemne gromadki ludzi posuwających się z wolna wąskim przesmykiem, gdzie twardy grunt się nie zapadał. Byli to chłopci ukryci dotąd w małych obejściach pod lasem. W tej samej chwili załopotał pierwszy grad strzał i ciskanych włóczni. Ale większość chłopów na bagnie celowała zbyt wysoko, pociski przeleciały nad głowami jeźdźców i uderzyły w skalną ścianę. Jeden trafił nawet w kępkę wrzosów, między nogi mężów stojących nad urwiskiem.

– Za wcześniej zresztą – rzekł Baard ze Skikkjustad i zaklął. Stał tuż przed Olafem.

Mimo to w szeregach jeźdźców na drodze powstał zamęt. Kilka koni stanęło dęba, inne wrywały się w bok. Ludzie jadący na przedzie

wstrzymali wierzchowce, rozległy się wołania i krzyki. Potem czołowi jeźdźcy wparli ostrogi w boki swoich koni, chcieli widocznie jechać dalej, nie bacząc na chłopską gromadę na bagnach. W nocy utworzyły się wielkie kałuże. Nierozsądnie więc byłoby potykać się z napastnikami konno – to prawda; niektórzy z jeźdźców zeskoczyli z siodeł i chcieli iść na moczary, by tam rozpocząć harce.

O ile Olaf mógł w szarym świetle poranku dojrzeć, hufiec liczył przeszło stu jeźdźców. Dalsi napierali z tyłu na przednich, kilku zostało zepchniętych z drogi na sam brzeg bagna. Teraz pierwsze szeregi dotarły do wąwozu. Tutaj oczekiwał ich oddział chłopów, który ich przyjął mieczami, siekierami i oszczepami. Również strzały od strony moczarów niosły teraz lepiej – kilka bezpiecznych i rannych koni rżało i powiększało zamieszanie usiłując wcisnąć się w ciżbę wojska to tu, to tam, a krzyki rannych niosły się w wąwozie poprzez szczęk oręża. Nagle na drodze w dole rozległ się donośny młodzieńczy głos, górujący nad zamętem bitwy; wysoki, smukły mąż w rycerskiej zbroi ściągnął wodze spłoszonego rumaka i próbował zmusić jeźdźców do posłuchu. Kiedy ucichł trochę szczęk broni, ludzie na górze usłyszeli, że rycerz mówi po norwesku. Zrozumieli niemal wszystko z tego, co mówi do chłopów w wąwozie. W ciszy, jaka się uczyniła, Olaf zauważył, że deszcz zaczął padać.

Norweski pan wołał, że książę Eirik nie przybywa tu po to, aby wojować z ludnością, jeżeli ta nie będzie atakowała jego wojsk. To król Haakon był tym, który złamał pokój i układy nie tylko z księciem, ale również z królem duńskim – mogą się więc spodziewać latem nowej wyprawy wojennej przeciw Danii – to on sprzymierzył się z królem

Birgerem<sup>[15]</sup> i chce poprowadzić całą niemal siłę zbrojną kraju za granicę, aby poprzeć tego szwedzkiego króla-żebraka, który krzywdzi własnych braci. Król Haakon zdradził podle człowieka, którego przyjął niedawno za zięcia – a księżę nie pragnie niczego więcej, tylko rozmowy z królem. Ponieważ jednak król Haakon obraził tak ciężko własne rycerstwo i w całej Norwegii poczyna sobie hardo i butnie, księżę Eirik znalazł poparcie u wielu poważanych i możnych panów norweskich, a ci liczą, że pozostała ludność poprze ich słuszne żądania.

– To pan Lodin syn Sighvata – objaśnił sira Hallbjörn. – Wychowanek Bjarnego, taki sam lis i zdrajca królów jak jego wuj.

– Do dzieła! – huknął w tej chwili pan Baard i chłopci z góry zaczęli spychać kłody drzewa i kamienie, a tam, gdzie huczała lawina, obsuwając się na głowy jeźdźców w wąwozie, wokół skały rozchodził się zapach spalenizny. Olaf ujrzał między toczącymi się pniami wyrzucone w powietrze nogi końskie, zwierzę oszalałe ze strachu tarzało się po ziemi, rzenie, ryki i wołania rozlegały się w wąwozie. Jeźdźcy usiłowali oswobodzić się ze strzemion i ująć – zaroilo się w dole jak w mrowisku, kiedy wetknąć kij. Olaf zbiegł wraz z innymi na dół i rzucił się w wir bitwy, gdzie pierwszy zastęp chłopów walczył już ostatkiem sił i kilku ludzi leżało rozciągniętych na ziemi. Wielu jeźdźców zdołało się tymczasem przebić i zawrócić konie; próbowali oni natrzeć z tyłu na Norwegów.

Olaf zarzucił tarczę na plecy, ujął oburącz siekiere i siekł na osłep pośród dymiących wierzchowców; płaty piany spadały na niego z pysków rżących i stających dęba koni. Schwycił za uzdę jednego wierzchowca, równocześnie siekierą odparował cios nabitej gwoździami maczugi

---

[15] Król Birger – Birger I z rodu Folkungów (1280-1321). Dążył do wzmocnienia władzy królewskiej posługując się najbardziej nawet brutalnymi środkami. W 1317 r. zamordował swych braci, Waldemara i Eirika.

jeźdźca, rąbnął konia, który zwałił się na kolana i ciął na odlew Szweda, tak że ten osunął się na bok. Pobiegł dalej obok powalonego konia i człowieka, kilku chłopów poszło w jego ślady. Otrzymał cios w hełm, aż czarno zrobiło mu się przed oczyma, ale to wkrótce minęło... Stał wyprostowany i walczył dalej czując, że bój jest nierówny. Piesi chłopci przeciw jeźdźcom z przodu i z tyłu – miejsce było źle wybrane. Teraz Szwedzi przebili się na równinę na wschód od drogi, gdzie chłopstwo stało tylko z rzadka. Ponad szczękiem oręża i jazgotem walki górował jeden głos dający rozkaz wytrwania. Był to ów dowódca mieszkańców wyżyn, którego Olaf nie znał. Z powodu zasłoniętej twarzy Olaf niewiele widział z tego, co się działo z boku, lecz czuł, że nieprzyjaciel coraz liczniej wymyka się na wschód... tam rozgorzał teraz najzaciętszy bój. Z tyłu za nim walczyli jego towarzysze, obróceniem plecami do niego, inni, ci, co pierwsi przyjęli Szwedów w wąwozie, mieli obecnie większą część nieprzyjacielskiej jazdy na tyłach. Natarcie chłopów załamało się. Olaf zrozumiał to i rycząc wywijał berdyszem jak opętany. Domyślał się, że na równinie na lewo od jaru chłopci rzucili się do ucieczki. Lecz szczupła garść w wąwozie walcząca teraz na dwie strony przeciw wrogiej konnicy z przodu i z tyłu broniła się z rozpaczą śmierci – nie ustąpić, nie cofać się, jęczały ciosy toporów.

Nagle ujrzał na drodze pod wzgórzem długi poczet jeźdźców sunących naprzód; byli uzbrojeni w lance. W skąpym, nikłym świetle poranku rozblyskiwała wilgoć na stalowych hełmach i naramiennikach, lśniły pancerze... Nie miało sensu walczyć dłużej...

Udało mu się przebić przez kłębowisko koni i ludzi do stromego urwiska z prawej strony drogi. Znalazł uchwyt dla siekiery w skalnej szczelinie i podciągnął się w górę. Przed nim i za nim czołgali się i pieśli po stromym zboczach jego towarzysze; większości z nich udało się wymknąć z zamętu bitwy i tutaj szukać ocalenia. Na górze Olaf zatrzymał

się i spojrzął poza siebie; po drugiej stronie drogi spora gromada chłopów, ścigana przez Szwedów, przebiegła równinę i znikła w sosnowym lesie. Na czarnej i zdeptanej drodze leżeli stłoczeni na kupę ludzie i konie, ciemne ciała w błocie, niektóre z nich poruszały się, inne leżały bez ruchu, a tam, u ujścia wąwozu sunął naprzód z chrobotem i brzękiem zbrojny hufiec wojowników księcia zakuty w żelazne pancerze. Padał teraz rzęsy deszcz. Olaf pobiegł dalej w górę przez lesiste zbocze.

Potem znalazł się na uprawnych polach; kilka niewielkich zagrod stało w dole nad potokiem. Przed sobą ujrzał biegnącego z wielkim trudem człowieka, który zachwiał się i runął na ziemię. Podszedł ku niemu i odwrócił go twarzą do góry. Był to zięć Baarda, Hoskold syn Jona. Odepchnął Olafa, jak gdyby go nie poznawał, usiadł na wpół oparty na ręce z przechyloną głową, potem obrócił się, upadł na drugi bok i tak pozostał. „Jak zmorzony snem chłopiec, którego ktoś chce zbudzić, a on obraca się w łożu i śpi dalej” – pomyślał Olaf mimo woli. Śnieg dookoła Hoskolda zabarwił się krwią. Olaf podniósł z trudem rannego i przerzucił go sobie przez ramię. Ciężko było iść po lepkiem śniegu z ciężarem na plecach po nierównym gruncie. Jednak udało mu się donieść Hoskolda do jednego z domów i złożyć w małej izbie, gdzie siedziały dwie stare niewiasty. Kiedy potem szedł dalej po wydeptanych w śniegu śladach, z trzema młodzieńcami, którzy przyłączyli się do niego w pobliżu chaty, nie mógł sobie wcale przypomnieć, co powiedział do tych kobiet, albo co one mówiły. Dopiero teraz zauważył, że dostał uderzenie w brzuch; płyta pancerza załamała się do środka i uwierała przy chodzeniu.

Po pewnym czasie wydostał się na małe, wysoko położone, pokryte mchem skały i tu natrafił na gromadę uciekających chłopów. Rzucił się na ziemię porosłą wrzosem pod jakąś sosną i przełknął spiesźnie kilka kęsów; niektórzy z chłopów mieli sakwy z żywnością i dzielili się z innymi. Był tutaj Baard i sira Hallbjörn oraz czterech czy pięciu kmieciów, których

znał – razem zebrało się około dwudziestu ludzi.

Jeden z chłopów wydał nagle głośny okrzyk, pobiegł na brzeg skały i spojrzął w dół. Stąd można było dostrzec skrawek gminy Skeidis na południu. Pod lasem wzbijał się gęsty, smolisty dym i rozpląwał w ciężkim powietrzu. To płonie Hestbaek, osądzili chłopci mieszkający w tamtych stronach. Dalej na wschodzie widać było również kłęby dymu – ludzie księcia srogo mścili się za napad w wąwozie.

– Tyś poniósł ciężką stratę, Baardzie – rzekł Olaf cicho. Arne z Hestbaek, teść Baarda i krewny Olafa, żył dotąd, zdrowy i krzepki pomimo sędziwego wieku. Teraz Olaf musiał też opowiedzieć mu o zięciu, którego zostawił ciężko rannego w jednej z chat na zboczu.

Baard, poczciwy, dobroduszny kmieć, roześmiał się tylko z wściekłości.

Krople deszczu padały ze stłumionym szmerem na tający śnieg. Ciemne, posępne niebiosa zwisające nisko aż po granatowe wierzchołki borów na widnokręgu okalały szmat ziemi, na którym płonęły dokoła dwory. Chłopci skulili się pod najgęstszymi drzewami i posilali się ssąc grudki śniegu i rozmawiając ze sobą.

Obecnie wszyscy zrozumieli, że wybrano do ataku niekorzystne miejsce. Wąwóz Pstrągów z wąskim przejściem dla jeźdźców między kamienistymi wałami byłby o wiele odpowiedniejszy. Ale chłopci mieszkający pod lasem blisko wąwozu nie chcieli drażnić przed czasem wroga – woleli raczej, aby oddalił się od ich gminy. Potem rozmowa zeszała na to, czy nie należało poczekać ze zrzuconiem drzewa, dopóki pancerny hufiec nie wjedzie do wąwozu, i jeden z ludzi rzucił pytanie, dlaczego ci, co poszli na zwiady, nie donieśli, że tak potężna jest siła wroga. Olaf rozważał właśnie w duchu, jak by się sprawy ułożyły, gdyby to wiedzieli; zawinił jednak sira Hallbjörn, niech więc on sam odpowie. Książdz rzekł tylko, że ci żołnierze rozmieszczeni byli widać po dworach bardziej na

południu leżących, dokąd on i Olaf nie mogli dotrzeć. Mężczyźni kłękli i złorzeczyli: w tym hufcu znajdował się na pewno sam książę.

Wreszcie zaczęto zastanawiać się nad tym, co obecnie należało uczynić. Większość chłopów zamierzała wracać do domów i zobaczyć, co się u nich dzieje. Sira Hallbjörn zabrał głos:

– Jest po prostu nie do pomyślenia, żeby księżę usadowił się w Oslo i nikt nawet nie spróbował przeszkodzić mu w tym. Jeśli rozbije obóz pod Akershus – tej twierdzy nie zdobędzie tak prędko; Munan syn Baarda nie jest ani głupi, ani bojaźliwy i ma dzielną drużynę. Wydaje mi się więc, że najroztropniej byłoby udać się na wschód, nad jezioro Eyja, a stamtąd do Sudrheim. Haftor, krewny króla, oraz jego bracia są dzielnymi chwatami, stworzonymi na przywódców w razie wojny. Haftor na pewno nie wyleje ani jednej łzy, gdy się teraz okaże, że nigdy nie nazwie księcia Eirika swym bratem i szwagrem; niezbyt wielka radość panowała na Sudrheim, kiedy król zabiegał dla niego o siostrzyczkę pani Agnieszki.

Z lasu wyszło w tej chwili paru młodzieńców; prowadzili starszego kmiecia, który silnie krwawił. Podczas gdy ksiądz i kilku mężów zajęło się rannym, jeden z chłopców zapytał o Olafa z Hestviken. Olaf nie poznał zrazu młodego człowieka, lecz potem przypomniał sobie, że jest to ów chłopak z załogi kutra, który towarzyszył mu do Galaby. Młodzian zapytał go teraz, co zamierza dalej robić i czy może przyłączyć się do niego. Owszem, może, chociaż jest niedostatecznie uzbrojony; jeśli zaś chodzi o niego samego, to ma zamiar pójść za radą siry Hallbjörna: odwiedzić synów Jona na Sudrheim i przekonać się, czy mieszkańcy Raumarike nie podejmą próby pokonania księcia.

Nieznamy oświadczył, że pójdzie z nim. Nazywał się Aslak i był synem Gunnara na Ytre Dal w Rumudal, miał jednak trzech starszych braci i rodzice postanowili oddać go do klasztoru. Już trzy lata, od trzynastego roku życia, przebywał u białych braci w Tunsberg, gdzie przeorem jest

ojciec Sigurd syn Knuta, jego wuj. Jednak nie był stworzony na mnicha – zresztą cały ten czas spędził w jednym z gospodarstw klasztoru w Andabu; teraz, po narodzie z wujem postanowił wrócić do domu.

– Kiedy posłyszałem o wojennej wyprawie i ludzie na szkucie mówili, że przybiją do Hestviken, a ciebie widziałem uzbrojonego... Wuj opowiadał nieraz o tobie. Znacie się, o ile mi wiadomo?

– Ojciec Sigurd mówił o mnie? – zapytał Olaf trochę nieufnie. – Widywałem go czasem, gdy miałem coś do załatwienia w klasztorze, lecz niewiele słów zamieniliśmy ze sobą. Nie rozumiem, dlaczego miał mówić o mnie...

– Mówił, że jesteś dzielnym mężem i że wiele jeździłeś po obcych krajach. Opowiadał również, żeś wyrósł w Oplandii, na Frettastein, i że tam się ożeniłeś.

Olaf nic na to nie odpowiedział. Nigdy nie lubił, gdy mówiono o jego młodości, i nie lubił spotykać ludzi z Oplandii, którzy go znali z tamtych czasów. Nie wiedział wcale, że ojciec Sigurd z klasztoru norbertanów ma krewnych na północy. Ale w tej chwili nie pora była myśleć o tym... Zapytał Aslaka, gdzie był podczas walki w wąwozie, i pozwolił mu gadać, sam nie odzywając się prawie. Zresztą był zmęczony, przemoknięty, buty otarły mu nogi do krwi i bolała go głowa. Teraz dopiero czuł uderzenie, które osłabił hełm.

Zaraz po południu gromada chłopska na skałach zwinęła obozowisko. Większość chciała wrócić do domu, między innymi Baard ze Skikkjustad; chciał zobaczyć, jak się czuje jego zięć. Jedenastu ludzi jednak powędrowało na wschód. Prowadził ich człowiek z parafii Skeidis, który miał im pokazać drogę przez lasy nad jezioro Eyja. Byli to: sira Hallbjörn i Olaf syn Auduna, Markus i Simon synowie Alfa z Berg, jakiś młody chłop o niedźwiedziej sile, którego Olaf nie znał. Reszta składała się z parobków, poza tym był jeszcze ów chłopiec, Aslak.



W drodze przez las przyłączyło się do nich kilkunastu chłopów i rozprawiano o bitwie, nikt jednak nie wiedział na pewno, ilu ludzi padło lub ilu żołnierzy stracił książe. Jeden oddział jeźdźców zawrócił, splądrował i podpalił kilka dworów, na szczęście żołdacy nie mieli czasu włączyć się po okolicy.

Wkrótce rozmowy zamilkły zupełnie. Nieliczna gromadka szła gęsiego lasem, w górę i w dół, to przechodząc przez niskie, porośłe świerkami wzgórza, to omijając je i brnąc w głębokich, mokrych wrzosach i wodnistym śniegu; na jeziorach topniejący śnieg pokrywał warstwą wysokości stopy lodową skorupę. Z szarych chmur deszcz padał i padał... O zmroku przybyli do jakiegoś sioła – poza nim rozciągało się jezioro Eyja, ogromna szarobiała płaszczyna pod zmierzchającym, deszczowym niebem.

Do tej pory nie dotarły tu żadne wieści o zamieszkach i ludzie z wielkiego dworu, na którym gromada chłopska zatrzymała się na nocleg, pchnęli natychmiast gońca do rycerza na Ormberg. Strugano groty wojenne i kilku mężów udało się na wzgórza, aby rozpalić ognie ostrzegawcze. Nazajutrz zebrało się około osiemdziesięciu ludzi, którzy pieszo, konno lub saniami przeprawili się na północ przez zamrzniętą jeszcze, choć pokrytą wodą tafłę jeziora.

Chłopi przybyli z bardziej odległych gmin znaleźli schronienie w dworach leżących dookoła i pozostali na nich przez Boże Narodzenie. Wszędzie niemal przyjęto ich serdecznie – mieszkańcy Raumarike mieli wielką ochotę pociągnąć do Oslo i pokazać księciu Eirikowi pazury. Sirę Hallbjörna zaproszono w gościnę na Sudrheim; był on dalekim krewnym pana Jona Rauda, ten więc prosił również Olafa, aby na czas Świąt zamieszkał u niego.

Pan Jon żył we dworze z najmłodszym synem Ivarem; dwaj starsi, pan Haftor, zięć króla, oraz pan Tore Tinghovde, bawili z królem w Björgvin. Sirze Hallbjörnowi i Olafowi ofiarowano łoże w pięknej świetlicy, gdzie mieszkali dwaj nieżonaci synowie gospodarza, a pan Jon przysłał gościom odpowiednie szaty.

Od lat już nie święcił Olaf tak radosnych Godów. Posłańcy wyruszali i wracali z ważnymi nowinami: pan Jon miał wszędzie swoich szpiegów. Młody krewniak króla, Munan syn Baarda na Akershus, otrzymał na czas wieść o wyprawie Szwedów. Miał on niewielu ludzi, toteż nie mógł zorganizować wypadu z twierdzy, udało mu się jednak odeprzeć pierwszy szturm. Księżę obiegnął następnie twierdzę, lecz długotrwałe deszcze zmusiły go do zwinięcia obozu na bagnistych łąkach Akershus i do cofnięcia się z powrotem do miasta. Tam obchodził hucznie Boże Narodzenie w starym dworcu królewskim stojącym na wyspie, pasował na rycerzy swych norweskich przyjaciół i urządzał turnieje – mimo to chodziły słuchy, że w namiocie nabawił się zimnicy i choruje. Kazał plądrować i grabić wsie, nie oszczędzał także mieszczan, chociaż z nimi obchodził się nieco pobłaźliwiej. Na Sudrheim śmiano się złośliwie, bo miłość mieszkańców do księcia Eirika dawniej nie miała granic, kiedy

jako krewny króla Haakona przybywał do miasta w odwiedzinach. Siła zbrojna księcia składała się z trzystu jeźdźców niemieckich i półtorej setki wojowników szwedzkich, a jego norweskich przyjaciół było przeszło stu dwudziestu, uzbrojonych na sposób giermków rycerskich.

Pan Jon Raud był jeszcze niezbyt stary, lecz słabego zdrowia, tak więc syn jego Ivar musiał objąć dowództwo nad chłopami; był on odważny, mądry i lubiany przez ludzi, lecz bardzo młody, miał zaledwie dwadzieścia jeden lat. Dorocznym zwyczajem wyprawiano uroczystą biesiadę świąteczną w Sudrheim i Olaf spotkał na niej wielu mężów i kobiet, którzy byli z nim z daleka spokrewnieni jeszcze z czasów, kiedy ród jego siedział na Dyfrynne. Również i mężowie na Sudrheim byli, jak się obecnie okazało, jego krewnymi.

– Jak się to dzieje, Olafie – zapytał go pewnego dnia pan Jon – że nigdy nie byłeś po stronie króla Haakona? To niesłuszne, aby człowiek tak możnego rodu, bogaty, o dwornych obyczajach, nie posiadał należnego mu miejsca w królewskiej świcie!

– Służyłem królowi, ilekroć wzywał nas pod broń – odparł Olaf. – Lecz wiedźcie, panie, że byłem, w młodości wiernym sługą Alfa syna Erlingowego, a gdym się dowiedział, że jarl zmarł jako wygnaniec, ślubowałem Bogu i memu patronowi, że nigdy już nie złożę przysięgi wierności żadnemu innemu mężowi, a już na pewno nie temu, który go wygnał z kraju.

– Wierniejszy więc jesteś aniżeli większość mężów – powiedział pan Jon wzdychając. Znał dobrze jarla i odtąd nieraz rozmawiał z Olafem o dobrym panu Alfie. I Olaf miał wrażenie, że nigdy, odkąd wrócił do Norwegii, nie był tak bliski swej młodości i owych lat, kiedy było mu lekko i swobodnie na sercu.

Również sira Hallbjörn był jakby odmieniony, stał się przystępnym i miłym towarzyszem. Całą duszą rzucił się w tę wyprawę i uczestniczył

we wszystkich naradach mężów. Widać było po nim, że łatwiej mu przychodzi obcować z światowymi panami i wodzami aniżeli z chłopami i księżmi. Kilka razy, gdy pogoda dopisywała, wyruszał na łowy z Olafem, młodym Iwarem i jego przyjaciółmi. W dni świąteczne odprawiał mszę w kościele i ludzie upodobali go sobie bardzo, gdyż poruszał się pięknie przed ołtarzem i miał wyraźny, czysty głos, gdy mówił czy też śpiewał. Proboszcz w parafii natomiast był do niczego, a domowy kapłan pana Jona był już tak stary, że zupełnie zdziecinniał. Wprawdzie odprawiał jeszcze mszę, lecz ludzi już nie poznawał i nieraz brał Ivara za pana Jona, który był jego wychowankiem w młodości.

Młoda małżonka pana Haftora, pani Agnieszka córka Haakona, przebywała w Sudrheim, spodziewała się bowiem drugiego dziecka. Jednego syna już mieli i krewni snuli różne plany w związku z tym chłopcem na wypadek, gdyby młoda dziewczuszka Ingebjörga umarła bez dziedzica.

Historia, jaką Olaf usłyszał o matce pani Agnieszki, nałożnicy króla Haakona, wzruszała go zawsze bardzo – choć ludzie wyrażali się o tym przeważnie drwiąco. Jej matka była chłopską córką i łaziebną królowej Ingebjörgi. Kiedy pewnego razu przygotowała zbyt gorącą kąpiel, pani zabiła ją tak, że skrwawiona z płaczem opuściła łaźnię. W przedśionku spotkała młodego księcia Haakona, syna królewskiego, który przemówił do niej i zapytał, czemu płacze. Nie była bynajmniej urodziwa i dużo starsza od niego, miała już chyba powyżej dwudziestu lat. Ale nim minął rok, powiła księciu dziecko. Królowa-matka szalała z wściekłości, lecz książe nie chciał się rozstać z nałożnicą i gdy zamieszkał w Oslo, podarował jej na własność dwór w okręgu Bergheim. Z dzieci, które miał z nią, żyła tylko młoda Agnieszka. A gdy Haakon miał poślubić ową niemiecką pannicę, sprowadził nieślubną córkę na swój dwór, jej matkę zaś odesłał do klasztoru w Rein, gdzie w kilka lat później została mniszką.

Zawsze była pobożną i bogobojną niewiastą, hojną dla biedaków, ale drużynie królewskiej wydawała się nieodpowiednia jako nałożnica króla. Była niepokazna i blada, małowówna i nieśmiała, zwłaszcza wobec obcych; podobno nieraz błagała swego pana, aby okazał miłosierdzie ludziom, którzy zasłużyli na surową karę. Pani Agnieszka wdała się w matkę, była niskiego wzrostu i przedwcześnie postarzała, bez wdzięku i trudna w rozmowie, lecz łagodnego usposobienia.

Pewnego razu, kiedy Olaf siedział sam w świetlicy, zajęty czyszczeniem broni, weszła jakaś kobieta, która obeszła łóżka podnosząc koce i dotykając poduszek. Gdy stanęła w świetle, Olaf ujrzał, że to sama pani Agnieszka. Powstał więc i powitał ją, a kiedy zbliżyła się i podała mu rękę, opuścił się na kolano przed królewską córką i ucałował wyciągniętą dłoń; myślał zarazem w duchu, że pani Agnieszka podobna jest raczej do utrudzonej żony chałupnika, harującej przez całe życie aż do chwili, gdy usunie się na zawsze w jakiś ciemny kąt.

– Chciałam tylko zobaczyć, czy naszym gościom niczego nie brakuje – powiedziała. Usiadła na niskim stołku, a Olaf stanął przed nią z pochyloną głową i z ręką na piersiach. Dziękując odparł, że wiedzie im się tutaj pod każdym względem doskonale.

– Wy, mężowie znad fiordu, nie macie pewnie wiadomości o tym, co się dzieje w waszych dworach? – spytała Agnieszka.

– Nie – odrzekł – odkąd ruszyli z domu, o niczym nie słyszeli, ani nie mogli się dowiedzieć.

– Niewesołe więc mieliście Święta?

Olaf roześmiał się mimo woli; piękniejszych Godów nie obchodził nigdy.

– Jak to? Nie wiesz przecież nawet, czy twój dwór stoi jeszcze, czy nie obrócił się w perzynę?

– Pani, Hestviken spalono trzykrotnie – rzekł z uśmiechem. – Jeżeli

zostało spalone po raz czwarty, muszę zrobić tak, jak moi ojcowie: przyjąć spokojnie los zesłany przez Boga i odbudować dwór na nowo.

– A twoi krewni? – dopytywała pani Agnieszka.

– Mój syn bawi w Elven z panem Ragnvaldem, a córki są u przyjaciół po zachodniej stronie fiordu, nie mam więc nikogo, o kogo musiałbym się niepokoić.

– Czy małżonka twoja nie żyje?

– Nie, pani, ósma zima mija od jej śmierci.

– Ach tak, w takim razie tobie lżej niż innym, Olafie. Tyle się słyszy rzeczy... Ci biedni chłopcy z południa... Bóg niechaj będzie z nimi!

– Amen. Ale jeśli On zechce, niedługo potrwa, a będzie im dana pomoc i zostaną pomszczeni. Wielka szkoda, że nie mamy pośród nas waszego małżonka, ale Ivar ma najlepszą wolę.

– Nie wiem doprawdy sama – westchnęła pani Agnieszka – nie smucę się znów tak bardzo, że nie ma tutaj teraz pana Haftora. To nierówna walka, choćby nawet chłopcy przeważali liczebnie – chłopcy przeciw niemieckim żołdakom. Mimo to boleję nad tym, że mój pan bawi w takich czasach z dala ode mnie...

Olaf spojrzął na małą kobietkę. Zdawało mu się, że jest zanadto skromna i pokorna, a słowa jej nie były odpowiednie w ustach królewskiej córki. Mimo to zrobiło mu się jej żal. Miała piękne piwne oczy, jak łania, ale poza tym nie była ładna.

Kiedy w parę dni potem posłyszał, że pani Agnieszka ma rodzić, i niewiasty, które były przy niej, niepokoiły się, czy wszystko odbędzie się pomyślnie, ogarnęło go dziwnie gorące współczucie. Pan Jon i jego krewni chodzili z ponurymi twarzami, oni jednak obawiali się przede wszystkim, że śmierć pani Agnieszki starga najsilniejsze węzły łączące Haftora z królem, a jeśli umrze dziecko, będzie to oznaczać o jedną strzałę mniej w ich kołczanie.

Pod wieczór zaś nadeszła wiadomość, że pani Agnieszka urodziła pięknego i dużego chłopca, zapanowała więc radość. Pan Jon kazał przynieść miodu i wina i mężowie pili za zdrowie noworodka. Dziadek posłał po starszego, rocznego chłopca, Jona, którego krewni przezywali kawalerem. Powitano go z radością i podawano sobie z rąk do rąk; panowie pili i weselili się, póki wino nie ścięło ich z nóg i – jak mówił Ivar – nie zaczęli się zachowywać na podobieństwo innych mężczyzn.

Nazajutrz sira Hallbjörn ochrzcił niemowlę i dał mu imię Magnus. Goście przebywający w dworze złożyli ofiarę wraz z krewnymi, a wieczorem obchodzono uroczyste chrzciny wśród ogólnej radości. Olaf jednak wciąż myślał o młodej matce, o której nikt zdawał się nie pamiętać. Jedna z położnych wspomniała, że pani Agnieszka leży ciężko chora i majaczy w gorączce; i że skarży się, iż pan Haftor nie przyjechał do niej. Nie sposób było jej wytłumaczyć, że Haftor bawi w Björgvin.

Na dwa dni przed dniem dwudziestym gońcy przynieśli na Sudrheim wieść, że zastęp chłopów z Lir i Ringerike, około dwóch tysięcy ludzi, ciągnie do Oslo. Tymczasem w stolicy książę Eirik w czasie Świąt był niebezpiecznie chory, teraz jednak czuł się lepiej i jego przyjaciele postanowili z radości uczcić koniec Bożego Narodzenia wielką biesiadą. Chłopi z Lir zwiedzili się o tym i zamierzali tej właśnie nocy wpaść do miasta.

Ivar syn Jona i jego druhowie odbyli natychmiast naradę i nazajutrz z rana wyruszyli gromadą liczącą blisko trzystu ludzi. Reszta mieszkańców Raumarike z północy i zachodu miała podążyć za nimi w możliwie najszybszym czasie. Ivar obawiał się, że ludzie z Lir mogliby ich uprzedzić

i że cała sława spadłaby na nich.

Liczba kmieci znad zatoki zaokrągliła się powoli do pięćdziesięciu i Olaf syn Auduna objął nad nimi dowództwo. On był tym, który pierwszy wezwał chłopów do oporu, i on ostrzegł na czas starostę na Akershus – sam nie zastanawiał się nad tym do tej pory i w czasie potyczki w wąwozie nie było go między dowódcami. W Sudrheim uczczono go i było zupełnie naturalne, że on włodyka na starej książęcej sadybie w Hestviken i dawny towarzysz broni jarla Alfa, uchodził w swej gromadzie za najwybitniejszego męża. I tutaj wydało się to i jemu zupełnie zrozumiałe – było tak, jak być powinno. Trzej pozostali dowódcy byli o wiele młodszy, mniej więcej w wieku pana Ivara.

O zmierzchu przybyli do Tveit pod wzgórze Gellir i dowiedzieli się, że książę wystawił strażę obok szpitala Hofvin, obok Sinsen oraz na Aker w pobliżu kościoła; ale były one złożone z niewielu ludzi. Bo tak się szczęśliwiełożyło, że te wszystkie dwory położone przy głównych traktach należały do Nonneseter; przeorysza, pani Groa córka Guttorma, stawiała opór i groziła na wypadek, gdyby komuś z jej podwładnych stała się krzywda, książę zaś nie chciał zadzierać więcej niż konieczne z dzielną zakonnice. Mężowie zaufania sióstr w okręgach otrzymali wszędzie o wiele lepsze warunki niż inni chłopcy, tak właściciele dworów, jak i dzierżawcy; najgorzej działo się pełnomocnikom korony i możnym włościanom. Sira Hallbjörn śmiał się usłyszawszy o tym; zazwyczaj nie wyrażał się zbyt pochlebnie o ksieni, sam bowiem miał z nią zatarg, teraz jednak żartował z tego również. Książdz jechał w drużynie Ivara, uzbrojony i w pancerzu.

Po naradzie z kilkoma chłopami z sąsiedztwa uchwalono, że mieszkańcy Raumarike mają jeszcze przed świtem iść na górę do lasu i tam ukryć się do wieczora. Po czym mieli podążyć dalej wzdłuż rzeki Alny, po drodze zaskoczyć i obezwładnić straż w Hofvin i wejść do grodu



w okolicy Marter. Równocześnie chłopci z Lir mieli ciągnąć do miasta od zachodu, obok Nonneseter. Musieli obejść kościół na Aker i przejść most na rzece Fryzji, gdyż lód na zatoce Bjaar był niepewny, a dolny bies rzeki jeszcze nie zamrznięty. W górze, na wyżynie przymarzło trochę i leżało tyle śniegu, że gońcy, których Ivar pchnął na zachód, mogli jechać na nartach, jeżeli trzymali się dróg i pól.

Ivar i jego dowódcy rozmieścili się po dworach w Tveit i zamierzali odpocząć tam do rana. Ale na godzinę przed północą otwarto gwałtownie drzwi izby i jeden z chłopów, który brał udział w naradzie wieczornej, wszedł do izby w towarzystwie sędziwej niewiasty, swej matki.

Mieszkała ona razem z zamężną córką w mieście i prowadziła gospodę niedaleko dworu królewskiego. Ludzie księcia dowiedzieli się, że wielka gromada chłopów ciągnie do miasta z zachodu, gotowali się więc do uderzenia na Akershus już nazajutrz z rana. Kobiecie udało się umknąć z miasta i przynieść tę nowinę, bo w Oslo szeptano sobie na ucho, że panowie z Sudrheim mają także powołać pod broń ludzi z Oplandii, Szwedzi jednak nie dawali temu wiary.

– Oho, zanosি się na zupełnie inny jeszcze taniec na zakończenie Godów – odezwał się sira Hallbjörn.

Ludzie z Raumarike nie wiedzieli, co teraz począć. Wtedy ksiądz poprosił o głos i oświadczył, że pozostają im do wyboru jedynie dwie drogi.

– Wprawdzie żadna z nich nie jest najlepsza. Jedna taka: wyruszymy natychmiast na zachód tą samą drogą, którą poszli gońcy przez rzekę koło Sandakrar; napadniemy na strażników we dworze Aker, po czym postaramy się ile sił bronić mostu na rzece Fryzji, póki nie nadejdą ludzie z Lir. Jeśli bowiem uda się księciu zdobyć twierdzę Aker może on sprawić krwawą łaźnię zbliżającej się z zachodu gromadzie chłopskiej i okupić sobie potem przebaczenie króla Haakona za cenę, którą ustanowi on

sam i jego norwescy druhowie. Druga możliwość jest taka, że wrócimy do Raumarike i spleczemy hańbę ostatnią beczką świątecznego piwa w Sudrheim.

Młody Ivar i jego dowódcy zaczęli rozpatrywać radę księdza. Warunki walki nie były równe: trzystu mężów, z tych tylko czterdziestu siedmiu na koniach i uzbrojonych na sposób rycerzy, reszta zaś piesze chłopstwo – przeciw żołdakom i przywykłym do boju wojownikom księcia.

– A co wy powiecie na to, Olafie synu Auduna? – zapytał Ivar. – Jesteście najstarszy wiekiem i macie najwięcej doświadczenia spośród nas.

– Mówię, że ksiądz ma słuszność. Nie widzę tu żadnej innej możliwości poza tymi dwiema. Żadna z nich nie jest dobra, ale pierwsza rada wydaje mi się i tak nie najgorsza. Jeżeli nie zdołamy obronić i utrzymać mostu, możemy go zniszczyć i schronić się do twierdzy.

Sira Hallbjörn przypomniał, że to, aby twierdza nie wpadła w ręce księcia, jest sprawą największej wagi. Muszą się przygotować do tego, że zniszczą most, jak powiedział Olaf; bądź co bądź kościół i cmentarz w Aker będą mieli z tyłu, a stamtąd z góry znacznie łatwiej się bronić, gdyby nieprzyjaciel zdołał przeprowadzić część swych sił przez rzekę. A jeśli przepędzi ich z cmentarza, to schronią się do kościoła – tam potrafią na pewno utrzymać się, póki nie nadejdą posiłki z Lir.

– Czy sam wierzysz w to, co mówisz – spytał Olaf, kiedy wraz z księdzem nakładali pancerze – że ludzie z Lir potrafią przebić się do kościoła, jeżeli hufce księcia podejną na wzgórze od strony rzeki Fryzji?

Sira Hallbjörn potrzęsnał przecząco głową.

– Jednak nie możemy zawrócić nie odważywszy się na nic. A drogo może kraj kosztować, jeśli dojdzie do tego, że księżę Eirik usadowi się na Akershus i stamtąd będzie prowadził rokowania ze swym teściem.

– Tak, to prawda. Wydaje mi się, że rozpoczęto tę całą sprawę trochę

bez głowy, lecz Ivar jest młody; lepsze już szaleństwo niż małoduszność; serce zaś ma odważne, i on, i wszyscy tutaj. Na ochocie do walki nie zbywa.

– W istocie... Pamiętasz wesele Hoskolda w lecie? Twój topór zaśpiewał wówczas... Teraz wnet się okaże, komu z nas pisana jest śmierć: tobie czy mnie?

– Nigdy nie słyszałem, aby taka broń śpiewała, gdy chodzi o kogoś obcego. Ale zanosi się na to, że może to dotyczyć nas obu – powiedział Olaf i roześmiał się blade. Sira Hallbjörn zaśmiał się również.

– Tak, tak wygląda.

Noc usiana była gwiazdami, lecz bezksiężycowa. Śnieg nie był na tyle głęboki, aby zbytnio przeszkadzać w marszu, ale chwycił przymrozek. Olaf syn Auduna i sira Hallbjörn jechali na czele gromady znad zatoki – zamykała ona pochód. Pożyczyli sobie w Sudrheim konie, lecz Olaf oświadczył, że walczyć będzie pieszo, tak jak był przyzwyczajony.

– Jeżeli ten mróz potrwa jeszcze parę dni – odezwał się ksiądz – to ksiązę będzie mógł poprowadzić zakutych w stal rycerzy przez zatokę Bjaar.

– Tak jest, spóźniliśmy się – odparł Olaf – i możemy się cieszyć, jeśli nie będzie za późno.

– Ba, w Sudrheim chcieli jeszcze obchodzić chrzciny, a ci mężowie z zachodu mieli pewnie ochotę odprawić wesela i stypy i wypróżnić całe kadzie piwa. Ale może uda nam się i tak przepędzić księcia, jak skruszonemu grzesznikowi udaje się odpędzić diabła w ostatniej chwili.

Olaf milczał. Patrzył przed siebie, tam gdzie rój gwiazdnych

konstelacji zniknął nad ciemnym skłonem lesistego wzgórza. Osobliwa była myśl, że przez te wszystkie lata cierpiał i martwił się tak bardzo z powodu zabicia jednego człowieka, rozmyślał tyle nad śmiercią i nad tym, co kryje się poza nią. Ale kiedy wyruszał na wojnę i w bój, myśli te rozpraszały się i zamierały. I tak dzieje się zapewne zawsze z wszystkimi ludźmi.

Przewodnik nie mógł odnaleźć brodu, którym przeprowiły się przednie oddziały, musieli więc iść spory kawał w górę rzeki; wreszcie przybyli na szersze rozlewisko, w rodzaju sadzawki, gdzie znajdowały się łodzie. To opóźniło nieco pochód, tak, że zaczynało już dzień, kiedy weszli na ścieżkę prowadzącą przez olszynę po prawej stronie rzeki. Strop niebios rozpościerał się nad nimi rozległy i jasny, żółty jak siarka nad łańcuchem gór na wschodzie, gdy wreszcie dojrzeli nad drzewami wieżę kościoła na Aker, a pod sobą, po drugiej stronie Fryzji, dachy domostw na Fors, pokryte śniegiem wśród białych pól. Tam, gdzie fiord się kończył, mgła słała się cienką, płaską warstwą ponad twierdzą Aker i grodem, jak chusta, sponad której sterczały wieżyce kościoła Świętego Hallvarda oraz szczyt królewskiego dworzyszczca.

Przy moście było znacznie lepiej, niż Olaf się spodziewał. Nie przechodził tędy od czasu, gdy król kazał postawić dwa małe zameczki u przyczółków mostu; były większe, niż sądził. Wschodni od strony Oslo był o wiele niższy, tak że załoga kasztelu zachodniego mogła ostrzeliwać ponad nim wojsko ciągnące od wschodu w kierunku twierdzy Aker.

Ivar także nie próżnował przez ten czas. Kazał znosić kamienie i pociski na wieżę kaszteli, a pośrodku mostu, w miejscu, gdzie wznosił się on najwyżej, ustawiono zaporę. Kilku ludzi rozbierało małe chaty w pobliżu mostu, inni ciągnęli belki i dyle, jeszcze inni załadowywali na zboczu sanie kamieniami i zwozili je na most. Nowo przybyli wzięli się rażno do roboty. Od chłopów z Raumarike dowiedzieli się, że straż na

Aker zostały zaskoczone, wyrżnięte lub wzięte do niewoli. Sira Hallbjörn wybrał zaraz dwie kusze z tych, które Ivar zdobył na Szwedach, dla siebie i Olafa – obydwaj umieli strzelać równie dobrze z kusz jak z łuków.

Tymczasem dzień posunął się znacznie naprzód i Norwegowie zaczęli gadać, że albo wdowa z Tveit plotła trzy po trzy, albo też Szwedzi poniechali szturm na twierdzę. Na szczytach borów na południowy zachód od wzgórza Eika zaczęło świecić jak od ognia – słońce miało wzejść lada chwila. Wtem dobiegł ich głuchy warkot bębnow i cymbałów rozbrzmiewający w dole na brzegu lasu Fors. Tak hałasowali podczas własnych przygotowań i wodospad pod mostem spadał z takim hukiem, że nie dosłyszeli grzmotu nadciągającego wojska – teraz zgiełkliwy tętent zakutych w żelazo wierzchowców wzbіл się w górę i toczył ku nim wraz ze stłumionym odgłosem bębnow.

Szwedzi dostrzegli chłopów przy moście. Nad krzakami ukazała się drabina szturmowa i po chwili opadła; próbowano widać, czy chodzi gładko w zawiasach.

Olaf zarzucił tarczę na plecy i z czternastoma ludźmi przebiegł most czołgając się przez zaporę w środku. Otrzymał rozkaz obrony przedniego kasztelu i dobrał sobie załogę z młodych i silnych zuchów, którzy wydali mu się odważni.

Pewien młodzieniec – Olaf znał jego twarz z ulic Oslo, nie wiedział jednak, kim jest, ani skąd się tu wziął – przyniósł chorągiew i Olaf ze śmiechem polecił ją rozwinąć. Była to żółta chorągiew z wizerunkiem świętego Olafa – przyniesiono ją z kościoła; należała pewnie do jednego z bractw w Oslo.

Słoneczne koło wytoczyło się w promiennej aureoli znad wierzchołka góry, kiedy Olaf stojący na płaskim dachu kasztelu usłyszał i dojrzał, jak wróg wyłania się z gęstwiny. Długi pancerny hufiec, chrzęszczący głucho i błyszczący stałą w chłodnym cieniu na śnieżnym polu, jaskrawe plamy

chorągwi, drabiny szturmowe i okute żelazem tarany. Zadźwięczał róg i krótkie okrzyki przebiegły przez zastępy. Olaf czuł, że serce wali mu jak młotem; to były nieprzyjacielskie hufce, prawda, ale bez względu na to radość owego widoku przeniknęła go na wskroś jak tęgi łyk zimnego, mocnego piwa.

Rzucił hasło i równocześnie podniósł tarczę pochyło nad głową, nie myśląc wcale o tym, co robi – dawne przyzwyczajenia ocknęły się sarnę w każdym członku i mięśniu jego ciała. W tej samej chwili, kiedy zatrzeszczały dwa małe miotacze kul stojące na wieży, przeleciał nad głowami załogi grad pocisków z zachodniego zameczku.

Ludzie przy bramie wschodniej pochyliли się, osłoniwszy tarczami głowy i wyrzeli przez otwory strzelnicze. Kilka powalonych koni przerwało szereg i wywołało zamęt.

– Jak to? Oni mają tylko cztery drabiny? – zawołał Olaf do stojącego obok chłopca z Oslo.

– Stracili kilka na Akersnes.

Przeleciał deszcz strzał wypuszczonych przez Szwedów, uderzył o ściany wieży i opadł na most; lecz zaledwie kilka dosięgło dachu i żadna nie trafiła. Norwegowie pozbiali je, zuchwale pokrzykując. Zadudniło zbocze pod kopytami końskimi, oddział jeźdźców zbliżał się kłusem pod bramę; wiedli ze sobą okuty żelazem taran.

– A cóż to znów za dziecinna zabawka? Czy sądzą, że tym zdobędą twierdzę na Aker?

– Wiesz przecie, że wielkich taranów nie mogą przewieźć drogą przez wzgórze – krzyknął chłopak z Oslo. – Liczyli na mróz.

– Byli w takim razie prawie tak samo krótkowzroczni jak nasz Ivar...

Pozbieranymi na moście strzałami zarzucili zbliżającą się gromadę – nie wyrządziły one jednak żadnej szkody osłoniętym tarczami jeźdźcom. Po czym podnosząc żerdź na barach ustawili kocioł z ukropem

na brzegu muru. I gdy załomotały pierwsze uderzenia taranu w bramę i wieża zadygotała w posadach, Norwegowie wylali wrzątek na głowy napastników.

Krzyki poparzonych ludzi i koni, tętent kopyt i szczęk żelaza rozpląnęły się prawie natychmiast w grzmocie świeżego zastępu jeźdźców, który walił naprzód spychając pierwszy załamany oddział.

– Cześć! – huknął Olaf na swoich. – Oszczędnie z kamieniami! – Nie mieli ich w istocie zbyt wiele i musieli uważać, aby ciskać je pionowo w dół na głowy atakujących i możliwie długo przeszkadzać im w podniesieniu taranu opuszczonego przez oblanych wrzątkiem poprzedników. Tymczasem szwedzcy łucznicy i procarze stojący na łące zasypywali ich tarcze pociskami, a z tyłu świstały nad ich głowami strzały chłopów z zachodniego kasztelu.

Olaf spostrzegł jeźdźca odepchniętego daleko na prawo. Koń rozkraczył się pod nim szeroko i siadając niemal na zadzie osunął się po stromej skarpie. Głośne rzenie zagłuszyło huk i szum wodospadu, kiedy zwierzę stoczyło się w burą, kipiącą toń wraz z jeźdźcem zwisającym w strzemionach. Stromy brzeg po obu stronach wieży był pod śniegiem zlodowaciały, co stanowiło okoliczność pomyślną dla Norwegów; niewielu nieprzyjaciół mogło naraz podjechać pod bramę i dotąd nie udało im się przystawić drabin. Ale długo nie mogło to już trwać...

Krzyknęto do niego z mostu. Ośmiu czy dziesięciu mężów przeciągnęło przez zaporę kosze z kamieniami i wlekło je po moście do wieży. Ivar syn Jona obliczył słusznie, że miotacz kul na przedniej wieży umilknie wkrótce – młodzieniec nie był wcale bezmyślny. Olafowi serce podskoczyło w piersiach z radości – Ivar zebrał ludzi z wału, ustawił się z nimi w zachodniej bramie i czekał. To było słuszne: niedługo Szwedzi wyłamią bramę i wtargną na most. Ivar kazał zerwać poręcz mostu poza zaporą.

Akurat udało im się przyciągnąć kosze na górę, kiedy pierwsza szturmowa drabina opadła na mur. Nadszedł więc czas toporów! Doskonale, pomyślał Olaf, że otrzymał posiłki, inaczej byłoby ich teraz za mało. Dzięki temu udało im się spychać jednego po drugim napastników, którzy pięli się po drabinie. Kilku jego ludzi leżało rannych dokoła i deski były zbroczone krwią – ale krwawy był również śnieg pod wieżą, jeśli w ogóle leżał tam jeszcze śnieg.

Długo nie będą mogli już utrzymać wieży. Olaf rzucił okiem na słońce: bitwa trwała zaledwie pół godziny.

Teraz brama pod nimi załamała się z łoskotem, zdawało się, że cała wieża się chwieje. Olaf przebiegł na drugą stronę, spojrzął na dół, ciekaw, jak się dalej sprawy potoczą. Chłopi skoczyli naprzód i zajęli przedmurze, Ivar w środku gromady. Nieprzyjaciel mógł wysłać na most tylko po dwóch ludzi. Ciosy chłopskich siekier i toporów oraz szczęk mieczy zgłuszyły krzyki i tętent koni – przez chwilę kotłowało się na moście. Kilku jeźdźców wraz z końmi zostało zepchniętych i runęło w wodospad. Szwedzi posłali teraz pieszy zastęp na most.

Olaf dojrzał sirę Hallbjörna na górze, na brzegu wału: siał spustoszenie swym wielkim dwuręcznym mieczem. Książd bił się jak lew.

Olaf odrzucił resztę tarczy; pozostały z niej tylko strzepy pomiędzy żelaznymi prętami. Ujął oburącz Attarfylgię i zwrócił się w kierunku drabiny. Nie było jej już jednak – odrzucona, zawisała na skalnym gładzie sterczącym z zamarznętego brzegu rzeki. Szturmujący ustawiali właśnie nową. Za nim z tyłu jego ludzie strącali wrogów ze schodów, które trzeba było zawczasu wciągnąć. Atakujący próbowali dostać się na górę.

Ivar i jego ludzie skoczyli z zapory na most i oczyścili go w oka mgnieniu – chociaż na krótko. I Szwedzi wycofali się na pole, poza zasięg pocisków.

Olaf zdjął hełm z głowy, by ochłonać na chwilę – cisza i szum rzeki



stłumione dotąd bitwą orzeźwiły go. Teraz dopiero zauważył, że odzież nie tylko z powodu potu lepi mu się do ciała. Łosiowy pancerz był z przodu powyżej płyty brzusznej rozerwany i skrwawiony, Olaf nie czuł jednak, czy zadraśnięcie jest głębokie.

Jakiś hełm wynurzył się w otworze schodów; sira Hallbjörn wspiął się na górę.

– Ilu was zostało jeszcze żywych? Zejdźcie teraz z wieży. Świeże siły odeprą następne natarcie.

– Niewiele jest tu środków do odparcia wroga, siro Hallbjörn. Z dała na polach dostrzeżono w tej chwili ludzi, którzy zbliżali się od strony domostw na Fors. Dźwigali coś w rękach.

– Chcą, widać, podłożyć ogień pod zamek – rzekł Olaf. – Musimy trzymać się, póki się da.

– Ivar przygotował już także głownie – oznajmił ksiądz.

– W takim razie skończy się na tym, że most spłonie. A wówczas każdy z przeciwników będzie stał na swym brzegu i naigrawał się z drugiego. I wynik będzie lepszy, niż można się było spodziewać.

Na polu zatrąbiono na zbiórkę. Olaf schylił się, podniósł żółtą chorągiew świętego Olafa rozdartą w boju i postawił ją z powrotem – była splamiona krwią.

– No, a teraz pokażemy im, co potrafimy naszymi kuszami, siro!

Jeźdźcy zbliżali się szeroką, rozproszoną ławą, za nimi szli piechurzy niosący kociołki z ogniem, wiązki chrustu oraz naczynia ze smołą. Pocisk z kuszy księdza trafił tak celnie jednego, że wypuścił kociołek, który upadł na ziemię i stoczył się na dół.

Ivar i jego ludzie ułożyli tymczasem w bramie stos z resztek pali i drzewa. Po czym ustawili się z tyłu z długimi włóczniami, pałkami oraz kosami, a za nimi czekali dalsi – cały most był pełen ludzi – aby z kolei, gdy pierwszy szereg padnie, zagrodzić drogę Szwedom.

Trzeci szturm załomotał pod bramą i pod drżącymi murami kasztelu. Raz jeszcze powiodło się Iwarowi i jego chłopom odbić natarcie, mały zaś, nędzny ogień, dymiący u stóp wieży, zagasili ludzie z dachu lejąc wodę z kotła, który stał na wieży nad dogasającym paleniskiem – nikt bowiem nie pamiętał o tym, by podsycić żar.

I znów Szwedzi cofnęli się nieco i ucichła bojowa wrzawa. Z wieży można było dostrzec, jak ich wodzowie objeżdżają szeregi, zbierają się i naradzają. Nagle ksiądz zawołał:

– Patrzcie!

Olaf odwrócił się i popatrzył w stronę wskazaną przez tamtego.

– Tak, teraz możemy już odśpiewać *Nunc dimittis*<sup>[16]</sup> – oświadczył sira Hallbjörn.

Z niskiego lasu wynurzyły się konne zaprzęgi ciągnące potężne tarany, miotacze kul i katapulty.

Ivar syn Jona kazał zadąć w róg. Stał na moście i wołał na ludzi na wieżach – jego jedwabna szata zwiślała w strzępach na kolczudze. Nie mogli uczynić nic więcej, jak cofnąć się i zerwać za sobą most.

Nagle z tyłu, ze stoku góry zabrzmiały jakieś tony – dźwięki rogu, który odpowiadał rogowi Ivara. Jak lśniące i dźwięczne wstęgi biegly w dal, przebijały błękitnobiałe światło zimowego dnia. Olaf odwrócił się gwałtownie – w górze za cmentarzem żarzyło się poranne słońce na gęsto skupionych ostrzach włóczni.

Radosnym okrzykiem niewielkiej gromady na moście odpowiedziały nowe dźwięki rogu. Był to stary zew bojowy – ludzie zwali go pieśnią Andvaka lub tańcem króla Sverrego. Chociaż Olaf syn Auduna nie sławił zazwyczaj króla Sverrego, nie było dźwięku, który by w tej godzinie usłyszał chętniej.

---

[16] *Nunc dimittis* – aluzja do słów Symeona: „Teraz puszczasz sługę Twego, Panie, w pokoju” (Łuk. 2. 29) wyrażających gotowość na śmierć.

Sira Hallbjörn ścisnął ramię Olafa – ręka księdza krwawiła. Ze zdumieniem spostrzegł Olaf że lica jego są szarobiałe, a cała twarz jakby ściągnięta dzika, bolesną rozkoszą.

– To nasz róg! Bóg mojego ojca. Poznałbym go pośród wszystkich innych! w takim razie moi bracia, Finn albo Eystein, muszą być w gromadzie z Lir...

I gdy róg zagrał znowu i zabrzmiała pieśń Andvaka, sira Hallbjörn zawtórował swym czystym, donośnym głosem stary śpiew odpowiadający tej melodii:

*Dobytek umiera,  
krewni umierają i człowiek umiera.  
Jedną znam rzecz, co nigdy nie umiera:  
sąd o zmarłym.*

Wszyscy, którzy znali ową pieśń, podchwycili melodię i śpiewali. Tymczasem, ludzie z Baumarike zburzyli prędko zaporę na moście, by przepuścić pierwszą nadjeżdżającą z góry gromadę – było w niej przynajmniej pięćdziesięciu ludzi konno, świetnie uzbrojonych. Przejechali kłusem most, a za nimi zaroilo się od pieszych i od chłopstwa, przeważnie także dobrze uzbrojonego. Olaf ujrzał nagle sirę Hallbjörna... Biegł przez pole po drugiej stronie mostu obok wysokiego rumaka kasztanowatej maści, czepiał się kuli siodła. Mąż na wierzchołku miał na głowie hełm ze spuszczoną przyłbicą, niebieska jedwabna szata trzepotała dokoła pancerza.

Olaf nie rozumiał dobrze, co zamierzają nowo przybyli – wyglądało, jakby chcieli rozpędzić wroga w otwartej walce na przedpolu. Otoczyli już Szwedów podchodzących pod most i z konnymi rycerzami na czele podążyli w stronę głównego oddziału sił nieprzyjacielskich, skupionych

na brzegu lasu przy miotaczach kul.

Ivar syn Jona oraz jeden z niższych dowódców, Markus z Lautina, wspięli się na wieżę.

– Jeśli uda im się rozprędzić niemieckich żołdaków chłopskimi tylko siłami, to wszystko jest możliwe!

– Musi ich być co najmniej ze dwa tysiące – rzekł Olaf. Szeregi rycerzy płynęły wciąż ze wzgórza pod kościołem i przez most.

– Ale jeżeli zostaną pobici – wtrącił Markus – nawet co dwudziesty nie przejdzie z powrotem przez most.

Natarcie norweskich rycerzy wnet się załamało – dwóch z nich ściągnięto z koni i wzięto do niewoli. Ale chłopci z Lir atakowali wciąż na nowo – gdy odparto część, szedł do szturmowy zastęp. Raz po raz niemieccy żołnierze wjeżdżali w tłum, tratowali ludzi kopytami i kłuli dzidami, lecz Norwegowie napierali na nich z boków, rąbali ludzi i konie siekierami i pałkami, siekli na oślepniałymi na sztorc kosami i włóczniami. Udało im się dotrzeć pod las i tam trzymali w szachu wroga, tak że ten niewiele miał pożytku ze swych proc i miotaczy kul; również załoga przyczółków mostowych nie mogła wspierać swych ludzi: walczyli poza zasięgiem strzału.

Przed mostem uczyniła się cisza. Kilka koni i paru ludzi leżało rozciągniętych w burym, krwawym błocie, jedno zwierzę poruszało się i biło kopytami w powietrzu. Jakiś młody chłopak wrócił pod most, lewą ręką podtrzymywał prawe ociekające krwią ramię i szedł tak dziwnie spokojny, jak gdyby niósł kupiony przed chwilą przedmiot.

Teraz zaczęto odpierać pierwsze gromady chłopskie na łąkach pod Fors. Olaf chwycił kuszę. Wsuwając stopę w kabłąk i napinając cięciwę dopiero zauważył, że jego ciało jest stężełe ze zmęczenia.

Raz jeszcze skupili się uciekający chłopci na polach, by stawić opór, i raz jeszcze natarł nieprzyjaciel. W tej chwili Olaf został trafiony w

prawą nausznicę. W głowie mu zazgrzytało, na mgnienie oka zawirowało wszystko przed oczyma, zachwiał się i upadł w tył w ramiona Ivara. Kiedy się znów wyprostował i sięgnął po kuszę, poczuł, że usta ma pełne krwi i lepkiego mięsa. Wypluł krew i odłamki zębów i dalej strzelał.

Ludzi z Lir odepchnięto tymczasem na taką odległość, że Szwedzi mogli ich już razić z miotaczy kul: kamienie i pociski padały raz po raz w ich zwartą gromadę. Pierwsi uciekinierzy usiłowali przedostać się z powrotem na most lub w górę, pod osłonę lasu. Olaf przestał strzelać – stał bez ruchu i w napięciu oczekiwał końca walki, przez cały czas macając bezmyślnie językiem ostry odłamek, który mu utkwiał w policzku i zdruzgotał ząb w górnej szczęce. Ale język wnet obrzękł i zeszytniał, a rana wypełniła mu usta niby nasiąkła krwią gąbka. Chwilowo nie czuł tego wpatrzony w kończącą się na przedpolu walkę.

Róg rycerza z Valdres niez mordowanie zwoływał na zbiórkę; większość ludzi z zachodu wracała pod przyczółek mostu. Chłopów z Raumarike na wieżach zlizowali ludzie nie utrudzeni jeszcze bitwą, których wory i sajdaki pełne były strzał i pocisków.

Olaf chciał mówić z nimi – weszli na wieżę i otoczyli go kręgiem. Lecz krew zalewająca mu usta dławiała każde słowo – z gardła wychodził tylko słaby bełkot. Zaledwie śmiał wierzyć własnym oczom – Szwedzi nie następowali, nie podchodzili pod most. Wyglądało tak, jak gdyby zebrali się i cofnęli do lasu – czyżby mieli dość tej zabawy?

Po pewnym czasie Olaf szedł mostem jakby we śnie, tak okropnie ciążyła mu głowa. Szedł w tłumie obcych mężczyzn wracających na Aker. Pamiętał tylko o tym, by zabrać swój topór, nim opuści wieżę; jak przez sen przypominał sobie, że omijał martwe ciała leżące w głębi wieży wokół schodów i jakby przez sen słyszał wołania ludzi na górze w kasztelach – przygotowywali się znów do obrony, gdyby zaszła tego potrzeba. Potem wyminął dwóch ludzi dźwigających trzeciego – zauważył obojętnie, że

deski mostu są ciemne i śliskie od krwi, i dostał lekkiego zawrotu głowy ujrzawszy czarny, spieniony nurt pod mostem, spadający z hukiem w głąbinę.

Uszedłszy kawałek pod górę w stronę kościoła, zatrzymał się i odłożył topór; chciał zdjąć hełm, gdyż okropnie bolała go głowa, poza tym dokuczał mu żelazny odłamek tkwiący w zranionej jamie ustnej. Jakiś człowiek przystanął, aby mu pomóc – pot zalał ciało Olafa i łzy pociekły z oczu, kiedy tamten zdejmował mu hełm; policzek został przy tym jeszcze bardziej rozdarty. Nieznajomy wykonał ruch, jakby chciał wziąć go pod ramię, lecz Olaf potrząsnął głową. Chciał się roześmiać, nie potrafił jednak, bo twarz była zdrewniała i jakby olbrzymia. Tamten podniósł więc siekiere i hełm i podał je rannemu, powiedział coś z uśmiechem i poszedł dalej. Olaf próbował otrzeć krew ciekącą po szyi – był nieznośnie mokry.

Słońce stanęło już wysoko na niebie – tyle zauważył. Południe minęło, jaśniał najpiękniejszy dzień zimowy. Korony drzew wokół kościoła błyszcząły na tle błękitnego przestworza, jak gdyby miała nadejść wiosna, lecz blask kłuł Olafa w oczy i oślepiał.

Zawlókł się do jakiegoś dworu na wzniesieniu i wszedł. W izbie było tłoczno, nie dostrzegł jednak nikogo znajomego. Kilku ludzi [przemówiło do niego, widząc jego rozerwaną twarz; Olaf nie mógł jednak słowa wykrztusić. Kilku mężów usunęło się i zrobiło mu miejsce, mógł więc usiąść na podłodze przed ławą; jeden z siedzących na ławie chłopów oparł jego głowę o swoje kolana – i tak zmorzyło go okrutne zmęczenie. Nie był to właściwie sen, ataki bólu powracały co chwilę ze wzmożoną siłą, szalały jak gdyby we wnętrzu czaszki, prócz tego czuł, że marznie od szpiku kości, gdy od czasu do czasu zapadał w gorączkową drzemkę...

Potem obudzono go – jakaś starsza tęga kobieta ujęła go za ramię; obok stało młode dziewczę o poważnych oczach i trzymało dymiącą misę. Kobieta zanurzyła w niej brązowy od częstego użycia gałgan i

ciepłą wodą obmyła Olafowi twarz i szyję. Oszołomiony i bezwładny z bólu i znużenia pozwolił się podnieść i posadzić na ławie, cały czas patrząc tęsknie w stronę wielkiego ognia na palenisku, marzył bowiem przeraźliwie. Potem kobieta i jeden z mężczyzn ściągnęli z niego łośiowy pancerz, zdjęli kubrak i koszulę, która przyłgnęła do ciała; był nagi do pasa i marzył jeszcze bardziej, podczas gdy go myli i opatrywali ranę – cięcie sięgające do lewej brodawki piersiowej. Wreszcie włożyli mu z powrotem przemoczoną już zupełnie odzież.

Wstał i zatoczył się. Chciał podejść do ognia i usiąść przy nim, ale jakaś niewiasta podobna do Torhildy wzięła go pod ramię i zaprowadziła do posłania przygotowanego na podłodze. Dobrze było wyciągnąć się, oprzeć plecy i kark o napchane sianem wory; kobieta, która przypominała Torhildę, nakryła go skórą i podała mu ciepły napój. Nie mógł jednak wiele wypić, bo połykanie sprawiało mu straszliwy ból. Lecz wkrótce poczuł miłe ciepło skóry, grzał go także rosły, czarnobrody chłop leżący obok i to ciepło przynosiło niewymowną ulgę, chociaż ból rozsadał głowę.

Po chwili znów ktoś się zbliżył i obudził go. Miał wstać i iść wraz z innymi. Poszedł za owym człowiekiem. Na dworze było już niemal ciemno, zielonkawa poświata jaśniała na południu, wielkie, białe gwiazdy świeciły w mroźny wieczór. W górze przed kościołem płonęły wielkie czerwone stopy, dokoła nich poruszali się ludzie – stajnie i stodoła kościelna nabite były po brzegi. Główna brama kościoła była na oścież otwarta i Olaf ujrzał, że w prezbiterium pali się wiele świec i śpiew płynie na zewnątrz. Lecz towarzysz poprowadził go dalej, do domów z drugiej strony wzgórza.

Dostał się do jakiejś izby, w której zgromadzonych było wielu mężów – poznał Ivara syna Jona i kilku ludzi ze swej gminy. Niektórzy krzatali się dokoła ławy. Leżały na niej nagie zwłoki, które właśnie myto. Olaf

zbliżył się i poznał sirę Hallbjörna...

Ksiądz leżał na plecach, długi i biały, ze zwisającymi ramionami, tak że ręce sięgały glinianej polepy. Jedno ramię było strzaskane, kości sterczały przez skórę powyżej łokcia. Ludzie zmywali właśnie skrzepłą krew z rudawej, szpakowatej głowy zmarłego. Złamane kości grzechotały lekko – czaszka nad lewą skronią została wtłoczona ciosem do wewnątrz. Obok ławy stał kocioł z parującą, czerwoną wodą.

Ivar podszedł do Olafa. Szeptem opowiadał, że trupa księdza znaleziono w gęstwinie w pobliżu miejsca, gdzie stały szwedzkie miotacze kul – był na poły nagi i ograbiony; broń zniknęła, tak samo pierścień z sygnetem oraz pozłacany *Agnus Dei*, który sira Hallbjörn nosił zawsze na szyi.

Jego brat, rycerz Finn syn Erlinga, znajduje się między wziętymi do niewoli, ciągnął Ivar, natomiast synowie Eindride i Erling są tutaj. Olaf spojrział na dwóch smukłych rudowłosych młodzieńców, stojących nad zwłokami stryja i skinął głową na znak, że rozumie. Ivar gadał dalej – w chłopskim powstaniu brali udział kmiecie z Lir, Ringerike i Mondheim oraz niewielka gromadka z Valdres pod wodzą Finna.

Oblicze zmarłego było szare i spokojne jak kamienna rzeźba. Stojący dokoła mężowie zastanawiali się, jakiego pochodzenia jest blizna na ciele księdza; biegła od lewej łopatki przez ramię, jak gdyby ciało zostało niegdyś w tym miejscu rozszarpane, a na lewym mięśniu piersiowym tworzyła cztery głębokie wklęsnięcia – stąd srebrne bruzdy blizny szły aż do żołądka. Były jednak stare, trudno więc było orzec, z jakim dzikim zwierzęciem ksiądz stoczył walkę.

Olaf ukląkł z innymi przed ławą, nie mógł się jednak modlić; straszliwy ból w ranie i całej głowie spotęgował się jeszcze. Gdy się podniósł, zwłoki były już odziane i złożone na marach. Teraz sira Hallbjörn leżał tu jako kapłan w albie i starym ornacie, w sandałach na nogach,



z cynowym kielichem w splecionych rękach. Kilku księży z kościoła na Aker dostarczyło potrzebnych przedmiotów, by godnie pogrzebać zmarłego brata. Kiedy wniesiono mary do kościoła, Olaf wszedł również. Wiele mar ze zwłokami stało już pod sklepieniem prezbiterium. Nie miał jednak siły zostać i wysłuchać nabożeństwa. Człowiek, który go przedtem zaprowadził do izby, wziął go pod ramię i powiodł z powrotem do dworu, gdzie znalazł przytułek: nazywa się on Lille Aker, powiedział ów człowiek.

Cieleśny ból był zupełnie nowym doznaniem dla Olafa syna Auduna. Często wprawdzie trafiały mu się rany i zadraśnięcia, które piekły i powodowały gorączkę, nigdy jednak nie tak groźne, aby musiał na nie uważać – były to przeważnie rany powierzchowne, gojące się szybko i czysto.

Rana w twarzy była jednak paskudna i dręczyła go. W czaszce pulsowało i rwało, a szczeka oraz korzeń zgruchotanego zęba bolały piekielnie. Jednak najokropniejszą rzeczą był wstręt – obmierzły posmak ropy wypełniał mu stale usta.

Od czasu do czasu miewał ataki gorączki – wtedy zdawało mu się, że łoże, na którym spoczywa, unosi się coraz wyżej i wyżej, jak pusta powłoka, i coś okrągłego i ciężkiego, co mieściło się w jego głowie, wypadało z niej i toczyło się po łożu... Gorączkowe majaki szybowywały przed nim – istoty, które nie były ani zwierzętami, ani ludźmi, twarze, które poznawał nie wiedząc, do kogo należą. Często zwłaszcza ukazywał mu się jakiś beznogi żebrak, który dziwnie szybko podrygiwał na deszczułkach pod rękami i kolanami. Ilekroć wyłaniało się to widziadło,

Olaf męczył się okropnie.

Pewnej nocy ukazała mu się Inguna – stała obok łoża pod ścianą i nachylała się lekko ku niemu; jej złotokasztanowe włosy opadały jak płaszcz na nagie, szczupłe ramiona. Była odziana w płócienne gieszło, haftowane u wycięcia w zielone kwiatuszki; zaćmiło mu się aż w oczach od tych wszystkich punkcików. Podniósł ręce nie chcąc, by się zbliżyła, bo właśnie w tych dniach rana wyglądała strasznie i cuchnęła ohydnie. Mimo to Inguna opadła na niego niby fala ciepła i słodczy, został wprost zalany jej dobrocią... Stracił przytomność, popadł w długotrwałe omdlenie.

Nazajutrz z rana udało mu się odpluć masę śmierdzącej ropy i stalowych odprysków, które tkwiły w szczęce. Kobieta, która się nim zajmowała, mogła oczyścić ranę i odtąd czuł się lepiej. Był osłabiony i marzył ciągle, a ponieważ mógł leżeć tylko na jednym boku, miał wrażenie, że kości przebijają mu ciało, tak bardzo było obolałe. Był również wygłodniały, nie mógł przełknąć nawet żadnych płynów, jakie mu podawano.

Każdego niemal dnia przychodził któryś z towarzyszy broni zapytać o zdrowie. Olaf był jednak zanadto osłabiony, by zwracać uwagę na to, co mówili. Lecz tego rana przyszedł sam Ivar syn Jona i kilku innych. Z trudem ukrywali dumną radość. Księżę opuścił miasto przed brzaskiem, nie miał zapewne ochoty po raz wtóry łamać sobie zębów na murach twierdzy Aker i toczyć boju z trzema tysiącami wojsk chłopskich, które obozowały na sąsiednich wzgórzach. Munan syn Baarda otrzymał również posiłki i powiadano, że umocnił twierdzę tak, iż potrafi odeprzeć każdy atak.

W bitwie przy moście księżę stracił nie więcej niż pięćdziesięciu ludzi; chłopów padło dwustu, ponadto wielu odniosło cięższe i lżejsze rany. Księżę Eirik miał i tego dosyć. Nie liczył się w ogóle ze zbrojnym oporem, spodziewał się raczej, że większość norweskich wielmoży jest niezadowolona z rządów króla Haakona i pójdzie razem ze Szwedami.

Po odejściu przyjaciół Olaf pozostał sam i czuł, jak wzbiera w nim i spowija go całego owa ukryta pewność, owa radość, która spoczywała na dnie jego duszy przez te wszystkie długie dni, kiedy ciało jego leżało wypełnione bólem, skażone ropą i zgorzelą. Owa radość trwała w nim przez cały czas, jak trwa żar na palenisku w zmurszałym domu. Żaden ból, nie mógł go pozbawić radości z tego, że walczył za swoją gminę i bronił ziemi ojczystej przeciw wrogiemu najazdowi obcych. I choćby to nawet nie pomogło, i tak czułby radość na myśl, że on i chłopci z rodzinnych stron porwali się, by stawić opór. Teraz, gdy ich powstanie miało na domiar korzystny wynik, leżał i wydawało mu się, że jego umęczone ciało jest jak cienka, łamliwa skorupa dokoła zdrowej, uleczonej rany.

Czuł się do głębi wesół i radosny, jak nie był od czasu młodości. W ciągu tych wszystkich lat przeżytych w domu, kiedy zdawało się, że życie ułożyło mu się tak, iż w mniemaniu ludzi nie miał powodu do skargi – czyż nie posiadał dostatku, zdrowia i spokoju? – w skrytości miał uczucie, jak gdyby węże szarpały mu serce, podobnie jak szarpały Gunnara na słupie odrzwi w jego izbie. Toczył bój w duszy bez nadziei, trawiony okropną trwogą, przeciwko mocom nie z krwi i ciała.

Teraz pojął – nie dlatego, że cierpiał, pozbawiony był szczęścia w życiu... Mężczyzna może być szczęśliwszy cierpiąc niż przeżywając okresy powodzenia. A cierpienia, które przydają się na coś, są jak ostrza włóczni, na których podnosi się tarczę z młodym królewiczem podczas ślubowania.

W kilka dni potem Klaus Wiephart przyjechał saniami do Lille Aker; chciał, aby Olaf przeniósł się do niego i powierzył się jego sztuce

lekarskiej. Olaf zgodził się – nie mógł przecież leżeć tak długo w obcym dworze. Klaus z początku dręczył go i nękał okropnie; wyłamał resztkę zęba, szukał w dziąśle odłamków kości, krajał i wypalał ranę. Olaf znosił wszystko cierpliwie – nic nie mogło rozwiać owej dziwnej, cichej radości, że walczył, i to walczył z pożytkiem. Ani myśl o tym, że Klaus każe sobie drogo zapłacić za leczenie, ani też wieści, jakie go dochodziły o spustoszeniach wyrządzonych w okolicy przez Szwedów w czasie odwrotu. Nie mógł się dowiedzieć, co się dzieje na jego dworze – czy nie stał się pastwą pożaru... Ale wzruszało go to tak mało. Gdyby miał w domu kobiety i dzieci, nie byłby tak spokojny.

W ogrodzie Wiepharta młoda trawa zieleniła się już i drzewa liściaste ustroiły się w wielkie, żółto nakrapiane pąki, kiedy Olaf mógł wreszcie pomyśleć o powrocie do domu. Rana była niemal zablizniona i policzek na zewnątrz zrosnięty. W przeddzień odjazdu poprosił nałożnicę Klause o zwierciadło. Przez chwilę siedział, trzymał je w ręku, chuchał na przejrzystą, metalową tafłę, czyścił ją i znów przyglądał się swemu odbiciu.

Jego jasne włosy posiwiały całkiem, były lekko sfalowane, a czworokątne, prosto ciosane oblicze zestarzało się i pokryło bruzdami. Prawa strona uległa zniekształceniu, policzek był tak zapadnięty, że cała twarz skrzywiła się nieco, a szkaradna czerwona blizna ściągała z jednej strony usta ku dołowi.

Olaf właściwie zawsze zdawał sobie sprawę, że jest niezwykle pięknym mężczyzną. Nie wywoływało to jednak w nim próżności – przeciwnie, w młodości nie znosił, kiedy ktoś o tym wspominał albo kiedy kobiety dawały mu do zrozumienia, że chętnie nawiązałyby z nim bliższą znajomość, bo jest tak urodziwy i jasny. Nawet urodę odczuwał w jakiś szczególny sposób jako część tego węzła z krwi i ciała, który go łączył z Inguną – może dlatego, że nie był jeszcze zupełnie dorosły, kiedy

stał się jej małżonkiem. Lecz zarazem to, że jest piękny, stanowiło część jego świadomości o sobie samym: raczej niskiego wzrostu niż wysoki, lecz zbudowany kształtnie, bez jednej plamki na delikatnym, jędrnym ciele, z jasną cerą, jasnymi włosami i oczami jak wszyscy członkowie rodu, z którego pochodził.

Niewątpliwie było pewnego rodzaju upokorzeniem przeświadczenie, że teraz się to skończyło, lecz przyjął je z pokorą, jak wyrok: oto jest stary. Niewiele lat brakowało mu do pięćdziesiątki, musiał ugiąć się i poddać temu.

I tak pewnego pięknego, wiosennego dnia powrócił na Hestviken, do zielonych łąk i gajów stojących w krasie młodych liści. Domostwa ocalały, lecz ziały pustką. Szwedzi porąbali i splądrowali, co się tylko dało. W oborze stała krowa i jałówka, które pani Maerta kupiła u Torhildy córki Björna, kiedy wzięła dzieci i dziewczkę z powrotem do domu.

Maerta córka Birgera okazała ten sam spokój ducha co zawsze i Olaf był tak samo spokojny jak ona; wieczorem siedzieli razem w izbie i gwarzyli. Olaf mówił bardzo mało, wciąż jeszcze sprawiało mu to trudność. Cieszył się, że dzieci są już w domu – Torhilda córka Björna była jedynym człowiekiem, któremu nie chciał się pokazać teraz, po zeszczeniu.

CZĘŚĆ SZÓSTA  
ZIMA

Pewnego wieczoru późną jesienią zeszedł Olaf syn Auduna na wybrzeże, do swych szop; chciał zobaczyć, czy wszystko zostało przywiązane i pozamykane. Za dnia dął silny wicher i woda była wysoka, a teraz, pod wieczór, wiatr jeszcze się wzmógł. Stanąwszy na grobli Olaf dostrzegł mały żaglowiec, który przybił tu widać dla osłony przed wiatrem. Jeden tylko człowiek znajdował się w łodzi i Olaf podszedł, aby popatrzeć, czy obcemu nie trzeba pomocy.

– Zaiste, mam szczęście – powiedział przybysz, strząsając z siebie wodę. Olaf wziął od niego tymczasem broń i wytarł ją z grubsza. – Chciałem jak najrychlej pomówić z tobą.

Mówił tak, jak gdyby byli starymi znajomymi, i Olaf miał wrażenie, że kiedyś już dawniej widział tego młodego chłopaka, nie poznawał jednak twarzy obcego. Była ładna, o kształtnych rysach i wąskich, delikatnych ustach, szpeciła ją nieco lekka wyłupiastość jasnoniebieskich oczu, ale mimo to chłopak wyglądał dobrze. Włosy przylepiły mu się do czoła pod płóciennym woskowanym kapeluszem, z którego spływała woda, widać było jednak, że mają odcień rudawy. Obcy był słusznej postawy, dobrze zbudowany.

Olaf zabrał młodego człowieka do jednej z szop i zapytał, z czym przybywa.

– Tak, muszę ci powiedzieć całą prawdę, Olafie. Zdarzyło mi się zabić człowieka i sprawa nie została jeszcze załatwiona; może się to długo przewlec. Nie znalazłem więc lepszego wyjścia, jak przyjechać do ciebie. Wiem, że jesteś mężem, który nie będzie się wzdragał przed ukryciem mnie, dopóki moi krewni będą się układać.

Olaf milczał. W ostatnich latach, odkąd zamieszki w kraju przycichły i

król Haakon surowiej przestrzegał prawa, trzeba było wiele śmiałości, by dać u siebie schronienie człowiekowi wyjętemu spod prawa. A jednak nie mógł odsyłać młodzieńca – fiord kipiał białymi bryzgami i noc zapadała.

– Gdzie to się stało? – zapytał. – I kim był człowiek, którego zabiłeś?

– Stało się to u mnie w domu, a zabitym był Hallvard Bratte, siostrzeniec wójta.

– W domu? A gdzie to jest? – spytał Olaf z lekka zniecierpliwiony.

– Widzę, że mnie nie poznajesz – odparł chłopak nieco urażony.

– Chociaż wiernie towarzyszyłem ci w boju koło kościoła w Skeidis i potem na moście na Fryzji.

– Owszem, owszem, teraz przypominam sobie, gdzie cię widziałem. Ty jesteś Aslak, syn Gunnara z Ytre Dal. Zmężniałeś bardzo od tego czasu. Minęły już prawie cztery lata.

Aslak opowiadał dalej swoją historię. Jego ojciec zabrał latem na hale kilka krów pani Sygne, siostry Hallvarda Bratte, i dwie z nich rozszarpały niedźwiedzie. Kiedy ludzie z Ytre Dal wrócili z bydłem do Hamaru, pani Sygne rozgniewała się, i tak od słowa do słowa przyszło do kłótni. Obecny przy tym Hallvard, jej brat, wyraził się w końcu obelżywie o Gunnarze z Ytre Dal, czego Aslak nie mógł puścić płazem. Po zabójstwie udało mu się zbiec. Pojechał na południe i najpierw szukał przytułku w klasztorze białych braci w Tunsberg. Przybywszy tam jednak dowiedział się, że jego krewny, przeor Sigurd, zmarł niedawno, wnet też wyczuł, że mnisi niechętnie przyjmują go u siebie; w swoim klasztorze w Tunsberg, musieli bowiem zrzec się prawa azylu, które obowiązywało nadal w klasztorze w Mariaskog. Opat oświadczył wprawdzie, że Aslak może udać się do Mariaskog, jednak wielu już wrogów króla Haakona znalazło tam schronienie, i Aslak zauważył, że zakonnicy są zaniepokojeni, ponieważ król wyraził się nieprzychylnie o tym klasztorze mającym prawo azylu. Aslak stracił ochotę do zamieszkania tam.



– I wówczas ty, Olafie, przyszedłeś mi na myśl. Wiem, że jesteś mężem bez trwogi, przyzwyczajonym robić to, co chcesz. I sam tułałeś się w młodości, wyjęty spod prawa. Pomyślałem więc, że nie odmówisz mi pomocy.

Gotowość Olafa do ukrycia zabójcy nie wzrosła pod wpływem tego, co usłyszał; chłopak pochodził z Oplandii i wiedział snadź więcej o młodości Olafa, niż ten by sobie życzył. Ile wiedział, trudno było na razie zmiarkować. Olaf wierzył, że ludzie na północy zapomnieli już dawno o nim i jego sprawach; od tylu lat nie pokazywał się w tamtych stronach. Eirik bawił tam przed dwoma laty przez jakiś czas i był gościem Steinfinna syna Haakona na Berg; Olaf nie ucieszył się tą wiadomością, wcale się też nie martwił usłyszawszy, że cioteczni bracia poróżnili się w parę miesięcy potem i że Eirik niedługo przebywał na północy. Mimo wszystko jednak nie mógł odmówić Aslakowi schronienia.

Powiedział więc, aby poszedł z nim na górę, do dworu; przyda mu się gorąca strawa i sucha odzież.

Szczęście, rozmyślał idąc pod górę i niosąc część podróznego dobytku Aslaka, że we dworze nie ma nikogo, kto by usiłował odkryć, kim jest gość. Od śmierci pani Maerty, która zmarła wiosną, Bothilda córka Asgera i Cecylia zarządzały domem, a dwie młode dziewczyny były tak dobrze wychowane, że nigdy nie pytane i bez potrzeby nie zwracały się do ojca.

Aslak syn Gunnara pozostał w Hestviken przez dłuższy czas. Nie było wprawdzie zamiarem Olafa, aby młodzian tak długo gościł tutaj, lecz nie potrafił przemóc się, by o tym napomknąć; tak więc gdy wiosna przyszła, Aslak wciąż jeszcze siedział we dworze i zachowywał się zupełnie tak,

jakby należał do domowników. Wołano go Jon syn Torego – Olaf wyszukał mu to imię; nikt nie mógł więc odgadnąć, kim Aslak jest naprawdę.

Zresztą Olaf gotów był przyznać, że Aslak albo Jon jest najmilszym domownikiem i potrafi być użyteczny. Był silny, pracowity i niezwykle zręczny, doskonały kowal i równie biegły snycerz, a przy tym zawsze wynajdywał sobie robotę. Sam Olaf był zawsze tylko miernym rzemieślnikiem; umiał wprawdzie zrobić wszystko, co należało wykonać we dworze, jednak nie te rzeczy, które wymagają szczególnej zręczności lub wyrobionego oka i zwinnych palców. A odkąd zabrakło Bodvara, który poległ w bitwie o most na Fryzji, nie miał Olaf nikogo obeznanego z taką robotą. Poza tym Aslak był zawsze wesół i w pogodnym humorze; miał miły, dźwięczny głos, przede wszystkim zaś umiał gwizdać tak miło i melodyjnie, że słuchanie go było prawdziwą radością, pogwizdywał też niemal zawsze podczas pracy. Umiał także trochę czytać, tak że Olaf pokazał mu pewne listy i dokumenty dotyczące jego włości i praw. Były tam różne rzeczy, których Olaf nie pamiętał już dokładnie.

Aslak był spokojnego usposobienia; nie zmącił w niczym cichego toku życia, jaki panował w Hestviken.

Spokojnie płynęło życie we dworze. Ludzie mówili niewiele i wszyscy z biegiem czasu nauczyli się ściszać głos. Małomówność pana tłumiała gadatliwość służby, która żyła z nim od tak dawna – prawie wciąż byli to ci sami ludzie. A przecież jakiś świeży powiew odnowił życie nad zatoką, odkąd umilkł ostry głos pani Maerty i zamknęły się jej bystre oczy. Dwie młode przybrane siostry, które dzieliły między siebie obecnie obowiązki gospodyń, były najbardziej obyczajnymi i dwornymi dziewczętami, jakie można sobie wyobrazić, równocześnie jednak dzięki swej młodości roztaczały dokoła promiennosc i wesele, tak były urodziwe i przez wszystkich lubiane.

Bothilda córka Asgera miała osiemnasty rok, była dzielna i zaradna

ponad swój wiek, ale wątłego zdrowia, w domu życzliwa wobec wszystkich, natomiast jeszcze wciąż nieśmiała i płochliwa w towarzystwie obcych.

Za to jeśli chodzi o Cecylię córkę Olafa, nikomu nie przyszłoby na myśl, że to nieśmiałość lub lęk czynią ją powściągliwą przy ludziach; patrzyła każdemu śmiało w twarz swymi jasnoszarymi, przejrzystymi i chłodnymi oczyma. Córka Olafa była równie milcząca jak ojciec i – jak on w młodości – jasna. Lśniące, koloru lnu włosy pieniały się miękką falą dokoła głowy dziewczęcia, gdy nosiła je rozpuszczone w święta; jej biała, jak orzechowe jądro, cera robiła wrażenie tak jędrnej i zwartej, że ani słońce, ani wiatr nie szkodziły jej, a pełne, młode usta były czerwone jak płatki polnej róży. Jak na piętnastoletnią dziewczynę była trochę niska i krępa, ale okrągła i kształtna; jej drobne ręce umiały podołać każdej robocie, a małe, zgrabne nogi stąpały pewnie. Rzadko zdarzało się, aby Cecylia się uśmiechnęła, a jeszcze rzadziej, aby się śmiała. Ale nigdy także nikt nie widział jej płaczącej. Była życzliwa dla czeladzi, dobra i szczodra dla biedaków i chorych, lecz w obejściu nieco szorstka i prędką.

Przybrane siostry żyły w przyjaźni, łączyła je głęboka miłość.

Między ludźmi dziewczęta z Hestviken zjawiały się tylko na dorocznych biesiadach, na które, zapraszał Olaf, natomiast nigdy nie widywano ich podczas innych zebrań, na których spotykała się młodzież. Do kościoła przyjeżdżały w każde święto, o ile nie było złej pogody. I wtedy były tak ślicznie odziane i przystrojone, że żadna kobieta nie miała lepszych szat ani bardziej ozdobnych pasów i klamer od Olafowych dziewczeczek, jak je obie zwano. Jechały po prawej i lewej stronie ojca,

na dobrych, pięknych wierzchowcach o starannie strzyżonych grzywach.

Ilekoć Olaf przechodził przez kościół ze swymi córkami, serce jego rozpieła milcząca, serdeczna radość. Barwne płaszcze z kupnej tkaniny wlokły się za nimi, spod cienkich welonów, które narzucały na głowy wchodząc do kościoła, przeglądały rozpuszczone włosy – gładkie miedziane włosy Bothildy i srebrne wijące się kędziory Cecylii. Podczas mszy nie spoglądał wcale ku niewieściej stronie, a jednak wszystkie jego myśli krążyły dokoła stojących tam córek.

Nigdy nie myślał teraz o sobie i swych własnych sprawach. Był już starym człowiekiem i los jego był przesądzony. Ale właśnie dlatego zdawało mu się, jak gdyby wszystko, co uczynił i czego pragnął, zanim nastanie zmierzch jego żywota, miało jeden jedyny cel – czuwanie nad tymi dwiema młodymi istotami. Nie zastanawiał się wiele nad tym, jak ułoży się ich przyszłość – jakoś ułoży się w najlepszy sposób. Z czasem wyda je pewnie za mąż, a szczególnie musiałyby to być człowiek, który by nie niósł w wyciągniętych ramionach takich skarbów przez życie, o ile oczywiście przypadnie mu to szczęście w udziale. Ale do tego czasu dużo wody upłynie, bo obie były jeszcze młodziutkie.

Eirik... Miał wrażenie, jak gdyby postać chłopca odpłynęła w nierzeczywistość; rzadko myślał o nim. Od owego dnia w Oslo nie widział go więcej. A wówczas, kiedy Eirik raz jeden zawitał do Hestviken, Olafa nie było w domu – w lecie minie cztery lata od tej pory, ojciec znajdował się wówczas z Iwarem synem Jona w Szwecji na wojennej wyprawie, w której poległ ów śmiały dowódca. I w końcu stało się dla Olafa niemal pewne, że Eirik nie będzie rządził po nim w Hestviken. Bóg zdjął z niego ten grzech: starego dworu nie obejmie w dziedzictwo fałszywy spadkobierca. Bóg sam wziął pod swą opiekę prawa Cecylii.

Tak nadszedł pewien poranek wczesnego lata. Olaf i jeden z jego ludzi zajęci byli na grobli rozwieszaniem sieci. Pogoda był? prześliczna: słoneczny blask tworzył duże białe plamy na morzu. Wzdłuż zatoki falowała jasna zieleń łąk i pól, liście olchowych zagajników zdołały już pociemnieć, podczas gdy bór świerkowy puszczał dopiero długie, świeże pędy.

Na rozprężonej od słońca skale koło grobli klęczała Cecylia, obok niej leżał stos błyszczących, drgających ryb. Stara suknia robocza rdzawego koloru połyskiwała w porannym słońcu i wyglądała zupełnie ładnie; grube, jasne warkocze dziewczyny zwisały jej przez ramię – nie były długie, lecz tak skrócone, że końce warkoczy zwijały się dokoła wplecionej w nie czerwonej wstążki. Nóż jej rzucał błyski, gdy podnosiła go i próbowała palcem ostrza.

Ranna cisza przesycona była latem i pogodą, kiedy Aslak zaczął ładować towary do łodzi. Woda pluskała i chlupotała, gdy poruszał się w łodzi i układał rzeczy, które miał zabrać – Olaf posyłał go z jakimś zleceniem na Saltviken.

– Jon! – zawołała cicho Cecylia. Mężczyzna spojrział w górę i Olaf zobaczył, jak jego młoda, zdrowa twarz rozpromieniła się cichym uśmiechem, a gdy Cecylia skinęła na niego nożem, podpłynął w jej stronę łodzią wzdłuż grobli.

Chciała, żeby jej naostrzył nóż. Podczas gdy to robił, siedziała wpatrzona w wodę z rękami założonymi beczynnie na kolanach.

Olaf spostrzegł, że nie rozmawiali ze sobą; ale gdy Aslak skończył i skoczył z powrotem do łodzi, ten sam ciepły uśmiech igrał na jego twarzy. I kiedy Cecylia wróciła do swej roboty, jak gdyby odbłask tego uśmiechu pozostał w jej jasnych rysach.

Zaczęła oprawiać i patroszyć ryby. Kiedy Aslak przejeżdżał obok skały, wypuścił na mgnienie oka wiosła i ruchem ręki pozdrowił dziewczynę.

Cecylia także podniosła lekko rękę. Potem ze słabym skrytym uśmiechem pochyliła się znów nad rybami.

Olaf stał jak przygwożdżony – widok ten przeszył go niby cios. Tutaj działo się coś, czego nie przeczuwał.

Cecylia wrzuciła oczyszczoną rybę do cebra i na chwilę wyprostowała plecy. Zwróciła jasną, wdzięczną twarz ku słońcu i tak siedziała z zamkniętymi oczami. Uśmiech, który rozlał się na jej dziecięcej, zwykle trochę zaszępionej twarzyczce, nie dał się porównać z niczym, co ojciec widział w życiu: promieniał tak słodką i tajemną radością, że Olaf nie mógł sobie przypomnieć równie wdzięcznego widoku.

Usiłował potem otrząsnąć się z tego wrażenia. Jego córka nie mogła nigdy darzyć uczuciem człowieka, który żył jak parobek na dworze jej ojca. Nie wiedziała wszak nawet, kim był naprawdę ów Jon syn Torego...

Mimo to Olaf postanowił pozbyć się jak najszybciej Aslaka. Zimą już otrzymał on list żelazny; wieść o tym doszła go za pośrednictwem mnichów z Tunsberg. Nie było więc przyczyny, aby Olaf trzymał go u siebie dłużej.

Minął jednak tydzień, a Olaf nie znalazł sposobności, by pomówić z Aslakiem. Po kryjomu śledził oboje młodych. Ale żadne oznaki nie wskazywały na to, że są z sobą bardziej zaprzyjaźnieni niż z innymi ludźmi we dworze. Tak więc pocieszał się, że pomylił się chyba owego dnia na grobli...

Potem przyszedł sobotni wieczór, kiedy Olaf z mężczyznami miał iść do łaźni – kobiety kąpały się w kadzi w kuchni i ugotowały sobie w tym celu wywar jałowcowy. Olaf i jego ludzie szli przez dziedziniec. Wtem Cecylia zawołała Aslaka z drzwi kuchni.

Olaf był zaskoczony, że córka zna prawdziwe imię gościa.

Aslak podszedł do dziewczyny, wziął od niej dwa wielkie wiadra i w przejściu musnął Olafa. W złocistych promieniach popołudniowego słońca pobiegł lekko przez murawę do źródła w dole. Był wysoki, smukły i zwinny – naprawdę urodziwy i pogodny młodzieniec. Jego faliste, rudawe włosy błyszcząły wesoło w wieczornym słońcu.

Olaf zatrzymał się. Cecylia ukazała się znowu w drzwiach kuchni. Zdjęła z siebie wierzchnią suknię i stała w spodniej, niebieskiej, która opadała w sutych fałdach na jej małe, białe stopy.

Przestępowała z nogi na nogę, bo kamienny próg był w cieniu lodowato zimny. Czekaając na wodę rozplotła swoje piękne warkocze, strząsnęła włosy i czesała je tak, że bujną falą opadały na twarz i ramiona.

Aslak nadszedł z pełnymi wiadrami. Zamienił z dziewczyną parę słów, których Olaf nie dosłyszał. I znów oblicze Cecylii powlekleła ta nowa, czarująca jasność. Aslak zaś uśmiechał się idąc przez łękę do łaźni.

W poniedziałek wieczorem Olaf poszedł do kuźni, gdzie pracował Aslak, i tak przemówił do niego:

– Chciałbyś już zapewne wracać do domu, Aslaku. Twoja sprawa została załatwiona, sądzę przeto, żeś powinien korzystać z pogody, póki się trzyma... Droga potrwa chyba ze cztery dni?

Aslak odłożył to, co trzymał w rękach, i spojrzał na starszego

mężczyznę:

– Sam już myślałem o tym, Olafie, że powinienem jak najrychlej wracać do domu. Jeśli ci to odpowiada, może pozwolisz mi odjechać przed sianokosami?

– Wiesz dobrze, że się zgodzę. Nie chcę, abys przebywał tu nadal jako mój parobek, odkąd nie ma potrzeby, abym cię ukrywał.

– Nie, nie – odparł Aslak – ale taki znów nie jestem. Chyba rozumiesz, że zostanę tu dopóty, dopóki będziesz mnie potrzebował.

Olaf potrząsnął głową. Aslak odłożył na bok kilka naostrzonych kos. Zdawał się czymś do żywego poruszony. Potem odwrócił się całkiem do Olafa. Wyglądał poważnie – był doprawdy dorodnym młodzieńcem; z jego grubo ciosanej, czerstwej twarzy biła szczerłość i prawie wcale nie raziły w niej lekko wypukłe oczy.

– Jeśli tu powrócę, Olafie, gdy tylko mój ojciec lub najstarszy brat będą gotowi, by mi towarzyszyć na południe, domyślasz się chyba, o czym moi krewni będą wtedy mówić z tobą?

Olaf nie odpowiedział. Aslak znów zaczął:

– Czy rozumiesz, w jakiej sprawie przybylibyśmy wówczas do ciebie? Jak byś nas przyjął i jakiej odpowiedzi może oczekiwać mój ojciec?

– O ile masz na myśli to, co przypuszczam – odrzekł Olaf bardzo cicho i niewyraźnie – to wolę ci od razu powiedzieć, abys nie trudził swych krewnych tak daleką jazdą.

Aslak wzdrygnął się lekko.

– Czy możesz mówić z taką stanowczością, Olafie, zanim usłyszysz, jakie warunki możemy przedłożyć? To prawda, mógłbyś znaleźć bogatszego zięcia, ale możesz również trafić i na biedniejszego. A najbogatsi ludzie rzadko tylko są zacnego rodu albo najbardziej wartościowi, w dzisiejszych zwłaszcza czasach, chyba że poszukasz ich między wielmożami lub rycerzami, z którymi przecie nie stykasz się



wcale, odkąd osiadłeś na Hestviken. Co do mnie, pochodzę w najdalszych odgałęzieniach z tak dobrych i starych rodów, że pod tym względem dorównuję twej córce i niewielu jest ludzi w Heidemark, którzy by się cieszyli taką powagą, jak mój ojciec.

Olaf wzruszył lekko ramionami. Nie mógł od razu znaleźć odpowiedzi. Sam nie zdawał sobie jasno sprawy, dlaczego za żadną cenę nie chce wydać Cecylii za człowieka z Oplandii.

– Poza tym – ciągnął Aslak – wydanie dziecka bogato za mąż może mieć oczywiście strony dodatnie, lecz nie na wiele się to przyda, jeżeli dostaniesz zięcia, który nie umie gospodarzyć i pomnażać dobytku. To zaś mogę ci śmiało obiecać: w moich rękach nie roztrwoni się nic z twoich dóbr, jeśli tylko Bóg uzyczy mi zdrowia i oszczędzi nam wielkich nieszczęść. Jestem tutaj już przeszło pół roku, znasz mnie więc.

– Muszę przyznać, że lubię cię, Aslaku. To jednak jeszcze nie powód, by oddać jedyną córkę pierwszemu mężczyźnie, który się o nią stara. Niewiele więcej wiem o tobie, jak to, że posiadasz liczne rodzeństwo, i sam nieraz wspominałeś, że Gunnarowi życie nie układa się lekko. Poza tym słyszałem jedynie dobre rzeczy o waszym rodzie. Do tego tak się składa, że chociaż jesteś jeszcze młody, zabiłeś już człowieka i przybyłeś na mój dwór jako wyjęty spod prawa – Olaf czuł szczególną ulgę przy każdym argumentie, który mógł uzasadnić odmowę. – Wydaje mi się również, żeś jeszcze za młody, by myśleć o ożenku, nie zapytawszy wprzód krewniaków o radę.

– Za mój czyn odpokutowałem i uiściłem grzywnę – odparł Aslak – a że w tak młodym wieku zostałem zabójcą, to raczej powód do przypuszczeń, że nauczyłem się dzięki temu panować nad sobą, by nie uwikłać się po raz wtóry w podobne przykrości... chyba że zostałbym mocno dotknięty. Ale właściwie to ty ostatni powinienesz mi zarzucać coś podobnego, Olafie synu Auduna. Ty nie powinienesz uważać, że jestem zbyt młody na zaloty.

Mam pełnych dziewiętnaście lat. Ty zaś miałeś piętnaście czy szesnaście, jak słyszałem, kiedyś wziął przemocą kobietę i zabiłeś jej krewnego, ponieważ wzbraniał ci jej posiadania...

– Te dwie sprawy nie są do siebie podobne, Aslaku! – Olafowi udało się mówić całkiem spokojnie. – Dziewczyna, która wziąłem, była mi przeznaczona, ja byłem jej narzeczonym: to był układ prawnie zawarty między jej i moim ojcem jeszcze w czasie, kiedy oboje byliśmy nieletnimi dziećmi; potem zaś jej krewni chcieli obalić umowę i oszukać sieroty. Twojej czci to nie uwłacza, ani też nikt nie odbiera ci twoich praw, jeśli nie dostaniesz pierwszej dziewczyny, którą sobie upatrzyleś, podczas gdy twoi krewni nie przypuszczają nawet, co ci chodzi po głowie. Nie, nie – zapalał się Olaf – nie chcę, aby twój ojciec kiedyś powiedział, że cię tu przyjął, wyjętego spod prawa i bez przyjaciół, i że potem układał się z młodym, niepełnoletnim chłopcem o małżeństwo mojej córki, nie wiedząc, czy jego krewni są skłonni spowinowacić się ze mną.

– Wiesz dobrze sam – odrzekł chłodno Aslak – że mało prawdopodobne jest, by mój ojciec miał coś przeciw temu, abym dostał za żonę córkę Olafa syna Auduna na Hestviken. Nie wiem, o czym myślisz? Może o tych pogłoskach, które swego czasu krążyły o tobie, kiedy chodziło o twoje małżeństwo z Inguną córką Steinfinna? Cd tego czasu tyle jednak wody upłynęło, że nikt nie troszczy się o to, coś uczynił za młodu. Od tej pory żyłeś przeszło dwadzieścia lat spokojnie i zyskałeś imię zacnego i godnego męża, tak podczas pokoju, jak i wojny.

Olaf czuł, że serce wali mu mocno. Lecz przerwał tamtemu zimno:

– To wszystko pięknie, Aslaku, lecz zbyteczne jest dalsze gadanie o tej sprawie. Mam co do Cecylii inne zamierzenia...

– Ona nic o tym nie wie! – zachnął się Aslak porywczo.

– Czyżby sprawa miała się tak – Olaf poczuł ulgę, że może wreszcie wybuchnąć słusznym gniewem – żeś mieszkał tutaj, na moim dworze, i

poza moimi plecami bałamucilesz mi córkę?

– Sam w to nie wierzysz, Olafie. Nie zamieniłem z Cecylią jednego słowa, które by mogło wzbudzić twoje zastrzeżenia. Lecz widziała, że ją miłuję, a ja widziałem, że ona mnie polubiła; na to żadne z nas nie może poradzić, to nie da się ukryć. Gdybyś zechciał wysłuchać nas oboje, Olafie, to Cecylia na pewno bez sprzeciwu dałaby swoje przyzwolenie, tyle zrozumiąłem.

Olaf odpowiedział:

– Nie będzie też dla was zbyt wielkim smutkiem, jeśli nie przyjmę tych konkurów. Dziewczyna jest jeszcze dzieckiem, a i ty nie jesteś bardzo leciwy.

– Naprawdę tak mówisz, Olafie? Ty sam i jej matka wytrwaliście wiernie przy sobie dłużej niż dziesięć lat i nie pozwoliliście, aby jej krewni rozłączyli waszą miłość. Słyszałem, jak u nas w domu wymieniano was jako przykład wiernej miłości.

Olaf milczał chwilę. Słowa młodzieńca wtargnęły w jego duszę i poruszyły ją osobliwie; czuł zarazem z coraz większą stanowczością, że nigdy nie odda Cecylii człowiekowi z Oplandii. Odpowiedział więc cicho i niepewnie:

– To było co innego, Aslaku. Ja miałem do niej prawo! I wyrosliśmy razem jak dwa grona na jednej gałęzi. Miłowaliśmy się po bratersku od dziecięcych lat. Cecylia i ty znacie się dopiero od tej zimy i nic nie zostało omówione... Nie będziecie się więc bardzo martwić, jeśli teraz się rozstaniecie.

Aslak zaczerwienił się mocno. Stał chwilę z pochyloną głową, z rękami na piersiach, palce jego skubały kłamię przy kaftanie.

– Za twoją córkę ja odpowiedzieć nie mogę – odparł krótko. – Co do mnie... – Wzruszył ramionami, po czym odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Już nazajutrz był gotów do drogi. Zachował się dwornie, w

wyszukanych słowach podziękował Olafowi za okazaną mu pomoc i przyjaźń i pożegnał się z nim. Obchodził izbę i podawał rękę wszystkim domownikom. Ukradkiem, z napięciem przyglądał się Olaf dwojgu młodym, gdy się żegnali. Ale trzymali się dzielnie i nie patrzyli na siebie, choć ręce ich opadły dziwnie bezsilnie po złączeniu, poza tym jednak nikt nieświadomy rzeczy nie mógłby nic dostrzec.

Po czym Aslak syn Gunnara odjechał z Hestviken.

Olaf śledził po cichu córkę, lecz Cecylia była taka sama jak zawsze i ojciec starał się sobie wmówić, że nie martwi się o Aslaka, w każdym razie nie bardzo. Miała wszak dopiero piętnaście lat...

Piętnaście lat miała także Inguna. Ale tamto było czymś zupełnie innym.

Nie było czego żałować. Najmłodszy syn z Ytre Dal... Cecylia córka Olafa na Hestviken mogła śmiało oczekiwać innego małżeństwa. Zrozumiałe, że polubiła Aslaka; niewielu młodzieńców widywała, a chłopak miał doprawdy obojętne wielce ujmujące. Zapomni o nim, gdy zetknie się z innymi.

W duszy Olafa ożyło nowe, bolesne pomieszanie przeciwstawnych sobie uczuć... Że jeszcze wciąż istnieli na północy ludzie, co pamiętali i mówili o miłości jego i Inguny, co podawali ich za przykład... I pogłoski – nie wiedział, jakie pogłoski miał Aslak na myśli. Olaf był pewien, że tam, na północy zapomniano już o nich całkowicie. Tutaj prócz niego nie było nikogo, kto by pamiętał Ingunę, jego zaś pamięć o żonie nie była tego rodzaju, aby często o niej myślał. W świadomości jego pozostało tylko to, co było ongi i co zaważyło na jego losie: grzech i troski, i hańba,

a ponad tym wszystkim wspomnienie słodkiej rozkoszy, która wzbijała się i zalewała całe jego jestestwo jak woda przebijająca lód, gdy przełamany został kamienny spokój jego ducha. Tam, na północy żyło to wszystko pośród ludzi jako prawdziwa opowieść – prawo czy też bezprawie. Za nic w świecie nie chciał ponownie obcować z ludźmi, którzy może poza jego plecami mówili o przygodach jego młodości.

I miałyby to uczynić tylko z powodu uczucia młodej dzierlatki, które na pewno za rok przeminie, jeśli nie będzie się go podsycalo? Dla dziecinady dwojga smarkaczy miałyby iść powtórnie przez ogień czyścicowy? Przenigdy!

W miesiąc potem Eirik syn Olafa powrócił na Hestviken.

Posłał naprzód wiadomość, że przywiezie z sobą przyjaciela, Jörunda syna Kolbeina z Gunnarsby, i prosił ojca, by życzliwie przyjął gościa.

Upał w dolinie przesycony był wonią siana i kwitnących lip, gdy Eirik jechał wzdłuż rzeki w Hestviken. W Rundmyr siano stało jeszcze w kopicach na małych półkach, pociemniałe już i nieco nadgniłe; dokoła ubogiej zagrody ciągnął się cichy, głęboki bór i pił światło słoneczne. Posłyszawszy tętent koni Anki wyszedł z chaty i osłonił oczy dłonią. Dojrawszy, kto przyjechał, puścił się kłusem, z wyciągniętą szyją i przygarbionymi plecami, machając długimi rękami. Za nim podążała czereda pólnagich, bosych dzieciaków, a na końcu dreptała Liv z najmłodszym dzieckiem na rękę i już następnym w łonie. Twarz jej postarzała się, tak że Liv z tą swoją cofniętą brodą podobna była do kury, co utraciła wszystkie piórka na szyi.

Eirik nie zsiadł z konia, chciał, aby go mogli należycie obejrzeć. Ale skoro wymienili pierwsze powitania, musiał zsiąść; Anki oglądał i klepał ze wszystkich stron jego wierzchowca, Liv podziwiała głośno Eirika i jego towarzysza. Musiał wejść z nimi do chaty.

Nawet kwaskowaty, stęchły zaduch izby wydał mu się miły i swojski. Okrągła lepianka bez przepierzeń, ze spiczastym jak w namiocie dachem, podzielona była przez dwie ziemne ławy z przejściem pomiędzy nimi. Przejście to było mokre niczym rów ze stojącym i cuchnącym mułem, toteż na ławie musiało się siedzieć z podciągniętymi nogami. Z tyłu w ciemności wały się rozmaite statki i graty. Chata ta przypominała Eirikowi wszystko, co było ongiś niezwykle i zakazane: tutaj wylegiwał się i łowił chciwie pogwarki obcych łązęgów o życiu – sączyło się ono

mrocznym łożyskiem niby woda na dnie tego rowu – latem w chruśniakach i pod skałami, zimą na wielkich dworach – poza wytyczonym przez prawo i jasnym jak słońce istnieniem gminy chłopskiej; słyszał o życiu chłopów, mieszczan i księży, tak jak ono było widziane z żebraczej ławy. Tutaj dowiadywał się o przemycie zakazanych przez króla towarów, o rabunkach i tajemnych sztuczках, o nieobyčajnym poźyciu mężów i niewiast, którzy czas jakiś żyli z sobą, a potem się rozchodzili, o uroczystościach w dniu świętego Olafa, o mszach ślubnych w kościele i o najczystszym pogaństwie, świętych drzewach i głazach. Tutaj wygrał w kości nabijany srebrem nóż, który potem komuś podarował, nie śmiało go bowiem zachować. A tam, w kąciку znaleziono pewnego razu martwe dziecko – matka zadusiła je nocą we śnie i sama wyniosła się. Liv usunęła po cichu zwłoki. Eirik błąkał się wtedy niemal chory z napięcia – czy też ojciec dowie się, że podobna rzecz wydarzyła się w domu należąćym do Hestviken? Ohydna była ta myśl, lecz zarazem sprawiała mu przyjemność; był to jakby odwet i zadośćuczynienie za ciągłe porażki wobec ojca – niechby ojciec wiedział, co tu, w Rundmyr on widzi i czego się nasłucha! Chociaż ojciec nie domyślał się nawet, że syn w ten sposób mu się przeciwstawia. Nawet gdy po raz pierwszy zgrzeszył z kobietą, stało się to prawie wyłącznie po to, aby się zemścić na ojcu. Był wprost chory ze wstydu i strachu, kiedy po nocy musiał wśliznąć się do domu i wykraść ze spichrza szynkę, którą jej obiecał – i sam nie wiedział, co jest silniejsze: skrucza czy też zuchwała uciecha, że odważył się na coś, z powodu czego ojciec nie posiadałby się z gniewu.

Eirik wyłowił parę much ze starego kubka i wypił mleko – miało posmak cierpki i gorzkawy, ale był to ów dobrze znany smak mleka w chacie Liv. Owszem, wiedzie się im nie najgorzej, odkąd Cecylia i Bothilda rządzą domem – nie, Olaf sam nie wtrąca się do niczego. Nie mówił nic pani Maercie, która była kutwą, i nie zabrania córkom być

hojnymi. Ich gadanie przeplatało się z wszelkimi nowinkami o wypadkach śmierci i narodzin, o biesiadach w gminie, o Hestviken i spustoszeniach wyrządzonych przez Szwedów – o ile miały związek z ich życiem.

Eirik ledwie słuchał. Siedział nieco senny i pozwalał wspomnieniom płynąć swobodnie, pytając przy tym siebie samego w duchu, jak się teraz sprawy ułożą. Tak długo włączył się już po świecie, że czuł się stary i zahartowany. Przed drzwiami słońce kładło świetlistą po złotą na kamieniach i omszałych wzgórzach, w dole błyszcząły bajorka pośród łąk, za nimi wznosiła się ciemna ściana świerkowego lasu. To była jego ziemia i jego las, ta chata należała do niego i ci ludzie także; serce jego wezbrało nagle ciepłem i serdecznością, mimo ich nędzy i ułomności ciał i dusz. Będzie dla nich zawsze dobry i życzliwy, albowiem okazali mu wierność, kiedy był dzieckiem.

Jörund Rypa zawołał na niego z zewnątrz; leżał na łące, nie chciał wejść do dusznej nory. Anki, Liv i cała chmara dzieciaków następowali Eirikowi na pięty, gdy opuszczał chatę.

Potok, którego woda poruszała młyn, sączył się nikłą, cienką strugą między kamieniami. Eirik przypominał sobie jeden zakręt po drugim i odnajdywał miejsca, gdzie łowił zazwyczaj pstrągi. Zielone, wielkie muchy, rozblaskujące tu i ówdzie pod kopułą liści, były takie same jak wówczas i takie same kępki bieldrganu i dzwonek kołysały się w miejscach, gdzie rosły zawsze. Mijał jedną łąkę za drugą; na kilku siano stało jeszcze w stogach. Zewsząd płynęła oszołamiająca woń. Skłony i kamieniste zbocza pokryte były lipami, które czepiały się ścian skalnych żlebów; miodne, żółtawe okiście kwiecica przezierały spod ciemnego



sklepienia liści. W miejscach, gdzie pas iglastego boru podchodził pod sam bród, ziemia zarośnięta była zimoziołem obsypanym różowymi dzwoneczkami.

O, tutaj, przy tej małej, pochylonej skałce zbierał na piaszczystym stoku swoje krzemienie – ojciec zwał je lapońskimi grotami. Eirik przejechał bród w pobliżu ujścia, wydostał się z gęstwiny i nagle rozpostarła się przed nim stara połyskująca w słońcu zatoka. Po jednej stronie wznosiła się ściana Byka, na wymytej, rudawej skale migotał odbłask wody jak lśniąca sieć; po południowej stronie grunt wznosił się, skoszone łąki i falujące, płowe pola leżały pod stromą, gładką, czarną ścianą Rumaka; wydawało się, że na tle błękitnego wiosennego powietrza dachy zabudowań dworskich spoczywają na kolanach góry pod Rumakiem. Dym z dachów wirował w kłębach, fiord szklął się granatową taflą w przedwieczornym powiewie. Każdy kamyk na ścieżce i każde źdźbło na polu należało do Eirika. Miłował je.

Tam, na dole, nieco z dala od innych budynków, stała łaźnia, a ponad nią wznosiła się wielka stodoła. Jechał obok małą stromizną, którą tak trudno było pokonać z naładowanymi saniami, gdy śnieg tajał. I już podkowy zadzwoniły na skalistym gruncie dziedzińca.

Z drzwi izby mieszkalnej wyszedł ojciec, za nim ukazała się siostra. Ojciec był odświętnie ubrany, w długim, sięgającym po kostki zielonym kaftanie, spiętym srebrnym pasem. Wyprostowany, z godnością kroczył synowi naprzeciw. Zgolił starannie brodę, a jego piękne, świeżo uczesane włosy otaczały czworokątne, szare jak gład oblicze o niebieskich, przekrwionych oczach. Włosy miał siwiuteńkie, tu i ówdzie tylko w miękkich, opadających puklach załśnił srebrnozłoty kosmyk. Eirik wyobrażał sobie zawsze Boga-Ojca Wszechmogącego w postaci ojca.

Był on bez wątpienia najurodziwszym i najbardziej męskim typem urody na świecie. Był nim jeszcze i teraz, chociaż posiwiiał i chociaż prawa

strona twarzy zdawała się wklęsnięta, a policzek był poryty i zmiażdżony okrutną blizną. Dwaj młodzieńcy zeskoczyli z koni. Eirik ujął podaną mu rękę ojca i ucałował ją.

Potem Olaf pozdrowił Jörunda i dwornie go powitał.

Cecylia wysunęła się naprzód. Niosła oburącz stary róg do picia i była również odświętnie ubrana; rozpuszczone włosy srebrzyły się dokoła małej, okrągłej twarzy. Zatrzymała się i powiodła niepewnym okiem od jednego do drugiego, aż ojciec dał jej znak: najpierw synowi domu powinna ofiarować trunek.

Niby najwyższa i najpełniejsza radość spłynęła w serce Eirika świadomość: to jest jego siostra! Gibka i młoda, piękna, zdrowa i niepokalana jak owe rycerskie córki, do których nigdy nie śmiał się zbliżyć. Oto tutaj, na progu własnego domu wyszła mu na spotkanie najśliczniejsza i najpromienniejsza ze wszystkich szlachetnych dziewczyn. I była jego siostrą.

– Wpierw gościowi, siostrze – rzekł radośnie i Cecylia powitała Jörunda i przepiła do niego.

W izbie na palenisku płonął ogień, płomienie migotały blado w słonecznym świetle, które wpadało przez dymnik i barwiło na niebiesko smugi dymu pod belkowym pułapem. Podłoga była grubo wysypana liśćmi i kwieciami; na łożu po stronie północnej, należącym niegdyś do Eirika, rozpostarty był na skórkach kawał nowej czerwonej i żółtej tkaniny. Stół był zastawiony wybornymi potrawami, po obu zaś stronach miejsca Olafa stały dwa nabijane srebrem szpony gryfa, z których on i Jörund mieli pić: nigdy dotąd nie wolno było Eirikowi ich używać.

Po zachodzie słońca troje młodych ludzi siedziało na skale, z której był najrozleglejszy widok. Eirik wyciągnął się w zagłębieniu porośłym wrzosami, siostra siedziała nieco wyżej, wyprostowana, a małe, krótkie ręce skrzyżowała na podołku. Z cichą, pełną zachwyty radością słuchał

Eirik jej słów; niewiele ich używała, o wszystkim mówiła roztropnie i mądrze nad wiek.

Cisza panowała wokół. Małe fale szemrały w dole, u stóp góry. Niebo było zupełnie czyste, jedynie kilka różowych obłoków płynęło na południowym zachodzie. Potężne światło fiordu i bladego stropu jaśniało na białej twarzy siostry, ilekroć zwracała ją ku górze, by popatrzeć, czy tego wieczoru widać gwiazdy.

Jörund siedział nieco opodal. I on również mówił niezwykle mało, przysłuchiwał się rozmowie rodzeństwa i wpatrywał się w Cecylię.

Nie, opowiadała Cecylia, to nie na niej, lecz na Bothildzie spoczywa Większość obowiązków gospodarskich – Bothilda jest od niej o wiele dzielniejsza. Zostawiła wszystko w takim porządku i ładzie, że jej, Cecylii, łatwo jest uporać się samej z pracą przez pewien czas. Sygne córka Arnego zabiera zawsze jedną z nich jadąc do swych zamężnych dzieci; tym razem kolej wypadła na Bothildę. Nie wróci prędko; Helga spodziewa się dziecka dopiero przed świętą Małgorzatą i Sygne zostanie do tej pory u córki.

Nie, Bothilda nie jest jeszcze z nikim zmówiona, lecz ojciec pewnie rozejrzy się wkrótce za odpowiednim dla niej mężem. Oczywiście Bothilda może się spodziewać dobrego małżeństwa; babka pozostawiła jej w spadku niemały majątek, Olaf zaś pomnożył jej wiano; poza tym jest dzielną, przemiłą dziewczyną i ładną – tak, ładną! Mało jest dziewcząt dokoła fiordu tak pięknych jak Bothilda; wszyscy to powiadają. Włosy jej są delikatne jak jedwab, a tak długie i gęste, że sama z trudnością tylko może je uczesać; Cecylia robi to zawsze, przyzwyczajone są pleść sobie nawzajem warkocze.

Eirik leżał i uśmiechał się sam do siebie, rozradowany. Cieszył się również dlatego, że Jörund ujrzał na własne oczy, jaki jest jego dom rodzinny: duże włości, dostojni ludzie i życie na sposób wielmoży – z

zachowaniem starego obyczaju. Domy były niewielkie i stare, nie było tu nic z nowych wymysłów pańskich, ale tym należało się raczej szczycić. Nowości są dobre dla ludzi z nowych rodów, dla tych, którzy z ubóstwa wznieśli się nagle w górę, ale tego tutaj, na Hestviken, nie trzeba. Olaf syn Auduna oraz jego dzieci nie potrzebują tego.

W dole na dziedzińcu dojrzał Eirik ojca wychodzącego ze stajni. Olaf przystanął i spojrział w górę, gdzie siedzieli młodzi, lecz nie zawołał na nich i poszedł do domu. Mimo to Cecylia podniosła się natychmiast:

– Ojciec uważa, że czas już, byśmy poszli do domu i położyli się spać. I ty zapewne jesteś zdrożony, bracie.

Nazajutrz rano zbudził Eirika dźwięk dzwonek i ryk bydła. Zerwał się, ubrał i wyszedł z izby.

Słońce wzeszło właśnie ponad wierchami na północnym wschodzie i oświetlało spadzistą skalną ścianę. Falowała i błyszcząca zieleń mocno wrosnięta korzeniami w szczeliny. Morze rozpościerało się w dole, spokojne i przejrzyste jak zwierciadło, a na łąkach po drugiej stronie doliny w pierwszych promieniach słońca leżał wydłużony poranny cień drzew i krzaków.

O tej chłodnej godzinie ranka promienie słońca grzały przyjemnie. Eirik wyszedł w samą porę, by zobaczyć ostatnie sztuki trzody znikające w lesie. Cecylia stała na górze przy częstokole i zamykała furtę wiklinowym skoblem, wołając coś do pastuchów. Teraz szła miedzą wśród wysokich traw, boso, a ścieżka była brudna. Ubrana była do roboty jak zwykła dziewczka, w starej niebieskiej spódnicy, którą podkasała tak, że widać było jej małe, drobne stopy posiniałe od zimna w wysokiej, pokrytej rosą

trawie.

– Już wstałeś? – rzekła na powitanie. Tak, ona wstaje zawsze bardzo wcześnie. – Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje. – Bił od niej zapach obory, białe ramiona miała uwalane od dojenia; przeguby rąk były okrągłe, jakby toczone. Dwa warkocze opadające na piersi były krótkie i grube, końce ich zwijały się dokoła wplecionych w nie sznurków.

Cecylia musiała iść na łąkę bielić płótno. Eirik usiadł przed stodołą i przyglądał się jej, jak krząta się koło płótna. Potem poszła do izby, gdzie stało mleko, i wydała zlecenie Ragnie. Eirik czekał na nią w drzwiach – była prędką i stanowczą we wszystkim, co czyniła.

Nie odstąpił jej ani na krok, siadł na progu izby niewieściej, podczas gdy myła się w kadzi i szorowała nogi. Potem przeszła obok niego do środka i zawołała, żeby obejrzał izbę.

Izba niewieścia była najobszerniejsza we dworze. Ze swymi nowymi, żółtymi od świeżości drewnianymi ścianami wyglądała o wiele ładniej od starej izby mieszkalnej, sprzęty zaś były bogato rzeźbione; żerdź nad paleniskiem zakończona była łbem dzikiego rumaka z rozszerzonymi chrapami. Wzdłuż ściany stały ramy tkackie, motowidła i skrzynie; ponad tym na drugiej żerdzi wisały złożone koce i poduszki z ław. Cecylia, która tymczasem włożyła pończochy i chodaki, zdjęła najpiękniejsze kawałki i pokazywała je Eirikowi.

Z rzeźbionej skrzyni wydobyla kamienny dzban i mały srebrny kielich, napełniła go winem i przepiła do brata.

– Ojciec darował nam ten dzban zeszłego roku. Powiedział, że może nam być potrzebny, gdybyśmy przyjmowały tu gościa. Ty jesteś pierwszym.

– Dzięki. To dobre wino.

– Ale mocne! Upiliśmy się nim pewnego wieczora ostatniej jesieni, Bothilda, ja i dziewczki. – Spojrzała na brata i roześmiała się, trochę

zmieszana, jakby nieprzyzwyczajona opowiadać obcym o swych sprawach. – Yngvilda było tej dziewczce na imię, nie ma jej już teraz u nas, to ona wpadła na pomysł, aby tańczyć tutaj. Na łące nad brzegiem morza miały się odbyć tańce i sąsiedzi chcieli nas zabrać. Przybyli tu, by się przeprawić łodziami. Był tam Gaute syn Sigurda, Jon Tasall i inni. Ale ojciec zabronił nam iść, a choć było też tamtych dwoje z Rynjul, nic to nie pomogło. Yngvilda, wściekła, gadała, że ojciec trzyma nas ostrzej niż pani Groa dzieci oddane do klasztoru na naukę. A potem namówiła nas, abyśmy odłożyły igły i nożyczki; tańcowałyśmy i piłyśmy wino, które miało być przecie dla gości.

– A co ojciec na to powiedział? – uśmiechnął się Eirik. Nie czuł nic prócz promiennej, świeżo rozbudzonej miłości dla młodziutkiej, miłej siostry. Każde jej słowo i każdy ruch wypełniały go po brzegi radością.

– Ojciec? Nic nie powiedział, możesz sobie chyba wyobrazić. Ale w dwa dni potem przyszedł tu i kazał nam przenieść się do izby mieszkalnej, a sypiać na poddaszu nad nią; jest niebezpiecznie, oświadczył, aby młode dziewczęta spały same w domu położonym tak blisko wybrzeża. Przedtem sypiałyśmy tu również. A gdy Yngvilda ośmieliła się ponownie sprzeciwić, odpowiedział, że najlepiej będzie, jeśli powróci do swego ojca, jemu przynajmniej będzie posłuszna.

– To aż taki surowy jest ojciec dla was?

Cecylia narzuciła na siebie wierzchnią szatę, czerwoną i pięknie haftowaną. Potem włożyła pas i zawiesiła na nim nożyczki, nóż, sakiewkę oraz pęk kluczy. Niepozorna, bosonoga dziewczka stojenna przedzierzgnęła się w młodą, dostojną córkę kmicę.

– Surowość jego polega na tym, że przestrzega ostro starych zwyczajów i porządków, takich, jakie dawniej bywały na świecie. Nie wolno nam otworzyć ust ani zerknąć w stronę, gdzie stoją obcy. Poza tym jednak wiesz przecie, jaki jest dla nas dobry. – Wyjęła ze swej skrzyni

wyciętą suknię bez rękawów z brązowego aksamitu, przetkaną wzorem żółtych krzyżyków i pierścieni i rozpostarła ją na łożu. Koszula z długimi rękawami, uzupełniająca ten strój, była z czerwonego jedwabiu i zapinała się na piersiach na połączone haftki.

– Takie suknie podarował Bothildzie i mnie wówczas, kiedy nie pozwolił nam jechać do Oslo na weselne gody naszych dziewczec szwedzkimi księżętami. Wydaje mi się, że czas już, abyśmy kiedyś pojechały do grodu na jarmark albo na uroczystości w wigilię świętego Hallvarda. Ale ojciec nie pozwala.

– Czy nigdy jeszcze nie byłeś w Oslo?

Cecylia potrząsnęła głową i zawinęła z powrotem odświętny strój w bajową chustkę.

– Bóg wie, kiedy nam wolno będzie ubrać się w te wspaniałości!

– Prawdopodobnie wtedy, gdy będziemy obchodzić twoje zrękowiny.

Twarz Cecylii zmieniła się nagle; dziewczyna odwróciła się i schowała suknię.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

Uroda i wdzięk siostry uderzyły Eirikowi do głowy niby mocny trunek. Doprawdy nie rozumiał, że przez te wszystkie lata nie myślał o niej wcale. Gdyby to czynił, powstrzymałby się z pewnością od różnych brzydkich rzeczy, pijackich uczt i gry, od burd, sprzedajnych dziewczek i brutalnych bitek. Teraz żałował, że tak mało pamiętał o tym, by się uchować w czystości – właściwie nigdy nad tym nie myślał, ulegał każdej pokusie i czynił wszystko, na co miał w danej chwili ochotę. I tak popadł w owo życie, które rychło stało się przyzwyczajeniem, i mówiono o

nim, że jest młodzieńcem lekkich obyczajów, takim, co to włóczy się po oberżach i gorszych jeszcze domach. Wcale nie było to bezpodstawne. Miało jednak ten skutek, że nie szanowano go bardziej od najemnego parobka, od pachółka z orszaku rycerskiego przywódcy.

Teraz dopiero poniewczasie ujrzał, że powinien był iść za radą ojca – wówczas każdy pamiętałby, że jest synem Olafa z Hestviken! Gdyby trzymał się z dala od dziewczek i szynkarek, gdyby zamiast tego kupił sobie broń i miał własnego konia... Wtedy jednak musiałyby przebywać tam, gdzie przebywali starsi i stateczniejsi mężowie; cicho i poważnie musiałyby słuchać ich rozmów. Wtedy dostałyby się również do niewieścich izb, gdzie mieszkają dworne dziewoje, i wolno by mu było towarzyszyć im na tańce i do kościoła.

Tymczasem on trzymał się z daleka od takich kobiet. Marzył wprawdzie o nich – bezbarwne, niewinne sny; ale wobec tych niewiast był nieśmiały i niezgrabny; poza tym niezbyt był skłonny do zadania sobie przymusu i zerwania ze złymi nawykami.

Niezupełnie też wierzył w to, że są tak czyste i nie skalane, jak je sobie w duchu wyobrażał. Jörund opowiadał coś innego, a był w ich komnatach tak samo mile widziany jak wszędzie indziej. Jörund opowiadał, że zachowuje się u nich swobodnie i natarczywie – obawiają się one tylko jednego, mówił pogardliwie, poza tym rade są, gdy chłopak śmiało sobie poczyna.

To była jedna, z rzeczy, których Eirik nie lubił u przyjaciela: wyrażania się w ten sposób o dziewczętach. Eirik stracił więc ochotę, by spróbować samemu szczęścia; w gruncie rzeczy nie zdawał sobie nawet sprawy, że nie chce wystawiać na próbę własnego dobrego sądu o uczciwych kobietach. Na tamto dość było innych...

Sprawa zaś wyglądała tak, że wszystkie dziewczęta poślubiłyby chętnie Jörunda – Jörund umiał zawsze przypominać ludziom, kim jest:



jednym z synów rodu na Gunnarsby, który dlatego tylko zaciągnął się do rycerskiej służby, by rozejrzeć się nieco po świecie, nim się ustakuje i osiadzie w domu. Jego obyczaje nie były lepsze niż Eirika syna Olafa, nie zwracał uwagi, z kim pije, a gdy nawinęły się kobiety lub inne rozrywki, szalał wprost – przeważnie jednak szczęście mu sprzyjało... Mimo to każdy pamiętał, że Jörund nie jest niższy urodzeniem od młodzieży ze świąty królewskiej, choć chwilowo służy panu, którego drużyna prowadziła życie bardziej rozwiązłe. Jörund zresztą nie opuścił domu w niezgodzie z krewnymi.

W głębi serca Eirik żywił bez wątpienia zamiar, by pewnego dnia porzucić to swobodne życie. Kiedyś pragnął wrócić do domu przodków, pojednać się z ojcem i zająć należne mu stanowisko dziedzica na Hestviken. I wówczas z pewnością ożeni się – rzeczą ojca będzie znalezienie stosownej dla niego narzeczonej.



Eirik objechał konno okolicę, przywitał swą krewniaczkę Unę córkę Arnego i spotkał wielu znajomych. Wieczorem opowiadał w domu, że nazajutrz mają się odbyć tańce na łące nadbrzeżnej, gdzie młodzież z południa i północy zwykła się spotykać latem.

– Cecylii wolno chyba będzie pójść z nami na zabawę, ojczy? Olaf odpowiedział:

– Nie jest w zwyczaju, aby nasze dzieci brały udział w podobnych zabawach. Nie możemy zresztą w sobotę tak późno kłaść się spać. Mamy daleką drogę do kościoła.

Eirik próbował się sprzeciwić: ludzie z wielu innych dworów mają tak samo daleko do kościoła, wypocząć zaś mogą po powrocie z mszy.

Olaf bąknął coś, co brzmiało jak odmowa, i udał, że nie dostrzega wzroku wpatrzonej w niego Cecylii.

Jörund rozumiejąc, że bezcelowe jest dalsze przekonywanie gospodarza, zaczął mówić o czym innym. Lecz nagle odezwał się Eirik:

– Ojcze, o czym to mówiła mi Una, że zimą mieszkał tu u ciebie Aslak syn Gunnara z Yttre Dal? Nazywał się pono inaczej i ukrywał się go. Lennik nie wiedział nic więcej, tylko tyle, że użyczasz schronienia wyjętemu spod prawa.

– Doprawdy, nie wiedział? – spytał Olaf ściągając usta w uśmiechu.

– Trudno powiedzieć, żeby twój ojciec trzymał tak bardzo Aslaka w ukryciu – wtrącił stary Tore ze śmiechem. – Reidulf nie lubi żadnych kłopotów. A od czasu zimy wojennej pewnie bardziej się obawia, że Olaf mógłby mu zgotować jakąś niespodziankę, niż sam ma ochotę niepokoić Olafa.

– Mimo to niemęsko było ze strony Aslaka narzucać się z podobną sprawą obcemu – oświadczył Eirik. – Ale ci rudowłosi z Yttre Dal są już tacy: hardzi pomimo ubóstwa, jeśli jednak potrzebują pomocy, przyjmują ją wszędzie, gdzie się nadarza. Jego brata spotkałem na północy; niemiły i butny to młodzian.

– W takim razie niepodobny jest do Aslaka – odezwał się jeden z parobków z zapalem – bo jego lubiliśmy wszyscy. – Olaf przerwał mu i kazał przynieść coś ze dworu, po czym zaczął rozmawiać z Torem o koniu, na którego szyi zrobiły się wrzody.

Przed udaniem się na spoczynek Olaf jeszcze raz zeszedł na dół, na grobę. Kiedy wracał z powrotem, spostrzegł Cecylię na skale. Zbliżył się

do niej.

– Chodź ze mną do izby, Cecyljo. Późna już pora.

Dziewczyna odwróciła się do niego. W białej poświacie letniej nocy ojciec zauważył, że twarz jej jest jakby wzburzona – stanowcze zazwyczaj rysy były miękkie z bezradności. Nie powiedziała jednak ani słowa, tylko poszła za ojcem posłusznie do domu.

Nazajutrz rano, kiedy córka wносиła posiłek, Olaf odezwał się:

– Wiesz przecie, że jeśli masz ochotę iść z nimi i przyjrzeć się tańcom, nie zabronię ci tego, przecież pójdziesz z bratem.

Cecylia spojrzała trochę niepewnie.

– Ale może nie masz wcale ochoty iść?

– O tak! Chciałabym chociaż raz pójść – rzekła tylko.

Sierp księżyca wąski i biały płynął w szaroróżowym przestworzu nad Huderheim, kiedy Olaf wiosłował pod ścianą Byka. Na kamiennych stokach pogórza pełzał jeszcze odbłask dziennej jasności. Olaf poruszał ostrożnie wiosłami w wieczornej ciszy. Przybił do małego załomu pod skałą, gdzie ciągnął się piaszczysty pas wybrzeża, wyciągnął łódkę z wody i powędrował lesistym wąwozem.

Nióśł łuk i strzały, skradał się cicho. Doszedłszy na wyżynę, gdzie las przerzedzał się i omszałe skały opadały w stronę Öter, zatrzymał się chwilę. Potem jednak poszedł znów dalej między sosnami, kierując się na południe. Po pewnym czasie posłyszał śpiew i poczuł woń dymu.

Wspiąwszy się na mały występ skalny ujrzał głęboko w dole ognisko. Pod nim leżała zatoka ujęta w jasny łuk piaszczystego wybrzeża, a nieco dalej w głębi, między płaskimi skałami rozpościerała się łąka ze spaloną

od skwaru murawą, na której tańczono. Dokoła wielkiego ogniska poruszał się łańcuch czarnych na tle płomieni taneczników: kroki dudniły na wyschłej ziemi, a pieśń niosła się dźwięcznie w ciszy wieczoru. Olaf nie mógł rozróżnić słów, nie znał bowiem tej piosenki, znał tylko melodię; wiedział, że to jest pieśń o Karolu Wielkim i Rolandzie. Chłopak, który przewodził śpiewowi, miał ciepły głos o pełnym brzmieniu. Olaf rozważał, czy to nie Eirik – wszak śpiewał zawsze, gdy był chłopcem. Odległość była za wielka, aby mógł rozpoznać kogoś z tańczących. W mroku poza kręgiem siedzieli niektórzy i wypoczywali. Olaf wyciągnął się na szeleszczącym mchu, jeszcze przesiąkniętym ciepłem dnia. Melodia dobiegła wyraźniej do niego, a wraz z nią rytmiczny tupot nóg:

*dum-dum dumdelideia dum-dum dumdelidei...*

Od czasu do czasu słyszał trzask ognia, głęboko w dole szumiał fiord i pluskał lekko o skały. Miesiąc schował się już dawno, letnia noc pociemniała nad leżącym. Mnóstwo gwiazd jarzyło się tej nocy – przesilenie letnie już minęło. W końcu Olaf podniósł się, wziął łuk i strzały i poszedł cicho z powrotem do domu.

Leżał na łożu w ciemnej komorze, senny i omotany pajęczą przędzą nieuchwytnych majaków, ale ilekroć bliski był zaśnięcia, budził się z nagłym wstrząsem. I za każdym razem bez przyczyny, zdawało mu się tylko, że obudziło go coś z zewnątrz. Lecz w izbie obok nie było nikogo i robiło się w niej coraz widniej – zapomniano zamknąć dymnik.

Wreszcie posłyszał ich na dziedzińcu: zegnali się z innymi, którzy jechali dalej. Potem troje młodych weszło do izby. Z komory mógł

słyszeć, jak gwarzyli i ziewali i jak mężczyźni zzuwali buty. Cecylia stała jeszcze na dole i parę razy roześmiała się cicho.

– Już ranek! – powiedziała. – Za trzy godziny musimy wyjechać z domu do kościoła. Myślę, że nie warto iść na poddasze, położę się tutaj.

Łoże trzasnęło lekko, gdy się kładła, potem trzasnęło drugie, gdzie leżeli mężczyźni. Rozmawiali jeszcze – głos Cecylii stawał się coraz senniejszy, potem przestała odpowiadać, a wkrótce jeden z mężczyzn zaczął chrapać.

Po jakimś czasie Olaf wstał. Chciał iść do izby zamknąć dymnik. W łożu stojącym po północnej stronie dojrzał głowy młodzieńców. Owinęli się po szyje kocami.

Cecylia leżała w drugim łożu zmorzona snem. Spała wyciągnięta, jej delikatna, biała jak kwiat twarz jaśniała w otoku puszystych, rozpuszczonych włosów. Olaf pomyślał, że jej matka leżała w tym samym łożu – rok za rokiem, do połowy ciała bezwładna jak trup i z wolna obumierająca.

Śpiące zaś dziewczę promieniało zdrowiem; twarz miało białą, okrągłą i świeżą jak perła. Wyglądała nieco przekornie i chmurnie, nawet teraz we śnie, a jasne, długie rzęsy rzucały cień na owal policzków. Krótki, prosty nosek oraz szeroki łuk podbródka świadczyły o uporze lub wierności. Była za młoda, aby orzec, czy zdradzały jedno, czy drugie.

Jedna jej ręka zwisała przez krawędź łóżka, jakby jej było niewygodnie. Olaf ostrożnie wziął rękę córki i położył jej na piersi. Piersi dziewczęcia, jędrne i mocne, ładnie rysowały się pod czerwoną wełną sukni, zapięcie otwierało się i widoczna była haftowana chustka pod srebrnym sznurem. W rękawach sukni robiła się już przyciasna, przegub dłoni był wysoko odkryty.

Olaf stał i spoglądał na córkę, póki nie poczuł, że marznie w porannym chłodzie, narzucił bowiem na siebie tylko płaszcz. Pochylił

się i przeżegnał Cecylię znakiem krzyża. Potem podniósł małe czerwone trzewiczki, pociemniałe z wilgoci, prawdopodobnie od wody w łodzi, i postawił je na brzegu wygasłego paleniska.

Eirik i Jörund dużo jeździli po okolicy do sąsiednich dworów i na wszystkie zebrania. Cecylia nieraz im towarzyszyła. Olaf nie sprzeciwiał się temu.

Dwaj przyjaciele byli urodziwymi młodzieńcami, w każdym zaś razie stanowili piękną parę. Wnosili z sobą śmiech i życie, toteż byli wszędzie mile widziani. A kiedy ludzie spotykali Olafa, mówili, że syn przynosi mu zaszczyt.

Eirik był wysoki, odkąd zupełnie dorósł. Miał silne, długie kończyny, był dobrze zbudowany, szczupły w biodrach i wąski w pasie, natomiast w górnej części tułowia mocny i barczysty. Chodził lekko pochylony w przód, głowę miał raczej małą, włosy oraz skórę ciemną. Twarz zrobiła się pociągła, rysy niezbyt ładne: nos zgięty, niemal garbaty, usta duże, górna szczęka mocno sklepiona, tak że duże, błyszczące zęby przypominały uzębienie końskie; długa i płaska broda była trochę nieforemna. Za to miał cudowne oczy, mówili ludzie – Eirikowe oczy były ogromne, żółtopiwe i pełne blasku. A przede wszystkim posiadał młodość – uważano go więc za dorodnego chłopca mimo niepiękných rysów.

Jörund Rypa natomiast należał do tych, których nazywa się pięknymi. Wysoki i dobrze zbudowany, włosy miał gładkie i jasne, oczy niebieskie i rumianą twarz, nos duży, trochę spiczasty i świeże usta o nieco grubych wargach. Zachowywał się spokojnie i trzymał się trochę na uboczu pośród obcych – Eirik miał dużo bardziej ujmujące obejście. Jeden zatem zdawał się urodziwy dzięki swej żywości, drugi zaś był i bez tego piękny, tak że lekka zarozumiałość i ospały sposób bycia nic mu nie szkodziły.

Właśnie ten gnuśny nieco spokój w zachowaniu się Jörunda sprawiał, że Olaf lubił go, póki przebywał z nim w jednej izbie. Ledwie jednak

tracił go z oczu, czuł zawsze głęboką i nieokreśloną niechęć do przyjaciela swego syna.

Z niewiarogodną wręcz wyrazistością przypomniał sobie coś, co ten człowiek zrobił jako dziecko – kiedy to gromada wyrostków obrzucała się śniegiem na dziedzińcu dworskim. Jörund sprzeniewierzył się wówczas przyjacielowi. Był to drobiazg, nie warto było przywiązywać do tego wydarzenia tak wielkiej wagi – dziecinny figiel w czasie dziecinnej zabawy; wtedy Olaf oburzył się, jak gdyby był świadkiem najohydniejszej zdrady i owo wrażenie pozostało – dlatego może nie umiał myśleć bez niechęci o Jörundzie.

Gdy jednak był razem z Jörundem, niechęć ta rozpływała się prawie całkowicie i sam uznawał, że niesłuszne jest obarczanie dorosłego mężczyzny dawną, dziecinną psotą. Jörund zachowywał się godnie i dobrze, miał spokojne obejście, patrzył ludziom swobodnie w oczy i nie odzywał się niepotrzebnie. Olaf widział, że nie jest sprawiedliwy podejrzewając młodzieńca o ukrytą złośliwość, w Jörundzie nie było bowiem złośliwości ani w słowach, ani w wyrazie twarzy i spojrzeniu.

Pewnego dnia Olaf posłyszał urywek rozmowy między bratem a siostrą. Był zajęty w kuźni, kiedy Eirik, odprowadzany przez Cecylię, zbliżył się do drzwi. Zatrzymali się przed kuźnią.

– ...wszystkie dziewczęta z ochotą poślubiłyby Jörunda syna Kolbeina – kończył Eirik.

– Nie będzie mu tedy trudno znaleźć odpowiedniej małżonki.

– Ale dlaczego ty nie lubisz Jörunda, siostrzo?

– Nie powiedziałam, że go nie lubię – odparła Cecylia.



– Powiedziałaś przedtem, kiedym cię o to pytał.

– Nie powiedziałałam, że nie lubię twego przyjaciela – w głosie Cecylii zadźwięczał śmiech – zaprzeczyłam tylko, kiedys mnie pytał, czy go lubię.

– Czy to nie jedno i to samo? Skoro nie mówisz, że go lubisz, to oczywiście nie lubisz go.

– Nie, to wcale nie to samo – dziewczyna roześmiała się głośno i Olaf posłyszał, że pobiegła dalej, w dół przez łąkę. Eirik otworzył szeroko drzwi i wszedł do kuźni uśmiechając się na myśl o słowach siostry.

Nowo zbudzona tkliwa miłość do siostry wypełniała serce Eirika. Było tak, jak gdyby w słonecznych promieniach tych letnich dni i pogodnym nastroju rozplynęła się cała nieszczęśliwa miłość jego dzieciństwa do ojca oraz paląca i bolesna trwoga o Hestviken; ból tych uczuć odpłynął, pozostało tylko coś dobrego, przeistoczonego w złocistą i czułą radość z powodu promiennego wdzięku i dziewczęcej przyjaźni młodszej siostry. W domu chodził za nią krok w krok, ilekroć wyjeżdżał, musiał ją mieć przy sobie, obsypywał ją podarunkami – dawał jej najpiękniejsze klejnoty i szaty, jakie posiadał i z którymi nigdy przedtem nie myślał się rozstawać.

Radował się wszystkim na swych dziedzicznych włościach – miłował coraz bardziej wszystko, co kiedys miało do niego należeć, gdyż przypominał sobie niewyraźnie dziwne myśli, jakie go nawiedzały w dzieciństwie: że utraci Hestviken. Sprawa miała się podobnie jak z tą ziemią nad zatoką, kiedy po długotrwałej niepogodzie ukazywało się słońce – nigdy łąki i dwór nie jaśniały tak pięknie jak w takiej chwili.

Tak samo niemal było z jego miłością do ojca. Wiara, że żaden

mąż na świecie nie dorównuje ojcu, była niemal podstawą całego życia Eirika. Tylko teraz nie myślał o tym nigdy. Teraz nie trapił się już, że ojciec milczy, że mimo najlepszej woli trudno by go nazwać człowiekiem pogodnym. Obecnie byli zawsze przyjaciółmi. Eirik nie zauważył wcale, że skrytość i smutek ojca przenoszą się na innych. On sam wyrósł z cienia, jaki Olaf rzucał dokoła.

Eirik przeżył się i lubował blaskiem własnej młodości. Siostra wyrosła pełna powabu i jego radość życia znalazła w niej towarzysza. Najlepszy przyjaciel był z nim razem, wszyscy troje cieszyli się więc wspólnie darami dnia codziennego.

I tak jemu samemu zaczęło się snuć po głowie to, o czym napomknął Jörund pewnego wieczora, kiedy leżeli razem nad fiordem i łowili ryby.

– Rozważałem, Eiriku, jak by to było, gdybyśmy zamienili naszą przyjaźń na pokrewieństwo? Jak sądzisz, czy Olaf odpowiedziałby przychylnie, gdybym prosił o twoją siostrę?

– Możesz sobie chyba wyobrazić – odparł Eirik z zadowoleniem – że ojciec potrafi ocenić taką prośbę, i nie znam nikogo, komu bym chętniej oddał moją ukochaną siostrę. Nigdy nie doradzałbym, by ją zmówić z człowiekiem niższego rodu niż ty. A ojciec polega na mojej radzie. – Ledwie wypowiedział te słowa, już sam w nie uwierzył.

Odtąd było dla Eirika rzeczą niemal pewną, że on i Jörund zostaną szwagrami. I mimo woli zaczął spoglądać na druha nieco innym wzrokiem.

W jego pamięci zatarło się wspomnienie, że chociaż od najmłodszych lat lubił Jörunda Rype, to jednak nigdy nie miłował go w pełni, nigdy nie dowierzał mu na tyle, aby się nie mieć na bacności. Nigdy nie polegał na nim całkowicie. Chwiejny pod każdym względem, czuł się Eirik pociągnięty przez tamtego, tak niezachwianie pewnego siebie. Lecz przez cały czas wiedział, że Jörund dlatego jest tak pewny, gdyż posiada niezłomną wolę osłaniania siebie, bez względu na to, ile to będzie innych

kosztowało. Jörund Rypa bez chwili wahania i bez mrugnięcia okiem opuściłby w potrzebie druha dla własnej korzyści. Jörund nie lękał się niczego – również i tego, jak ludzie go osądzą.

Otóż właśnie to; że Jörund sam sobie wystarczał, urzekło Eirika w dzieciństwie. I kiedy Jörund zjawił się w drużynie Ragnvalda syna Torvalda, Eirik od razu przystał do niego i uważał, że ma prawo zwać się jego najlepszym przyjacielem z lat chłopięcych.

W orszaku rycerza nie było dotąd nikogo, z kim by się serdeczniej zaprzyjaźnił, chociaż zadawał sobie sporo trudu, by przypodobać się towarzyszom, i lubiano go; był zwinny i usłużny, śmiały w wielu wypadkach, choć kiedy indziej znowu tracił nieoczekiwanie odwagę. Wyśmiewano się z niego także, był bowiem zbyt łatwowierny i nadużywał wiary innych, gdy opowiadał zmyślone bajeczki.

Jörund godził się łaskawie, aby Eirik uchodził za jego najlepszego druha, ten zaś nie targował się o cenę. Niejeden oberwał mu się szturchaniec za Jörunda, Jörund udawał jednak nieświadomego rzeczy, ilekroć Eirik brał na siebie winę za coś, co tamten przeszkobał. A gdy Eirik widział serdeczne, błękitne oczy przyjaciela, jemu samemu zdawało się, że Jörund postępuje na pewno w najlepszej wierze: niegodnie wręcz byłoby myśleć inaczej. Jörund był tak dobroduszny, miał głos tak miły i miękki i uśmiechał się tak chętnie, gdy Eirik plótł brednie... Co prawda w niejednej sprawie okazywał zupełną obojętność i to czasem przerażało Eirika: on sam bowiem starał się wypełniać sumiennie swoje obowiązki, choć nieraz zapominał o tym, co mu poruczono, i był ogromnie wrażliwy na każde słowo nagany. Jörund myślał ustawicznie o swym powodzeniu i korzyści, więcej niżeli to Eirikowi było miłe, wyrażał się również brutalniej o kobietach niż Eirik o sprzedajnych dziewczkach – jedynych, jakie do tej pory znał. Mimo to Eirik kochał Jörunda.

W ten sposób przez kilka lat łączyło ich braterstwo broni. Niekiedy

rozłączali się, bowiem Eirik lubił od czasu do czasu puszczać się na wędrowną i szukać służby u innego pana. Ale zawsze powracał do pana Ragnvalda, a Jörund stale tam przebywał.

Do jednej rzeczy nie mógł Eirik przywyknąć, mianowicie do śpiewu przyjaciela. Jörund tańczył zgrabnie i miał silny głos, nieraz więc prowadził tańce; było to jego ambicją, lecz nie śpiewał czysto. Eirik posiadał dobry słuch i głos, może nie tak silny ale za to dźwięczny i ciepły; ilekroć więc Jörund zaintonował jakąś piosenkę, Eirik palił się ze wstydu za przyjaciela.

Już na drugi dzień Eirik wspomniiał Olafowi, że Jörund myśli o Cecylii. Szli razem do Saltviken przez góry.

Olaf wysłuchał syna w milczeniu i szedł dalej, nie dając odpowiedzi, i – Spostrzegłeś zapewne – mówił Eirik – że Jörund należy do ludzi, którzy przynoszą z sobą szczęście. A o ludziach na Gunnarsby słyszałeś chyba.

– Wiem, że są majątni – Olaf szedł dalej. – A ty byłeś kiedy na Gunnarsby?

W tej chwili dopiero Eirik uświadomił sobie, że Jörund mógłby właściwie to uczynić – zaprosić go raz do siebie, gdy jechał do domu, do swej rodziny. Poczł jakby lekkie ukłucie.

– Nigdy nie złożyło się tak, abym mógł tam pojechać, kiedy Jörund chciał mnie zabrać z sobą.

– A co sądzisz o nim samym? – pytał Olaf. – Czy jest taki, że twoim zdaniem można mu zawierzyć los i dobro Cecylii?

Mimo woli zakolała w duszy młodzieńca dawny niepokój, głuchy i nieokreślony. Ale przecież rozważył już to wszystko: wady Jörunda były

tego rodzaju, że mężczyzna może się ich z łatwością pozbyć, gdy zakłada własne ognisko domowe. Skoro zaś zostaną spokrewnieni, będą musieli wiernie stać za sobą. Odpowiedział więc twierdząco i zaczął pod niebiosa wynosić Jörunda i jego usposobienie; jest rozważny, poczciwy, wesół, żywy, no, ojciec sam widzi przecie...

– Tak, widziałem tylko same dobre strony. – Olaf westchnął ciężko. Minęła chwila, po czym odezwał się:

– Pomówię z Baardem, może on coś wie... Baard potrafi może dowiedzieć się czegoś więcej o tych ludziach, ma krewnych w tamtych stronach. Tymczasem sądzę, że o tej sprawie nie będzie więcej mowy. Jörund jest naszym gościem i wie z pewnością, co przystoi, tak że nie poruszy więcej tej sprawy, póki jego bracia jej nie podejmą.

– Tego możesz być pewien. – Jednocześnie jednak opadł Eirika lęk, że Jörund może zniweczyć cały plan, wspominając o czymś przed ojcem, który tak surowo przestrzegał, aby wszystko odbywało się w godny sposób. Albo że mógłby urazić Cecylię, próbując zbliżyć się do niej z tą natrętną i nieco rubaszną wesołością, dzięki której, jak Eirik niejednokrotnie widział, osiągał powodzenie u młodych dziewcząt. Cecylii to się nie spodoba, to było dla niego zupełnie jasne: ona, wychowana przez ojca, była o wiele dumniej sza i bardziej wstydliva. Musi o tym uprzedzić Jörunda.



W przeddzień świętego Lavransa Eirik miał coś do załatwienia po drugiej stronie fiordu. Gdy wiosłował z powrotem, woda była zupełnie spokojna; z północy i wschodu nadciągały nad dolinę granatowe chmury obrzeżone złotem, ich odbicie mąciło jasną powierzchnię fiordu i nadawało wodzie ciemną barwę ołowiu, na której plamy słoneczne wyglądały jak

płynne srebro. Eirik wiosłował co siły – miał na sobie najlepszy strój i chciał jeszcze przed burzą dopłynąć do domu. Było gorąco, słońce aż kłuło, ilekroć wychynięło zza chmur, a odbłask jego na wodzie oślepiał.

Spojrzał wstecz przez ramię – tam w dole, na południu niebo było czyste i błękitne, a światło lśniło na morzu. Hestviken leżało w słońcu – dojrzałe łany oraz płowe ścierniska, na których zżęte zboże stało w snopach, odcinały się jasnością na tle zieleni. Eirik pomyślał, że musi zaraz zwieźć zżęte zboże; wyszło już niemal, ojca zaś i Torego nie było w domu. Przypomniał sobie nawałnice, podczas których snopy zostały wymłócone z ziarna na polu.

W stronie Oslo niebo zasnuły czarnosine chmury i grzmot rozlegał się daleko po okolicy; wyglądało tak, jak gdyby burza ciągnęła na północ. Eirik przycumował łódkę, przeszedł przez pomost i skierował się na górę ścieżyną wzdłuż Dobrego Pola. Przeskoczył płot, dotknął snopów zboża i zerwawszy jęczmienny kłos roztarł go na dłoni, słodkie ziarna wsunął do ust. Nagle posłyszał, że ktoś śpiewa w górze, na skale – cichy, stłumiony głos kobiety. Nie mogła to być Cecylia; ona nie umiała śpiewać.

Eirik wspiął się na górę, ciekaw, kto to może być. Na skale plecami do niego leżała młoda, obca kobieta, z twarzą zwróconą ku morzu; długie, pociemniałe od wody włosy rozpostarła dla wysuszenia na czerwonym głazie. I kiedy tak odpoczywała wyciągnięta na boku, z wyraźnie zarysowanym łukiem biodra, było w niej coś, co targnęło zmysłami Eirika, tak że zatrzymał się jak łowca na tropie zwierzyny.

Kobieta leżała nieruchomo i leniwie; nuciła półgłosem, sama dla siebie, dla słońca i fiordu... Wtem przyszło Eirikowi do głowy, kto to może być. Zeszedł na dół.

Usłyszawszy kroki na skale kobieta uniosła się i odwróciwszy głowę przyklekła. Eirik ujrzał, że kształty jej są pełne, lecz pozbawione jędrności, może zbyt już dojrzałe jak na młodą dziewczynę. A gdy podniosła się

całkiem i stanęła, ruchy jej były ociężałe i bez sprężystości. Pokrasniała mocno zwracając na niego niepewne, lękliwe spojrzenie wielkich, ciemnych oczu; ręce biedziły się, by odrzucić w tył falę bujnych, jakby czarnych włosów.

Eirik zbliżył się i podał jej rękę:

– Wróciłaś, Bothildo! Witaj w domu!

Nie odpowiedziała uściskiem na uścisk jego dłoni, lecz prędko i nieśmiało cofnęła rękę. Stała ze spuszczoną głową i patrzyła w ziemię, a głos jej brzmiał bezdzwięcznie, jakby stłumiony.

Eirik również poczuł się nieswojo i ciężar jakiś legł mu na piersiach, ponieważ na widok tej dziewczyny zaniepokoił się nagle. Jej spłoszone obejście, pochylona głowa i zamglony głos ostrzegły go, że oto nastał kres niewinnego i beztroskiego życia, jakie pędził dotąd w domu. Coś wystraszonego zdawało się unosić nad Bothilda, kiedy stała tak pochylona, z pełną piersią, rozłożysta w biodrach; płynęła od niej silna woń włosów przesiąkniętych morską wodą – Eirik miał wrażenie, jak gdyby nagle posępny cień musnął ich oboje.

Mówili trochę o jej podróży, a potem o pogodzie, która wyglądała coraz groźniej. Eirik oświadczył, że chciałby jeszcze przed burzą zwieźć pod dach jak najwięcej zboża. Bothilda przytaknęła szeptem – tak, bo jeśli nawet burza nie nadejdzie od razu, to w nocy z pewnością się rozpęta. Chwilami słaba błyskawica przecinała niebo na północy i grzmot dudnił głucho w oddali.

Eirik zerknął ukradkiem na Bothildę, kiedy tuż obok siebie szli do dworu. Była wysoka, lecz nie trzymała się prosto, włosy miała gęste i długie, teraz jednak zlepione słoną wodą. Twarz jej była, ładna, okrągła i biała, z czerwonymi różami na policzkach; miała szerokie białe czoło, piękny łuk brwi; ciemnomodne oczy patrzyły spod białych powiek nieco skośnym, skrytym spojrzeniem. Usta jej były duże, broda zaś mała i

okrągła, niczym jabłko. Raz uśmiechnęła się z czegoś, co powiedział, i zobaczył, że ma zęby małe i krótkie, rzadko rozstawione jak młeczne ząbki dziecka, a w uśmiechu obnażała, dziąsła. Nagle naszła go ochota, by ją wziąć w ramiona i całować, ale twardo, bez dobroci... Tego popołudnia zwiózł z pola całe zboże; burza ominęła Hestviken, odeszła w głąb łądu, ku północy. Na dworze zapadł zmierzch, dalekie błyskawice zapalały się w mroku, między jednym grzmiotem a drugim słychać było dziwnie niesamowity w parnocie wieczoru późnego lata cichy szum fiordu pod skałami. Mężczyźni weszli do izby, Bothilda wniosła posiłek, tak samo pochyłona jak zawsze. Nietrudno było dostrzec, że Cecylia serdecznie cieszy się z powrotu siostry, i to zabarwiło wrogością uczucie niepokoju, które wzbudziła w nim Bothilda. Kobieta, która w ten sposób obudziła w nim żądze, nie była stosowną towarzyszką dla jego siostry.

W nocy obudził go huk piorunu. Deszcz lał strugami. Bębnił głucho po darniowym dachu, spływał po nim i pluskał na kamieniach dziedzińca, szeleścił w koronach liściastych drzew, dziurą obok dymnika zaciekał do izby. Błyskawice migwały w szparach między balami w ścianie przyczółkowej – od długiej posuchy stała się ona nieszczelna – jeden grom po drugim przetaczał się z hukiem i trzaskiem nad dworem.

Zaledwie się ocknął, myśli jego pobiegły ku Bothildzie; leży tam oto, na poddaszu nad komorą. Jörund jak suseł spał obok niego pod ścianą, Eirik leżał na zewnątrz. Uczuł pokusę, by wstać i wspiać się po drabinie – zawołać na dziewczęta, czy i one nie śpią: może boją się burzy... Ale pozostał w łóżu.

Usiłował myśleć o czym innym: o dolinie, polach i już niemal dojrzałym zbożu. Jak też będzie wyglądało po tej burzy? Nie mógł sobie przypomnieć, czy w czasie ostatniego pobytu w domu zwrócił uwagę na Bothildę córkę Asgera – owego roku wojny, będzie temu chyba ze trzy lata? Cecylia była dzieckiem jeszcze, ojciec bawił w Szwecji z Ivarem



synem Jona, Bothilda pomagała babce w gospodarstwie; obydwie to robiły. Nie widywał ich zatem często i nie pytał o nie.

    Nie wiedział, skąd nasunęła mu się myśl, że Bothilda nie jest tak czysta i niewinna jak Cecylia...

Skończył się dla Eirika spokój w domu i pogodne, czyste dni lata. Teraz byli zawsze we czworo – Cecylii ani w głowie nie powstało, żeby iść dokądkolwiek bez przybranej siostry. Lecz Eirikowi, którego zmysły były wzburzone, wydawało się, że to Bothilda czepia się młodszej siostry. Zjawiała się zawsze ostatnia i szła za nimi tym swoim ociągającym się, ciężkim i zmysłowym krokiem z owym ukradkowym, nieśmiałym, skośnym spojrzeniem – to jego prześladowała tym wzrokiem, tak że miał wrażenie, jak gdyby dotykała go ręką. Zaledwie jednak spojrział na nią, wzrok jej umykał. I rodziło się w nim coś w rodzaju wściekłości, ponieważ nigdy nie zaznał przy niej spokoju. Wstydził się własnych myśli, wszak żył tutaj między ojcem i siostrą, lecz niepokój i pożądanie ogarniały go z winy Bothildy.

Nachodziła go ochota, by obejść się z nią twardo i okrutnie, gdy dostanie ją w swoje ręce – by odepchnąć ją płaczącą i złamaną. Była jakaś szaleńcza tęsknota w owej woli zadania bólu wyrastającej z nieznanych głębin jego duszy – ślepy i opętany kaprys pana, który gniewa się na niewolnika, ponieważ trwożny wyraz jego twarzy i korne staranie, aby udobruchać pana, drażnią go tylko...

Bo Bothilda przywodziła na myśl niewolnicę, kobietę porwaną. Nawet dwa grube warkocze spływające na pełne i nieco opadające piersi przypominały łańcuch; sięgały niemal kolan i miało się wrażenie, że to ich ciężar ściąga głowę do przodu i że dlatego Bothilda chodzi pochylona. Włosy dziewczyny nie były zresztą ani czarne, ani zmierzwione, jak sądził – były mokre, gdy ją ujrzał po raz pierwszy. Miały barwę jasnobrązową z rudawym połyskiem i pasowały ślicznie do białej twarzy o rumianych licach i ciemnoniebieskich oczach. Niezwykła uroda dziewczęcia nie

usposabiała Eirika życzliwiej.

Nie rozmawiał z nią prawie wcale – wszystko rozgrywało się wyłącznie w jego myślach. Nie mógłby wyrządzić krzywdy kobiecie żyjącej pod dachem ojca; teraz, kiedy spokój i czystość jego duszy zostały znów zmącone, ocknął się w nim na nowo dawny lęk lat dziecińczych.

Albo Olaf i Cecylia nie zauważyli, co się dzieje pomiędzy Eirikiem i Bothilda, albo też tłumaczyli sobie to, co widzieli, inaczej: sądzili, że tych dwoje nie lubi się lub że są nieśmiali. W każdym razie ani ojciec, ani siostra nie okazali choćby jednym znakiem, że cokolwiek dostrzegają.

Jörund natomiast prędko zrozumiał, co Eirikowi dolega. Zadowolił się jednak tym, że parę razy zadrwił z niego.

– Nie rozumiem – powiedział pewnego razu z uśmiechem, którego Eirik nie mógł ścierpieć – czemu ona tak bardzo ci się podoba. Czuć ją potem.

Innym razem – było to wieczorem, gdy obaj już leżeli – rzekł:

– Szkoda, że nie możesz zrobić z niej nałożnicy, ponieważ jest pod opieką Olafa; nie jest przecież tak bogata, abyś myślał o ożenku.

Eirik milczał wstrząśnięty. Ją poślubić! Była ostatnią na świecie, którą by chciał pojąć za żonę. Nie w ten sposób myślał o Bothildzie.

Jörund zaczął przygotowywać się do powrotu; w dniu Narodzenia Najświętszej Panny miał być w domu. Baard ze Skikkjustad zasięgnął o nim tymczasem języka. Małżeństwo z Jörundem trzeba nazwać dobrym,

oświadczył Olafowi; na Gunnarsby panuje dostatek, ponadto synowie Gunhildy Rypa oczekują dalszego spadku. Kolbein rządził się tam w okolicy niczym możnowładca i był wielce szanowany. Synowie, którzy żyją obecnie na dworze, nie są wprawdzie lubiani, lecz to, co ludzie o nich mówią, to tylko tyle, ile zwykle zazdrośnicy mają do zarzucenia możnym, gdy ci obstają przy swoim prawie. Dwaj starsi bracia poženili się z córkami wielkich rodów. – Nie odradzam ci przeto wysłuchania ich, o ile Jörund wydaje ci się godzien tego, by się z wami spokrewnić – dokończył Baard.

Tak więc Olaf napomknął Eirikowi o tym w kilku słowach; jeśli Jörund jest skłonny i jego krewni pragną tę sprawę rozważyć, można w każdym razie pomówić z nimi.

Postanowienie ojca odebrało Eirikowi humor. Sam nie wiedział, skąd to pochodzi, ale teraz uważał nagle, że nie ma po co aż tak się śpieszyć z wydaniem Cecylii za męż. Jego mała, dobra siostrzyczka jest jeszcze na pół dzieckiem...

Pewnego rana Cecylia oznajmiła ojcu, że ona i Bothilda wyprowadzą się z poddasza i przez jakiś czas będą sypiać w izbie niewieściej; muszą doprowadzić do porządku zimową odzież dla wszystkich we dworze i nieraz do późnej nocy będą zajęte szyciem.

Zanim Eirik udał się tego wieczoru na spoczynek, wyjął ze skrzyni kaftan, który chciał włożyć nazajutrz rano wypływając na fiord – Olaf z dworskimi ludźmi mieli wyruszyć przed brzaskiem na połów makreli. Zobaczył wówczas, że wełniana koszula jest rozdarta na łokciu; wziął ją i wyszedł, chcąc poprosić siostrę, by mu ją załatała; dziewczęta nie spały

jeszcze, przed chwilą przechodził obok drzwi izby niewieściej i słyszał ich głosy.

W przedsionku było ciemno, choć oko wykol. Za cienką ścianą z desek słyszał, jak Cecylia otwiera i przesuwa skrzynie i szkatuły. Kiedy zapukał, zawołała na Bothildę, by otworzyła drzwi.

Drzwi otwarto – z tyłu za jej plecami jasność biła z izby. Ciemna postać kobieca we drzwiachomal nie osunęła się na ziemię z trwogi dojrawszy, kto stoi w przedsionku. Jak zwykle cichym, bezbarwnym głosem wyszeptała, że Cecylia jest zajęta sprzątaniem.

– Ja ci zaszyję koszulę. Wyciągnęła rękę.

– Chodź! – rozkazał Eirik cicho i chwycił ją za przegub ręki. Z lekkim westchnieniem jakby lęku dziewczyna usłuchała, pochyliła się pod uszakiem i dała się wciągnąć do przedsionka. W oka mgnieniu Eirik objął ją w pół i przycisnął do ściany. Przyłgnął do niej; w ciemności szukał twarzą jej twarzy, wyczuł warkocze i znalazł miękką, zimną krągłość policzka. Pocałunkami przygwoździł do ściany głowę dziewczyny, która usiłowała się wymknąć.

– Wyjdź ze mną na dwór – szeptał – wyjdź ze mną na dwór... Zachłysnęła się z przerażenia, posłyszał, że zęby jej szczękają, a zimne jak lód, wilgotne ręce broniły się bezsilnie. Próbowała go odepchnąć, nie miała jednak siły. Eirik wziął jej obie dłonie w swoje i zgniół je z taką mocą, jakby chciał wycisnąć krew spod paznokci. Dziewczyna była tak wystraszona, że nie wiedział, czy rozumiała choć słowo z jego szybkiego, bezwstydного szeptu. Wtem Olaf zawołał spoza drzwi przedsionka. Nie słyszeli jego kroków. Wołał Cecylię. Eirik puścił Bothildę, dygotał całym ciałem. Cecylia ukazała się w drzwiach izby.

– To wy tutaj stoicie? – spytała zdziwiona i przebiegłszy mimo nich zwróciła się do ojca: – Czego sobie życzysz, ojczu?

Olaf zapytał o mały cebrzyk, który przyniósł poprzedniego tygodnia

i kazał wyszorować.

– Inga z pewnością zapomniła. Zaraz, poszukam ci innego, ojczy.

Wróciła do izby po światło i znów wyszła.

– Posprzeczaliście się? – zapytała z uśmiechem, kiedy blask musnął ich twarze. Potem pobiegła.

Eirik słyszał oddalający się stuk podkutych obcasów ojca na skalistym gruncie. Widział błysk trupio bladej twarzy Bothildy, kiedy wśliznęła się do izby. Poszedł za nią i rozejrzał się.

Dziewczyna upadła na kolana przed skrzynią i twarz ukryła w splecionych dłoniach. Był wściekły, że tak leży, jak gdyby się modliła.

– Wstań – powiedział, a głos jego brzmiał szorstko i twardo – zanim Cecylia nadejdzie! Chyba nie chcesz, aby ona coś spostrzegła?

Potem wyszedł.

Kiedy nazajutrz rano w szarym brzasku schodził do pomostu, ujrzał ją przed sobą na zboczu; niosła duży koszyk. Była już na pokładzie i wracała właśnie przez kładkę, gdy podszedł do łodzi. Eirik wyciągnął rękę, by jej pomóc zejść na ląd. Pochyliła się cała podczas tej krótkiej chwili, kiedy ją podtrzymał, i spostrzegł, że twarz ma białą jak śnieg, a pod oczyma ciemne koła. Miała zresztą nieraz podbite oczy – zdał sobie nagle sprawę, że z pewnością dlatego czyniły wrażenie tak wielkich.

Ledwie jednak Eirik usiadł w łodzi, nadszedł Olaf i oznajmił, że ma pozostać w domu. Nie jest wykluczone, że powrócą z połowu dopiero trzeciego dnia, tymczasem spodziewa się, że lennik Reidulf przybędzie nazajutrz do Hestviken dla omówienia pewnej sprawy. Olaf dał Eirikowi wskazówki, co ma mówić i jak się zachować w przypadku, gdyby lennik

przyjechał.

Eirik stał i patrzył za łodzią, póki nie znikła w porannej mgłę. Mógł stąd rozeznaczyć przeciwległy brzeg zatoki: niewielkie drzewa liściaste po drugiej stronie już pożółkły, dotychczas prawie nie zauważył tego; tak, powoli nadciągała jesień. Nasłuchiwał plusku wioseł we mgłę, mała szkuta wyglądała teraz jak cień. Eirik wzdrygnął się lekko – było chłodno. Zawrócił i chciał iść do domu.

Mijając spichlerz towarowy posłyszał, że ktoś jest wewnątrz. Natychmiast zatrzymał się, zdrętwiały, pełen napięcia, i zaczął nasłuchiwać – byłaby to ona?

Zakradł się cichutko pod drzwi i zajrzał do środka. Bothilda odwrócona doń plecami wyciągała suszone ryby z wielkiego pęku. W dwóch susach dopadł jej i z tyłu opasał ramionami. Poczuł, że ciało dziewczyny staje się bezwładne, jak gdyby wszystkie kości rozplęły się nagle – bezsilna zwisała mu w ramionach. Rzucił ją na podłogę, pobiegł do drzwi i zamknął je.

Gdy się odwrócił, stała przed nim wyprostowana, z twarzą w płomieniach.

– Co robisz! – Oczy jej były ogromne i czarne jak węgiel. – Zachowujesz się jak... zachowujesz się jak zwier! Och! – krzyknęła głośno i łzy trysnęły jej z oczu.

Zimny dreszcz wstrząsnął Eirikiem. Jej rozdrażnienie wróciło mu natychmiast przytomność. Lecz jej płacz wywołał nowe wzburzenie w sercu młodzieńca – wstyd i poczucie winy zbiły go z tropu, a Bothilda szlochała tak, że się przeraził.

– Nie płacz już – błagał wzruszony.

Dziewczyna łkała dalej, łzy spływały po zrozpaczonej twarzy. Na mgnienie oka zasłoniła twarz dłońmi, ale zaraz opuściła je bezsilnie i ciężko.

– Com ci złego uczyniła? – zawołała. – Na jakiego człowieka wyrosłeś?

– Bothildo – prosił nieszczęśliwy – nie sądzisz chyba, żebym chciał naprawdę... to był tylko żart...

– Żart! – rozgorzały mi z gniewu oczami spojrzęła mu prosto w twarz. – Ty to nazywasz żartem! – Łzy zdławiły jej słowa. Płakała tak, że musiała przysiąść. Opadła na skrzynię i odwróciła głowę. Z czołem opartym o ścianę płakała teraz ciszej, bardziej boleśnie i żałośnie.

Eirik stał cicho. Daremnie szukał stosownego słowa. Wreszcie po długim czasie Bothilda na w pół zwróciła się do niego z przeciągłym, drżącym westchnieniem:

– Ach tak! Nie spodziewałam się, że tak będzie, gdy do nas powrócisz...

– Gdy powrócę? – spytał słabym głosem.

– Myślałyśmy, że kiedyś przecież musisz powrócić do domu – odparła drwiąco. – Mówiłyśmy często o tym z Cecylią – rozplakała się znów.

– Nie płacz już – prosił.

Bothilda podniosła się i przesunęła ręką po zapłakanej twarzy.

– Otwórz drzwi – rozkazała krótko. Eirik usłuchał, lecz stanął przed drzwiami.

– Usuń się! – powiedziała tak samo. – Puść mnie!

Eirik usunął się na bok. Bothilda przemknęła obok niego. Nie ruszył się z miejsca. Zdumienie ogarnęło jego umysł i rosło jak płomień, z początku słaby, potem coraz bardziej przybierający na sile. W tej chwili sam nie pojmował, że mógł z nią postąpić w ten sposób.

Na zboczach dogonił Bothildę. Stała i przykładała wielkie, zroszone liście do zapłakanej twarzy i czerwonych oczu. Stanął przed nią. Nie patrząc na niego rzekła:

– Odejdź! – A gdy zawahał się, powtórzyła zniecierpliwiona: – No, idźże już. Nie mogę przecie pokazać się ludziom taka zapłakana, chyba



sam rozumiesz...

Eirik nie odpowiedział i poszedł dalej.

Nie rozumiał po prostu, co go opętało. W tej samej chwili, kiedy bezbronna stawiała mu opór, miał wrażenie, że diabeł ustępuje i opuszcza go. Był zmieszany i zawstydzony, ale nie za bardzo, bo jego własne szkaradne myśli stały się dla niego samego jakby nierzeczywiste – to był tylko przykry sen.

Dzień nastał słoneczny i ciepły jak w lecie. Eirik z parobkiem, który pozostał w domu, karczował nowe błonie w górze, pod lasem. Całą duszą rzucił się w tę robotę – robił tak zawsze, ile razy rozpoczynał jakąś pracę. Lecz równocześnie pogrążony był w myślach – przez cały czas biegły one ku Bothildzie. Wciąż na nowo przypominał sobie jej gwałtowny gniew i gorzki szloch. I dopiero teraz pojął do głębi to, co powiedziała: że ona z Cecylią rozmawiała nieraz, jak to będzie, kiedy on powróci...

Na myśl o tym przeniknęło go uczucie bolesnego wstydu. Więc te biedne dziewczęta krzątały się tutaj i czekały na brata! Bothilda spodziewała się pewnie, że i ją będzie uważał za siostrę.

Gwałtowne, grubiańskie myśli krążące dokoła niej opadły martwe na dno jego duszy, jak wyschnięty muł zostawiony przez powódź. I podobnie jak świeża, delikatna ruń przebija się przez szarą, zaskorupiałą jego warstwę, tak nowe, przeobrażone myśli o Bothildzie zakiełkowały w sercu Eirika.

Tego dnia zobaczył ją dopiero wieczorem, kiedy wszedł do izby na posiłek. Krzątała się cicho i spokojnie, piękną głowę pochylała lekko, jakby pod brzemieniem ciężkich warkoczy, lecz przygnębienie i skrytość,

które były w niej i budziły w nim złe żądze, znikły teraz. Była tylko młodą, cichą gospodynią, spełniającą swe obowiązki.

Nawet jej piękność wzruszała go teraz inaczej – dostrzegał tylko słodycz i łagodność w jej okrągłej twarzy o dziwnie rumianych policzkach i widział spokój w jej powolnych ruchach i pełnych kształtach.



Lennik nie przybył nazajutrz, także trzeciego dnia do południa nie było go widać. W porze przedwieczornej Eirik zeszedł do dworu, by się posilić; z chlebem w ręku wyszedł z izby i usłyszał, jak Inga woła coś do Bothildy; dziewczyna znajdowała się pod północną ścianą domu, odwrócona ku morzu. Zbliżył się do niej. Siedziała w słońcu i szła koszulę, którą jej dał owego wieczoru.

Gdy stanął przed nią, podniosła na chwilę oczy. W jej spojrzeniu nie było teraz trwogi ani uległości. Potem pochyliła się znów nad robotą. Wyglądała smutno, ale była spokojna i urocza.

Eirik stanął i oparł się o ścianę. Kiedy zjadł chleb, a Bothilda nie odezwała się, ani nawet nie spojrzała na niego, przemówił pierwszy:

– Zła jesteś jeszcze na mnie, Bothildo?

– Zła? – powtórzyła cicho i milcząc szła jakiś czas dalej. – Sama już nie wiem, Eiriku, bo nie rozumiem tego wszystkiego. Nie, nie rozumiem, dlaczego tak zachowałeś się wobec mnie.

Eirik stał bezradny. Bo gdy już chciał opowiedzieć, że wydawało mu się, iż to ona chce go zwabić, spostrzegł, że tego powiedzieć nie może: przecież wówczas wszystko przybrałoby jeszcze gorszy obrót.

– Mogę ci jedno obiecać – rzekł cicho, wzdychając – że nigdy więcej cię nie obrazę...

Bothilda wypuściła robotę z rąk i z wolna podniosła twarz. W tej chwili wzruszyła ona Eirika w sposób całkiem odmienny: krągła, biała twarz z dwiema czerwonymi różami na policzkach, ciemne, zadumane oczy i ładnie wykrojone usta, które czyniły wrażenie małych, kiedy Bothilda była zmartwiona. W tej chwili pragnął jedynie pogłaskać jej policzek, przesunąć czule i miękko rękę po smukłym, białym łuku jej krtani. Czuł, że przepelniony jest serdeczną życzliwością.

– Czy może z powodu mej babki zachowałeś się wobec mnie z taką... z taką nienawiścią? – spytała poważnie.

Eirik podchwycił to skwapliwie.

– Tak. Ale teraz wprost nie pojmuję, jak mogłem znaleźć podobieństwo między tobą a panią Maertą.

– A jednak moja babka niczego innego nie chciała jak tylko powodzenia Olafa – odparła Bothilda smętnie. – Zawsze kładła mi do głowy, jak wielką wdzięczność winnyśmy twemu ojcu. Bóg mu to wynagrodzi, my bowiem nie potrafimy. I ja także nie chcę niczego innego jak tylko jego dobra. Nie chcę się tu rządzić, Eiriku, robię wszystko w porozumieniu z Cecylią.

Gwałtowna radość i ulga ogarnęły Eirika. Bogu niech będą dzięki za jej niewinność! Nie zrozumiała nic więcej, jak że obszedł się z nią szkaradnie, ponieważ był zazdrosny o siostrę albo z zemsty za starą olbrzymkę, jej babkę. Sądziła z pewnością, że chciał ją tylko upokorzyć.

Posłyszał, że ktoś jedzie konno od strony doliny Kvern, musiał więc zejść i zobaczyć, kto przybywa na dwór. Z ciężkim sercem odszedł od niej.

Jeźdźcy byli już na dziedzińcu. Byli to Eagnvald syn Jona, młody brat lennika na Galaby, oraz Gaute syn Sigurda, którego ludzie przezywali Virvir; Eirik spotykał się z nim często w czasie dwumiesięcznego pobytu w domu. Zawołał Bothildę i dziewczyna wyszła z za węgła.

– Ho, ho – zaśmiał się Ragnvald – nie byłeś sam! Obawiam się, że nie

w porę przybywamy.

– Dla Eirika szyjesz koszulę? – żartował Gaute Virvir.

I dziewczyna znów nagle przygarbiła się, oczy miała spłoszone. Odeszła prędko, jak gdyby uciekając.

Ragnvald i Gaute przybyli łądem, mieli bowiem do załatwienia jakąś sprawę w parafii i nie odjechali stamtąd bez pokrzepienia się, toteż Eirik osądził, że najlepiej będzie przystąpić do rzeczy zaraz, zanim zasiądą do stołu. Nim powrócili ze spichrza, siostry nakryły pięknie i wniosły posiłek; obcy byli głodni i znowu bardzo spragnieni. Podczas gdy mężczyźni jedli i pili, dziewczęta pozostały w izbie. Ragnvald przekomarzał się cały czas z Cecylią, ona zaś dawała mu cięte i dowcipne odpowiedzi. Eirik zauważył, że ta słowna potyczka sprawia siostrze przyjemność. Już dawniej spostrzegł, że siostra lubi zabłysnąć. Bothilda natomiast wróciła do swego nieśmiałego i płochliwego obejścia i zdawała się do głębi nieszczęśliwa, kiedy Gaute zaczął ją rozpytywać o niejakiego Einara z Tegneby, którego podobno spotkała latem, bawiąc z Sygne córką Arnego u jej córki. Eirik niechętnie słuchał, jak drażnią ją innym mężczyzną, i nie podobało mu się, że wygląda tak, jakby miała nieczyste sumienie.

Ragnvald i Gaute pożegnali się dopiero po zachodzie słońca. Chcieli koniecznie, aby Eirik i dziewczęta ich odprowadzili.

– Nie, ja nie mam odwagi odprowadzić cię, Ragnvaldzie – rzekła Cecylia córka Olafa. – Mogłabym popaść w to samo nieszczęście, jakie przytrafiło się Torze córce Paala. Poty z nią żartowałeś, aż z ciągłego ziewania zwichnęła sobie szczękę. Być może, że ojciec i czeladź powrócą lada chwila, nie mogę więc odejść z domu. Ty jednak, Bothildo, możesz śmiało iść z nimi aż do chaty Liv, Eirik przyprowadzi cię z powrotem.

Tak więc poszli we czworo. Ragnvald i Gaute pognali konie przodem, trzej młodzieńcy kroczyli za nimi i gwarzyli, a z tyłu szła Bothilda z tobołkiem i koszykiem dla Liv. Zaczynało zmierzchać. Lekka, biała mgła

stała nad płowymi rżyskami, żółta, czerwień niebios bladła i przechodziła w rudy kolor. Olchowy las nad rzeką tchnął ostrym zapachem jesieni, a droga była mokra od rosy, sączącej się z opadających liści.

Koło Rundmyr Bothilda sknęła – czarną, pochyloną postać widać było wysoko na zboczu, zanim młodzieńcy to zauważyli. Eirik chciał iść z nimi dalej, prosili go jednak ze śmiechem, by się nie trudził, i dosiedli koni.

– Ziąb zbyt srogi, by zabawiać się ze swym skarbem w gaju – żartował Ragnvald. – Pewnie nie możecie sobie wybrać odpowiedniej pory w domu, stary dobrze was pilnuje...

– Dobrej nocy – życzyli obaj. – Strzeż się, Eiriku, aby tej nocy trolle nie porwały twej pięknej dziewczyny!

Eirik zatrzymał się i nasłuchiwał stukotu kopyt, zamierającego w wieczornej ciszy. Potem skierował się ku chacie Liv.

Na palenisku obok drzwi płonął duży ogień, a w żelaznym uchwycie w pobliżu barłogu na ziemnej ławie stała zapalona świeca. Bothilda siedziała w nogach Liv i przewijała niemowlę. Na drugiej ławie siedział Anki z sześcioro starszych dzieci i jedli to, co im przysłała Cecylia. Miła woń mięsiva w garnku nad ogniem mieszała się z przykrym zaduchem, jaki zwykle panował w chacie. Bez troski i pogoda tej izby mimo całego ubóstwa uderzyły Eirika, kiedy wszedł do niej wprost z chłodnego powietrza.

Chwilę siedział i rozmawiał z Ankim, podczas gdy Bothilda się krzątała. Nie śpieszyła się, tak że w końcu napomniał ją niecierpliwie: muszą już iść, na dworze ciemna noc.

Wracali do domu – on przodem, ona z tyłu, przez szarzące w mroku pola w Rundmyr, potem w dół przez las, drogą, którą jeżdżono konno. Szli wzdłuż strumienia, szemrzącego i bulgoczącego cicho w gąszczu; tej jesieni wysechł on prawie całkiem.

Od czasu do czasu Eirik słyszał, że dziewczyna przystaje. Zatrzymywał się więc i czekał, aż nadejdzie. I za każdym razem, gdy musiał tak stać i czekać na nią w mroku pod drzewami, czuł coraz wyraźniej, że złe żądze stają się coraz cięższe do przewyciężenia.

Wreszcie, kiedy znowu czekał, nie nadeszła wcale. Wstrzymał dech idąc z powrotem i usiłował stąpać możliwie bez szelestu. W ciemności zderzył się niemal z dziewczyną, a gdy dotknął jej ramienia, poczuł, że Bothilda dygoce jak w zimnicy.

– Co się stało? – krew tętniła w nim z taką mocą, że z trudnością panował nad głosem.

– Nie mogę iść dalej – wyszeptwała żałośnie.

– W takim razie musimy chwilę odpocząć... – Ujął ją za rękę i pociągnął na skraj drogi, gdzie między drzewami prześwitywała małeńka polanka. – Samaś tego chciała – szeptał groźnie.

Nagle Bothilda wyrwała mu się. Chwila minęła, nim się opamiętał. Posłyszał jej szybkie kroki na drodze i pognął za nią. Wtem dobiegł go głuchy stuk; o mało nie potknął się o leżące ciało. Schylił się nad nią – upadła w przód, twarzą ku ziemi. Eirik objął ją, położył rękę na ustach. Wyczuł, że wypływa z nich coś lepkiego i mokrego niby piana. Z początku nie wiedział, co to znaczy, zakipiała w nim wściekłość i obrzydzenie: leży tu i wymiotuje...! Potem zdjęła go groza, domyślił się, że to krew...

Obrócił dziewczynę twarzą do góry, ukląkł na drodze w błocie i oparł jej głowę na swej piersi. Ciemność dokoła była tak głęboka, że raczej wyczuwał, niż widział błądy owal jej twarzy i ciemną ciecz wypływającą co chwila z jej ust.

– Bothildo, co się stało? Czyś się tak mocno uderzyła?

Nie otrzymał odpowiedzi, lecz pod swą dłońią czuł serce dziewczyny tętniące na wyścigi z jego własnym. Daremnie żebrał:

– Czy nie możesz odpowiedzieć mi, Bothildo? Bothilda, czyś zrobiła

sobie coś złego?

W końcu musiał ją położyć na ziemi i pobiegł przez zarośla. Kamyki toczyły się i trzeszczały gałęzie, kiedy potykał się po ciemku i szukał głębszego miejsca w potoku, aby nabrać wody do kapelusza. Woda przeciekała przez filc; gdy odnalazł Bothildę, w kapeluszu zostało zaledwie kilka kropeł, którymi spryskał twarz leżącej. Teraz poczuł także zapach krwi, jego odzież nasiąkła nią cała, był niemal chory z przerażenia i wstrętu. Bothilda leżała na ziemi i milczała, jak gdyby była już martwa.

Ostatecznie nie widział innej rady jak podnieść ją i wziąć na ręce. Musiał ją zanieść do domu, chociaż była ciężka i zwisiała jak nieżywa w ramionach. Krótka droga przez kamienie i wyboje w ciemności dłużyła się jak wieczność. I był wewnątrz zupełnie wyczerpany – jego dzika żądza rozbiła się o tę niesamowitą zagadkę.

Wreszcie po długim – tak mu się przynajmniej zdawało – czasie dowlóknął się ze swym ciężarem do dworu. Pchnął drzwi do izby niewieściej, zbliżył się do łoża i złożył na nim Bothildę. Potem wyszedł, by szukać pomocy. Cecylia... gdzież ona była?

Gdy wszedł do izby mieszkalnej, dostrzegł, że ojciec oraz trzej wioślarze siedzą przy stole i posilają się. Siostra i jedna z dziewczek zajęte były rozwieszaniem odzienia przed ogniem.

– Zdaje mi się, że Bothilda zachorowała.

Cecylia odwróciła się gwałtownie. Spostrzegła brata stojącego na skraju świetlnego kręgu, z zakrwawioną twarzą i rękami jakby umaczanymi we krwi. Z jękiem wypuściła kaftan, który właśnie miała powiesić, i pędem wybiegła.

Olaf zerwał się również. Przesadził stół i pobiegł za córką.

Pozostali mężczyźni podnieśli się, obstąpili Eirika.

– Jezus Maryja! – ubolewał stary Tore. – Jezus Maryja! Więc to się jednak powtórzyło...

Dziewka Inga westchnęła z doświadczoną miną:

– Nie można było oczekiwać czego innego. Suchoty to srogi dopust. Skoro raz ułapią młode życie, już nie popuszczą. Cały czas sobie myślałam: dla tej niebogi Bothildy nie ma nadziei.

– Okrutny to będzie cios dla Cecylii – odezwał się jeden z parobków.  
– Także dla Olafa. Miłowali ją; jakby, była ich własną krwią i ciałem.

– Zanadto była biała i różowa – podjął znów Tore. – Myślałem nieraz o tym, że nie jest jej pisane długie życie. Kręciła się tu jak z innego świata i nic nie pomogło, że Olaf kazał odprawiać za nią jedną mszę po drugiej i że był dla niej dobry jak rodzony ojciec.

Eirik osunął się na żebraczą ławę obok drzwi. Nie zdawał sobie nawet sprawy, że ukrywa twarz w dłoniach. Miał wrażenie, że sprzed jego oczu opada jedna zasłona po drugiej. Mówili, że to suchoty i że już przedtem pluła krwią. Przez cały czas była chora i nikt nie wspomniął mu nawet o tym. Przez cały czas, gdy w ten sposób myślał o niej i uprawiał swą okrutną grę, była chorym dzieckiem...

Siedział tak, póki ktoś nie dotknął jego ramienia.

– Jak to się stało, że tak bardzo zachorowała?

Olaf pytał cicho. Eirik podniósł głowę. Ojciec wyglądał tak, jak gdyby zapomniał już, o co pytał. Wpatrywał się przed siebie z głuchą rozpaczą. Eirik nie śmiał patrzeć na niego dłużej.

W tej chwili weszła Cecylia. Wszyscy cisnęli się do niej z pytaniami. Dziewczyna potrząsnęła tylko głową. Twarz miała zmienioną bólem, ale powstrzymywała się, by nie płakać. Prędko wyjęła ze swej skrzyni jakąś szkatułkę i chciała wyjść.

– Będę czuwał z tobą tej nocy – powiedział Olaf krótko. Przystanąła i kiwnęła głową. Olaf wziął ją w ramiona i na mgnienie oka przytulił jej głowę do piersi, po czym oboje wyszli.

Eirik stał przed drzwiami izby niewieściej, nie śmiał jednak wejść.



Przypomniawszy sobie miniony wieczór, kiedy stał tu z Bothildą w przedsionku – nie przeczuwał wtedy, że jest chora. Inga wyszła po chwili, posłano ją po coś. Na pytanie Eirika odpowiedziała, że źle jest z Bothildą. Woń krwi, która wsiąkła w ubranie, dławiała go.

Wrócił do izby i położył się. Nie miał pojęcia, że jest chora, i dopiero teraz zaczął rozumieć, skąd się brał jej dziwny sposób bycia. Lęk go ogarnął. Bronił się i nie chciał za nic wiedzieć wszystkiego. „Żeby trolle nie porwały twej pięknej dziewczyny” – powiedział Ragnvald, a może był to Gaute?

Zdawało mu się, że Bothildą nie jest czystą, nie tkniętą dziewicą... Ale czy mógł przypuszczać, że naznaczyła ją śmierć?

Cecylia weszła nazajutrz rano do izby z zaczerwienionymi oczami. Nie, Bothildą niewiele spała tej nocy, odparła, nic także nie mówiła, jest zbyt wyczerpana. Tym razem straciła więcej krwi niż kiedykolwiek.

Zabrała odzież, którą brat miał na sobie ubiegłego wieczoru.

– Przyrowadzę, ci ją do porządku i każę wyprać.

– Najlepiej będzie, jeśli wyjadę – rzekł z wahaniem Eirik – z powrotem do pana Ragnvalda, skoro macie chorobę we dworze...

– To chyba niekonieczne – odparła Cecylia zdziwiona.

To samo oświadczył ojcu, kiedy zobaczył go w ciągu dnia. Olaf zdumiał się. Spojrzał na Eirika tak dziwnie, że młodzieniec poczuł, jak na nowo budzi się w nim i narasta cała dawna trwoga przed ojcem. Jeśli on domyślił się czegoś albo Bothilda coś wspomniała... Eirik zaczerwienił się, a zarazem wezbrała w nim wściekłość na ojca, bo przez niego stał zmieszany i zapłoniony. Olaf nie odpowiedział ani słowa i odszedł.

W dwa dni potem Eirik był gotów do drogi.

Miał zamiar opuścić dwór wczesnym rankiem. Lecz nim wyruszył, musiał wejść do Bothildy, by pożegnać się z nią.

Leżała z czerwonymi wypiekami na policzkach. Kiedy jednak podszedł bliżej, ujrzał, że twarz ma zapadłą i ciemne koła pod oczyma. Trzymała różaniec w dłoniach, ale na widok Eirika wsunęła go prędko pod kołdrę. Gdy to dojrzał, uczuł gwałtowny, ściskający mu krtań ból.

Kwaśny zapach potu, który go tak podniecał – o, teraz wiedział już, co on znaczy: suchotnicy pocą się wciąż, gdyż ta choroba trawi ich wewnętrznym ogniem. I ten tak drażniący go lekki kaszel...

Stał cicho, wsparty oburącz na rękojeści miecza. Tak trudno było coś powiedzieć. Gdyby ją teraz prosił o przebaczenie, znów zaczęłoby się wszystko od początku... Najchętniej padłby na kolana i ukrył twarz na jej chorej piersi.

– Nie powinnaś o mnie źle sądzić, Bothildo... Nie myślałem tak, jak przypuszczasz... Nie jestem taki, za jakiego mnie uważasz...

Chora leżała i patrzyła na niego wielkimi, ciemnymi oczami.

– Powiedz, Bothildo, czy mi przebaczasz?

– Tak – odpowiedziała tylko. Eirik czekał jeszcze chwilę. Zbliżył się do łoża i ujął jej rękę; była zimna i wilgotna.

– Bądź zdrowa! – Odważył się pogłaskać delikatnie jej policzek. Twarz miała rozpaloną. – Bóg niech ci dopomoże, abyś była zdrowa, gdy się znów zobaczymy.

– Bądź zdrow, Eiriku... Bóg z tobą.

Ojciec i siostra odprowadzili go tylko do stodoły. Nie mógł się

otrząsnąć z dławiącego smutku. Było mu tak na duszy, jak gdyby odjeżdżał przeklęty i napiętnowany.

Przez całą jesień Bothilda musiała leżeć. Stan jej zmieniał się ciągle; to następowała poprawa, to znów pogorszenie.

Olaf widział, jak jego młoda córka milcząco i z powagą poświęca się czuwaniu nad chorą siostrą i obowiązkom w wielkim gospodarstwie. Cecylia była dzielna i wytrwała. Ojciec wiedział, że serce jej ściska się z obawy i zgryzoty, i że nieraz bliska jest płaczu, lecz nie pobłażała sobie; pracowicie i skrzętnie wypełniała obowiązki, które przedtem spoczywały na obydwu.

Potem Olaf polecił jej, aby nocami kładła się spać, i sam czuwał przy chorej.

Kaszel i gorączka wrywały Bothildę ze snu; w czasie tych nocy, kiedy było z nią szczególnie źle, Olaf nie kładł się wcale, tylko siedział obok jej łoża. Po raz pierwszy w życiu żałował, że nie zna żadnej rozrywki dla skrócenia długich godzin; nie umiał ani grać, ani śpiewać, ani opowiadać. A nie mógł przecież mówić z przybraną córką o królestwie niebieskim i śmierci.

Wówczas, gdy czuwał przy chorej żonie, milczenie nie ciążyło mu. On i Inguna mieli za sobą całe wspólne życie: dziecięce zabawy i radości, młodość i troski, i wstyd, i miłość silniejszą od śmierci; milczenie między nimi szumiało i żyło niby morze. To dziecko jednak było przybranemu ojcu bliskie i obce zarazem – nie wiedział o dziewczynie nic więcej niż to, że wyrosła na jego dworze, nadobna i pełna wdzięku, tak że radością było samo patrzeć na nią. Strzegł jej, jak umiał najlepiej – a teraz umierała, jak ginie młode drzewo.

Wyraźniej od tamtych dzieci dawała mu do poznania, że potrzebuje jego opieki; dlatego z taką goryczą odczuwał, że będzie już musiała

umrzeć. Aczkolwiek zdawał sobie sprawę, że byłoby stokroć gorzej, gdyby jego własna córka leżała tutaj...

I tak siedział na niskim zydliu między paleniskiem i łóżem, od czasu do czasu drzemał albo podnosił się, podtrzymywał chorą, kiedy wstrząsała nią ataki kaszlu, podciągał jej koc pod brodę, aby się nie zaziębiła, bo ciało jej złane było potem. Przykładał jej do ust czerpaczkę, by mogła się napić, po czym znów siadał.

Był zmęczony, czuł bolesny ucisk serca, a zarazem i to, że zmartwienie rozgościło się w jego duszy niby obcy przybysz w pustym domu – oddźwięk tylko i cień owej dawnej zgryzoty, która nękała go o chorą żonę. Tamto było o wiele gorsze, a przecież było tysiąckroć lepiej wówczas, kiedy rozłączono go z nią, kiedy rozerwany został żyjący węzeł z krwi i ciała – lepiej niż teraz, kiedy tu siedział i czekał, aż zostaną stargane słabe i delikatne więzy między nim a tym obcym dzieckiem.

Kilka razy odpluła krew – nie tyle, co owego wieczora na drodze z Rundmyr, lecz łatwo było poznać, że siły jej gasną, i to bardzo szybko.

Pewnego rana na początku adwentu przeszła znów ciężki atak kaszlu i miała krwotok. W ciągu dnia Olaf zauważył, że jest bardzo osłabiona. Pod wieczór usnęła. Ojciec siedział przy niej; a gdy obudziła się o północy, ułożył ją wygodnie i powiedział to, co musiał powiedzieć:

– Gdy się rozjaśni, moja Bothildo, myślę, że trzeba będzie posłać po księdza...

– Ach nie, nie! – Oburącz uczepliła się jego ramienia i błagała pełną trwogi: – Ach nie, nie mów tego opiekunie. Czy sądzisz, że muszę umrzeć?

Olaf przypuszczał, że dziewczyna od dawna sama o tym wiedziała.

– Dziecko, dziecko – próbował ją uspokoić – czemu byś nie miała umrzeć? Jesteś młoda i dobra, nie masz potrzeby lękać się śmierci. Święci Boży Aniołowie przyjmą cię i powiodą przed tron Boga, do błogosławionych Dziewic, którym wolno kroczyć za Barankiem Bożym,

dokądkolwiek On idzie...

Łzy spływały spod zapadłych powiek Bothildy.

– Nie jestem przygotowana na śmierć, opiekunie, tęsknię tylko za tym, aby żyć jeszcze na tym świecie... Boję się śmierci.

– Nie trzeba się jej bać. Lepiej mieszkać w królestwie niebieskim i iść za Maryją jako najluchsza z Jej sług, aniżeli posiadać cały krąg ziemi i panować nad wszystkim, co na niej się znajduje.

– Mówisz tak, bo jesteś prawym człowiekiem i dobrym chrześcijaninem – wykrztusiła wśród łez.

– Tak ludzie o mnie sądzą – rzekł Olaf silnie wzburzony. – Córko moja droga, tak nie jest. Bóg wie, jaki jestem. A pomimo to, Bothildo, mógłbym ci opowiedzieć cuda o miłosierdziu Boskim, o cierpliwości, jaką ma dla nas grzesznych, i o miłości, którą nasz Król objawia nam swymi pięcioma ranami, swymi krwawymi śladami biczowania i razów. Lata minęły, odkąd zboczyłem z prawej drogi, i moja własna ścieżka zarosła trawą i chwastami. Gdybym ci zdołał powiedzieć, com kiedyś widział i czegom się nauczył... Mnie samemu dolega najbardziej to, że nie odważyłem się żyć sprawiedliwie, choć wiedziałem, co słuszne... Córko moja, wiem, że możesz radować się, iż odejdziesz teraz, nim obarczysz się większą winą za śmierć i rany naszego Zbawiciela.

Ze zdziwieniem i lękiem patrzyła Bothilda na Olafa. Ale potem znów zaczęła płakać.

– I ja, choć młoda, mam na sumieniu grzechy, za które muszę odpowiadać...

– Wypowiesz się z nich jutro przed sirą Eyvindem, a potem możesz spoczywać w pokoju.

Olaf usiadł na brzegu łoża i tulił jej ręce w swoich; płakała cichutko i rzewnie.

– Boże Narodzenie najpiękniej obchodzi się w niebie – rzekł cicho.

– Wezwij go – szepnęła złamana i zaniosła się płaczem.

Następnego dnia Olaf posłał po księdza. Bothilda wyspowiadała się, po czym poleciła przywołać opiekuna, siostrę i całą czeladź i prosiła wszystkich o przebaczenie, jeśli przypadkiem wyrządziła komu jakąkolwiek krzywdę. Potem sira Eyvind udzielił jej ostatniego namaszczenia i podał wiatyk.

Po odjeździe księdza Olaf wszedł do niewieściej izby i usiadł obok konającej.

– Teraz, Bothildo moja, wkrótce połączysz się z twoim ojcem. Musisz więc poprosić Asgera, mego przyjaciela, aby mi przebaczył, jeśli nie dotrzymałem słowa, tak jakem był powinien, słowa danego mu w dniu, w którym wziąłem cię do siebie i obiecałem zastąpić ci ojca. Pamiętasz ten dzień? Siedziałaś przed drzwiami izby, w której leżał twój ojciec, na dworze padał deszcz ze śniegiem, byłaś zziębnięta i zsiniała. Byłaś dobrym i posłusznym dzieckiem, Bothildo, oby Bóg dał, byś nie miała powodu zbyt gorzko uskarżać się na mnie, gdy staniesz przed Najwyższym Sędzią.

– Dla mnie byłeś zawsze najmilszym ojcem. – Chwilę leżała cicho, potem szepnęła jakby przestraszona, że porusza tę sprawę: – Obyś nigdy nie był surowszy wobec innych.

– O kim myślisz? – zapytał trochę ostro.

– O Eiriku – powiedziała Bothilda bardzo cicho. – Wydaje mi się, że wobec niego byłeś nieraz surowy.

– Nie sądzę – odparł chłodno. – Nie pamiętam, abym był wobec Eirika bardziej surowy, niż to było konieczne.

Bothilda milczała chwilę. Wreszcie nabrała odwagi:

– Myślę także o Cecylii, ojczy. Nie chciałabym, byś ją dał za żonę Jörundowi synowi Kolbeina, jeżeli jest temu przeciwna.

– Czy jest przeciwna? – spytał po chwili niechętnie.

– Aslak był jej miłszy – szepnęła chora. Olaf nie dał żadnej odpowiedzi.

– Nie zamierzałem wcale – odezwał się po chwili – przymuszając Cecylii. Nie chcę jej wydać za człowieka, któremu jest niechętna. Lecz nie mogę przyrzec, że oddam ją mężczyźnie, którego polubiła, jeśli uznam, że to nieodpowiednie dla niej małżeństwo. Głos Olafa brzmiał tak, że chora nie śmiała mówić o tym więcej.

Olafa rozgniewało, że przybrana córka poruszyła te sprawy. Odjazd Eirika z Hestviken był zbyt podobny do ucieczki, ażeby nie zdziwił ojca. I przedtem także zauważył niejedno – teraz podejrzenie ocknęło się na nowo, lecz nie dopuszczał go do siebie. Nie, tak nie należy sądzić o żadnym człowieku, nawet o Eiriku: że zadawał się potajemnie z młodą dziewczyną, przybraną siostrą, oddaną pod opiekę własnego ojca! Chociaż przybrane rodzeństwo... Ale z nim i Inguną było zupełnie inaczej. Uchodzili za narzeczonych już od dziecka, a że zrodziła się między nimi miłość, że zapomnieli się we wzajemnym uścisku – do tego musiało dojść, skoro nie było nikogo, kto by czuwał nad nimi i prowadził ich po właściwej drodze – to musiało się stać tak nieodwołalnie, jak pewne jest, że dwa młode drzewa wyrastające tuż obok siebie splotą w jedną koronę gałęzie i liście. Ani Eirik, ani Bothilda nie słyszeli nigdy o podobnych zamiarach ich dotyczących. Prawda, czasami myślał o tym: jeśliby Eirik powrócił do domu i Cecylia nie mogła po ojcu odziedziczyć Hestviken, wówczas mógłby tę, którą niewiele mniej od własnej córki miłował, oddać Eirikowi



za żonę. Może wówczas znalazłby pociechę w tym, że jej dzieci, dadzą początek nowemu rodowi. Te myśli jednak były dość nieokreślone i nigdy nikomu o nich nie wspominał. O ile pamiętał, jedynie młodość i ubóstwo Bothildy wymienił jako przyczynę, gdy oświadczył Ragnvaldowi z Galaby, żeby sobie oszczędził trudu i nie przysyłał swatów.

Na domiar dołączyła się jeszcze ta sprawa z Cecylią. Krewnych Jörunda nie było ni widu, ni słychu i Olaf w głębi serca czuł się gorzko urażony. Nie było mu miłe, że Jörund najpierw napomknął o podobnej sprawie, a potem słysząc, że może spróbować szczęścia, nic więcej nie uczynił. W cichości ducha Olaf był tak samo zły na Jörunda, jak na Eirika, który ponosił tu główną winę. O historii z Aslakiem nie warto było nawet więcej wspominać. Nie zauważył, aby Cecylia pamiętała jeszcze tego gościa. Mimo to Olaf zaniepokoił się w tej chwili. Nie był już zupełnie pewien, czy między Eirikiem a Bothilda nie wydarzyło się coś, o czym nie wiedział. Nie mógł się dowiedzieć, co to było. Niepewność zakradała się do jego duszy podczas długich, spędzonych na czuwaniu nocy.

Cecylia... Ludzie powiadali, że zawsze tak jest, iż jeśli jakaś kobieta ma bękarta, to ten sam los przesładuje jej córki, aż do trzeciego pokolenia.

Ingebjörga córka Jona, Inguna... Istne opętanie posądzać o coś podobnego Cecylię, tak chłodną i czystą jak rosa o świcie; zupełnie niemożliwe, aby jakiś mężczyzna mógł sprowadzić z drogi cnoty to młode, niewinne dziecko. Nic w niej nie przypominało żarliwego uporu babki lub bezbronnej uległości matki. Ale Boże, mój Boże, czy ktokolwiek może w tych sprawach ręczyć za drugiego...? Wystarczyło, aby pomyślał o sobie samym.

W każdym razie będzie cieszył się w dniu, w którym uda mu się dobrze i godnie wydać Cecylię za mąż – teraz to wiedział.

Wieczorem kiedy siedział przy chorej, Bothilda zapytała go o pewną sprawę dotyczącą ojca – chodziło o jakąś błahostkę, którą Olaf pewnie

znał.

Olafowi nigdy nie przyszło na myśl rozmawiać z Bothilda o swym przyjacielu. Ze zdziwieniem spostrzegł, że młoda dziewczyna wiernie pamięta ojca. Był rad, że nareszcie znalazł jakąś rzecz, o której może mówić z chorym dziewczęciem. Wynurzyły się jedno po drugim wspomnienia młodości – między innymi także i z czasów, kiedy przebywał w Danii u wuja. I okazało się, że miał wiele do opowiedzenia o Asgerze i wspólnych krewnych.

– Jak blisko jesteśmy właściwie spokrewnieni, Eirik, ja i Cecylia? – spytała pewnego razu.

Olaf obliczył stopień pokrewieństwa; był on bardzo daleki. Z Eirikiem zaś Bothilda nie jest w ogóle spokrewniona, pomyślał w duchu.

Chyba nie dlatego o to pytała, aby się dowiedzieć, czy nie są z sobą spokrewnieni w stopniu zakazanym? Pogodziła się przecież teraz z myślą o śmierci.

Nigdy już więcej me potrafił mówić z nią tak jak owej pierwszej nocy, kiedy zrozumiał, że dziewczyna musi umrzeć; o królestwie Bożym i miłości Chrystusowej, o drogach, którymi sam chadzał niegdyś i którym pozwolił zarosnąć. A potem na dziesięć dni przed Bożym Narodzeniem zmarła Bothilda córka Asgera w ramionach przybranej siostry.

Pan Ragnvald syn Torvalda siedział tej zimy w swych dobrach w pobliżu Konungahella. Zdziwił się nieco ujrawszy wracającego Eirika, sądził bowiem, że chłopak tym razem opuścił na zawsze jego służbę. Przyjął jednak serdecznie młodzieńca – przyzwyczał się już do jego niestałości i włóczęgowskiej żyłki. A Eirik był dzielny w czasie służby i

pan Ragnvald lubił jego sposób bycia.

Tak więc znowu otrzymał swoje miejsce w drużynie rycerza. Lecz poruszał się pośród dawnych towarzyszy jak człowiek, który powrócił z gór<sup>[17]</sup>. Nie było tej zimy w Eiriku pogody ani śmiechu. Im usilniej walczył o to, by wyrwać się z kręgu dokuczliwych myśli, tym bardziej go dręczyły. Był jak ryba w niewodzie, co trzepie się i rzuca, by wymknąć się na wolność, a wikła się coraz bardziej.

Ilekoć próbował wracać myślą do pierwszych radosnych i niewinnych tygodni w domu, z Jörundem i Cecylią, wśród uciechy i znoju letnich zajęć na ukochanym dworze, ból dręczył go jeszcze mocniej: to wszystko zniweczył sam w sobie na zawsze. Stawała przed nim smętna postać Bothildy – bojaźliwe dziecko, które zdradził i ścigał jak wilk, mimo że ją miłował... Była pierwszą i jedyną, którą miłował.

Dziś nie rozumiał, że mógł się wobec niej zachować w ten sposób. Przecież nie leżało to w jego naturze. Wyczuwał jednak niejasno, że wtedy gdy przybył latem do Hestviken, tam, w domu, wznosiły się zewsząd jakby zatrute opary – ze starych domostw, z wody, z ziemi, z lepianki Liv – jak ślady stóp na bagnistym gruncie, które napełniają się wodą. I jakby pod wpływem wyziewów ze stojącego, zabagnionego stawu, stał się rozgorączkowany i omroczony.

A teraz skończyło się na zawsze... Nigdy już nie może powrócić do Hestviken. Był człowiekiem wygnanym z rodzinnego dworu i przeklętym. Bo ojciec dowiedział się już na pewno o wszystkim. Myśl o tym, aby stanąć przed obliczem ojca i być zmuszonym przez niego do zdania rachunku, przerażała Eirika bardziej niż myśl o dniu Sądu Ostatecznego.

Daremnie kochała go Bothilda. Bo teraz wiedział, że tak było i że dziewczyna czekała na niego przez te wszystkie lata, w ciągu których

[17] ...*który powrócił z gór* – według podań norweskich trolle uprowadzają ludzi w góry. Jeśli taki człowiek powróci, jest jakby odmieniony.

jeździł po świecie. To właśnie wierną, wyczekującą i niespokojną miłość widział w jej oczach i bezradnej uległości, gdy byli sami. A on zburzył wszystko...

Niekiedy próbował otrząsnąć się z tych myśli i podźwignąć się. Przecież nie zhańbił ani nie zdradził ukochanego dziewczęcia. Nigdy w rzeczywistości nie zrobił jej nic złego. Myśli zaś człowiecze bujają wolno i swobodnie po świecie. Obszedł się z nią parę razy grubiańsko i szorstko, postąpił źle, to prawda, ale nie stało się najgorsze.

Jednak nic nie pomagało, że sam siebie uspokajał w ten sposób. Wieczór w przedsiönku izby niewieściej, okropność nocy w lesie – nie mógł nad tym przejść do porządku dziennego. Nie mógł uwolnić się od uczucia, że stało się o wiele więcej, aniżeli ktokolwiek przypuszczał. I miał wrażenie, że zapada się w otchłań pełną grozy.

Potem naszła go pokusa, by skończyć z tym. Oprzeć rękojeść miecza o kamień i ostrze skierować we własne serce – niech zimna stal ugasi ból płonący w piersi. Ta myśl zaczęła go prześladować niedługo przed Bożym Narodzeniem i nie dawała mu spokoju dniem i nocą. Zadać sobie śmierć – jaka to musi być ulga!...

Po Nowym Roku obudził się pewnego ranka i poczuł się zupełnie inaczej, jakby jakaś mgła się rozwiała. Nagle wydało mu się wprost niepojęte, że mógł myśleć w ten sposób.

Bothilda, jego kochana, biedna dziewczyna, miałażby czekać daremnie? Z pewnością pragnie teraz, by do niej powrócił. Był dla niej niedobry i okrutny, ale jej przecież krzywdy nie zrobił, Bogu niech będą dzięki! A gdy się rozstawali, pożegnali się jak przyjaciele: obiecał, że

wróci do niej.

Ojciec – nie rozumiał, jak mógł się go aż tak strasznie obawiać. Jest przecież dorosłym mężczyzną. Jeśli się ojciec rozgniewa, to trudno! Zresztą czemu by Bothilda miała powiedzieć ojcu o czymkolwiek? Nie zaszło pomiędzy nimi nic, co by jej dało powód do użalania się przed przybranym ojcem. A jeśli nawet nieco gwałtownie wziął ją w ramiona raz czy dwa razy i ucałował – żadnej jeszcze dziewczynie nie stała się przez to krzywda!

Cecylia powiedziała, że ojciec rozejrzy się za dobrym małżeństwem dla Bothildy; kocha ją, jakby była jego rodzonym dzieckiem. I gdyby nawet sądzić, że nie jest dość bogata, aby zostać synową Olafa, on sprawi, że ojciec zacznie myśleć inaczej.

Na dworze była cudowna zimowa pogoda, śnieg iskrzył się w słońcu, a niebo było tak błękitne jak na wiosnę. Eirik chodził i nucił, to znów śpiewał głośno. Wieczorem zaś, kiedy odprowadzał pana Ragnvalda do sypialnej komnaty, poprosił go o zwolnienie ze służby.

Na pytanie pana Ragnvalda, co mu znowu do głowy strzeliło, Eirik odparł, że otrzymał wiadomość, iż ma wracać do domu na wesele.

Pan Ragnvald był lekko pijany i w dobrym humorze; rozpytywał więc i żartował, a Eirik przedstawił sprawę następująco:

Chodzi o jego przybraną siostrę, córkę owego Asgera syna Magnusa, który otrzymał w posagu za Knuthildą córką Holgeira Eirikstad; pan Ragnvald znał go na pewno i wie, że zabił Paala Galta, za co skazany został na banicję. Olaf na Hestiviken wziął do siebie jego małą dziewczuszkę Wraz z tą starą niedźwiedzicą, jej babką – Olaf i Asger byli towarzyszami broni.

A teraz Bothilda jest już dorosła, piękna i dobra, prawdziwe zwierciadło cnót dla innych niewiast, lecz nie posiada ani ziemi, ani bogatych krewnych. Olaf nie chciał więc słyszeć o tym małżeństwie, dlatego Eirik wrócił jesienią do pana Ragnvalda; pragnął zostawić ojcu czas do namysłu, oświadczył bowiem, że na Hestviken nie zobaczą go wcześniej, aż ojciec da mu Bothildę za żonę. A Olaf wie już z dawnych lat, że Eirik nie należy do tych, co ustępują. Ojciec jest już stary; trudno mu samemu sprostać całej wielkiej gospodarce; potrzebuje syna. Tak więc przesłał mu wiadomość, aby powrócił, to dostanie Bothildę za żonę, i życzył sobie, aby się to stało jak najszybciej. Pewnie od razu wyprawi zrzękowy, a wesele – gdy tylko skończy się Wielki Post. Tak jest, opowiadał Eirik, tę wiadomość otrzymał wczoraj; przyniósł ją jakiś człowiek z Maastrand, którego spotkał w kościele braci bosych i z którym rozmawiał po mszy. Ludzie z jego gminy biorą zazwyczaj udział w połowie śledzi, chciałby więc wyruszyć natychmiast, by towarzyszyć temu człowiekowi do Maastrand; stamtąd znajdzie na pewno sposobność przejazdu do domu jedną ze szkut rybackich.

Pan Ragnvald życzył mu szczęścia i podarował na pożegnanie wierzchowca, którego Eirik zwykle dosiadał, wraz z rzędem, prócz tego czerwony płaszcz z czarnym jedwabnym kapturem.

Już nazajutrz rano Eirik wybrał się na północ, chciał się dostać do Maastrand. Nie przyszło mu przy tym na myśl, że to, co opowiedział panu Ragnvaldowi, nie było prawdą. Nieraz zdarzało się, że zimową porą znajdowali się między rybakami ludzie z rodzinnej gminy. Był pewien, że znajdzie kogoś, kto go zabierze ze sobą do Folden.

Połów był w pełnym toku, Eirik zaś chciał wziąć konia na pokład, gdyż wpadło mu do głowy, by go ofiarować Bothildzie w podarunku zrękowinowym. Tak więc minął przeszło tydzień, nim znalazł sposobność przejazdu z kilkoma ludźmi z Drafn, którzy na Maastrand sprzedawali sól.

Podczas jazdy wzdłuż brzegu prześladowała ich niepogoda, a gdy przybyli do Stavern, handlarze soli musieli dobić do brzegu i przeczekać jakiś czas. Fiord w północnej części pokryty był krą, która na znacznych przestrzeniach zbiła się i przymarżała. Nie było żadnej możliwości przedostania się ani łodzią, ani też konno.

Niecierpliwość Eirika rosła w czasie podróży z godziny na godzinę. Bothilda – Bothilda żyła w jego myślach chodząca po Hestviken i wyczekująca. Nikomu w domu nie śmie się zwierzyć ze swej troski. Albo też siedzi w izbie niewieściej z Cecylią. Przędą, szyją i rozmawiają o nim. Widział przed sobą jej twarz i oczy, widział, jak wchodzi do izby, kiedy po dworze roznieśli się wieści, że Eirik powrócił do domu. Myślał o tym, że będzie ją trzymał w ramionach, gdy tylko zostaną sami, i każda kropla krwi drżała w nim w pełnej radości tęsknocie – ohydne myśli o niej zdawały mu się czarami, od których został uwolniony. Teraz i ona uleczy się ze smutku i choroby i całe życie pozostaną razem w przyjaźni i szczęściu. Nie wątpił w to, że ojciec ustąpi, nadąsawszy się wpiery i wygderawszy do woli. Lecz gdy zobaczy, że syn nie ustąpi!... I tak Eirik syn Olafa osiodłał konia i pojechał łądem wzdłuż zachodniego brzegu fiordu na północ. W Tunsberg ludzie mówili to samo. Z powodu zwałów lodowych droga do Hestviken przez zatokę jest odcięta. Eirik jechał dalej. Musiał dotrzeć całkiem w górę, do okręgu Skogheim; najgłębsza część fiordu Oslo pokryta była grubą skorupą lodową. Eirik nie miał czasu jechać okrężną drogą przez miasto. Skierował konia na południe.

Pewnego dnia dotarł wreszcie do rodzinnej parafii. Spotkał tam Ragnvalda syna Jona, z naładowanymi saniami. Zatrzymali się i przywitali. Eirik zapytał, czy Ragnvald nie był w ostatnim czasie w Hestviken.

– Nie byłem tam od pogrzebu – odparł Eagnvald. A widząc, że Eirik nie odpowiada, osądził, że musi przełamać milczenie.

– Nie mówiłem od tego czasu z twoim ojcem ani z Cecylią, widziałem ich tylko w kościele. Ciężki to cios dla nich, chociaż nie przyszedł nieoczekiwanie... Była młoda i dobra, niech Bóg uszczęśliwi jej duszę! Olaf nie wyprawiliby wspanialszej stypy po zgonie własnego dziecka i mówił pięknie, gdy żegnał na zawsze nieboszczkę...

– Nie wiedziałem, że moja siostra umarła...

Eirik siedział w siodle jak skamieniały, wzrok utkwiał martwo przed, siebie. Ragnvald zmieszał się, gdy zrozumiał, że na Eirika spadło wielkie nieszczęście. Ujął cugle i popędził konia.

– No, na mnie czas, jeśli chcę wrócić do domu przed nocą. Szczęśliwej drogi, Eiriku. Zobaczymy się pewnie znowu, jeżeli zostaniesz jakiś czas w domu.

Eirik przybył do miejsca, skąd można było dostrzec zagrzebane w śniegu chatki w Rundmyr po drugiej stronie białej płaszczyzny. Dreszcz niechęci i trwogi wstrząsnął nim.

Wiecznie szara, mroźna ćma znad fiordu gęstniała na zachodzie wśród chmur barwy dymu; słońce skryło się poza nią. Było tu trochę śniegu. Kamienie i korzenie sterczały spod gąszczy olszyny, brunatne łodygi, resztki miodunek i poźółkła, zwiędła trawa leżały obok ścieżki i wzdłuż zamarniętego łożyska rzeki.

Las był teraz widny, ogołocony z liści i przejrzysty. Lecz to wydarzyło się w jakimś miejscu na tej drodze. Eirik przypomniał sobie wilgotną, gęstą ciemność owej nocy jesiennej, niby nocy zła, w której uwięźli oboje.

Zmierzchało; kiedy wjeżdżał na dzieciniec. Olaf był na dworze.



Wyszedł: naprzeciw jeźdźca. Poznawszy syna, powitał go ze zdziwieniem, lecz życzliwie.

– Wracasz?

Barczysta, niewysoka postać ojca sprawiała wrażenie jeszcze szerszej w kożuchu; głowę miał odkrytą. W zapadającym mroku syn widział jego twarz i włosy – wszystko szare, i rozpoznawał proste rysy, zniekształcone blizną na prawym policzku. Eirik sam nie wiedział, czy jego rozpacz na widok ojca wzrosła, czy zmalała. Na mgnienie oka zakwitła w nim nadzieja, że od ojca dozna pomocy, ale natychmiast powściągnął tę myśl, niby ogary na smyczy: tyle razy już daremnie oczekiwał czegoś od Olafa.

Potem nadszedł stary Tore, powitał go i zabrał konia. Olaf poprosił syna, by wszedł do izby.

W ciągu zimy mierna tylko przyjaźń panowała między Olafem i Eirikiem. Eirik nie znalazł ukojenia ani ulgi. Trudno mu było wytrzymać w Hestviken – zapomniał już, jaki ojciec jest milczący w życiu codziennym. A gdy ktoś odzywał się do niego, miało się zawsze wrażenie, że musi się go przywoływać dopiero zza gór i mórz. Czasem zdarzało się, że Eirik czuł, jak ojciec wpatruje się w niego, lecz nigdy nie wiedział, czy na niego patrzy, czy też tak sobie siedzi i wpatruje się przed siebie. Eirik nie mógł tego znieść... Siostra zaś krzątała się cicho, jak gdyby obca.

Eirik jeździł więc po okolicznych gminach i często wracał pijany. Olaf wiedział, że mężczyźni, z którymi syn obcuje, nie nadają się do niczego więcej niż do wypitki i gry w kości, w innych sprawach nie przestrzegali również dobrych obyczajów. Większość z nich byli to młodzi synowie zamożnych kmieci, tacy, co nie chcieli zajmować się pracą mogącą uchodzić za zajęcie pachołków. Jednakże nie mówił nigdy z Eirikiem o jego towarzyszach... Nie zajmował się synem zupełnie.

Ragnvald syn Jona, brat lennika, został obecnie najlepszym przyjacielem Eirika. Eirik szukał jego towarzystwa, bo w jakiś nieokreślony sposób oczekiwał, czy też liczył na to, że Ragnvald powie mu coś więcej – przecież był pierwszym, z którego ust dowiedział się o jej śmierci. Choć Ragnvald nie spotykał zbyt często jego sióstr, widywał je częściej niż inni chłopcy z sąsiedztwa.

Z czasem, im silniej męka trawiła duszę Eirika, tym większą, chorobliwą niemal ochotę czuł, by wybać tamtego, czy kiedykolwiek krążyły jakieś plotki o Bothildzie. Tak głęboko pogrążył się w żalu, że zdawało mu się, iż lżej mu będzie żyć, jeśli się dowie, że mówiono o niej jako o lekkomyślnej albo kochliwej. Nie mógł bowiem znieść, że ma na

sumieniu niewinną krew.

Nikt jednak nie wspominał nigdy Bothildy córki Asgera. W końcu Eirik przemógł wstyd i pewnej nocy śpiąc na Galaby razem z Ragnvaldem zagadnął nagle przyjaciela:

– Co ty właściwie miałeś na myśli wówczas, kiedy byłeś u nas we dworze jesienią? Mówiłeś o Bothildzie...

– Nie pamiętam, bym cokolwiek powiedział.

– Owszem, wyraziłeś się o niej bez szacunku.

– Oszalałeś chyba! Ja wyraziłem się bez szacunku o twojej siostrze?

– Była tylko moją przybraną siostrą. Mówiłeś tak, iż mogłem sądzić, że Bothilda nie była tak cnotliwa, jak o niej mówili ludzie, i że mogła dać się uwieść.

– Musiałby chyba zamienić się w ptaka, jak ów rycerz z bajki, ten, kto chciałby uwieść jedną z córek Olafowych, tak były strzeżone... Zdaje mi się, żeś rozum postradał, Eiriku! Możliwe, że wymówiłem jakieś żartobliwe słowo, aha, teraz gdy o tym mowa, przypominam sobie, zdaje się... Prawdę powiedziawszy, sam lubiłem Bothildę tak bardzo, że nakłoniłem Reidulfa, aby starał się o nią dla mnie u Olafa. Otrzymał jednak odpowiedź, którą wytłumaczyć mogliśmy sobie tylko w taki sposób, że albo Olaf dla ciebie upatrzył tę narzeczoną – Ragnvald roześmiał się słabo – albo dla siebie samego, jakkolwiek jest stary.

W parę dni później, kiedy Olaf z Eirikiem siedzieli sami w izbie, Eirik zapytał nagle:

– Ojczy, czy to prawda, co ludzie mówią w gminie, żeś chciał poślubić Bothildę?

Olaf szybko podniósł oczy znad skórzanej liny, którą splatał. Chwilę patrzył na syna, po czym zwrócił wzrok ku robocie i nie dał odpowiedzi.

Eirik zaczął na nowo z prośbą w głosie:

– Słyszałem o tym jako o czymś pewnym...

– Rad bym wiedzieć – odparł spokojnie Olaf – czy istnieje takie głupstwo, w które byś nie uwierzył.

Eirik szepnął:

– Ty albo ja. Ludzie są zdania, że z tego, co mówiłeś o niej, wynikało, iż chcesz, aby kiedyś ona rządziła tutaj, na Hestviken.

Olaf znów podniósł oczy. I teraz nic nie powiedział. Eirik dostrzegł jednak zmianę w wyrazie zniszczonej twarzy ojca. Zdumienie, może boleść, a może i jedno, i drugie...

– Ojczy, czy to prawda? Myślałeś doprawdy o tym, abym ja z Bothildą tutaj gospodarował?

– Być może – odrzekł Olaf cicho – myślałem o tym, iż po mojej śmierci byłoby z pożytkiem dla dworu, gdybyś dostał za żonę tę, która była tak dzielna i pracowita, jeśliś kiedyś miał tu rządzić.

– O, gdybyśmy to wiedzieli! – Eirik załamał ręce. – Gdybyśmy to wiedzieli! Ale oboje sądziliśmy, że nigdy nie zgodzisz się na to, ponieważ ona była samotnym, biednym dzieckiem i nie posiadała ani piędzi ziemi... że na próżno myślelibyśmy o tym.

Olaf oparł łokcie na kolanach, dłonie splótł przed sobą.

– Więc mówiliście o tym? – zapytał w końcu półgłosem, nie podnosząc oczu.

– Mówiliśmy owego ostatniego wieczoru, kiedy wracaliśmy z Rundmyr.

– Tak, tak – rzekł wreszcie Olaf z westchnieniem. – Lecz już i przedtem była chora. Bóg jeden wie, jak by się to ułożyło.

Jakiś czas siedzieli w milczeniu.

– Nielatwo jest niewieście słabego zdrowia – odezwał się wreszcie Olaf cicho – prowadzić gospodarstwo na tak wielkim dworze jak ten, dzielić z mężem troski i kłopoty, może rodzić i karmić jedno dziecko po drugim, mimo choroby i zmęczenia. Widziałem, jak było z twoją matką, Eiriku. Ciężki miała tu żywot.

Nagle Eirik podniósł się i stanął przed ojcem.

– To wszystko prawda, ojczu. Lecz teraz straciłem wszelką ochotę do mieszania się w sprawy tego świata. Zamierzam wstąpić do klasztoru.

Olaf podniósł głowę; zgnębiony wpatrywał się w młodego człowieka. Eirik rzekł:

– Rozumiem, ojczu, że ciężki to cios dla ciebie. Masz jedynego syna, który ma po tobie dziedziczyć, i ten chce zostać mnichem. Lecz nie będziesz sprzeciwiał się temu.

– Sprzeciwiać się...? Lecz to przychodzi tak nieoczekiwanie... w tej chwili Eirik uświadomił sobie, że i na niego samego spadło to niespodzianie. Podobna myśl nie przeszła mu nawet przez głowę, dopóki jej teraz nie wypowiedział. W takim razie jednak Bóg sam włożył mu te słowa w usta.

– Po świętach zamierzam udać się do miasta i pomówić z gwardianem.

– Chcesz więc tam iść? Zostać żebrzącym mnichem? Eirik skinął głową.

– Czy inni wiedzą już o tym... czy w klasztorze cię oczekują? Eirik zaprzeczył.

– Musisz mi w takim razie zostawić czas, abym rozważył tę sprawę – powiedział Olaf.

Eirik znów skinął głową. I nie mówili już więcej z sobą, a po chwili weszła Cecylia z dziewczkami.

Zaledwie Olaf wszedł do komory, Eirik rzucił się na kolana przed krucyfiksem. Było mu tak na duszy jak człowiekowi, który zabłądził na bagnisku i nagle trafia na twardą ścieżkę. Modlił się z taką żarliwością jak zbłąkany, co śpieszy ku zamieszkałym osiedlom. Wydało mu się to niemal znakiem Bożym – nigdy bowiem dotychczas ani przez mgnienie oka nie zamierzał iść do klasztoru. Im dłużej się modlił, tym wyraźniej zdawał się rozpoznawać właściwą drogę i tym jaśniej stawało się dokoła niego.

I teraz nie więcej niż zwykle zastanawiał się nad tym, co znaczą słowa pacierza, kiedy modlił się rano i wieczór i za każdym razem, gdy wchodził do kościoła. Lecz modlitwa niosła jego myśli niby wartki nurt, z którym płynął coraz dalej ku nowym, nieznanym krainom.

Niewiele się nauczył z chrześcijańskiej wiary, a i tego zapomniał prawie zupełnie. Skoro jednak usiłował wskrzesić w pamięci wszystko, co ongi wiedział – o życiu i śmierci Zbawiciela, o historii Panny Maryi, gdy przypominał sobie słowa przypowieści i psalmów Dawidowych, pacierze odmawiane w czasie mszy – miał wrażenie, że wędruje po wspaniałej hali, gdzie w każdym kącie stoją olbrzymie, cudnie rzeźbione skrzynie i szkatuły, on sam zaś jest dziedzicem, który stoi tu po raz pierwszy i trzyma w ręku pęk kluczy. Pełen niecierpliwego zapału zaledwie mógł doczekać godziny, w której wolno mu będzie otworzyć, posiąść i dotknąć tego wszystkiego, co spoczywa ukryte w tajemnicach wiary. Może zostanie księdzem – nie był głupszy od innych, uda mu się więc chyba to osiągnąć. Eirik jakby we śnie widział siebie jako kapłana stojącego przed ołtarzem; spowity w biel i przetykane złotem szaty podnosił w górę ręce, by przyjąć najgłębsze misterium królestwa niebieskiego, w niepojęty sposób związane z Chrystusem w cudownej ofierze mszy. Zupełnie jak gdyby Anioł Pański chwycił go za włosy, dźwignął i wyniósł ponad zwyczajny świat, w którym żył dotychczas, i postawił go na tym miejscu... Przypominał sobie opowieść o owym żydowskim mężu, który

wyszedł z kociołkiem, aby zanieść pożywienie żniwiarzom, gdy nagle ukazał się Anioł Boży, chwycił go za włosy i przeniósł do Babilonu. Ale się zadziwią braciszkanie w Konungahella, skoro dowiedzą się, że Eirik syn Olafa wstępuje do ich zakonu! Ani im, ani jemu nie śniło się nigdy, że pewnego dnia zostanie bosym mnichem! Uświadomił sobie, że i ta myśl również przysła jak natchnienie – bez konieczności zastanowienia się i wyboru: ma iść do minorytów w Oslo. I zadowolony był z takiego wyboru Boga. Zawsze spowiadał się u minorytów, i w Oslo, i w Konungahella; powiadano, że ci zakonnicy modlą się o wiele goręcej za spowiadających się niż księża świeccy. Co prawda rzadko tylko spowiadał się częściej niż raz w roku, przed Wielkanocą – nieostrożnie obchodził się z własną duszą, teraz to spostrzegł. Lubiał tych braci i cieszył się, że sprawi im radość, gdy zjawi się u nich i poprosi o przyjęcie do ich wspólnoty.

Olaf leżał bezsennie. I podczas gdy usiłował uporządkować zamęt myśli poruszonych w nim słowami syna, słyszał spieszny, żarliwy szept – *Pater noster, Ave, Credo, Laudate Dominum...* Młody głos podnosił się i zniżał, słowa płynęły wolniej, to znów szybciej, zależnie od tego, jak toczył się nurt myśli w sercu Eirika.

Nim pogrążył się w modłach, chłopak zapalił świecę. Stała tak, że Olaf nie widział jej z miejsca, gdzie leżał. Lecz przez otwór wejściowy dostrzegał, że izba tonie w łagodnym, żółtawym blasku.

Serce Olafa ścisnęło się, choć sam sobie powtarzał, że jest wielkim szczęściem, jeśli Eirik nieoczekiwanie i z własnej woli poczuł nagle powołanie do klasztornej życia... Było to szczęście dla niego samego. On zaś nie będzie musiał dręczyć się myślą o nieprawym, dziedzicu, którego przez oszustwo wprowadził do rodu.

Jakkolwiek wielkiego dopuścił się bezprawia podając dziecko innego za swoje własne, to jednak gdyby tego nie uczynił i pozostawił chłopca tam, gdzie go ukryła matka, wówczas Eirikowi nigdy nie przypadłby w

udziale los inny niż los dziecka ubogich ludzi. To również byłoby krzywdą, krzywdą przez nią wyrządzoną. A teraz zostanie sługą Bożym i pójdzie do klasztoru, hojnie wyposażony; gdyby chciał oddać tam całe dziedzictwo po matce, on, Olaf, nie sprzeciwi się temu. Tak więc przynajmniej ten grzech zostanie wymazany. I z tego dziecka zrodzonego z jej nieszczęścia wyrośnie życie ku chwale Boskiej i pożytkowi ludzkiemu. W takich czasach jak obecne, kiedy tylu ludzi odnosi się do Boga obojętnie, opornie i bez miłości, jest rzeczą piękną i pożyteczną, jeśli młody człowiek pochodzący z takiego stanu jak Eirik porzuca wszystko dla królestwa niebieskiego. I może będzie pomocny swej matce, może... Może i jemu także.

Mimo to ciężkie było serce ojca.

Nie mógł uwolnić się od myśli o tym, co Eirik mówił o sobie i Bothildzie. Byłoby to nierozsądne małżeństwo i Olaf nie był pewien, czy dałby na nie pozwolenie. Mimo woli jednak myślał o zmartwieniu dwojga młodych, o długich nocach spędzonych na czuwaniu u łoża przybranej córki. Czyżby nieboga leżała i cierpiała z tego powodu?... Pragnął teraz nieomal, by z nim szczerze mówiła. A jednak choroba z pewnością na dobre byłaby ją chwyciła i skończyłoby się takim samym nieszczęściem jak z Inguną. Eirik otrzymał zaiste lepsze dziedzictwo. Dobrze, że tak się stało.

A jednak, jednak... Ileż razy myślał, że byłoby najlepiej, gdyby Eirik nie powrócił nigdy do Hestviken. Tak bardzo raziła go natura chłopca, tyle razy gniew, pogarda, bezradność wobec tego obcego ptaka, którego przyjął do swego gniazda, i tyle innych uczuć dołączało się do tego, podczas gdy osłaniał i strzegł dziecko przed nieszczęściem, co zniszczyło życie jego i Inguny! Zajął się Eirikiem od najmłodszych jego lat, troszczył się o niego, gdy wyrastał na mężczyznę. A teraz kiedy miał go stracić, było tak, jak gdyby tracił własnego syna.



Głos obok zamilkł, lecz świeca płonęła dalej; chwilami dolatywało chrapanie. Olaf podniósł się i zajrzał do izby. Eirik klęczał jeszcze oparty o skrzynię z głową ukrytą w ramionach. Zapalona świeca stała tuż obok jego łokcia. Łatwo mógł ją strącić na słomę rozeslaną na podłodze.

Ojciec ujął Eirika za ramię i potrząsnął najłagodniej, jak tylko potrafił. Na wpół rozbudzony, z zaspanymi oczami, chłopak podniósł się bez jednego słowa, w półśnie położył się i natychmiast zasnął. Był jak dziecko, które we śnie czyni posłusznie wszystko, co mu ojciec każe.

Olaf zdmuchnął świecę, zgniótł knot mokrymi palcami i po cichu wśliznął się do komory. Leżąc bezsenne w ciemności daremnie usiłował zagłuszyć głos nierozsądnego serca.

W tydzień później, pewnego wieczoru, kiedy Eirik pogrążony był w modlitwie – teraz jemu samemu zdawało się, że od niepamiętnych już czasów co wieczór, po udaniu się domowników na spoczynek, oddaje się godzinnym modłom – wyrwał go z zadumy przenikliwy szept:

– Eiriku!

Odwrócił się. Na drabinie wiodącej na poddasze ujrzał jasną postać siostry.

Zakończył pośpieszonym *In nomine*, przeżegnał się, jak gdyby narzucał okrycie, zerwał się z klęczek i podszedł do drabiny.

– Przeze mnie nie śpisz, Cecylio?

– Tak, obawiam się, że mógłbyś zasnąć przy palącej się świecy. Zdarzało się to przez parę wieczorów, a wczoraj musiałam zejść i zgasić świecę, bo ojciec też zasnął.

Dziewczyna drżała z zimna w cienkiej koszuli. Eirik stał przed nią i patrzył na jasną postać; pomyślał, że podobna jest do anioła, pochylił więc głowę i chuchnął z czułością na nagie, zaczerwienione od chłodu stopki, widoczne spod długiej, fałdzistej koszuli.

– Idź na górę, Cecylio, i połóż się – rzekł serdecznie. Nagle poczuł chęć, by porozmawiać z siostrą o tym czymś nowym, co przepełniało mu duszę. – Przyjdę do ciebie na chwilę.

Wśliznął się pod skórę na posłaniu siostry, ramieniem objął poduszkę i zaczął mówić z zapalem:

– Dowiesz się o czymś nowym, co cię zadziwi, Cecylio. Zamierzam wstąpić do klasztoru.

– Wiem, słyszałam o tym. Eirik milczał, zaskoczony.

– Słyszałaś? Czy ci ojciec powiedział?

– Nie, Ragna.

Ragna, dziewczka od krów... No tak, przed nią wspomniał o tym również. W tej chwili przemknęło Eirikowi przez głowę, że już wielu ludzi wtajemniczył w swój zamiar. Lecz Ragna okazywała mu zawsze tyle życzliwości – przyrzekł więc, że skoro zostanie mnichem, będzie się modlić szczególnie często za jej najstarsze dziecko, chorą dziewczuszkę. Cała trójka dzieciaków Ragny zaprzyjaźniła się wielce z Eirikiem ostatniego lata.

– Tak jest – rzekł Eirik. – A ty, czy nigdy o tym nie myślałaś, Cecylio, czy nigdy nie pragnęłaś zostać mniszką i służyć Dziewicy Maryi?

– Nie – odparła Cecylia. Zabrzmiało to jak trzask zamykanych drzwi i Eirik zamilkł.

– Nie, nie – odezwał się po chwili z wahaniem. – I mnie ta myśl nie przyszła sama z siebie. Zesłało mi ją Miłosierdzie Boże.

– Więc zupełnie nagle nawiedziła cię podobna myśl? – spytała Cecylia z niedowierzaniem.

– Tak jest – odrzekł Eirik wesoło. – Niby pukanie do drzwi w nocy i głos wołający, który kazał mi powstać i wyjść. Ja także nie myślałem przedtem nigdy o klasztorze. Może i z tobą tak się stanie, siostrze?

– Nie wiem – odparła cicho. – Nie wierzę w to... Ale cicho robi się tu po twoim odjeździe – szepnęła i głos jej stał się nagle bezsilny i żałosny. – Najpierw straciłam Bothildę, a teraz ty nas porzucasz...

Eirik leżał w milczeniu, poruszony słowami siostry. Zapomniał niemal o ich wspólnym lecie wskutek tego wszystkiego, co nastąpiło potem; daleko również odszedł w ostatnich dniach od wspomnień o Bothildzie. Lecz teraz nasunęła mu się myśl, że tutaj, gdzie leżał, sypiała u boku Cecylii. I wspomnienia nagle rozbudzone napełniły go smutkiem. Nie mógł słowa z siebie wydobyć.

– Płaczesz? – zapytał w końcu, ponieważ Cecylia milczała również.

– Nie – odparła tak samo krótko jak przedtem.

Tak, Bothilda spoczywała pod ziemią, a on wkroczył na drogę prowadzącą daleko od tego wszystkiego. Lecz Cecylia musiała tu pozostać, samotna jak ptak po odlocie innych – sam na sam z posępnym, milczącym ojcem.

– Nie słyszeliście nic o Jörundzie? – zagadnął nagle. – Nie. – w głosie jej wyczuł wzburzenie.

– To dziwne. Wspominał mi przecie, że zamierza tu przybyć tej zimy.

Cecylia wzdygnęła się na te słowa; odwróciła się gwałtownie do ściany. Eirik czuł, że drży. Wsparł się na łokciu i nachylił nad siostrą.

– Co ci jest? – spytał z lękiem.

– Nic – szepnęła głosem zduszonym. – Nie ciekawam wcale, gdzie obraca się Jörund syn Kolbeina. Ja nie oddałam mu swego serca.

Eirik powiedział niepewnie:

– Nie rozumiem... Mówisz, jakbyś była zła na niego...?

– Zła? – Jednym rzutem ciała odwróciła się do brata. – Możem i zła. Nie jestem przyzwyczajona do tego, aby jakiś mężczyzna mówił ze mną w ten sposób jak Jörund. A odpowiedziałam mu tak, że... że... lekceważenia nie zniosę.

– Teraz musisz mi powiedzieć, co to ma znaczyć – prosił Eirik spokojnie.

– Nic, nic nie wiem. Może to w oczach ludzkich nie ma większego znaczenia, może to tylko ja, taka kura domowa, sądzę, że słowo szlachetnej dziewicy jest tak cenne. Przyszedł do mnie, do niewieściej izby, wieczorem przed odjazdem... I powiedział wtedy, tak jest, mówił, że powróci ze swymi krewnymi i będzie prosił o mnie. Potem zapytał, czy to jest wbrew mojej woli. Zaprzeczyłam. Prosił mnie również, bym pozwoliła się pocałować – szepnęła prawie niedosłyszalnie. – I na to też nie powiedziałam „nie”. Bóg wie, że wolałabym, aby mnie nie był

pocałował. Bóg wie, że nie czułam dla niego miłości. Ale mówił tak, że sądziłam, iż ojciec życzy sobie tego małżeństwa i ty także... Nie chciałam opierać się waszej woli. Miałam wtedy zresztą tak dobre pojęcie o Jörundzie! Zdawało mi się, że będzie lepszy od wielu innych... Poza tym zrozumiałam, że ojciec nie pozwoli mi postanawiać samej o małżeństwie. Lecz Jörund lekceważył sobie widać obietnicę i całusa...

Eirik pochylił się nad siostrą i pocałował ją w usta. Potem znów położył się spokojnie.

– Może Jörund nie mógł sam sobą rozporządzać – odezwał się nagle, jakby usprawiedliwiająco. – Może jego krewni omówili bez jego wiedzy inne małżeństwo dla niego.

– W takim razie nie powinien był nic mówić – obruszyła się Cecylia – skoro nie wiedział, na jakim żyje świecie.

– Możliwe. Ale mówił ze mną o tej sprawie tak, jakby mu bardzo na tym zależało, by cię dostać. Wiesz przecież jednak, że musiał wracać do domu i poradzić się braci.

– Czyżby oni myśleli, że nie jesteśmy dość godni Jörunda? Eirik nie wiedział, co rzec. Siostra miała słuszny powód do gniewu. Przypominał sobie, że prosił Jörunda, aby o niczym przed nią nie wspominał, póki nie przybędzie w swaty do Hestviken – i Jörund obiecał mu to. Eirik uważał jednak, że Jörund z łatwością mógł zapomnieć o swym przyrzeczeniu mówiąc ze słodką i piękną Cecylią. Wziął rękę siostry, położył ją na swej piersi i głąskał czule, starając się dalej tłumaczyć druha tą samą przyczyną.

– Zapewne wybrali dla niego inny ożenek, a on o tym nie wiedział.

Cecylia nie odpowiedziała. Eirik leżał dalej i pieścił jej rękę, ale po chwili poczuł, że ogarnia go senność. Siostra z pewnością już spała. Raz jeszcze pochylił się nad nią i ostrożnie ucałował, po czym wysliznął się cichutko z łoża i zeszedł na dół. Stał już na drabinie, gdy chłodny, dziewczęcy głosik dobiegł go z mroku poddasza:

– Dziś nie będziesz się chyba więcej modlił?

– Nie, idę już spać.

– W takim razie zgaś zaraz świecę.

Eirik zrobił to. A potem leżał i gniewał się w duchu na Jörunda, który tak mało szacunku okazał siostrze i im wszystkim. Równocześnie przykra mu była myśl, że Cecylia ma być oddana Jörundowi. Ten jeden jedyny tydzień, w ciągu którego żył zwracając myśli w odmiennym niż dotychczas kierunku, zmienił jego sąd o wielu sprawach. Myślał teraz z odrazą, z głęboką troską o całym swym życiu, od dnia, kiedy uciekł z ojczystego domu. Żałował swych grzechów – i ta skrucha była dobra, lecz jeśli miał odtąd ofiarować swoje życie Bogu, pragnął, aby ono było mniej skalane...

Od Jörunda, który nie miał takiego powołania, nikt jednak nie mógł żądać, aby był lepszy od innych. Jörund na pewno nie był gorszy, lecz Cecylia była za dobra...

Olaf nie brał tego całkiem poważnie, gdy mówił tak, jak gdyby szczególnie wysoko cenił zakon braci bosych. Uprzykrzyli mu się, podobnie jak wielu innym w okolicy za czasów siry Hallbjörna, ponieważ ksiądz o każdej porze dnia ciągnął ich na probostwo. Szare habity długo i uporczywie wiodły zatarg z kapitułą oraz księżmi w Oslo, lecz nie było wcale pewne, czy to zakonnicy ponoszą główną winę sporów. Poza tym swego czasu brzydko mówiono o jednym z mnichów i Eldridzie córce Bersego. No, ale szkaradne plotki o Eldridzie krążyły zawsze, odkąd ojciec oddał upartą młodą dziewczynę staremu Haraldowi synowi Jona; prawdy zaś o tej sprawie ludzie nie dowiedzieli się nigdy – Eldrida była

bezpłodna. Zresztą była córką bratanka świętej pamięci siry Benedikta i w drugim stopniu spowinowacona z córkami Arnego, krewni jednak nie mówili o niej nigdy; została wyłączona ze wspólnoty ludzi szanowanych. Młodego zakonnika, brata Gunnara, który zbyt często bywał u niej na Neset, wyprawiono podobno za granicę do wielkiej uczelni.

Jedynymi ludźmi w zakonie, których Olaf znał nieco, byli malarz Edvin, brat synów Ryszarda, oraz brat Stefan, który przyjeżdżał raz w roku w czasie Wielkiego Postu do Hestviken; robił to stale od owego czasu, gdy był przy śmierci Inguny. Olaf nie lubił powierzchowności brata Stefana; był to człowiek niski i pokrzywiony, twarz zaś przypominała szczura wodnego. Mimo woli oczekiwało się, że za chwilę zacznie poruszać swoim długim, miękkim nosem. Lecz Olaf słyszał o nim same dobre rzeczy.

Jeżeli postanowienie Eirika było niezachwiane, Olaf był gotów posłać go do klasztoru minorytów z odpowiednim wyposażeniem.

Olaf myślał również wiele o sprawie pochodzenia Eirika. Nigdy jednak nie słyszał, by komukolwiek, kto nadawał się na mnicha lub księdza, odmówiono dyspensy z powodu nieprawego pochodzenia. On sam zaś tyle już dźwigał na swych barkach, że weźmie jeszcze i ten grzech – nie zdradzi tajemnicy. Jego brzemieństwo wrosło mu w ciało i duszę. Czuł, że już nie odważy się z nim rozłączyć.

Eirik odczuwał zmianę w odnoszeniu się ojca do niego jako cząstkę swego nowego szczęścia. Chociaż Olaf niewiele więcej mówił z synem, niż to było w jego zwyczaju, Eirik czuł nie znaną dotąd serdeczność płynącą ku niemu, ilekroć przebywał w towarzystwie starego człowieka.

Większość pouczeń i przykazań ludzi pobożnych, jakie Eirik słyszał w ciągu ostatnich lat, wchodziła mu do głowy jednym, a wychodziła drugim uchem. Teraz jednak to i owo wyłaniało się znowu z zapomnienia: „Szukajcie tedy najsampierw Królestwa Bożego i sprawiedliwości Jego, a wszystko inne będzie wam przydane”... – coś podobnego powiedział Chrystus do swych uczniów. Eirik przypomniał sobie teraz te słowa. Przez całe życie łaknął jednej rzeczy bardziej niż wszystkiego innego: zmusić ojca, by patrzył na niego z miłosną dumą. Dziś kiedy chciał się wyrzec wszelkich dóbr tego świata, aby w zamian pozyskać królestwo niebieskie, niby dar pożegnalny otrzymał to, o co żebrał od dziecka.

Tak więc jedynie myśl o siostrze niepokoiła Eirika. Wprawdzie sam sobie powtarzał, że pewnie nikt inny prócz ojca i siostry nie wzięłyby tak bardzo do serca owej sprawy z konkurami Jörunda, nikt inny nie nazwałby tego wiarołomstwem lub lekceważeniem. W obecnych czasach ludzie nie brali na wagę złota każdego słowa – on sam nie czynił tego nigdy. Lecz teraz wydało mu się, że ojciec ma słuszość: życie byłoby o wiele łatwiejsze, gdyby ludzie dotrzymywali danego słowa.



Pewnego więc dnia, kiedy Olaf z Eirikiem smółowali łodzią na wybrzeżu i Cecylia przyniosła im podwieczorek, Eirik odezwał się po jej odejściu:

- Będzie się tu czuła samotnie, gdy odjadę.
- Być może – Olaf spoglądał zamyślony na młodą dziewczynę, która szła po zboczu pod górę.

Eirik dodał:

- To jest jedyna moja troska; że muszę odejść, nim jej szczęście będzie



zapewnione.

– Tę troskę możesz śmiało mnie zostawić – Olaf ściągnął usta krzywiąc je w lekkim uśmiešku, który tak często wykwitał dawniej na jego wargach w rozmowie z synem. – Przez tyle lat nie zauważyliśmy, abyś się bardzo troszczył o dobro twej siostry.

– Nie, to prawda... Lecz musiałem rozejrzeć się nieco po świecie, podobnie jak inni mężczyźni. I wiedziałem, że jest bezpieczna pod twoją opieką.

– Czyżby ta opieka teraz nie była już dostatecznie dobra?

Eirik stał ze spuszczonej oczyma i przyciskał skrobak do burty łodzi.

– Wiesz przecie, ojcze, że z wolna starzejesz się i dlatego... – zmieszany podniósł oczy. Oblicze Olafa było zimne i nieprzyjemne. Mimo to Eirik ciągnął: – Moja siostra nie jest tak wesoła i niefrasobliwa, jak powinna być w tym wieku.

Olaf nie mógł się powstrzymać, choć przykro mu było pytać o to:

– Czy skarżyła się przed tobą? – spytał z niedowierzaniem.

Myślał o Aslaku. Lecz Eirik odparł:

– Cecylia, tak mi się zdaje, dziwi się, że Jörund jakby wpadł w wodę.

Olaf zajął się jeszcze pilniej wykonywaną robotą, nic jednak nie powiedział.

– Nie otrzymałeś od nich jakiejś wieści? – zagadnął wreszcie Eirik.

Olaf odrzekł:

– Czy ona wie, że Jörund...? O ile mnie pamięć nie myli, prosiłem cię, byś powiedział twemu przyjacielowi... Żądałem, aby nie wspominał o tym dziewczynie, nim sprawa dojrzeje. Niemęskim i nieszlachetnym nazwałbym jego postępowanie, gdyby mówił z tak młodziutkim dziewczątkiem, nim jego krewni i ja dojdziemy do porozumienia.

Głos ojca dźwięczał taką pogardą, że w Eiriku ocknęło się coś z dawnej przyjaźni do towarzysza broni.

– Na pewno nic nie mówił. Ale skoro dwoje młodych czuje skłonność do siebie, trudno to ukryć tak, by jedno nie wiedziało o drugim.

Olaf pracował dalej w milczeniu.

– Jörund?! – krzyknął nagle drwiąco i z taką złością, że Eirik nie śmiał o nic pytać.

Rok jeszcze nie minął, odkąd Aslak wyrzekł te same słowa: tego nie sposób ukryć. Od tej pory Olaf śledził bacznie córkę w obawie, że mogłaby zbyt boleć nad rozłąką z Aslakiem. Mógł sobie tego tymczasem śmiało oszczędzić. Było jasne jak na dłoni, że tak bardzo znów się nie martwiła, bo zaledwie zjawił się Jörund... A więc i nad tym zmartwieniem przejdzie do porządku dziennego. Jest przecież jeszcze na pół dzieckiem... A jednak czuł jakby rozczarowanie, że jego córka umie tak prędko zapomnieć...

Eirik chciał jeszcze przed Wielkanocą udać się do klasztoru. Nie mógł znaleźć spokoju ducha, dopóki nie rozpocznie zakonnego życia.

Olaf miał zamiar odprowadzić syna, lecz rozchorował się. W bitwie o most na Fryzji nabawił się jakiejś wewnętrznej choroby; z początku nie zwracał na to uwagi, od czasu do czasu jednak objawiała się ona krwotokiem i odpluwaniem czarnych skrzepów krwi. Tym razem musiał się położyć. Lecz Eirik nie mógł czekać. Przyrzekł ojcu, że go zawiadomi na czas o dniu obłóczyn.

Wczesnym rankiem, gotów do podróży, wszedł do komory, by się pożegnać z ojcem. Ukłąkł przed łóżem i prosił ojca o błogosławieństwo.

Olaf powiedział:

– O jedno cię proszę, Eiriku: byś wyuczył się oficjum za zmarłych i odmawiał je co tydzień za duszę twej matki i za ojca.

– Obiecuję ci to. Będę się modlił za matkę i za ciebie, jak tylko potrafię.

Olaf odparł cicho:

– Módl się za twojego ojca. Mojego imienia jednak nie wymieniaj.

Do głębi wzruszony pokorą ojca Eirik ucałował jego rękę.

U minorytów przyjęto Eirika bardzo serdecznie. A taka go teraz ogarnęła żarliwość, że nie chciał czekać, aż miną święta; natychmiast zaczął przygotowywać się u braci do nowego życia i ile razy mógł, towarzyszył im do prezbiterium i śpiewał wraz z nimi.

W tydzień zaś po Wielkanocy zgłosił się do gwardiana i oznajmił, że chciałby przed porzuceniem świata pożegnać się z przyjacielem. Pragnął natychmiast jechać do niego, wtedy zdąży może jeszcze z powrotem na świętego Eirika<sup>[18]</sup>, w którym to dniu miały się odbyć obłóczyny.

Eirik był przekonany, że wzburzenie siostry owej nocy, kiedy leżeli i rozmawiali z sobą, płynęło stąd, że kocha Jörunda. W każdym razie chciał zobaczyć, czy nie mógłby oddać ukochanej siostrze przysługi, nim zamknie się w klasztornych murach. Chciał zbadać, jak sprawy naprawdę stoją.

Na Gunnarsby przyjęto go życzliwie, jedynie Jörund był nieco powściągliwy. Kiedy jednak Eirik oznajmił, że zamierza wstąpić do klasztoru i przybywa po to, by pożegnać się z przyjacielem, tak Jörund jak i jego bracia zdawali się niezwykle zdumieni.

Przedostatniego dnia pobytu na Gunnarsby Eirik wybrał się z Jörundem nocą na tokowisko głuszców. Kiedy szli lasem, Jörund odezwał

---

[18] Świętego Eirika – 18 maja. (Przyp. tłum.)

się do przyjaciela:

– Wydaje mi się, Eiriku, żeś powinien poczekać jeszcze trochę, zanim wyrzekniesz się Hestviken i innych dóbr świata.

Po głosie Eirika poznał, że młodzieniec uśmiecha się w ciemności:

– Po co? Sądziś, że to przydałoby się na cokolwiek, gdy wiem, że ten zamiar powstał niezależnie ode mnie? A Temu, który mnie zawołał, nie pozwolę czekać.

– To również będziesz musiał porzucić – rzekł Jörund żartobliwie, dotykając Eirikowego łuku. – Byłeś doskonałym myśliwym.

– Zamienię go na łuk, którego strzały wyżej niosą.

– Tak, to prawda. Ale może poczekasz jeszcze do czasu, aż pomówimy z twym ojcem. Wiesz już, co mam na myśli... Abyś się wstawił za mną u Olafa i Cecylii...

Eirik z trudem starał się ukryć radość. Jörund zwierzył mu się teraz, że całą zimę przeżył w niepokoju i tęsknocie za Cecylią. Lecz zwlekał, gdyż była mowa o tym, że Steinar z Brynhildą mają przenieść się do Norderheim; w ten sposób zaoszczędzono by może Cecylii życia na jednym dworze z Brynhildą, która jest prawdziwą jędzą. Teraz jednak sprawa została rozstrzygnięta.

Eirik dotrzymał słowa danego gwardianowi. W oznaczonym czasie wyruszył w drogę powrotną. Jörundowi wręczył spinkę jako znak dla Cecylii.

Olaf syn Auduna podniósł się dopiero co po chorobie, kiedy bracia z Gunnarsby przyjechali do Hestviken.

Olaf przyjął ich uprzejmie. Sądził, że obcy nie spostrzegą, jak bardzo jest osłabiony i że nie może jeść; duszę miał też jak gdyby zmęczoną. Nie umiał zdać sobie jasno sprawy, co ma odpowiedzieć, gdy przedstawią swą prośbę.

Opanowany gniewem na Jörunda Rypę, który najpierw wyłudził od niego półobietnicę, a potem trzy ćwierci roku nie przesłał żadnej wieści, Olaf sądził, że ten chłopak nie przypadł mu do serca, przestawał mu wierzyć, ledwo tracił go z oczu. Cecylia mogła znaleźć dziesięciu mężów więcej wartych od niego. Lecz teraz przybyli do niego ci młodzi Rypa i trudno było zaprzeczyć, że są ludźmi dwornymi, z dobrego rodu. Najstarszy, Aake, był ożeniony z Łucją córką Torego z Leikvin, Steinar zaś z Brynhildą córką Berga z How w Lautin; ciężko więc przyszłoby mu znaleźć na tyle poważną wymówkę, by dać odprawę Jörundowi. Nie miał innej przyczyny niż ta, że po prostu nie czuł ochoty na danie zezwolenia.

Pchnął więc po cichu gońca do Baarda na Skikkjustad i prosił go o spotkanie w oznaczonym miejscu w lesie, z dala od dworu.

Baard stawiał się i powtórzył raz jeszcze wszystko, co wiedział o ludziach z Gunnarsby.

Wiekowe dęby stały dokoła okryte młodziutkimi, rdzawymi listeczkami na tle niebieskiego przestworu; wszędzie, dokąd docierało słońce, świeża ruń trawy przebijała się spod płowej warstwy zeschniętych liści. Pod wielkimi, zarytymi w ziemię i nagrzanymi przez słońce głazami błękitniały duże kępki fiołków. Olaf wyciągnął się na zboczu. Baard siedział obok i patrząc na przyjaciela myślał w duchu, że Olaf jest bardzo

schorowany i stary. Oblicze jego było szare i zapadnięte, oczy tak zbladłe jak wodniste mleko, a ich białka pożółkły; nawet piękny srebrny połysk, włosów i brody zdawał się zmaćony. Baard rzekł więc:

– Wiesz przecież, krewniaku, że Torgrim i ja będziemy strzec Cecylii i jej dobytku, jak tylko potrafimy najlepiej, gdyby przyszło do tego, że zostanie sama. Ale teraz, kiedy Eirik ma zamiar iść do klasztoru, wszystko, co posiadasz, należeć będzie do niej. Małżonek zaś jest zawsze lepszym od innych gospodarzem.

Olaf kiwał głową. Wiedział o tym. Gdyby nawet opiekunowie jak najstارانiej dbali o dziecko, to jednak majątek rozwija się najlepiej w rękach tego, do kogo należy. Gdyby Jörund dostał Cecylię, to zaraz po jego, Olafa, śmierci albo też jeszcze wcześniej, gdy będzie za stary, by mógł sam gospodarzyć, powrócą na Hestviken; na Gunnarsby siedzieli już i tak dwaj żonaci synowie. Z pewnością wieść o tym, że Eirik zostaje mnichem, sprawiła, iż bracia teraz właśnie przybyli w swaty. Ponieważ jednak, jak twierdził Eirik, dwoje młodych jeszcze latem skłaniało się ku sobie, Jörund nie będzie kochał Cecylii mniej, jeśli w posagu za nią dostanie cały dwór. Wszyscy zaś młodzi Rypa uważani są za dzielnych i rozsądnych gospodarzy – tak mówił Baard. Olaf nieraz też myślał o tym, że nim się człowiek obejrzy, córka może zostać nagle sama; tej wiosny czuł się bowiem bardzo źle. Wprawdzie Cecylia będzie bezpieczna pod opieką Baarda i Sygne, sama również mimo młodego wieku okazuje sporo rozsądku. Ale pomimo to żył w ojcu ustawiczny lęk; a nuż odziedziczyła naturę matki i jego – niech ją Bóg strzeże...

– A więc namawiasz mnie, jak widzę – powiedział cicho.

– Hm... namawiać nie namawiam – odparł Baard. – Ale tak jak obecnie sprawy stoją, nie chciałbym ci jednak odradzać, Olafie.

Kiedy więc Aake syn Kolbeina przedłożył sprawę brata, Olaf wysłuchał go życzliwie. W końcu ułożono, że uczta zrzękwiniowa wyprawiona zostanie na Hestviken w wigilię świętego Columbansa, a w cztery dni przed świętym Lavranssem odprowadzą narzeczoną na Gunnarsby.

Olaf syn Auduna nie był w klasztorным kościele minorytów, odką go wykończono.

Był rześki i pogodny poranek majowy. Wiosna nastąpiła tego roku tak wcześnie, że drzewa dzikich wiśni przy drodze obsypane już były kwieciami, kiedy Olaf szedł w górę od mostu ku klasztorowi. Wstał bardzo wcześnie. W chwili gdy znajdował się już na górze, rozbrzmiały dzwony na dzwonnicy. Wibrujące, spizowe dźwięki tuż nad jego głową przejęły go zimnym dreszczem.

Światło słoneczne wpadało przez okna do kościoła szerokimi strumieniami, pył płał w powietrzu. Olaf szybko spojrzał dokoła, ale nie przypominało obrazu kościoła Franciszkanów, jaki zachował się w jego pamięci od owego pamiętnego wieczoru: wówczas kościół był mroczny, zimny i pusty, jeszcze nie uprzątnięty z gruzu, nagi szkielet prezbiterium wynurzał się z mroku. Teraz płał w barwnej tęczy światła; w okna wprawiono malowane szyby, ściany ozdobiono obrazami wymalowanymi na tynku, a główny ołtarz był bogato i pięknie przystrojony. Z tyłu, w głębi prezbiterium dojrzał w stallach zakonników w brunatnych habitach; odmawiali jeszcze godzinki.

Pod ścianą na lewo od prezbiterium, w miejscu, gdzie wznosił się niegdyś przedziwny żywy krucyfiks, ustawiono dwa niewielkie ołtarze boczne na tle tkanych kobierców. Był to zapewne ten sam krzyż, który

stał teraz na poprzecznej belce nad łukiem, lecz w świetle dnia wyglądał całkiem inaczej.

Kościół był jeszcze niemal pusty. Olaf usiadł więc na ławie przy drzwiach i czekał na chwilę rozpoczęcia mszy. Bezczyinnie rozglądał się dokoła; słusność mieli ludzie, którzy opowiadali, że kościół braci bosych jest teraz piękny. Ponad nim wołały dzwony, a ludzie zaczęli płynąć do środka gęstniejącą falą. Nadeszła jego własna świta, Beard w swym najlepszym stroju, Anki oraz Tore w nowych szatach, które im podarował na tę uroczystość. Uklękli na chwilę, a gdy się podnieśli, Olaf podszedł do nich i razem poszli przez kościół w stronę prezbiterium. Sygne i Una klęczały już zupełnie z przodu, po niewieściej stronie, a między nimi Cecylia. Młode dziewczę było osłonięte welonem. Kościół zapełnił się. Ilekroć nowicjusz miał przywdziać habit, zbierało się dużo ludzi.

Jakiś mnich szedł przez kościół z długim płonącym gaszakiem i zapalał świece na ołtarzu: większość ludzi stojących w pobliżu uklękła. Olaf czuł się zmieszany, że stoi i ściąga na siebie spojrzenia, przykląkł więc także i rąbkiem płaszcza zasłonił twarz. Jedwabny materiał był dziwnie chłodny i miękki w dotknięciu – dziwnie, bo w ostatnich latach nieczęsto ubierał się w odświętne szaty.

Z przyzwyczajenia, skoro już klęczał, zaczął szeptać pacierze; czynił to zawsze, ilekroć obyczaj i potrzeba wymagały, aby udawał, że się modli. Miał przy tym również pewien cel na oku. Uważano go za pobożnego chrześcijanina i pragnął za takiego uchodzić. Swoje odstępstwo pragnął ukryć w tajemnicy własnego serca – nie chciał być jawnie zaliczony w poczet tych, którzy sprzeciwiają się i urągają Bogu. Nie im życzył zwycięstwa i przewagi – zdawał sobie z tego sprawę, mimo iż stał się takim, jakim był obecnie. Chrystusowi życzył zwycięstwa i chwały, podobnie jak wygnany z kraju zdrajca raduje się w duchu ze zwycięstwa swych ziomeków i potajemnie ufa w przewagę znaku, pod którym jemu



samemu nigdy już walczyć nie będzie wolno.

Wiedział jednak również, że słowa płynące z jego ust są podobne do ziarna siewnego, w którym zanikła zdolność kiełkowania. A jednak rzucił je, albowiem nie chciał, aby sąsiedzi dowiedzieli się o jego nędzy.

Nagle uświadomił sobie, że zimą ma samotnie siedzieć w Hestviken... Wtedy nie będzie mógł już zagłuszyć jałowej pustki i milczenia serca myślą, że trzusi się dla innych, dla tych wszystkich, których dola i niedola zależy od jego mozołu. Dla Cecylii byłoby lepiej – Olaf rozumiał to doskonale – gdyby jej mąż objął całe dziedzictwo, i to im wcześniej, tym lepiej. Eirik będzie daleko, i Bothilda daleko...

Pozostanie więc sam na sam z własną duszą, niby więzień, którego zamknięto w najgłębszym lochu turmy razem z trupem współwięźnia.

Uczuł, że te myśli porywają go z błyskawiczną chyżością i wciągają niby spieniony wir rzeki – zawrót głowy ogarnął go na widok samotności, jaka zapanuje teraz tam, nad zatoką. Potem uczyniła się cisza dokoła niego, jak gdyby opadł na samo dno morza, w przejrzystą, nieruchomą głębinę. Przeniknęła go pewność, że i w tej głębi nie będzie sam. Skoro z bezpośredniej bliskości usunięte zostanie wszystko, ku czemu kierował myśli, zostanie znowu z tą jedyną Istotą, przed którą tyle razy próbował uciekać i kryć się...

„Boże, mój Boże, ścigałeś mnie aż do nieba, aż po chmury wysokie i aż na dno morza, w posępną głębinę.” Raz jeden stał przed obliczem Boga, pod bladym sklepieniem nieba w zimową noc – i wówczas utracił pół życia... Teraz, kiedy tracił wszystko, czym usiłował zapełnić jej miejsce, musiał poczuć na sobie wzrok Boga, przesywający go na wskrosz w ciemni morskich toni.

A może ziarno siewne, które wydaje się martwe, nie jest jednak martwe, może zamordowane dziecię na podściółce z uschniętych liści poruszy się i ocknie...?

Olaf nie wiedział – trwoga to czy nadzieja? Lecz w jasnowidzeniu, które znowu na niego spłynęło, ujrzał: nigdy nie lękał się wziąć na siebie ciężaru bólesci lub trwogi, o ile sądził, że uratuje przez to czyjeś życie przed zniszczeniem czy spustoszeniem. Jediną rzeczą, której się lękał nieustannie, był obraz życia złamanego i wypaczonego. I z dziwną jasnością zrozumiał, że ten sam odruch, który zmuszał go do zajęcia się wszystkimi ludźmi spotkanymi na jego drodze, zmusi go teraz do zajęcia się własną duszą. To, że człowiek ma miłować bliźniego jak siebie samego, słyszał i rozumiał zawsze – tak, to było słuszne, i im bardziej umiał ktoś dostosować życie swoje do tego nakazu, tym lepiej. Ale podobnie jak w prześwieconym słońcem witrażu można dopatrzeć się figur i rysunku, tak nagle Olaf pojął znaczenie zawarte w tym, co Bóg przykazał jasno i wyraźnie: że i siebie samego należy miłować...

Ocknął się, gdyż ktoś dotknął jego ramienia. Jeden z mnichów dał mu znak, aby posunął się naprzód. Nie zauważył, która część mszy została już odprawiona i że ksiądz doszedł do słów *Orate fratres*. Nagle dostrzegł Eirika. Nie zauważył, kiedy syn wszedł.

Tam, pod łukiem prezbiterium leżał Eirik, z rękami na krzyż rozpostartymi, z czołem przywartym do ziemi. Ciemnoszkarłatny aksamitny płaszcz spowijał leżącą postać i spływał na szare kamienne płyty; spod niego błyskał miecz – tego bowiem dnia, kiedy Eirik przybył tu po to, aby ofiarować Bogu siebie i wszystko, co posiadał, jemu jedynemu spośród wszystkich mężów wolno było wejść z bronią do domu Bożego.

Olaf podniósł się i zrobił kilka kroków. Po czym ukląkł na swym miejscu, po lewej stronie młodzieńca. I miłość do syna zerwała wreszcie wszystkie pęta. To był jego własny syn, którego dzisiaj oddawał... Olaf znowu ukrył twarz w fałdach płaszcza.

Córkę przyrzekł oddać również... Miał ją oddać człowiekowi, któremu niezupełnie ufał, powierzał ją temu wszystkiemu, co w świecie niepewne

i zmienne, ale pomimo to zdawało mu się, że Cecylii nie wypuszcza całkowicie z rąk. Mogło się zdarzyć, że jeszcze będzie zmuszony wkroczyć w jej życie. Eirika jednak oddaje Bogu, ma oddać temu, co mocniejsze niżli opoka, pewniejsze niż śmierć i Sąd Ostateczny. To była rozłąka zupełna, po wszystkie czasy, może nawet na całą wieczność.

„Mój syn, mój syn, który spełnia to, przed czym ja się wzdragałem...”

Nie mógł się skupić, by słuchać mszy, nie widział nic dokoła, póki nie posłyszał głosu tuż nad sobą. Gwardian stał na środku prezbiterium, przed nim klęczał Eirik, smukły i prosty. Młodą twarz zwrócił ku górze, spod odrzuconego w tył płaszcza, na jedwabnym kaftanie widoczne były kłamry i łańcuch oblubieńca. Eirik odziany był cały w czerwień, gdyż strój jego miał być ofiarowany kościołowi, w klasztorze zaś najbardziej potrzebowano nowego czerwonego ornatu.

Olaf słyszał, że Eirik daje odpowiedzi – głośno i dobitnie, dźwięk ich rozlegał się w całym kościele. Z tyłu zapłakało głośno parę kobiet; niektóre kobiety czynią to zawsze, usiłował wmówić w siebie Olaf, by samemu się nie poddać. Eirik był pełnoletni, tak że Olaf nie ponosił żadnej odpowiedzialności.

Ujrzał, że Eirik podnosi się z klęczek – gwardian podawał mu rękę. Ostrogi młodzieńca pobrzękiwały cicho i dźwięcznie, kiedy szedł za mnichem w stronę głównego ołtarza. Olaf dojrzał zwój grubej, szarej jak popiół wełny, leżącej na ołtarzu: błogosławiono teraz habit nowicjusza. A teraz wręczono go Eirikowi, który przyjął go i przycisnął do piersi.

Dławiący ból w krtani stawał się nie do zniesienia. Olaf poczuł, że mgła zasnuwa jego rozgorączkowane oczy. Znów zakrył twarz. Kiedy ją odsłonił, Eirika już nie było.

Olaf wstał z klęczek i przeszedł na swoje miejsce obok Baarda. Nie rozumiał ani słowa z czytanych obecnie pacierzy. Odśpiewano do końca *Veni Creator*, a on tego nawet nie zauważył.

Wreszcie wrócili. Olafowi zdawało się, że nie poznaje młodego mnicha. Kształtna, wąska, świeżo ogolona czaszka jaśniała nad krótko ściętym czarnym wieńcem włosów. Czy naprawdę była to smagła, niespokojna twarz Eirika, tak bardzo zmieniona i pobladła jak lipowe łyko pod ogorzałością? Jego ogromne złote oczy jarzyły się jak gwiazdy. W szarym habicie przepasanym powrozem na smukłych biodrach sprawiał wrażenie jeszcze wyższego i bardziej barczystego. A pod rąbkiem habitu Olaf dostrzegł bosc stopy syna w sandałach.

Przez chwilę Eirik stał spokojny i promieniejący. Potem odwrócił się i obszedł dokoła prezbiterium, witany przez swych nowych braci pocałunkiem pokoju. Gdy ojciec znów spojrział w górę, ostatni zakonnicy wychodzili przez drzwi wiodące do klasztoru.

Przed kościołem na wzgórzu Olaf spotkał swoją świtę. Jeden po drugim podawali mu ręce i wieszowali. Wielu mieszczan, którzy znali Olafa, podeszło i pozdrowiło go.

Córki Arnego ocierały zapłakane twarze rąbkiem chust niewieścich. Welon Cecylii był nadal spuszczone – zapewne nie podniosła go ani razu w kościele.

– Co sądzisz o tym, moja córko? – zagadnął ją Olaf, kiedy szli razem do gospody; zaproszono wszystkich na ranny posiłek.

– Pięknie – odparła tylko.

„No tak, ona przecie tak rzadko widywała brata w ostatnich latach” – pomyślał Olaf.

Olaf nie żałował niczego, kiedy wyprawiał córce zrękowiny, i ludzie, których zaproszono, mówili z zadowoleniem o tej biesiadzie. Wesołości i uciechy zazwyczaj było niewiele na Olafowych ucztach, lecz wszystko odbyło się dostojnie i pięknie.

Sygne i Una pozostały po zrękowinach na Hestviken z dwiema córkami i kilkoma dziewczkami. Teraz dopiero zaczęła się we dworze krzątania. Bogata wyprawa Cecylii musiała być w całości przejrzana i wykończona. Musiano też poszyć odświętne szaty dla wielu ludzi dworskich, których Olaf pragnął mieć w weselnym orszaku.

Pewnego ranka Sygne stanęła przed Olafem i oświadczyła, że muszą przejrzeć rzeczy, które, Cecylia odziedziczyła w spadku po matce.

Wyprawowa skrzynia Inguny córki Steinfinna stała przez te wszystkie lata w komorze Olafa; ilekroć mówiono o tym, by przenieść ją do jednego ze spichlerzy, nie odpowiadał nigdy. Teraz więc, kiedy Olaf ze starym Tore wnieśli ją do widnej izby, niewiasty obawiały się, iż rzeczy mogły w niej ulec zniszczeniu. Wprawdzie skrzynia stała na dwu balach, ale powietrze w komorze było zawsze wilgotne.

Olaf widział, że córka przygląda się z zaciekawieniem, lecz usiłowała być spokojna jak zawsze. Nie widziała nigdy rzeczy, które miała dziedziczyć po matce; skrzyni nie otwierano od dnia, w którym Olaf wyjął z niej śmiertelne giezło żony.

Olaf wręczył Sygne klucze, lecz kobiety nie mogły się uporać z zamkiem, musiał im więc pomóc. Potem stanął obok i przyglądał się przedmiotom, wydobywanym ze skrzyni.

Najpierw ukazała się jego oczom złożona kapa z rudobrzazowej wełny. Choć widział ją z lewej strony, poznał i tak od razu; w jego

dzieciństwie używano tej kapy na Frettastein, kiedy ozdabiano świetlicę. Była wyhaftowana we wzory przedstawiające Nowe Jeruzalem, według widzenia świętego Jana, oraz postaci świętych oddających pokłon Barankowi. Pod i nad obrazkami biegł szlak: winna latorośl, zwierzęta i myśliwi.

Niewiasty potrząsnęły kapą. Wypadło suszone kwiecie, włożone do środka dla ochrony przed molami. Była zupełnie nie zniszczona.

– Ale ładna nie jest – oświadczyła Una. – Widać okropnie stara. – Figury świętych były krótkie i pękate, a postacie mężczyzn brodate. – Tego nie ma co posyłać z Cecylią na Gunnarsby.

– Umieszczono ją na wierzchu dla osłony. – Olaf wziął kapę, zwinął ją i położył na ławie za sobą.

Kawałek po kawałku wyciągano na światło dzienne i wytrząsano, tak że wszyscy stojący dookoła kichali, drażnieni startymi na proch ziołami. Poduszki do siedzenia i dywany, suknie i płaszcze, kapuzy z aksamitu oraz flamandzkiego sukna, koszule z haftowanymi przodami z płótna i jedwabiu oraz same przody, które do koszul nie zostały przyszyte.

– Zręczne ręce miała Inguna – rzekła Una podsuwając Cecylii jeden z haftowanych przodów. – Czy widziałaś kiedy tak piękną robotę?

Cecylia dotknęła kosztownego stroju; był z białego jedwabiu, wyszywany przy szyi i u dołu rękawów czarnymi i złotymi nićmi.

– Nie, czegoś podobnego nie widziałam dotąd nigdy. Jaka matka była zdolna!

Ojciec kiwał głową. Nie miał ochoty brać udziału w rozmowie. Zresztą to nie Inguna uszyła »w stanik; kupił go w Sztokholmie, bawiąc tam z jarlem u człowieka, który twierdził, że pochodzi z dworu Mykle. Inguna nigdy nie uszyła tej koszuli do końca.

Kobiety wyjęły teraz rzeźbioną szkatułkę i rozłożyły na stole klejnoty: pierścienie nawleczone na wstążkę, srebrne i pozłacane klamry,

od długiego leżenia ściemniałe i zzieleniałe, zbutwiały pas skórzany wybijany kutymi płytkami. Klamrę ze szczerego złota darował jej niegdyś on sam, odziedziczył ją po ojcu. Na otoku klamry wyryte było *Anielskie Pozdrowienie* oraz słowa *Amor vincit omnia*. Potem Sygne wręczyła Olafowi zieloną zblakłą wstążkę aksamitną, gęsto wysadzaną pozłacanymi różyczkami – przepaskę na czoło, oznakę nietkniętego dziewictwa i wolnego urodzenia.

– Ze też nie dałeś tego Cecylii w dniu zrękowin – dziwiła się Sygne.

– Przepaska, którą jej dałem, jest o wiele cenniejsza – odparł ojciec chłodno. – Ta waży zaledwie połowę.

Kobiety wyjęły teraz zieloną jedwabną suknię, przetykaną wzorem złotozółtych ptaków i kwiatów, i rozpostarły je w świetle. Do pasa była obcisła, u dołu zaś szeroka i niezmiernie długa. Wszystkie białogłowy wydały okrzyk zachwytu nad pięknością materii. Jaka szkoda, że trzeba będzie pociąć tę suknię, jeśli Cecylia ma w niej iść do ślubu!

Olaf przypomniał sobie, że Inguna musiała podtrzymywać suknię, kiedy obchodziła stoły i nalewała piwo – i że zaplątała się w nią, gdy biegła trzymając go za rękę przez mokry dziedziniec w ową letnią noc. A w ciemnej izbie na poddaszu czuł miękki jedwab spowijający jej ciało jak część zakazanej słodyczy. I serce rozgorzało mu w piersi na myśl, że obcy człowiek miałby objąć jego córkę w tej sukni...

– Doprawdy, szkoda ciąć i niszczyć tak kosztowny jedwab – odezwał się. – Cecylia nie jest jeszcze w tym wieku, aby nie mogła urósć, jej matka była wysoką kobietą. Lepiej zostawić tę suknię jeszcze jakiś czas, niech poleży.

Olaf omówił z Aakem synem Kolbeina, że jeszcze przed sianokosami przybędzie na Gunnarsby, aby się rozejrzeć na ich dworze, zanim odprowadzi tam córkę. Obrął drogę przez Oslo, aby zanieść do złotnika niektóre klejnoty i srebrne naczynia stołowe. Oczywiście także kilka nowych sztuk miała Cecylia dostać w posagu, na Hestviken jednak dużo było tych rzeczy, należało więc tylko przerobić parę starych. Wesele córki miało i tak wiele kosztować, nawet bez kupowania nowego srebra do wyprawy.

W ostatni dzień pobytu w grodzie zszedł na dół i wysłuchał niesporów w kościele braci bosych. Potem udał się pod furtę i prosił o widzenie z synem.

Brat Eirik przyszedł do furty i znów Olaf doznał tego samego wstrząsu na widok młodego mnicha: jakże był niepodobny do chłopca znad zatoki! Przynosił sobie już klasztorny sposób bycia, ale było mu z tym do twarzy. W domu zdawał się nigdy nie wiedzieć, jak ma się zachować: albo był zbyt hałaśliwy, albo zbyt powolny, to znów zanadto szorstki, czy też uprzejmy, a zawsze i we wszystkim przesadny. Obecnie nauczył się widocznie układowego obejścia i mówił tak, jakby się zastanawiał, nim coś powie.

Powiedział, że niewiele ma czasu – winna temu zaraza, która panuje w mieście. Ojciec Einar tłumaczył, że przychodzi ona z wody, która gnije w takim upale. On i brat Arne muszą pracować obecnie w ogrodzie. Lecz zapyta, czy wolno mu zabrać tam z sobą ojca, aby mogli porozmawiać przy robocie.

Chłodno było w cieniu pod brzoźami, trawa wyrosła bujnie i wysoko nad strugą sączącą się w wydrążonych pniach; sprowadzały one wodę źródlaną aż z góry Eika do klasztornego ogrodu. Olaf siedział odpoczywając w ciszy tego zakątka i przyglądał się dwu młodym braciom w szarych habitach, którzy kręcili się tam i z powrotem, dźwigając wodę



na grządki fasoli i selerów. Nieco dalej na barwnym kobiercu kwiatów rozwinęły się już róże, a dokoła kołysały się żółte lilie i niebieskie kwiaty, których nazwy nie znał.

Od czasu do czasu, gdy Eirik zbliżał się do kadzi z wodą, zamieniał parę słów z ojcem. Ojciec Einar, przełożony nowicjuszy, zaczął już uczyć go czytania oraz pisania. Nauka przychodzi mu z łatwością.

W niektórych szczegółach poznawał Olaf dawnego syna; chłopak miał zawsze ogromne zaufanie do siebie, gdy zabierał się do jakiejś roboty. Przebywał tutaj dopiero od sześciu tygodni, ale Olaf zauważył w nim już wielką zmianę. Siedział więc, a serce jego tajało i grzało się miłością do syna. W pewien sposób był do tego dziecka zawsze przywiązany i dobrze było czuć, jak ta okaleczona i nieszczęsna miłość rozkwita na nowo, staje się zdrowa i silna.

Na Gunnarsby przyjęto Olafa tak dwornie i synowie Kolbeina okazali mu tak wielki szacunek, że mimo wszystko musiało mu się tam spodobać.

Dwór był duży i piękny, należało do niego wiele nowych, porządnie zbudowanych domostw. Okolony rozległymi polami i łąkami, leżał na słonecznym zboczu, nad małym jeziorkiem. Ten dwór mógł wyżywić po pańsku trzech braci. Obyczaje domowe wzorowały się tu raczej na nowych zwyczajach wielmożów, co było zrozumiałe; żyli tu przecież młodzi panowie, a gospodarstwo było ogromne. Między gospodarzami, ich rodziną i ludźmi pracującymi na polach i w warsztatach kręciła się cała gromada dziewczek i pacholków – niektórzy byli ubogimi krewnymi synów Rypa.

Olaf nie znał do tej pory kobiet z Gunnarsby. Gunhilda Rypa, matka synów Kolbeina, była już słaba i dziecienniała ze starości. Cecylia nie będzie więc miała nad sobą świekry. Małżonki Aakego i Steinara akurat odbywały połów, kiedy obchodzono na Hestviken zrękowiny. One najmniej ze wszystkich spodobały się Olafowi: Brynhilda czyniła wrażenie

niemilej, Łucja zaś była znowu przesadnie słodka; przyrzekła Olafowi, że Cecylii nie zabraknie niczego, będzie się kąpać w mleku i pić wino. Olaf uśmiechał się – Cecylia na pewno da sobie z nimi radę, jego dziecku nie brakowało rozsądku i mocnej woli; potrafi się zachować równie dwornie jak te rycerskie córki. Zresztą zrozumiałe było, że obie szwagierki cieszyły się, iż najmłodszy brat poślubi kobietę, która odziedziczy kiedyś dwór, i gdy przyjdzie odpowiednia chwila, wyprowadzi się wraz z żoną i dziećmi.

Odjeżdżając był więc Olaf zupełnie zadowolony z tego, co widział w Gunnarsby.

Letni skwar trwał przez wiele dni. Po południu wznosiła się poza zalesionymi zboczami ciemnobłękitna ściana zgęszczonego powietrza, zwieńczona świetlistymi żółtoszkarłatnymi chmurami; a gdy zapadał błękitny mrok, żarzyły się zygzaki dalekich błyskawic, jak błyska światło spoza zasłony, i grzmot dudnił głucho, daleko nad lądem. Niekiedy odnoga dalekiej burzy i krótkotrwała ulewa przechodziła nad dotkniętymi suszą gminami, lecz rześisty deszcz mający oczyścić powietrze nie nadciągał. I co wieczór przejaśniano się, a każdy ranek wstawał osnuty szarą mgłą, zapowiadającą gorąco w ciągu dnia.

Piekący żar doskwierał też od rana tego dnia, kiedy Olaf z Torem jechali do domu przez lasy, dzielące gminy nad jeziorem Eyja od Folden. A po południu, gdy jechali pod górę lesistym zboczem, spiętrzyły się na północy i wschodzie wróżące burzę posępne chmury, zasnuły cieniem przepojone słońcem bory, rzuciły mrok na wody w bladych moczarach, wypełniające zagłębienia gruntu.

Ścieżka wiodła przez pastwiska na grzbiecie góry. Postanowili

tutaj rozkulbaczyć wierzchowce i parę godzin odpocząć. Przed jednym z szałasów siedziała młoda kobieta i przędła, pilnując równocześnie kotła ze strawą, który stał obok nad paleniskiem wykopanym w ziemi. Zoczywszy, że przybysze są spokojnymi wędrowcami, ucieszyła się bardzo, że będzie miała gości, chciała ich poczęstować świeżym mlekiem i sięgnęła do swoich zapasów. A gdy gawędzili z nią przez chwilę, okazało się, że stary Tore znał niektórych krewniaków jej męża. Siedzieli więc i gwarzyli dalej. Olaf zszedł tymczasem nad potok, który szemrał tuż obok w lesie. Chciał znaleźć chłodne miejsce, by się położyć i zdrzemnąć.

Musiał zejść dość daleko na dół. Na górze obok poiska ziemia była stratowana przez bydło, a tam, gdzie najpierw próbował się położyć na mchu pod sosnami, roiło się od mrówek. Natrafił wreszcie na mały, suchy stok na skraju lasu, pokryty krótką trawą, tymiankiem i zajęczymi łapkami, i tam się wyciągnął.

Nie bardzo był senny. Leżał więc tylko i patrzył w górę, gdzie wielkie niebieskie, srebrzyście obramowane chmury płynęły nad wierchami; widział, jak zmieniają barwę pod wpływem jaskrawych promieni słońca. Hen, w oddali przetaczał się łoskot grzmotu, a poniżej stoku szemrał i pluskał strumyk między głazami.

Po drugiej stronie potoku las wznosił się stromo, ale pośrodku znajdował się piarg, a na nim pośród kamyków rośło mnóstwo czerwono kwitnącej wierzbówki. I nagle Olafa ogarnęła pewność, że już był w tym miejscu – poznał piarg, kępki kwiatów i te niebieskie, cicho sunące chmury, i szum potoku, i grzmot w oddali – wszystko to było już kiedyś.

Potem czar prysnął równie nagle, jak się zjawił. Wyglądało tu całkiem zwyczajnie – nie inaczej niż wszędzie indziej nad leśnym potokiem. Olaf wyciągnął się, zmrużonymi oczyma wpatrzył się w słońce i wdychał woń ziół, która płynęła zewsząd i powodowała senność.

Nagle otrzeźwiał zupełnie – zbudził go słaby dźwięk, który rozległ

się i zamarł, nim Olaf pojął, co to takiego. Cień jakiś mignął obok, chybki, jak cień mknącego ptaka. Olaf otworzył oczy, rozejrzał się dokoła i spostrzegł, że naprzeciwko, na usypisku pośród czerwonych kwiatów wierzbówki stoi Inguna...

Nie czuł żadnego zdziwienia. Podnosząc się na kolana objął jednym rzutem oka wszystkie przedmioty, które na zawsze wryły mu się w pamięć. Gorący podmuch przeciągnął w tej chwili lasem, wysoka, szkarłatna wierzbówka zakołysała się, drzewa pochyliły z westchnieniem korony i zaszumiały gwałtownie. Lecz ani jeden włos nie zadrgał w płaszczu jej rozpuszczonych, kasztanowatych włosów. Stała bez ruchu; smukłe, białe ręce skrzyżowała na piersiach. Jej blada twarz była także nieporuszona, duże, szeroko otwarte oczy patrzyły na niego w sposób dziwny, błagalny. I choć tak daleko był od niej, widział, że cera jej jest blada i jakby zroszona – jak zawsze, ilekroć męczył ją upał.

Nie przyszło mu nawet na myśl dziwić się, że widzi ją taką, jaką była w czasie, gdy oboje dorastali. I nie czuł, że i on sam jest jakby pozbawiony wieku, kiedy się podniósł i biegł z boczem w stronę zjawy. Czas przestał istnieć.

W chwili gdy przesadzał potok, wyciągnęła do niego ręce – nie wiedział, czy na jego przyjęcie, czy aby go powstrzymać. Lecz wyczytał ogromny lęk w jej białej jak śnieg twarzy.

Nagle kamyk osunął mu się spod nogi. Olaf upadł na kolana, usłyszał za sobą plusk wody. Gdy znów podniósł głowę, widziadło znikło i tylko wysokie, delikatne kwiaty na piargu chwiały się lekko, jakby ktoś uciekał tamtędy.

Chwilkę pozostał tak na pół leżąc i usiłował skupić myśli. Potem miał wrażenie, że serce mu pęknie z naporu krwi, a mózg rozsadzi czaszkę – piarg zaczął wirować przed nim, czarne płyty zasnuły mu oczy, nieprzytomny runął w przód.

Ocuciły go krople deszczu. Ujrzał, że kamienie są skropione wodą, ale jeszcze niezupełnie mokre, zobaczył krew na kamieniach, na które upadł, i poczuł, że twarz ma mokrą i zeszywniała od krwi. Dostrzegł szarobiały welon ulewy omiatający łożysko potoku i białawy błysk lasu, kiedy zryw wichru podwracał liście.

Olaf wstał; miał wrażenie, jak gdyby wyssano mu cały szpik z kości. Głowa bolała go straszliwie, nie od uderzenia, lecz od wewnątrz, i bolało go serce, kiedy uświadomił sobie, że ona była tu i znikła, i że ta zjawia była niby objawienie z innych czasów, czasów, od których, jak sądził, upłynęło więcej lat, niż trwa życie człowieka. Czuł swoje ciało i duszę przeszyte boleścią odmienną od wszystkich, jakie znał, i pomyślał, że to musi być śmierć.

Potem ból odpłynął, oddech powrócił. Olaf wstrząsnął się pod strugami ulewnego deszczu. Gdy przeskakiwał z powrotem strumyk, czuł, że drży na całym ciele i że brak mu sił.

Kiedy wkrótce potem pośpieszył na pastwisko, ulewa szumiała na zboczu. Tore i kobieta wypatrywali go przez otwór wejściowy szałas.

– Coś ty sobie zrobił, Olafie? – spytał zdziwiony pacholek. Olaf zapomniał, że krwawi. Odpowiedział, że uderzył czołem o pień świerka. Po czym rzucił się na legowisko w chacie, ukrył twarz w dłoniach i usiłował zrozumieć, co mu się przydarzyło. Tamci stali dalej w drzwiach i patrzyli, jak deszcz pada.

Gdy Olaf i Tore późno po południu ruszyli w dalszą drogę, słońce świeciło znowu i lasy lśniły świeżą zielenią i błękitem po ulewie. Olaf jechał pogrążony w głębokiej zadumie. Na dnie jego duszy, głębiej niż zwątpienie i niepokój, tkwiła radość. Ujrzał: śmierć nie rozłączyła go z nią i jego młodość żyła gdzieś w czasie i przestrzeni, mimo wszystko, co uczynił, aby ją zgładzić.

Do Hestviken przybyli dopiero w nocy. Olaf pomógł Toremu opatrzeć konie, po czym zaprowadzili je do stajni na wypadek, gdyby w nocy miała raz jeszcze zerwać się burza. Wtedy zdarzyło się, że gdy Olaf chciał poklepać źrebię stojące w przegrodzie obok jego wierzchowca, zwierzę spłoszyło się i uskoczyło w bok z taką siłą, aż zatrzeszczały deski. A kiedy zdziwiony chciał wejść do przegrody, źrebak zaczął się rzucać jak opętany.

– Coś mi się zdaje, że koń się ciebie boi – odezwał się Tore.

Olaf musiał spiesznie wyjść ze stajni. Nie powiedział ani słowa.

Zaledwie się położył, zapadł w sen. Nazajutrz rano wspomnienie zjawy zbladło, jak gdyby cała ta przygoda dawno się już przytrafiła. Zanim się ubrał, podszedł do drzwi izby, chcąc obejrzyć koszulę; obawiał się, że na barłogu w szafie mogło się przyplątać robactwo. Nagle odwracając głowę w tył spostrzegł, że jego bark krwawi – znajdowały się tam ślady ukąszenia. I podczas gdy patrzył, świeża krew zaczęła się sączyć z maleńkich śladów...

Znowu poczuł Olaf ten sam dławiący ból i ucisk w głowie i sercu. Musiał chwycić się odrzwi, nim upewnił się, że ta niepojęta rzecz wydarzyła się istotnie – bez względu na to, w jakim to było związku z wczorajszym widzeniem.

W tym miejscu Olaf miał niewielką bliznę. Inguna ugryzła go tu niegdyś żartem z pieszczoty, gdy w nocy był w jej komorze na Frettestein. Od wieków już chyba nie myślał o tym, gdyż blizna z czasem stała się prawie niedostrzegalna; zresztą znajdowała się z tyłu na łopatce, tak że bez odwrócenia głowy nie mógł jej widzieć. Teraz zaś świeża purpurowa krew ściekała z małych wklęśnięć pozostawionych niegdyś przez jej zęby.

Podczas gdy córki Arnego, jego krewniacy i przyjaciele przygotowywali wszystko do wielkiej podróży weselnej, Olaf kręcił się jakby we śnie. Wszystkie myśli zwrócone były ku wewnętrznym przeżyciom, ku wspomnieniu zjawy. Usiłował zrozumieć, co to znaczy, że Inguna powróciła w ten sposób...

Znamię na ramieniu krwawiło każdego rana na nowo, poza tym nie czuł go zupełnie. Ale gdy myśli jego przez jakiś czas odbiegały od spotkania ze zmarłą, blizna dawała się we znaki lekkim kłuciem i bólem.

Przeszłość jego leżała za nim w tak zamierzchłej dali, że już sam nie wiedział, co było rzeczywistością, a co senną złudą. Lecz teraz zdawało mu się, że sobie przypomina, iż owej nocy Inguna żartowała i mówiła, że tym ugryzieniem chce naznaczyć swoją własność...

Czy przybyła po to, aby mu to przypomnieć?

Wkrótce zostanie znowu sam. Odejdzie od niego wszystko, czego – zdawało mu się – nie mógł nigdy wypuścić z rąk. Wkrótce pozostanie na świecie tak samotny i wolny jak wówczas, gdy wiązał się ze swą młodą narzeczoną...

Długa i uciążliwa była droga, jaką przebył od czasu ich wspólnej młodości. I kiedy teraz myślał o tym, czas, który spędzili razem jako mąż i żona tutaj, nad zatoką, był tylko znikomą cząstką – dwanaście lat mieszkali razem. Natomiast czas jego wygnania w młodości trwał prawie lat dziesięć, a obecnie już przeszło trzynaście lat upłynęło od śmierci Inguny. Nigdy dotąd nie nawiedzały go podobne myśli – że okres, który przeżyli razem w małżeństwie, był właściwie krótki. Zawsze miał wrażenie, jak gdyby przez cały ten czas, jak daleko jego pamięć sięgała, należeli do siebie i tej przynależności nie zakończyła nawet śmierć Inguny.

Dopiero gdy jego własne życie zaczęło wędnąć i schnąć, podobnie jak usycha stare, puste i zbutwiałe drzewo i z każdą wiosną wypuszcza mniej pędów, minęło uczucie, iż są złączeni z sobą o wiele głębiej, aniżeli mógł kiedykolwiek pojąć... Lecz krótki czas, w którym dane im było cieszyć się wzajemną miłością, owej jesieni na Frettastein i w pierwszych latach tutaj, na Hestviken – ten czas był jakby tylko widomym znakiem ich wzajemnej wewnętrznej przynależności.

I jeśli teraz wolno jej było dotrzymać słowa, które kiedyś dała, i przyjść do niego – żywej do umierającego – jeśli pozwolono jej wskrzesić zamię, którym go nazaczyła niegdyś z dziewczęcej swawoli, czy stało się to dlatego, by mu przypomnieć, że węzeł między nimi nie jest jeszcze zerwany, że umowa trwa nadal i że jeszcze zawsze może go uważać za swoją własność?

Nie mogli więc rozłączyć się – chyba że ich rozłączy wyrok Boży oddaleniem, jakie istnieje pomiędzy niebem a piekłem – jeżeli staną się w końcu tak niepodobni do siebie, jak niepodobne są wolne i błogosławione duchy w Bożym orszaku do spętanych niewolników diabła.

I choć nie wiedział, w jaki sposób to zrozumiał, pojął również coś innego: że dusze nie posiadają wieku. Grzech i łaska rzeźbią je i kształtują, lecz w sposób odmienny aniżeli lata, znój i choroba znaczą cielesną powłokę. Wyniszczone ciało Inguny i jego własne ogorzałe, bliznami poorane ciało były jakby zużytymi ubraniami roboczymi. I to właśnie miał na myśli mistrz malarski malując dusze w postaci nagich dzieciątek, z których anioł i szatan zabierają każdy swoją, gdy oswobodzi się w ostatnim tchnieniu konających. Starość nie przeżywa śmierci; zarówno błogosławieni, jak potępieni muszą przyjąć swój wieczysty los w pełni sił i wrażliwości młodocianego wieku. I tego uczył ich także brat Vegard – w wieczności wszyscy są zawsze młodzi.



Gdy orszak weselny Cecylii córki Olafa wyruszył z Hestviken, powiększył się do pięćdziesięciu ludzi wraz z parobkami i dziewczkami. Razem ze zwierzętami jucznymi i bydłem ciągnął wspaniały pochód przez gminy. Olaf patrzył na to zadowolony. Według ludzkiego sądu darzyło mu się w latach ostatnich. Od czasu szwedzkiej wyprawy wojennej cieszył się wielkim mirem w gminie. Wszyscy wiedzieli, że mógł zdobyć władzę, gdyby jej użyć zamierzał, dobrobyt posiadał, a dzieci udały mu się, przynosiły zaszczyt i radość. Bo nikomu nie skarżył się w latach złych i nikt nie widział go pysznym w latach dobrych – ten świat nie potrafił go nigdy zwyciężyć.

Tak więc wolno mu teraz pójść za długoletnią tęsknotą serca – wolno mu paść do stóp Chrystusowi Ukrzyżowanemu i wyznać, że cały czas wadził się w skrytości ducha z Bogiem i że oto leży przed Nim na kolanach, zwyciężony...

Co się potem stanie, nie wiedział. Przeszarzałej winy zabójstwa nikt zapewne nie zechce wyciągnąć na światło dzienne. Ona była tylko ostrzem, które utkwilo we własnym ciele; ostrze wyjęto już dawno i zostało zapomniane, lecz rana nie zagoiła się i niszczyła go.

Najprawdopodobniej nakażą mu pielgrzymkę, która potrwa do śmierci, jeśli się weźmie pod uwagę jego podeszły wiek. Ochoczo i bez żalu roztrząsał tę myśl – właśnie teraz, gdy spozierał na swoje bogactwo, porzuciłby chętnie wszystko, kazałby sobie żelazem skuć ręce i nogi i wędrowałby jak skruszony pątnik od jednego świętego miejsca do drugiego, żebrząc o łyżkę stawy.

Ilekoć zaś myślał o Eiriku, dygotało w nim napięcie. Ilekroć przypominał sobie syna, widział go zawsze, jak klęczał w kościele klasztornym, wyprostowany i jaśniejący w stroju oblubieńca. Eirik oddał się Bogu bez trwogi i małoduszności. I gdy zjawił się potem w habitcie braci bosych, by pożegnać się ze światem, ojciec, który wreszcie śmiał

dać swobodny upust miłości do syna, widział już złocistą aureolę dokoła wąskiej, ogolonej głowy Eirika.

Do niego winien powiedzieć teraz: – Nie jestem twoim prawdziwym ojcem. Jestem mordercą twego ojca...

Jeśli Eirik odpuści mu – wszystko będzie dobrze.

O tym, co Cecylia na to powie, nie myślał prawie wcale.

Wesele na Gunnarsby wyprawiono wspaniale; przysporzyło to sławy i mężom Rypa, i Olafowi. Cecylia córka Olafa była tak śliczną oblubienicą, że aż światłość biła od niej, gdy nosiła złotą koronę na rozpuszczonych, falujących, jasnych jak len włosach.

Olaf stropił się, ujrzawszy na drugi dzień rano młodą małżonkę w niewieścim czepcu. Włosy były zawsze najślicniejszą ozdobą Cecylii, teraz zaś, gdy je osłoniła płótnem, sprawiała wrażenie o wiele bardziej niepozornej, ze swą bladą cerą, jasnymi oczami i drobną postacią. Lecz była w obcym miejscu, w niezwykłym otoczeniu – pewnie przyjdzie do siebie, gdy się przyzwyczai do obowiązków zamężnej kobiety i życia na Gunnarsby. Jörund zdawał się bardzo uradowany młodą żoną.

Szóstego dnia weselnych godów – Olaf zamierzał nazajutrz wrócić do domu – synowie Kolbeina chcieli pokazać jemu oraz kilku jego najbliższym krewniakom klejnoty należące do matki, które mieli w przyszłości podzielić między siebie. Gunhilda Rypa posiadała istotnie skarby i wiele przedmiotów prawdziwie pięknych.

Synowie Kolbeina oraz dwie młode gospodynie, małżonki Aakego i Steinara, okazywali wielkie podniecenie na widok każdej rzeczy. I znów Olaf poczuł, że ci ludzie nie są mu mili. Wydało mu się to bezwstydnie

i bez godności, że nie umieją spokojnie obchodzić się z klejnotami; ich głosy wznosiły się i opadały, krzyczeli i rzucali się, to znów stawali się przypochlebni i gładcy, podczas gdy jeden obrzucał drugiego nieufnym, zachłannym spojrzeniem. „Ci krewni nie podzielą spuścizny po matce spokojnie i godnie” – pomyślał Olaf. To przynajmniej potrafili robić owi dostojni panowie, wśród których on wyrósł, i on sam potrafił to także: zachować się tak, jak gdyby ani strata, ani zysk nie mogły zachwiać równowagi wewnętrznej.

Spojrzał na córkę. Stała milcząca u boku męża. Olaf wyczytał w jej oczach, że myśli to samo co on, i serce zabolalo go, gdy uświadomił sobie, że nazajutrz ma odjechać i pozostawić ją samą pośród tych ludzi.

Wieczorem wyszedł i przechadzał się z córką po ścieżce wiodącej nad jezioro. Prosił ją, by mu towarzyszyła – pragnął się dowiedzieć, jak podoba jej się w nowym domu. Ale Cecylia nie mówiła o tym, Olaf zaś nie mógł się zdobyć na to, aby zapytać.

Dopiero gdy wracali do dworu, odezwał się:

– Sprawa ma się tak, Cecyljo: wiesz dobrze, że nadejdzie dzień, może rychlej, niż ktokolwiek się spodziewa, kiedy powrócisz do Hestviken i wszystko tam będzie twoje. Pamiętaj o tym, gdyby się zdarzyło, że w pierwszych chwilach będziesz tęsknić do domu.

– Oby ci Bóg dał najdłuższe życie, ojciec – odparła szybko młoda kobieta. – Czy nigdy nie mówiliście o tym, żeby Jörund przeniósł się na Hestviken jeszcze za twego życia? – spytała po chwili.

Olaf nigdy o tym nie myślał, milczał więc. Myśl ta nie miała w sobie nic przyjemnego: był pewien, że współzycie na jednym dworze z zięciem nie podobałoby mu się. Odrzekł więc tylko:

– Może zresztą być i tak, że gdy pobędziesz jakiś czas na Gunnarsby, niechętnie je opuścisz. Tutaj, we dworze są młodzi ludzie i – chciał coś powiedzieć o młodych kobietach, równych jej wiekiem, ale w żaden

sposób nie mógł uważać szwagierek Cecylii za dobry nabytek – tu są wielkie, zaludnione gminy. I będziesz tu miała wolność i swobodę rządzenia.

Cecylia nic na to nie odrzekła.

Nazajutrz z rana Olaf wcześniej niż inni wstał od rannego posiłku; wielu uczestników wesela chciało wracać z nim razem, uważał więc, że musi dojrzeć siodłania koni i pakowania tobołów. Kiedy zbliżył się do stodoły, gdzie przechowywano siodła oraz uprząż gości, posłyszał wewnątrz głos Cecylii; była tam ze starym Tore. Córka mówiła:

– ...że musisz odjechać ode mnie. Nie mógłbyś przenieść się tutaj i pozostać na Gunnarsby? Brynhilda i Łucja mają własnych pachołków i dziewczki, z pewnością pozwolono by mi także mieć człowieka, który oporządzałby moje konie i służył mi...

– Bóg z nami, Cecylio – stary rozeźmiał się. – Czy nie mogłabyś znaleźć sobie kogoś, kto by się bardziej nadawał na sługę kobiety na Gunnarsby?

Olaf uśmiechnął się mimo woli. Tore miał wygląd bardzo dziwaczny, posiadał bowiem tułów potężny i barczysty, nogi zaś krótkie i pałkowate. Głowę miał okrągłą jak kula, długie siwe, rozczochrane włosy, twarz porysowana była drobnymi zmarszczkami, lecz tłusta i rumiana, a oczy bez blasku, jak oczy gotowanej ryby. Miał siłę olbrzyma i lubił najcięższą robotę, był przy tym małomówny i można było na nim polegać.

Trudno powiedzieć, żeby był nieuprzejmy w zachowaniu, lecz nie umiał zginać karku i na pewno nigdy nie przyzwyczałby się do takiej giętkości, jaką musiała zachować służba na Gunnarsby – miał już trzy

razy po dwadzieścia lat.

– Byłabym tak dobra dla ciebie – prosiła Cecylia.

– Jesteś dobra jak złoto, wiem o tym. Ale służę już przeszło dwadzieścia lat twemu ojcu i jeśli mam powiedzieć prawdę, Olafowi ciężko byłoby obejść się beze mnie na Hestviken, ciężiej niż sam przypuszcza.

– Mnie również ciężko będzie bez ciebie. Nie miałam wierniejszego przyjaciela, odkąd brałeś mnie na plecy na barana, gdy byłam małym dzieckiem.

– Na starość, kiedy nie będę już zdalny do niczego innego, przyjadę do ciebie i będę ci niańczył dzieci – mówił Tore śmiejąc się.

– Dobrze. Przyniesiesz mi to na pewno?

Olaf wszedł do stodoły. Cecylia siedziała na kolanach starego parobka, ramieniem opłótła mu szyję i spoglądała w jego brzydką twarz jak dziecko proszące o coś.

Olaf kiwnął im głową.

– Nierada jesteś, jak widzę, że musisz rozłączyć się z Torem?

Cecylia podniosła się prędko, twarz jej przybrała swój zwykły spokojny, trochę nadąsany wyraz.

– Pytałam Torego, ojczu, czy nie przeniósłby się do nas, na Gunnarsby?

– Wątpię, Cecylio, czy czułby się tutaj dobrze. Starym ludziom ciężko przywyknąć do nowych obyczajów. – Tore przytaknął panu.

Jadąc na Gunnarsby orszak weselny trzymać się musiał najlepszych dróg. Wracając jednak Olaf i kilku spośród gości, tych, którzy chcieli jak najprędzej dostać się do domu, wybrali tę samą najkrótszą drogę przez lasy, którą jechał po raz pierwszy z Gunnarsby.

Popasali także na tym samym pastwisku co wtedy. Podczas gdy towarzysze rozłożyli się i odpoczywali na łące, Olaf wykradł się cicho i poszedł brzegiem potoku w dół.

Słońce świeciło i wszystko wyglądało tu tak samo jak poprzednim razem, jedynie wierzbówka przekwitła i żółkła; nasiona odrywały się już od łodyg i pędziły jak srebrny puch z wiatrem. Olaf stał chwilę wpatrzony w piarg, lecz tego dnia nie dostrzegł nic szczególnego.

Po raz pierwszy przyszło mu na myśl, że to widzenie było może złudzeniem lub czymś w tym rodzaju: *A negotio perambulante in tenebris, ab incursu et daemónio raeridiano*<sup>[19]</sup>. Człowiek modli się w pacierzu wieczornym o pomoc przeciwko stworom krążącym w mroku i przeciw zakusom złych duchów w biały dzień. Sam nieraz odnosił wrażenie, że właśnie w cichym skwarze południowych godzin czyhają różne niewidzialne istoty.

Jeżeli jednak to była ona, ale chciała od niego czego innego, może chciała go prosić, aby się dobrze zastanowił, zanim odda ich jedyne dziecko?

Potem otrząsnął z siebie te myśli. Pragnął nadal wierzyć w to, w co wierzył od początku.

Na górze, w parafii Olaf dowiedział się, że na Hestviken wybuchł pożar. Spaliły się sterty siana oraz wielka stara stodoła po wschodniej stronie dziedzina.

Požoga ogarnęła las na północnej stronie zatoki – rybacy rozniecili ognisko pod skałą Byka, płomienie przerzuciły się na wrzosowisko, zajęł

[19] *A negotio perambulante...* – od sprawy chodzącej w ciemności; od najazdu i od czarta południowego – Ps. 90. 6. (Przyp. tłum.)

się las sosnowy i dopiero głęboka rozpadlina porośla lipami i leszczyną wstrzymała ogień. Lecz przez jakiś czas dął silny wicher z północy, pędził iskry na sterty siana przed stodołą i w ten sposób spaliły się siano i stodoła – ogień zagrażał nawet domostwom na stoku.

Dziwne, jak obco wygląda teraz zatoka, rozmyślał Olaf stojąc nazajutrz rano na dziedzińcu i patrząc w stronę Byka, gdzie zwęglone, osmolone pnie sterczały lub wały się na spalonym podszyciu z mchu. Węgiel i sadza powlekły całe wybrzeże tłustym nalotem.

Stodoła była jedynym domostwem w Hestviken, pochodzącym jeszcze z czasów rozkwitu dworu. Dlatego Olafowi żal było, że ją stracił. Poza tym ciężko mu przyjdzie zebrać paszę na zimę.

Musiał więc myśleć o postawieniu nowej stodoły i wystaraniu się o nowy zapas siana. Potem nadeszła pora polowania na foki oraz połowu ryb. Przez całą jesień i zimę Olaf miał mnóstwo roboty. Czeladź zauważyła, że wszystko, co zaczynał tej zimy, wykonywał niezwykle starannie. Wobec Torego wymknęło mu się parę słów, z których ludzie wywnioskowali, że latem wyruszy może znów za granicę i że zamierza sprowadzić na dwór Jörunda z żoną.

Olaf zaś czuł się tak dobrze w domu jak nigdy w ciągu wszystkich minionych lat. Lubił samotność, lubił krzątanie – bo odczuwał ją, jak krzątanie przed wyruszeniem... Chętnie spoglądał nawet na grzbiet Byka ze spalonym lasem, gdyż już przywykł do tego widoku – zwłaszcza kiedy jesienne nawałnice rozjaśniły go nieco i spadły pierwsze śniegi. Było tu teraz nieco więcej przestrzeni.

Tej zimy Einar i Valgard synowie Björna, bracia Torhildy, przebywali

na północy w Haugsvik. Olaf pragnął nieraz dowiedzieć się czegoś o swym synu Björnie i matce chłopca. Posłał więc Torego; Tore znał dobrze z dawnych lat obu braci. Wrócił i doniósł, że Björn ubiegłej wiosny opuścił dom; chciał wyruszyć w świat, by spróbować szczęścia. Wujowie opowiadali, że zamierzał wyuczyć się rzemiosła kowalskiego – od dziecka był zręczniejszy od innych chłopców. Wspomniął podobno, że uda się do pewnego człowieka w górach Dovre, o którym ludzie mówili, że jego matka była córką olbrzyma. Ale może to nie było prawdą. Człowiek ten uchodził za najlepszego kowala. Do niego chciał Björn syn Olafa wstąpić na służbę.

Torhildzie i Ketilowi wiodło się dobrze; mieli troje dzieci, najpierw córkę, a potem syna i córkę, bliźnięta. Björn rozstał się w zgodzie z rodzicami, matka podarowała mu konia i siodło, i wszystko, co mu było do drogi potrzebne, wyposażyła go na swoje możliwości tak hojnie, że aż ludzie gadali o jej dumie.

W czasie opowiadania Torego Olaf niewiele się odzywał. Przecież nigdy nie miał prawa do tego syna.



Na początku następnego lata Olaf postawił nową stodołę i jeszcze przed sianokosami doprowadził ją pod dach. Pewnego dnia pracował właśnie z czeladzią na łąkach w dolinie u ujścia rzeki – było to na kilka dni przed świętą Małgorzatą<sup>[20]</sup> – gdy wtem jakiś obcy człowiek ukazał się między stogami siana, podszedł do niego i powiedział:

– Mam do ciebie, Olafie, polecenie, którego nie mogę odkładać na później. Czy możesz pójść ze mną na bok, abyśmy mogli pomówić z sobą w cztery oczy?

Olaf poszedł za nim i gdy oddalili się nieco od żeńców, obcy powiedział:

– Przybywam z Gunnarsby. Twoja córka leży w połogu i bardzo cierpi. Byłoby dobrze, gdybyś pojechał do niej, i to tak szybko, jak tylko zdoła cię zanieść najbardziej ręczy z twych koni.

– Czy jest obawa o jej życie? – spytał Olaf.

– Tak. Zachodzi obawa – odparł obcy.

Olaf wrócił szybko na łąkę, odszukał Ragnę i Torego i powiedział im, o co chodzi. Toremu polecił sprowadzić konia Brunsveina z pastwiska, Ragnie zaś przygotować żywność; po czym wrócił do obcego i poprosił go, aby poszedł z nim na dwór. Po drodze zapytał:

– A gdzieś, człowieku, zostawił swego konia?

– Szedłem pieszo z Gunnarsby.

– Szedłeś pieszo? – Olaf spojrzał podejrzliwie na gościa. Był to człowiek lat około trzydziestu, z wyglądu pacholek. Olaf nie przypominał go sobie, ale nic w tym nie było dziwnego wobec tego, że na tamtym

---

[20] Świętej Małgorzaty z Antiochii – w Norwegii dzień 20 lipca. (Przyp. tłum.)

dworze było tak wiele służby. Wyglądał na prawdomównego. – Jörund wysłał cię z taką wieścią i nie dał ci nawet konia?

– Jeżeli mam powiedzieć prawdę, Olafie, nie posiali mnie mężowie Rypa. Lecz Cecylia pomogła mi raz w biedzie i wówczas ślubowałem Bogu i świętemu Hallvardowi odplacić jej za to, jeśli nadarzy się sposobność. Teraz sądzę, że nadszedł czas, jeśli dane jej będzie widzieć cię i mówić z tobą, nim umrze...

Olaf pomyślał z ulgą, że może jego córka nie czuje się aż tak źle, jeśli ani jej małżonek, arii szwagierki nie posłali tego gońca. Cała historia wydała mu się nieco dziwna, ale i tak rad był, że dowiedział się o chorobie córki, i postanowił od razu pojechać do Gunnarsby. Nie stawiał przybyszowi – nazywał się on Finn – żadnych dalszych pytań, a kiedy przybyli do dworu, nakazał, aby go ugoszczono i pożyczono mu konia, gdy wypocznie.

W godzinę potem Olaf dosiadł Brunsveina i pocałował; było to najbardziej rącznie zwierzę, jakie posiadał, zazwyczaj jednak nie jeździł na nim, gdyż koń nie wyglądał tak okazale, jak Czerwony Roland. Dotarłszy w okolice Skeidis, zatrzymał się przez kilka godzin u krewnych na Hestbaek, by dać Brunsveinowi wypocząć, ale na długo przed świtem siedział już znowu w siodle i po południu przybył do Gunnarsby.

Tutaj dowiedział się natychmiast, że Cecylii nie grozi niebezpieczeństwo; już półtora dnia temu urodziła pięknego zdrowego chłopca. – Nie – odpowiedziała pani Łucja na jego pytania – połóg Cecylii nie był tak ciężki, aby zagrażało jej niebezpieczeństwo większe niż innym młodym kobietom.

Olaf zauważył wyraźnie, że na Gunnarsby dziwią się bardzo jego odwiedzinom – przyjęto go też tym razem z mierną życzliwością. Jakaś tajemnica kryła się poza tym wszystkim, nie mógł tylko dociec jaka... Lecz nie chcąc wydać Finna, na pytanie Łucji, skąd się o tym dowiedział,

odrzekł, że spotkał przed kościołem w swojej parafii ludzi mających krewnych tu w gminie, i ci oznajmili mu, że jego córka, która ubiegłego lata wyszła za mąż na Gunnarsby, spodziewa się dziecka około świętej Małgorzaty.

– Ależ nie oczekiwaliśmy go wcześniej niż przed Matką Boską – pani Łucja zmieszała się nagle, jak gdyby się wygadała, inni też wyglądali na stropionych. Brynhilda powiedziała, że młoda szwagierka była w ciągu całej ciąży bardzo przerażona, może mówiła z kimś o tym i wspomniała, że obawia się, iż dziecko przyjdzie za wcześnie...

„To było niepodobne do Cecylii. Ona zastrachana?” – pomyślał ojciec. Jednak w tych sprawach niepodobna mieć u kobiet nigdy pewności, zresztą jest to sprawa, na której mężczyzna nie zna się zupełnie. Musiał więc zadowolić się tym, że Cecylia ma się dobrze, a ponieważ już i tak przyjechał, cieszył się, że zobaczy córkę.

Półmrok zalegał izbę na poddaszu, gdzie leżała Cecylia, kiedy Łucja wieczorem zaprowadziła do niej Olafa. Jörund poszedł z nimi także. Olaf był rad, bo spostrzegł, że córka ucieszyła się jego przybyciem; oświadczyła, że teraz już wszystko w porządku i że ma się zupełnie dobrze. Izba, w której leżała, była obszerna, pięknie ozdobiona, pełna kobiet i dziewczek, które krzątały się koło niej i dziecka.

Jörund mówił czule do żony i dumny był bardzo z tego, że obecnie on również ma syna. Niewiasty zaś zachwycaly się dzieciątkiem. Kiedy podały maleństwo, Olaf wziął je w ramiona i spojrzał na nie – wszak ten chłopaczek miał kiedyś osiąść po nim na Hestviken, o ile Bóg pozwoli mu dorosnąć... Zawsze jednak uważał, że nowo narodzone dzieci wyglądają

szkaradnie – wszystkie, z wyjątkiem Cecylii. Ona od pierwszego dnia życia była piękna.

Nazajutrz rano Olaf siedział znowu u córki, rozmawiali przeważnie o znajomych z ich gminy. Cecylia niewiele mówiła o tym, jak się jej podoba w nowym domu – tyle tylko, że tutaj jest o wiele więcej ruchu niż u nich, nad zatoką, i że ludzie z Gunnarsby bywają często na biesiadach i ucztach, co właśnie ostatnio podkopało nieco jej zdrowie. Teraz jednak będzie przesiadywała więcej w domu ze względu na niemowlę.

– Tak, tak – przytakiwał ojciec – ale taki chłopak urośnie bardzo szybko i znów będziesz wolna.

– Nie to miałam na myśli – odrzekła prędko młoda kobieta. – Lecz na pewno wdałam się w ciebie, ojcze: podoba mi się bardziej tam, gdzie nie ma tylu ludzi.

Ostatnie słowa wydały się ojcu nieco drwiące. Chciał przemówić córce do rozsądku i prosić ją, aby korzystała z młodości, póki można.

W tej chwili weszła do izby jedna z położnych z dzieckiem, by je przyłożyć matce do piersi. Cecylia miała na sobie tylko lekką chustkę, zakrywającą piersi i ramiona; kiedy kobieta ułożyła położnicę wyżej na poduszkach, ojciec przez mgnienie oka mógł dostrzec jej nagie ciało i zobaczył, że boki ma potłuczone i sine. Słoneczny blask padł właśnie na łożę; niebo było tego dnia zasnuwane chmurami i tylko czasem przedzierał się przez nie promień słońca. Wówczas ujrzał, że i twarz córki nosi jakby ślady uderzeń.

– Czy sobie zrobiłaś coś złego? – zapytał po wyjściu obcej kobiety.

– Tak. Upadłam i potłukłam się – odparła Cecylia. – Dlatego dziecko

przyszło przedwcześnie.

Olaf pomyślał: „Dobrze, że tylko ten wypadek, a nie coś innego jest przyczyną przedwczesnego porodu”. Obawiał się bowiem, że Cecylia mogła odziedziczyć ową skłonność po matce.

– I to zapewne było przyczyną, że posłałaś po mnie tego Finn a? Cecylia milczała przez chwilę, jak gdyby coś rozważając.

– Nie prosiłam go wprawdzie o to. Lecz sądził zapewne, że winien mi jest wdzięczność... Może więc przyszło mu na myśl, że musi mi się w ten sposób odplacić, gdy posłyszał, że upadłam i potłukłam się...

– Ciekaw jestem zresztą – powiedział Olaf – czy on już wrócił. Nie wiesz? Miał pożyczyć u nas konia, którego mógłbym stąd zabrać.

– Finn na pewno postara się o to, aby ci konia oddać. Ale prawdę mówiąc nie wierzę, żeby on wrócił do Gunnarsby. Tutaj obchodzą się o wiele surowiej z ludźmi, niż my przywykliśmy, i jeśli Finn zbiegł stąd bez pytania o pozwolenie...

– A więc on zbiegł...? Cecylia skinęła głową.

– Dałabym wiele za to – odezwała się po chwili – aby wiedzieć, co on pocnie teraz z sobą. Zawsze służył mi wiernie.

– Może chcesz – zapytał Olaf – abym go przyjął na służbę? Cecylia leżała chwilę w milczeniu i spoglądała na niemowlę przy piersi.

– Nie, tego nie chcę za nic w świecie – odparła cicho i prędko.

Na drugi dzień ochrzczono chłopczyka i Olaf postanowił nazajutrz odjechać. Wieczorem, kiedy życzył córce dobrej nocy, złożyło się tak, że przez krótką chwilę pozostał z nią sam. Przemógł się i zapytał:

– Powiedz mi teraz, Cecylio, gdy jesteśmy sami, czy masz coś na

sercu, co byś mi chciała powiedzieć?

– Ależ nie! – odrzekła młoda kobieta stanowczo. A widząc rozczarowanie ojca, wyciągnęła do niego rękę. – Lecz i tak cieszę się bardzo, żeś tu przybył, ojczu!

Następnego dnia Olaf wybrał się w drogę powrotną. Pozostawił już za sobą zaludnioną gminę i jechał wzdłuż jakiejś małej rzeczki. Po obu jej stronach leżały niewielkie zagrody wśród zielonych łąk. Jechał pogrążony w myślach, wtem koń spłoszył się... Człowiek jakiś podniósł się nagle spod krzaków. Był to ów Finn.

Wymienili pozdrowienia. Widząc jednak, że pacholek milczy, Olaf osądził, iż musi zacząć pierwszy.

– No, jakoś nie poszło tak źle, jak przepowiadałeś, przyjacielu – rzekł z życzliwością. – Córnka moja ma się zupełnie dobrze i wczoraj ochrzciliśmy Kolbeina syna Jörunda.

– Słyszałem o tym.

– Jesteś teraz w drodze do Gunnarsby? – spytał Olaf.

– Nie, zamierzam skierować się na południe – odparł mężczyzna.

– Zamieszkałem tymczasem u znajomych w jednym z tych małych dworców po drugiej stronie rzeki.

Olaf uświadomił sobie nagle, że to przecież ten właśnie Finn przyniósł mu wiadomość o narodzinach wnuka. Wypowiedział to głośno i podziękował mu. Aby złożyć odpowiednią ofiarę, gdyby się po temu nadarzyła okazja, zabrał z sobą z domu dziesięć angielskich florenów, które miał jeszcze z czasów podróży do Anglii. Teraz wyjął dwie pozostałe monety i wręczył je Finnowi.

Parobek wziął je z lekkim wahaniem. Stał i spoglądał na Olafa, który znowu z siodła patrzył na niego. Żaden z nich nie mówił. W końcu Olaf oświadczył, że musi jechać dalej.

– A może mamy tę samą drogę?

– Owszem – odparł Finn. Olaf puścił więc Brunsveina stępa, a Finn szedł obok niego. I nie słyhać była żadnego dźwięku, oprócz szmeru potoku, stuku kopyt uderzających niekiedy o kamień i cichego, letniego szelestu jodeł. Słońce piekło i połyskiwało na liściach i szpilkach, a obaj mężczyźni milczeli.

Olaf zapytał, czy Finn pożyczył sobie konia na Hestviken. Finn odparł, że nie, wołał iść pieszo. Po chwili znów Olaf rzucił pytanie, czy Finn jest z tych stron, a ów odrzekł, że nie: pochodzi z Nes na Raumarike. Na tym rozmowa się urwała.

Po jakiejś godzinie drogi Finn powiedział, że musi już tu zboczyć pod górę – wskazał wąziutką perć wijącą się na stoku. Olaf podziękował mu więc za towarzystwo, Finn uczynił to również i zniknął w gęstwinie.

Później Olaf żałował, że nie próbował dowiedzieć się czegoś więcej. Ale uważał za rzecz niegodną branie na spytki sługę córki. Pojechał więc szybko dalej.

Olaf musiał obiecać, że w powrotnej drodze zatrzyma się raz jeszcze na Hestbaek. I tym razem nie pozwolono mu tak prędko odjechać.

– Upłynęło już sześć lat, odkąd po raz ostatni odwiedziłeś swych krewnych – powiedział Arne – i zapewne minie dalszych sześć, zanim wybierzesz się do nas znowu, a do tego czasu będę już pod ziemią.

Arne syn Torgilsa liczył obecnie przeszło osiemdziesiąt lat, lecz trzymał się jeszcze krzepko. Podobny był do ojca, Torgilsa Dritskjegga, i tamten byłby tak samo wyglądał, gdyby nie popadł w obłąd. Arne był wzrostu raczej niskiego, lecz kształtnej postawy i dorodny; włosy i głowę miał białą, jak puchy wełnianek, z białego okółką wyzierała czerwona

żyłkowana twarz i modre, jak morska toń, oczy. Torguna, najmłodsza córka, zarządzała gospodarstwem wraz ze swoimi synami; już od wielu lat była wdową.

Arne chrząknął radośnie, kiedy Olaf powiedział, że Cecylia urodziła syna.

– Będzie więc tak jak u nas: dopiero wnuk nastanie po tobie na Hestviken! Mnie Bóg nie użyczył syna, choć gorąco Go o to prosiłem. Tyś miał jednego, ale został bosym mnichem. Nie mogłeś to ty, Olafie, tak możny i żyjący z księżmi w takiej przyjaźni, nie mogłeś wyprawić posłańca do Rzymu i prosić papieża o dyspensę? Wówczas wolno by ci było poślubić Torgunę i utrzymać nadal nasz jasnowłosy ród w starej ojcowiznie.

– Szkoda, żeś wcześniej nie pomyślał o tym – odparł Olaf ze śmiechem – nim Torguna i ja postarzeliliśmy się!

Olaf musiał pozostać na Hestbaek aż do trzeciego dnia i dopiero o zachodzie słońca przybył do Hestviken. Niebo zasłaniały chmury, które jaśniały, płonęły i odbijały się purpurą i złotem w wodzie fiordu. Zapadające słońce sączyło się przez nie skośnymi promieniami i rzucało długie, ruchome cienie na łąki; Olaf nie mógł więc od razu rozpoznać, kto idzie mu naprzeciw przez pola... Było coś znajomego i obcego zarazem w wysokiej, barczystej postaci, a strój zbliżającego się skrojony był z dworska, co tutaj, nad zatoką, nie było w zwyczaju. Obok człowieka szedł olbrzymi, czarny jak węgiel cap o potężnych rogach.

Nagle Olaf poznał Eirika... To Eirik zbliżał się do niego w dwubarwnym kaftanie, pół czerwonym i pół żółtym, a tak obcisłym i



krótkim, że Olafowi wydał się wręcz nieprzyzwoity. Miał skórzany pas, na nim długi sztylet, nóż oraz sakiewkę. Ciemne, wijące się włosy nie urosły jeszcze na tyle, by zakryć zupełnie tonsurę. Na pierwszy rzut oka Olaf nie mógł się otrząsnąć z wrażenia czegoś diabelskiego – nawet gdy już poznał kozła; był to jego własny czarny cap.

Olaf wstrzymał konia. Eirik przeskoczył kilka ostatnich dzielących ich kroków, położył rękę na łąku siodła i spytał:

– Ojciec... czy ona umarła?

– Cecylia? Nie, jest zupełnie zdrowa. – w milczeniu spoglądali przez chwilę na siebie, Eirik coraz bardziej czerwony i udręczony. Nie było rady, musiał odezwać się pierwszy:

– Wróciłem do domu, ojciec – rzekł błagalnie. – Jak widzisz...

– Widzę – Olaf ściągnął gwałtownie wodze, tak że Eirik musiał uskoczyć w bok. Poszedł jednak za ojcem pod górę, do domu.

Na dziedzińcu Olaf zsiadł z konia i opowiadał o Cecylii na pytania Torego i Ragny. Potem skierował się do izby, przed którą stał Eirik i czekał. Syn wszedł do środka za ojcem. Olaf zrzucił płaszcz, odłożył broń i dopiero teraz zwrócił się do Eirika:

– Skąd przybywasz?

– Wiesz przecie – odszepnął Eirik. – Wyruszyłem z domu... z klasztoru, myślę... wczoraj z rana. Galfrid pożyczyl mi łodzi...

– Zabrakło ci odwagi do klasztornej życia? A może bracia cię odesłali? Możeś przeskrobał co i nie chcą cię trzymać dłużej? – badał Olaf surowo.

Twarz Eirika oblała się purpurą; bolesne drżenie przebiegło jego młodą twarz. Odparł jednak bardzo łagodnie:

– Bracia osądzili, że nie jestem przeznaczony do klasztornej życia. Wiesz przecie, ojciec: na to jest rok próby. Mój upłynął dwa miesiące temu. Trudno było mi się rozstać z braćmi, więc pozwolili mi zostać u

nich jeszcze jakiś czas. Ale potem oświadczyli, że nie jestem stworzony na mnicha, i że mogę lepiej służyć Bogu żyjąc w świecie.

– Masz żyć w świecie i służyć Bogu? – głos ojca był pełen lodowatej pogardy. – To bracia źle cię, widać, znają!

Ujrzał, że syn skręca się jak pod uderzeniem. Lecz odparł równie pokornie jak przedtem:

– Nie, ojcze. Bracia... mój ojciec, brat Einar, oraz gwardian znają mnie lepiej niż ktokolwiek inny. Nigdy nie zapomnę tego, czego oni mnie nauczyli. Nie sądzę, że wróciłem, aby... aby rozpocząć znowu nieobyczajne życie, jakie przedtem wiodłem. Ja... ja... przyjęli mnie jako brata *ab extra*. Wiesz sam najlepiej, że człowiek może żyć w świecie i pomimo to nie rozstawać się ze Zbawicielem w myśli i służyć Mu.

Olaf stał milczący i przypatrywał się chłopcu.

– A to co takiego? Jak ty wyglądasz?

Eirik znów zarumienił się. Obciągnął śmieszny odświętny kaftan, za krótki i przyciasny we wszystkich szwach.

– Dali mi go w klasztorze – rzekł z prośbą w głosie. – Dostali go w podarunku, wszyscy więc postanowili dać mi go, abym nie miał potrzeby zaciągać długów w mieście i kupować nowego ubrania na drogę.

– Ach, tak.

Nadeszła Eagna z jedzeniem, za nią weszła do izby czeladź na wieczerzę. Olaf wdał się w rozmowę z ludźmi, do Eirika jednak nie odzywał się więcej i nie patrzył w jego stronę.

Po posiłku kazał wnieść piwo i miód i zapraszał domowników, by pili za zdrowie Kolbeina syna Jörunda. Eirik przyjął róg z jego rąk, wypił na cześć siostrzana i podał naczynie dalej. Gdy po raz wtóry przysłała na niego kolej, przepuścił ją i wkrótce potem wymknął się z izby.

– Pewno idzie czytać swoje godzinki – rzekła Ragna wzruszona. – Odmawia wszystkie pacierze i nosi pod kaftanem wielki różaniec na szyi.

Słyszac to Olaf oburzył się jeszcze bardziej. Odczuwał tylko gniew i pogardę.

Rozgoryczenie Olafa zrodziło się jak gdyby od razu, na pierwszy widok powracającego. Przywykł myśleć o Eiriku niemal jak o półświętym, a tu całkiem nieoczekiwanie zjawia się syn i idzie mu naprzeciw przez pola, w śmiesznym stroju, z czarnym, śmierdzącym capem u boku.

Na domiar złego Olafa niepokoiła myśl o kłopotach, jakie wynikną z powodu zmienności Eirika. Będzie musiał rozliczać się także z tymi bosymi mnichami; według reguł zakonnych nie wolno im było przyjmować wyprawy od ludzi, którzy prosili o przyjęcie do ich zakonu, tak że wszystko, co otrzymali, gdy Eirik wstępował do klasztoru, zostało darowane w formie jałmużny. Tego więc nie mógł Olaf żądać od nich z powrotem. Jeśli jednak zażądają także tego, co im Olaf przyrzekł, gdy syn zostanie mnichem, wówczas...! Olaf był wściekły na całe bractwo. Najpierw umacniali, jak tylko mogli, Eirika w jego postanowieniu, a potem znowu – jeżeli wierzyć temu, co Eirik opowiadał – zgodzili się z nim, kiedy nawiedziły go skrupuły i zwątpił o swym powołaniu do klasztornej życia.

Było jednak jeszcze coś gorszego. Wszak to właśnie zamiar Eirika, by porzucić świat, nakłonił Jörunda do przysłania swatów – co do tego nie było cienia wątpliwości. A mimo wszystko Olaf nie był zupełnie pewien, zwłaszcza od swych ostatnich odwiedzin na Gunnarsby, czy szczęście Cecylii u tych ludzi jest zabezpieczone. Jeśli zaś teraz będą mieli prawo przypuszczać, iż jej krewni nie postąpili wobec nich całkiem uczciwie...

Pewnego dnia wspomniał o tym Eirikowi. Zobaczył, że chłopak wziął to sobie bardzo do serca.

– Bywało przecież już dawniej – odparł nieśmiało – że nowicjusz okazał się niezdatny do życia według reguły.

Olaf nie odpowiedział na to. To, co mówił Eirik, było prawdą, lecz większość tych, którzy szli do klasztoru, zostawała z czasem mnichami i mniszkami, Eirik zaś tak gorliwie przywdział zeszłego roku habit... Zresztą powziął swój zamiar dobrowolnie, sam. Nikt mu nie doradzał, ani nikt go nie zmuszał.

– Nie jest zresztą wcale pewne, czy się ożenię – dodał po chwili.

– Nie? Zamierzasz więc na powrót rozpocząć twoje dawne, rozpustne życie?

Eirik zaczerwienił się silnie. Odrzekł jednak spokojnie i z godnością:

– Ty przecie, ojcze, żyłeś przez te wszystkie lata od śmierci matki, jak przystoi chrześcijaninowi, choć nie byłeś powtórnie żonaty, ani nie wzięłeś sobie nałożnicy.

– Ja? – powiedział Olaf oburzony. – Ja byłem już prawie starym człowiekiem. Ale i za młodu nie widywano mnie w domach rozpusty albo tam, gdzie toczą się kości...

Eirik odpowiedział wciąż jeszcze opanowany:

– Kiedy się rozstawałem z bratem Einarem, przyrzekłem mu trzymać się z dala od dziewczek i pijaństwa. Nie chcesz mi wierzyć, ojcze, że się nauczyłem czegoś dobrego i pożytecznego w ciągu roku, który przeżyłem pod dachem świętego Franciszka, i w którym co dnia modliłem się przed obliczem Boga, w misterium Jego najwyższej świętości?

– Tak, tak – bąknął Olaf nieco zawstydzony. – Czas pokaże, Eiriku, jak długo wytrwasz w tych zamiarach.

– Nie powinieneś tak mówić – Eirik zerwał się i wyszedł.

Zdawało się, że Olafa korci jeszcze bardziej bogobojność i pokora

Eirika. Nigdy nie unosił się i nie dawał gniewnych odpowiedzi, zaprzestał również przechwałek i kłamstw. Ojciec trzymał go teraz w tak surowych ryzach, że chłopak nie posiadał niczego, co by mógł nazwać swoją własnością. Olaf był zawsze bardzo hojny, lecz nic z jałmużny rozdawanej biedakom i chorym nie przechodziło przez ręce syna. Eirik wynagradzał to sobie w inny sposób. Oddawał zarówno domownikom, jak i ludziom wjeżdżającym do zatoki i wyjeżdżającym z niej niejedną przysługę, świadczącą o jego pokorze i dobrej woli. I to również drażniło ojca – i drażniło go, gdy widział, jak Eirik opuszcza ludzi i idzie w stronę skał nadbrzeżnych lub do którejś z nie używanych szop, by się samotnie pomodlić. Z różańcem w rękę odmawiał koronkę, szczególnie małe oficjum o Najświętszej Pannie, które umiał nieomal na pamięć. Z czasem Olaf odkrył, że syn poustawiał w borach dokoła Hestviken niewielkie krzyże w miejscach, dokąd zwykł wędrować, by odmawiać swoje samotne pacierze.

W ciągu jesieni dotarła do uszu Olafa pogłoska, jakoby syn jego opuścił klasztor, ponieważ poczuł w sobie powołanie do życia jeszcze bardziej pokutniczego. Ma podobno zamiar zbudować sobie lepiankę na cmentarzu i zostać pustelnikiem. Podobna rzecz nie wydarzyła się dotąd w parafii, toteż ludzie wiele o tym gadali – jedni pokpiwali, inni jednak byli zdania, że jest to wielki splendor dla gminy. W końcu zrozumiał, że to Eirik sam w ten czy inny sposób jest sprawcą tych pogłosek, natarł mu więc uszu. Eirik stropił się bardzo – i po raz pierwszy od powrotu z klasztoru widział go ojciec niepewnym i z niespokojnym wzrokiem. Odparł, że nigdy nie mówił, jakoby sam chciał zostać pustelnikiem, opowiadał tylko historię, którą czytano zimą w refektarzu z księgi zwanej *Vitae Patrum*.

Pewnego dnia Eirik przyszedł do ojca i zapytał, czy może wziąć do Hestviken najstarsze dziecko z Rundmyr. Chłopiec był kaleką od czasu

choroby, którą przeszedł w siódmym roku życia. Kiedy latem kładziono go na łące, potrafił przy pomocy ramion czołgać się kilka kroków, mówić zaś porządnie nie umiał. Nim zachorował, był ładnym i żywym dzieckiem; nie przypominał ani Liv, ani Ankiego, tylko pewnego młodego, wesołego parobka o rudych włosach i piwnych oczach, który w zimie, przed ślubem tamtych dwojga, przebywał w Hestviken. To jednak nie umniejszało ojcowskiej dumy Ankiego; i teraz, mimo kalectwa chłopca, tak on jak Liv twierdzili, że wolą stracić raczej wszystkie dzieci niż tego syna. Ale chociaż kochali go i z Hestviken otrzymywali zawsze znaczną pomoc, tak że nie odczuwali biedy, chore dziecko leżało w ranach, zawszone igniło we własnym brudzie. Rodzice dbali o nie na swój sposób, podsuwali mu najlepsze kąski, lecz brud ich nie obchodził. Olaf uważał, że nie może odmówić prośbie Eirika – sam był ojcem chrzestnym chłopca, który po nim nosił imię Olaf. Oświadczył więc tylko, że Eirik nie może wnieść chłopca do izby, chyba że mu się uda oczyścić go z wszy i utrzymać czysto, aby rany nie cuchnęły. Eirik umieścił więc Olafa syna Liv w stodole aż do nastania mrozów, potem jednak musiał wziąć chłopca do izby. Udało mu się go oczyścić i jako tako doprowadzić do porządku i chłopiec nauczył się posuwać parę kroków przy pomocy dwu kuł. A w ciągu zimy poprawiło mu się o tyle, że mógł nawet zająć się drobną pracą – moczył wiklinę i włókna lub wygładzał naczynia drewniane i tym podobne rzeczy. Z mówieniem także szło mu nieco lepiej, choć nadal jąkał się i z trudem tylko mógł się wysłowić. Mimo to jego pobyt w izbie dawał się nieraz we znaki. Domownicy nie odnosili się do niego źle, ilekroć zaś stary Olaf syn Auduna zwracał się do chrześniaka, robił to zawsze z dobrocią – w głębi serca rad, że biedactwo ma teraz chrześcijańską opiekę. Ale gdy przykrości, jakich chory przysparzał, drażniły go, Eirik odczuwał wtedy najsilniej zły humor ojca.

Olaf nie miał jeszcze wciąż pojęcia, jak ludzie z Gunnarsby przyjęli

nowinę o powrocie syna do domu. Nie potrafił jednak obronić się przed złym przeczuciem, ilekroć myślał o tym, a myśli te dość często go nawiedzały.

Późną jesienią znalazł wreszcie czas, by wybrać się do Oslo. Odwiedził przy tym również klasztor braci bosych. Zaraz jednak dostrzegł, że nie dowie się tam nic więcej o przyczynie odejścia Eirika. Bracia uważali to za swą sprawę wewnętrzną, za sprawę klasztoru, a milczenie konwentu było jak mur, o który człowiek daremnie uderza. Wszyscy wyrażali się dobrze o Eiriku, mówili, że serdecznie polubili młodego brata, gdy jednak dla niego i dla nich samych stało się jasne, że Bóg chce skierować tę duszę na inną drogę niż żywot zakonny...

– Czy stało się to jasne dla was wówczas, kiedy Eirik obił tego chłopca na Tveit? – zapytał Olaf.

O tym zająci posłyszał u Klausa Wiepharta. Pewna pobożna wdowa z jednego dworu w Tveit posłała do klasztoru wiadomość, że chce braciom podarować kuczbaję<sup>[21]</sup> i żywność. Brat Stefan miał przynieść dary i zabrał z sobą brata Eirika, by mu pomógł je dźwigać. Kiedy jednak stali gotowi do drogi, każdy z ciężarem na plecach, i mieli już opuścić dwór, wrócił do domu jeden z synów wdowy, który nie darzył tak wielką miłością żebrzących mnichów jak matka, i obrzucił ich obelgami. W końcu brat Eirik nie mógł się opanować, cisnął wór, przyskoczył do chłopca i wymierzył mu cios pod brodę, tak że obalił go na ziemię. Wprawdzie brat Stefan zgromił go i Eirik musiał przeprosić chłopca – w klasztorze takżeznaczono mu pokutę; bracia bosci nie chcieli, żeby w ten sposób

---

[21] Kuczbaja – kosmata materia wełniana.



odświeżać wspomnienie ich dawnej swarliwości. Lecz awantura i tak rozniosła się dalej.

Olaf oczekiwał, że tu właśnie znajdzie odpowiedź. Ale gwardian nie mrugnął nawet okiem. Nie, oświadczył, z powodu takiego wykroczenia nie wolno im odsyłać nowicjusza, jeśli okaże prawdziwą skrucę; Eirik zaś nie próbował wcale usprawiedliwić swej porywczosci, lecz przyjął wyznaczoną karę w taki sposób, że można by to nazwać wzorem posłuszeństwa.

Ojciec Eirika uśmiechnął się z niedowierzaniem.

Wreszcie gwardian powiedział:

– Eirik przybył tu dlatego, ponieważ sądził, że jest powołany na księdza. Skoro się jednak okazało, że istnieje przeszkoda...

– Przeszkoda? – Olaf zaczerwienił się nagle. – Kto powiedział, ojcze, że istnieje jakaś przeszkoda?

– Takie są przepisy świętego Kościoła, Olafie: żaden człowiek ułomny na ciele nie może służyć przed ołtarzem. Dlatego Eirik nie mógł ze swą okaleczoną ręką...

Olaf milczał. Zapomniał już, że Eirikowi brak dwóch członów małego palca u lewej ręki. Pomyślał jedynie natychmiast o jego urodzeniu.

Gwardian mówił dalej – teraz już szybko i pewnie: Eirik prosił o przyjęcie do ich zakonu, wierząc, że Bóg powołał go na kapłana. Ponieważ jednak Bóg nigdy nie powołuje człowieka do czegoś, za czym ten iść nie może, jasne więc, że Eirik syn Olafa pomylił się.

I od razu cała sprawa przybrała inny obrót. W czasie próbnym, jaki mu jeszcze pozostał, Eirik usiłował uświadomić sobie, czy ma powołanie, by służyć Bogu w klasztorze jako zwykły braciszek... w końcu jednak wszyscy uzyskali pewność, że tak nie jest.

Olaf musiał się tym zadowolić. Bracia nie wspomnieli o darach otrzymanych wtedy, gdy Eirik przybył do nich, ani też o tym, co obiecał

im później; tej sprawy nie poruszono wcale.

Olaf jednak rozstał się z minorytami niezbyt zadowolony. I odtąd mówił o nich zawsze z niechęcią. Ponieważ był znany jako człowiek pobożny i tak uległy wobec mnichów i księży, że nawet sira Hallbjörn syn Erlinga nie potrafił się z nim poróżnić, ludzie osądzili więc, że musi mieć ważką przyczynę po temu, aby użalać się na postępowanie bosych braci w tej sprawie.

Prawdą było, że po raz pierwszy Eirik zachwiał się w swym postanowieniu, gdy się dowiedział, iż nie może zostać księdzem.

Rzucił się z tak płomiennym zapałem w to nowe życie, że przełożony nowicjuszy, brat Einar, musiał go nieraz hamować. Wiele zakonników pozostawało po jutrzni aż do prymarii w kościele; Eirik pragnął od razu otrzymać pozwolenie, by czynić tak co dzień, i brat Einar musiał mu nakazać, aby wracał do dormitorium i kładł się spać.

Eirikowi wydawało się, że nie potrzebuje więcej snu niż ptak na gałęzi. Choćby był najbardziej zmęczony, gdy budzono go na jutrznię – skoro tylko odetchnął świeżym powietrzem letniej nocy, kiedy szedł przez klasztorny dziedziniec, trzeźwiał zupełnie. Wejście do chłodnego, półmrocznego kościoła wywierało na nim niemal to samo wrażenie, jakie odczuwał, gdy będąc dzieckiem skakał w morze, by popływać. Podczas jutrzni coraz widniej robiło się w rozległej, sklepionej przestrzeni. A w okresie letniego przesilenia, gdy bracia wychodzili z prezbiterium i szli przez zielony dziedziniec z powrotem do dormitorium, pierwsze promienie wschodzącego słońca muskały najwyższe grzbiety gór w dolinie Aker.

Dwa razy w tygodniu pozwolono mu jednak pozostawać w kościele po

jutrzni. I podczas gdy leżał i modlił się, obrazy w witrażach występowały coraz żywiej, barwy zaczynały lśnić, potem słońce rozpałało się na szkłe, czerwień i złoto żarzyły się i rzucały błyski, aż wreszcie całe prezbiterium pławiło się w nieziemskim ogniu i ciepłe jaskrawych promieni, które rzucały żółte, błękitne i fioletowe plamy na ścienne obrazy, na krzyż i świeczniki na ołtarzu. I gdy bracia wracali na prymarię, każdy zakątek kościoła był nasycony blaskiem i odbiciem słonecznym; a potem zaczynały stukać kroki w nawie i echo ich odbijało się pod wysokim stropem. To ludzie wchodzili do kościoła na mszę.

Za każdym razem, ilekroć mógł śpiewać razem z innymi, odczuwał tę samą upajającą radość. Każdego dnia cieszył się, że będzie śpiewał w czasie mszy, cieszył się niedzielą i świętami, bo wówczas śpiewali również godzinki. I cieszył się, gdy odbywały się msze za dusze zmarłych, bo już poprzedniego wieczoru śpiewał z innymi wigilię. Zawsze zachwycał się własnym pięknym głosem; teraz zaś myślał o tym, do czego używał dotąd tego cennego daru, i z pełną pobożności czcią uczył się, jak wyrażać nim uwielbienie dla Pana Boga.

Myślał wtedy o pierwszych słowach, których się tu nauczył: *Eructavit cor raeum verbum bonum: dico ego opera mea Regi*<sup>[22]</sup>. Psalm, który rozpoczynał się tymi słowami, brał sobie Eirik często jako przedmiot rozmyślań, gdy pozostawał rano w kościele; nie umiał wprawdzie dokładnie całego, lecz i w tym, co pamiętał, jakież kryło się bogactwo!

Pierwszy obraz, jaki mu się objawił, kiedy zagłębił się w modlitwie – że jego chrześcijaństwo było do tej pory niby spichlerz pełen zamkniętych schowków, o których otwarciu nigdy nie pomyślał – trwał nadal w jego duszy. Teraz każdy dzień dawał mu do rąk nowe klucze i rozumiał, że żywot człowieka na tym padole nie trwa nigdy tak długo, aby udało mu

[22] *Eructavit cor meum...* – „Wydało serce moje słowo dobre, śpiewam pieśń moją królowi” – Ps. 44. (Przyp. tłum.)

się posiąść więcej niż znikomą cząstkę skarbów ukrytych w tajemnicy wiary...

Pewnego dnia czytano w refektarzu księgę o raj. Eirik przypomniał sobie ten ustęp, kiedy nazajutrz rano kłęczał w prezbiterium i rozmyślał o Gethsemane. Ujrzał przed sobą raj: ogród podobny do ich klasztornego sadu – niedojrzałe jeszcze owoce gęsto okrywały gałęzie drzew, różne warzywa rosły bujnie na tłustej ziemi grządek, a wzdłuż ścian domu rozkwitały kwiaty. Tak Bóg uprawił i obsiał ziemię dla pierwszych ludzi. Tylko jednego jedyne drzewa zakazał im dotykać. Oni jednak uwierzyli Wężowi, zaledwie zaczął ich kusić i mówić, że to właśnie drzewo jest najpiękniejsze – zaraz też gotowi byli kraść. To był ogród, który Bóg dał w wianie rodzajowi ludzkiemu. W Gethsemane jednak sterczały w księżycowej poświacie wyschnięte gałęzie drzew oliwnych – w klasztorze franciszkanie posiadali kilka gałązek oliwnych, które pochodziły z zamku, gdzie urodził się ich ojciec, święty Franciszek. Były one brzydkie i szorstkie, o twardych, skurczonych liściach... Tak ludzie uprawili swój ogród, by przyjąć w nim Boga, kiedy zstąpił między nich pragnąc odkupić ich grzechy. Między tymi zwiędłymi, gorzkimi krzakami padł On na oblicze swoje i oblał się krwawym potem, gdy na dnie kielicha ujrzał wszystko zło, jakie popełnił ród Adama i Ewy i jakie popełniać miał od zarania czasów po dzień Sądu Ostatecznego. Wszystkie krew rozlana i mord, i grabież, krzywoprzysięstwo i zdrada, nierząd i fałszywa przyjaźń były w kielichu – i wszystko to miał On wziąć na siebie i odpokutować; a tam przy furcie leżeli Jego uczniowie i spali, z góry zaś drogą wiodącą z zamku nadchodził już Judasz, prowadząc pachołków najwyższego kapłana i żołdaków Piłata z pochodniami, mieczami i włóczniami, aby pojmać Boga, bić Go i uśmiercić.

Tego rana nie było nikogo w kościele. Eirik przyczołgał się na kolanach do tabernakulum, rozwiązał habit i spuścił go do pasa. Po czym

zdjął z bioder sznur z supłami i biczował się, póki krew nie trysnęła z pleców.

W ciągu dnia polecono mu iść do sadu i plewić grządki. Słońce piekło mocno. Zrazu nie czuł bólu w poranionych plecach, potem jednak, kiedy dłuższy czas nachylał się między grządkami w słonecznym skwarze i zgrzebny habit przywierał coraz mocniej do popękanej skóry, to znów się odrywał, drażniąc rany, Eirik miał wrażenie, że dźwiga na barkach gorejący ogień. Lecz ów ból przepełniał go głęboką, nieśmiałą błogością, bowiem podobne doznanie musi mieć ten, kto dźwiga krzyż... I zdawało mu się, że nie jest tego godzien, i czuł tak ogromną pokorę, że najchętniej rzuciłby się na ziemię i ukrył w niej twarz. Po raz pierwszy zaczął rozumieć istotny sens wszelkich praktyk pokutnych i umartwień ciała: że to nie jest cel, ale środek. Ciało wymaga karności i należy je zmusić do posłuszeństwa, podobnie jak ujarzma się konia... I dojrzał coś z tych dróg, które są otwarte dla dusz odnoszących zwycięstwo nad ciałem.

Gdy jednak w najbliższej spowiedzi opowiedział o tym bratu Einarowi, ów odparł z całą powagą, że ten, kto na te drogi dopiero wstępować zaczyna, snadnie może zbłądzić. Zabronił mu też biczowania się po raz wtóry bez porozumienia się z nim.

Przez cały ranek, aż do pory śniadania, wszyscy zakonnicy znajdujący się w klasztorze pracowali w krążgankach. Kościół oraz wschodnie skrzydło klasztoru – dom zebrania i izba pisarzy – zbudowane były z kamienia, krążganek zaś wyłożony był płytami. Natomiast po zachodniej i południowej stronie rozległego dziedzińca stały drewniane budynki, a ganki ich były z belek. W krążganku kamiennym siedzieli ci bracia, którzy czytali lub pisali, a na ganku, w południowym skrzydle brat Arnstein Antonius miał swoje krosna; tam również przebywali bracia Sigvard i Johannes przy tokarni i warsztacie. W tych godzinach rannych brat Eirik miał swoje miejsce obok brata Huberta, sędziwego mnicha Niemca, który

należał do najstarszej gromady braci i pamiętał czasy, kiedy kładziono kamień węgielny pod ten klasztor. Miał on uczyć nowicjusza czytania i łaciny. Aby mieć ciszę, przesiadywali w najodleglejszym kąciku krużganka, tuż przy drzwiach kościelnych.

Tego lata był w klasztorze jeszcze tylko jeden młody brat, imieniem Arne. Przebywał on tu jednak już od siódmego roku życia, od czasu, kiedy jego ojciec, brat Sveinke, wstąpił do klasztoru, matka zaś i dwie siostry wstąpiły do zakonu sióstr w Gimsoy. Starsza z nich zmarła w wieku osiemnastu lat – uważano ją za świętą. Brat Arne miał wprawdzie niespełna siedemnaście lat, uchodził jednak za zupełnie wykształconego w sztuce pisarskiej. Eirik więc musiał uczyć się sam i okazywał taką pojętność, że zarówno jego mistrz nauczyciel, jak i przełożony nowicjuszy dziwili się. I tak przyszedł dzień, w którym Eirik zapisał całą swą tabliczkę, a pismo jego było tak ładnie i pewnie wyryte w zielonym wosku, że przed wygładzeniem brat Hubert pokazał je paru innym mnichom. Wielka szkoda, że brat Eirik obciążony jest ułomnością i nie może zostać księdzem.

Była to pierwsza ciemna chmura, która zaćmiła jasne, słoneczne niebo Eirika. Był małym chłopięciem, kiedy stracił palec, przyzwyczał się obywać bez niego i nigdy nie przyszło mu na myśl, że to mogłoby zamknąć mu drogę do służby kapłańskiej. Przełożony zauważył, że młodzieniec zmartwił się bardzo; rozpoczął więc z nim o tym rozmowę i przypomniał mu, że o wiele bardziej zbliża się do doskonałości znosząc cierpliwie nałożone na niego krzyże, niż wybierając je sam wedle własnego uznania. I jeśli ma na zawsze pozostać bratem świeckim, może być tak samo użyteczny jako pisarz; ich ojciec, święty Franciszek, nigdy nie pragnął być czym innym niż bratem świeckim, i pierwotnie zamierzał założyć swój zakon wyłącznie jako wspólnotę tych braci.

Eirik wysłuchał uważnie przemowy przełożonego i odtąd nie

wspominał nigdy o tej sprawie, przez długi czas jednak był pogrążony w zadumie.

Tymczasem nadeszła jesień. W sadzie nie było już nic do roboty. Grochowina leżała w splątanych kępach na szarych, spękanych od mrozu grzędach, a opadłe liście pod drzewami owocowymi powłókł siwy szron. Od dłuższego już czasu zakonnicy zabierali małe latarki, idąc do kościoła na jutrznię. Trzeba było codziennie zrywać się w chłódzie dormitorium, porzucać nikłe ciepło, jakie zebrało się pod kocami, i spieszyć do prezbiterium, gdzie mroźny wiatr tamował oddech i lodowatym dreszczem przenikał bosc nogi. Gęsta niby wełna snuła się zimowa mgła nad klasztorem; zaledwie człowiek znalazł się w niej, zdawała się pełznąć i zaciemniać latarnie. Wewnątrz zaś w kościele ziąb srożył się okrutny.

Eirik marzył tak straszliwie, że miał wrażenie, jakby mróz zastygł mu w czaszce. Nie rozumiał ani słowa z tego, co czytano podczas oficjum, bo z powodu zimna nie mógł myśleć o znaczeniu tekstu. Mgła wdzierła się nawet do kościoła. Świece przy pulpitych jarzyły się we mgle, a oddech braci wirował jak biały dym. Nawę na dole spowijał nieprzejrzały mrok.

Teraz ogarniała go groza na myśl o tych dwóch porankach, w których wolno mu było pozostawać po jutrzni w kościele i modlić się w samotności. Zesztywniały z zimna leżał z oczami nieruchomo wpatrzonymi w małą lampkę płonąca przed Najświętszym Sakramentem. Poza sobą czuł pustkę i mroczną głęb kościoła z płytami nagrobnymi w podłodze. Tuż obok spoczywał sira Hallbjörn i Eirik nie potrafił opędzić się od myśli, że pewnego dnia zmarły ksiądz mógłby mu się pokazać... Gdyby tak, odwróciwszy się, ujrzął za sobą sirę Hallbjörna z rozbitą czaszką, z której

sący się krew po bladej, kościstej twarzy, w splamionym ornacie, w którym złożono go do grobu...!

Od czasu do czasu dochodził go słaby szept modlitwy któregoś z braci pozostałych razem z nim. Przeważnie jednak leżeli w grobowym milczeniu. Od lat już żyli tym życiem latem i zimą i zdawało się, jakby nic nie mogli ich wzruszyć – ani cudowna краса letnich poranków, ani posępna groza zimowych nocy.

Eirik usiłował skupić wszystkie myśli na Najświętszym Sakramencie. Lecz nawet ta tajemnica raczej go teraz przerażała, niżli krzepiała na duchu: że Bóg sam pozwolił się zamknąć w tej oto małej drewnianej, malowanej szkatułce i że tam jest. Czuwał cielesną substancją, duchem wypełniał kościół, patrzył w grzeszne serce Eirika, wiedział, że traci odwagę, widział wszystko, co drgało w sercach ludzkich – i w swej Boskiej wszechmocy czuwał nad całym skutym zimą krajem, nad każdym miejscem: nad lodowatym klasztorem i miastem, nad fiordem i nad zamrzniętym brzegiem – i nad Hestviken, Rundmyr, Konungahella – był obecny w każdym miejscu, o którym Eirik pomyślał. Latem, kiedy klęczał tutaj, przesiąknięty na wskroś słodyczą, że wolno mu rozmawiać z tak bliska z Bogiem, wielką radością napawała go świadomość, że gdy odchodzi od cielesnej obecności Boga w Przenajświętszym Sakramencie, idzie ku Jego niewidzialnej obecności rozproszonej wszędzie, idzie w świetle słońca zalewającym krużganek i ogrzewającym ziemię w sadzie tak mocno, że młode pędy wydłużały się w ciągu jednego dnia, od rana do wieczora, a fiord, wyspy na nim i puszczański kraj dokoła nurzały się w słonecznym blasku.

Teraz jednak, kiedy mróz skuł ziemię, było to tylko niesamowite – jak gdyby Eirik przeczuwał nieubłaganą niemą walkę między Chrystusem a Szatanem, życiem a śmiercią... Wszystkie widome i dotykalne rzeczy stawały się martwe i nieważne i ślaniały się w tej szaleńczej walce...



Nie chciał prosić o zwolnienie z tych godzin czuwania, które sam wybrał. W ciągu zimy jednak brat Einar spostrzegł, że Eirik nie odnosi z nich już pożytku, więc przykazał, aby młody nowicjusz przez jakiś czas wracał po jutrzni do dormitorium i kładł się spać.

Eirikowi ciężko było zasnąć z powrotem. Nie mógł rozgrzać ciała na wąskim posłaniu, z jednym worem napełnionym słomą i dwoma cienkimi kocami. Zimno nie pozwalało mu również zasnąć wieczorem, wskutek czego był stale zmęczony i niewyspany. Rano zaś nie mógł zaznać snu, gdyż strach go zdejmował na myśl, że niebawem będzie znów musiał podnieść się na prymarię. A jeśli nawet udało mu się roztajać trochę w łóżku, odmrożenia na palcach rąk i nóg zaczynały go nieznośnie swędzić i palić.

Był zrozpaczony z powodu swej małoduszności i usiłował podnieść się na ducha: czyż nie doświadczył rzeczy o wiele gorszych i nie dbał o nie zgoła? Próbował myśleć o swych jazdach w huraganie i śnieżycy, niekiedy tak gwałtownych, że chwilami nie dostrzegał nawet łba swego wierzchowca. Albo w łodzi zimą... Owa noc zeszłego roku, wkrótce po jego powrocie do domu, kiedy to płynęli do Tunsberg i złapała ich burza... Przed nimi w ciemnościach grzmiało i huczało coś poprzez szum i ryk nawałnicy – biała ściana wznosząca się w tej stronie to była zapewne skała Rakke, a oni gnali wprost na nią i zdawało mu się, że z każdą falą unoszącą wysoko ich łódź bliżsi są rozbicia. Wszystko na nich pokryte było lodową skorupą, kiedy wreszcie późnym rankiem udało im się znaleźć schron w jakiejś przystani na południu fiordu. Nie spodziewał się wówczas, żeby Knut, jeden z synów Ragny, przeżył tę noc... A teraz stał się tak wrażliwy, że jęczał, bo go swędziały odmrożenia – on, co niejeden raz musiał rozcinać buty na spuchniętych nogach, on, co zwyczajny był tego, że sól i morska woda wżerały się w splekane, pokrwawione dłonie.

Jednak przed tamtymi dolegliwościami nie sposób było ująć; brało się

je na siebie, bo się brać musiało. Za to potem – o ile nie przypłaciło się życiem – następowała słodka rozkosz: człek wchodził do izby, grzał przy ogniu zziębnięte ciało, mógł się najeść i napić do woli, a potem wsunąć się między ciepłe skóry, po dwóch i trzech mężów do jednego łóża, tak by wzajemnie się grzać, i zasnąć jak głaz. A przy tym ta różnorodność: nigdy nie było wiadomo, jak się coś uda i co przyniesie następnego dnia.

Tu jednak należało uczynić wybór na całe życie. Po ciepłe i radości lata w duszy szło się ku zimie i musiało się ją przetrwać, od dnia Podwyższenia Krzyża świętego w jesieni do Wielkanocy na wiosnę – w czuwaniu, modłach i poście, przemarznięty do szpiku kości, tak że ani godziny snu na twardym łóżu, ani krótkie chwile w ciepłym refektarzu nie więcej znaczyły niż tchnienie. Tylko nie myśleć o tym, brać dni takie, jak idą, albowiem nic się nie odmieni, póki Bóg znowu nie zesle ciepła na ziemię.

Teraz dla Eirika stało się jasne, co w rzeczywistości oznacza ofiara i surowość życia zakonnego. Oto człowiek powinien sam tego chcieć i to chcieć raz na zawsze, wyrzec się igrania z losem i wybrać życie, z którego wykluczona jest wszelka niespodzianka, w którym wszystko jest chceniem. Nawet poddanie woli jest czynem woli. I gdy to pojął, miał wrażenie, że musi się poddać – to było ponad jego siły.

W końcu musiał zwierzyć się bratu Einarowi ze swych wątpliwości. Mnich odpowiedział, że przeznaczenie idzie za człowiekiem nawet do klasztoru, a raczej że Bóg może zesłać nawet tutaj niejedną rzecz nieprzewidzianą, na przykład chorobę lub podróż. Eirik musi modlić się o siły, by przewyciężyć ową pokusę...

I Eirik modlił się. Wiedział jednak dobrze, że w głębi większej niżeli ta, z której płyną słowa modlitwy, głos jakiś błagał: „Nie użyczaj mi, Boże, tej łaski, o jaką Cię proszę. Poślij mnie do domu!”

Niekiedy sądził, że diabeł w tym może właśnie okazuje największy

spryt: nie kusi go żadną z rzeczy, które stanowiły część jego rozwiązłego życia za młodu. Nienawidził samej myśli o tym życiu i nienawidził siebie z tego czasu. Nawet gdyby miał powrócić do świata, nie potrafiłby żyć tak jak wówczas.

Wspomnienie Hestviken wezbrało w nim i opętało go – Hestviken, o którym myślał po nocach, myślał całą duszą i wszystkimi zmysłami. Nigdzie na świecie nie pachniało właśnie tak jak na ich polach, kiedy zboże stało w snopach i nocą pokrył je szron; było ono inne niż zboże na cudzych polach. Eirik leżał i zdawało mu się, że wdycha ten zapach własnych kop siana i woń lip w górach wokół zatoki. Pod zamkniętymi powiekami przesuwają się obrazy kraju, który porzucił: soczyste łąki w dolinie Kvern i suche, niewielkie wzgórze, gdzie znajdował lapońskie grotty, i każda rozpadlina w skałach wokół domu. Czarna ściana Rumaka poza domami i rudawa, gładko wyszlifowana ściana Byka wynurzająca się z morza, a pod nią łamiące się fale, świeże i białe w błękitne pogodne dni – ryczące natomiast w ciemnościach w jesienne wieczory. I tylko wśród mroku nocy rozbłyskiwały tańczące i rozpryskujące się białe płaty piany.

Większość cieląt urodzonych w Hestviken miała łaty czarne i brązowe, i niemal wszystkie miały białe znamiona – czy to w kształcie serca na czole, czy białej plamy z boku, czy wreszcie białych pęcín. Widział je przed sobą, jak chodzą i skubią słoną trawę na rozległym, płaskim błoniu nadbrzeżnym w Saltviken i na stromym zboczu, gdzie wycięto las, by wypalać z niego węgiel – rosły na nim tylko wielkie krzaki jałowca, ciemne i kolczaste. I przypominał sobie zbiorniki na sól oraz dwór położony nieco głębiej i jego zniszczone domostwa; tylko jedno z nich utrzymywano jeszcze w takim stanie, aby mogli w nim sypiać warzelnicy i żeńcy. Ojciec zostawiał tam ziemię odłogiem, na pastwiska. Eirik zawsze myślał o tym, że gdy nadejdzie odpowiedni czas, będzie ją

znów uprawiał – pola pod siew mogły tam być o wiele żyzniejsze aniżeli w okolicy Hestviken.

To, co przyzywało, co kusiło ciało i krew, nie było żadnym grzechem – to było życie tak samo uczciwe i chrześcijańskie. Z pokolenia w pokolenie żyli na Hestviken mężczyźni, którzy czcili Boga i słuchali Jego przykazań, mieli hojną rękę dla biedaków i obcych, którzy posiadali siłę i wolę, aby bronić praw wdów i biedniejszych ludzi. Pierwsi chwyтали za broń, gdy spokój chłopów bywał zagrożony przez wroga w kraju albo z zewnątrz. Jeżeli Jörund Rypa osiadzie tam po ojcu, wiele rzeczy odmieni się we dworze i inne nastaną zwyczajnie niż z dawien dawna – na tyle znał swego szwagra. A on sam, który całe życie przemyślał nad tym, jak to będzie, kiedy w przyszłości otrzyma Hestviken...

Zdawało się, że teraz już nawet z czytaniem i pisaniem poradzić sobie nie potrafi. Zresztą było ich obecnie dwóch nowicjuszy u brata Huberta na nauce; z początkiem jesieni przywdział habit pewien ubogi syn chałupników z Eiker. Wiele zatem rzeczy, które Eirik już umiał, trzeba było powtarzać jeszcze raz, a w nowych rzeczach powoli tylko posuwali się naprzód, bo nauka przychodziła z trudem bratu Torbjörnowi.

Z wolna zaczął brat Einar tracić wiarę w powołanie Eirika syna Olafa do życia klasztornego. Lecz polubił młodego człowieka i nie wątpił, że sam Bóg natchnął go, wyrwał z poprzedniej bezmyślności i kazał mu się zastanowić. Zapął Eirika w pierwszym czasie, jego gorliwość, by nagiąć

się do reguły, były czymś więcej niż zwyczajną zachcianką.

Przede wszystkim jednak smutek i zmartwienie z powodu kobiety pchnęły go ku klasztornej furcie – chociażby nawet dołączyło się coś tego coś więcej. Przełożony nowicjuszy wiedział dobrze, że rzadko ci bywają najlepszymi mnichami, którzy zwracają swą miłość ku Bogu, ponieważ w świecie nie znaleźli tego, co umiłowali. Co właściwie było między Eirikiem i jego przybraną siostrą, brat Einar nie wiedział – Eirik mówił teraz, że nie zaszło nic grzesznego i obawiał się, że to czart wymalował mu wszystko w jeszcze gorszych kolorach, niż było naprawdę, aby go pchnąć do klasztoru bez powołania; w ten sposób miał zostać złym mnichem i najpewniejszą zdobyczą piekła. Brat Einar zgromił go wprawdzie ostro za podobne brednie. Diabeł nie ma większej mocy nad człowiekiem, aniżeli Bóg mu jej użycza a człowiek przyzwala – i nie może porwać sługi Bożego z Jego gromady, chyba że człowiek sam otworzy mu drzwi. Ale jakaś część prawdy była w tym, co mówił Eirik. Przełożony zauważył, że Eirik nigdy nie kłamie rozmyślnie, natomiast widoczne było, że nie przypomina sobie dokładnie, jak rzecz naprawdę wyglądała. Przekonał się niejednokrotnie, że Eirikowi ciężko było pamiętać o czymś tak szczegółowo, aby dwa razy przedstawić daną sprawę w ten sam sposób. Jeśli jednak u człowieka świeckiego uchodzi to za pewną ułomność, to cóż dopiero u mnicha!

Eirik wydawał się również chwiejnego charakteru i prawdopodobnie zawsze takim pozostanie. To również było wadą, którą brat Einar aż nadto często widywał u mnichów. Dla klasztoru było prawdziwym nieszczęściem przyjęcie mnicha, który wiecznie tęskni za odmianą, zawsze pragnie piastować inny urząd albo wykonywać inną robotę, niż tę, jaką mu poruczono, który marzy o przeniesieniu do innego klasztoru, póki nie zwiedzi wszystkich domów swego zgromadzenia w trzech czy czterech królestwach. Czy brat Edvin syn Ryszarda nie był istną plagą

dla bractwa mimo bogobojnego i czystego serca – z powodu tego ducha niepokoju, który w nim mieszkał? Bądź co bądź jego włóczęgowska żyłka znajdowała ujście: słynął jako mistrz malarski, ze wszech stron ludzie przysyłali po niego. Lecz taki niespokojny duch działa w klasztorze zaraźliwie. Brat Einar był sam przez dziesięć lat czarnym mnichem<sup>[23]</sup> w Björgvin, nim powołanie skłoniło go do wstąpienia do surowszego zakonu. Obecnie był już od przeszło trzydziestu lat bratem bosym, ale zawsze jeszcze tkwiło w nim przeświadczenie, że zakonnik nie powinien bez ważkich przyczyn opuszczać klasztoru, w którym złożył pierwsze śluby.

Z wiosną zakwitła w Eiriku na powrót miłość do klasztoru. Ale równocześnie wzmogła się w nim tęsknota za Hestviken i był do głębi nieszczęśliwy, bo nie widział przed sobą drogi; chociaż modlił się i umartwiał, tęsknota nie przestawała go równie silnie szarpać w obydwie strony. Gdy więc minął rok próby, postanowiono, że zaczeka ze złożeniem ślubów jeszcze do jesieni. W owym czasie mieli także złożyć śluby dwaj inni nowicjusze, brat Arne i brat Torbjörn.

Potem zdarzyła się ta przygoda na Tveit: Eirik zapomniał się, rzucił się na chłopskiego syna i pobił go. Gdyby ów nicpoń wystąpił przeciw niemu, potrafiłby to puścić płazem. Ale tamten lżył dom, który Eirik kochał jeszcze mocniej, odkąd powziął postanowienie odejścia, i braci, których považał, i strój zakonny, który starał się nosić z godnością. Upokorzył się zaraz przed pobitym, na pierwsze wezwanie brata Stefana, i upokorzył się w izbie konwentu – mimo to owo wydarzenie było ostatecznym bodźcem.

[23] Czarni mnisi – przezwisko nadane benedyktynom w czasie powstania zakonu w X w. (Przyp. tłum.)

Owego dnia, gdy wszyscy bracia szli do brata Bjarnvarda golibrody, aby dać sobie wystrzyc tonsurę, a on z nimi nie poszedł – wszystko się w nim burzyło. Tego zaś ranka, kiedy stał znów ubrany w buty i pończochy, w przyciasnym, czerwono-żółtym kaftanie, z pasem, na którym wisiał sztylet, załamał się zupełnie i w kościele nie mógł powstrzymać łez. Płakał ze wstydu i skruchy, żałował, że nie zmusił się, by zostać. Lecz równocześnie zdawał sobie sprawę, że żałowałby bez względu na to, którą z dwu dróg by obrał.

Bracia pożegnali się z nim serdecznie i przyrzekli modlić się za niego; miał nadal należeć do ich wspólnoty jako brat *ab extra*. Potem zeszedł na dół do pomostu. Czuł się nagi i śmieszny w niezwykłym stroju, wstydził się każdego człowieka napotkanego na dworze płatnerza. I serce w nim omal nie pękło ze smutku, kiedy rozwinął żagiel i popłynął między wysepkami, sam w maleńkiej łódce pożyczonej od Galfrida.

Kiedy jednak wyjechał z cieśniny Havoy i ujrzał znane sobie dobre miejsca na brzegu – nie, wówczas nie żałował już wcale. A gdy zobaczył z daleka spienione białe fale u stóp Byka, gdy ominąwszy przylądek wpłynął do zatoki – nie, naprawdę nie żałował.

I kiedy szedł w górę od przystani, wolny, z pustymi rękoma – morski wiatr igrał tak, że zboże na urodzajnym polu ugięło się jak płomień, a słońce błyskało na lśniących jedwabistych kłosach – Eirik miał ochotę przeskoczyć płot i głąskać kołysany wiatrem jęczmień.



Oziębłość ojca była mu raczej miła niż bolesna. Nie było łatwą rzeczą kręcić się znów po domu i być tak zupełnie innym niż dawniej. To jednak, że nie mógł żyć bez zmagania się w sposób, jaki uważał za prawy i godny

chrześcijanina, napawało go pewnością, że wybrał słuszną drogę. Nie uciekł z klasztoru, aby wrócić do dawnego bezmyślnego i wygodnego życia – istniała jeszcze trzecia droga i tę znalazł. Każdego dnia, w którym czuł, że niełatwo jest nią kroczyć, odwaga jego krzepła.

Tak minęła zima, a Eirik ani na jotę nie odstąpił od swych postanowień.

Na osiem dni przed Wielkim Tygodniem Olaf i Eirik wybrali się do Galaby. Po południu, kiedy wszystkie sprawy załatwiono i Olaf z lennikami oraz kilkoma starszymi kmięciami siedział w izbie przy piwie, powstał tumult na dziedzińcu. Po chwili jakiś chłopak pchnął gwałtownie drzwi i krzyknął, że Eirik syn Olafa leży na dworze, ranny śmiertelnie.

Olaf porwał się i wybiegł. Koło stajni gromadka mężczyzn skupiła się dookoła kogoś, kto leżał w śniegu i krwawił tak silnie, że utworzyła się pod nim czerwona kałuża; Eirik leżał nieprzytomny. W prawej ręce trzymał jeszcze sztylet. Olaf przy pomocy jednego z chłopów zaniósł go do izby na łóżko i obejrzał rany. Dostał cios nożem w plecy i drugą ranę z przodu pod obojczykiem, poza tym twarz jego nosiła ślady uderzeń. Rany były brzydkie, ale nie groziły śmiercią. Podczas gdy ojciec go opatrywał, Eirik otworzył oczy.

– Nie mogłeś poskromić dłużej swej męskości? – zapytał Olaf, lecz głos jego brzmiał życzliwie. Uśmiechnął się nawet lekko.

Ranny znów stracił przytomność.

Potem Olaf dowiedział się, jak się to wydarzyło. Dwaj parobcy popadli w zwadę, kiedy zabrali się do kulbaczenia koni – byli od dawna wrogami; od słów przyszło do bitki. Ich broń jeszcze od tingu leżała w domu, chwycili więc za noże. Ale gdy Eirik wmieszał się i chciał ich rozłączyć,



obaj zwrócili się przeciw niemu. Eirik musiał wyciągnąć sztylet, lecz użył go tylko w obronie włanej. Żaden z pacholków nie odniósł poważniejszej rany prócz kilku zadraśnięć; teraz leżeli powiązani w lochu dworu.

Dopiero pod wieczór Eirik odzyskał przytomność. Wyszptał, że nie chce, aby wszczynano sprawę przeciw biedakom na wypadek jego śmierci. Wybacz im, tak jak ufa, że Bóg jemu wybaczy.

Olaf nie dał żadnej odpowiedzi. Ani on, ani Reidulf nie myśleli oszczędzać tych ludzi, gdyby Eirik zmarł od ran. Wszystko jednak poszło dobrze. Reidulf posłał zaraz po starego człowieka, który umiał zamawiać krwotok i leczyć rany. W tydzień potem Olaf mógł już zabrać syna do Hestviken, tam zaś on i Ragna pielęgowali go tak dobrze, że jeszcze przed Białą Niedzielą<sup>[24]</sup> chodził o własnych siłach.

Od tej pory zapanowała zgoda między ojcem i synem. Podczas choroby Eirik poniechał modlitw i innych praktyk religijnych. Wprawdzie gdy wyzdrowiał, rozpoczął je na nowo, lecz nie przykładał się już do nich tak gorliwie, lub też czynił to w tajemnicy przed domownikami. A jeśli Olaf zaszedł go, gdy odmawiał *Pater noster*, albo zauważył, że umartwia się w jakiś sposób, to w ciągu dnia syn usłyszał niechybnie:

– Szczęście, Eiriku – mawiał ojciec śmiejąc się cicho – żeśmy widzieli, jak twoja ręka umie jeszcze sięgnąć po sztylet. W przeciwnym razie niełatwo byłoby nam mieszkać pod jednym dachem z tak nabożnym mężem, jakim się stałeś.

Eirik czerwienił się. Dręczyło go, że ojciec tak mówi, lecz Olaf robił to dobrodusznie, Eirik zaś nie potrafił nigdy oprzeć się ojcu, jeśli ten okazywał mu bodaj odrobinę życzliwości.

---

[24] Białą Niedzielą zwano w Norwegii Zielone Świąta. (Przyp. tłum.)

Pewnego ranka Eirik już rozbudzony leżał w łożu na Gunnarsby. Jörund ubierał się w drugim kącie izby. Cecylia weszła po coś i zamieniła z mężem kilka słów. Nagle Jörund zapytał:

– Więc nie chcesz powiedzieć twemu bratu, o czym rozmawialiśmy?

– Nie. Powiedziałam ci już przecie, że nie chcę. Jörund bąknął coś w złości. Potem poszedł za żoną.

Eirik wstał i ubrał się. Kiedy wyszedł z izby, Cecylia siedziała na przyzbie przed domem z synkiem na kolanach. Dziecko czołgało się po podółku matczynym i prosiło o pieszczotę. Cecylia przytuliła chłopaczką do siebie, wyglądała jednak tak, jak gdyby myślała o czym innym. Eirik przywitał siostrę, stanął przy niej i spojrzał na nią z góry.

– Co Jörund chciał, abyś mi powiedziała...?

– Jeśli słyszałeś naszą rozmowę – Cecylia spojrzała na niego chłodnymi przejrzystymi oczyma – to zapewne też słyszałeś, co mu odpowiedziałam.

– Czy chodzi o to, że powróciłem z klasztoru? – spytał Eirik. – Czy z tego powodu gorzej jest ci tutaj, na Gunnarsby?

– Ach, to nie to. – Wzrok jej ślizgał się po wysokiej, urodziwej postaci brata; stał przed nią w promieniach porannego słońca, padających na jego pochyloną głowę i ciemne, kędzierzawe włosy. Był ubrany w ciemnoszkarłatny, do kolan sięgający kaftan, który leżał jak ulany na szerokich barach; skórzany pas ze srebrną klamrą obcisłał szczupły stan. Podobał się jej w tym stroju o wiele bardziej; była poruszona do głębi widząc żywego, pięknego brata w habitie braci bosych, ale nigdy nie wierzyła, że to jest odpowiednie dla niego życie. – Jest jeszcze wiele innych rzeczy – dodała.

Eirik rzekł:

– Nawet licząc tylko twój udział na Hestviken, Jörund otrzyma więcej, aniżeli jego bracia wzięli za swymi żonami. Brynhilda ma czterech braci, a ojciec Łucji musiał zapłacić królowi wielki okup za nieroztropną grę, jaką uprawiał, gdy książe stał pod Akershus.

Cecylia skinęła głową.

– Jörund wie o tym, oni wszyscy o tym wiedzą. Lecz to nie ułatwia Jörundowi stanowiska. Żyjemy tutaj jako najmłodszy na tym ludnym dworze i musimy we wszystkim podporządkować się innym...

– Czy masz na myśli panią Brynhildę? – zapytał Eirik.

– Brynhildę lubię jeszcze najbardziej, gada przynajmniej tak, jak myśli... Prawdą jest jednak, że ona z Jörundem nigdy nie byli przyjaciółmi. Aake i Łucja zaś nie lubią mnie...

Eirik spojrział na młodą matkę. Odkąd bawił tu jako gość, miał istotnie wrażenie, że ani Jörundowi, ani Cecylii nie jest lekko na Gunnarsby.

– Mimo to powiedz mi – nalegał – co Jörund chciał, abyś mi powiedziała? No, powiedz – powtórzył, gdy siostra zarumieniła się, lecz milczała.

Nagle, jakby zniecierpliwiona, Cecylia postawiła gaworzące dziecko na ziemi. Niespełna jednoroczne chłopię upadło i otworzyło usta do krzyku. Eirik podniósł je i wziął na ręce.

– Tak jest, niedługo, bo już około świętego Klemensa<sup>[25]</sup>, będę miała drugie dziecko...

Odetchnęła parę razy głęboko:

– Trudno zaprzeczyć, dałabym wiele za to, żebym nie musiała urodzić tego dzieciątka z pomocą moich szwagierek...

Choćbyś ty miał być tym, który posiadać będzie Hestviken, czy nie moglibyśmy zamieszkać tam razem? Jörund i Aake nie mogli się nigdy znieść... Jörund chciał tego zawsze, odkąd jesteśmy małżeństwem. Prosił

[25] Świętego Klemensa – 23 listopada. (Przyp. tłum.)

mnie zaraz jednej z pierwszych nocy po ślubie, prosił, abym ubłagała ojca, żebyśmy przenieśli się do niego... A jeśli mógł tego chcieć, jeśli wołał zamieszkać nawet z ojcem, który jest opryskliwy i z którym niełatwo żyć, jeśli wołał przebywać raczej z nim niż z własnymi braćmi, to jeszcze lżej będzie, gdy ojca kiedyś nie stanie i ty będziesz tam rządził. Ty i on byliście przecież długi czas wiernymi druhami...

– Chciałabyś więc – spytał Eirik, gdy Cecylia przerwała dla nabrania tchu – żebym pomówił z ojcem, tak byście na jesieni mogli się do nas przenieść?

– Tak – odparła i znów się zaczerwieniła.

Eirik podał jej dziecko, gdyż mały wyrывał się do matki. Po czym odwrócił się i poszedł odszukać Jörunda.

Całe przedpołudnie spędzili przyjaciele razem w lesie. To wałęsali się tu i tam, to znów siedzieli lub leżeli na zboczu i Jörund gadał bez przerwy. Zapewniał, że wcale nie wziął sobie tak bardzo do serca wiadomości, iż Eirik nie został mnichem: przez cały czas pamiętał, że rok próby jest tylko rokiem próby – natomiast Aake i Steinar oraz ich małżonki użyli słów, które zmusiły Cecylię do przeciwstawienia się im – Eirik wie najlepiej, jaka ona uparta, wie, że nigdy nie ustąpi, gdy jest innego zdania... Nieraz też miała swoje zdanie i przeważnie słuszne. Lecz nęka ich życie tutaj, niezgoda pomiędzy nim a braćmi spotęgowała się dziesięciokrotnie, odkąd ożenił się z Cecylią. Jeśli jednak przeniosą się do Hestviken, jest pewien, że on i Cecylia będą dobrze żyć z sobą. Potem zaczął nagle mówić o srebrze stołowym, które Cecylia otrzymała w posagu; żona Aakego dowiedziała się u Magnusa, złotnika w Oslo, że to jest to samo stare srebro, które Olaf pokazał im podczas zrękowin, a potem kazał przerobić... Bracia twierdzili, że Olaf oszukał swego zięcia na wianie, a Cecylia nie pozostała im dłużna odpowiedzi... Kiedy szli potem do dworu, Eirik miał zamęt w głowie od tych wszystkich skarg Jörunda.

W drodze powrotnej Eirik postanowił nakłonić ojca do ustąpienia, chociażby nawet ciężko mu było otrzymać zgodę starego. Zdarzyło się jednak to, czego nie przewidział. Olaf zgodził się natychmiast. W ten sposób więc Jörund i Cecylia tej samej jeszcze jesieni przeprowadzili się do Hestviken. Przeznaczono dla nich izbę niewieścią.

Wkrótce potem Cecylia urodziła drugiego syna. Dano mu w pośpiechu imię Torgils. Chłopaczek przyszedł na świat na pół uduszony i niewiasty wezwały Eirika, który ochrzcił noworodka z wody i nadał mu pierwsze z brzegu imię rodowe, jakie mu przyszło na myśl. Olaf wpadł w złość. Chłopiec powinien był otrzymać imię Audun, po jego ojcu oraz jego małym, zmarłym synku; nie chciał, aby imię Dritskjegga powtórzyło się w ich rodzie – choć rodzeni potomkowie zrobili to; dwie córki Arnego syna Torgilsa ochrzciły synów imieniem dziada.

Pewnego dnia Eirik zwrócił się do ojca:

– Czy nie mógłbyś być mniej mrukliwy, gdy mówisz z Jörundem? On sądzi, że go nie lubisz.

– Nie, nie mogę – odparł Olaf szorstko. Po czym dodał nieco łagodniej: – Jörund nie spodziewa się chyba, że będę się z nim obchodził jak wtedy, kiedy był naszym gościem, teraz gdy na stałe tu zamieszkał.

Olaf doszedł do tego, że nie potrafił już dłużej utrzymać swej niechęci do Eirika. Młody człowiek wymusił sobie u ojca pewnego rodzaju uznanie. Drugi rok już przebywał w domu, a zmiana, jaka dokonała się w nim w klasztorze, trwała dotąd. Olaf zauważył, że Eirik starał się zawsze czynić to, co było najszlachetniejsze, i panował nad sobą z taką siłą woli, o jaką by go ojciec nigdy nie posądził. Ojciec czuł jak gdyby wstyd, gdy wracał myślą do pierwszych tygodni, w których wprost oczekiwali i życzył sobie, aby Eirik popadł znów w swoje dawne nałogi...

Chociaż żaden z nich tego nie chciał, ani nie uświadamiał sobie wyraźnie, to jednak ci wszyscy ludzie, którzy tak długo stanowili jakby

jedną rodzinę na Hestviken, zbliżyli się jeszcze bardziej do siebie, odkąd bawił wśród nich Jörund Rypa. Czuli, że oni są z sobą zżyci, on zaś jest obcy.

Jörund kręcił się po dworze trochę jakby zagubiony – i nic nie robił. Nie był przyzwyczajony do pracy, jaką trzeba było wykonywać w Hestviken. Rano wychodził z izby, stał przed drzwiami stajni i przyglądał się, jak parobek oporządza konie do niego należące; o ile pogoda dopisywała, włókł się czasem do przystani, tam znów stał, rozglądał się i pluł w morze. Parę razy wybrał się z rybakami, ale potem i to mu się sprzykrzyło. Najczęściej kładł się na ławie w swej izbie i spał – skarżył się, że po nocach nie sypia z powodu dwojga małych dzieci. Kiedy Olaf i Eirik wracali z połowu, szedł z nimi do starej izby i siedział tam, ludzie byli jednak zbyt znużeni i głodni, by zabawić Jörunda. W okresie połowu rybitw odżył na krótko i wyruszył z innymi – ale potem przez tydzień panował straszliwy północny sztorm i Jörund stracił także do tego ochotę.

Cecylię widywano nieczęsto. Przeważnie przesiadywała w niewieściej izbie albo też z dziewczkami w kuchni i oborach.

Brak paszy dał się tego roku silnie odczuć w Hestviken, ponieważ musiano wyżywić także bydło Jörunda; musieli na nowo używać starej stajni, która od niepamiętnych już czasów stała pustką i niszczała. Naprawiono ją, jak się dało, mimo to wygłodniałe zwierzęta cierpiały w niej bardzo. Zdarzyło się nieraz, że Cecylia wychodziła z niej z płaczem, gdy pomagała przy karmieniu bydła – a rzadko widywano ją płaczącą, nawet gdy chodziło o ludzkie sprawy. Pewnego wieczoru, kiedy wychodząc ze stajni spotkała w przedsiönku Eirika, zarzuciła mu w

ciemności ramiona na szyję.

– Eiriku, ty, co tyle się modlisz do Boga, czy nie możesz pomodlić się, aby tego roku jak najrychlej zesłał nam wiosnę?

– Robię to, wiesz przecie...

Kiedy tego wieczoru Olaf się położył, Eirik wszedł do niego do komory i powiedział ojcu, co sobie już od dawna umyślił: oto żeby doprowadzić do porządku dwór w Saltviken. Olaf był zdania, że więcej mieli pożytku z tamtej ziemi, używając jej na łąki i pastwiska, niż gdyby oddali ją dzierżawcy. Eirik odparł, że nie miał bynajmniej dzierżawy na myśli, lecz żeby ją sami uprawiali, z pomocą ludzi dworskich.

– Jeżeli Jörund ma zamiar trzymać tu cztery konie i dziesięć krów, to my sami nie możemy hodować tyle bydła co dotąd, albo też musimy wprowadzić się z częścią trzody.

W końcu otrzymał od ojca pozwolenie. Wziął z sobą Knuta i Sveina, młodych synów Ragny, i już w parę dni potem popłynęli na południe dwiema łodziami pełnymi żerdzi na ogrodzenie. Pracowali cały tydzień, by doprowadzić do porządku, co się dało. Zaledwie mróz zelżał, Eirik wyruszył ponownie, tym razem już z częścią bydła, i jeszcze przed świętym Hallvardem zdołał ogrodzić – choć część tylko ściętymi gałęziami – kawał ziemi będącej dawniej ornym gruntem. Kiedyś ojciec sam będzie zmuszony przyznać mu słuszność – Saltviken może się stać dobrym gospodarstwem.

Na zimowy targ Olaf syn Auduna wybrał się do Oslo. Jak zwykle sprzedał przy tej sposobności różne towary i teraz, na świętego Hallvarda, miał za nie odebrać pieniądze. Posłał w tym celu Eirika, Eirik zaś prosił

Jörunda, by mu towarzyszył.

Szwagrowie pozostali po święcie jeszcze parę dni w mieście. Spotkali znajomych, z nimi też wieczorami popijali po różnych dworach. Eirik pilnował się – nie chciał iść nigdzie tam, gdzie go dawniej aż nazbyt dobrze znano. To była jedna z przyczyn, dla której uprosił Jörunda, by z nim pojechał. Gdy był z człowiekiem żonatym, rozumiało się samo przez się, że nie zatrzymywał się w zwyczajnych zajazdach, lecz w gospodach bractw i dworach mieszczańskich. Drugą przyczyną było to, że spostrzegł, iż Jörund nudzi się w Hestviken.

Wieczorem w wigilię świętego Eirika wrócili bardzo późno i dobrze podchmieleni na dwór płatnerza, toteż Eirik zasnął nazajutrz. Tego dnia zamierzał wysłuchać mszy w kościele swych braci; od pierwszego dnia pobytu w mieście nie znalazł czasu, by pójść do nich – a teraz znowu zrobiło się za późno. We wszystkich kościołach prócz Świętego Hallvarda było już po mszy, musiał więc iść tam rano, do braci zaś na nieszpory.

Gdy modlił się w czasie mszy, przyszło mu do głowy, żeby poprosić w klasztorze o kilka sadzonek ślicznych wiśni z gaju pod skałami. W pobliżu domostw na Saltviken przed skalną słoneczną ścianą znajdowało się wgłębienie gruntu, doskonałe miejsce dla drzew owocowych. Takich miejsc istniało też sporo na Hestviken, lecz ojciec wyśmiał go, gdy o tym wspomniał; Hestviken nie jest rycerskim dworem, nie mają więc potrzeby zakładać niewieściego albo różanego gaju. Saltviken uważał jednak Eirik za swoją posiadłość.

Wróciwszy do gospody dowiedział się od Galfrida, że Jörund wyszedł z kilkoma mężczyznami zamieszkałymi we dworze Brand. Eirik poszedł na poszukiwanie szwagra i znalazł go w jednym z domostw dworu w towarzystwie paru mężczyzn, którzy hodowali tam koguty. Początkowo przyglądali się walkom kogutów, potem udali się do izby na poddaszu i zaczęli pić. Po jakimś czasie weszło kilka kobiet. Jedną z nich, zwaną



Rajskim Ptaszkciem, Eirik znał z dawnych lat; usiadła na jego kolanach i piła z nim, on zaś głaskał i pieścił ją trochę, myśląc, że najmądrzej byłoby, gdyby poszedł w swoją drogę... Ale wstyd mu było wobec innych. Nagle zjawił się na stole kubek z kośćmi. Eirik nie miał ochoty do gry, ponieważ obiecał, że będzie się trzymał z dala od podobnych zabaw – nie zawsze jednak było to możliwe; teraz również ze względu na innych trudno mu było wymówić się od gry. Lecz był tam również pewien nie znany Eirikowi człowiek, który oświadczył, że nie chce grać w kości i zapytał, czy nie ma nikogo, kto by zagrał z nim w szachy? Oznaczało to wybawienie z dwóch pokus równocześnie, nie mógł bowiem grać w szachy z Rajskim Ptaszkciem na kolanach. Zgłosił się natychmiast i odsunął dziewczynę, co prawda z lekkim żalem w duszy. Obcy jednakże – nazywał się Helge – okazał się tak doskonałym graczem, że Eirik wnet zapomniał o wszystkim poza grą. Najchętniej pozostałby tu dalej i opuścił nawet nieszpory.

Kiedy jednak dzwony zaczęły dzwonić, przypomniał sobie drzewka wiśni, na których mu tak bardzo zależało. Przerwał więc grę – Jörunda zostawił z innymi. Widział wprawdzie, że szwagier dobrze już sobie podpił. On sam wytrzeźwiał natychmiast spostrzegłszy, jak świętego przeciwnika ma przy szachownicy. Jörund grał w kości namiętnie, ale Eirik pragnął zagłuszyć niepokój; szwagrowi zawsze sprzyjało szczęście w grze, był przy tym obecnie żonaty, sam więc potrafi chyba zachować miarę.

A kiedy potem stał w swoim kościele i śpiewał z innymi *Ave Maria Stella* i *Magnificat*, zapomniał o całym świecie. Po nabożeństwie wielu braci podeszło do niego, potem zabrali go do klasztoru. Teraz mógł z nimi wszystkimi porozmawiać podczas wieczerzy; mnisi zaś namówili Eirika, aby spędził noc w ich izbie gościnnej. Nazajutrz po mszy wykopią dla niego młode pędy wiśni. Drzewa owocowe wyrosły już wprawdzie dość wysoko, ojciec Einar sądził jednak, że jeśli osłoni się dobrze korzenie

mchem i korą, i jeśli Eirik zaraz odpłynie do Saltviken i tego samego jeszcze wieczora zasadzi je w ziemi, przyjmą się na pewno.

Eirik był w kościele na kompletorium i spał w gościnnej izbie. W jasną noc obudził go mnich, który stał przed nim w naciągniętym na głowę kapturze i szeptał: *Benedicamus Domino*. I Eirik poszedł na jutrznię, po czym położył się z powrotem, by znów wstać i iść na mszę. Dopiero w tej chwili przyszedł mu na myśl trzos z pieniędzmi, które odebrał dla ojca... Ukrył go w swoim łożu na dworze synów Ryszarda – chyba był tam całkiem bezpieczny.

Po wykopaniu młodych wiśni bracia pragnęli obdarzyć Eirika różnymi roślinami z sadu. Eirik zniósł więc wielką naręcz na groblę, do swej łodzi, i owinął rośliny starym żaglem dla osłony przed słońcem. Było już południe, kiedy powrócił na dwór płatnerza. Tam dowiedział się, że Jörund zjawił się wieczorem na krótką chwilę, lecz nie spędził nocy we dworze.

Powędrował więc do miasta, by odszukać szwagra. We dworze Brand spotkał Helgego i od niego posłyszał, że razem z Jörundem Rypą był późnym wieczorem w pewnym domu, gdzie żaden mężczyzna nie spotkałby chętnie męża swej siostry; po odejściu Helgego Jörund został tam jeszcze. Eirik poprosił Helgego, by go tam zaprowadził, lecz gdy przybyli na miejsce, oznajmiono im, że Jörund udał się niedawno do domu. Eirik wrócił więc do gospody. Zastał tam już Jörunda, który zabierał się właśnie do pakowania ich rzeczy. Wyglądał jak człowiek, któremu się nie powiodło. Eirik nie mógł się zdobyć na to, by mu choć słówko powiedzieć. Złożył więc tylko resztę rzeczy. Ale gdy zaczął szukać w łożu trzosa z pieniędzmi, nie znalazł go...

– Wziąłem go do siebie – odezwał się Jörund. – Nie wiedziałem, jak długo zamierzasz wałęsać się u swych braci.

Eirik obrócił się gwałtownie w stronę szwagra. Lecz stłumił cisnącą

mu się na usta odpowiedź. Już i tak było źle – i lepiej nie stanie się przez to, że się o tym będzie mówiło...

Zeszli na dół do łodzi. Podczas jazdy nie zamienili ani jednego zbytecznego słowa. Eirik był rad, że nie zabrał żadnego z domowników; Cecylia nie dowie się przynajmniej o haniebnym zachowaniu męża.

Po wieczery Eirik zdał ojcu sprawę, jak załatwił dane mu polecenie. – Sakiewkę z pieniędzmi wziął do siebie Jörund – zakończył.

Jörund Rypa podniósł się.

– Drogi teściu, mówiąc prawdę, właściwie nie mam przy sobie tych pieniędzy... Tak się złożyło, że spotkałem człowieka, który upominał się o pewien dawny dług. Byłem mu winien półtorej marki w srebrze. Jest to pewien człowiek z doliny, który swego czasu sprzedał mi klacz Graagaas... Wówczas odjechał do domu, zanim zdążyłem mu zapłacić, i dlatego pożyczyłem sobie teraz tych pieniędzy od ciebie, aby uiścić ów stary dług...

Olaf wpatrywał się w zięcia, tak że Jörund zmieszał się.

– No tak, graliśmy też trochę w kości. Jestem przyzwyczajony do tego, że szczęście sprzyja mi w grze, spodziewałem się, że wygram tyle, iż będę mógł oddać Simonowi, co mu byłem winien... Ale mam tutaj kubek o wiele więcej wart od tego srebra, które od ciebie pożyczyłem... – Jörund wydobył z fałd szaty mały ładny kubek i postawił go na stole przed Olafem. – Weź go więc w zamian.

Olaf chwycił kubek i zgniówszy go w rękach cisnął Jörundowi Rypa prosto w twarz.

– Nie prosiłem cię o twój kubek. Chcę mieć moje srebro, nic mniej ani więcej.

Eirik zerwał się. Nagle dojrzał coś w twarzy Jörunda i struchlał z przerażenia – nie mogło do tego dojść.

Jörund spojrział na zgnieciony kubek leżący u jego stóp. Potem

postawił na nim nogę i rozdeptał go.

– Zabierz twój kubek – powiedział Olaf takim głosem, że zięć posłuchał.

Jörund wyszedł.

Eirik i Olaf stali w milczeniu, unikając wzajemnie swego wzroku. Po chwili ojciec zagadnął cicho i gniewnie:

– A ty... grałeś także w kości? Eirik potrząsnął głową.

– Musiał to uczynić ostatniego wieczoru w Oslo. Każdy z nas poszedł w swoją stronę. Jörund udał się do jednego ze swych krewnych, a ja byłem u braci w klasztorze i tam spędziłem noc i rano następnego dnia.

– Nic mądrzejszego nie mogło ci przyjść do głowy – zapytał Olaf drwiąco – jak siedzieć w klasztorze i zabawiać się różańcem, gdy on był z tobą? Ty powinieneś znać swego przyjaciela. Źle dać lisowi barana za pasterza.

Eirik milczał. „Mimo to nie powinieneś był tego uczynić, ojczu” – chciał powiedzieć, ale nie śmiał.

Eirik leżał, lecz nie mógł zasnąć. Nie wolno mu było odejść od Jörunda, ojciec miał zupełną słuszność. Wszak Eirik sam nie wiedział, w jakim towarzystwie zostawił szwagra. Powinien był raczej namówić Jörunda, aby poszedł z nim razem do kościoła, ale na to nie miał ochoty... Pragnął przebywać tylko ze swymi przyjaciółmi, których szanował i cenił inaczej niż Jörunda.

Jednak mimo wszystko ojciec nie powinien był tego zrobić – cisnąć mu kubek w twarz i przemawiać jak do złodzieja. Eirik jęknął cichutko – Jörund nigdy tego ojcu nie zapomni. A jeśli muszą żyć tu razem we dworze... Odczuwał to, co się stało, jak złą przepowiednię – sam nie wiedział jakich nieszczęść...

Nagle przypomniał sobie tobół, który pozostawił w szopie owinięty żaglem. Powinien był jak najszybciej zasadzić pędy, tak radził ojciec

Einar i brat Hubert. Eirik wolałby uniknąć nazajutrz rano spotkania z ojcem, Jörundem i Cecylią. Wstał więc i cichcem wymknął się na dwór.

Fiord trwał cichy i bladej w tę wiosenną noc, która z wolna przeradzała się w dzień. Ruchliwe fale lizwały żółty pas morszczyn pod skałami, mewy przysiadły na nich niby białe punkty – jedna poderwała się nagle i odfrunęła. W górze, w świerkowym lesie, który czepiał się każdego wgłębienia między szarymi jak mech skałami ciągnącymi się wzdłuż wybrzeża, zaczął budzić się cichy śpiew ptaków. Blade, szare chmury na południu zaróżowiły się, a niebo na północnym wschodzie stało się szkarłatne i złote, kiedy Eirik wiosłował wzdłuż szerokiego, białego łuku piaszczystej zatoki Saltviken. Nieco dalej w głębi łądu leżała wielka, skąpą trawą porośnięta łąka; stało na niej kilka olch, których oszczędzili warzelnicy, oraz potężne stare pojedyncze drzewa, przypominające wyglądem ostrza olbrzymich oszczepów. Eirik popłynął dalej – chciał obejrzeć sieci, które zapuszczał zwykle pod skałami na południu zatoki; czy też chłopcy dopilnowali ich podczas jego nieobecności? Kiedy potem płynął z powrotem, na dnie łodzi rzucało się ze dwadzieścia ryb.

Domy leżały w pewnym oddaleniu od wybrzeża, na pół zakryte od strony morza przez wielką, niską, czerwoną skałę, podobną do grzbietu olbrzymiego wieloryba. Dalej wśród szeroko ciągnących się pól widać było jeszcze kilka podobnych grzbietów aż po skraj lasu.

Gdy przechodził obok drzwi swej izby, posłyszał szczekanie psów – zwierzyły pana. Wypuścił je i radował się ich uciechą. Natomiast chłopców, swych parobków, jak ich nazywał, musiał wołać; spali kamiennym snem. Knut i Svein w jednym łożu, Olaf zaś, syn Liv, na ławie. Eirik wziął go tu ze sobą, zauważył bowiem, że w Hestviken wychowanek jego już się wszystkim uprzykrzył. Tutaj mógł przynajmniej z grubsza oporządzać ich rzeczy, dopóki gospodarzyli w zatoce bez kobiet.

Psy musiał jednak zamknąć z powrotem podczas sadzenia drzewek,

chciały bowiem wygrzebać świeżo okopane rośliny, zaledwie je posadził. Kończył już niemal, kiedy posłyszał chłopców idących do stajni. Słońce wzeszło niedawno, fiord i przeciwległy brzeg nurzały się w rześkim, bladym świetle poranka. Gdy chłopcy wypuścili krowy i pognali je wesoło pokrzykując na ogrodzony szmat ziemi, który na przyszły rok miał zamienić się w orne pole, Eirik był gotów.

Zszedł na dół, powitał chłopców i opowiedział im o swym połowie. Po czym rzucił Olafowi synowi Liv uwalane ziemią odzienie, przełknął nieco ciepłego mleka prosto z rannego udoju i rzucił się na posłanie, czując, że będzie spał aż do wieczora.

W lecie Eirik przebywał przeważnie w Saltviken. Było tak, jak gdyby całą miłość do siedziby przodków przeniósł na to miejsce. Nie czuł się już dobrze w Hestviken, a gdy musiał tam spędzić parę dni, tęsknił za opuszczonym dworem i myślał o tym, jaką pracę teraz na nim rozpocznie.

Ojciec gromił go z tego powodu:

– Wkrótce nie więcej będę miał z ciebie pociechy niż z mojego zięcia.

– Tak, doprawdy, nie masz w nim wielkiej wyreki...

Olaf roześmiał się gniewnie.

Eirik usiłował naprawić zabudowania gospodarskie tak, ażeby w zimie mógł już ktoś zamieszkać w Saltviken z dziesięcioma sztukami bydła. Miał do pomocy jedynie dwóch młodych chłopców i kalekę, ale i tak dawał sobie jakoś radę z robotą. Latem trzymał Olaf w zatoce dwóch warzelników i ci sypiali na górze, we dworze.

Wreszcie kiedy Eirik skończył już sianokosy, Olaf wybrał się pewnego dnia do Saltviken, by rozejrzeć się w warzelnii. Udał przerażonego nieładem, jaki panował na dziedzińcu – leżały tam stosy desek, narzędzi i wiórów, izba zaś wyglądała tak, jak można się było spodziewać po gospodarowaniu w niej pięciu mężczyzn i bezsilnego kaleki, bez jednej kobiety. Olaf gderał z powodu szkaradnych płotów z uschłych badyli otaczających zabudowania, a w końcu oświadczył, że pragnie mieć teraz Eirika u siebie do pomocy w żniwach. Kiedy Eirik go oprowadzał i pokazywał, co już zrobił, i objaśniał, co ma zamiar na przyszłość wykonać, nie mówił na ogół wiele. Ale potem, gdy schodzili do łodzi, Olaf zatrzymał się nagle.

– Miałeś słuszność, Eiriku. Ten dwór może być o wiele lepszy, niż sądziłem. Widzę, że wszystko, coś zrobił, jest dobrze zrobione.

Eirik zaczerwienił się z radości. Odparł ze słabym uśmiechem:

– Czy wiesz, ojcze, że pierwszy raz w życiu przyznałeś mi słusność?

Olaf odparł po namyśle:

– Czy naprawdę? Przyznałem ci przecież słusność, kiedy chciałeś iść do klasztoru... A kiedy uciekłeś z domu, by pociągnąć w świat i szukać szczęścia, wówczas także, przypominam sobie, przyznałem ci rację, choć nie podobało mi się wcale, że w ten sposób ode mnie odszedłeś. A gdybyś pomówił ze mną o Bothildzie, kto wie, może i w tym wypadku nie powiedziałbym: nie...

Eirik milczał, do głębi poruszony. Widział, że ojciec mówi prawdę – ale wiedział zarazem, że to nie jest cała prawda...

– Czy wybiłeś już sobie całkiem klasztor z głowy?

Niełatwo było na to odpowiedzieć. W pewnym sensie tęsknił zawsze za tym życiem – i niekiedy myślał, że gdy podźwignie dwór w Saltviken... Gdyby mógł obecnie bez dalszych zachodów złożyć od razu ślubę – nie wątpił, że uczyniłby to z pewnością. Lecz wiedział, że musiałby przejść ponownie nowicjat, a nie czuł się na siłach raz jeszcze przez cały rok zastanawiać się nad wyborem.

– Zmiennej jesteś natury, mój synu – rzekł Olaf cicho, idąc dalej. – I nieraz zadaję sobie pytanie, czy nie nadejdzie dzień, w którym stracisz również ochotę, by mieszkać i gospodarować tu, w Saltviken.

Eirik wypluł jagody jałowca, które żuł, lecz milczał. Zmiennej natury – to samo powiedział także ojciec Einar. Dziwne...

– Ponieważ porzuciłeś myśl o klasztorze, powinieneś się wnet ożenić – podjął znów Olaf.

Eirik wciąż jeszcze nie odpowiadał, więc ojciec ciągnął:

– Masz już lat dwadzieścia osiem, Eiriku, czas wielki. A ja liczę sobie pół wieku. W moich latach człowiek nigdy nie wie, czy następnej wiosny będzie jeszcze chodził po tej ziemi. Chciałbym wiedzieć, jak będzie na



Hestviken, gdy mnie nie stanie...

– Cecylia ma dwóch urodziwych synków – zauważył Eirik.

– Obawiam się, że dwóch i pół – odparł Olaf krótko. – Tak, tak, ładni są jej synowie, tak powiadają niewiasty, lecz mają mysie uszy, jak ich ojciec.

Eirik zapytał:

– Czy upatrzyłeś już kogoś? Myślę o kobiecie, którą chciałbyś dać mi za żonę.

– Berse na Eiken ma córkę...

– Gunhilda! Ależ przecież ty i Berse jesteście wrogami!

– Nie tak wielkimi, abyśmy nie mogli z powrotem zostać przyjaciółmi

– Olaf uśmiechnął się. – Gdyby mu się udało dostać za zięcia syna gospodarza z Hestviken, wówczas...

Nie rozmawiali już więcej, podczas gdy Eirik wiosłował w zapadającym zmierzchu. Dopiero kiedy przybyli do przystani, ojciec powiedział:

– Stary Tore mógłby przez zimę zamieszkać w Saltviken z bydłem, które chcesz tam trzymać.

– Tore? Czy możesz obejść się bez niego?

– Raczej bez niego niż bez ciebie – Olaf odczekał chwilę. – Sam na sam z Jörundem nie chcę tu zostać...

Eirik widział, ile wysiłku kosztują ojca te słowa.

Nazajutrz w czasie południowej przerwy Eirik poszedł do siostry. Kiedy się podniosła, spostrzegł, że jest istotnie tak, jak mówił ojciec. Wprawdzie niewiele można było po niej poznać – poruszała się jedynie

tak, jak gdyby trudno jej było się schylić. I nagle przyszło bratu na myśl, że po Cecylii nigdy nie można było spostrzec nic więcej; stawała się tylko ociężała i sztywna w plecach.

Przyniosła dzban i kubek i postawiła przed nim; potem usiadła z powrotem nad swoją robotą. Piwo stało już snadź od dawna w izbie i było tak nieświeże, że Eirik pił jedynie dlatego, by nie urazić siostry.

Nie wiedział, o czym z nią mówić. Siedziała wyprostowana, z robotą w rękach, jej delikatne, blade usta zdawały się zakrzepłe w prostą, mocną linię, a policzki zapadły się tak, że silnie zarysowane kości policzkowe i kwadratowa broda uwydatniały się jeszcze wyraźniej. Widział, że jej jasne oczy są zmęczone, podobne do małych jasnoszarych kamyków nadbrzeżnych.

Starszy synek Kolbein przydreptał z jakimś znalezionym skarbem – kawałkiem kory – i położył go matce na podółku. Podziękowała mu poważnie, ale potrząsnęła głową, kiedy napraszał się na kolana. Szyła pilnie dalej.

Chłopaczek zabrał korę i podał wujowi. Eirik podniósł malca i zabawiał go – zawsze umiał obchodzić się z dziećmi. Kolbein był ładny i pulchny – Eirik przesunął rękę po jasnych, trochę wilgotnych włoskach dziecka. Doprawdy miał spiczaste jak mysz uszy, mimo to Eirik był oburzony, że własny dziad dziecka to powiedział. Dotąd nie zauważył, że Jörund ma takie uszy; nosił włosy ucięte wokoło głowy w ten sposób, że uszu nie było widać. Taki ich kształt był oznaką, że krew niewolników płynie w rodzie, tak twierdzili ludzie.

Eirik miał ochotę zapytać siostrę o Gunhildę córkę Bersego – były rówieśnicami; nie zdobył się jednak na to. Widywał nieraz Gunhildę przed kościołem, ale nie przypominał sobie dokładnie jej wyglądu. Pewnie ani ładna, ani brzydka – i ruda, tak mu się zdawało...

Pragnął, żeby Cecylia brała dzieci na kolana, śmiała się, bawiła z

nimi i gawędziła o nich z dumą, jak czyniły inne młode kobiety. Lecz Cecylia nie robiła tego nigdy. Dbała o nie i zajmowała się nimi, lecz bez jednego uśmiechu i żartu. Mówiła z Jörundem i o Jörundzie, jak było obowiązkiem dobrej gospodyni i żony – ale zawsze z jednakowym chłodem i obojętnością. Wolałby, aby się żaliła – wiedział bowiem, że jeśli nawet siostra ma powody do skargi, jej natura każe jej milczeć. Trapił go również niepokój o Jörunda – z takim usposobieniem trudno było żonie utrzymać Jörunda w przyjaznym i miłym nastroju, a jeśli na dodatek Jörund powaśnił się z ojcem...

W tej chwili szwagier wszedł do izby, pozdrowił Eirika i nalał sobie piwa.

– Gdzie Magnhilda? Powiedz jej, aby nam przyniosła świeżego piwa.

– Nie wiem, gdzie Magnhilda – Cecylia odłożyła szycie, wzięła dzban i wyszła.

– Czy ojciec sprowadził cię tutaj, abyś mu pomagał w sianokosach? – Jörund przeciągnął się. – Tak, tak, ja nie ruszyłem palcem i nie tknę niczego, póki Olaf nie wyrazi gotowości przeproszenia mnie za swoje zachowanie się tej wiosny.

Wieczorem Eirik zapytał ojca:

– Czy Jörund zwrócił ci srebro, które pożyczył sobie na wiosnę? Olaf prychnął wzgardliwie, lecz nie odpowiedział.

W niedzielę, kiedy ludzie z Hestviken opuszczali po nabożeństwie

kościół, podszedł do nich Torgrim z Rynjul.

– Una powiada, żeś powinien dziś zwolnić twoich młodych ludzi, Olafie. Tak dawno już nie rozmawiała z Eirikiem.

– Chętnie, niech robią, co chcą – Olaf wszedł na konia i odjechał ze służbą.

W chwili, kiedy Eirik podawał rękę Unie córce Arnego ujrzał, że Gunhilda stoi obok, w otoczeniu dzieci z Rynjul. Zdjęła właśnie płaszcz i podała go wraz z welonem synowi Torgrima, mówiąc:

– Taki dziś upał. – Głos jej brzmiał świeżo i przyjemnie, podobał się Eirikowi.

Po kryjomu spozierał w jej stronę, podczas gdy Una witała się z Jörundem i Cecylią. Gunhilda nie była wcale ruda, jak przypuszczają; warkocze jej miały kolor popiołu, natomiast cera była delikatna, jedwabista, różanobiała, troszeczkę piegowata, jak u rudowłosych. Była dość wysoka, smukła i gibka. Rdzawobrzazowa suknia opinała szczerlnie kibić aż po srebrny pas na biodrach i opadała w sutych fałdach układających się na trawie dookoła stóp dziewczyny. Rękawy sukni sięgały niemal ziemi i były do łokcia rozcięte, tak że wyglądały spod nich marszczone jasnoniebieskie rękawy koszuli.

Nie różniła się wyglądem od wielu innych dwornych i urodziwych kobiet, wychowanych w bestrosce i dostatku. Twarz miała owalną i pełną, nos prosty, na końcu nieco zgrubiały, i szare oczy. Gdy Eirik patrzył na przeznaczoną mu dziewczynę, zaczął już wyodrębniać ją spośród wszystkich innych. I domyślił się, że Torgrim i Una są wtajemniczeni w tę sprawę.

Kiedy mieli odjeżdżać, Eirik podsadził Gunhildę na konia. Podziękowała mu swobodnie i uprzejmie, spojrzała w jego ściągłą, śniadą twarz i spostrzegła, że duże oczy młodzieńca są przedziwnie piękne. Uśmiechnęła się i podziękowała mu raz jeszcze, ujmując wodze.

Póki przebywali razem na Rynjul, nie miał sposobności do rozmowy z nią. Ale cały dzień wypełniony był jakby jej obecnością. Pod wieczór młodzi, Astrida, Torgils i Elina, mieli ochotę się zabawić.

Z początku Eirik nie chciał brać udziału w zabawie – był o tyle starszy od dzieci Uny i ich przyjaciół. Odkąd powrócił do domu, trzymał się z dala od zabaw i tańców. Lecz lubił tańczyć – młode krewniaczki nie przestawały go prosić, by zaśpiewał. Kiedy podszedł do tanecznego łańcucha, Astrida puściła rękę Gunhildy i chwyciła jego dłoń. Znalazł się więc między dwiema młodymi dziewczętami.

Słońce skłaniało się już ku zachodowi, w ciepłym, złotym blasku długie cienie tańczących padały na murawę. Śpiew brzmiał pięknie w ciszy letniego wieczoru i Eirik poczuł upajającą rozkosz, posłyszawszy własny głos. Przez cały czas czuł rękę Gunhildy w swojej – była ciepła, nieco spocona, słodycz i dobroć zdawały się z niej spływać i przenikać jego ciało. Radował się, ilekroć za nawrotem tanecznego kręgu muskały go trzepoczące rękawy i fałdy jej sukni.

Raz, kiedy tanecznicy przystanęli na chwilę, by zaczerpnąć tchu, rzucił okiem w stronę, gdzie siedziały Una i Cecylia, przyglądając się zabawie młodych. Siostra otuliła się szczerlnie niebieskim płaszczem, oblicze jej miało żółtawą barwę kości w białym okolu czepca. Dla niej tańce i zabawa skończyły się, choć była nieco młodsza od Gunhildy. Eirik puścił rękę Astridy i podszedł do dwóch kobiet.

Wyciągnął się na trawie u ich stóp, leżał i gawędził z Uną. Wkrótce zbliżyła się reszta młodych. Odeszli jednak po chwili, tylko Gunhilda została, usiadła obok Cecylii i rozmawiała cicho. Eirik słyszał za sobą jej świeży głos, podczas gdy młodzi znów tańczyli i śpiewali, a on sam rozmawiał nadal z Uną.

Ściemniało się już, kiedy rodzeństwo zaczęło wybierać się w drogę powrotną. Torgrim oświadczył, że Jörund odjechał trochę wcześniej –

miął coś do załatwienia po drodze, jak twierdził. Gdy wjechali w las, Eirik zsiadł z konia i prowadził wierzchowca siostry. Pomyślał, że nie powinni byli tak długo zostawać w Rynjul; nie było bezpiecznie, aby Cecylia znajdowała się teraz pod gołym niebem po zapadnięciu zmroku.

Koło Rundmyr skierował się na wąską ścieżkę biegnącą brzegiem moczaru. Miał zanieść pewną wiadomość Arnketilowi, nie śmiał jednak zostawić Cecylii samej; liczył na to, że może spotka jeszcze ludzi w pobliżu chat. Przejeżdżali właśnie pod zboczem wzgórza, na którym stały domostwa, kiedy drzwi chaty otwały się – wewnątrz płonął jasny ogień na palenisku – i wyszło z nich kilku mężczyzn i kilka kobiet. Po głosach poznał włóczęgów.

Nagle dostrzegł w gromadzie kogoś ubranego w dwubarwną szatę, która wydała mu się znajoma... Sprzedał Jörundowi kaftan, ofiarowany mu na pożegnanie przez minorytów; na szwagrze leżał on jak ulany.

Eirik przeląkł się ogromnie – Jörund o tej godzinie w Rundmyr! Strwożony i zmieszany przypomniał sobie, że on sam opowiadał dawniej Jörundowi o swych przygodach tutaj, przedstawiając je o wiele bardziej awanturniczo, niż było naprawdę. Czuł zarazem, że jeśli Jörund szuka teraz na Rundmyr rozrywki, sprawy wezmą jeszcze gorszy obrót. Nie uświadamiając sobie tego jasno, odczuwał oziębłość serca tamtego i wiedział, iż jeśli Jörund grzęźnie w brudach, to sam nie posiada niczego, co by mogło odbić się i rozblysnąć w kałuży.

Cecylia, Bogu dzięki, nie widziała nic. Zamyślona siedziała tyłem do zбочa.

Kiedy przybyli do domu, Eirik zaprowadził konie do stajni, gdzie wszystkie przegrody były teraz latem puste. Po czym usiadł na skrzyni stojącej przy drzwiach. Postanowił czekać na Jörunda i zaprowadzić go po cichu do izby, by nie obudzić Cecylii.

Gunhilda, Gunhilda – przez cały czas nie przestawał o niej myśleć.

Od chwili kiedy opuścił klasztor, ręce jego nie dotknęły niemal kobiety. Od przeszło trzech lat czuwał nad sobą – nad swymi czynami, słowami i myślami. A jeśli czart, świat albo własne ciało wodziły go na pokuszenie, walczył...

Teraz wolno mu znowu patrzeć na kobietę i myśleć o niej. Wolno mu wspominać z rozkoszą, jak ją objął i posadził w siodle, i trzymał jej rękę w swojej – ogromna słodycz i zapowiedź czegoś więcej, więcej...

I podczas gdy myślał o powadze ostatnich lat, w ciągu których nauczył się używać woli przeciwko sobie samemu, snuł się przed nim cień wspomnień z lat młodości, pełen uścisków sprzedajnych dziewczek i marzeń o dwornych dziewczynach – marzeń, których nie chciał wystawić na próbę przez poznanie jednej z tych kobiet. Bothilda zaś – nie odważył się nigdy śmiało myśleć o niej, lecz wstyd, trwoga i ból spowodowane tym, czym była w jego życiu, ukryte na dnie jego duszy, zabarwiały każdy nurt przepływający w ostatnich latach przez jego serce.

A teraz jasny obraz Gunhildy córki Bersego zaczął się uwypuklać na tym ciemnym, purpurowym tle. Eirik zaczynał miłować...

Północ już minęła, a Jörunda wciąż jeszcze nie było widać. Eirik siedział i czekał, niepokoił się o szwagra, to znów myśli jego biegły ku Gunhildzie i cieszył się.

Zbudził się i zrozumiał, że musiał długo spać – na dworze było widno. Wyjrzał na dziedziniec. Na górze pod ogrodzeniem chodził piękny bułanek Jörunda, a w szopie przed stajnią wisały na właściwym miejscu jego siodło i uprzęż. Nie był więc przynajmniej całkiem pijany.

Ojciec ani słowem nie wspomniął o ożenku syna. Dopiero w tydzień

później zapytał:

– Czy rozważyłeś sobie to, o czym niedawno mówiliśmy? Sprawę twego ożenku?

– Niech się stanie wedle twojej woli, ojczec.

Kilka dni potem Eirik wynalazł sobie jakąś sprawę do załatwienia w Rynjul; Gunhilda była tam jeszcze. I tym razem niewiele słów z nią zamienił, ale siedziała w izbie wraz z Uną, kiedy rozmawiał z krewniaczką.

Berse na Eiken był stryjecznym bratem Arnego na Hestbaek, teścia Baarda i Torgrima. Ale on i Torgrim byli od lat poważniejsi – Torgrim był prędki, miał złośliwy język. Ludzie co prawda niewiele sobie robili z jego popędliwości, gdyż uspakajał się szybko, a poza tym był wielkoduszny, Berse jednak nie mógł ścierpieć ani jednego nierozważnego słowa, przykładał bowiem wielką wagę do tego, co nazywał swą godnością. Olaf syn Auduna swego czasu posprzeczał się także z Bersem. Wybrano ich obu w pewnej sprawie na sędziów polubownych, nie mogli jednak dojść do porozumienia i Olaf wyraził swój pogląd w słowach, które Berse uznał za uwłaczające jego czci.

Eirik nie poświęcał dotąd najmniejszej uwagi nieporozumieniom trzech starszych synów. Teraz jednak, zaledwie kobiety wyszły z izby, zagadnął Torgrima:

– Czy wy, krewniacy, pogodziliście się już, że córka Bersego z Eiken bawi u was w gościnie?

Torgrim roześmiał się i przepił do Eirika.

– Tak jest, pokazałem staremu, że odważę się żyć z nim siedem lat w niezgodzie. Ale teraz, dalibóg, pokażę, żem jeszcze śmielszy; odważę



się żyć z nim siedem lat w przyjaźni, jeśli zajdzie potrzeba... Tak długo on już nie pożyje, ma siedemdziesiąt zim, jeśli nie więcej. Gunhilda zaś wdała się w matkę i to jej szczęście – mrugnął porozumiewawczo.

Eirik zrozumiał, że właśnie Torgrim ma uczynić pierwszy krok.

W parę dni po świętym Bartłomieju<sup>[26]</sup> Una przybyła do Hestviken w odwiedziny do Cecylii. Przywiozła z sobą dwie młode córki oraz Gunhildę córkę Bersego.

Młodzież siedziała w izbie niewieściej u kobiet, kiedy Una powiedziała, że chciałyby wziąć do siebie na zimę małego synka Cecylii, Torgilsa.

– Teraz, gdy znów będziesz miała dziecko, nim to ukończy rok, byłoby ci zbyt ciężko, ja zaś mam dla niego mamkę. Ingrida powiła wczoraj wieczorem nieżywe dziecko. Biedaczka, chętnie przyłoży twojego Torgilsa do piersi.

– Nie, nie, nie chcę oddawać mojego synka... Na to wtrącił się Jörund:

– Powinnaś raczej podziękować gospodyni z Rynjul. Potrzebny ci teraz spokój po nocach, Cecylio, może Torgils będzie mniej nieznośny, jeśli go wykarmi zdrowa i silna matka.

Una przyznała Jörundowi słuszność. Potem zaczęła rozwodzić się nad nieszczęściem, jakie spotkało Ingridę. Była ona przez długie lata dziewczką służebną Uny i obchodzono się z nią na Rynjul jak z przybraną córką. Wyszła za mąż ubiegłego roku za dzielnego i zacnego chłopca, służącego u wuja Gunhildy, Guttorma na Draumtorp w parafii Skeidis. Guttorm i jego małżonka byli niedawno na weselnych godach w Raumarike i wieźli

---

[26] Świętego Bartłomieja – 24 sierpnia. (Przyp. tłum.)

z sobą wór z kosztownościami pożyczonymi na ową ucztę. W lesie pod Gerdarud otoczyli ich zbójce, kmieć i jego trzech parobcy bronili się mężnie, ale Jon, mąż Ingridy, zmarł w parę dni później wskutek odniesionych ran. Wdowie pomieszał się nieomal rozum z rozpaczą i pewnej nocy uciekła po kryjomu z Draumtorp sama z nieletnim chłopcem, którego namówiła, żeby jej towarzyszył, i przybyła pieszo do Rynjula.

Przez chwilę jeszcze rozmawiano o rabusiach; krążyły o nich słuchy w gminach dookoła Oslo. Lecz potem Una wyprosiła młodych. Chciała pomówić w cztery oczy z Cecylią.

I znów poczuł Eirik ściskające serce współczucie dla siostry, Ociężała i przedwcześnie zwiędła, musiała pozostać w izbie ze starszą kobietą, gdy wszyscy inni wyszli na dwór, gdzie nasiąknięte światłem powietrze migotało nad graniami, a fiord srebrzył się w wieczornej bryzie.

Astrida i Elina, obie tak samo jasnowłose jak ich matka za młodu, miały dopiero szesnaście i czternaście lat. Elina wyniosła małego Torgilsa i ze śmiechem wzbraniała się oddać go siostrze, która także chciała go koniecznie nosić – było to piękne dzieciątko z jasnymi lokami, lecz blade, o wiotkich kończynach. – Będziesz miał aż cztery niańki na Rynjul – śmiała się mała Elina, tuląc dziecko mocno do siebie.

– Nie byłaś do tej pory nigdy w naszej zatoce? – spytał Eirik Gunhildę. Stali obok siebie i przyglądali się dziewczętom spierającym się o dziecko.

– Nie... Miałabym ochotę zejść i popatrzeć na wodę.

– Chcesz może, abym powiózł cię łódką? – odważył się zapytać Eirik.

– O tak, chętnie.

Jörund zapodział się gdzieś, Eirik więc sam z trzema dziewczętami wszedł do łodzi. Gunhilda siedziała z przodu na dziobie, wysoka na tle błękitu – światło miała za sobą – jej szczupła, jasna postać wydawała się nieco zamazana, lecz ruchy były zgrabne, kiedy odwracała się i rozglądała dookoła. Na ławce w środku naprzeciw niego siedziały dwie młode siostry:

Astrida gadająca i pytająca bez przerwy i Elina z maleństwem, które zasnęło na jej piersi. Od czasu do czasu otulała je szczelnie płaszczem, potem znów uchylała go nieco i spozierała czule na chłopczyka. Eirik miał ochotę popłynąć tak daleko, aby mogły zobaczyć Saltviken, lecz nie starczyło czasu.

– Hestviken jest najpiękniejsze od strony morza – powiedziała Gunhilda, gdy szli na górę od pomostu.

– Ale może nie chciałabyś mieszkać nad fiordem?

– Owszem, myślę, że podobałoby mi się tutaj – odrzekła i Eirik znów pomyślał, że ma głos dobry i łagodny.

– Nie dałabyś więc kosza zalotnikowi tylko dlatego, że chciałby cię powieść w te strony? – Miał wrażenie, że to pytanie brzmi niezręcznie.

– Ależ nie – uśmiechnęła się. – O ile nic gorszego nie można by o nim powiedzieć...

– Na przykład co? Że... że musiałabyś żyć z jego żonatymi braćmi i siostrami na jednym dworze?

Gunhilda potrząsnęła głową.

– Dziewczyna, która od dwunastego roku życia miała macochę, potrafi z pewnością dostosować się do innych. To nie odstręczałoby mnie, jak sądzę, gdyby ten człowiek poza tym mi się podobał.

– Chciałbym wiedzieć – szepnęła Eirik – czy myślisz, że ja mógłbym ci się kiedyś spodobać?

Odparła uśmiechnięta, dźwięcznym, wyraźnym głosem:

– Nigdy, Eiriku, nie słyszałam o tobie nic innego, jak tylko to, że jesteś człowiekiem o ujmującym obejściu.

– Więc nie zmartwiłabyś się, gdyby mój ojciec pojednał się z Bersem? Wybuchnęła śmiechem:

– Nie! Jakżebym się mogła martwić, że ojciec pojednał się z wrogiem! Eirik również roześmiał się.

Tego wieczora ośmielił się przycisnąć lekko pierś do jej kolan, kiedy podsadzał ją na konia.

– Kiedy zobaczę cię znowu?

– Nie wiem. Jutro odjeżdżam do domu.

Cecylia i Eirik odprowadzili gości kawałek przez las. Mały Torgils spał w ciepłej chuście na szerokim podółku Uny. Kiedy się mieli rozstać, matka wyciągnęła ramiona.

– Chciałabym raz jeszcze przytulić go do siebie, Uno! – Ucałowała ostrożnie maleństwo, by go nie przebudzić. – Wiem, że będziesz dbała o niego nie gorzej ode mnie...

Siostra i brat wracali z wolna do dworu.

– W istocie, najlepiej będzie, jeśli Una zajmie się nim tej zimy – pocieszał ją Eirik.

– Tak, wiem o tym. A jednak...

Eirik szedł obok siostry i pragnął przytulić ją do siebie, uczynić dla niej coś, co by ją rozweseliło. Nękało go to, że Cecylia jest smutna – zwłaszcza teraz, kiedy on sam był w radosnym nastroju. Po tej rozmowie z Gunhildą, w czasie której serce biło mu tak mocno, czuł się niezwykle szczęśliwy.

Kiedy wszedł do izby, ojciec siedział i jadł – nie zdjął nawet płaszczu ani kapelusza. Eirik stał jakiś czas w milczeniu.

– Ojcze, czy nie mógłbyś pogodzić się Jörundem? Cecylię gnębi to okropnie, że chodzą obok siebie i nie mówią z sobą ani słowa.

– Czy to ona prosiła cię, abys mi to powiedział?

– Cecylia? Jak możesz nawet myśleć coś podobnego? Ale chyba sam

to widzisz...

– Hm. I ona także nie odzywa się do mnie. Nie mówi ani słowa więcej, niż to konieczne. Trzyma z Jörundem, zdaje mi się. I tak jest zresztą najlepiej... Poczekamy jeszcze trochę, Eiriku, zobaczymy, jak się to wszystko ułoży. Nie mam ochoty wyciągać pierwszy ręki do zgody z Jörundem. Nie dlatego, żebym nie potrafił wybaczyć nieprzyjacielowi, ale Jörund... Jeśli raz to uczynię, jeśli pofolguję, chociaż słuszność nie jest po jego stronie, to obawiam się, że nie potrwa długo, a on znów odważy się na coś nowego.

Wstawiennictwo Eirika nie odniosło więc skutku, zresztą słowa ojca nie były wcale pozbawione słuszności. Musiał poczekać...

Wkrótce potem na tingu w Haugsvik zobaczył Eirik Bersego z Eiken.

Był on niezwykle wysokiego wzrostu i wielkiej tuszy, miał gęste, srebrne włosy i brodę, ładne, wydatne rysy; lecz twarz jego pokiereszowana była bliznami, a jedno oko oślepiło wskutek ospy. Siedział sam na ziemnej ławie i zajmował ją prawie całą. W odświętym stroju piersi jego wyglądały jak piersi starej baby, brzuch zaś zwisał mu na kolana. Olaf i Torgrim siedzieli na bocznych ławach i po raz pierwszy Eirik uświadomił sobie, że jednak istnieje wielka różnica między wiekiem lat siedemdziesięciu i pięćdziesięciu. Ojciec wyglądał mały przy Bersem, ale mimo siwych włosów i zniekształconej twarzy czynił wrażenie młodego i zwinnego dzięki giętkiemu i sprężystemu ciału. Torgrim zaś ze swą chudą i wyniosłą postacią oraz bujną, szpakowatą czupryną nad żywym, kanciastym obliczem wydał się Eirikowi prawie rówieśnikiem.

Olaf przywołał syna.

Eirik stanął przed Bersem, odpowiadając z szacunkiem i dwornie na pytania, jakie starzec mu zadawał z przesadną powagą i godnością. Potem Berse dał znak, żeby się oddalił.

„Nieźle poszło” – pomyślał Eirik. Na dziedzińcu spotkał Ragnvalda

syna Jona.

– Gdzie pędzisz taki rozradowany? – spytał zdziwiony Ragnvald.

Eirik dał mu szturchańca w plecy, aż przyjacielowi dech zaparło, potem stracił do reszty panowanie nad sobą i trząśł się ze śmiechu tak, że musiał trzymać się Ragnvalda.

Kiedy płynęli do domu, Olaf zapytał:

– Jak ci się spodobał Berse na Eiken, synu?

Eirik zagryzł wargi i usiłował przybrać poważny wyraz twarzy. Olaf ciągnął:

– Wiesz, że ich ród jest stary i dobry i wydał wielu znakomitych mężów. Panuje tam także wielki dostatek. Dziewczyna zaś podobna jest do matki; Helga była dzielną kobietą. Przy każdym kupnie jest jakaś rzecz, którą człowiek wolałby odmienić. Tutaj jest Berse...

Spostrzegłszy, że ojciec uśmiecha się, Eirik parsknął śmiechem.

– Ale on jest już bardzo stary, zresztą daleko jest z Eiken na Hestviken.

– Tak, Gunhilda powiedziała to także.

– Mówiłeś z Gunhilda? – zapytał ojciec surowo.

– Niewiele. Mówiliśmy trochę z sobą, kiedy bawiła u nas z Uną. Wtedy to powiedziała. Uważała, że pięknie jest nad fiordem i że Eiken leży daleko.

– Tak, tak... Uważaj jednak, abyś się nie zagalopował, Eiriku. Raczej nie rozmawiaj z nią wiele, nim sprawa nie dojrzeje. Berse przyjdzie, to jest pewne, musimy mu jednak zostawić czas, aby szedł powoli i mógł odsapnąć przy każdym wysiłku. Rozumiesz, tak będzie najprzystojniej.

Spojrzeni na siebie i obaj roześmieli się.

Około świętego Michała przyszedł przymrozek, ziemia zbielała od szronu, kałuże powlekle się lodową skorupą, od czasu do czasu śnieg przószył. Potem wróciła znów pogoda. Stoki wzgórz stały w biało-czarnej szacie, przetykanej złocistymi plamami liściastych drzew, i fiord płynął w te słoneczne dni roziskrzonym błękitem. Pomiędzy ścierniskami dokoła zatoki rozpościerały się zielone łąki, przejaśniło się w gajach, gdzie żółte liście opadały z drzew; tylko olchy zachowały jeszcze na czubkach ostatnie zielone, zwarzone liście.

Pewnego ranka Eirik przyплыł z Saltviken. Pogoda była tak cudna, że długą chwilę stał przed domem. Bydło z brązowymi i czarnymi łatami, chodzące po zielonych łąkach, było dobrze wypasione jeszcze z lata; wiele wspaniałych sztuk znajdowało się wśród stada. Można będzie zabrać jeszcze z pięć, sześć krów do Saltviken.

Zobaczył Cecylię w górze na schodach wiodących do spichrza, który oddano Jörundowi na własny użytek. Dźwigała wielkie naręcze futrzanych okryć i odzieży. Eirik zawołał na nią, skoczył na górę i odebrał jej ciężar.

– Chcę uporządkować zimową odzież, nim się położę. Mróz może chwycić na dobre lada dzień. – Zawróciła do drzwi spichrza.

– Jeśli chcesz jeszcze coś zabrać, wyjmij te rzeczy. Przyjdę na górę i zniosę je.

Wrócił po chwili, gwizdząc wesoło przebiegł schody i wszedł do spichrza. Słońce padało przez otwarte drzwi na siostrę, która kłęzczała jakby w niemocy przed otwartą skrzynią. Jednym skokiem Eirik znalazł się przy niej.

– Cecylio! Czyś zachorowała?

– Nie – wydała głośny okrzyk bólu, bo zatrzasnęła tak gwałtownie wieko skrzyni, że przycięła sobie palec.

Eirik uchylił wieka, dojrzał coś, co leżało na wierzchu i błyszczało. Potem otoczył siostrę ramieniem i zaprowadził do ławy.

Wziął jej przygniecioną rękę i ostrożnie zbadał, czy nie jest skaleczona. Cecylia dyszała ciężko i boleśnie.

– Czy mam ci coś jeszcze znieść na dół? – Prędko otworzył wieko skrzyni.

Cecylia rzuciła w jego stronę przerażone spojrzenie. Widział, że próbuje się podnieść, lecz nie ma sił.

– W dziwnym miejscu Jörund przechowuje swoje srebro...

Zauważył, że i jemu ręce drżą, kiedy kawałek po kawałku wyjmował przedmioty z wełnianej chusty: jeden większy kubek srebrny, w którym leżała bryłka stopionego srebra, oraz dwa mniejsze kubki.

– Nigdy dotąd nie widziałem tych rzeczy...

– Ja też nie – szepnęła Cecylia. Potem opanowała się: – Musiał je niedawno kupić.

Eirik bezwiednie kiwał głową. Cecylia odezwała się zrozpaczona:

– Jörund zawsze sądził, że bracia go skrzywdzili... dwukrotnie, przy podziale spuścizny... Dlatego jest taki zachłanny na srebro. Oni tam, na Gunnarsby, przykładają większą wagę do kosztowności niż... Z tego powodu Jörund chce kupować zawsze, co tylko może.

Eirik znów przytaknął. Jörund był łasy na srebro jak kruk – chociaż często przegrywał je w kości. Eirik nigdy jednak nie sądził, że może go to zaprowadzić aż tak daleko, aby... aby mogło nastąpić to, czego się teraz obawiał; nie wiedział jednak jeszcze nic pewnego.

Zabrał więc odzież, którą Cecylia upuściła przed skrzynią, i podał siostrze rękę. Drżała na całym ciele.

– Eiriku, na miłość boską, co chcesz uczynić?

– Pomówić z Jörundem. Nie bój się, Cecylio – prosił łagodnie. Sprowadził ją ze schodów do izby i pomógł się położyć.

– Mam odszukać Magnhildę i przysłać ci ją? Potrząsnęła głową.

– Czy mogę cię zostawić teraz samą?



– Tak, mogę śmiało zostać sama.

Na dziedzińcu Kolbein upadł mu wprost pod nogi. Eirik podniósł siostrzeńca i z dzieckiem na rękach poszedł do niewieściej izby. Pochylił się w drzwiach.

– Kolli chce do matki. Czy możemy wejść? – Wolałabym być sama.

Wyszedł więc i bawił się z chłopczykiem, śpiewał mu piosenki i usiłował zagłuszyć w sobie przeraźliwy lęk. Wreszcie dojrzał zbliżającą się łódź Jörunda. Zaniósł dziecko do kuchni i oddał dziewczkom. Kiedy Jörund nadszedł od strony morza, Eirik stał na górze przy płocie, okalającym pole.

– Wróciłeś więc do domu?

– Tak jest, przyjechałem dziś rano i pewno zostanę tu teraz jakiś czas. Jest pewna sprawa, o której chciałbym pomówić z tobą. – Szli razem przez dziedziniec. – Może pójdziemy na górę do twego spichrza.

Jörund wzdrygnął się. Eirik patrzył mu w twarz, aż wreszcie udało mu się pochwycić umykający wzrok tamtego.

– Pamiętaj, Jörundzie, że od młodości byłem twoim przyjacielem i już nieraz wyratowałem cię z biedy. Obecnie zaś obaj siedzimy na jednym wozie; twoje powodzenie jest naszym powodzeniem. Jeżeli więc zrobiłeś jakieś głupstwo, twoje nieszczęście spadnie na moją siostrę i na nas.

– Nie, ty idź pierwszy – rzekł, gdy stanęli u podnóża schodów spichrza.

Jörund zdjął rękę z główki sztyletu i posłuchał. Kiedy stanęli na górze, Eirik bez namysłu podszedł do skrzyni i otworzył ją. <

– Czego szukałeś w mojej skrzyni?

– Niczego. Cecylia szukała w niej waszych ubrań, a ja pomogłem jej

znieść te rzeczy na dół.

– Cecylia?!

– Tak. Lecz ona temu niewinna... Myślę, że sam Bóg tak zrządził, by nas wybawić z tego niebezpieczeństwa. A jeśli Cecylia miałaby cierpieć z tego powodu, to najlepiej od razu idź i wyspowiadaj się!

– Grozisz mi?

– Tak.

– Czy myślisz, że się ciebie boję? Taki świętoszek! Nadstawiasz drugi policzek, gdy cię w jeden uderzyć.

– To prawda, niejednokrotnie w ostatnich latach opanowywałem się, kiedy mnie drażniono. Sam wiesz najlepiej, że dawniej nie miałem nic przeciw temu, by wziąć udział w bijatyce. Ty zawsze bałeś się tego. Mnie wprawdzie nie potrzebowałeś się bać, lecz wiem dobrze, że nie należysz do najodważniejszych.

– Gdzieżeś to dzisiaj podział swoją pobożność? – natrząsał się Jörund.

– Nie twoja sprawa. Teraz musimy się zastanowić, co począć z tym srebrem.

– Srebro kupiłem!

– Pewnie, tak sobie myślałem. Kupiłeś je od włóczęgów, których spotkałeś w Rundmyr, wieczorem, ósmej niedzieli po Zielonych Świątkach.

– Oczywiście, powinienem był pamiętać, że ludzie na Rundmyr są twoimi niewolnikami – drwił dalej Jörund – i że chcesz mieć to gniazdo wyłącznie dla siebie, ze wszystkimi złodziejami i dziwkami...

– Milcz! – przerwał mu spokojnie Eirik. – To prawda, powinienem pamiętać o tym, że ci ludzie są nam wierni. Czy jesteś tak głupi, że wierzyłeś we wszystko, co ci swego czasu naplotłem żartem? Czyż mogłem przypuszczać, żeś aż tak łatwowierny? To do ciebie niepodobne. Złożyło się jednak tak, że przejeżdżałem tamtędy i widziałem cię przed

drzwiami z kilkoma... Tamci nie zdradzili niczego. Radzę ci o tym pamiętać!

– Czy to byli zbóje, czy też ich pomocnicy? – spytał po chwili z wysiłkiem.

– To była kobieta – odparł Jörund krótko.

„I tyś uwierzył, że ta dziewczka odziedziczyła srebro, z którym się włóczyła?” – chciał zapytać Eirik, lecz nie powiedział tego.

– Nasunęło mi się pewne wyjście, Jörundzie. Zakopimy te przedmioty w ziemi na Rundmyr. A gdy poleżą tam jakiś czas, możemy je odnaleźć i wręczyć Guttormowi na Draumtorp.

– Ja je kupiłem – rzekł Jörund ze złością.

– Daję ci w zamian Agnara – pożałował natychmiast, że nie wpadło mu na myśl co innego; Jörund nie zawsze obchodził się dobrze z końmi. – Ośmielam się twierdzić, że jest on wart więcej niż to, coś ofiarował tej kobiecie – dodał drwiąco. – Czyż nie rozumiesz, człowieku, że twój honor i powodzenie ratujesz w ten sposób – nalegał. – Jaką korzyść masz ze srebra, którego nie możesz pokazać?

Owinął skarb z powrotem w chustkę i schował w zanadrzu, po czym zniósł go na dół i ukrył w swym łożu.

Po południu, ujrawszy, że Jörund wychodzi, poszedł do izby niewieściej, by dowiedzieć się, jak się ma Cecylia.

Siedziała i naprawiała jedno z ubrań zniesionych dziś rano. Eirik bał się pytać. W końcu jednak powiedział:

– Czy Jörund powtórzył ci naszą poranną rozmowę?

– Tak. Dziękuję ci, Eiriku, że mu chcesz pomóc. Sam nie pojmuje, powiada, że mógł być tak bezmyślny i dał się namówić do kupna tych przedmiotów. Ale pragnie koniecznie oddać ojcu, co mu jest winien.

„Kłamstwo” – pomyślał brat. Pochylił się nad nią i z czułością przesunął parę razy ręką po osłoniętej czepcem głowie, schylonej nad

robotą.

Wieczorem, kiedy on i ojciec kładli się spać, Eirik rzekł:

– Mam jedną prośbę do ciebie, ojcze. Chodzi o to samo, z czym się już dawniej do ciebie zwracałem... Pogódź się z Jörundem!

– Dałem ci już na to odpowiedź.

– Tak, lecz raz jeszcze mówię ci: to wszystko gnębi Cecylię bardziej, niż sądzisz. Zaklinam cię na Boga, który poniósł dla nas śmierć na krzyżu, spełń tym razem moją prośbę!

Olaf spojrział na syna, nic jednak nie odpowiedział.

– Tak jest, chcę cię nawet prosić o coś więcej. Gdy Cecylia odbędzie wywód, oddaj jej prawo gospodyni na całym dworze!

– Co ty wygadujesz? Teraz, kiedy sam zamierzasz sprowadzić tu żonę przed świętym Jonem? Przez krótki czas nosiłaby Cecylia klucze u pasa...

– Ach, sam nie wiem doprawdy... Myślałem, że Gunhilda i ja będziemy przebywać przeważnie w Saltviken.

– Nie, Eiriku, Saltviken jest za małe dla córki Bersego z Eiken.

– Być może. Ale przecież kiedyś Hestviken ma i tak do nas należeć. Nie będziemy więc uważani za ludzi ostatnich, jeśli nawet zamieszkamy przez kilka lat na odludnym dworze.

– Powiedziałem ci już – odparł powoli Olaf – ostatnim razem, kiedy mówiliśmy o tym... Wydaje mi się rzeczą niebezpieczną przyznać słusność Jörundowi, jeśli jej nie ma.

– Ojcze! – Eirik podniósł się, stanął przed Olafem i mówił żarliwie: – Błagam cię o to usilnie. Pamiętaj o naszej matce! Jeśli kiedykolwiek żal ci jej było w tych latach, kiedy leżała tutaj, bezwładna i złamana

– a na pewno było ci żal – jeśliś żałował, żeś uczynił jej życie jeszcze cięższym... Ojciec, Chrystus wie, że nie mówię tego po to, aby ci to przypomnieć, wiem, że i twoje życie nie było lekkie, wiem, żeś jej nie chciał, tylko zmuszono cię do tego ożenku, nim dorosteś. Ale jeśliś jej nawet nie kochał, musiałeś żywić dla niej litość i pamiętaj, aby Cecylia przez ciebie nie cierpiała tak samo okrutnie jak nasza matka!

Olaf słuchał słów syna – wyraz jego twarzy stropił Eirika.

– Skąd ci się wzięły podobne myśli? Że nie miłowałem twej matki? – Przedziwny blady uśmiech, który zakwitł na twarzy ojca i w tejsze chwili zamarł, nasunął Eirikowi wspomnienie kręgów rozchodzących się na wodnej powierzchni. – Kochałem ją. I przez pamięć o niej uczynię to, o co mnie prosisz.

Kiedy Eirik udał się na spoczynek – leżał na srebrze i myślał, że wolały mieć w łożu gniazdo żmij – ojciec stanął w drzwiach komory.

– Zostajesz teraz w domu?

– Miałem zamiar wybrać się jutro z Torem do Saltviken, by go tam wprowadzić w robotę. Wrócę na drugi lub trzeci dzień.

– To dobrze.

W całym nieszczęściu, którym nie przestawał się martwić, Eirik uświadomił sobie nagle: stało się tak, że jego słowo coś znaczy tutaj, na Hestviken. Świadomość tego uszczęśliwiała go. Do świętego Jona, powiedział ojciec... Leżał tej nocy bezsennie, trawiony gorączką niepokoju i odrazy na myśl o sprawach cudzych i gorączką radości na myśl o swych własnych...

Okolo północy wymknął się cichaczem z izby i poszedł w stronę Eundmyr. Znalazł kryjówkę, którą miał na myśli, i zagrzebał w niej srebro z Draumtorp. Wróciwszy do domu obudził Torego i gdy Olaf znalazł się na dziedzińcu, łodzie były już załadowane i gotowe do odjazdu.

W Saltviken wyszedł im naprzeciw Olaf syn Liv. Ze swymi dwiema

kulami, bezwładnymi cienkimi kończynami, kaleka przypominał ogromnego czołgającego się pająka. Ale twarz chłopca była ładna, delikatna i wąska, z dużymi brązowymi oczyma. Eirik pomyślał z niechęcią o Jörundzie, który zapytał go kiedyś, czy on jest ojcem chłopca? A gdy Eirik ze śmiechem odparł, że miał wówczas dwanaście czy trzynaście lat, Jörund skrzywił drwiąco twarz: – Tak? – Eirik po prostu nie pojmował, jak mógł kiedykolwiek lubić Jörunda Rype. A pomimo to wtedy lubił go.

Eirik był bardzo zajęty tego dnia. Tutaj sam musiał doglądać wszystkiego. Stosy liści leżały jeszcze na polu, ale wyschły już i z daleka już była od nich przyjemna, słodko-gorzka woń.

Z wiosną, kiedy będą mieli nawóz i zaczną orać ziemię, brzydkie ogrodzenia chruściane zastąpi porządny częstokół. Eirik zajrzał też do swych drzewek wiśni. Nie owocowały wprawdzie i nie oczekiwał tego wcale, lecz z dziesięciu drzewek tylko cztery zmarniały; przyjęły się również dwa różane krzewy. Zerwał łądygę mięty, rozgniół między palcami i powąchał. Wzeszło także kilka delikatnych, zielononiebieskich listków, może ziele, które brat Hubert nazywał *acquilegia*; pewnie parę nasion znalazło się w ziemi dookoła korzeni wisien. Zakwitły one wielkimi, lśniącymi, błękitnymi kwiatami. Czy też Gunhilda widziała już kiedyś takie? Zadziwi się, zobaczywszy, że Eirik ma nawet mały ogród na swym dworze.

Nim zasnął tego wieczoru, przyszło mu do głowy, że stąd nie jest tak daleko do Eiken, jak z Hestviken. Nazajutrz rano osiadł na Rauda i pojechał w głąb łądu.

Dotąd widywał Eiken zawsze tylko z daleka; żaden z uczęszczanych

traktów nie prowadził tamtędy. Skierował konia na boczną ścieżkę wiodącą do dworu.

Leżał on samotnie na wzgórzu, pomiędzy dwoma stykającymi się strumieniami, tuż pod ciemnym borem.

Wjechał na górę i minął dwór. Nie dojrzał ludzi między domostwami. Dwór leżał jak wymarły na skraju lasu, domów było kilka, a przed nimi stało parę potężnych dębów z pożółkłymi liśćmi.

Za dworem droga skręcała w las. Pogoda była piękna i Eirika cieszyło, że jedzie w nieznane – miał ochotę zobaczyć, dokąd go ta ścieżka zawiedzie: może na wyżynę, skąd będzie mógł objąć wzrokiem okolicę? Nie znał dobrze tych stron.

Tak dotarł do dużej górskiej płaszczyny; las był tu przerzedzony, a szczyty świerków połamane przez wichurę lub śnieg. Szary mech i wrzosa rosły bujnie w podszyciu, a między głazami ziemia była bagna; wokół niebieskich, przejrzystych moczarów rosły obumierające omszałe drzewa i karłowate brzozy.

Tu, w górze, w cieniu leżał szron, a kilka śnieżnych płatków na mchu wskazywało, że ponad lasem przeszła niedawno zadymka. Ale w tej chwili niebo było błękitne i jasne, płynęło po nim tylko kilka lekkich białych obłoczków, a słońce świeciło nad jesiennym borem. Eirik dał koniowi odpocząć. Siedział wygodnie w siodle i nie myślał o niczym.

Wtem z drugiej strony bagniska rozległo się jakieś wabiące wołanie. Wysoki, dźwięczny głos kobiety przyzywał kogoś, wołał coś, zapewne imię, żałośnie i smutno; po chwili znów zabrzmiało owo wabienie...

Eirik nasłuchiwał w napięciu. Potem przeżegnał się: jeśli to nie człowiek, istota ta wbrew jego woli nie będzie miała nad nim mocy. Lecz mógł to być równie dobrze ktoś z Eiken.

Wołanie zbliżało się. Teraz posłyszał wyraźnie: Blaalino! Blaali-no! I dostrzegł kobietę w zielonej sukni. Szła przez wzgórek nad leśnym

jeziorkiem i przystanęła przy grupie pożółkłych brzoźek.

W tej chwili kobieta dojrzała w górze obcego mężczyznę na koniu. Zatrzymała się niepewnie. Wtedy zawrócił konia, podjął wabiący zew pełnym głosem, a potem zawołał ją po imieniu:

– Gunhildo, Gunhildo! – i pocwałował w jej stronę.

– Przestraszyłem cię! – krzyknął podjeżdżając tak blisko, że mogła go już poznać. Podeszła ku niemu z lekkim wahaniem.

– Ty tutaj? w tych stronach?

– Tak, miałem tu coś do załatwienia... – Umilkł nagle. Ze Wszystkich szlachetnych zamierzeń to było najtrudniejsze: mówić zawsze prawdę, a nie pierwsze lepsze słowa, które się nawinęły. – Miałem taką ochotę rozejrzeć się tu trochę... Nigdy jeszcze nie byłem na wschód od Kambshorn.

Suknia jej była zielona z czerwonymi obszywkami, lecz prosta w kroju, jak robocza koszula dziewczki dworskiej; rękawy nie sięgały przegubów i cała suknia była tak krótka, że widać było kostki nóg. Na stopach miała chodaki, pociemniałe od wilgoci i oblepione mułem. Suche gałązki i liście uczepliły się jej sukni i na pół rozpuszczonych warkoczy. Eirik zauważył, że wygląda młodziej i bardziej swojsko w tym prostym odzieniu.

– Ale czy to nie zbyt odważnie, Gunhildo, zapuszczać się samej tak głęboko w las? – Wiedział, że w górskich ostępach w tych stronach gnieźdzą się niedźwiedzie. – Podobno mieszkają tu duchy leśne.

Gunhilda spojrzała mu w twarz. W jej oczach wyczytał lęk.

– Moja koza nie wróciła wczoraj na noc do domu... Od małego kozłęcia była moją własnością.

– Pomogę ci jej szukać! – „Z pewnością porwał ją jakiś drapieżnik” – pomyślał, ale może być, że natrafie przynajmniej na ślady.

– O, dziękuję, chcesz doprawdy? To może lepiej, byś pozostawił konia na łące, przy naszej letniej oborze. To stąd niedaleko.



– Ale ty pójdziesz ze mną? Nie chciałbym, abyś została sama w lesie.

Szedł i prowadził konia, a dziewczyna kroczyła obok niego. Mają tu na pastwisku jeszcze kilka sztuk młodego bydła i kozy, opowiadała, a że ojciec z macochą odjechali przed dwoma dniami, ona wybrała się na halę, by dopilnować, czy wszystko w porządku. Wczoraj rano koza Blaalina miała mało mleka; nie zwróciła na to uwagi, potem jednak pastuch powiedział, że poruszała się dziwnie, zupełnie jak pijana – no i wieczorem nie wróciła z innymi. Gunhilda całą noc niemal nie zmrzuryła ze zmartwienia oka – jej biedna Blaalina leży może sama gdzieś w borze. Eirik chłonał każde słowo dziewczyny; mówiła z nim, jak gdyby od dawna byli zaprzyjaźnieni.

Ścieżyną doszli na łąkę. Stało tu kilka poczerniałych ze starości chat bliskich zawalenia się. Odkąd Eirik naprawił stare domostwa w Saltviken, nie mógł patrzeć na zapadnięte chaty, żeby od razu nie pomyśleć, w jaki sposób można by doprowadzić je do porządku. Tak też było tutaj. Budowa domów była obecnie jego najmiłszym zajęciem.

– Musimy pójść raczej w tę stronę, Gunhildo. Wiatr dął wczoraj z południowego zachodu.

Gunhilda nie wiedziała, że kozy ciągną zawsze pod wiatr.

Skierowali się więc w przeciwną stronę. Każde z nich szło osobno, jednak w takiej odległości, że mogli się wzajemnie widzieć i słyszeć, i jedno odpowiadało na wołanie drugiego.

Wysokie, przenikliwe tony rozchodziły się daleko w pogodny dzień jesienny. Eirik skakał przez suche, szeleszczące mchy i przez piargi, na których kuliły się zwiędłe paprocie, mijał krzaki malin, z wiszącymi na nich jeszcze krwistymi jagodami; opadłe liście leżały na kamieniach i bieleły srebrzystymi grzbietami. Przeskakiwał mokradła, tak że pryskało brunatne błoto i drzewce włócznie zapadało się głęboko w ziemię, gdy wspierał się na niej; stąpał po zamarzniętych miejscach, gdzie cienki lód

łamał się z brzękiem za każdym jego krokiem. Aż wreszcie w gęstym borze iglastym stracił Gunhildę z oczu. Wówczas zaczął wołać:

– Gdzie jesteś, gdzie jesteś, Gunhildo, Gunhildo, Gunhildo moja...?

A dziewczyna odpowiadała:

– Czy jesteś, czy tu jesteś, czy tu jesteś, Eiriku, Eiriku, Eiriku...? Słuchał jej głosu. W zabawie zapomniała o trosce. Skakał dalej, przedzierał się przez leśny gąszcz i nawoływał pełen radości, a głos jego brzmiał głośno i czysto pod błękitnym niebem. A potem dotarli do miejsca, gdzie echo odpowiadało tak mocno, że przystanęli, pohukiwali i zapomnieli o szukaniu.

Wspięli się na zbocze, na którym leżało wiele obalonych wichrem drzew, z zarośniętą, rozdartą ziemią dokoła sterczących w powietrzu korzeni; między nimi czerwieniły się borówki. Eirik i Gunhilda szli teraz tak, że nie tracili się z oczu. Nagle dziewczyna oburącz ujęła suknię i zaczęła biec w jego stronę i wdrapywać się na głązy i wykroty. W tej samej chwili Eirik posłyszał również słaby, żalony bek – i pobiegł za tym głosem. Spotkali się przy małym wgłębieniu gruntu; gruby szron pokrywał mech i zwędłe liście i tutaj znaleźli wreszcie małą białą-czarną kózkę. Nóżki jej były sztywno wyciągnięte, a szyja przegięta w tył; niewiele życia tliło się w zwierzątku. Gunhilda rzuciła się przy niej na trawę i biorąc kożę na kolana głaskała ją i przemawiała do niej pieszczotliwie.

Eirik wziął Blaalinę na ręce i podniósł, Gunhilda ujęła jego lekkie oszczep. Rozsądniej byłoby dobić biedne zwierzę, poza tym koza zaczynała mu ciążyć... Lecz Eirik czuł taką radość, że może iść ramię przy ramieniu z Gunhilda, że za nic by jej tego nie powiedział. Od czasu do czasu Gunhilda zatrzymywała się i pieściła kożę leżącą w jego ramionach.

Wreszcie odnaleźli ścieżkę wiodącą do letniej obory, Eirik przyniósł wiązki siana i ułożyli na nim Blaalinę. Gunhilda znalazła również jakiś kawał starej tkaniny, którą ją okryła. Potem rzekła:

– Musisz wejść do chaty, Eiriku, i wypocząć. Wprawdzie nie mogę ci ofiarować nic więcej jak kozie mleko i kawałek sera...

– Tutaj spałaś tej nocy? – zapytał cicho. Weszli do niewielkiej, czarnej od sadzy izby; światło dnia sączyło się przez szpary między belkami. Palenisko składało się z dziury w ziemi, a za łóżko służyła ława z suchych, rozłupanych drewn, nakrytych sianem i paroma kocami. Gunhilda nie była więc dumna i wyniosła – była życzliwa i dobra, pełna troski o wszelkie stworzenia, które miała pod swoją opieką, wierna i pracowita... Eirik spoglądał na nią z tkliwym zachwytem siedząc na brzegu nędznego posłania i pijąc kozie mleko o przydymionym smaku.

Rozpalił ogień i Gunhilda zawiesiła na nim kociało. Czekaając, aż mleko się zagotuje, by wyspać do niego mąkę, siedzieli obok siebie na ławie i gwarzyli jak starzy przyjaciele, póki Gunhilda nie powiedziała nagle, cała w piasach:

– Zdaje mi się, Eiriku... Dziewka od krów może nadejść lada chwila. Mogłaby się dziwić, że przyjmuję w tej chacie na uboczu obcego gościa...

Eirik podniósł się trochę niechętnie.

– Odprowadź mnie przynajmniej do płotu, Gunhildo, o ile możesz odejść od mleka.

Ujął cugle konia i wyprowadził go poza ogrodzenie, tutaj jednak musieli się pożegnać.

– O, uczerniłaś sobie sadzą rękę – Eirik trzymał dłoń dziewczyny w obu rękach. Stali i spoglądali na siebie z lekkim uśmiechem. A gdy przygarnął ją, oplótł ramionami i ucałował w usta, nie stawiała oporu.

Wtedy zaczął całować twarz dziewczyny i tulić ją mocno do piersi, póki nie zauważył, że mu się opiera.

– Eiriku, musisz mnie puścić...

– Ach, nie...

– Tak, tak, puść mnie! Puścił ją zaraz.

– Gniewasz się na mnie, Gunhildo?

– Nie, sama nie wiem. – Znów ją przygarnął. Zarzuciła mu prędko ramiona na szyję.

– No, ale teraz musisz już jechać... Nie, nie, co ty robisz!

Eirik wsunął rękę w wycięcie jej sukni i na mgnienie oka przywarł dłonią do gładkiej jak jedwab piersi. Na pół ze śmiechem i na pół gniewnie odepchnęła go i wyjęła twarde, zimny przedmiot, który wsunął za stanik.

– Nie, Eiriku, musisz to wziąć z powrotem. Tak wielkiego daru nie mogę jeszcze przyjąć od ciebie! – Podała mu złotą klamrę, która spinała przedtem jego koszulę.

– Ależ tak. – Wskoczył na konia, a gdy się zbliżyła, jedną ręką podając mu wólczy, drugą zaś wpychając klamrę, schylił się i raz jeszcze musnął wargami jej gładkie, chłodne czoło. – Klamra jest twoja. Przechowasz ją do czasu, gdy będziesz mogła ją nosić...

Popędził konia. Raz po raz oglądał się i machał ręką. Kiedy miał jej zniknąć z oczu, bo ścieżka opadała stromo w dół, Gunhildą podniosła rękę i kiwnęła.

Eirik uśmiechnął się, chwilami nawet śmiał się na głos, jadąc w stronę fiordu. Od czasu do czasu powtarzał ich leśne wołanie, cichuteńko, bo nie śmiał wymawiać na głos jej imienia... To był naprawdę najradośniejszy dzień jego życia.

Przedostatniej niedzieli przed adwentem Cecylia córka Olafa odbyła kościelny wywód, a po powrocie na Hestviken ojciec wręczył jej w obecności całej czeladzi klucze do spichrzów i schowków i prosił, by mu wyświadczyła tę przysługę i wzięła na swe barki obowiązki gospodyni w Hestviken.

Olaf rozmawiał już z Jörundem, niewiele wprawdzie, lecz nie odnosił się do niego niezyczliwie. Parę razy odwiedził również Cecylię, by obejrzeć jej najmłodsze dziecko. Ludzie mówili, że rad jest, iż znów jakiś Audun przebywa na Hestviken. Było to zresztą dziecko urodziwe i silne. Cecylia była blada i chuda, wydawała się jednak zdrowa. Obowiązki gospodyni spełniała dzielnie i sumiennie, a stara służba, która ją znała od dziecka, poddawała się chętnie rozkazom młodej pani i kochała jej małych synków.

Radość Eirika była tak wielka, że każdy z tych cichych ludzi na cichym dworze ożywiał się, patrząc na niego. W nim zaś był spokój. Od owego dnia w lesie jeden raz tylko rozmawiał z Gunhildą przed kościołem. I nie mógł wówczas nic więcej powiedzieć, jak zapytać o Blaalinę. Koza nie żyła.

Olaf powiedział mu, że Torgrim otrzymał odpowiedź Bersego. Po Bożym Narodzeniu mogą przyjechać do Eiken, by omówić sprawę; uważał, że nie przystoi zawierać podobnego układu w czasie adwentu i świąt. Zrękowiny będą mogły się odbyć jeszcze przed postem, jeżeli zaś Olaf syn Auduna życzy sobie, aby wesele odbyło się z początkiem lata, Berse nie ma nic przeciw temu, zważywszy, że Eirik nie jest już pierwszej młodości, a Gunhilda skończyła także dwadzieścia lat.

Una zaś ze swej strony oświadczyła, że zarówno ona, jak Sygne chcą

wszystko tak urządzić, aby Eirik mógł się spotkać z Gunhilda w czasie świąt.

– Musicie przecież pogadać ze sobą trochę, nim zwiążecie się zrzękwonami, skoro ułożono już, że masz dostać Gunhildę za żonę...

Jedna rzecz niepokoiła Eirika: srebro zakopane w ziemi na Rundmyr. Byli inni prócz niego, co znali tę kryjówkę. Wprawdzie zakazał surowo Arnketilowi dawać przytułek włóczęgom, lecz było jasne jak słońce, że tego zakazu nie przestrzegają na Rundmyr zbyt skwapliwie. Jörund również rozpytywał kilkakrotnie – chciał wiedzieć, co szwagier uczynił ze srebrem. Eirik zbył go, przypomniał mu, że odkupił srebro za dobrego konia i dodał, że ukrył je w miejscu, gdzie nawet w jasny dzień niebezpiecznie jest się włóczyć. Zresztą starał się utrzymać Jörunda w dobrym humorze; zabierał go na łowy i łodzią i co jakiś czas szukał sposobności, by odwiedzać z nim dwory, gdzie miał druhów lub krewnych. To włóczenie się po okolicy nie było wprawdzie po jego myśli, ale sądził, że spokojne życie na Hestviken nie jest bezpieczne dla Jörunda. Był on kapryśny, a gdy wpadał we wściekłość, Eirik bał się, że wszystko odbija się na Cecylii.

On sam jednak był zbyt szczęśliwy, by się naprawdę tym wszystkim przejmować. Wierzył, że skoro będzie miał wreszcie Gunhildę tu obok siebie, troski i kłopoty innych zmaleją w jego oczach. Ona wносиła z sobą tyle wesela...

Potem pewnego ranka, na czternaście dni przed świątami, gdy Eirik wyszedł na dziedziniec, ujrzał, że cienka warstwa śniegu pokrywa ziemię. Zachodzący księżyc przeświecał niby jasna plama w zagęszczonym,

drgającym powietrzu, zwiastując jeszcze większy opad śnieżny. Eirik postanowił tego jeszcze dnia wykopać srebro, inaczej śnieg mógłby zmusić go do czekania kto wie jak długo – a tęsknił za tym, by pozbyć się tych rzeczy.

Uprosił Jörunda, by wybrał się z nim na polowanie. A gdy o zmierzchu wrócili do domu, Eirik niósł upolowanego lisa, a oprócz tego małe zawiniątko w zbrudzonej ziemią chustce.

Nie wiedział – wtajemniczyć w to ojca czy nie. Lecz nie miał ochoty kłamać bardziej, niż to było konieczne, w tej ohydnej sprawie. Poza tym obawiał się, że Cecylia mogłaby się trafić, gdyby znów mówiono w domu o tym srebrze – teraz zaś przed Bożym Narodzeniem miała i tak huk roboty, a po nocach niemowlę nie dawało jej spać.

Powiedział więc ojcu tylko, że Jörund ma coś do załatwienia na północy w sąsiedniej gminie, a on obiecał mu towarzyszyć. Po czym pojechali do Draumtorp.

Przybyli tam pod wieczór; Eirik nie był zadowolony słysząc, że Berse z Eiken bawi tu z dwoma synami, rodzonymi braćmi Gunhildy. Przez cały czas wzburzenie jego z powodu tej sprawy potęgowała myśl, że Guttorm z Draumtorp jest jej wujem. Nie przypuszczał jednak, że będzie zmuszony opowiedzieć swoją zmyśloną historię przed tymi, którzy mieli się wkrótce z nim spowinowacić.

Jednak wszystko poszło dobrze. Gdy Eirik zaczął mówić, opowiedział gładko o polowaniu na lisa, o psie, który zapędził się do nory, i o znalezieniu srebra, które – jak on i Jörund przypuszczali – stanowi część zrabowanych kosztowności z Draumtorp.

Guttorm był rad, że odzyskał w ten sposób przynajmniej część swego srebra. Toteż przyjął bardzo życzliwie Eirika i Jörunda. Szeroko mówiono o tym napadzie. Dwaj szwagrowie z Hestviken słuchali starego, a sami odpowiadali tylko na pytania. Spodobało się to widać Bersemu, który

okazał im wiele życzliwości. Żartował z Eirikiem i oświadczył, że z czasem poznają się może lepiej – i w końcu przypadł Eirikowi zaszczyt odprowadzenia Bersego do łoża. Teraz, kiedy pozbył się przykrej tajemnicy, było mu lekko i swobodnie, popił też sobie w miarę, tak więc z serdeczną wesołością pomagał swemu przyszłemu teściowi. Nawet gdy starca nękały bóle i słabość, udawało mu się i tak zachować godność.

Guttorm z Draumtorp mówił nazajutrz rano długo z Eirikiem. Sprawiał wrażenie człowieka mądrego i rozważnego. Mówił o Ber sem – przypomniał, że starzec przez długie lata był poważany jako przywódca kmieci, i słusznie, był bowiem za młodu wielkodusznym, odważnym i rozumnym mężem. Obecnie z biegiem lat zdziwaczał nieco, a trzecia żona – młódka, z którą się ożenił w wieku lat sześćdziesięciu – trzyma go mocno w karchach, choć Berse nie przyznaje się do tego. Z dziećmi zaś pierwszej żony miał wiele zgryzoty – syn Benedikt przypisywał ojcu winę za nieszczęście siostry i w gniewie odjechał z domu. Berse nie widział go już potem nigdy, gdyż poległ on w Danii. Ale Eldrida nie umarła – tak dobrze się nie skończyło...

– Natomiast dzieci, które miał z moją siostrą, Helgą, są szlachetnymi i prawymi ludźmi, Eiriku, i cieszę się doprawdy, że Gunhilda tak dobrze wyjdzie za mąż.

Eirik zrozumiał z tego, że krewni dziewczęcia wiedzą już o układzie; również dwaj młodszy bracia Gunhildy, Torleif i Kaare, odnosili się do niego, jak do kogoś, kto w najbliższym czasie zostanie ich szwagrem.

Guttorm spotkał kiedyś na Hestbaek Olafa syna Auduna, dlatego też prosił Eirika, by pozdrowił od niego ojca. Powróciwszy do domu musiał więc Eirik rzec Olafowi, że byli na Draumtorp, i opowiedzieć o znalezieniu srebra. Olaf był oburzony, że w jego lesie wykopano skradzione przedmioty. Eirik odpowiedział, że wyłajał już Ankiego i Liv i że w przyszłości ukróci ich swobodę, prosił jednak ojca, by tym razem



okazał im pobłażanie.

W czasie świąt zetknął się Eirik z ludźmi z Eiken; z ich zachowania się widoczne było dla wszystkich, co ma nastąpić. A kiedy osiem dni po Bożym Narodzeniu jechali do kościoła ze Skikkjustad w ulewnym deszczu po zamarzającej drodze, Berse poprosił Eirika, aby jechał obok Gunhildy i uważał na jej konia. Na Rynjul zaś zostawiono ich przez cały wieczór we dwoje przy szachach. Była to szczególna gra, Gunhilda bowiem nie miała o niej pojęcia, ale nawet z tym w oczach Eirika było jej do twarzy. Nigdy dotąd nie grywał w szachy z białogłową, z wyjątkiem siostry, która jednak grała lepiej od niejednego mężczyzny.

Tego samego wieczoru Olaf z Hestviken i Berse z Eiken mówili długo z sobą w jednym z domostw dworu – mimo święta i mimo że wielu przyjaciół i krewniaków obu stron bawiło na Rynjul. Potem Olaf zdał synowi sprawę z układu dotyczącego posagu narzeczonej. Wieczorem w wigilię świętej Agnieszki Olaf miał z synem i swymi świadkami przybyć do Eiken, a następnego dnia Eirik syn Olafa miał się zaręczyć pierścieniem i darami z Gunhilda córką Bersego.

Nazajutrz rano wyprawiono Gunhildę z macochą i najstarszym, żonatym bratem z powrotem do domu. Berse natomiast pozostał na Rynjul z dworna młodszymi synami. Był prześliczny, pogodny dzień zimowy i Eirik zaczął namawiać obecnych, by ci, co mają ochotę, pojechali do miasta obejrzeć uroczystą procesję, w której król w dniu Trzech Króli idzie do kościoła Panny Maryi; powiadano, że król Haakon bawi w Oslo.

Cała młodzież chciała jechać: synowie Bersego, Jörund Rypa, młody Torgils syn Torgrima, oraz jego brat cioteczny Sigmund syn Baarda ze Skikkjustad. Nawet sam gospodarz Torgrim oświadczył, że on również ma ochotę pojechać:

– Jak sądzisz, Olafie, czy tym razem nie przyłączylibyśmy się do młodych?

Olaf roześmiał się i potrząsnął głową; musi wracać.

– Cecylia już dość długo jest sama nad zatoką.

Wówczas zgłosił się sam. Berse. Należał niegdyś do świty króla Eirika, potem króla Haakona, chciał więc po raz ostatni powitać swego władcę i zająć w procesji należne mu miejsce.

Wskutek tego nieprędko posuwali się naprzód i gdy przybyli do miasta, było już tak późno, że Eirik nie mógł iść do klasztoru i prosić braci o gościnę, jak początkowo zamierzał. Udał się więc wraz z całą gromadą na pewien dwór, gdzie zięć Torgrima posiadał własne domostwo.

Pomimo późnej godziny izba, do której ich wprowadzono, była pełna ludzi, a stoły ugięły się pod ciężarem jadła i napojów. Mężowie otoczyli natychmiast Guttorma, by mu oznajmić nowinę, która gruchnęła już po całym mieście. Trzy noce temu chłopci z Aker wykurzyli z jaskini owych zbójców, którzy tak długo niepokoili lasy dokoła Oslo. Jesienią złoczyńcy napadli na małą zagrodę karczowników niedaleko Elivaag, gdzie żyli dwaj bracia ze swymi żonami i młodą siostrą. Zrabowali, co się dało, wyrznęli bydło i zhańbili kobiety, które znajdowały się same w domu. Ale jeden z opryszków upodobał sobie tak bardzo młodą dziewczynę, że przeszedł na jej stronę. Udała życzliwość i w końcu wydobyła od niego, gdzie mieści się ich złodziejska kryjówka, po czym jej bracia zaprowadzili tam chłopów. Sześciu rozbójników zostało zabitych lub zginęło w pożarze, czterech zaś mężczyzn oraz jedną kobietę osadzono w lochu dawnego dworu królewskiego, gdzie czekają na stracenie. Młoda dziewczyna wyprosiła w nagrodę, że będzie jej wolno trzymać włosy rabusia podczas ściecia.

Wreszcie po długim czasie, kiedy mężowie wygadali się i ugasili pragnienie, wszyscy pokładli się spać. Eirik leżał po zewnętrznej stronie łoża, które dzielił z Jörundem Rypą i Kaarem synem Bersego. Tamci dwaj zasnęli od razu, on jednak leżał bezsennie, opanowany trwogą i daremnie

starał się sam siebie przekonać, że nie ma potrzeby obawiać się niczego, dopóki nie wie, czy należy się czegoś bać...

Zdjął różaniec z szyi i trzymał go w ręku. Przez wszystkie lata nie modlił się nigdy o spełnienie prośby – modlił się tylko o to, aby czuć, że Bóg jest wszechobecny i że wolno mówić do Niego. Wystarczała mu świadomość, że przyjmuje wszystko z ręki Boga... Tak, modlił się również za Cecylię... Teraz jednak nie wiedział, czy wolno mu prosić. Jeśli to, co uczynił, było złe, nie powinien prosić Boga, aby mu pomógł zataić prawdę, która i tak musi teraz wyjść na jaw.

Stał niedaleko przystani królewskiego dworu w ciżbie tak wielkiej, że nie widział prawie nic z procesji – nasłuchiwał tylko pogwarek dookoła. Nie mógł sobie wprost wyobrazić, aby mówiono o czym innym niż o zbrojach.

Kościół był przepelniony – nawet uklęknąć nie było można, i nie mógł słuchać mszy, tak serce biło w nim z niepokoju. Teraz dopiero spostrzegł, że stoi w pobliżu bocznego ołtarza, a tuż obok na ścianie wymalowana była Maryja z orszakiem dziewic: Małgorzatą, Łucją, Cecylią, Barbarą i Agatą – z boku stała Agnieszka ze swym jagnięciem. Ona to właśnie miała być świadkiem, jak będzie ślubował wierność Gunhildzie; cieszył się z tego, bo zawsze, odkąd posłyszał legendę o Świętej, czuł szczególną miłość do tej dziecięco młodej męczennicy. Zbliżył się więc do obrazu i modlił się: Święta Agnieszko, uprosz dla mnie to, co jest najlepsze... I zaraz spłynął na niego spokój. Było mu tak na duszy, jakby naradził się z siostrą.

Kiedy ktoś dotknął jego ramienia, podniósł się natychmiast – był to Guttorm z Draumtorp... Eirikowi wydało się, że oczekiwał tego.

Wyszli razem z kościoła. Gdy jednak stanęli przed portalem i spojrzeli w ulicę, Guttorm odezwał się nagle:

– Równie dobrze możemy pomówić wewnątrz kościoła. Wyszły na

jaw pewne sprawy, o których najchętniej pomówiłbym z tobą w cztery oczy, Eiriku synu Olafa. Zgadujesz może, o co chodzi?

Eirik popatrzył na Guttorma, lecz nie powiedział ani słowa.

– Chciałem się dowiedzieć – mówił Guttorm – czy znaleziono jeszcze coś z mojego srebra... Poszliśmy zaraz rano przed mszą na królewski dwór. Berse miał tam iść i tak, a ja mu towarzyszyłem. Pan Tore kazał przyprowadzić więźniów do izby zamkowej, abyśmy ich mogli wypytać...

Eirik zgniół w dłoniach kapelusz, lecz milczał dalej. Stali teraz znowu przy tym samym bocznym ołtarzu; na ścianie ponad sobą widział wizerunek świętych dziewic. Smukłe i wiotkie, w powłóczystych, jasnych szatach otaczały Królową i uśmiechały się do królewskiego Dzieciątka na Jej łonie. Eirikowi przypomniał się werset: *Ego mater pulchrae dilectionis, et timoris, et agnitionis, et sancte spei* i odpowiedź: *Deo gratias*.

Guttorm podrapał się w głowę.

– Prawdę powiedziawszy, Eiriku, mnie samemu wydaje się to bardzo dziwne, że muszę mówić o tych rzeczach. Sądzę raczej... Czy ty nie mógłbyś mi czegoś powiedzieć?

– Ja?

– Domyślasz się, że wypytałem ich także o kryjówkę w lesie należącym do Hestviken. – Spojrzał badawczo w twarz młodego człowieka, który stał nieruchomy, z pobladłą twarzą, z oczami wbitymi w podłogę. – Krótko i węzłowato: sprawa ma się najwidoczniej tak, że kiedy znalazłeś moje srebro, wiedziałeś, gdzie go szukać... Eirik kiwnął lekko głową.

– Zwróciłem ci twoje srebro, Guttormie – rzekł cicho. – Czy nie możesz się tym zadowolić?

– Czy to prawda, żeś je kupił?

– Tak... Ale chyba nie sądzisz, że kupiłem je od kogoś obcego – ciągnął nieco żywiej. – w miejscu gdzie... gdzie dowiedziałem się o tej sprawie, mieszka dwoje ubogich przygłupków... Mężczyzna był

mi niemal opiekunem w latach chłopięcych... Nie mają ani za grosz rozsądku i wpuszczają do domu rozmaitych hultajów i obieżyświatów. Wielu z nich to ubodzy i uczciwi ludzie, którym dajemy jałmużnę, inni wyprawiali się z nami na łodziach, słowem różni ludzie, włóczędzy i żebracy i... Guttormie, czy nie mógłbyś zaprzestać dochodzeń w tej sprawie i zadowolić się tym, że poniosłem koszty, aby odzyskać twoją własność, mnie zaś zostawić wydanie wyroku na moich ludzi?

– Nie, Eiriku. Nie pomoże ci teraz udawanie, że to był jeden z twoich ludzi!

Eirik zachnął się:

– W imię Boże, jeśli wiesz więcej, to wiesz także, że miałem ważką przyczynę, by postępować w tej sprawie tak skrycie, jak to uczyniłem...

– Być może – Guttorm stał chwilę w milczeniu, jakby roztrząsał coś w duchu. – Nie wiesz, czy tam nie znalazłoby się więcej mojego srebra?

– Nie. O tym nie pomyślałem. Nie sądzę zresztą... Ale jeśli chcesz, możesz przyjechać do nas, skoro tylko śnieg odtaje na zboczu. Chętnie pomogę ci szukać.

Guttorm spojrział przenikliwie na młodzieńca. Sam poczerwieniał mówiąc:

– Lepiej, byśmy położyli temu kres. Jörund Rypa powiada, że były cztery kubki, duży kielich oraz cztery małe.

Eirik patrzył na Guttorma osłupiały. Bryłka srebra – przemknęło mu przez głowę – w takim razie Jörund sam przetopił niektóre przedmioty. Sprawa przybierała coraz gorszy obrót. Potrząsnął głową.

– Nie widziałem nic prócz tego, co tobie wręczyłem. Nie wiem więc, kto stopił twój kubek.

– On powiedział, że powinny tam być cztery srebrne kubki oraz bryłka srebra – powtórzył Guttorm cicho.

Eirik wpatrywał się w niego – z wolna rumieniec wypełził na jego

blade lica.

– W takim razie pamięć Jörunda zawodzi!

– Ów koń, któregoś dał mu za to – pytał ostrożnie Guttorm – był wart więcej aniżeli srebro, któreś mi oddał. Czy to ten, na którym jechał wczoraj?

– Ponieważ wiesz, o kogo chodzi – powiedział Eirik gwałtownie – nie myślisz chyba, że się targowałem o cenę?

Guttorm myślał chwilę, potem spytał powoli:

– Nic więc nie wiadomo ci o innym srebrze, prócz tego, które otrzymałem od ciebie? Odpowiedz mi tutaj, gdzie stoimy, a uwierzę twemu słowu.

Mimo woli Eirik rzucił okiem na ścianę – przemknęło mu przez głowę to, co słyszał, o obrazach, które mogły przemówić: Maryja i Jej Syn zaświadczyli wargami malowanymi przez malarza i ustami wyciosanymi z kamienia, by dopomóc ujawnieniu prawdy. Ale łagodne oblicza w złocistych koronach ani drgnęły i święte dziewice stały nieruchome jak przedtem, pokazując koła i miecze, które niegdyś rozdarły ich ciała.

– Nie. Nie wiem nic więcej – powiedział tylko.

Guttorm wyciągnął rękę. A gdy Eirik udał, że tego nie widzi, sam chwycił rękę młodego człowieka i mocno ją uściśnął.

– Wierzę ci. Ale nie możesz mi wziąć za złe, że musiałem wyjaśnić tę sprawę?

– Nie, istotnie musiałeś...

– Za zimno tu na stanie – odezwał się Guttorm. – Chodź, wyjdziemy.

Dym tańczył nad białymi dachami domów, powietrze było łagodne, słońce świeciło, a niebo błękitniało. Cienka warstwa spadłego w nocy śniegu była wydeptana i ulica zrobiła się śliska.

– Czy mogę wziąć cię pod ramię? – zapytał Guttorm.

Eirik nie zdobył się na odpowiedź. Zrozumiał zamiar sędziwego

męża, ale gorzko mu było przyjąć podobne załagodzenie, skoro musiał najpierw niezasłużenie ścierpieć tak niesłychaną zniewagę. Ramię w ramię szli ulicą Zachodnią. Na placu przed kościołem Świętego Hallvarda Guttorm spotkał kilku znajomych. Rozmawiając z nimi opierał się ciężko na ramieniu Eirika. Tamten stał niemy jak słup. Kiedy jednak dotarli do dworu obok kościoła Świętego Krzyża, gdzie mieszkali, rzekł do Guttorma:

- Nim wejdziemy, ja chciałbym zapytać o pewne rzeczy.
- Oczywiście, to zrozumiałe.

Zapuscili się poza dwory, w miejsce, gdzie rzeka płynęła pomiędzy gliniastymi brzegami. Eirik poprosił Guttorma, by mu opowiedział, co zaszło w izbie zamkowej królewskiego dworu i kto był przy tym obecny.

Guttorm odpowiedział, że był tam Berse z dwoma synami, Torgrim z Rynjul i Jörund Rypa oraz on sam ze swym zięciem Karlem. Z ludzi należących do dworu królewskiego nie było nikogo prócz pana Torego i pachółków, którzy przywiedli więźniów.

Żaden z uwięzionych nie był obecny podczas obrabowania Guttorma – ci zbójcy albo ponieśli już śmierć, albo też jeszcze przed zimą porzucili bandę. Kobieta jednak gotowa była wyznać, co się stało ze srebrem z Draumtorp: sprzedała je temu oto człowiekowi, który tam stoi, Jörundowi Rypa. Oboje znali się z dawnych lat. Wówczas Jörund potwierdził od razu jej słowa, dodał jednak, że Aasa opowiadała mu, iż srebro jest jej spuścizną, którą właśnie zabrała z domu. Uwierzył, bo wiedział, że pochodzi z dobrego rodu. Odkupił od niej srebro, ponieważ opowiadała, że ma zamiar odejść od swego chłopca, z którym nie jest zamężna, i rozpocząć nowe życie.

Na to kobieta oświadczyła, że wcale nie było mowy o tym, skąd srebro pochodzi, i że owej nocy nie zauważyła, aby Jörunda tak bardzo obchodziło, czy poprawi swoje obyczaje.

Wtedy Jörund zarzucił jej kłamstwo. Ani przez chwilę nie sądził inaczej, tylko że srebro jest jej spuścizną po Aasmundzie na Haugsæter. To ostatnie było prawdą: Aasa była naprawdę córką tego chłopca, lecz zgrzeszyła i została wypędzona z domu. Dopiero gdy Jörund pokazał ów nabytek Eirikowi, dowiedział się od szwagra, że to mogą być zrabowane przedmioty. Jörund nie chciał ich wówczas zatrzymać, a Eirik ofiarował się odkupić je od niego za karego konia, którego ma obecnie. Był tam duży kielich, cztery małe kubki oraz bryłka stopionego srebra. Ale potem, w ciągu zimy, Eirik oświadczył, że nie śmie dłużej ukrywać tych rzeczy: ponieważ miał się wkrótce zaręczyć z siostrzenicą Guttorma, uważał za najwłaściwsze oddanie srebra gospodarzowi na Draumtorp.

Eirik stał, plecami bezsilnie oparty o płot. Na białej płaszczyźnie pól po drugiej stronie rzeki śnieg skrzył się, aż kłuł w oczy. Błękit i biel wprost go oślepiały, a gdy spozierał w dół, na toczącą się w gliniastym jarze rzekę, dostawał zawrotu głowy. Nagle odczuł nieznośny ból.

– Co powiada Berse? – zapytał.

– Berse? Ach, możesz sobie chyba wyobrazić. Lecz powiedz mi, Eiriku, co to za człowiek ten twój szwagier, Jörund Rypa?

– O rodzie Rypa na Gunnarsby słyszałeś zapewne... On i ja byliśmy przez wiele lat przyjaciółmi.

– Więc teraz nimi nie jesteście? Od razu tak pomyślałem, kiedy Jörund powiedział, żeś nie wcześniej pomyślał o oddaniu srebra, aż dopiero wówczas, kiedy była mowa o naszym spokrewnieniu się... Nie potrzebował tego mówić. Bardziej zrozumiałe byłoby, gdyby nie odzywał się w podobny sposób o bracie swej żony... Chyba że chciał przeszkodzić twemu ożenkowi z Gunhildą...

Eirik spoglądał chwilę na tamtego.

– Trudno w to uwierzyć – szepnął słabym głosem. Potem wyprostował się, wstrząsnął się lekko i osłonił szczelnie płaszczem. – Chciałbym teraz



wejść i poszukać Bersego – rzekł szorstko.

Guttorm wyciągnął rękę, jakby go pragnął podtrzymać.

– Rozumiesz chyba, Eiriku... z naszych zamiarów względem ciebie i Gunhildy nic teraz być nie może...

– Ale ty wstawisz się chyba za mną, Guttormie? – zapytał Eirik pospiesznie. – Powiesz Bersemu, że uważasz mnie za uczciwego człowieka.

– Oczywiście, na to możesz liczyć... Lecz chodzi o to... chodzi o tamtego, Eiriku. Im mocniej wierzymy, że dla nas dosyć jesteście dobrzy, ty i twój ojciec, i wszyscy twoi krewni, tym bardziej lękamy się pokrewieństwa z nim...

Eirik wpatrywał się w Guttorma, usta jego były białe jak u ciężko chorego.

– Mimo to chcę odszukać Bersego – rzekł i podążył w kierunku bramy miasta.



Gdy jednak wrócili do gospody, dowiedzieli się, że Berse wyjechał już z całą świtą. Zaraz potem wyjechał również Jörund. Karl, zięć Guttorma, opowiedział, że Torgrim z Rynjul bronił Eirika, ale ponieważ Berse nie od razu uwierzył, że Eirik jest niewinny jak dziecko w łonie matki, Torgrim rozgniewał się ogromnie i oświadczył, że wielka szkoda, iż Berse nigdy nie posiadał rozumu, bo teraz by mu się przydał. Wówczas starzec okropnie rozzłoszczony opuścił dwór. Rozmowa zaś Torgrima i Jörunda skończyła się tak, że kmieć porwał leżący obok bykowiec i uderzył nim Jörunda w twarz.

– O, czemuż Bóg i święty Olaf nie pokierowali tak moją dłonią, abym

zamiast bicia chwycił oszczep i przebił go! – biadał Torgrim, gdy o tym mówili.

Potem wyładował swoją złość na Eiriku, który ani słowem nie odpowiedział na jego rozgoryczony wybuch.

– Siedzisz tu jak ciężarna narzeczona albo jak archanioł, któremu diabli wyskubali wszystkie pióra w skrzydłach... Najlepiej poleć od razu do twych braciszków, proś, żeby z powrotem oblekli cię w habit. Wtenczas Jörund osiągnie to, czego chce.

Karl gwizdnął, Guttorm nagle podniósł oczy. Lecz Eirik odparł spokojnie:

– Cokolwiek się stanie, nie w ten sposób wrócę do klasztoru, o ile do niego wrócę.

W końcu Torgrim rozstrzygnął, że powinni natychmiast wszyscy razem pojechać i zawiadomić o tym Olafa.

– Jesteś sprawiedliwym mężem, Guttormie, pojedziesz więc z nami.  
– Guttorm zgodził się.

– Lepiej byłoby, gdybyś był zapytał ojca o radę – rzekł Guttorm do Eirika, gdy jechali przez ściętą lodem zatokę w Botn – od razu, gdy tylko zostałeś wplątany w tę sprawę.

– Ty, który go dobrze znasz – odparł Eirik gwałtownie – co sądzisz? Jak ojciec przyjąłby tę wiadomość? Wspólne życie na Hestviken byłoby dla nas nie do wytrzymania. Bóg niech będzie miłościw mojej siostrze i jej dzieciom...

Niedaleko Draumtorp spotkali jednego z parobków Bersego. Oznajmił, że Berse zajechał do dworu i chce natychmiast rozmówić się z

gospodarzem, nim wyruszy dalej, do Eiken.

– Niech poczeka – odezwał się Torgrim i Guttorm kazał powiedzieć, że wróci nazajutrz.



Przybyli do Hestviken już po zapadnięciu zmroku. Kiedy gromadka jeźdźców stanęła przed izbą mieszkalną, Eirik ujrzał jakiegoś człowieka na skale nad dworem – czarną postać na tle zamierającego zielonkawego blasku na niebie. I gdy ojciec schodził na dół, nawiedziło Eirika wspomnienie Kogoś, kto wleczony był od jednego sędziego do drugiego. „Boże, Boże, tego nie wytrzymam, pomóż mi, Panie, znieść i to jeszcze!”

Było już tak ciemno, że trudno było dostrzec wyraz twarzy Olafa, gdy się zbliżał. Torgrim zeskoczył z konia i pospieszył ku niemu.

– Czy on już wrócił do domu, ten Jörund? I co mówił?

– Ani słowa, któremu bym uwierzył – odparł Olaf ostro. – Ale wejdźcie do domu.

Mrok zalegał izbę, tylko małe, szkarłatne oko żaru tliło się na palenisku. Lecz po chwili światło zabłysło w przedsiönku – weszła Cecylia, niosąc w każdej ręce świecznik z zapaloną świecą. Eirik stał przy drzwiach oparty na mieczu, nie zdążył jeszcze zdjąć płaszcza. „To najgorsze ze wszystkiego” – pomyślał, ujrawszy spokojną, skamieniałą twarz siostry. Postawiła świece na stole i przyklękawszy przed paleniskiem dołożyła wiórów i kory brzozonej. Olaf witał tymczasem Guttorma.

– Czy ci mężowie pozostaną tu na noc? – zapytała roznieciwszy ogień. – I czy chcecie najpierw pomówić z sobą, czy też zaczekacie, aż się posilicie?

– Na Boga, pozwólcie nam najpierw powiedzieć to, co musi być

powiedziane – zawołał Torgrim.

Ojciec przytaknął, Cecylia zwróciła się ku drzwiom. W tej chwili Jörund wynurzył się spoza nich i stanął w świetlnym kręgu. Popatrzył dokoła po zebranych.

– Widzę, że Eirik przybywa z posiłkami, z dawnymi i nowymi druhami. Teraz pewnie opowie nam swoją bajkę, a zdolny do zmyślania bajeczek był zawsze, o tym wszyscy wiemy. Jestem więc przekonany, że mu uwierzycie, zarówno ty, Olafie, jak wszyscy jego krewni. Ja nie posiadam podobnych zdolności i wiem, że źle na tym wyjdę. Nie potrafię wymyślić niczego, co by brzmiało prawdopodobnie, jeżeli prawda wydaje się niewiarygodna...

Usłyszeli za sobą trzask: Cecylia zasunęła zaworek przed drzwiami. Potem wysunęła się naprzód i stanęła u boku męża.

– Najlepiej więc będzie, abym ja powiedziała najpierw to, co wiem, ponieważ to ja znalazłam Srebro i moją winą jest, że mój brat został wmieszany w nasze sprawy.

Jörund odwrócił się ku niej, wściekły:

– Świadczysz przeciw własnemu mężowi... Eirik stanął po drugiej jej stronie:

– Nie, Cecylia, nie mów ani słowa. Cecylia odsunęła obydwóch:

– Chcę świadczyć prawdę. Tak będzie najlepiej dla nas wszystkich, dla ciebie także, Jörundzie – rzekła spokojnie. – Przedtem jednak poproszę was, abyście milczeli o tej sprawie, tak jak chcecie, aby milczeli aniołowie w Dniu Sądu Ostatecznego o waszych grzechach, zamiast głośić je wobec wszystkich zgromadzonych tam dusz.

– Uczynimy, co w naszej mocy, gospodyni – oświadczył Guttorm – aby ta brzydka historia nie rozniosła się między ludźmi. – Inni przytaknęli mu.

Wtedy opowiedziała, w jaki sposób znalazła srebro. Torgrim zapytał:

– Jesteś pewna, że niczego więcej nie było w skrzyni oprócz tych trzech kubków?

– Tak jest, gdyż wyjęłam z niej wszystko. Płaszcz, którego szukałam, leżał na samym spodzie. Teraz jednak muszę już iść i zająć się wieczerzą, jesteście z pewnością głodni i spragnieni po tej długiej jeździe.

Jörund odwrócił się, chciał się wymknąć za żoną, lecz Olaf zatrzymał go:

– Nie, ty zostań tutaj, Jörundzie. Jeszcześmy z sobą nie pogadali do końca.

Cecylia już w drzwiach odwróciła się.

– Pamiętaj, ojczy, o tym, co ci powiedziałam. Jörund już jako dziecko musiał doświadczyć na sobie, że nie może zaufać własnym krewnym. Źle doprawdy, że do tego doszło, ale on sądzi, że ty i Eirik również jesteście jego wrogami, na których musi się za coś mścić...

– Prawdziwie męską wybrał sobie zemstę – przerwał jej Torgrim.

– I ty również, krewniaku, przyczyniłeś się do tego, że mój mąż sądzi, iż wy wszyscy źle mu życycie. Trudno temu, kto cię nie zna, wiedzieć, że nie zawsze robisz to, co myślisz, i że nie wszystko, co wygadujesz w złości, trzeba brać poważnie.

Niemiały był to posiłek – mężczyźni pili i spożywali w milczeniu smaczne potrawy, które Cecylia i dziewczki wniosły na stół. Olaf nie odezwał się przez cały czas – nie przemówił słowem do Eirika, Eirik zaś i Jörund milczeli jak głazy. Cecylia pozostała w izbie, obchodziła stół i dolewała piwa. Kiedy dziewczki uprzątnęły resztki jedła i wniosły świeże dzbany piwa, gospodyni zwróciła się do Guttorma:

– Mam do ciebie prośbę, Guttormie, i doprawdy, o niemałą chcę cię prosić przysługę. Ale nie mogę się zwrócić do nikogo innego prócz ciebie. Mój krewny Torgrim nie byłby mi w tym pomocny. Czy zechcesz pojechać ze mną jutro do Eiken? Pragnę sama pomówić z Bersem.

– Berse przebywa u mnie w Draumtorp, gospodyni.

– Pozwól mi więc jechać z sobą na twój dwór. Sigmund syn Baarda wyświadczy nam tę grzeczność, że pojedzie z nami i będzie mi towarzyszył w drodze powrotnej...

– Ja sam pojedę jutro z Guttormem – oświadczył Olaf.

– Tym lepiej...

– Nie – rzekł ojciec – nie możemy cię wziąć z nami, córko. Nigdy nie było zwyczaju na Hestviken, aby białogłowy zabierały głos za nas, mężów...

Wkrótce po wyjściu siostry z izby wymknął się również Eirik, Znalazł ją w kuchni. Zgasiła właśnie żar na palenisku i chciała wyjść. Eirik objął ją ramieniem.

– Cecylio...

Stała chwilę w milczeniu, rękami oplotła szyję brata. Potem odsunęła się.

– Muszę już zamknąć drzwi, Eiriku, i iść spać.

– Zostań w izbie na poddaszu – prosił. – Cecylio, nie możesz przecie pójść do swojej izby i spać tej nocy z nim razem.

– Tak już musi być – odparła z dziwnym uśmiechem. – Niewiele wy, mężczyźni, pojmujecie. Moglibyście Jörunda zostawić w spokoju – dodała z uniesieniem. – Nie wiem, czy mi się uda go uspokoić, ale... Nie zapominaj, że mam z nim troje dzieci...

Eirik przygarnął ją w milczeniu.

– Nie boję się – powiedziała zgaszonym, zdrętwiałym głosem, wyrrywając się z uścisku brata.

Nazajutrz wcześniej, zaraz po rannym posiłku, Torgrim z dwoma młodymi chłopcami, Torgilsem i Sigmundem, odjechał do domu. Po czym Olaf rozkazał, by osiodłano konie dla niego i Guttorma, Eirik przyniósł im płaszcze i broń. Guttorm wyszedł pierwszy. Gdy Olaf chciał za nim podążyć, Eirik poprosił:

– Ojcze...

Olaf spojrzał w bladą, zrozpaczoną twarz młodego człowieka.

– Nie zapominaj, ojcze... nie ja wybrałem sobie Gunhildę. To wy, ty i Berse, chcieliście tego. Nam dwojgu, gdyśmy się poznali, znana była wasza woła, że mamy się sobie podobać. Miej to na uwadze, gdy będziesz mówił z jej ojcem.

Olaf potrząsnął głową.

– To, o czym myślisz, Eiriku, nigdy się stać nie może.

– Ależ ojcze! – Eirik załamywał ręce. – Wszak cała gmina już wie, że w dzień świętej Agnieszki miała być wyprawiona uczta zrękowinowa. Czy zyskacie coś przez to, jeśli rozniesie się między ludźmi, dlaczego wasza umowa spełzła na niczym? Pomyśl o tym, ojcze, jeśli nie chcesz pamiętać o czym innym. Nie mów zbyt popędliwie z Bersem...

– O wielką rzecz prosisz mnie, Eiriku – odrzekł cicho Olaf.

– Dla nas ma to też niemałe znaczenie...

– Jeśli potrafię, będę o tym pamiętał – dorzucił Olaf tym samym głosem.

– Niewiele mi obiecujesz, ojcze – szepnęła Eirik.

– Nikomu innemu nie obiecałbym tyle, synu – Olaf wyszedł na dziedziniec, Eirik za nim.

Guttorm siedział już na koniu. Eirik podszedł, by potrzymać ojcu wierzchowca. W tej chwili z drzwi izby niewieściej wyszła Cecylia. Była ubrana w ciemny, obramowany futrem płaszcz z kapturem. Na ręku nosiła niemowlę, a Kolbein dreptał obok i trzymał się jej okrycia.

– Czy możesz osiodłać dla mnie Brunsveina, Eiriku? – poprosiła brata. – Zauważyłam wczoraj, że mój siwek utyka na tylną nogę. Dzieci zaprowadzę do Eagny.

– Nie, Cecyljo – odezwał się Olaf. – Powiedziałem ci już, że nie wolno ci jechać z nami.

– Owszem, ojczu, pojedę. Ważniejsza to dla mnie sprawa niż dla innych. Jeśli Berse ciebie nie zechce słuchać, mnie musi wysłuchać, o ile jest chrześcijaninem. Będę bowiem prosiła za, mężem i trzema małymi synkami...

Olaf stał i patrzył na córkę. Wtedy Guttorm odezwał się z konia:

– Wydaje mi się, że kobieta ma słuszość. Pozwól córce jechać. Z was obojga ona jest roztropniejsza.

– Nie wytrzymasz, Cecyljo, jazdy w taki mróz – ojciec zbliżył się do niej. – Nie jest też pewne, czy zdążymy przed wieczorem do domu, może będziemy musieli przenocować w Hestbaek. To za długo dla ciebie, masz przecież pokarm w piersi.

– Wytrzymam, ojczu. – Nikły uśmiech rozjaśnił jej twarz. Zaprowadziła dzieci do izby Ragny, a Eirik poszedł do stajni.

Kiedy zniknęli w lesie u ujścia rzeki, Eirik skierował się ku izbie niewieściej. Serce łomotało mu na myśl o spotkaniu ze szwagrem. Nawet teraz jeszcze sądził, że nie wolno mu wierzyć w postępek Jörunda. To był mąż Cecylii i dopóki wszyscy żyli, należał do nich...

W tej chwili przyszło mu na myśl, że w tym samym przedśionku stał pewnego wieczora z Bothildą. Zapomniał niemal o tym, kim był on sam w tych dniach opętania, kiedy jedynym jego pragnieniem było prześladować



to biedne dziewczę – daleki od człowieka, jakim był teraz.

Nagle niby światło błyskawicy zabłysło w duszy Eirika poznanie tego, co mu w tych latach zostało wybaczone i dane. I choćby nawet miał teraz utracić szczęście na tym padole, i tak nie mniej cenne było to, co Bóg w nim zdziałał: nigdy już nie mógł być takim jak wówczas, kiedy czyhał na nią... Zdumiony, pojął nagle, jak bardzo od tej pory dojrzał jego niedowarzony umysł. I gdy otwierał drzwi, wezbrało w nim płomienne współczucie dla hańby Jörunda.

W chwili kiedy przestąpił próg, Jörund rzucił się na niego. Eirik cofnął się i miecz trafił w odrzwia. W następnym momencie skoczył i chwycił szwagra wpół. Wytrącił mu miecz z ręki i odrzucił. Jörund czyhał ukryty za drzwiami.

– Zostaw to, Jörundzie! Jużes i tak dość sobie zaszкодził, człowiecze!  
– Tamten stał przed nim, ciężko dysząc, z kosym spojrzeniem i Eirik po raz pierwszy zauważył, jak bardzo Jörund zmienił się w ostatnich latach. Ciało jego i twarz się roztyły, rysy mu zwiotczyły, oczy się zapadły, a twarz miała taki wyraz, jak gdyby nie śmiał nikomu spojrzeć prosto w oczy. Eirik przeraził się – potem podniósł miecz i podał go Jörundowi.

– Głupi jesteś i byłeś, Jörundzie. Nie pogarszaj jeszcze swego położenia. Zawsze cenileś bardzo życie, nie zastanowiłeś się, jak sądzę, na co je narażasz, mszcząc się w ten sposób na mnie. Jeśli ci się nawet zdaje, że masz przyczynę do zemsty, tak drogo nie chciałbyś jej na pewno okupić.

– A jednak uprzedziłem cię – natrząsał się Jörund Rypa – myślisz, żem się nie spostrzegł, coś zamierzał? Słyszałem dobrze, jak stałeś na czatach przed drzwiami...

– Jak widzisz, nie mam przy sobie broni... A teraz siadaj.

Jörund rzucił na szwagra nieufne spojrzenie. Potem unióśł miecz, jakby chciał go przestrec. Eirik uśmiecnał się i potrząsał głową.

– Mógłbym cię zabić tu, na miejscu i zbiec do lasu...

– Możliwe. Ale niełatwo jest o tej porze roku wyżyć w lesie, zwłaszcza komuś, kto jak ty nie zna dobrze tych stron. Nie jest też wcale pewne, czy doszedłbyś w ogóle do lasu. Może nie mógłbyś opuścić dworu...

– Więc jestem tu strzeżony jak więzień! – wrzasnął Jörund. I Eirik ujrzał, że oczy szwagra są podobne do oczu szczura zagnanego w pułapkę.

– Ależ nie. Mógłby jednak powstać hałas, a ludzie kręcą się po dziedzińcu.

Jörund odrzucił miecz, podszedł do łoża i zwałił się na nie. Wsparty na łokciu wpatrywał się w Eirika.

– Czego więc chcesz?

– Chcę ci powiedzieć, że w ten sposób nie uwolnisz się ode mnie, o ile takie jest twoje zamierzenie. Cokolwiek czynię, musisz jedno zrozumieć: ojciec jest już w podeszłym wieku i Cecylia nie ma żadnego bliskiego krewnego prócz mnie. Dopóki zachowujesz się tak, że mogę żywić obawę, iż nie będzie miała spokoju u twego boku, dopóty, bądź pewien, nie pójdę stąd i nie zostanę mnichem.

– Cecylia jest dziwką! – wrzasnął Jörund.

– Uważaj, abyś raz jeszcze tego nie powtórzył – odparł Eirik, panując wciąż nad sobą. – Zdaje mi się, że coś niedobrego dzieje się z twoim rozumem. – Ledwo to wypowiedział, przeraził się. Jörund istotnie wyglądał na opętanego.

– Nie ja jestem ojcem Kolbeina – wył Jörund. – Słyszałem to z jej własnych ust. Błagałem, aby mi potwierdziła, że ja nim jestem, ani słówka z niej nie wydobyłem!

– Chybaś się nie spodziewał, że uczciwa kobieta odpowie na podobną zniewagę – Eirik czuł, że wstręt i trwoga wprost go dławią. Nagle Jörund zaczął wyć jak pies, jęczał i skomlał, potem zaniósł się głośnym szlochem, z ust wydobywał mu się bezładny bełkot: wszyscy są w zмовie przeciw

niemu, nikt nie dotrzymał mu wiary – jego własni bracia i ich żony, wszyscy przyjaciele i krewni na całym świecie, Cecylia i Olaf, i wszyscy inni. Eirik na dziesięć słów zrozumiał zaledwie jedno.

– Nie ufasz więc nikomu, Jörundzie? – spytał Eirik, gdy tamten na chwilę przestał szaleć.

W odpowiedzi Jörund ryknął jak oparzony.

– Jörundzie – przekonywał go Eirik – twoja małżonka pojechała, aby uprosić Bersego, by milczał o tej sprawie. W ten sposób pragnie uratować twoje dobre imię. Niełatwo jej przychodzi prosić o coś dla siebie. Niestety, ty sam wiesz o tym najlepiej. Nigdy ani słowem nie uzależniła się na ciebie nam, krewnym... Zrobisz najlepiej, wierząc w to, co powiem: tu u nas nie było nigdy zwyczaju, aby postępować zdradziecko lub podstępnie. I bez tego mamy wiele rzeczy na sumieniu, za które kiedyś musimy odpowiadać... Ale zawsze dotrzyśmy wiary.

Jörund ukrył głowę w poduszkach, łkał i dyszał. Potem całkiem nieoczekiwanie zaczął chrapać. Eirik zląkł się: może jest chory? Objął go i chciał ułożyć wygodniej. Jörund mrugnął kilkakrotnie oczyma – twarz miał czerwoną i opuchłą od płaczu – i zaraz znowu je zamknął. To był tylko sen.

Eirik posiedział jeszcze chwilę przy łożu, lecz Jörund spał. Z sercem ściśniętym i strwożonym wysliznął się więc z izby.

Godzinę przed nieszporemi Eirik wyszedł z domu, ubrany do drogi. Jeszcze raz zaszedł do izby niewieściej – Jörund chrapał, aż się rozlegało. Potem udał się do stajni i osiodłał Raudena.

Kiedy przybył do miejsca, skąd mógł dojrzeć Eiken, słońce stało już

bardzo nisko i rzucało purpurowe i złote blaski na pola, na lesiste zbocza poza dworem. W małej zagrodzie przy drodze pozwolono mu zostawić konia. Chociażby Berse miał się o tym dowiedzieć, musi się odważyć na ten krok...

Poszedł pieszo przez pola w stronę dworu, omijając główny gościniec wiodący do domów. Słońce zaszło tymczasem, pola poszarzały i nabrały błękitnych tonów, lecz niebo było jeszcze wciąż czerwonożółte, a nisko na południu płynęły złociste obłoki. Kilka gwiazd zamigotało.

Droga na wyżynie, którą jechał, gdy ostatni raz był tutaj, była wydeptana, widniały na niej ślady sań i kępki siana. Przez jakiś czas ciągnęła się wzdłuż płotu, który dzielił dwór od lasu. Eirik dobrnął do częstokołu i spojrział w stronę zabudowań. W tej chwili wydało mu się złym znakiem, że nigdy dotąd tam nie był.

Stanął nie wiedząc, czy ma zejść i prosić o widzenie się z Gunhildą. Wtem otworzyły się jakieś drzwi; wyszli z nich kobieta, mężczyzna i pies.

Eirik zaczął wabić półgłosem – ich wołaniem z jesieni. Kobieta wzdrygnęła się, pies zaczął ujadać i popędził jak strzała w stronę stojącego, mężczyzna szedł za nim.

– To ty, Kaare? – zawołał Eirik. Kaare syn Bersego zbliżył się.

– Ty tutaj?

– Tak. Zapytaj siostrę, czy nie mógłbym pomówić z nią? Czekam tu na górze, na drodze.

Mrok zapadł już zupełny, zorza zachodu zgasła i przeszła w zielonkawą poświatę, mnóstwo gwiazd zapłonęło na niebie. Po chwili Gunhilda wyszła na górę, okryta długą futrzaną opończę. Brat i pies szli za nią krok w krok.

– Pozwól nam chwilkę porozmawiać z sobą w cztery oczy, Kaare – prosił Eirik. Siostra powiedziała parę słów do chłopca i Kaare oddalił się z psem.

Eirik zbliżył się do Gunhildy i objął ją. Wtedy wybuchnęła płaczem:

– Nie rozumiem, Eiriku, co to wszystko znaczy?

Tulił do siebie dziewczynę, do głębi nieszczęśliwy – nie był przyzwyczajony do łez kobiety. Po chwili jednak puścił ją i spokojnie zdał sprawę z wszystkiego, o czym słyszała już od braci.

Z wolna Gunhilda uspokoiła się:

– Tak, zrozumiałam to od razu, że nie może być prawdą, co gadają; moi bracia też nie dawali temu wiary. Ale co powiada Jörund Rypa?

Eirik opowiedział o dziwnym zachowaniu się Jörunda który sądzi, że na Hestviken chcą go pozbawić życia.

– Tylko to jedno chcę ci powiedzieć, Gunhildo: ufałem i chyba wolno mi dalej ufać, że nie jesteś niechętna temu, czego ja pragnę, to jest, aby umowa dotycząca nas dwojga doszła do skutku?

– Dałam ci to chyba do poznania, może nawet wyraźniej, niż powinnam. – Opierała się, kiedy chciał ją przytulić, lecz zostawiła swoją rękę w jego dłoni.

– Teraz do świętej Agnieszki nic z tego nie będzie. Będziemy prawdopodobnie musieli czekać. Mam jednak nadzieję, że gdy twój ojciec rozważy całą sprawę, sam uzna to małżeństwo za tak odpowiednie pod każdym innym względem, że...

Gunhilda uściśnęła mu rękę.

– Nie chciałabym, abyśmy zbyt długo musieli czekać – szepnęła cichutkim, bezsilnym głosem, który rozkosznym drżeniem przeniknął młodzieńca. – Niedobrze mieszkać z macochą, gdy się jest dorosłą dziewczyną. I zaraz od pierwszego wejrzenia wyczułam: ty będziesz dobry dla człowieka, który ma żyć z tobą...

Nie potrafiła dłużej bronić się, znowu chwycił ją w objęcia.

– Jest zresztą pewna rzecz, o której chciałbym ci powiedzieć – rzekł po chwili. – Wiesz, że był czas, kiedy miałem zostać mnichem, przeszło rok

przebywałem w klasztorze. Poznałem więc trochę kościelne ustawy i tym podobne rzeczy. Gdyby sprawa wzięła zły obrót i Berse przyprowadził ci innego zalotnika, wiedz, że małżeństwo wedle praw Boskich i kościelnych przepisów nie posiada ważności, jeśli ty sama nie wyrazisz na nie zgody. Jeśli więc zdobędziesz się na odwagę i nie zgodzisz się, nie będą mogli cię zmusić. Jest wówczas obowiązkiem biskupa wziąć cię pod swą opiekę, jeżeli przedłożysz mu skargę.

– Jak to? Zmusić mnie, abym wzięła za męża kogoś, kogo nie chcę?  
– zawołała Gunhilda gniewnie. – Raczej ucieknę stąd, pójdę do mojej siostry Eldridy.

Dreszcz trwogi przeszył Eirika – nigdy. Jego dumna i czysta Gunhilda u tej starej... w siedmiu parafiach nie było niewiasty, która by zażywała gorszej sławy od Eldridy córki Bersego. To nie może się stać. Ale rzekł tylko:

– Tak ile na pewno nie będzie; myślałem o tym na wypadek, gdyby ta sprawa miała się wlec tak długo, że zaczęto by mówić o innym małżeństwie... Bóg niech cię błogosławi, Gunhildo. Oby nie stało się tak, żeby twoja wierność musiała być wystawiona na ciężką próbę...

– Zimno mi – powiedziała po chwili. Przeszepowała z nogi na nogę i drżała.

– Chodź, okryję cię moim płaszczem. – Pociągnął ją z sobą i usiadłszy na pniach przy drodze wziął ją na kolana. – Marzniesz jeszcze? – zapytał po chwili.

– Nogi mam jak lód.

Objął ją i podniósł do góry, tak że dziewczyna skulona wpół leżała w jego ramionach, po czym owinał jej stopy swoim płaszczem. Czuł ciężar młodego ciała – jak spokojnie spoczywała w jego ramionach! Odszukał jej okrągły, zziębnięty policzek w futrzanym obramowaniu kapuzy. I poczuł własną młodość i siłę żywotną, i to, że ich oboje grzeje gorąca

krw w świeżym chłodzie zimowej nocy.

Nieco przestraszona mocnym uściskiem i gorącymi pocałunkami opierała się i chciała zejść z jego kolan.

– Eiriku... Nie mogę tu zostać dłużej.

W końcu musiał ją puścić, troszkę drżącą i bez tchu po ostatnim płomiennym uścisku. Podprowadził ją do ścieżki wiodącej do dworu.

– Teraz minie pewnie dłuższy czas, nim się znów zobaczymy. Gunhilda podała mu rękę.

– Nie bój się, Eiriku. Nie zmuszą mnie wbrew mojej woli.

– Niechaj Chrystus i Dziewica Maryja mają cię w swej opiece. Jeśli tylko tego będę pewien, jakaś rada znajdzie się na pewno.

Noc zapadła i tysiące gwiazd iskrzyło się na niebie, kiedy Eirik podążył spieszenie w kierunku głównego gościńca. Chwycił ostry mroź, śnieg chrząścił pod jego stopami, a mleczna droga biegła jasnym pasem na czarnym, migocącym stropie. Lecz zimno dobrze na niego działało; Eirik czuł dzięki niemu ciepło i siłę własnego ciała.

W małej zagrodzie, gdzie zostawił konia, ludzie kładli się już spać. Do Hestviken powrócił bardzo późno. Zajrzał do Jörunda. W niewieściej izbie panował przejmujący chłód, żar na palenisku wygasł zupełnie. Eirik nasłuchiwał przez chwilę oddechu śpiącego, potem udał się do swej izby, zapalił świecę i wrócił z nią. Jörund wyglądał tak, jakby się przez cały czas nie, poruszył, lecz sen jego wydawał się teraz zdrowszy.

Eirik nakrył go, zebrał parę poduszek i skór i pościelił sobie na ławie. Zdjął buty ze zgrabiących nóg, odpiął pas, otulił się oszronionym płaszczem i wkrótce zasnął.

Ocknął się dopiero, gdy Jörund nim potrząsnął.

– Może wstaniesz i zjesz coś?

Eirik usiadł. Jörund był dziś zupełnie inny – cichy, nieśmiały, nawet głos jego brzmiał potulnie. Podczas gdy obaj się posilali, zagadnął patrząc w bok:

– Słuchaj, Eiriku, czy to prawda, że... że próbowałem wczoraj zrobić ci krzywdę? Źeśmy się z sobą bili?

– Nie pamiętasz już, o czym mówiliśmy wczoraj? – spytał Eirik poważnie.

– Nie wiem dokładnie, co mi się śniło, a co zaszło naprawdę. Czasem mam takie straszne bóle głowy, że potem niczego sobie nie przypominam.

– A dzisiaj czujesz się lepiej?

– Głowa boli mnie jeszcze, ale inaczej...

I zaraz ledwo zjedli, podszedł do łóża, położył się i znów zasnął. Eirik zaglądał parokrotnie do niego. A w południe Olaf i Cecylia wrócili do domu.

Eirik wyszedł na dziedziniec, by ich przyjąć. Badawczo spojrzął w twarz ojca, lecz Olaf zachowywał się tak, jak gdyby go nie widział. Nie przywitał go. Zsiadł z konia i od razu udał się do swej komory, zapatrzony ponuro przed siebie. Eirik poszedł za Cecylią do izby Ragny. Kiedy przyłożyła Auduna do wezbranej mlekiem piersi, westchnienie ulgi wyrwało się jej z ust. Eirik podniósł płaszcz siostry, który upadł na ziemię.

– Chciałbyś zapewne usłyszeć, jaki obrót wzięła nasza sprawa? – Spojrzała na główkę niemowlęcia. – Mogło być lepiej, ale mogło też być gorzej. Berse przyrzekł milczeć. Ale nie chcę ukrywać przed tobą, że mówił do nas takie rzeczy... Tak, ojciec... ojciec panował nad sobą, jak mógł. Lecz pragnęłabym, aby mu to na stare lata zostało oszczędzone... Najlepiej, żebyś nie pokazywał mu się teraz na oczy...

– Mimo to muszę... – Eirik pogłaskał twarz siostry. – Sądziś pewnie,



że jestem mniej odważny od ciebie, Cecylio – dodał ze smutkiem.

– Nie wiem. – Przyłożyła dziecko do drugiej piersi. – Istnieją rzeczy, które mężczyzna łatwiej zniesie niż kobieta. I znowu inne, które mężczyzna znosi gorzej...

Kiedy jednak Eirik wszedł do izby mieszkalnej, Olaf siedział jeszcze wciąż w podróźnej opończy. Ręce splótł na główicy miecza i oparł na nich brodę. Spojrzał przelotnie na Eirika, lecz nie odezwał się słowem, Eirik więc nie śmiał go o nic zapytać.

I ta zima minęła wreszcie – dzień za dniem.

Olaf nie wspominał nigdy ani słowem o swym spotkaniu z Bersem na Draumtorp i Eirik wystrzegał się wszelkiego pytania. W ogóle niewiele mówili teraz ze sobą – znów było między nimi tak jak w pacholących latach Eirika; ojciec siedział z nieruchomym spojrzeniem zwróconym przed siebie i Eirik nie wiedział, czy stary patrzy na niego, czy też poprzez niego na coś innego. Jeśli musiał omówić z nim jakąś sprawę, miał zawsze wrażenie, że ojciec słucha tylko jednym uchem – płynął od niego prąd niezyczliwości i zimnej niechęci. Eirik przypomniał sobie, że dawniej ten sposób bycia ojca doprowadzał go niemal do szału. Teraz myślał: „Bóg wie, może ojciec już wówczas dźwigał jakieś ukryte brzemie...” I poczuł, że podobnie jak wszystko inne w tych latach, miłość jego do ojca umocniła się również; niedojrzały mięksiz okrzepł w twardey rdzeń.

Niedostępność ojca ciążyła Cecylii i Jörundowi. Ale na to nie było żadnej rady.

Eirik, ilekroć mógł, przebywał w niewieściej izbie z młodymi małżonkami. Przestał w końcu zastanawiać się nad naturą szwagra; uwierzył prawie, że w jesieni i w zimie Jörund miewał zamroczenia i że potem gorączka minęła, przynajmniej na razie. W ciągu całej zimy Jörund Rypa był w dobrym humorze, żwawy i gadatliwy jak dawniej. Bawił się ze swymi małymi synkami i odnosił się z czułością do żony – niekiedy w taki sposób, że Eirik płonął ze wstydu. Myślał też nieraz, że i Cecylia jest z tego niezadowolona, nie okazywała tego jednak. Obowiązki gospodyni we dworze spełniała niezwykle dzielnie; Eirik widział, że cała służba poszłaby w ogień za młodą panią. Udawało jej się nawet czasem wyrwać ojca z odrętwienia, kiedy chciała się z nim nad czymś naradzić.

Eirik nie zauważył nigdy, aby Jörund poświęcił choć chwilę

zastanowienia wydarzeniom, jakie zaszły około Bożego Narodzenia, albo żeby troszczył się o to, że ta nieszczęsna sprawa dostała się na ludzkie języki. Plotki krążyły, Eirik wiedział o tym, nikt jednak nie dał mu tego odczuć. Wiedział również i to, że gdyby dwóch chudopachołków zaplątanych było w sprawę ukrycia skradzionego dobra, to co najmniej dźwigaliby przez całe życie wypalone na czole piętno. Ale oni dwaj byli synami z Gunnarsby i Hestviken, ich powinowatymi byli Baard na Skikkjustad, jeden z najznacniejszych ludzi w okolicznych gminach, szczególnie od czasu gdy tak mądrze wydał za mąż swoje cztery córki, oraz Torgrim na Rynjul, który mógł mówić i czynić, co mu się podobało – ludzie poważali go i tak, i oswoili się już z jego gwałtownością. Nawet ten, kto w danej chwili cierpiał z jej powodu, pocieszał się, że następnego dnia innemu się oberwie...

Eirik przekonał się, że każde słowo posłyszane z ust świątobliwych ojców jest prawdą: sąd ludzki, powodzenie w świecie i wszystkie tym podobne sprawy znaczyły dla niego tak niewiele, że dziwił się wprost, iż ktoś każe o takie rzeczy walczyć tak ciężko, jak to widział dokoła, walczyć podstępem, zdradą i przemocą, martwić się i gryźć... Gdyby nie chodziło o Gunhildę i ich wzajemną miłość, gdyby Jörund i Cecylia mogli się obejść bez niego, to raczej dziś niż jutro porzuciłby wszystko w tym doczesnym świecie. Ale zaczął rozumieć słowa, które mówiły o tym, że można żyć w świecie, a mimo to w nim nie przebywać – był przekonany, że nie istnieje nic, co by mogło zachwiać jego wewnętrznym spokojem i wolnością ducha.

Pewnego dnia wczesną wiosną Eirik towarzyszył siostrze do Rynjul;

chciała odwiedzić synka, który się tam wychowywał. Eirik siedział z Uną w tkalni i przyglądał się Cecylii pieszczącej dziecko. Od czasu, kiedy matka po raz ostatni je widziała, Torgils syn Jörunda nauczył się chodzić. Potem Torgrim wszedł do izby. Po chwili powiedział:

– Słyszałeś pewnie, że Gunhilda ma nowego zalotnika? – Wymienił jakieś imię nieznanie Eirikowi nawet ze słyszenia: ów mąż pochodził z Agder. – Berse nie zmańdżał nawet po szkodzie. Postawił na swoim wydając za mąż Eldridę i wiesz, jak się to skończyło. Mimo to chce znowu Gunhildę sprzedać takiemu staremu trollowi...

O zmierzchu rodzeństwo wracało do domu. Spoza rozgałęzionych koron olch przebłyskiwały pierwsze wielkie gwiazdy. Wieczór był ciepły; świeży wilgotny zapach płynął od brunatnych, nagich zboczy, a śpiew ptaków dochodził z gaju. Długo jechali w milczeniu. Nareszcie siostra spytała:

– Eiriku, to co mówił Torgrim o Gunhildzie... To nasza wina, że ją stracisz.

– Gunhildy przenigdy nie zmuszą – odparł Eirik.

– Zmusić? Jest tyle rodzajów przymusu – oświadczyła. Po chwili Eirik odrzekł:

– Ponieważ mówimy już o podobnych sprawach... nie musisz oczywiście odpowiedzieć, jeśli nie chcesz... Czy Jörund kiedykolwiek znącał się nad tobą dlatego, że źle myśli o wszystkich?

– Skąd wiesz o tym? – spytała gniewnie.

– Wtedy, pierwszej zimy, kiedy zachowywał się jak szalony i oskarżał wszystkich... i ciebie to nie minęło?

– Och, ja sama ponoszę część winy – odrzekła Cecylia. – Byłam wówczas tak młoda... Nie umiałam postępować rozumnie, drażniłam go i milczeniem, i tym, co mówiłam.

„Młoda” – pomyślał Eirik. Cecylia nie była nawet w wieku Gunhildy.

Po chwili dodała:

– Ja także źle zrobiłam. Kiedy inni chcieli jechać na biesiadę, nie chciałam. Przede wszystkim dlatego, że wkrótce miałam urodzić Kolbeina. Ale wiedziałam również, że na tym dworze przebywa ktoś, z kim nie chciałam się spotkać. Wieczorem jednak ten człowiek przybył na Gunnarsby i pomimo wszystko wyszłam na dziedziniec i rozmawiałam z nim koło płotu... Nie wypowiedzieliśmy ani słowa, którego by Jörund nie mógł usłyszeć... on nie jest taki. Lecz Jörund dowiedział się o tym, a wiedział, że ów mężczyzna zna mnie jeszcze z domu, z Hestviken... ty go nie znasz. Potem zacięłam się i Jörund stracił nad sobą panowanie. Ale później nigdy już tak nie zrobił. Porządnego stracha napędziło mu również przybycie ojca. Zresztą między jednym napadem a drugim Jörund zachowuje się całkiem spokojnie i rozsądnie...

„Grzechem na pewno nie będzie – rozważał Eirik w duchu – jeśli namówię Gunhildę do oporu.”

W kilka dni potem Eirik wybrał się do Saltviken. Przez całą zimę cieszył się na wiosenną orkę; chodził więc po swym dworze i trzymał się, lecz myśli jego biegnęły nieraz daleko. Nie potrafił w żaden sposób przejść do porządku nad tym, co mu zdradziły słowa siostry. Więc Cecylia także była narażona – ona, która nigdy, nawet w dzieciństwie nie zaznała kary. A do tego dołączyła się troska o Gunhildę.

Każdego dnia wiosenna pogoda stawała się piękniejsza. Cienko rozrzucony gnój leżał na świeżych, brunatnych i tłustych zagonach i jego ciepłe wyziewy mieszały się z kwaskawą wonią trawy wschodzącej na łąkach. Wszędzie, gdzie ziemia na skałach obeschła, niebieszczyły się

dzikie bratki. Pierwsze pąki drzew liściastych rozwarły się już i jaśniały niby zielone i żółte płomyki w promieniach słońca. Sad wiśniowy okrywały perełki pączków, a tu i tam, w miejscach gdzie gałązki stykały się z nagrzaną od słońca skałą, obsypane były białym kwieciem. W czasie południowego odpoczynku Eirik zszedł nad zatokę, rozebrał się i popłynął. Woda była jeszcze zimna, ale za to na brzegu było ciepło jak w lecie.

W dniu, w którym ukończył siew, na odwieczarz, przestał pracować i zmienił odzież. Miał tu niebieski kaftan, by móc stąd jechać do kościoła nie wstępując do Hestviken. Pojechał w stronę Eiken.

W małej zagrodzie, gdzie ostatnim razem zostawił konia, mieszkała cała gromadka dzieci. Przybywszy na miejsce, znalazł małą dziewczuszkę; kłęczała nad potokiem i płukała bieliznę. Wyciągnął parę srebrniaków i zapytał, czy może mu załatwić pewną sprawę.

– Biegnij więc żywo na Eiken i uważaj, abyś mogła pomówić na osobności z Gunhildą. Zapytaj ją, czy ma jakąś wiadomość dla tego, kto posiada ten znak?

Wyjął z zanadrza haftowany rękaw koszuli; Gunhildą dała mu go, kiedy byli razem w czasie Bożego Narodzenia na Rynjul, i obiecała wyhaftować drugi do Wielkanocy.

Wyciągnął się na ławce powyżej zagrody i czekał. Kobieta wyszła z chaty i zaczęła z nim rozmawiać. Dowiedział się od niej, że Bersego i jego żony nie ma w domu. Tydzień temu pojechali na południe fiordu, we dworze zaś czynione są przygotowania na przyjęcie gości mających przybyć po ich powrocie.

Dobrze więc zrobił, że się tu wybrał.

O zachodzie słońca dziewczynka zbiegła na dół. Eirik wyszedł jej naprzeciw. Oddała mu zastaw.

– Gunhilda poleciła mi oddać pozdrowienia i powiedzieć, abyś prosił

tego, kto posiada ów znak, by jak najrychlej pojechał do Neset i tam poczekał. Otrzyma to, co mu się według umowy należy.

Eirik spojrział na dziecko – nie mógł tchu złapać. Nie, tego nie oczekiwał.

Eirik jechał na południe, podczas gdy wieczorny mrok gęstniał z wolna w jasnoszarą noc wiosenną i ptaki świergotały radośnie w lesie. Był rześki chłód, miło było jechać o tak późnej porze, a trwogi przed nocą i ciemnością nie znał nigdy. I radował się bardzo.

Ale zarazem był przerażony. Że też Gunhilda zamierzała wprowadzić w czyn tak niesamowitą groźbę. Któż by się tego spodziewał!

Rozumiał doskonale, że oboje znaleźli się obecnie w trudnym położeniu. Gdy wyjdzie na jaw, dokąd Gunhilda uciekła i że tam się z nim spotkała, będą o nich opowiadać najgorsze rzeczy. Musi ją jak najszybciej wywieźć z domu siostry. Lecz dokąd?

Prawo brzmiało tak, jak powiedział: było obowiązkiem biskupa bronić kobiety przed przymusem małżeńskim. Był to jednak obowiązek, który spełnić musiało dotąd paru zaledwie biskupów. Eirik mógł sobie mniej więcej wyobrazić, jak przyjęto by Gunhildę na biskupim zamku albo u surowej pani Groi w Nonnesaeter, jeśliby ją tam posłano. Nie mógł również prosić żadnego z ojcowskich przyjaciół w mieście lub gminie rodzinnej, by przyjął kobietę, którą on uprowadził. Torgrim i Una nie odmówiliby mu, lecz nie mógł narażać ich na podobne przykrości. Zresztą Rynjul leżało zbyt blisko i od Eiken, i od Hestviken. A jego własnemu ojcu nie będzie się to podobało, tak samo jak Bersemu.

Najlepszym wyjściem wydało mu się zawiezenie dziewczyny

do swych krewnych w Oplandii. Wprawdzie ze Steinfinnem synem Haakona na Berg nie rozstał się w przyjaźni, lecz znał na tyle swego ciotecznego brata, by przypuszczać, że ten nie opuściłby go w podobnych okolicznościach, gdyby musiał szukać u niego pomocy.

I ten zamiar również nastęrczał niemało trudności: droga była długa i mogą być ścigani; w razie spotkania dojdzie niechybnie do orężnej walki. Ale jeżeli zyskają na czasie i będą się trzymać odludnych szlaków... Kryło się w tym coś jeszcze – zdawał sobie z tego doskonale sprawę, jadąc w wiosenną noc, wdychając zapach liści i trawy, czując żar i młodość własnego krzepkiego ciała. Już teraz nęciła pokusa: pragnął całować swą nadobną narzeczoną, wziąć ją w ramiona, gdy pięć, może sześć dni będą jechać sami przez bory i góry, z dala od zamieszkałych osiedli! Na szczęście jest już w tym wieku, że wie, iż musi się mieć na baczności. Wiedział i ona też z pewnością wiedziała, że ludzie wezmą ich na języki – a mimo to nie zawahała się przed tą przygodą. Gunhilda nigdy nie będzie płakać z powodu krzywdy przez niego wyrządzonej.

Serce Eirika kurczyło się z bólu na wspomnienie myśli, które miał kiedyś. Na Boga! Nigdy! Dość było z Bothildą.

Zapewne najroztropniej byłoby przesłać jej wiadomość, że nie powinna myśleć o dotrzymaniu tak niedorzecznej obietnicy. To jednak byłoby obrazą. I cóż by to musiał być za człowiek, który by potrafił okazać tak wielką mądrość?

Gdyby przynajmniej wiedział, gdzie leży owo Neset! Gdzieś na pograniczu między parafią Saana i Garda. Przejeżdżał tamtędy kiedyś jako wyrostek ze starym Tore i widział mały dwór po drugiej stronie jeziora. Teraz nie wiedział nawet, czy znajduje się na właściwej drodze. Jechał gęstym borem, w którym gdzieniegdzie skrzył się jeszcze śnieg i brzozy nie puściły dotąd listków. Z błota, które pokrywało grunt, gdy śnieg tajał, płynął chłód i zapach wilgoci. Północ minęła już i zgiełk



ptaków, na chwilę ściszony, ożył na nowo. Ale ptaki nocne nawoływały się jeszcze, kruki przemykały w powietrzu, a na mokradłach, obok których przejeżdżał, głuszcę zaczął tokować. Eirik był senny, Rauden zmęczony i utykał lekko na tylną nogę.

Zeskoczył z siodła i poprowadził konia wzdłuż jaru. Woda płynęła strumyczkami i strużkami, minął kilka niewielkich zagród i wkrótce natrafił na szerszą drogę. Jeszcze chwila i droga wyprowadziła go nad małe jezioro.

Bór czarną ścianą otaczał wodę, tylko w północnej stronie na cyplu wybiegającym w jezioro leżał osamotniony dwór. Mgła kłębiła się nad powierzchnią wody i nad wilgotnymi łąkami przed domem, tak że wyzierały z niej tylko zielone dachy domostw. W pewnym miejscu droga rozwidlała się, wąska ścieżka prowadziła w dół, przez bagno. Eirik skierował się na nią. Nad większymi dołami położone były mostki dla bydła. Z brzoź okrytych młodą zielenią sączyła się wilgoć, wydzielala gorzkawą, upajającą woń. Przechodził obok miejsc, na których dawniej były łąki i pastwiska. Teraz rosły tu śmigłe zielone świerki. Tymczasem rozwidniło się, niebo stało się jasne, a powierzchnia jeziora stałowa między falującymi strzępami mgły. Na łące pod samym dworem trawa była bujna i wysoka, srebrna od rosy, brzozy i olchy pokryte były zielonymi listkami.

O tej porze nie mógł budzić ludzi w obcym dworze. Lecz w dole, na brzegu lasu dojrzał małą szopę. Puścił więc konia luzem, wszedł do niej i położył się spać.

Gdy się obudził, słońce wpadało do środka przez szpary; na na dworze, przed otwartymi drzwiami świat był pełen blasku i zieleni, a na progu

stała kobieta i trzymała Raudena za grzywę. Eirik zerwał się, otrzepał płaszcz, podszedł i powitał kobietę:

– Powiedzcież mi, gospodyni, czy ten dwór to Neset, gdzie mieszka Eldrida córka Bersego?

W tej samej chwili domyślił się, że to właśnie ona. Była odziana jak wyrobnica, a wyglądała jak... nie wiedział jak, lecz na pewno nie była kobietą z gminu.

Była niezbyt wysoka, nie tak wysoka jak Gunhilda, i chuda. Ramiona jej były szersze od chudych męskich bioder, trzymała się prosto jak świeca. Ogorzałe, śniade oblicze wyglądało jakby zupełnie pozbawione ciała – czoło jej błyszczało, błyszczała również skóra na wystających kościach policzkowych i prostym, delikatnym nosie. Im dłużej Eirik wpatrywał się w postarzałą i zniszczoną kobietę, tym dokładniej widział, że musiała być niegdyś piękna – tak piękna, że żadna z urodziwych kobiet, jakie znał, nie mogłaby się z nią mierzyć.

– Jestem Eldridą na Neset. Masz do mnie jakąś sprawę?

– Owszem, sprawę, która, jak przypuszczam, wyda ci się dziwna. – Po czym wyjaśnił, kim jest.

– Czy jesteś synem Olafa na Hestviken? – Głos jej był miły, niski i dźwięczny. – Nie jesteś podobny do ojca. Przypominam go sobie. Przybył do naszej gminy rok przedtem, zanim ją opuściłam...

Poprosiła go, by poszedł z nią na górę do domu, i Eirik zauważył, że teraz, w pełnym blasku słońca, jest tu pięknie. Łąki i las liściasty były już niemal w tym samym rozkwicie, co u nich, nad zatoką. Lecz była to okolica dziwnie samotna i odludna, jakby odgradzona od świata z jednej strony puszczą, zarastającą coraz, dalej niedawne pastwiska, z drugiej – wąskim jeziorem, którego, powierzchnię nawet teraz, w ten promienny ranek majowy nasycało mrokiem odbicie wysokich, lesistych stoków na południowej stronie.

Półwysep, na którym stały zabudowania, był niemal oddzielony od stałego lądu, grunt bowiem obniżał się tak bardzo w miejscu połączenia, że woda z obu stron wdzierała się na łąki.

– W czasie powodzi półwysep jest zupełnie odcięty – rzekła Eldrida.

– W takim razie musicie pewnie posługiwać się łodzią?

– Łodzią? – Eldrida roześmiała się drwiąco. – My, którzy żyjemy tutaj, nie mamy czego szukać poza dworem.

Domostwa porozrzucane niedbale stały na małym wzniesieniu. Były małe i niezbyt dobrze utrzymane. Gdy przechodzili, zerknęła ku nim stara, zgarbiona babina w chustce nasuniętej na kaprawe oczy.

Ściany domu mieszkalnego składały się tylko z trzech pokładów grubych bali; przed domem wznosiło się przepierzenie z desek, niby rodzaj przedsionka, a wewnątrz mieściła się jedna izba. Palenisko zamiast w środku znajdowało się obok drzwi; ściana w tym kącie wyłożona była gliną i kamiennymi płytami; pod przeciwną dłuższą ścianą w każdym kącie znajdowało się nie zasłane łóże. Innych sprzętów nie było w izbie, lecz na ławie obiegającej ją dokoła dojrzał Eirik walające się bezładnie przeróżne misy i kubki, części odzieży i statki oraz maślnicę.

Eldrida uprzątnęła dla niego miejsce pod szczytową ścianą.

– Zapewne jesteś głodny.

Był głodny. Dopiero w tej chwili przyszło mu na myśl, że odkąd wczoraj po południu opuścił dom, nie wziął nic do ust, oprócz kubka mleka w małej zagrodzie pod Eiken. Wszystko więc, co Eldrida postawiła obok niego na ławie, smakowało mu wspaniale: żętyca, podpłomyk owsiany i suchy ser. Wreszcie musiał wyjaśnić swoją sprawę.

– Przybywam z polecenia twojej siostry, Eldrido, Gunhildy na Eiken...

– Mojej siostry... – Eldrida spojrzała na niego z dziwnym wyrazem twarzy. Po czym wyszukała wśród rozrzuconych na ławie przedmiotów wrzeciono, zatknęła je za pas i zaczęła prząść: – O tej mojej siostrze, którą

wspominasz, anim do tej pory nie słyszała, anim jej na oczy nie widziała. Dziwi mnie więc, kto mówił z nią o mnie... Jej rodzice z pewnością nie. Czegóż chce ode mnie ta moja siostra Gunhilda?

– Prosi cię, abyś ją oswobodziła. Chcą ją oddać jakiemuś wdowcowi, człowiekowi w podeszłym wieku, którego jeszcze nigdy nie widziała. Pomyślała więc, że może ty zlitujesz się nad nią... Me ma prócz ciebie nikogo na świecie, na czyje współczucie mogłaby liczyć.

Eldrida zerknęła na Eirika. Na jej brązowych, spierzchniętych wargach błąkał się nikły uśmiech:

– Hm. A ty, ty może jesteś tym, którego Gunhilda sobie upatrzyła?

– Było umówione, że ja i Gunhilda mamy się zaręczyć z sobą tej zimy. Lecz potem jej ojciec zerwał z nami.

– I pewnie było już za późno? – spytała Eldrida z tym samym uśmiechem.

Eirik zrozumiał, o czym myśli. Był zły na siebie, bo zarumienił się, odparł jednak spokojnie:

– Dopóki sądziliśmy, że musimy czekać rok, aż starzy dojdą do porozumienia, godziliśmy się z tym. Ale jeśli Berse chce znowu oddać młodą sarnę staremu kozłowi, przekona się, że już jest za późno. Gunhilda nie ugnie się i ja też nie oddam jej temu człowiekowi.

– Jakiej więc pomocy oczekujecie ode mnie? – spytała Eldrida. – Czy mam iść do Bersego i uroczyście mu zakazać...?

Eirik siedział i patrzył na nią. Choć znać było po niej, że przeszła niejedną ogniową próbę, jakiś czar unosił się nad nią jeszcze i teraz. Czepiec nie zakrywał szczelnie jej włosów; były ciemne, przetkane srebrnymi nitkami i wdzięcznym puklem spadały na szerokie, błyszczące czoło, przecięte dwiema poprzecznymi bruzdami. I chociaż jej policzki były zapadnięte, Eirik nie widział dotąd nic piękniejszego od zaokrąglenia tych kości policzkowych i brody. Oczy miała głęboko osadzone w ogromnych

oczodołach, a choć pełno było wkoło nich zmarszczek, oczy te były duże, ciemne, szare. Brązowe, spękane od wiatru usta miały wielką krwawą rysę na dolnej wardze. A ręce migające nad wrzecionem były czerwone, szorstkie i węzłaste od artretyzmu.

Nie mógł uwierzyć, że wszystko, co o niej słyszał, jest prawdą. I chociażby nawet zgrzeszyła – ciężko zgrzeszyła – to przecież najpierw inni okrutnie ją skrzywdzili. I jakkolwiek było, widok urodziwej, niegdyś szanowanej kobiety, przedwcześnie postarzałej i skazanej na życie w tej nędznej chacie, budził współczucie.

Potem Eirik opanował się i opowiedział wszystko, co dotyczyło jego małżeństwa od początku do końca.

– A więc to ona posłała cię tutaj?

– Tak.

– I spodziewasz się, że dotrzyma słowa i przybędzie tutaj?

– Tak. Ale jeśli potrafisz wskazać nam miejsce, gdzie byśmy mogli znaleźć schron, póki Gunhilda nie wypocznie, chętnie się tam udamy, o ile wolisz...

– O ile boję się zostać wplątana w tę historię, o tym myślisz? – Eldrida wybuchnęła śmiechem. – To raczej Gunhilda przerazi się, gdy przybędzie z Eiken i zobaczy, jak żyje jej siostra.

– Będzie tego samego zdania co ja – odparł cicho Eirik. – Tak być nie może. I to się musi odmienić.

– Chcesz mnie skusić zapłata? – zadrwiła.

– Nie wiem, czy nazwiesz zapłata, jeśli uczynię wszystko, co będzie w mej mocy, by pomóc mej szwagierce do odzyskania należnego jej prawa. Słyszałem, że starał się już o to twój brat, ale zginął.

Eldrida opuściła ręce na kolana. Po chwili rzekła:

– Ty, Eiriku, nie obawiasz się snadź, że się poczernisz, dotykając dziegiu. Ale jeśli kiedykolwiek chcesz się pogodzić z Bersem, musisz

poniechać zarówno twego szwagra, który ukrył skradzione dobro, jak i mnie, twoją szwagierkę, która jest nierządnicą. Tak jest, Berse pierwszy nazwał mnie, żonę swego najlepszego druha, w ten sposób – i nie kłamał wcale. Najlepiej będzie, gdy nikt się nie dowie o tym, jeśli będziesz zmuszony spędzić noc z twoją młodą narzeczoną w Neset.

– Prócz tego mam do ciebie jeszcze jedną prośbę – powiedział Eirik. – Abyś wyświadczyła Gunhildzie tę przysługę i pojechała z nami na północ. Nikt cię nie posądzi o to, żeś chciała ściągnąć na twą młodą siostrę niesławę.

Z wolna rumieniec pokrył twarz Eldridy, lecz potem roześmiała się:

– Musiałabym chyba dosiąść szarego wołu, bo konia nie posiadam.

– Mój Rauden uniesie mnie i Gunhildę – odparł Eirik niewzruszony – póki nie wystaram się po drodze o konia dla ciebie.

Eldrida znów się roześmiała.

– Obchodzisz się bez konia podczas wiosennej orki? – spytał po chwili. – A może pożyczasz sobie konia w sąsiedztwie?

– Mam motykę i rydel – rzekła krótko. – A także kosz na nawóz i kubeł.

I Eirik dowiedział się, jak żyje Eldrida – sama ze starą babą, którą widział przedtem, z pokręconym artretyzmem starcem, dalekim krewnym, którego przygarnęła, gdyż był wrogiem Bersego, oraz małym wyrostkiem, który pasł bydło i pomagał w robocie na polu.

– W takim razie należy wykorzystać sposobność, póki tu jestem z koniem – ofiarował się Eirik. A gdy nawet słyszeć o tym nie chciała, prosił ją ze śmiechem, aby traktowała go jak brata, który zawitał na jej dwór. Potem zerwał się i wybiegł.

Kiedy Eldrida wyszła po chwili, zastała go w dole na polu, którego jeden zagon dopiero zdołano obrobić. Wyciągnął z szopy stary pług i właśnie usiłował powiązać kawałki lin i rzemieni, jakie powynajdywał,

by zaprząc Raudena. Płaszcz i niebieski, odświętny kaftan leżały na ziemi, Eirik zaś został w czerwonej koszuli bajowej i krótkich portkach, ale za to w długich pończochach i butach do konnej jazdy.

– Chcesz orać w tych butach? – spytała Eldrida.

– Nie, wolałbym, abyś mi pożyczyła coś innego do włożenia na nogi.

– Ile masz lat, Eiriku?

– Ech, nie jestem już młody, mam dwadzieścia dziewięć lat.

– Można by sądzić, żeś dziewiętnastu nie skończył.

– Kiedy miałem dziewiętnaście lat – odparł śmiejąc się – byłem o wiele mądrzejszy w znaczeniu, jakie ludzie temu słowu przypisują.

Późnym popołudniem oznajmił Eirik, że chce jechać na północ – zobaczy, czy nie spotka tam kogoś.

– Jak sądzisz? w jaki sposób ona się tu dostanie? – spytała Eldrida.

Odparł, że nie zastanawiał się nad tym. Może Gunhilda ma we dworze kogoś zaufanego.

– Widzę, że wierzysz, iż ona tu przyjedzie – rzekła. Potem dodała: – Późno się zrobi, nim wrócisz.

– Nie – odparł – Rauden jest zmęczony. Lecz mogę iść do stodoły i tam się położyć, jak tej nocy.

– Nie – rzekła Eldrida. – Nieczęsto się zdarza, abyśmy mieli gości, ale skoro już przybyłeś, nie chcę, abyś był przyjęty gorzej, niż przystoi. Pościelę ci drugie łóżko i nie zamknę drzwi.

Mimo to gdy wrócił było później, niż się spodziewał. Z mokradeł i jeziora wznosiły się siwe opary, kiedy wjeżdżał na półwysep. Dwór był pograżony we śnie. Wśliznął się cichutko do izby. Ciepło w niej było i

mroczno – domyślił się, że Eldrida już się położyła.

Ponieważ od rana nie odmawiał pacierzy, ukląkł u stóp łoża i modlił się. Odmówił siedem Ojczy nasz, przypadających na każdą porę dnia, piętnaście na nieszpory i siedem na kompletorium. Ostatnie odmówił za tę, u której przebywał w gościnie; zrozumiał już trochę, jak straszliwie samotna jest Eldrida, i przysiągł sobie, że jeśli to tylko będzie w jego mocy, jej los się odmieni.

Złożył wierzchnie odzienie i chciał cicho wsunąć się na posłanie. Nagle Eldrida odezwała się z najdalszego kąta:

– Zostawiłam ci mleko i coś do jedzenia przy palenisku. Odszedłeś przed wieczera.

– Dziękuję, nie jestem głodny. Przykro mi, że cię obudziłem.

– Co wieczór modlisz się tak długo? – spytała znowu.

– Tak... Ale powiedziałem ci już, że równie dobrze mogę spać w stodole. Nie będę ci wtedy przeszkadzał moimi zwyczajami.

Roześmiała się:

– Nie, jeśli o mnie chodzi, możesz zachować swoje zwyczaje.

Dni płynęły. Ilekroć Eirik biegł myślą do Hestviken i Saltviken i do swych krewnych w domu, wszystko wydawało mu się dziwnie odległe i dawne. Niekiedy niepokoił się: co też oni tam sądzą, gdzie on się podział. I zastanawiał się, w jaki sposób Gunhilda może się tu dostać. Wkrótce minie tydzień.

Mimo to miał wrażenie, że tak być musi, że on musi żyć tutaj, na tym dziwnym i samotnym dworze, w głębi czarnego boru. Co rano, gdy wychodził z izby, przyłodek niby wyspa nurzał się w morzu białej mgły,



nad którą górowały tylko wysokie, porośnięte sosnami zbocza. A potem wschodziło słońce i rozpędzało mgły, dni były słoneczne i ciepłe wśród gór. Pola obsiane przez Eldridę jeszcze przed jego przybyciem oblekły się już zieloną, miękką runią, liście na krzakach wydłużały się, było ich coraz więcej, a trawa na łące stawała się wysoka i jedwabista. Zaczął wykonywać za nią wszelkie prace, jakie tylko mógł wyszukać – a roboty było tu moc. Ubóstwo jej wzruszało go do głębi. Mąki miała już tylko resztkę, z krów trzy nie dawały wcale mleka, dwie zaś bardzo niewiele, chociaż były tłuszciesze, niż bywają zazwyczaj krowy na wiosnę; Eldrida mogłaby tu chować o wiele więcej bydła, niż posiadała. Większość owiec porwały zeszłego roku wilki i inne drapieżne zwierzęta, a zboże było zmarznięte. Zabudowania i sprzęt gospodarski wyglądały tak, jak można się było spodziewać na dworze, gdzie nie ma mężczyzny i gdzie brak konia, który by zwoził drzewo z lasu. By jakoś zaradzić brakowi pożywienia, Eldrida zapuszczała sieci w jezioro i zakładała paście w lesie; Eirik wziął na siebie pilnowanie ich i utrzymywanie w porządku.

Z czasem zrodziła się w nim świadomość, że to miejsce jest mu dziwnie znajome – jak gdyby żył tu już kiedyś, dawno, dawno temu. Przypominały mu się jego pierwsze rodzinne strony...

Długi czas minął, odkąd o nich myślał, teraz jednak wyłaniały się znowu. I tam było tak samo, z dala od drogi, w leśnej gęstwinie; nie mógł sobie tylko przypomnieć, czy w pobliżu było także jezioro. Eldrida zaś w niesamowity sposób zlała się w jedno z pewnym snem, który miał jako dziecko – o jakiejś kobiecie w niebieskim płaszczu, na pół człowieka, a na pół ptaku... Bał się jej, chociaż była piękna, i zwał ją „zalotnicą”; był taki maleńki, że nie rozumiał znaczenia tego słowa, sądził więc, że oznacza ona kogoś, kto umie latać. Tak, przez pewien czas łączył ów sen również z matką; sam już tego dobrze nie pamiętał. Ale teraz zdawało mu się, że Neset przypomina to pierwsze miejsce, które znał na świecie, a Eldrida –

załotnicę z jego snu.

Każdego wieczoru jednak wyjeżdżał z półwyspu na drogę, którą przybył, na spotkanie Gunhildy i wracał przez bagna dopiero wówczas, gdy wieczór przechodził w jasną noc wiosenną i białe kłęby mgły z jeziora osnuwały dom Eldridy.

Siódmego dnia niebo pokryło się chmurami i kilkakrotnie spadł ulewny deszcz. Lecz pod wieczór skośne promienie zachodzącego słońca padły na Neset. Eirik piłował pnie leżące niedaleko, na stoku. Z miejsca, gdzie pracował, widział Eldridę we wrotach stajni; zwoływała krowy. Na ostatku przydreptał młody, kosmaty byczek łosiowej maści, rozpryskując racicami błoto przed stajnią. Eldrida przyciągnęła go, położyła rękę na jego chrapach i oparła w piesszczocie czoło na łbie byczka.

Eirik wszedł do izby, by włożyć kaftan i płaszcz. Na stopniu łoża stał przygotowany posiłek; Eldrida zostawiała mu teraz zawsze coś do jedzenia, nim wyjeżdżał. Nie słyszał, że jacyś ludzie wjeżdżają na dziedziniec, dopóki nie stanęli przed domem. Zerwał się i wybiegł przed drzwi.

Na dworze, w słońcu i deszczu, zsiadało z koni dwóch mężów. Jeden z nich, młody chłopak, wskoczył zaraz z powrotem na konia, ujął wodze wierzchowca swego pana i pognął przez pola; drugi, rosły i sędziwy mąż, Guttorm z Draumtorp, pośpieszył do drzwi, by schronić się przed deszczem.

– To doprawdy więcej, niż oczekiwałem, że cię tu zastaję – rzekł wchodząc do izby Eldridy.

Twarz Eirika powlekła się bladością.

– Ty... tutaj?

– Tak jest, ja. Tyle jeszcze życzliwości Gunhilda ma dla ciebie, choć Bóg raczy wiedzieć, coś ty wart, że zwróciła się do mnie, a nie do ojca lub braci... Możesz być pewny, że oni spotkaliby cię z bronią w dłoni.

– Wolałbym to! – Eirik chwycił mimo woli za rękojeść miecza.

– Zostaw to gadanie. Myślisz, że tak bardzo ufamy twojej męskości? Piękna mi męskość, zwabiać młode dziewczę spod opieki krewnych do takiej nory jak ta.

– To dwór jej siostry!

– Sądziłeś zapewne, że ponieważ Gunhilda jest siostrą Eldridy, pozwoli się wciągnąć w błoto. Otóż nie są córkami tej samej matki...

– Czy nie możesz powiedzieć tego, co masz do powiedzenia, bez rzucania obelg na kobietę?

– Może masz słuszność. Obejdzie się zresztą bez wielu słów. Gunhilda prosiła mnie, abym ci to oddał. To wszystko.

Eirik wziął przedmiot podany przez Guttorma, nie rzucił na niego nawet okiem. Potem złota klamra wypadła mu z rąk i stoczyła się do jego stóp.

Guttorm odezwał się ze smutkiem:

– Tak, zły byłem, gdy o tym posłyszałem, Eiriku. Nigdy bym się czegoś podobnego nie spodziewał po synu tak prawego męża, jak Olaf. Miałem cię za uczciwego człowieka. Uwierzyłem ci natychmiast, choć pozory świadczyły przeciw tobie.

– A teraz już mi nie wierzysz?

– O tym nie będziemy dziś mówili – zachnął się Guttorm. – Wypełniłem zlecenie i odchodzę. Cóż chcesz, abym sądził o twym zachowaniu się wobec mojej siostrzenicy? – wybuchnął nagle. – Jak złodziejaszek czaileś się przy płocie, zwabiłeś młodziutką dziewczynę do lasu późnym wieczorem, poszedłeś z nią na pastwisko i siedziałeś z nią sam na sam w szopie, jakby była dziewczką od krów. Słyszysz! Musiała przecież zdradzić, w jaki sposób dostała od ciebie tę klamrę! A że jest łatwowierna i dziecinna, sądziłeś, że uda ci się ściągnąć ją także tutaj!

– Może raczysz powitać gospodynię! – krzyknął Eirik, wściekły.

Eldrida weszła przed chwilą prosto ze stajni w roboczym kitlu. Z godnością i dumą odpowiedziała na powitanie Guttorma.

– Otrzymałeś wiadomość od mojej siostry, Eiriku? – spytała łagodnie.

– Tak jest, przywiozłem mu polecenie.

– O ile zrozumiałam, gospodarzu, ta moja siostra powiedziała ci, że to był pomysł Eirika, aby uciekli tu do mnie? Eirik zaś twierdzi, że właśnie Gunhilda prosiła go, aby tu przybył, i chciała za nim przyjechać.

– On to powiedział?

Eirik bladej odrzekł sam:

– Tak.

– Faj, hańba! – Guttorm splunął. Eldrida ciągnęła dalej:

– Tak Eirik oświadczył i mówił jeszcze, że zamierza, gdy tylko Gunhilda wypocznie, udać się z nią dalej, do swych bogatych krewniaków w Oplandii i oddać dziewczynę pod ich opiekę do czasu, gdy pojedna się z Bersem. Miałam wrażenie, że i jemu nie spodobało się wcale, że Gunhilda wybrała to miejsce na spotkanie się z nim.

– Gunhilda, o ile wiem, nie słyszała ani słowa o jego bogatych krewnych. Ale dobrze przynajmniej, że potem wpadł na lepszy pomysł.

Eirik odrzekł spokojnie i z naciskiem:

– Czyż doprawdy wydaje ci się to aż tak dziwne, Guttormie? Wszak każde dziecko tu w okolicy wie, że Berse sprzedał najstarszą córkę. Córce Jeftego w Judei powiodło się lepiej niżli tej kobiecie. Miłowałem Gunhildę i wiem, że i ona mnie polubiła. Gdy dowiedziałem się więc, że Berse zgotował jej taki sam los, że chce ją oddać staremu potworowi, który zgubił już jedną żonę...

– Co to znowu za brednie? – obruszył się Guttorm. – Stary... jest może o rok lub dwa starszy od ciebie, dostojny i miły. To prawda, ożeniono go, nim jeszcze doszedł do pełnoletności, lecz pani Hillebjörga żyła zaledwie rok czy dwa lata.

– No i gdy moja siostra dowiedziała się o tym nowym narzeczonym, porzuciła swoje bezpieczne zamiary i ciebie prosiła o radę? – spytała Eldrida.

– Nie – odparł Guttorm cicho i niechętnie – ja sam dowiedziałem się, że dziewczyna rozmyśla nad nieszczęściem... Odkąd jednak ujrzała pana Magnusa, nie śmie zaprzeczyć, że ojciec stara się o jej powodzenie pod każdym względem... Ale teraz dosyć już gadania o tym. Dobrej nocy.

– Nie, poczekaj, gospodarzu – Eldrida wyszła na dwór za Guttormem.

Wkrótce zjawiła się z powrotem. Eirik stał jeszcze na tym samym miejscu.

– Nie chciał ani odpocząć, ani posilić się – powiedziała. Powiodła wzrokiem po wysokiej, posępnej postaci, rysującej się w mroku izby. – Teraz chyba potrwa długo, nim znowu uwierzysz słowu niewiasty? – spytała z lekkim szyderstwem.

Eirik odwrócił się i wyszedł z izby.

Deszcz siąpił miarowo, z cichym szelestem, wiosenna woń nowego życia wzmogła się jeszcze w mżystym wieczorze. Eirik myślał o tym, że wkrótce będzie musiał stąd odjechać. Czuł się jakoś dziwnie bezsilny i pusty, niemal jak wówczas na Haugsvik, kiedy otrzymał kilka pchnięć nożem i bliski był wykrwawienia. Powlókł się ścieżką przez łąki w stronę jeziora. Chciał odczepić łódkę i powiosłować gdzieś daleko. Nagle Eldrida przybiegła za nim, chwyciła go za ramię.

– Eiriku, dokąd? Nie rzucisz się chyba do wody z powodu takiego głupstwa!

– Nie, nie... – strząsnął jej rękę. – Ani mi to w głowie.

– Chodź teraz do domu – prosiła Eldrida. – Nie chodź sam po deszczu z tą ponurą twarzą.

Eirik spojrział na nią. Z lekkim wahaniem poszedł za kobietą do izby.

Dołożyła obficie bierwion na palenisko: blask ognia tańczył po niskich ścianach i pałapie, wspartym na potężnych balach. Mężczyzna wysokiego

wzrostu nie mógł stać w tej izbie wyprostowany, chyba pod ścianą przyczółkową. Eirik przełknął trochę mleka, podanego przez Eldridę. Pomyślał bezwiednie, że takie palenisko w kącie ma jednak swoje dobre strony, deszcz nie zacieka do ognia, choć dymnik jest otwarty.

– Chodźmy spać – odezwała się Eldrida. – Teraz nie potrzebujesz już wyjeżdżać nocą.

Eirik złożył wierzchnie ubranie, jak było w jego zwyczaju, kiedy kładł się spać. Potem jednak usiadł na stopniu łoża i oplótszy ramieniem ciosany słup wpatrywał się w dogasający ogień. Eldrida leżała już pod skórą w swym łożu. – Połóżże się wreszcie – prosiła parę razy, a Eirik odpowiadał: – Tak – lecz siedział dalej.

Wówczas podniosła się i podeszła ku niemu, bosa, w ciemnej, zgrzebnej koszuli. Ujęła go za barki i potrząsnęła, chcąc go zmusić, by usiadł prosto – z taką siłą, że uderzył głową o belkę.

– Nie siedźże tak i nie gap się! – krzyknęła niecierpliwie. – Jeszcze wielu rzeczy musisz się nauczyć, Eiriku!

– Nauczyć...? – ujął przegub jej ręki. – Może od ciebie mam się ich uczyć?

Popatrzyła w jego zrozpaczoną twarz. Nozdrza jej się rozszerzyły i oczy powiększyły.

– Ach tak, mogłabym cię niejednego nauczyć...

Porwał ją w objęcia, zmiażdżył pocałunkami jej splekane wargi.

Od czasu pobytu w klasztorze Eirik przywykł budzić się co noc o tej samej godzinie, kiedy zakonnicy wstają, by udać się na jutrznię. Zbudził się więc i teraz w ramionach Eldridy.

O tej porze jeden z braci szedł przez dormitorium, szeptał *Benedicamus Domino* i wszyscy odpowiadali cicho *Deo gratias*, podnosząc się z posłania. On sam był jednym z tych, którzy w tej chwili wchodzi cicho w rozjaśnione światłem prezbiterium, aby pochwalnymi pieśniami witać nadchodzący dzień: on sam klęczał i modlił się o szarej godzinie porannej aż do chwili, kiedy słońce jaśnieje w całej pełni i wszyscy ludzie śpieszą do dziennych zajęć. A teraz los zagnał go tutaj, a to, czego nauczyła go ta kobieta, było tak dziwne, jak gdyby tchnienie piekielnego żaru...

A jednak czuł z dziwnym, zastygłym bólem: to, co się wydarzyło, było losem przeznaczonym mu od urodzenia, który się teraz wypełniał... Coraz wyraziściej i jaśniej rozpoznawał tę leśną głąszkę: wszystko to było w jego śnie – nawet małe pólko ogrodzone chruścianym płótem... We śnie jechał także na Raudenie, gdy nadleciała zalotnica na niebieskich, szeroko rozpostartych skrzydłach, porwała go z konia i rzuciła się na niego, obsypując go namiętymi, dzikimi pieszczołami, które napelniały go trwogą. Tak, wzięła go pod swe skrzydła, wpiła się szponami i dziobem w jego serce issała z niego krew. I nie widział drogi odwrotu... Tym razem nie mógł oderwać się od zalotnicy i uciec jak we śnie, nie miał na to sił. Z wszystkich kobiet, jakie posiadał, ta była pierwszą, którą miłował, pierwszą także, która pragnęła jego, a nie zapłaty. A potem – odjechać od niej pewnego dnia i porzucić ją tutaj w samotności i biedzie – nie, na to nie zdobyłby się nigdy.

I w całym tym nieszczęściu zaświtało w nim przecucie: to nie jest

jeszcze koniec. Już i dawniej zło wciągnęło go w swe odmęty, lecz został uwolniony, stopy jego zostały postawione na twardej opoce i wyszedł z grzechu jako człowiek wolniejszy, aniżeli był dawniej. Ten, który wybawił go wówczas, wybawi go i teraz. Żaden człowiek nie może ująć przed swym losem, ale nad losem jest Bóg. Tak więc i ta przygoda nie skończy się w ten sposób, że zalotnica wpije się w jego serce i wysysie z niego wszystką krew i siły, lecz że on uwolni zalotnicę od złego uroku.

W ten sposób minął tydzień. Eirik nadal pracował dla Eldridy i zaznajomił się z trzema domownikami, babiną, pastuchem i Holgeirem, starym krewnym Eldridy. Nie zdawali się nawet zdziwieni – ludzie we dworze Eldridy nie dziwili się snadź nigdy niczemu. On sam również się nie dziwił. Wszystko, co wydarzyło się między dawnymi laty, kiedy jako mały chłopiec mieszkał w borze, i obecnymi, kiedy bór wchłonął go z powrotem, zdawało się być tylko snem.

Kilkakrotnie brał łuk i strzały – we dworze było mnóstwo przeróżnej broni. Gdy zapytał, do kogo ona należy, Eldrida odpowiedziała tylko: do mnie. Chodził więc na polowanie.

W dziesięć dni po odwiedzinach Guttorma w Neset, Eirik wrócił przed południem z łowów i przyniósł Eldridzie dwa upolowane głuszce. Potem zapytał nieoczekiwanie, bez ogródek:

– Chcesz mnie poślubić, Eldrido?

– Nie, nie chcę.

– Dlaczego?

– Czy wiesz, ilu mężczyzn miałam? – spytała szyderczo. – Z pewnością nie tylu, ilu owa Maria z Magdali...



– Oho, tak to rozumiesz? Możesz sobie oszczędzić trudu, Eiriku. Mnicha miałam już również... A gdy go przywiodłam tam, gdzie chciałam, okazał się najgorszy ze wszystkich.

– Oczywiście, to zrozumiałe – rzekł Eirik. – Kłamał bowiem święte śluby. Mnie nikt tego zarzucić nie może... Raczej należy przyjąć, że to Gunhilda zwolniła mnie z danego słowa i wszystkich przysiąg.

Eldrida upuściła robotę. Stała i wpatrywała się w swego młodego kochanka.

– A jak wyobrażałaś sobie, że się to skończy? – spytał Eirik.

– O, niektórych przepędzałam sama, gdy mi się uprzykrzyli, innym znów ja się wpierw sprykrzyłam i odeszli. Nad tym, co się stanie z tobą, nie myślałam.

– Eldrido – powiedział Eirik – wyczytałem to w twoich oczach... Ilekroć brałem łuk i szedłem do lasu, ogarniała cię trwoga, że mógłbym nie wrócić...

Utkwiła w nim oczy, zapłoniona. Milczała. Lecz po chwili wybuchnęła:

– Trwoga! Tak, to prawda. I jak ci się zdaje, czy ja lękam się trwogi? Gdybyś wiedział... zrozumiałam, co znaczy trwoga jeszcze wówczas, kiedy ssał mleko z piersi matki. Trwoga! – Wielkie oczy Eldridy płonęły. – Odejdź sobie, kiedy chcesz, smarkaczu, zacznij znowu odmawiać godzinki, czołgać się przed krzyżem i kajać się. Ja tego nie zrobię! Modliłam się owego dnia, kiedy jako oblubienica jechałam na dwór Haralda... Burza zaskoczyła nas w drodze i błagałam Boga, aby zesłał grom i wybawił mnie... Błagałam Pannę Maryję, aby zmiłowała się nade mną. I ja byłam dziewicą, i ja miałam czternaście lat, tak samo jak Ona, kiedy nawiedził ją Anioł... Błagałam, by posłała anioła z ognistym mieczem i wybawiła mnie... I piorun uderzył w wielką olchę w wąwozie Borgs. Przejeżdżając widzieliśmy ślady, które pozostawił na stoku, dla mnie jednakże nie było zmiłowania... I ty mówisz do mnie o trwodze! –

Wzburzona chodziła tam i z powrotem po ciasnej izbie.

– Ty mówisz do mnie o trwodze... Myślę, że straciłbyś rozum ze strachu, gdybym ci opowiedziała dokładnie, jak zemściłam się na Haraldzie, z jego własnymi parobkami, na jego oczach, kiedy leżał sparaliżowany i pozbawiony mowy... To samo byłoby już dostatecznie okropne. Innych rzeczy żałowałam potem, choć może nie było warto, kiedy po śmierci Haralda jego dzieci wyгнаły mnie i siedziałam na Sigurdstad, trwoniąc majątek i siebie samą... Lecz ilekroć myślałam o Haraldzie, cieszyłam się wspominając, jak leżał i wybałuszał ślepią, i bełkotał...

Stała przed Eirikiem, wykrzywiając brązowe, spalone wargi:

– Jedź! Boisz się mnie, gołowąsio! Bładyś i szary na twarzy jak kłak wełny.

Eirik potrząsnął głową.

– Nie boję się – uśmiechnął się słabo. – Mam zamiar tu pozostać i ożenić się z tobą.

W kilka dni później, kiedy Holgeir siedział z nimi w izbie wieczorem, Eirik zwrócił się do niego:

– Pytałem Eldridy, czy chce mnie poślubić. Jest wdową i ma prawo zaręczyć się sama. Lecz najlepiej, aby zrobiła to w porozumieniu z jednym ze swych krewnych. Dlatego pytam teraz ciebie.

Holgeir odparł, że o ile Eirik przyrzeknie mu wobec świadków, iż on, Holgeir, będzie mógł pozostać w Neset na tych samych warunkach także po ślubie Eldridy, wtedy da swe zezwolenie. Eirik obiecał mu to. A gdy Holgeir wyszedł, zwrócił się do Eldridy:

– Zgódź się i ty także. Znudzi nam się przecież mówić ciągle o tym

samym.

Eldrida odrzekła porywczo:

– Jesteś jak te nierozumne zwierzęta, Eiriku, koń albo byk. Daremnie usiłuje się je ratować z płonącego domu: pędzą na oślep w ogień.

– Czy mogę to uważać za zgodę? – zapytał ze śmiechem.

– Jak chcesz!

Eirik odsprzedał Holgeirowi mały, srebrny łańcuszek z krzyżem, który od dziecka nosił na szyi, i kupił za to mąkę i sól. Eldrida piekła i warzyła, zabili także, cielę. Z ponurą miną czyniła przygotowania do uczt zrękowinowej. Lecz ilekroć brał ją w ramiona, rozumiał jej zachowanie: była taka dlatego, że teraz on miał nad nią władzę. Uważała to małżeństwo za obłąd, ale nie miała sił się go wyrzec. Pewnej nocy spytała:

– A co się stanie ze mną, gdy przeniesiesz się z powrotem do Hestviken?

– Nie jest wcale pewne, czy będziemy tam mieszkać za życia ojca – odpowiedział. – Zresztą rządziłaś dawniej na większych dworach niż Hestviken.

Była tak chuda, że gdy Eirik tulił ją do siebie, przychodziły mu na myśl wielkie ptaki, jakie czasami chwycił w sidła – jeden kiedyś miał nadłamane skrzydło, ale przez pewien czas żył jeszcze w klatce.

Potem, na krótko przed żniwami Eirik zaprosił sąsiadów na poczęstunek zrękowinowy, po czym wybrał się do proboszcza kościoła w Saana. Raudena pożyczył Holgeirowi, sam zaś z dwoma chłopami z małych leśnych zagród szedł z tyłu za koniem.

Holgeir przedstawił sprawę, Eirik wymienił swoje imię oraz imię

ojca i rodzinną parafię. Sira Jon przyrzekł ogłosić zapowiedzi według zwyczaju i obiecał, że przyjedzie na zrękowiny.

Zrękowiny odbyły się na trzy dni przed świętym Knutem i wszystko przeszło spokojnie. Eirik zaręczył się z Eldridą dając jej pierścień. Dla pewności ułożył swoje przemówienie tak, że wymówił przy tym słowa: „*Biorę ciebie za żonę*”. W ten sposób miał pewność, że małżeństwo zyskało prawomocność, ponieważ żył już z tą kobietą. Eldrida użyła tych samych słów w odpowiedzi.

Sira Jon odmówił pacierze, pobłogosławił wodą święconą młodą parę, zebranych oraz stół z jadłem. Uczta odbyła się bardzo pięknie. Ubodzy chłopci, wezwani na świadków, niewiele wprawdzie wiedzieli o niezwyklej sąsiadce, lecz czuli się całkiem dobrze przy jej stole. Proboszczowi wyznaczono poczesne miejsce, a kiedy on i jego dwaj ministranci zdjęli białe komże, ksiądz stał się wesoły i rozmowny. Był synem biednego chłopca z sąsiedniej gminy i w dzieciństwie przebywał często na Neset; Benedikt bowiem, syn Bersego, odkupił ten dwór dla siostry od jednego z wujów księdza. Wychwalał wielce dawne Neset i udzielał Eirikowi rad, co ma robić, gdy zostanie tu gospodarzem. Upominał go także, aby dziękował Bogu za to, że doszedł do takiego dobrobytu.

Eirik zrozumiał, że ksiądz uważa go za wyrobnika, który wstąpił tutaj na służbę, a obecnie będzie miał dwór i żonę pochodzącą z możnego rodu, choć nieco zniszczoną życiem. Tak sądzili zresztą wszyscy goście: widzieli go przecież kręcącego się po Neset w roboczym stroju, który mu uszyła Eldrida, i w chodakach, które sam sobie sporządził ze skóry. Nikt, z wyjątkiem Eldridy i Holgeira, nie wiedział o nim więcej. To

obudziło w nim dawny nawyk przekręcania wszystkiego, rozochocił się i nie powiedział słowa, które by mogło naprowadzić gości na jakies domysły, gadał i zachowywał się tak, jakby istotnie był chudopacholkiem przyjętym do wspólnoty ludzi z dawien dawna tu osiadłych.

Proboszcz wspomniał również, że tak smacznych ryb jak w tych wodach nie ma w całym kraju; zwłaszcza okonie są znakomite. Na co Eirik obiecał dostarczać uczciwie i hojnie należną z ryb dziesięcinę; jeśli znajdzie kiedyś tłuste okonie w swym niewodzie, zanieś je także księdzu w podarunku.

Dwa razy już wyszły zapowiedzi. Pewnego ranka w tygodniu poprzedzającym trzecią zapowiedź Eirik złowił dużo pięknych ryb w sieci, przypomniał sobie więc obietnicę daną księdzu i postanowił zawieźć mu trochę świeżych ryb na okres postu. Nanizał największe okonie na pręt i osiodławszy konia pojechał.

Zaledwie jednak przestąpił próg probostwa, sira Jon zaczął krzyczyć tak, że aż oczy wylaziły mu z orbit. Wziął pęk ryb i cisnął je, jakby to były żmije.

– Nieszczęśniku! Mnie chciałeś oszukać i żarty sobie ze mnie stroiłeś! Ty przecież jesteś jedynym synem Olafa syna Auduna na Hestviken! – Przerażony załamał ręce.

– Ależ siro, czyż cię oszukałem? Wymieniłem przecież moje imię i imię ojca oraz rodzinną gminę.

– No tak, Eirik i Olaf, tak nazywa się wielu... Posłałem gońca do twego proboszcza, aby się dowiedzieć, czy nie jesteś żonaty lub spokrewniony z tą kobietą, i oto czegom się dowiedział!

– Nie dowiedziałeś się chyba niczego, co by stało na przeszkodzie naszemu związkowi?

– Jeszcze w dodatku jedyny syn i dziedzic! I ty chcesz poślubić Eldridę córkę Bersego?

– Tak – Eirik uśmiechnął się. – Mam nadzieję, że jestem jej równy stanem.

Sira Jon zaczął krzyżeć, że przynigdy nie da im ślubu i nie ogłosi trzeciej zapowiedzi.

– Nie masz prawa odmawiać nam tego, siro!

– Prawda, wiem, żeś wtykał nos do klasztoru i powąchałeś ksiąg, które tam były. Możesz przedłożyć skargę wójtowi albo biskupowi, jeśli ci starczy śmiałości.

Cokolwiek Eirik mówił, nic nie pomagało: ani to, że jest dawno pełnoletni, a Eldrida jest wdową, że zaręczył się z nią w porozumieniu z jednym z jej krewnych, ani że ich pożycie wedle praw Kościoła jest prawomocnym małżeństwem i bez śmiertelnego grzechu nie może być rozwiązane, ani wreszcie to, że zarówno Olaf, jak i Berse nie należą do owieczek księdza, proboszcz więc nie potrzebuje mieć tak wielkich obaw. Nie potrafił pozyskać siry Jona nawet obietnicą, że będzie o nim pamiętał, gdy zostanie kiedyś panem na Hestviken.

Tak rozwiąło się małżeństwo. Eirikowi było to obojętne, ponieważ Eldrida zdawała się nie brać tego do serca. To, co się stało, wystarczyło, by według praw Boskich byli mężem i żoną, a za co uchodzi ich pożycie wedle praw krajowych, o to nie troszczyli się, przynajmniej na razie.

Po rozmowie z proboszczem Eirik mimo wszystko przypominał

sobie o tym, że świat istnieje jeszcze poza Neset i jeziorem Laugvatnet. I pewnego dnia w jesieni oznajmił żonie, że powinien pojechać do domu i zobaczyć się z ojcem.

Tego ranka, gdy opuszczał Neset, Eldrida odprowadziła go kawałek przez mokradła.

– Nie patrz tak na mnie – uśmiechnął się zakłopotany przy pożegnaniu.  
– Najdalej trzeciego dnia wieczorem będę z powrotem, możliwe jednak, że przyjadę wcześniej.

Południe minęło, kiedy stanął u ujścia rzeki i ujrzał przed sobą zatokę, fiord i rudoszare skały nad morzem. Pojechał przez pola. Żniwa były tu już ukończone i było pasło się na ścierniskach. Znał każdą sztukę bydła i każdą piędź ziemi, nie było krzewu ani kamienia, ni wzgórzka na łąkach, którego by nie dotknął sierpem lub kosą. A jednak nie czuł tu się już w domu tak jak w Neset, na owym dworze, gdzie ciągle odnajdywał nieznanne zakątki, na jeziorze, którego nie opłynął jeszcze w całości, w borach, gdzie wciąż na nowo napotykał ślady nie wiadomo dokąd idące. A przecie mimo to wydawało mu się, jakby się tam urodził i wyrósł, i miał uczucie, że widział Neset już dawniej jako dziecko albo może w snach...

Kiedy podkowy konia zadźwięczały na skalistym gruncie dziedzica, Ragna wyszła z drzwi kuchni. Krzyknęła głośno i pobiegła mu naprzeciw. Zeszli się także inni domownicy i otoczyli go, w końcu zjawiała się Cecylia z dzieciątkiem na ręku. Wzruszenie ogarnęło Eirika, gdy domyślił się, że to Audun; chłopaczek niewiele urosł od ostatniego razu, liczył niecały rokzek. Nie ma więc roku od owego dnia w spichrzu.

Wtem dostrzegł ojca w drzwiach izby mieszkalnej. Olaf przystanął, popatrzył na syna i cofnął się do środka.

Eirik ucałował w usta milczącą siostrę.

– Przyjdę do ciebie po rozmowie z ojcem.

Wszedł za Olafem do izby. Ojciec siedział na swoim miejscu. Eirik

stanął w drzwiach, mnąc kapelusz w dłoniach.

– Wróciłem do domu, ojcze...

– Tak, powoli przyzwyczajam się do tego.

– Ojcze, wiem, że możesz mieć żal za to, że wyjechałem bez uprzedzenia... tak długo przebywałem poza domem.

Olaf przerwał mu:

– Jesteś włóczęgą i nigdy nie będziesz niczym innym, jak włóczęgą i wietrznikiem. Nie skarzę się na ciebie. Jesteś tym, kim się urodziłeś. Byłem głupcem, że wciąż na nowo wierzyłem w trwałość twoich zamierzeń... Wierzyłem ci, kiedyś powiedział, że chcesz zostać mnichem, wierzyłem ci, kiedyś mówił, że chcesz mieszkać w Saltviken i założyć tam dom, i wierzyłem, kiedy ci się zdawało, żeś pokochał Gunhildę córkę Bersego. Ale nigdy nie posądziłbym cię o to, że w tak bezwstydnym sposobie zemścisz się na Bersem, że pójdziesz i weźmiesz jego córkę za nałożnicę... Eldridę, która prowadziła takie życie, że żaden mężczyzna nie ująłby się za nią!

– Ja poślubiłem Eldridę, ojcze!

Ojciec nie odpowiadał, Eirik więc mówił dalej:

– Sądziłem, że słyszałeś o tym, ponieważ nasz proboszcz musiał dowiadywać się o mnie tutaj, w mojej parafii.

– Słyszałem. Lecz myślałem, że uczynisz tak, jak zwykle, jak uczyniłeś wtedy, kiedyś miał złożyć śluby zakonne. Dla ciebie samego jest to oczywiście rzecz najgorsza, jaką mogłeś zrobić. Bóg raczy wiedzieć, co ci wpadnie do głowy, kiedy zaczną ci ciążyć więzy, których nie możesz potargać.

Eirik stał w milczeniu i patrzył na ojca. I znów poczuł ze zdumieniem: wszystko, co ojciec mówił, jest prawdą, a mimo to wiedział, że prawda wygląda jeszcze inaczej.

– Nie winię jej – ciągnął Olaf z goryczą. – Nie zrobiłbym tego co Berse: nie oddałbym młodej i urodziwej dziewczyny starcowi, który pochował



już dwie żony; poza tym wstrętnie wyglądał z tymi dwoma ogromnymi białymi guzami na czaszce, sterczącymi wśród zmierzwionych włosów; nie słyszałem też nigdy, aby był życzliwy dla kogokolwiek. Inne kobiety postąpiłyby może tak same jak Eldrida, gdyby nie były bojaźliwsze... Zrozumiałe jest również, że ona pragnęła poślubić ciebie; ale pomimo to nie chcę, aby kobieta tego rodzaju zajmowała miejsce twej matki albo miała tu większe znaczenie od twojej siostry; nie chcę dopóty, póki tu jestem gospodarzem. Skoro umrę albo gdy nie będę mógł odpowiadać za siebie, wówczas możesz tu wrócić i wtedy będzie też lepiej, abyś przywiozł ze sobą gospodynię, którą sam sobie wybrałeś, zamiast odsuwać ją w kąt, o ile nie zrobisz tego przedtem. Do tego jednak czasu musicie się trzymać z daleka od moich dworów.

– Jak sobie życzysz, ojcze.

– Nie znaczy to – rzekł Olaf – żebym cię miał wyganiać z domu. Możesz tu zostać, jak długo chcesz. Pewnie chciałbyś też zabrać swoje rzeczy, odwiedzić krewnych i przyjaciół. Tego ci nie zabraniam. Ani tego, abyś tu przyjeżdżał w gościnę do swojej siostry, ale wtedy przybyć musisz sam. Jednak mieszkać tutaj ci nie wolno, póki ja żyję. Zmęczony jestem tym wszystkim; kiedy sądzimy, żeś się ustatkował i osiadł gdzieś na stałe, zjawiasz się niespodzianie. A gdy wierzymy, że zostaniesz w domu, znikasz pewnego dnia...

Teraz zdejmij płaszcz i wypocznij – dokończył Olaf, jak gdyby mówił do kogoś obcego.

Cecylia kazała przynieść posiłek dla brata do swojej izby; oznajmiła, że Jörund pojechał do Gunnarsby, by odwiedzić swych braci. Brat i

siostra rozmawiali ze sobą najpierw o dzieciach – cała trójka chowała się zdrowo – potem o gospodarstwie i minionym lecie, o ludziach, krewnych i znajomych, ale nie o jego sprawach.

Wreszcie Eirik zapytał, czy Jörund z ojcem godzą się teraz lepiej.

– Wrogości nie ma między nimi – odparła Cecylia. Zacerwieniła się. – Jörund zaczął pracować nieco więcej i tego lata nie cierpiał tak bardzo na bóle głowy. Ojciec przebąkuje o tym, że przeniesie się do Saltviken, chce oddać gospodarzkę tutaj Jörundowi.

Eirik wziął Kolbeina na kolana.

– Wiesz zapewne – zaczął cicho – że moja żona nie miała nigdy dzieci. Nie jest już zresztą pierwszej młodości... Chciałem pomówić o tym z tobą, abyście oboje wiedzieli, ty i Jörund, skoro macie zarządzać tu wszystkim. Jest prawie pewne, że ten chłopaczek odziedziczy po mnie kiedyś Hestviken.

– Eiriku, że też zabrnąłeś w tak nieszczęsną sprawę – szepnęła Cecylia przerażona.

– Wcale nie jest tak, jak sądzisz – rzekł Eirik. Najbardziej wstrząsnęło siostrą to, że w żaden sposób nie potrafiła wytłumaczyć sobie wyrazu jego oczu. Nie kryły się w nich ani smutek, ani żal.

Trzeciego dnia późno po południu Eirik wyruszył z powrotem. Część najniezbędniejszych rzeczy włożył do sakwy, resztę polecił przesłać do Neset; chciał jechać sam na koniu, nie mógł więc zabrać jucznego zwierzęcia: paszy na Neset starczyło zaledwie na jednego konia. Wziął tylko swego psa, nazywał się Gisti. Przez tych parę dni pies nie opuszczał go ani na krok, obskakiwał go i lizał po twarzy. Eirik cieszył się, bo

odczuwał brak tego zwierzęcia w Neset.

Cecylia odprowadziła brata, chcąc równocześnie odwiedzić swego synka na Rynjul.

Ojciec pożegnał się z nim na dziedzińcu. Rozstali się w zgodzie, lecz Eirik wiedział, że jest tu teraz obcy.

Brat i siostra jechali obok siebie. Knut syn Ragny, obecnie pacholek Cecylii, jechał za nimi w pewnej odległości. Kiedy przejeżdżali obok Rundmyr, Eirik poprosił Cecylię, aby zajęła się chorym chłopcem, Olafem synem Liv. Może śmiało wykonywać drobne niewieście prace. Cecylia przyrzekła.

Przybyli do rozwidlenia drogi na Rynjul. Eirik nie miał ochoty zajechać tam, by ich przywitać. Pożegnali się więc. Eirik zsiadł z konia, Cecylia położyła rękę na głowie brata i przytuliła go mocno do siebie.

– Eiriku, Eiriku – szeptała zrozpaczona – mam takie wrażenie, jakbyś wracał na zaczarowaną górę.

Eirik uwolnił się łagodnie z uścisku siostry.

– Co też ty wygadujesz! Wierz mi, że jestem naprawdę zadowolony z tego, co się stało.

Wieczór zapadł, kiedy dotarł nad rozlewisko. Neset odcinało się czarną plamą od bladego zwierciadła wód.

W mroku dojrzał jakąś postać idącą mu naprzeciw. Zeskoczył z konia.

– Oto jestem, Eldrido.

Nie wzięła jego wyciągniętej ręki, usłyszał, że oddycha z wysiłkiem. Po chwili wybuchnęła płaczem. Usiadła na skraju drogi, skuliła się i łkała głośno. Eirik stał milczący, oparty o konia i czekał. W końcu zbliżył się

do niej i ujął ją za rękę.

– Nie wolno ci więcej płakać, Eldrido!

Poszli razem przez bagniska do domu. Rauden szedł przodem, za nim biegł pies Olafa.

– Nie przygotowałam jedzenia – powiedziała, gdy weszli do izby. – Wczoraj wieczór naszykowałam wszystko. Pamiętasz, powiedziałeś, że może wrócisz wcześniej. Serce mnie bolało, że wszystko stało daremnie. Zaraz ci coś przyniosę...

Eirik zadumany wodził spojrzeniem za żoną.

W czasie posiłku i potem, rozpakowując sakwę, rozmawiali trochę o jego podróży. Eirik oświadczył, że ojciec nie przyjął go źle. Lecz ułożono, że na razie nie przeniesie się do Hestviken.

Ledwie jednak Eldrida położyła się, znów załała się łzami. Szlochała i szlochała – płakała w objęciach męża, zasnęła z głową wtuloną w jego ramię i łkała jeszcze przez sen. A potem obudziła się i znowu płakała. Eirik leżał cicho i pozwalał się jej wypłakać.

– Bodajbym była umarła, zanim ciebie spotkałam – żaliła się.

– Nie powinnaś tak mówić – prosił poważnie. – Nie żałuj, żeś nie umarła w nienawiści do Boga i wszystkich ludzi...

– Wolałabym to, niż żebyś siedział tu teraz, wygnany z dziedzictwa i rodu.

– Ty jesteś tą, która od początku była mi przeznaczona. Stąd wyszedłem i tutaj musiałem powrócić.

I opowiedział jej sen swego dzieciństwa o uskrzydłonej kobiecie-zalotnicy.

Nazajutrz rano, gdy Eirik przyszedł na ranny posiłek, Eldrida zapytała oschle:

– Słyszałeś może, jak się wiedzie mojej siostrze, Gunhildzie? Eirik podniósł oczy.

– Nie – odparł zdziwiony. – Na śmierć zapomniałem o to zapytać.

Olaf przeprowadził się do Saltviken.

Na połów ryb musiano jednak wyruszać z Hestviken; na tamtym dworze znajdowała się tylko niewielka przystań, złożona z dużych kamieni, brak było szop i spichrzy. Jedna tylko mała chatka stała obok zbiorników z solanką, wybudowanie zaś portu w otwartej i płytkiej zatoce kosztowałoby zbyt wiele pracy. Eirik słusznie przewidział: Saltviken mogło być dobrym gospodarstwem rolnym.

Olaf jeździł więc do Hestviken i wypływał na swych łodziach. W mroku zimowych poranków rozmawiał w przystani z Cecylią, na górę do dworu jednak nie zachodził. Mimo to wiedział, że jego zięć szpetnie wyraża się o starym dziwaku, który grzebie na dole w morszczyinach.

Zdawał sobie doskonale sprawę, że Jörund nie może sam podjąć ogromnej robocie, którą mu włożył na barki. Polegał przede wszystkim na starych, zaufanych sługach oraz na Cecylii. Ale doszło do tego, że musiał udawać, iż ma pełne zaufanie do Jörunda Rypy, choć rzeczywiście go nie miał.

Co ludzie mówią o tym wszystkim – oczywiście, on będzie ostatnim, który się o tym dowie. Nie mogło jednak pozostać tajemnicą, że uczynił zły wybór, przeznaczając tego człowieka na męża córki. Jeśli chodzi o postępek Eirika, Jörund postarał się o to, aby mu donieść, co ludzie sądzą: Eirik chciał się zemścić na Bersem – i to w nikczemny sposób... Otrzymał więc zasłużoną zapłatę, gdy przekonał się, że stara nierządnicą jest bardzo przebiegła i udało jej się pochwycić go w swoje szpony.

Olaf był śmiertelnie znudzony tym wszystkim. Najpierw oburzenie, jakie go ogarnęło, kiedy musiał wysłuchać zniewag Bersego i opanować się – a ze względu na Eirika opanowywał się bardziej, niż przypuszczał,

że potrafi. Potem zaś Eirik zachował się w sposób nieopanowany, nie zważając na swą cześć, nie bacząc na nic prócz swej zachcianki. Kiedy wzburzenie ucichło z wolna, Olafowi wydawało się, że nie posiada już sił do niczego. Niech wszystko idzie swoim torem...

Ale mimo wszystko nie chciał się poddać; musiał walczyć dalej z hańbą i nieszczęściem. Cały szacunek i mir, jakie zdobył w gminach okolicznych, postanowił rzucić na szalę przeciw sądowi o małżonku Cecylii. Udawał, że wierzy, iż Jörund jest do czegoś zdatny, iż jest mężem o nieposzlakowanym nazwisku. A równocześnie usiłował ze swej siedziby uważać na wszystko, potajemnie kierować i zarządzać – mało go obchodziło, czy to dogadza Jörundowi. Mogło przecież stać się i tak, że dla Cecylii i jej dzieci przyjdą lepsze czasy. Teraz, kiedy Jörund był prawie panem na Hestviken, znalazł przyjaciół; nie byli to najpierwsi ludzie w gminie, on zaś sam był kłótniwy i niemiły w obcowaniu: mogło się zdarzyć, że pewnego dnia wbije mu ktoś zimną stal między żebra.

Eirik natomiast, który zachował się tak, że nie sposób było znaleźć dla niego usprawiedliwienia – musiał być wygnany z domu. I tak było najlepiej. Gdyby mógł nie zobaczyć go więcej w życiu! Powinien był to przeczuć – wówczas, gdy wrócił z wygnania i zastał Ingunę z żywym nieszczęściem w łonie – że przez całe życie będzie musiał dźwigać ten zbyt wielki ciężar i nigdy nie zazna spokoju... Nienawidził go, gardził nim, obchodził się z nim bezlitośnie, życzył mu śmierci – i tęsknił za nim, wierzył w niego, gdy tamten kpił z tego; czuł dla niego życzliwość, choć Eirik go oszukiwał – ten obcy przybysz wrósł mu w serce głębiej aniżeli rodzone dzieci... Wciąż i wciąż na nowo ufał, że przekleństwo zmieniło się w błogosławieństwo, że bękart stał się umiłowanym synem – i wciąż na nowo podrzutek robił nieprzewidziany zwrot, a on zostawał zdradzony, skazany na śmiech i na coś jeszcze, co było gorsze i dolegało okrutniej...

Teraz już wszystko skończone! I tak jest dobrze.

Pomimo to łapał się na tym, że jeszcze wciąż myśli o Eiriku.

Tęsknił za tym, by móc bez osłonek wyrazić Eirikowi swoje zdanie. Tęsknił za tym, by go widzieć...

Czas dłużył mu się przez zimę w Saltviken. Żył tu samotnie z Knutem synem Eagny, oraz młodą kobietą, którą chłopak niedawno poślubił.

Pewnego dnia wiosną zawitał nieoczekiwanie na Saltviken Galfrid syn Ryszarda. Wieczorem po wieczerzy wyłuszczył Olafowi, po co przybył.

Chodziło o pewnego młodzieńca, który starał się o rękę Alis, najmłodszej córki Galfrida. Podobał mu się ten człowiek, przedtem jednak chciał pomówić z Olafem:

– Jest to bowiem Björn syn Torhildy na Torhildrud, ty więc jesteś jego ojcem.

Olaf odrzekł, że chłopak urodził się jeszcze za życia jego żony i wobec tego nie ma do niego żadnych praw. Jeśli jednak Björn potrzebuje pomocy do założenia własnego ogniska domowego, on bynajmniej się nie uchyli.

Nie o to mu chodziło, twierdził Galfrid, chciał tylko wiedzieć, czy Olaf nie ma nic przeciwko temu małżeństwu. Björn radzi sobie doskonale, a jego matka oraz ojczym są obecnie zamożnymi ludźmi. Poznał Björna jesienią, kiedy ten wydzierżawił kuźnię na jego dworze. Miał sporządzić okucia żelazne do nowych podwoi w kościele Świętego Laurentiusa; kilku panów z królewskiej świty ufundowało ten dar dla kościoła. Björn wywiązał się tak z zadania, że jeden z panów polecił mu wykuć dwa świeczniki oraz wybijać żelazem szkatułę do swej domowej kaplicy. Skoro jednak Björn wręczył panu Arnemu zamówione przedmioty i zażądał zapłaty, wydawała się ona rycerzowi zbyt wygórowana i chciał



się targować. Wówczas Björn oświadczył, że o ile pana Arnego nie stać na zapłacenie żądanej przez kowala kwoty, jego stać na to, aby podarować rycerzowi zarówno świeczniki, jak i szkatułkę; ile warta jest jego praca, on sam tylko może ocenić. Pan Arne dał mu wtedy żadaną należność. Teraz Björn kupił potrzebne mu domostwo na starym Gullbringen. Olaf znał zapewne ten dwór pomiędzy rzeką a domem Sigridy, poniżej dworu Fluga.

Od tej pory prześladowała Olafa przemożna chęć zobaczenia Björna. Na świętą Małgorzatę przypomniał sobie, że ma coś do załatwienia w mieście. I w niedzielę, po wysłuchaniu mszy w kościele Świętego Hallvarda zszedł na dół do dworów położonych nad rzeką, w pobliżu glinianek. Gullbringen było tu największym dworem o trzech dziedzińcach, położonych jeden za drugim.

Domy stojące dookoła tylnego dziedzińca dochodziły prawie do rzeki. Znajdowała się tu kuźnia, stajnia, spichrze towarowe oraz ładny dom mieszkalny. Pod ścianą domu rósł wielki krzew różany. Stał przy nim młodzieniec i dwie kobiety, pochylone nad kwiatami. Olaf poznał młodszą, szczupłą, o długich, rudawych warkoczach. Była to Alis córka Galfrida; widywał ją czasem na dworze ojca. Druga była jedną z jej zamężnych sióstr.

Alis dostrzegła go i szepnęła coś młodemu człowiekowi. Po czym odwróciła się i odeszła, nieśmiało pozdrawiając Olafa w przejściu. Miała ładną i świeżą, choć nieco piegowatą twarz, do sukni przypięła różę i pęk róż niosła w ręku. Młodzieniec zbliżył się z wolna i pozdrowił Olafa.

– Co za dostojny gość przybywa do mnie!

Uśmiech jego był chłopięco swawolny. „Ma teraz chyba dwadzieścia lat” – pomyślał ojciec.

– Miałem ochotę zobaczyć cię znowu...

– Istotnie, wiele czasu minęło od ostatniego razu. I te lata nie spłynęły po tobie bez śladu. Postarzałeś się, Olafie synu Auduna. Wejdz do domu.

Olaf usiadł na ławie w izbie kowala, a w kącie naprzeciwko siedział młody człowiek – jego jedyny syn.

Chłopak był ładny, jak on sam za młodu; znacznie wyższy, lecz nie tak zgrabny i giętki. Ale posiadał promienną jasność ich rodu – srebrzysty połysk włosów i brwi, białą cerę i przejrzyste, szare, nieco rozstawione oczy.

Olaf zauważył po chwili, że rozmowa z Björnem nie klei się – nie wiedział, o czym z nim mówić. Matce, ojczymowi i rodzeństwu powodzi się doskonale, jemu, Björnowi, również. Wygląd izby świadczył zresztą o tym.

– Taki młody, a już jesteś gospodarzem we własnym dworze i uprawiasz samodzielnie rzemiosło?

– Tak jest, od piętnastego roku życia kieruję sobą sam.

Olaf oświadczył, że chętnie obejrzałby próbki jego sztuki, niejedną słyszał już o nich pochwałę. Björn odparł, że nie ma w tej chwili niczego, co by było godne pokazania.

– Ale zajdź do kościoła Świętego Laurentiusa i obejrzyj sobie żelazne okucia drzwi od strony południowej oraz trzy świeczniki wiszące w nawie. To największe prace, jakie dotychczas wykonałem. Nie mam dziś czasu, inaczej poszedłbym z tobą.

– Czy to prawda – zagadnął Olaf z uśmiechem – że mistrz, u którego odbywałeś naukę, pochodził z rodu Jotuna?

– Nigdy o tym nie wspomniał, ja zaś nie mam zwyczaju pytać ludzi o rzeczy, o których sami nie mówią.

To ma być napomnienie – zrozumiał ojciec i miał ochotę się uśmiechnąć. Nigdy jeszcze nie widział człowieka, który by tak sam sobie wystarczał jak ten chłopak.

– Lecz był dobrym kowalem, najznakomitszym w Norwegii – ciągnął Björn. Podeszedł do jednej ze skrzyń i po chwili wrócił, przynosząc zamek do szkatułki oraz klucz. – Te rzeczy zrobiłem, gdy byłem u niego. Zamki, jakie obecnie wykuwam, są kunsztowniejsze. Jeśli ci się podobają, ofiaruję ci je, Olafie.

Olaf podziękował i pochwalił robotę.

– Tej zdolności nie odziedziczyłeś po twych przodkach po mieczu – zaczął po chwili, jakby chcąc wybadać młodzieńca. – Nie mieliśmy nigdy zręcznych rąk w naszym rodzie.

– O rodzie ojca nic nie wiem – odrzekł chłopiec dobitnie.

– I masz żal o to? – wypytywał dalej.

Björn spojrzał mu prosto w oczy i uśmiechnął się swym młodym, dumnym uśmiechem:

– Nie, Olafie! Spłodziłeś mnie i twierdzę, żeś dobrze uczynił. I jeśli nawet od tej pory nic nie uczyniłeś dla mnie, to moim zdaniem nie wyrządziłeś mi tym żadnej krzywdy...

Olaf przyglądał się synowi i pytał w duchu, czy ten chłopak wie, co mówi – a może włożono mu te słowa w usta?

Björn podniósł się, podeszedł do drzwi i zdjął z deski nad nimi kubek oraz dzban.

– Na pewno uważasz mnie za niegościnnego – nalał kubek i przepił do ojca: – Cześć ci, Olafie synu Auduna. Mimo wszystko cieszę się, że siedzisz na ławie w moim domu.

Olaf przyjął kubek z lekkim uśmiechem:

– Trudno powiedzieć, abyś mi to dał do poznania, Björn! – Trunek był winem o wybornym smaku.

– Owszem, mówię szczerą prawdę. I chciałbym, abyś wziął ode mnie coś na pamiątkę tego dnia. – Znowu szukał w skrzyni. Tym razem wyjął klamrę całą połączoną i dość dużą. W środku wyryty był wizerunek Maryi z Dzieciątkiem, a dookoła wypukła girlanda z twarzami aniołów.

– Nie, Björn, to zbyt hojny dar, nie mogę go przyjąć.

– Ależ tak, weź go! Nie pamiętasz, jak niegdyś podarowałaś mi złoty pierścień?

– Więc dajesz mi teraz klamrę dla wyrównania między nami rachunków.

– Nie, nie, wcale nie dlatego. Mogę ci powiedzieć, Olafie, że tym pierścieniem zaręczę się w wigilię świętego Laurentiusa z Alis córką Galfrida, przed bramą kościoła Świętego Klemensa.

– Spełni więc zaszczytne posłannictwo.

Kiedy Björn odprowadzał go do drzwi, Olaf zapytał:

– A twoja matka zadowolona jest z małżeństwa, które zawierasz?

– Matka – po raz pierwszy uśmiech Björna był promienny, bez wyzwania i buty – matka jest zawsze zadowolona ze mnie, cokolwiek zrobię.

– To dobrze – odrzekł Olaf. – Bo teraz wiem, że zawsze czynisz to, co jest najbardziej słuszne i męskie.

Uścisnęli sobie dłonie na pożegnanie i Olaf odszedł.

Powędrował do swej gospody uśmiechając się do siebie. Z tego Björna mógł być rad. Młody i dumny, lecz są to przywary, które życie ściera w człowieku... Dałby Bóg, aby życie oględnie stąpiło te wady, nie nadwątlając rdzenia, tak aby dojrzały mąż spełnił to, co zapowiadał

niedorosły żółtodziób.

I słuszne było, co powiedział Björn: mógł był uczynić więcej dla swego syna. Inni mężowie postępowali inaczej w takim wypadku. Nieślubne dzieci wychowywały się na ich własnych dworach lub u przyjaciół. On wprawdzie darował jego matce Torhildrud, tego jednak Björn nie pocztywał za wielką zasługę, powodzenie zaś i dostatek zawdzięczała sobie samej i swemu mężowi. Gdyby Torhilda nie wyszła za mąż, może on i Björn widywaliby się częściej, chociaż i tak nic by się nie zmieniło w ich wzajemnych stosunkach: uważał, że nie może odważyć się spojrzeć w oczy synowi, któremu nie mógł zapewnić należnego miejsca w rodzinie. A wobec tej jedynej sprawy wszystko inne, co potrafiły dla niego uczynić, nie liczyło się.

O czym myślał chłopak, gdy powiedział, że on, ojciec, nie wyrządził mu żadnej krzywdy tym, iż od urodzenia nie troszczył się o niego? I czy to było prawdą? Syn, który stał poza kręgiem rodowej wspólnoty i który nie chciał go zwać ojcem, stał również poza nieszczęściem...

Po raz trzeci Eirik zwiózł żniwo zmarznięte i na pół dojrzałe. Tutaj, nad jeziorem mróz chwycił znacznie wcześniej niż w okolicy. Nie było to jednak zbyt wielkie nieszczęście; trochę mąki potrzebnej do gotowania mlecznej zupy mieli i tak, ziarno zaś na chleb i słód mogli kupić. Ryb i mięsa było pod dostatkiem, a że w czasie postu musieli trochę głodować, wychodziło im to na korzyść.

Uśmiechał się, ilekroć biegł myślą do pierwszego postu w Neset. Przestrzegał go tak, jak przyzwyczał się w klasztorze. Pił tylko raz dziennie wodę, poza tym, gdy mu pragnienie dokuczało, brał do ust grudkę lodu. Po nocach leżał w przedsionku na worku ze słomą, nie troszcząc się o Eldridę. Ale kiedy pewnego ranka wszedł do izby, ujrzał, że ona leży na podłodze – spała jeszcze. Przyznała się wówczas, że kładzie się tak co noc, gdy on opuszcza izbę, a kiedy on chodzi bosy, bez pończoch, ona czyni to również.

– Tego nie powinnaś robić, nie przywykłaś do tego!

Odparła, że każdego roku w czasie postu udawała się do spowiedzi, w dzień zaś Wielkanocy przyjmowała Corpus Domini, lecz czyniła to jedynie dlatego, żeby jej nie oskarżano.

– Dobrze, że teraz nie postępujesz w ten sposób – zauważył Eirik.

– Nie, zrobiłam ślub owej nocy, kiedy byłeś w Hestviken, a ja oczekiwałam cię daremnie na drodze...

– Więc przydało się przynajmniej na coś, że tak głupio myślałaś. Powiedziałem ci przecie, że powrócę trzeciego dnia wieczorem.

– Gdybyś nie dotrzymał słowa, nie wiem, co stało by się ze mną!

– Bóg z tobą, Eldrido. Ty powinnaś wiedzieć lepiej od innych, że żaden mężczyzna przy bliższym poznaniu nie jest wart takich umartwień.

– Ty nie jesteś taki jak inni.

– Owszem, taki sam. Nie byłem lepszy od innych, a pod niejednym względem byłem gorszy.

Jednak wobec żony nigdy nie wymienił imienia Bothildy.

Obecnie znał już jezioro od krańca do krańca, znał okoliczne bory, ścieżki w nich i głuche ostępy. Niewiele było roboty w małym dworze, miał więc dosyć czasu, by włączyć się, ile dusza zapragnie. Pierwszej zimy, widząc, że Eldrida używa nart – dopóki nie miała konia, łatwiej jej było w ten sposób dotrzeć do bardziej odległych szałasów – sporządził sobie również parę nart. A gdy przyzwyczał się do jazdy na nich, spodobała mu się tak bardzo, że przekładał narty nad konia. Nastąpił więc czas, kiedy od rana do wieczora nie było go w domu; nieraz zjawiał się dopiero z nastaniem nocy, póki nie nawinęła się taka lub inna robota, której nie mógł już dłużej odwlekać. Wtedy wynajdywał mnóstwo rzeczy wymagających wykonania i nie oddalał się z domu; nie odpoczywał i nie miał niemal czasu na jedzenie. Wieczorem siadywał w izbie przy ogniu z nożem, dratwą, szydłem i niemi sporządzonymi ze ścięgien i pracował, Eldrida zaś siedziała z kądzielą lub szyciem, tak samo milcząca jak on.

Nie mówili z sobą dużo, zwykle tylko o rzeczach związanych z pracą dzienną. Jedno wiedziało niewiele więcej o przeszłości drugiego niż wówczas, gdy się po raz pierwszy zobaczyli. Wyczuwał jednak, że jego życie wchłonęło w siebie życie Eldridy, że ich oboje ponosi ten sam nurt, jak prąd unosi łódź, i byli zadowoleni z takiego życia.

Dwa lata minęły od jego przybycia do Neset. Potem w tygodniu przed Wniebowstąpieniem przybył brat Stefan na kilka dni do kościoła w Saana,

aby w nim głosić kazania. Ostatniego dnia udało się Eirikowi namówić go, aby pojechał z nim do Neset i tam przenocował, a nazajutrz z rana leśną drogą odprowadził brata Stefana do sąsiedniej parafii.

Długo siedzieli na wzgórzu i rozmawiali. Wzrok ich biegł ponad lasy i wody, lecz jak daleko okiem sięgnąć nie widać było ani jednej siedziby ludzkiej. Psy Eirika przywarowały na mchu u jego stóp. I tutaj Eirik zwierzył się bratu Stefanowi z tego, czego nie mógłby wyznać na spowiedzi, ponieważ nie chodziło o grzech ani o łaskę, ale o to, czym żyje każdy człowiek.

Brat Stefan orzekł, że dobrze się stało, iż Eldrida przestała żyć jak niewolnica, w pętach własnej nienawiści.

– Ale ty nie spędzisz całego życia na Neset. Czy pomyślałeś o tym, jak to będzie, kiedy przeniesiesz się do Hestviken?

– Nie – odparł – będzie tak, jak chce Bóg, o ile się tam kiedyś przeniesiemy. Ojciec może dożyć osiemdziesięciu lat. Zresztą Eldrida jest kobietą rozumną i rozważną. Najładniejsze źrebie i najlepszy człowiek mogą znarować się i zmarnieć wskutek okrucieństwa i bezdusznego obchodzenia się z nimi.

– Nie powinieneś porównywać chrześcijańskiej duszy z bezrozumnym zwierzęciem – rzekł brat Stefan.

– Stara Ragnhilda, którą widziałeś u nas, opowiadała mi... Pewnego dnia Harald syn Jona przywiązał Eldridę do belki na poddaszu, zanim odjechał z domu. Chciał ją tam trzymać dopóty, aż jej nogi spuchną i załamie się, chciał zmusić żonę do uległości, aby była dla niego czuła i pokorna... Ragnhilda oswobodziła ją drugiej nocy i zajęła się nią – Eldrida miała wtenczas szesnaście lat. Stara Ragnhilda była przedtem nałożnicą Haralda; oddalił ją, gdy poślubił Eldridę, później jednak wziął ją z powrotem do siebie na Borg... Miała mu pomagać w przełamaniu oporu żony.



Siedzieli jakiś czas w milczeniu.

Potem brat Stefan opowiedział, jak bardzo zakonnicy zmartwili się, gdy posłyszeli zeszłego roku, jaką drogę obrał Eirik. Brat Arne ślubował biczować się w każdy czwartek aż do krwi, póki się nie dowie, że brat Eirik został nawrócony.

Eirik najmniej myśli poświęcał zawsze bratu Arnemu, który wraz z nim odbywał nowicjat; tamten był jeszcze bardzo młody i od dzieciństwa przebywał u minorytów. Poprosił brata Stefana, aby go pozdrowił i podziękował w jego imieniu.

Gdy przybyli do sąsiedniej parafii, Eirik przy pierwszych opłotkach pożegnał się z przyjacielem. Brat pobłogosławił go i poszedł w dół do gminy, samotny zaś łowca z łukiem na ramieniu i psami u nogi udał się z powrotem przez góry.

Tak przeszło mieszkańcom Neset lato i część zimy. W czasie oktawy Oczyszczenia Najświętszej Panny chwycił tęgi mróz. Eirik cały dzień przebywał w lesie i rąbał drzewo. Pewnej nocy obudził się nagle. Leżąca przy nim Eldrida drżała. Przyznała, że biorąc wodę dla bydła, wpadła do przerębli, potem zaś chodziła cały dzień w zeszywniałych na mrozie sukniach; widać jest już na to za stara. Przy sposobności Eirik dowiedział się, że stara sługa Ragnhilda od czasu do czasu obraża się na gospodynię, zamyka się wówczas w izbie Holgeira i siedzi tam, póki jej złość nie minie. Eldrida musiała w takich razach wykonywać sama całą robotę w dworze, w zimie bowiem nie trzymała pastucha.

Wkrótce potem ciało Eldridy zaczęło płonąć w gorączce, miała parę ataków kaszlu i mamrotała coś nieprzytomnie, lamentowała i rzucała się

w łóżu. Kilka dni leżała powalona ciężką chorobą. Pierwszego wieczoru, kiedy poczuła się zdrowsza, zapytała Eirika wchodzącego z mlekiem o Ragnhildę. Odparł ze śmiechem, że stara gniewa się widać na nich oboje, nie wiadomo o co – nie wylazła jeszcze ze swego kąta i on sam musiał zająć się wszystkim.

– Nie, Eiriku, tak nie może być. Doić krowy i zmieniać ściółkę w oborze to jest robota dla mężczyzny.

– A jak ci się zdaje, kto doi w klasztorach? – zapytał śmiejąc się znowu.

Nazajutrz przybył Gaute, dawny przyjaciel Eirika. Miał coś do załatwienia w tych stronach, przyszło mu więc na myśl, aby zajrzeć do Neset. Zastał Eirika przy nakładaniu paszy dla krów do żłobu. Eirik przyjął gościa jak najlepiej, mimo że żona jeszcze leżała. Gaute został niedawno skazany na grzywnę za jakąś sprawę dotyczącą własności, był więc w ponurym humorze i z posępną miną opowiadał o nowinach z domu: Olaf przebywa stale w Saltviken, ostatnie dziecko Cecylii zmarło zaraz po chrzcie, Gunhilda zaś, córka Bersego, jest żoną pana Magnusa i należy do niewieściego orszaku pani Ingebjörgi, małżonek jej bowiem jest jednym z zaufanych księżnej.

Eirik osądził, że te wiadomości mimo wszystko nie są aż tak złe.

Żał mu było Cecylii, że straciła dziecko. Poza tym jednak widocznie dają sobie doskonale radę bez niego; ojciec i Cecylia – tyle się domyślił – rządzą wspólnie dworem, a Jörundowi pozwalają bawić się w pana – pewnie jest więc znośniejszy.

Trzy lata przeżył Eirik na Neset, teraz zaś mijała trzecia zima. Myślał o tym pewnego wieczoru, stojąc w drzwiach przedsionka i patrząc

w granatowy zmierzch. Zwrócony ku słońcu półwysep rozpościerał brunatne, nagie stoki, z dachu kapała woda i było tak ciepło, że nie zamarała w lodowe sople. W lasach leżał jeszcze głęboki śnieg, lecz powierzchnia jeziora pociemniała już od topniejącego lodu, a w pobliżu brzegu wieczorna zorza odbijała się w powiększonych znacznie od wczorajszego dnia szczelinach między krami.

Nagle dostrzegł, że coś czarnego porusza się po lodzie na końcu jeziora – zdaje się dwóch ludzi, którzy zsiadli z koni i prowadzili je. Eirik skoczył ku nim – musi ich zatrzymać, musi ich przeprowadzić na brzeg w jedynym miejscu, gdzie lód jeszcze trzyma. Biegając i krzycząc, aby stanęli i nie ruszali się z miejsca, zastanawiał się, kto to może być? Wokół jeziora nie było żadnych innych dworów prócz Neset, ci ludzie musieli zatem zdążać tutaj.

Kiedy ślizgając się po powierzchni i omijając błyszczące wodą szczeliny zbliżał się ku wędrowcom, spostrzegł, że jednym z przybyszów jest kobieta. Lecz dopiero podszedłszy zupełnie blisko poznał Cecylię.

– Na miłość boską, czekajcie, pomogę wam dostać się na brzeg. Trzymaj konie, Svein, a ja poprowadzę Cecylię.

Mimo ciemności wyczuł, że siostra jest wzburzona, i zastanawiał się, czy przestraszyła się kruchego lodu, czy też istnieje jakaś inna przyczyna. Gdy stanęli na brzegu, powiedział:

– Znajdziesz z pewnością sam drogę, Sveinie. Moja żona chyba już śpi, lecz wejdź do izby i zbudź ją. Powiedz, kto przyjechał. – Wziął konia siostry. – A ty siądz teraz na konia, Cecylio, tutaj, na tych mokradłach człowiek zapada po kolana w śniegu.

Zarzuciła mu ramiona na szyję i przyłgnęła do niego całym ciałem. Eirik poczuł, że silnie drży.

– Przybyłam, by cię prosić, abys wracał ze mną – wyjąkała zrozpaczona. – Sprawy zaszły tak daleko, że nie potrafię znieść dłużej

tego wszystkiego. – Wzdrygnęła się boleśnie. – Nie zniosę dłużej widoku Jörunda...

Eirik przytulił ją mocno do siebie.

– Przede wszystkim musisz wejść do izby i zdjąć to przemoknięte ubranie. Obawiam się bowiem, że długa będzie ta saga, którą mi opowiesz...

– Ale koniec – rzekła Cecylia odsuwając się od brata – koniec jest taki, że wczoraj obił Olafa syna Liv tak, iż chłopak dziś rano wyzionął ducha. Wówczas poprosiłam Sveina, by osiodłał mojego wierzchowca...

Eirik stał jak rażony gromem.

– Kulawego chłopca! Jakże coś podobnego mogło się stać? A co zrobiłaś z twoimi dziećmi? – zapytał prędko.

– Są u Torego. Dzieciom nie wyrządził Jörund nigdy żadnej krzywdy.

– Nakazałam ludziom – ciągnęła, podczas gdy Eirik prowadził jej konia wzdłuż brzegu – aby nie przesyłano żadnej wieści ojcu. Nie śmiem, póki ciebie nie ma w domu. Ty jedyny możesz nam pomóc, jeżeli to możliwe...

Eldrida wyszła przed dom na ich spotkanie. Już z daleka dojrzał Eirik, że okryła włosy długą, śnieżnobiłą, odświętną chustką. Podała Cecylii rękę i przywitała ją.

Wewnątrz płonął na palenisku duży ogień. Eldrida posadziła Cecylię na ławie w pobliżu ognia, zdjęła z niej przemoczony płaszcz i podsunęła poduszkę pod plecy.

– Na pewno jesteś zmęczona, siostrze Eirika; twój pacholek powiada, że jechaliście cały dzień po tych rozmokłych drogach znad waszej zatoki.

Eirik widział, że siostra rozgląda się ze zdziwieniem; izba była schludna i przytulna, choć mała i niska; na ławach leżały porządne koce i skóry. Potem wzrok jej spoczął na bratowej. Eldrida nie postarzała się wcale przez te lata i w swej ciemnej sukni, w białym czepku niewieścim,

którego rąbek opadał na plecy, wyglądała jak stateczna i dostojna kobieta.

– Sądzę, że powinnaś od razu się położyć, Cecyljo. Jesteś przemoczona i zziębnięta. Potem przyniosę ci coś gorącego do jedzenia. – Zaprowadziła młodą kobietę do własnego łóża, przykłęka i ściągnęła jej trzewiki z nóg. – Nogi masz jak lód. Eiriku, podaj no skórę z tamtego łóża i zagrzej ją nad ogniem, otulę w nią twoją siostrę.

Cecylia siedziała i kurczowo trzymała się oburącz krawędzi łóża. Łzy płynęły po jej policzkach. Płakała bezgłośnie, a gdy Eldrida owinęła jej nogi ciepłą skórą i ułożyła wygodnie na posłaniu, odwróciła się do ściany i ukryła głowę w poduszkach. Tak leżała, póki szwagierka nie nadeszła z jedzeniem.

– No, a teraz chodź ze mną. Svein się nazywasz, prawda? Pójdę do izby Holgeira i tam będę spała tej nocy z Ragnhildą. Twoja siostra, Eiriku, z pewnością chciałaby pomówić z tobą w spokoju. Tak dawnoście się nie widzieli...

Eldrida życzyła im dobrej nocy i wyszła.

Cecylia jadła i piła.

– Podły Gaute! w całej gminie opowiadał, że chodzisz półnago, w podartym kaftanie i żyjesz jak najnędzniejszy chałupnik, a twoja żona jest tak zgrzybiała, że nie podnosi się z łóża.

– No, w takim razie Gaute jest jeszcze zmyślniejszy w opowiadaniu bajeczek ode mnie – rzekł Eirik.

– Gdybym wiedziała, że powodzi ci się tak, jak widzę – rzekła Cecylia – nie wiem, czy przybyłabym tutaj, aby uskarżać się na własną biedę. Sądziłam, że wiedzie ci się tak źle, iż nic gorszego nie może cię spotkać.

– Więc dobrze się stało, że Gaute tak właśnie mówił...

Kiedy jednak wziął czarękę z rąk siostry i usiadł przy niej na łożu – ogień na palenisku w kącie dogasał z wolna – lęk go ogarnął przed tym, co usłyszy.

Od czasu do czasu Jörund bywał znośniejszy, opowiadała Cecylia. Ale we wszystkim, co ojciec i starzy słudzy mówili i czynili, wyczuwał niedowierzanie i zniewagę; nieraz ciężko jej było pośredniczyć między nimi. Do tego dołączyła się sprawa Ankiego i Liv... Od owej nieszczęsnej historii Jörund odnosił się do nich z nienawiścią i chciał koniecznie pozbyć się ich z Rundmyr. A gdy Olaf oświadczył, że to się nigdy nie stanie, Jörund wpadł we wściekłość, oskarżał ojca o niesłychane rzeczy, gadał, że cała gmina wie, czemu Olaf godzi się na istnienie takiej złodziejskiej nory w swych włościach; ale teraz ci ludzie muszą się wynieść, inaczej on, Jörund, podpali ich chałupę. To wydarzyło się jesienią, ona leżała wówczas jeszcze po urodzeniu córeczki, która zmarła, i ojciec przybył na Hestviken, by ją odwiedzić. Wkrótce potem wyszło na jaw, że młoda Gudruna z Rundmyr, która przez lato pomagała we dworze, wróciła brzemienna do rodziców i że Jörund ofiarował nie tylko Sveinowi, ale także paru innym mężczyznom pieniądze, aby wzięli winę za jej stan na siebie. – Nie mówiłam o tym nigdy z Jörundem – rzekła Cecylia – lecz niedawno wybrałam się sama na Rundmyr. Anki przejął się okropnie tą sprawą. Gudruna bowiem nie jest wcale brzydka i liczył, że przynajmniej ją potrafi wydać za mąż... Zresztą dziewczyna ma dopiero czternaście lat i zapewne nie umiała się obronić.

Jörund posłyszawszy o tym wściekł się... Zawsze odnosił się bardzo źle do kaleki Olafa. Onegdaj z rana, kiedy młody Olaf znajdował się z dziećmi na łące i chciał im naciąć wierzbowych puszczalek, przybiegł nagle do domu mały Kolbein z płaczem i krzykiem, że ojciec przyszedł za nimi, że był okropnie zły, wydarł Olafowi kule i zbił go.

Cecylia pobiegła natychmiast. Olaf leżał na ziemi, krew ciekła mu z nosa i ust. – Powiedziałam wówczas Jörundowi, co mi tylko ślina na język przyniosła... Ale zachowywał się jak rozjuszony byk, a nie jak rozumny człowiek. – Potem nadbiegli Svein i Halstein i oswobodzili ją... Zanieśli

Olafa syna Liv do izby Ragny i Cecylia całą noc czuwała przy nim, ale nad ranem umarł...

Wreszcie Cecylia zasnęła, a Eirik poszedł do drugiego łóża i położył się.

Nie ulegało wątpliwości, że rozum Jörunda jest od czasu do czasu nie w porządku – przy tym człowieku należało postawić straż, może nawet trzeba by go związać. Cecylia nie mogła żyć z nim nadal. Albo musi pojechać z dziećmi do Saltviken, albo też on sam musi się tam przenieść i wziąć szwagra do siebie, ojciec zaś w takim razie powróciłby na Hestviken i tam zamieszkałby z Cecylią. Postanowi coś, gdy rozejrzy się na miejscu.

O brzasku Eldrida wśliznęła się do izby po roboczy kaftan. Eirik oznajmił, że w ciągu dnia będzie musiał pojechać do Hestviken. – Obawiam się, że potrwa dłuższy czas, zanim tym razem do ciebie powrócę.

– Wiem, myślałam o tym.

Cecylia uparła się, że pojedzie do domu z Eirikiem, choć i on, i Eldrida prosili ją, by pozostała w Neset, póki brat nie prześle jej wieści.

Niewiele mówili do siebie w czasie jazdy; drogi były trudne do przebycia, poza tym Eirik czuł, że Cecylia żałuje, iż tyle powiedziała.

Gdy przybyli do Rundmyr, Eirik prosił siostrę, by zaczekała ze Sveinem w starych szopach przy drodze, a sam poszedł do Ankiego i Liv. Nie wiedział, co ma powiedzieć tym biedakom. Idąc spieszenie dobrze znaną drogą przez moczary przypomniał sobie, jak to niegdyś on sam igrał tutaj z ogniem, opętany dziecinnym gniewem na ojca i chęcią poznania wszystkiego, co zakazane i grzeszne. Wyszedł z tego właściwie obronną ręką, natomiast ci, którzy mieli mniej rozumu i mniejszą dźwigali winę,

siedzieli tu oto straszliwie dotknięci.

Dwie owce chodziły po ogrodzonym pastwisku i szukały paszy w zwiędłej trawie. Uciekły, gdy się zbliżył. Drzwi lepianki były zamknięte i nikt nie odpowiedział na jego stukanie, Mała stajnia była otwarta i ziała pustką. Złość zakipiała w Eiriku – czyżby jednak Jörund przepędził tych ludzi?

Gdy zajechali na dziedziniec, czeladź zbiegła się ze wszystkich stron. Ludzie otoczyli Eirika, spoglądali na siedzącego na koniu z powagą i napięciem. Ale nikt się nie odezwał; wreszcie stary Tore wysunął się naprzód, by potrzymać Raudena, gdy Eirik zsiadał z konia.

– Trudno powiedzieć, że przybywasz za wcześnie, Eiriku. Nie umiał na to odpowiedzieć. Zapytał tylko:

– Gdzie Jörund?

Z początku nikt nie odpowiedział, potem ktoś bąknął, że Jörund jest zapewne w izbie, w końcu jakiś Wyrostek szepnął trwożnie, że widział, jak Jörund schodził niedawno ku przystani.

Eirik rozkazał ludziom, którzy chcieli iść za nim, aby zostali, do Sveina zaś, który mu podawał siekiere, rzekł: – Widzisz, że mam miecz, ale nie będę chyba musiał go użyć.

Nie poszedł zwykłą drogą na wybrzeże, lecz minął dom mieszkalny i dopiero poza nim zeszedł w dół. Między skalnym pagórkiem, na którym stał dwór, a morzem rozciągał się tylko mały pas uprawnej ziemi, poza tym same nagie skały i głazy, krzewy jałowca i głogu. Eirik posuwał się tak, aby szaleniec nie mógł go dostrzec, gdy się będzie zbliżał. Schodząc w dół, zauważył mimo wszystko, jak bardzo wiosennie jest już tutaj, nad morzem; ze skalnych szczelin wyzierała zieleń między poźółką trawą, na głogu ukazywały się czerwone pączki, a kozy drepczące po skałach przyszły już do siebie po zimowych mrozach. W dole lśnił fiord w blasku popołudniowego słońca.



Na przystani nie dojrzał nikogo. Ledwie jednak kroki jego zadudniły na deskach pomostu, ktoś poderwał się zza węgła szopy, przebiegł obok niego zgięty wpół i jednym susem wskoczył do łodzi uwiązanej u pala. Eirik bez namysłu pognał za nim i znalazł się w łódce w tej samej chwili, gdy Jörund odwiązywał ją i odbijał od brzegu. Obaj stali wyprostowani. Jörund chwycił za wiosło i zamachnął się nim – zaraz potem łódź się wywróciła.

W chwili, kiedy wpadli do wody, Jörund oplótł ramionami Eirika. Eirik zrozumiał, że szwagier chce go utopić, lęknięt już sporo wody, a płaszcz, miecz i ciężkie buty przeszkadzały mu w wykonywaniu ruchów. Jörund trzymał go tak długo pod wodą, że czarne płyty zaczęły mu wirować przed oczyma i bliski był uduszenia. Był jednak bardziej przyzwyczajony do wody niż tamten, w końcu więc udało mu się uwolnić z objęć Jörunda i wynurzyć głowę. Do brzegu nie było daleko. Dopłynął do śliskich, porośłych algami skał, wdrapał się na nie i wyprostował.

Eirik wypluł słoną wodę, odpiął ociekający płaszcz i otrząsnął się – w butach głośno chlupotało.

– Dopłyniesz sam – zawołał, ujrzawszy wyłaniającą się głowę Jörunda – czy też mam zejść i pomóc ci?

Z kolei Jörund wgramolił się na skałę. Eirik podał mu rękę i wyciągnął go na górę. Stali obok siebie; woda spływała z nich strumieniami.

– Zdaje mi się, że udajesz bardziej głupiego, niż jesteś naprawdę – odezwał się Eirik. – Sądziś, że w ten sposób wymigasz się łatwiej od pokuty za twe zbrodnie?

Jörund rzucił mu znowu to samo nienawistne i trwożne spojrzenie szczura, które Eirik widział już niegdyś i które sprawiało, że coś w nim kuliło się boleśnie.

– A jednak i tym razem nie udało ci się wyprawić mnie na tamten świat – kpił Jörund.

Ponieważ Eirik nie odpowiadał, Jörund ciągnął:

– Wiedziałem o tym dobrze. Nienawidziłeś mnie przez te wszystkie lata, knułeś zemstę i czyhałeś na moje życie... Od owej nocy na Baagahus, kiedy to spity na umór rzuciłeś się z mieczem na Brynjulfa Tistilla, a ja ocaliłem cię przed turmą.

Mgliste wspomnienie zaświtało w pamięci Eirika – stare wspomnienie na pól zapomnianej utarczki: obaj, on i Jörund, zostali w nią wciągnięci, a na końcu on poniósł karę, Jörund zaś wymigał się od niej.

– Chodźmy do domu – rzucił niecierpliwie. – Stoimy tu jak dwa zmokłe psy.

– A odkąd odkryłem, w jakim celu trzymacie tego rodzaju ludzi na Eundmyr, no oczywiście, nie mogło to być miłe ani ojcu, ani tobie, żeście nie mogli w spokoju uprawiać nadal swych przecherstw...

Eirik wy dobył miecz z pochwy i kępkami trawy ocierał starannie ostrze.

– Jeśli w tej chwili nie pomaszeryjesz do domu, pomogę ci. Uderzę cię płazem.

– Raczej pchniesz mnie mieczem korzystając z tego, że idę bezbronny przed tobą.

Ale zaczął iść pod górę. Eirik nie wiedział już zupełnie, co sądzić – czy Jörund wierzy w to wszystko, czy też tylko udaje.

Czeladź zebrana na dziedzińcu wytrzeszczyła oczy widząc ich obu wracających, przemoczonych do nitki. Eirik polecił uprzedzić Cecylię, by przygotowała suchą odzież, potem poszedł za Jörundem, który skierował się ku izbie mieszkalnej. Wszedłszy do środka zauważyli, że mieszkają w niej obecnie. Odłożył miecz i usiadł. Jörund umieścił się pod drugą ścianą i tak siedzieli obaj w milczeniu.

Kiedy po pewnym czasie weszła Cecylia z dużym naręczem ubrań, Jörund spojrział z brzydkim uśmiechem na młodą kobietę.

– Masz czas myśleć o mnie? A ja sądziłem, że nie potrafisz oderwać się od trupa twego dzielnego, szczęcionożnego gacha, którego wczoraj wychłostałem.

– Jörundzie – przerwał Eirik cicho, drżącym głosem – choćbyś był nie wiem jak obłąkany, uważaj byś nie przebrał miary. Żeś podniósł rękę na nieszczęsnego kalekę...

– Ona, ta moja żona, jest taka, że lubi kaleki – znowu szkaradny uśmiech pomyleńca wypełził na jego wargi. – Pierwszy, z którym cudzołożyła, był także kuternogą...

Twarz Cecylii ściągnęła się nagle; w jej wielkich, szarych oczach zamigotało zielone jak lód lśnienie. Eirik zerwał się mimo woli i stanął obok siostry.

– Widziałem przecie na własne oczy tego kulawca – ciągnął Jörund – ona brzuchata, z moim niby to dzieckiem...

Zimny głos Cecylii zadźwięczał tnąco jak stal:

– Jeśli ci się zdawało, że widzisz coś nieprzystojnego, czemużeś nie wypowiedział od razu oskarżenia, nim ów kaleka był tak daleko, że nie mógł mnie bronić, kiedyś mnie deptał nogami?

Eirik chwycił siostrę za ramię.

– Wyjdźmy. – w nagłym błysku poznał bezdenną nienawiść Cecylii do męża i przeraził się.

– Mierzi mnie chodzenie w jego odzieniu – rzekł, gdy znaleźli się oboje w izbie Ragny. – Jest tu pewnie gdzieś jeszcze w skrzyniach na poddaszu moje stare ubranie? Czy nauczyłaś się od Maerty przyrządzać trunek nasenny? – zapytał, gdy chciała wyjść, by poszukać jego szat. – Najlepiej będzie, jeśli mu go domieszasz wieczorem do piwa. Muszę jeszcze dzisiaj przeprowadzić się i pogadać z ojcem. A boję się stąd oddalić, póki nie będę miał pewności, że on śpi mocno.

Gdy wreszcie przebrał się w swoje dawne ubranie, udał się na

poddasze, gdzie złożono na słomie Olafa syna Liv. Dwie zapalone gromnice stały u wezglowia zmarłego, zwłoki okryte były pięknym prześcieradłem. Eirik odsłonił oblicze; nawet ono nosiło ślady uderzeń, lecz blade, ściągłe rysy były spokojne, jak gdyby chłopak tylko zasnął. Pod białym całunem rysowało się nadmiernie wydłużone ciało o chudych, obumarłych kończynach.

Eirik ucałował zimne jak lód czoło, ukląkł przy marach i odmówił modlitwy i litanie za zmarłych, a kilkoro czeladzi siedzących tu odpowiadało cicho: *Ora pro nobis* i *Te rogamus, audi nos*.

Potem rozmówił się po cichu ze służbą. Nie śmieli posłać po księdza, sami jednak całą noc czuwali przy zwłokach i przyrzekli zmieniać się kolejno także tej nocy. Eirik oświadczył, że zajmie się pogrzebem nazajutrz, po powrocie, teraz jednak musi pojechać do Saltviken i porozmawiać z Olafem. Ludzie opowiadali, że Arnketil i Liv zniknęli bez śladu, domy stoją pustką już od wczoraj rana, zapewne zbiegli całą gromadą ze strachu przed Jörundem, który groził im śmiercią i ogniem.

Eirik poprosił Halsteina, aby zaniósł Jörundowi wieczerzę i pozostał przy nim, póki nie uśnie – Halstein był roslym i silnym mężczyzną. Nim zeszedł do łodzi, jeszcze raz rzucił okiem na szwagra. Jörund spał. Drzwi przedsionka można było zamknąć od zewnątrz; Eirik wręczył klucz Halsteinowi i polecił mu, aby nazajutrz rano przyniósł Jörundowi wcześniej posiłek.

Kiedy wylądował w Saltviken, zmierzch zapadał; po zorzy zachodu na granatowych chmurkach pozostały jeszcze miedziane rąbki. Morze było ciemne, wieczorny wietrzyk marszczył lekko jego powierzchnię,

fale łamały się wzdłuż jasnego, bladego łuku wybrzeża z owym cichym szmerem, który znał tak dobrze.

Pod stopami Eirika chrzęścił piach, wiatr szeleścił cicho w nadbrzeżnej trawie. Nieco głębiej, na nagiej łące zarośniętej smukłymi jałowcami leżało kilka leniwie przeżuwających wołów. Tak – nie był tutaj od dnia, kiedy wyjechał, by się zobaczyć z Gunhildą. A obecnie w życiu jego nie było niczego, o czym by zapomniał tak całkowicie jak o Gunhildzie.

Przypuszczał, że ludzie we dworze udali się już na spoczynek. Kiedy jednak między opłotkami wyszedł na górę, ujrzał ciemną postać przy częstokole: był to ojciec.

– To ja, ojciec – mimo woli pragnął uprzedzić starego, mówił więc szybko: – Przyjeżdżam z Hestviken. Sprawy wyglądają tam tak, że Cecylia uważała, iż musimy się wszyscy naradzić, co dalej począć; przysłała po mnie.

– Od dawna już tak jest – powiedział Olaf. – O tobie jednak nie było do tej pory ni widu, ni słyhu. Nie może już być gorzej, niż było dotąd, a przecież przez ten cały czas nie przyszło ci nawet na myśl, by zajrzeć do domu, do swoich.

Ale ojciec sam przecież zabronił mu powrotu do domu. Eirik poczuł jak gdyby echo dawnej urazy z lat młodości: że też ojciec nigdy nie potrafi być wobec niego sprawiedliwy! Lecz opanował się; gdyby chciał się usprawiedliwiać, zło pogłębiłoby się jeszcze.

– Dochodziły do mnie zawsze tylko dobre wieści, ale masz słuszność; nie wolno polegać na tym, co człowiek słyszy.

Knut i Sygne spali w izbie. Olaf i Eirik poszli na poddasze, gdzie stało łoże ojca. Wewnątrz było ciemno choć oko wykol, na ziemi poniewierały się rozmaite naczynia i sprzęty, o które Eirik potykał się w przejściu. I tak w mroku, przy uchylonych drzwiach w wiosenną noc siedzieli obaj i rozmawiali; Eirik opowiedział, co zaszło na Hestviken. Jego zdaniem,

Cecylia nie może po tym wszystkim żyć nadal z Jörundem.

– Nie, to czeka teraz ciebie i twoją żonę. Wesołe będzie życie na Hestviken, gdy wy troje tam zamieszkacie...

Gorzkie szyderstwo w głosie ojca płynącym z mroku zburzyło resztkę Eirikowej cierpliwości:

– Nigdy życie na Hestviken nie było wesołe, ojcze. Matkę zadręczyłeś tam na śmierć, nie wiem, czyś to uczynił rozmyślnie, czy nie... Od tej pory robiłeś wszystko, co było w twojej mocy, aby i nas dręczyć, póki oboje, Cecylia i ja, nie doszliśmy do jednego: że wszystko jest już lepsze niż życie z tobą pod jednym dachem. Pamiętaj o tym, kiedy Cecylia przyjedzie teraz do ciebie, i odnoś się jak chrześcijanin, nie jak złośliwy troll do jej dzieci, chociażby nawet miały spiczaste uszy.

– Czemuż Bóg nie pozwolił, abym cię nigdy na oczy nie ujrział! – zabrzmiał w ciemności głos ojca, drżący ze wzburzenia. – Czemuż Chrystus i Panna Maryja nie pozwolili, abym cię zostawił tam, gdzieś był, w dalekich górach!

– To nie było w twojej mocy. Przybyłem tam, gdzie mi było przeznaczone. Obojętne zresztą, czy bym tam został, czy nie. W taki czy inny sposób musiałeś jednak skrzywdzić wszystkie dzieci, które spłodziłeś.

– Nie ja cię spłodziłem! Tyś nie jest moim synem!

– Hańba! – Eirik zerwał się na równe nogi, gniew w nim zawrzał. – Co siedzi w was, ludziach takich jak ty i Jörund? Kiedy świat przeciwstawia się wam, lżycie własne żony ohydnyimi słowami...

Posłyszał w mroku ciężki oddech Olafa – opamiętał się.

– Lecz nieodpowiednia to pora, aby rozpocząć na nowo nasze dawne nieporozumienia, ojcze, i proszę cię o przebaczenie, jeśli się uniosłem. Matkę moją jednak mogłeś zostawić w spokoju i czci – znów chciał wybuchnąć, lecz jeszcze raz się opanował: – Chodźmy teraz spać, ojcze. Najlepiej, byśmy jutro skoro świt przybyli do Hestviken.

Z tymi słowy położył się na ławie i nakrył płaszczem. Nie mógł jednak usnąć – umysł jego był zbyt niespokojny: najpierw całodniowa jazda, potem Jörund i walka z szaleńcem w wodzie; martwy chłopiec na poddaszu, opuszczona chata w Eundmyr i Cecylia – nagły skurcz, który przeobraził jej bladą twarz w nagi wizerunek nienawiści i ten lodowaty błysk jej przejrzystych oczu...

Drżał z trwogi o siostrę – Cecylia nie zeszlaby na manowce, po których błądziła Eldrida, lecz wiedział, że nienawiść chodzi różnymi drogami i wszystkie prowadzą ostatecznie do tego samego celu.

Potem przyszły mu na myśl słowa ojca i przypomniał sobie lęk z lat dzieciństwa, że pewnego dnia może zostać wypędzony jako nieprawdy syn. Być może, obawy jego nie były wcale płonne, może posłyszał kiedyś słowa, o których zapomniał, a pozostał jedynie lęk wywołany przez nie – być może ojciec podejrzewał jego biedną matkę, znęcał się nad nią, jak Jörund nad Cecylią, jak on sam niegdyś znęcał się i prześladował podejrzeniem niewinną kobietę?

Tęsknota za Neset, za domem w lesie ogarnęła go niby nieposkromiona pokusa ucieczki. Nigdy jednak nie może tam już wrócić – wiedział o tym. Lecz wiedział także, że jeśli będzie musiał zamieszkać tutaj, w tym przedsiönku piekła z Eldridą, będzie miał u swego boku żonę, której ufał. Nigdy żadnemu człowiekowi nie ufał tak jak jej – tej kobiecie, której dusza błądziła po straszliwych bezdrożach.

Ojciec również nie zmrużył oka, Eirik zauważył to. I zdjęła go litość – litość dla starca wzięła górę nad gniewem.

Olaf obudził go, jak się Eirikowi zdawało, właśnie w chwili, gdy

zasypiał. Słońce wschodziło, kiedy wiosłowali pod ścianą Rumaka. Wtedy Olaf przełamał milczenie.

– Gdy tylko przybędziemy do dworu – oznajmił – będę musiał natychmiast ze Sveinem jechać dalej. Anki i Liv nie mogą włączyć się po lesie z dziećmi i Gudruną. Przede wszystkim postaram się sprowadzić ich z powrotem do Rundmyr, ty zaś będziesz tymczasem pilnował Jörunda... Musi uiścić pełny okup za chłopca, którego zabił, i za zhańbioną córkę. Sądzę, że w ten sposób na przyszły raz, kiedy mu się znów we łbie przewróci, opamięta się na czas...

Kiedy Eirik przytrzymał łódkę u pomostu, by ojciec mógł wysiąść, usłyszał, jak Olaf pyta:

– Co tam nowego, Halsteinie?

Parobek był dziwnie zmieszany i blady. Czekał, aż Eirik stanie obok ojca.

– Jörund zmarł tej nocy, Olafie – rzekł cicho. Po chwili Olaf zapytał:

– Czy to...?

– Rana została zadana sztyletem. W samą pierś. Więcej nie wiem.

– Był opętany i niespełna rozumu – odezwał się Eirik wzburzony. – Bóg niech będzie miłościw jego duszy, nie wiedział, co robi!

Parobek spojrział na niego, lecz milczał.

Ojciec i syn weszli razem do izby mieszkalnej, Halstein za nimi. Nie ruszył dotąd trupa. Jörund leżał w łożu w południowej stronie izby – wielkie, nagie ciało. Lewa noga i ramię zwisały przez krawędź, głowa była przechylona na bok. Wyglądał tak, jak gdyby próbował się podnieść. Obok lewej brodawki piersiowej na białej jak kość skórze widniała rana i trochę zakrzepłej krwi, włosy były w tym miejscu zlepione. Na ławie obok łoża stało jedzenie przyniesione rano przez Halsteina.

Eirik był nieomal tak blady jak zmarły; w twarzy ojca nie mógł wyczytać nic poza tą samą nienawiścią, którą dojrzał w oczach małżonki



Jörunda. Był on niegdyś jego przyjacielem. Myśl o obłądziej, hańbie i nędznym zgonie szwagra ścisnęła mu serce, kiedy podnosił zastygłe zwłoki i układał je na wznak. Potem spróbował zamknąć zapadnięte oczy i zacisnąć nozdrza.

Olaf podniósł koc i obmacał łożę wokół zwłok.

– Gdzie sztylet?

Kana była trójkątna, zadana jakby jednym z walijskich sztyletów o trójsiecznym ostrzu, i tak wielka, że broń widocznie z dużą siłą została wepchnięta po rękojeść.

Halstein podszedł cicho do drzwi i zamknął je.

– Muszę powiedzieć to, co konieczne. Wy jesteście jego mścicielami, ja zaś miałem go pilnować. Kiedy Eirik wczoraj wieczorem wręczał mi klucz, nie wiedziałem, że istnieje jeszcze inne wejście do tej izby.

– Inne wejście?! – wykrzyknęli równocześnie ojciec i syn.

– Kiedy tu wszedłem dziś rano – ciągnął parobek cicho, wskazując drugie łożę pod północną ścianą, gdzie sypiał swego czasu Eirik – tamto łożę było rozrzucone, skóry i słoma wały się na podłodze, a otwór nie był szczelnie domknięty. Kilka źdźbeł słomy wcisnęło się do zapadni...

Obaj stali osłupiali i milczący. Północno-zachodni węgiel domu nie wspierał się na skale, tylko na zbudowanym pod nim murze. Gdy Olaf Ribbung za czasów Birkebejnow odbudował domostwo po pożodze, kazał zrobić tu przejście wychodzące wprost na morze, przy czym zapadnia znajdowała się pod łożem. Za czasów Olafa syna Auduna nie używano nigdy tego tajemnego przejścia; lecz najstarsi spośród służby je znali i Eirik w dzieciństwie czołgał się także nieraz tamtędy.

Zobaczył, że ojciec oparł się na stole obu rękami i pochyła się coraz niżej i niżej – miał wrażenie, że starzec załamie się... Chwycił go za ramię – Olaf uniósł nieco głowę; jego szare, postarzałe, poryte bliznami oblicze wyglądało prastaro jak grzech; usta były otwarte, lecz powieki

opadły na oczy. Podniósł rękę, odsunął powoli Eirika i podszedł do łoża, zataczając się jak ślepiec.

Po raz wtóry obnażył pierś trupa – dotknął rany jednym palcem i odsunął z jej brzegu kilka zlepionych włosów. Potem znów obmacał całe łożo – szukał sztyletu...

Gdy się odwrócił, syn ujrzał, że spod siwych, miękkich pukli pot spływa mu po czole. Jak człowiek bezradny kręcił się to tu, to tam.

– Ojcze? – zapytał Eirik, zdjęty trwogą, chociaż nie wiedział, co to znaczy.

Olaf odsunął się od łoża, ale wciąż jeszcze szukał czegoś dokoła, drepcząc jak zwierz schwyty w pułapkę.

– Ojcze – powtórzył Eirik – musimy iść, zobaczyć, co robi Cecylia.

Olaf oparł się o rzeźbiony słup odrzwi z podobizną Gunnara.

– Idź ty, ja przyjdę...

– Musimy zamknąć drzwi – odpowiedział Eirik półgłosem – póki nie przywołamy mężów, którzy obejrzą zwłoki. – Dostrzegł przerwania w oczach ojca. – Pomyśl, jego braci musimy również wezwać...

Głośny jęk wydarł się z piersi Olafa. Potem wyszedł za Eirikiem.

Gdy weszli do niewieściej izby, wdowa siedziała skulona w najdalszym kącie. Stara sługa Ragna była przy niej. Cecylia przywarła jeszcze mocniej do ściany, wlepiwszy we wchodzących mężczyzn dzikie z trwogi oczy.

Eirik zbliżył się i chciał ją objąć ramieniem – uchyliła się.

– Widziałeś go? – szepnęła.

Eirik skinął głową i wbrew jej woli przygarnął ją do siebie; drżała jak w febrze. Podniósł ją jak dziecko i zaniósł na łożo. Ojciec stał w milczeniu i patrzył na oboje. Twarz jego zdawała się zmiążdżona nieludzkim bólem.

Cecylią wstrząsały dreszcze. Z wolna wstrząsy przechodziły. Leżała teraz spokojniej, tylko nieruchome spojrzenie jej szeroko rozwartych

oczu pozostało nadal dzikie. Ojciec usiadł na ławie. Siedział pograżony w zadumie, trzymał swój stary berdysz między kolanami, a ręce wsparł na drzewcu.

Eirik wyszedł po chwili i zgromadził ludzi; jednemu rozkazał pojechać na Rynjul po Torgrima i Unę, a potem zawiadomić sąsiadów, którzy mieli obejrzieć zwłoki. Drugiego pchnął na probostwo, aby poprosił księdza o przybycie i czuwanie przy dwóch nieboszczykach: zamordowanym i mordercy. – Mimo wszystko musi przekonać sirę Magnego, aby pogrzebał Jörunda w poświęconej ziemi, zabójstwo zostało dokonane w obłędzie... Do Gunnarsby mógł posiąć gońca jutro...

Minęło trochę czasu, nim omówił wszystko z ludźmi. Potem przyszło mu na myśl, że trzeba koniecznie nakłonić Cecylię do przełknięcia czegoś, choćby odrobiny mleka. Poszedł więc za dziewczką służebną, która je niosła. Siostra leżała tak samo jak przedtem, z oczyma wbitymi w przestrzeń, ojciec zaś siedział dalej na swym miejscu.

Cecylia dotknęła ustami kubka, ale natychmiast odsunęła go.

– Nie mogę. Mdli mnie...

Eirik przysiadł na brzegu łóżka. Dziewki wyszły.

– Siostro – rzekł Eirik po chwili – żebyś mogła zapłakać!

– Tak, żebyś mogła – odparła bezdźwięcznie. Nagle ojciec podniósł głowę:

– Gdybym ja potrafił ci w tym pomóc, obym ci pomógł, nim będzie za późno!... Lepiej byłoby, gdyby spalono cię żywcem na stosie, niż żeby ci się powiodło tak jak mnie. Nie sądz, że przysłużysz się twoim dzieciom milcząc i zacinając się w uporze i zatwardziałości serca i duszy. Eirik powiedział prawdę większą, niż sam przypuszczał, kiedy mówił, że byłoby dla was lepiej żyć pod jednym dachem ze złośliwym trollem, który pożera chrześcijańskie dzieci aniżeli ze mną.

Syn i córka wpatrzyli się w niego, nie rozumiejąc.

– I ja także byłem młody – ciągnął Olaf – nie o wiele starszy od ciebie, Cecylio, i była to sprawa bardziej błaha od tej. To, co uczyniłem, nie wiadomo, czy uczyniłem niesłusznie; ja sam sądziłem, że prawo jest za mną. Ale milczałem. Z początku sądziłem, że gdy przyjdzie czas, iż będę mógł mówić, wypowiadam się, odpokutuję i odżałuję mój grzech. Teraz już od dawna jest na to za późno. Przez to zbutwiałem od wewnątrz i wszystko, czego się tknąłem, co wziąłem w ręce, zakaziłem zgnilizną.

Cecylia wciąż jeszcze nie rozumiała, lecz Eirik szepnął pobladłymi ustami:

– Jezu Chryste, ojcze...

– Teraz nie mogę już żałować – rzekł Olaf z naciskiem. – Światło, które przyświecało mi niegdyś, zostało mi odebrane. Teraz żałuję tak, jak człowiek, któremu wylupiono oczy. Ale pomimo to chcę się teraz z tego grzechu wypowiadać, Cecylio. Pójdę wraz z tobą i jeden los niechaj się nad nami dopełni.

Zrozumiała. Zerwała się i usiadła na łożu.

– Ja... Ty sądzisz, że to ja!... – krzyknęła przenikliwie i dziko. Eirik podniósł się i stanął przed siostrą.

– Ojcze, milcz!

– Jeden los niechaj się nad nami dopełni – powtórzył Olaf. – Jeśli będziesz musiała opuścić kraj, pójdziemy razem...

– Z tobą? – córka wzdrygnęła się. – Raczej wpierw uczynię to, co zrobił Jörund.

Olaf zapytał:

– Gdzie jest, Cecylio, ów mały walijski sztylet, który dostałaś ode mnie, gdy byłaś jeszcze małą dziewczynką?

– W mojej szkatule. – Podniosła się i podeszła do skrzyni; brat spostrzegł, że trzęsie się znowu, lecz usta jej były mocno zaciśnięte, a oczy błyszczały. Wydobyła ze skrzyni niewielką szkatułkę i wytrząsnęła

na ławę wszystko, co zawierała: klamry, łańcuchy, mały różaniec z koralu, kilka noży...

– Nie ma go tutaj – rzekła. – Może Jörund go wziął. – Zęby jej szczękały.

– Możemy tam iść i raz jeszcze poszukać – rzekł Olaf cicho. – Nie – cofnęła się.

– Nie odważysz się iść ze mną do niego?

– Nie. – Cecylia pochyliła głowę. – Nie powinnam teraz w tym stanie patrzeć na zwłoki – wyszeptała niemal niedosłyszalnie.

– Jeśli jesteś niewinna, nie zaszkodzi to ani tobie, ani dziecku. Zdawała się kulić i zapadać w sobie. Ojciec nalegał:

– Jeśli jesteś niewinna, chodź tam ze mną, połóż rękę na jego piersi...

– Nie! Nie chcę! – krzyknęła.

– Potworze! – Eirik stanął obok siostry.

Olaf ścisnął córkę za przegub dłoni; cofnęła się i próbowała wyrwać, lecz pośliznęła się i upadła. Klęczała z głową pochyloną i usiłowała drugą ręką oswobodzić się z żelaznego uchwytu ojca. Eirik miał wrażenie, że Olaf wlecze ją po podłodze.

Porwał Attarfylgię i z podniesioną oburącz siekierą skoczył ku ojcu. Olaf dostrzegł to i puścił córkę... Prostując się nadstawił głowę pod cios...

Lecz Cecylia spostrzegła to także. Rzuciła się na brata i pchnęła go... Eirik potknął się, stal uderzyła o kamienną krawędź paleniska, zadźwięczała.

– Eiriku! – krzyknęła rozpaczliwie Cecylia.

Spojrzał w nabiegłe krwią oczy ojca; zdawało mu się, że go uśmierca: nie było w nich nienawiści, nie było gniewu ani dzikiego napięcia i podniecenia sprzed chwili. Nie wiedział, co w nich jest – były to oczy człowieka powracającego z krainy, której żyjący nigdy nie widzieli.

Topór wypadł mu z rąk. Eirik ukrył twarz w dłoniach, zatoczył się ku

ławie, opadł na nią i tak pozostał, na wpół zwrócony ku ścianie.

Posłyszał, że ktoś wychodzi, i w tej chwili siostra dotknęła jego ramienia:

– Eiriku, jak mogłeś! – Była u kresu sił. – Przecież to nasz ojciec...

– Tak – jęczał cicho nie podnosząc oczu. – Wiem o tym, Boże, ulituj się nad nami! Wiem o tym.

Potem na mgnienie oka odwrócił twarz:

– Wiem... Byłbym go zabił, chciałem go zabić. Mojego ojca...

Cecylia wybuchnęła rozzwierającym szlochem i rzuciła się w objęcia brata. Z twarzą przytuloną do jego ciemnych włosów płakała i zawodziła, aż wreszcie posadził ją sobie na kolanach. Złączeni uściskiem płakali oboje przerażeni życiem, które trzymało ich w swych pętlach.

W końcu Eirik odsunął ją:

– Muszę iść i poszukać go.

Gdy wyszedł, poszła za nim, ujęła jego dłoń i ścisnęła mocno. Tak szli trzymając się za ręce jak dwoje śmiertelnie wystraszonych dzieci. Przed izbą mieszkalną zawahali się chwilę, potem powoli poszli dalej, jak gdyby szukali drogi, w głuchej puszczy. Gdy dotarli do ostatniego zabudowania na dziedzińcu, ujrzeni w dole na zatoce Olafa; odbijał właśnie od brzegu.

– Eiriku, dokąd on jedzie? – szepnęła Cecylia. Potrząsnął głową.

– Nie wiem.

– Eiriku, czyś zrozumiał, co on powiedział? Co takiego uczynił? Znów zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie wiem.

Ojciec płynął na północ pod ścianą Byka. Wtedy oboje zawrócili z wolna i poszli w stronę domu. Przed drzwiami izby mieszkalnej Eirik zatrzymał się:

– Nie powinien leżeć tak samotnie jak bezpański pies. Wejść do niego...

Cecylia przytrzymała ramię brata.

– Pójdę z tobą. Nie boję się, gdy ty jesteś ze mną.

Poczuła, że dreszcz, wstrząsnął ciałem Eirika – twarz jego przybrała szczególny wyraz... Z pewnością i on wątpił także... Ale nie chciała o tym wiedzieć. Tak brat i siostra weszli razem do komory, w której leżał zmarły.

Olaf nie przeprował się nigdy dotąd łodzią do miasta. Od czasu do czasu odkładał wiosła i odpoczywał, a woda chlupotała wokół łodzi i wirowała. Na fiordzie było cicho, jak okiem sięgnąć, nie widać było tego dnia łodzi.

Lekka mgła nadciągnęła z południa, osnuła szarym cieniem wodę i niebo, lesiste skłony gór pociemniały, a liściaste drzewa odcinały się szare, jakby kosmate wśród granatowego iglastego boru. Olaf zanurzył z powrotem wiosła w wodę.

Płomienna groza, jaka rozgorzała w jego duszy, wypaliła się, serce było teraz spopieliałe i utrudzone. Wyruszył w drogę, aby uczynić to, przed czym uciekał całe życie; tym razem to uczyni: wiedział o tym tak samo pewnie i niezachwianie, jak wiedział za każdym poprzednim razem, że ucieknie, gdy tylko znajdzie jakieś wyjście. Lecz dusza jego była pomimo to spopieliała i martwa jak trup.

Tysiąc razy słyszał, że miłosierdzie Boskie jest bez granic, i potajemnie ufał mu. To, przed czym uciekał, istniało i czekało na niego, póki nie znajdzie odwagi, by zawrócić, ponieważ było tym wszystkim, co leży poza czasem i jest niezmiennie: ramiona Boga rozpostarte na krzyżu i gotowe przygarnąć grzesznika, nurt łaski płynący z pięciu ran, pochyłona głowa, która patrzy na wszystkie stworzenia i czuwa i czeka, a dookoła Maryja i wszyscy Święci odmawiający modlitwy wznoszące się w górę, niby dym z kadzielnicy, w której nigdy żar nie wygasa. Słudzy Boży czekali zawsze gotowi, wyposażeni w moc, by zdjąć z niego pęta. Chleb żywota zawsze znajduje się na ołtarzu. Bóg jest bez granic...

Ale w nim samym były granice – teraz to widział. Było za późno – mimo wszystko. Granice, które w nim istniały, zaskorupiały i stężały w



kamień – podobne owym kamieniom, jakie pokazywano mu tu i ówdzie po gminach: mówiono, że były one ongi żyjącymi zwierzętami i ludźmi.

Teraz nie potrafił już żałować. Nie nosił w sobie miłości do Boga ani tęsknoty, aby odnaleźć ku Niemu drogę. Wolał oddalać się od Niego coraz bardziej, aż po samą wieczność... To było piekło. To było królestwo wiecznej męki, wiedział o tym, lecz kraina męki stała mu się ojczyzną.

Gra była skończona; mógł się teraz spowiadać i przyjąć nałożoną przez biskupa pokutę – i tak to nie pomoże. Odpuszczenie grzechu nie zbawi tego, kto nie czuje wewnętrznej skruchy. On utracił swoją chrześcijańską wiarę, chociaż wiedział, że to, w co wierzył niegdyś, było wszystkim, co istniało, trwa i istnieć będzie, on zaś sam jest czymś, co nie istnieje wcale. Lecz tyle razy wybierał siebie i to, co jest niczym, że stracił ostatecznie z oczu i duszy Tego, który jest Żywotem.

Ze względu na Cecylię pragnął to uczynić mimo wszystko. W ostatnich latach poznał córkę – i zdawało mu się, jakby od dawna już wiedział, że ona może skończyć podobną zbrodnią. Powinien był działać wcześniej.

Eirik ponosił również część winy, teraz widział to. Jak zwielokrotnionego odbicia własnych wad nienawidził kłamliwości tego podrzutka, nienawidził jego chwiejnej natury, nienawidził go za to, że nigdy nie potrafił przeprowadzić żadnego ze swych zamierzeń. Tak, ożenił się z nierządnicą – i to także zrobił. A jednak kochał Eirika, chociaż ów kłamał, chełpił się, dogadzał każdej zachciance i zawracał z każdej drogi, na której się znalazł – kochał tego wyrzutka, którego wpakowano mu na kark, tego upiora, co ssał jego krew, aż stali się ojcem i synem nawet z ciała. Syn zamordowanego pomścił ojca potajemnie, jak potajemnie on sam zgładził Teita...

Miał wrażenie, że wszystko to zrozumiał w jednej chwili, kiedy Eirik skoczył na niego z podniesioną do ciosu siekierą, a on nadstawił czoło; opanowało go wówczas uczucie podobne radości, że oto nadszedł kres.

Potem topór zachwiał się w rękach syna-mściciela...

Zdawał sobie sprawę, że to, co czyni, czyni ze względu na Cecylię. W jaki sposób ma to dopomóc córce – nie wiedział. Ale ona jest młoda, ma przed sobą jeszcze dość długie życie na to, by stać się zakamieniałą i zginąć, jeśli postępować będzie tak jak on. Zgrozą przejmowała go myśl o tym zwycięstwie, które chce odnieść – myślał również o trzech małych synkach, którzy będą rośli jako dzieci matki mężobójczyni... Lecz byłoby stokroć gorzej, jeśliby wyrastały pod jej opieką, podczas gdy ona dźwigać będzie straszną tajemnicę. Wiedział, że dla wszystkich oznacza to ratunek, jeśli złoży teraz u nóg Cecylii zwłoki, które tak długo włókł za sobą: Patrz i opamiętaj się, aby i dla ciebie nie było za późno...

Popołudnie kończyło się już, kiedy wiosłował wzdłuż przystani miejskich w kierunku zachodnim; minął przystań Klausa Wiepharta ze spichrzami towarowymi – tam przybijał zazwyczaj do brzegu – przystań dworu Mikle, kościoła Świętych Klemensa i Jona. Nareszcie dopłynął do przystani biskupiego dworu. I gdy jakiś smarkacz podszedł i zawołał w niegrzeczny sposób, że tutaj nie wolno przybijać, Olaf odpowiedział ostro i chłodno. Właśnie tutaj przycumuje łódkę, ma bowiem coś do załatwienia na biskupim zamku. W tej chwili przyszło mu na myśl, że ani się nie ubrał, ani nie przygotował do drogi do miasta i zły był na siebie idąc pod górę ku zabudowaniom.

Pół godziny później stał na wąskim placyku między okazałym dworem biskupim a murem cmentarnym przy kościele Świętego Hallvarda.

Biskup leżał na łożu śmierci. Nikt nie miał czasu wysłuchać Olafa lub udzielić mu wyjaśnień. Ludzie biegali tam i z powrotem po dworze – choroba pana Helgego przyszła nagle i to właśnie teraz, tuż przed Wielkanocą... Prawda, jutro jest Niedziela Palmowa, zapomniał o tym zupełnie.

Nie pomyślał, że podobna rzecz może się w ogóle zdarzyć, że teraz,

kiedy gotów był wreszcie poddać się i złożyć broń, nie znajdzie się nikt, kto by ją przyjął. I poczuł, że ów podobny śmierci spokój ducha był tylko najwyższym napięciem, bowiem w tej chwili był wyczerpany do ostatka, drżący i zrozpaczony, że po raz drugi będzie musiał uczynić ten wysiłek. I owa zwłoka wydawała mu się nie do zniesienia...

Olaf stał, nie wiedząc, co z sobą począć. Mgła zgęstniała tymczasem i zmieniła się w drobny, mżący deszcz. Potężne kamienne budynki dokoła placu: kamienna ściana biskupiego zamku, mur cmentarny i ogromny masyw katedry z jej ciężkimi wieżami i połyskującym od wilgoci ołowianym dachem – sprawiały jeszcze większe wrażenie wśród deszczu zaciemniającego świat. Topole okryte pąkami liści, sterzące nad cmentarnym murem, zdawały się rozwijać i pachnieć, a lśniąca trawa przebłyskiwała pośród okrągłaków, którymi wyłożony był placyk.

Iść do Klause, siedzieć u niego i słuchać gadania kupca – na to nie mógł się zdobyć. Nie chciał również iść na dwór płatnerza. Tylko jeden raz był w Oslo, odkąd córka Galfrida poślubiła Björna. Mieli dziecko – o ile od tej pory nie było ich więcej – ale nie śmiał nawet dowiadywać się o wnuka; tak się bał zetknięcia z Björnem, jak gdyby był trędowaty.

Z pobliskiego klasztoru Świętego Olafa zaczął bić dzwon kościelny głośno i przenikliwie: wieżycy klasztorna wznosiła się przy końcu cmentarnego muru. W tej chwili dwaj bracia dominikanie wyszli zza rogu. Z głowami ukrytymi w kapturach śpieszyli pod murami. Wiatr wydymał ich czarne okrycia i odsłaniał skraj białych habitów. Olaf spojrzął za nimi: ten niższy to na pewno stary brat Hjalm, lecz widocznie go nie poznał. Tyle lat minęło, odkąd Olaf był ostatni raz w klasztorze.

Poszedł za nimi. Może w każdym razie iść do kościoła Świętego Olafa, w ten sposób czas minie szybciej. Potem musi pomyśleć o wyszukaniu jakiegoś noclegu, gdzie by nie potrzebował mówić o tym, co zaszło w domu na Hestviken.

Z drzwi kościoła wypadł wielki żółty pies, tuż za nim ukazał się brat świecki, który wyganiał zwierzę. O mało nie zderzyli się z sobą.

– Nie, to naprawdę ty, Olafie synu Auduna?! – wykrzyknął uradowany mnich. – Dawnośmy cię tu nie widzieli... Przybyłeś zapewne, aby odwiedzić brata Finna? Tak, tak, a to się dopiero ucieszy, byłeś przecie tak dobrym przyjacielem jego ojca, a jakże, przypominam sobie. Tak, ojciec Finn ma właśnie kazanie dla mieszczan, to samo wygłosił dziś z rana po łacinie – gadatliwy braciszek kiwnął głową i zniknął w bocznych drzwiach prowadzących do prezbiterium.

Olaf uświadomił sobie, że wysoki mnich nie pierwszej już młodości, który stał w górze na stopniach i mówił, jest drugim z rzędu synem Arnvida. Po raz ostatni widział Finna, kiedy ten był uczniem szkoły klasztornej w Hamarze. Teraz krótko przystrzyżony wieniec włosów wokół gładkiej błyszczącej czaszki mnicha przyprószony był siwizną, a wąską, ogorzałą twarz porysowały zmarszczki.

Nie był podobny do ojca, żaden z trzech synów Arnvida nie wdał się w niego; urodę odziedziczyli po matce. Ojciec Finn, chudy i wysoki, przemawiał bardzo spokojnie. Odziany był w biały habit z narzuconym na ramiona czarnym okryciem. Miał piękny, czysty i równy głos:

– ... ta część jednak, która tkwiła w ziemi, ma nam przywozić na myśl niewidzialną moc Bożą oraz Jego tajemne postanowienia. Ta część może być porównana do korzenia krzyża: niewidzialny dla ludzkich oczu dźwiga pień, gałęzie oraz owoc. Ów znak został nam dany, abyśmy dobrze zapamiętali, że nasze zbawienie zrodziło się z tego korzenia, którym jest niewidzialne postanowienie Boga Wszechmogącego.

Cóż jednak pomoże, bracia mili, objaśnić słowami znak krzyża, jeśli czynami nie okazemy, że pojęliśmy należycie słowa Króla: „A kto nie bierze krzyża swego, a nie naśladuje mnie, nie jest mnie godzien”. Ten zaś bierze na siebie krzyż i kroczy śladami Pana, kto nie lęka się znosić

cierpień i dopustów z miłości do Boga, do swego bliźniego i swojej własnej duszy. Krzyż możemy dźwigać w dwojaki sposób: ciałem albo duszą...

Było to takie *sermo crucis*<sup>[27]</sup>, jakie wygłasza się zwykle w czasie postu w kościołach przyklasztornych. Olaf rozejrzał się wkoło – od tak dawna nie był w tym kościele! Był on długi, wąski i dość mroczny, kiedy świece się nie paliły, a ogromne jesiony na cmentarzu przed oknami i potężny masyw katedry przesłaniały światło dnia. Niewielu też zeszło się ludzi; pod rządami poprzedniego przeora klasztor Świętego Olafa utracił częściowo swoją dawną sławę.

Olaf zauważył, że kazanie ojca Finna było przeznaczone pierwotnie dla braci zakonnych; mówił bowiem długo o ascezie i ćwiczeniach pokutnych.

– Na tej drodze każdy musi bacznie uważać, albowiem tutaj czyha niebezpieczeństwo, które się zowie pychą. Ta pycha sprawia, że odnosimy się z pogardą do braci, którzy nie potrafią znieść tak długich postów albo czuwania po nocach, zimna i umartwiania się. Nie możemy oddać naszemu Panu równą miarą męki, którą wycierpiał, ani też rany za ranę, biczowania za biczowanie... Skoro umartwiamy sami nasze ciało, musimy uważać, by nie nabrać przekonania, że z Nim współzawodniczymy. Ale gdy inni chcą nas biczować, zranić lub zelżyć i oddają nas w ręce oprawców, winniśmy dźwigać ten dopust z radością i pamiętać, że spotyka nas zaszczyt, którego nie jesteśmy godni.

Gwałtowna ulewa zaciągała w okna kościoła. Olaf słyszał, że zerwał się wichur. Zrodziła się w nim pewna myśl: a może by powiedzieć Finnowi synowi Armada, w jakim celu przybył do Oslo? Nawet jeśli nie mógł odbyć ważnej spowiedzi przed kim innym, tylko przed biskupem, a ów był umierający, to jednak mógł powiedzieć Finnowi, że przybył tutaj, aby

[27] *Sermo crucis* – kazanie pasyjne.

wyspowiadać się z dawnego grzechu zabójstwa, z potajemnej zbrodni, którą popełnił dawno temu, w tym czasie, kiedy się po raz ostatni widzieli i kiedy Finn był jeszcze chłopcem. Przypomniawszy sobie teraz, że owego dnia, kiedy wyruszał do Miklebö, pożegnał się z Finnem przed szkołą... Będzie to jakby spaleniem za sobą wszystkich mostów...

– Dźwigamy tedy krzyż w myślach, skoro serce nasze cierpi z powodu winy lub grzechu innych, jak powiada święty Paweł: Kto jest tak chory lub zbłąkany, abym ja nie czuł winy jego w moim sercu? Drodzy bracia, nie należy się dziwić, jeśli Pan obarcza nas grzechami i troskami innych, czy też pokutą za to, co popełnili nasi bracia, choć On sam odpokutował już za nas wszystkich. Jeśli jednak wiedzeni pokusą pytamy, dlaczego my mamy pokutować, wówczas musimy pamiętać o tym, iż Pan trzymał niebo i ziemię niby piłkę w swym ręku, a pomimo to złożył królewski płaszcz swej wszechmocy i obłókł się w nędzną szatę Adamową. A kiedy upadł na drodze, dźwigając krzyż z zamku w Jeruzalem, Szymonowi z Cyreny przypadł wysoki zaszczyt: uznano go za godnego, aby pomagał swemu Bogu i dźwigał z Nim krzyż. Ów Szymon był błogosławionym i najbardziej szczęśliwym spośród wszystkich ludzi, jacy żyli na ziemi. Szczęśliwości Szymona jednak pozwala Bóg dostąpić nam wszystkim, kiedy wzywa nas, niegodnych grzeszników, spośród tłumu, który stoi przy drodze i patrzy na krzyżową drogę, kiedy pozwala nam dzielić ze sobą ciężar Krzyża.

Zaledwie kazanie się skończyło, zjawił się znowu stary brat świecki, który powitał przedtem Olafa. Ożywiony i gadatliwy, kroczył szybko przed nim, prowadząc go do rozmównicy. Potem poszedł zawiadomić ojca Finna.

Była to niewielka czworokątna izdebka z krzyżowym sklepieniem. Wąskie, ostrołukowe drzwi wychodzące na krużganek były otwarte. Olaf stanął w nich i wpatrzył się w strugi ulewy padające z szelestem

na pusty zielony kobierzec ogrodu; deszcz zalewał nawet krużganek, kałuże wody stały na kamiennych płytach. Nadeszła więc wreszcie słońca z południowego wschodu – to dobrze. Olafa niepokoiła wczesna tegoroczna wiosna; póki nie nastąpiły deszcze, które spłuczają ostatek śniegu w lasach, nie należało dowierzać porze roku.

Wieczór był dziś wyjątkowo mroczny, bo ciężkie, czarne chmury kłębiły się na niebie, tylko od ołowianych dachów padał bladzi, niespokojny odbłask. Poszum szedł przez olbrzymie, obsypane kwiatami korony jesionów wznoszących się za kościołem, w sadzie wichur świstał i zawodził poruszając żuraw studzienny. Nagle zabrzmiał dzwon z kościoła Świętego Hallvarda, głuchy i przejmujący; z jego głosem zmieszał się przenikliwy, lekki dźwięk dzwonu klasztornego i wkrótce rozdzwoniły się wszystkie dzwony miasta.

Spoza kolumn po drugiej stronie dziedzińca wynurzył się mnich w białym habicie – Finn syn Arnvida; podszedł szybko do Olafa z wyciągniętą dłonią.

– Bądź pozdrowiony, Olafie synu Auduna. Jak pięknie, że znalazłeś drogę do mnie.

Usiedli w rozmównicy. Nie widzieli się od czasu, kiedy jeden z nich był chłopcem, drugi – młodym człowiekiem. Minęło od tej pory lat przeszło trzydzieści.

Olaf rozpytywał się o braci i znajomych Finna, o synów Steinfinna oraz dzieci Haakona syna Gautego; Finn odpowiadał, zaznaczył jednak, że to nie są najnowsze wiadomości. Powrócił dopiero co do Norwegii z dwuletniej podróży zagranicznej, poprzednio zaś był zastępcą przeora w Nidaros; obecnie wraca do swego rodzinnego klasztoru w Hamarze.

– Lecz pora już iść na nabożeństwo wieczorne. Czy masz zamiar pozostać dłuższy czas tu, w grodzie?

Olaf odparł, że nie wie jeszcze.

– Mój zięć umarł wczoraj w nocy...

– A gdzie mieszkasz? Posiadasz pewnie własny dwór w Oslo? Usłyszawszy, że Olaf nie ma dotąd noclegu, ojciec Finn sądził, że będzie najlepiej, aby pozostał w klasztorze. Gospoda jest wprawdzie przepełniona, ale na górnym piętrze mieści się kilka cel gościnnych – zaraz pójdzie i zapyta przeora.

– Mam w tych dniach tyle do załatwienia, nim wyruszę w moje ojczyste strony, ale chętnie pogadałbym z tobą. Byłeś najlepszym przyjacielem mego ojca. Łatwiej zaś będziemy mieli do tego sposobność, gdy zamieszkaż u nas.

Olaf siedział w izbie gościnnej i jadł kaszę; prócz niego znajdował się tu teraz tylko pewien chory chłop, który leżał na posłaniu i jęczał przez sen; reszta gości udała się do kościoła, by posłuchać śpiewu. Olaf odsunął miskę, oparł głowę o ścianę i wpatrywał się w świecę. Z kościoła dochodził śpiew chóru, na dworze pluskał deszcz i zawodził wiatr.

Potem dobiegł go szelest kroków na kamiennych płytach – zakonnicy wracali z kościoła. Młody braciszek świecki z zapaloną świecą w rękę stanął w drzwiach i dał znak Olafowi. Teraz w klasztorze zapanuje cisza aż do porannej mszy następnego dnia.

Braciszek poprowadził go przez trzeszczące schody i sień, otworzył jakieś drzwi i postawił światło na podłodze celi.

Była to małeńka izdebka o szarych kamiennych ścianach. Pod jedną z nich stała wąska ława do spania, a pod małym łukowatym oknem, zasuniętym okiennicą z błony, stał pulpit z kłęcznikiem; nad nim wisiał krucyfiks. Okiennica stukała poruszana wiatrem. Olaf otworzył



ją i wyjrzał w niespokojną noc wiosenną, ponad spadzistym dachem pokrywającym krużganek; widział zielony dziedziniec ze studziennym żurawiem jęczącym pod uderzeniami wichury. Dawno już nie był w izbie umieszczonej tak wysoko jak ta i wydawało mu się, jak gdyby znajdował się w wieży.

Zdjął wierzchnią odzież i położył się na ławie. Spać nie mógł, leżał i słuchał szmerów przenikających do celi w mroku wietrznej i deszczowej nocy.

Poprzedniej nocy spał w Saltviken, nie wiedział jeszcze nic o strasznym czynie Cecylii. Dzień dopiero minął od tej pory. Gdy próbował odtworzyć w pamięci wszystko, co zaszło od chwili, w której ubiegłego wieczoru zobaczył Eirika przy płocie, wydawało mu się, że zawrotny bieg wydarzeń ostatniego dnia był runięciem w głębinę. Doszedł już do kresu drogi i teraz miał przebyć przepaść.

Powrócił myślą do tego, co powiedział Finn o Szymonie z Cyreny: czyżby myślał o swoim ojcu? Arnvid był właśnie człowiekiem, który pozwalał się wywoływać z tłumu, aby podać pomocną dłoń każdemu skazanemu, pędzonemu drogą... Z tej zapewne przyczyny w głębi serca uważał Arnvida zawsze za kogoś przerastającego innych. Arnvid był tak odważny, że – jeśli było trzeba – nie obawiał się podstawić grzbietu, aby kto inny obarczył go własnym krzyżem... Nie bał się stapać tuż za Panem, Jego śladami; i on także został opluty i zelżony.

Gdyby on sam był tak nieulekłego serca jak Arnvid, zgłosiłby zabójstwo Teita od razu na pierwszym napotkanym dworze. Lecz on skazał Ingunę na to, że musiała oddać dziecko w tajemnicy w głąb głuchej puszczy, bez praw, imienia i rodu – póki nie ujrzał, że to, co popełnił, złamało ją; wówczas wziął na siebie zmazanie jednej krzywdy drugą. Powinien był od początku bronić praw chłopca – praw do nazywania się synem Inguny córki Steinfinna, choć nieślubnym, oraz praw dziedziczenia

po matce. Powinien był zapewnić mu opiekę i poparcie, które się należało od męża jego matki. Gdyby był taki jak Arnvid, myślałby tylko o tym, co jest słuszne i godziwe... Gdyby był takim, odważyłby się żyć jawnie z uwiedzioną kobietą, poważać tę, której zaprzysiągł wierność wobec Boga, którą obdarzył miłością od chwili, kiedy posiadał na tyle rozumu, aby ukochać i wybrać jedynego człowieka spośród wszystkich. Tak – miałby może odwagę, by usłuchać własnego sumienia, kiedy prosiło za Teitem; ten chłopak nie wiedział, co uczynił, był młodym, płochym lekkoduchem, jakim sam był niegdyś, kiedy jako chłopiec skradał się do łoża narzeczonej...

„Lecz gdyby Arnvid popełnił ten grzech, miałby w każdym razie odwagę przyznać się do niego; ja zaś wyparłem się i zaprzeczyłem, że zawiodłem mego opiekuna w bezmyślności i zamroczony żądzą. Natomiast człowieka, który był tak bezmyślny, że uchybił mojej czci, zabiłem! Zdawało mi się bowiem, że nie potrafię żyć, jeśli nie pomszczę tej skazy na moim honorze. Sądziłem, że będzie łatwiej żyć wówczas, gdy ubliżę swej czci, byle tylko nikt się o tym nie dowiedział. I z powodu takiej sprawy stałem się Judaszem wobec mego Pana, opancerzyłem się najgorszymi grzechami, jeśli tylko były na tyle twarde, by jak kolczugą osłaniać moją wrażliwość.” Taką trwogę przed sądem ludzkim Olaf odczuwał zawsze, nawet wtedy, kiedy sądził, że mu jest obojętne, co inni myślą. Nie ubiegał się przecież o władzę przywódcy, nie poządał bogactwa, jeśli dla pozywania go trzeba było giętkości i chytryści, nie pragnął przyjaźni z człowiekiem, którego naprawdę nie lubił, nie szukał szczęścia, które czyni gnuśnym i otepia – nie, pragnął jedynie tego, aby stać pośród ludzi, wyniesiony ponad nich, niby dąb nad pospolite krzewy...

I widział, że był ku temu wybrany. Bóg dał mu w spuściznie dzielnych, prawych i wiernych przodków oraz wszystko, co obiecał potomkom

sprawiedliwych: duszę i serce, które nienawidziły okrucieństwa i nie lękały się złych dni i które były nieustraszone w obliczu nieprzyjaciela... Lękał się tylko tych, których miłował; jedynie oni mogli go popchnąć do każdego czynu.

„Boże, mój Boże, który miłujesz nas wszystkich, któryś mnie miłował, którego i ja niegdyś miłowałem... Obym był wybrał Ciebie, kiedy wybierałem moją największą miłość!”

Zrozumiał, że miał pewne prawo osądzania siebie tak, jak to robił teraz. Zapomniał jednak, że wszystko dobre w sobie posiadał tylko tak, jak wasal posiada lenno nadane przez króla. On zaś podniósł bunt, złamał przysięgę wierności i zniszczył własny kraj.

Powinien był wyrastać jak dąb, cierpliwie i rozłożyście, jak to drzewo użyczać cienia i osłony wszystkim, którzy szukali u niego schronu. Nie mógł rosnąć inaczej, niż mu było przeznaczone, ale wewnętrzna rana nadźarła jego rdzeń, tak że stał się pusty, zwiędły i jałowy. Nikogo nie potrafił ochronić naprawdę, zaczynając od Inguny aż do takich nędzarzy jak Anki, Liv i ich dzieci. Usiłował być dla nich opatrnością, ale daremnie. Roztrwonił całe swoje bogactwo w walce ze swym prawdziwym Panem i jak człowiek zrodzony z otwartymi dłońmi jest szczodrobliwy i rozdaje chętnie nawet kradzione dobro, tak on wpuszczał każdego, kto pukał do jego drzwi, chociaż wszystko, co uczynił, było tylko żebraczą ucztą i żebraczymi godami.

Szymon z Cyreny... Teraz przypomniał sobie, że obraz tego człowieka widział już przed wieloma laty w Anglii – wówczas kiedy ujrzał we śnie własną śmiertelnie zranioną duszę i kiedy musiał stać z tyłu za gromadą ubogich, którzy przyjmowali Ciało Pańskie.

Z jakim uczuciem witałby dzień Zmartwychwstania ów chłop cyrenajski, gdyby odmówił, kiedy zawołano na niego, aby dźwignął krzyż, gdyby ukrył się wśród lżącego tłumu?

I on także miał dzieci, nazywały się Aleksander i Rufus. Olaf słyszał niegdyś, co się stało z tymi synami Szymonowymi: zostali świętymi i wielbionymi męczennikami.

Leżał jeszcze bezsennie, kiedy posłyszał daleki śpiew z kościoła, ale łowiąc uchem odgłosy jutrzni, które chwilami zanikały w podmuchach wichru, zasnął...

Zbudził się późnym rankiem. I teraz śpiewano – Olaf domyślił się, że poświęcano gałązki palmowe, a potem procesja wyszła z kościoła i obeszła go wkoło. Leżał dalej. Znowu ogarnął go gniew, że wyjechał z domu tak, jak stał. Kiedy wreszcie zeszedł na dół w swych starych, roboczych szatach i ciężkich butach, nabożeństwo odbywało się już dawno, z prezbiterium zabrzmiały słowa: *Passio Domini nostri Jesu Christi secundum Matthaeum*.

Stał w ten sposób, że nie mógł widzieć śpiewających księży. Tego dnia zaś czytano długą Ewangelię, z której na pamięć znał już tylko urywki. Otulony w stary brązowy płaszcz stał w tyle przy drzwiach; wiedziony przez wyrazisty, mocny głos męski, który w rytm Ewangelii wzbierał, opadał i znów się wznosił, rozpoznawał znane słowa i imiona – *Pascha – tradetur ut crucifigatur – Caiphas*; stanowiły one jakby drogowskazy, wskazywały, w jakim miejscu Ewangelii się znajduje. Teraz Jezus i uczniowie byli w Betanii, w domu *Simonis leprosi* i zasiedli do stołu, teraz podeszła do Niego Maria z Magdali ze słoikiem olejku w rękę, aby wylać, co miała najkosztowniejszego, na stopy Boga. I głos Judasza zaskrzeczał wymawiając słowa wyrażające skąpstwo i szyderstwo.

I inny głos, dźwięczniejszy, potężniejszy i bogatszy, wyśpiewał słowa samego Boga, który ujął się za Marią i słał jej ofiarną miłość.

Olaf czekał na słowa, które znał, jak gdyby były wypalone rozżarzoną żelazem w jego sercu – zaraz je usłyszy; nie mogły być daleko. Tak, zbliżały się – teraz Jezus posłał uczniów do miasta, aby przygotowali

wieczerzę. Teraz...

Serce Olafa waliło, jakby miało rozsadzić klatkę piersiową; z chóru popłynął ten sam potężny, wielki głos:

*Amen dico vobis, quia unus vestrum me traditurus est*

[28]

Głos ewangelisty spadł krótką strofą, a potem zabrzmiał cały chór uczniów, niespokojny i zalękniony:

*Numquid ego sum, Domine?*<sup>[29]</sup>

Kiedy zagrzemiał głos Chrystusa, Olaf czuł, że pot zlewa całe jego ciało. A potem przyszyły owe słowa, wypalone na zawsze w jego sercu:

*Vae autem homini illi, per quem Filius hominis  
tradetur: Bonum erat ei, si natus non fuisset homo  
ille*<sup>[30]</sup>.

Ewangelista śpiewał: *Respondens autem Judas, qui tradidit eum, dixit*<sup>[31]</sup> – po czym odezwał się wysoki głos Judasza:

*Numquid ego sum, Rabbi?*<sup>[32]</sup>

[28] *Amen dico vobis...* – „Zaprawdę, powiadam wam, że jeden z was wyda mnie” – Mt. 26. 21. (Przyp. tłum.)

[29] *Numquid ego sum, Domine?* – Czyliż ja jestem, Panie? (Przyp. tłum.)

[30] *Vae autem homini illi...* – „Biada człowiekowi onemu, przez którego Syn Człowieczy będzie wydany. Lepiej by mu było, gdyby się był nie narodził ów człowiek.” (Przyp. tłum.)

[31] *Respondens autem, Judas...* – „A odpowiadając Judasz, który Go wydał, rzekł:...” (Przyp. tłum.)

[32] *Numquid ego sum, Rabbi?* – „Czy to ja jestem, Mistrzu?” (Przyp. tłum.)

Głos Chrystusa odpowiedział: *Tu dixisti*<sup>[33]</sup>.

Olaf skłonił głowę na piersi, zarzucił połę płaszcza i ukrył w nim twarz. Gruba wełna przesycona była zapachem stajni, łodzi i ryb. Oto stał wśród mężów przyodzianych w godowe szaty, lecz nie był zaproszony...

Jeszcze wciąż słyszał w śpiewie znane mu słowa: Teraz szli na Górę Oliwną – Olaf widział to jakby z oddali – Judasz stoi gdzieś na górze zamkowej i śledzi ich. Teraz był wyrzucony z gromady, teraz wszyscy towarzysze wiedzieli już o tym, co było wiadome tylko Bogu i jemu, kiedy wieczorem zasiadł z innymi do stołu.

Głębiej, coraz głębiej w mrok odpływały zwidzenia... Pod drzewami leży na ziemi przejęty lękiem Bóg: *Tristis est anima mea usque ad mortem*<sup>[34]</sup>. Tymczasem uczniowie śpią i nie spostrzegają niczego. Z bramy w murze zamkowym wychodzą strażnicy z pochodniami i obnażonymi mieczami. Judasz idzie na czele i pokazuje im drogę. Święty Piotr zrywa się ze snu, młody i śmiały, dobywa miecza z pochwy i chce się rzucić między swego Pana i napastników – uderza jak głupiec, obcina ucho jednemu z pachołków, a gdy widzi przewagę tamtych i słyszy spokojne słowa Jezusa, gdy nic już nie rozumie, rzuca broń i ucieka. Uciekają wszyscy uczniowie, którzy dopiero niedawno przyrzekali tak wielkie rzeczy. Chrystus zostaje sam, dobrowolnie wyciąga ręce i pozwala się związać – niepojęte po prostu...! Kto jednak widzi część krzyża tkwiącą w ziemi, kto zna korzeń krzyża?

Dookoła Olafa niektórzy mężczyźni i kobiety próbowali przysiąc lub przyklęknąć na chwilę – Ewangelia nie miała końca. Pełni nienawiści ludzie przesłuchują swego Zbawiciela, głos tłumu, który wrzeszczał:

---

[33] *Tu dixisti* – „Tyś powiedział” – Mt. 26. 25-22. (Przyp. tłum.)

[34] *Tristis est anima mea...* – „Smutna jest dusza moja aż do śmierci” – Mt. 26. 38. (Przyp. tłum.)

*Crucifigatur!* I znów: *Crucifigatur!*<sup>[35]</sup>. Długa droga z miasta na miejsce Trupiej Głowy, groza ukrzyżowania i drwiny, które i tu jeszcze nie ustają...

Po ostatnim głośnym wołaniu z krzyża, kiedy Pan oddał ducha, śpiew zamilkł nagle i wszyscy obecni padli na kolana, jak gdyby owa cisza śmierci rzuciła ich na ziemię...

Dziwnie łagodnie zabrzmiał teraz głos ewangelisty, kiedy znów zaczął opowiadać w zwyczajnym już, niedzielnym tonie historię Grobu i małoduszne targi faryzeuszów przed Piłatom.

Po Ewangelii dalszy ciąg mszy płynął jakby z otwartej bramy – raz jeszcze ujawniły się przejmujące i potężne tajemnice zdrady ludzkiej i miłosierdzia Bożego. Tydzień Wielkiejnocy nastał dla ludzkości – Wielki Czwartek i Piątek: święty Marek, święty Łukasz i święty Jan – wszyscy mieli złożyć świadectwo. A dzień Zmartwychwstania po tym ponurym tygodniu zdawał się ogromnie daleki...

Kiedy Olaf wszedł do gospody klasztornej, było w niej tak pełno, że z wahaniem zatrzymał się w drzwiach. Dwóch braci świeckich uwijało się z dymiącymi misami, dwóch innych szło za nimi z dzbanami piwa. Pora południowego posiłku już minęła i ludziom wydłużyły się nosy z długiego postu; głodni byli jak wilki. Jeden z braci świeckich, ów młody, który poprzedniego wieczoru zaprowadził Olafa do gościnnej celi, zobaczywszy go w drzwiach, zaciągnął do izby i zmusił, by siadł na poczesnym miejscu; jest przecież przyjacielem ich przeora z Hamaru... Podał Olafowi jadło i piwo, lecz Olaf nie mógł przełknąć ani kęsa.

---

[35] *Crucifigatur!* – „Niech będzie ukrzyżowany” – Mt. 27. 23. (Przyp. tłum.)

Gdy tylko mógł się wymknąć bez uchybienia przyzwoitości, podniósł się, poszedł na górę do celi i położył się. Zasnął natychmiast i spał dopóty, aż nie zbudził go młody braciszek: ojciec Finn ma teraz czas...

W rozmównicy, gdzie siedział i czekał na niego Finn syn Arnvida, było obecnych kilka osób; dwaj młodzi zakonnicy, tak do siebie podobni, że Olaf zaraz rozpoznał w nich bliźniaków, siedzieli z jakąś niewiastą, zapewne matką, i paroma młódkami. Cała gromadka krewnych miała te same czerwone jak ogień włosy i piegowatą cerę, zadarte nosy i jasnoniebieskie oczy; powtarzali sobie nowinki z domu. Olaf słuchał jednym uchem, przysłuchując się równocześnie opowiadaniu, Firma o ostatnich latach życia ojca.

Siedział z oczyma wbitymi w podłogę, ręce splótł kurczowo na głowni sztyletu; wyciągał go z pochwy i wpychał z powrotem. Nagle przerwał Finnowi jego spokojną, ściszoną opowieść:

– Tak jest, Finnie, twój ojciec wiedział częściowo o tym, co teraz powiem. Radził mi przed śmiercią uczynić to, po co tu teraz przybyłem. – Bezwiednie podniósł się i stał wyprostowany, a kiedy zaczął mówić głośniej, gwarna gromadka na ławie zamilkła i nasłuchiwała.

– Popełniłem w młodości zabójstwo i nigdy nie wyznałem tego na spowiedzi... Twój ojciec Arnvid wiedział o tym, ale wówczas nie chciałem uczynić tego, o co prosił: wyspowiadać się z krwawej zbrodni i odpokutować ją. To jednak, co wydarzyło się ostatnio w moim domu – mój zięć został zabity we śnie i nie wiemy, kto go zabił – popchnęło mnie do tego, abym tu przyjechał i odszukał biskupa. Nie wiedziałem, że ty przebywasz w mieście...

Finn syn Arnvida podniósł się również. Obaj stali i patrzyli sobie w oczy. Potem ojciec Finn podeszedł do gapiącej się obcej gromadki. Szepnął parę słów młodym zakonnikom. Natychmiast wszyscy rudowłosi ludzie wyszli z rozmównicy... Olaf został sam z synem Arnvida.



Mnich położył ręce na jego ramionach.

– Bogu niechaj będą dzięki – rzekł do głębi poruszony.

– Czy ojciec mówił z tobą o tym? – spytał Olaf podnosząc oczy. Finn był o wiele wyższy od niego.

– Nie. Lecz teraz o wiele lepiej rozumiem to, co mi przykazywał, abym codziennie odmawiał Miserere za tych wszystkich, którzy na przykład dźwigają nie wypowiedany grzech i jeszcze wiele innych rzeczy. Bogu chwała i dzięki, że wreszcie chcesz to zrobić! Nie powinieneś być jednak mówić o tym w taki sposób, aby te obce kobiety słyszały...

– Nie jestem pewien, czy bym to powiedział, gdybyśmy byli sami. Teraz jednak spaliłem za sobą wszystkie mosty – uśmiechnął się blado.

Mnich patrzył na niego długą chwilę. Potem w milczeniu skinął głową.

– A teraz – odezwał się Olaf – ponieważ pan Helge leży złożony śmiertelną chorobą i nikt nie umie mi powiedzieć, kto jest tymczasem jego zastępcą, oficjał albo penitencjariusz...

– Sam dowiem się o to jutro, Olafie.

– Ale ja muszę odejść. Pragnę być sam.

– Oczywiście. Rozumiem.

Złączyli dłonie w mocnym uścisku. Olaf poszedł na górę, położył się i zasnął od razu. Spał, dopóki nie nadszedł młody braciszek z wieczerzą. Olaf zjadł i znów się położył. Boże, mój Boże, jak to dobrze spalić za sobą wszystkie mosty...

Kiedy nazajutrz rano zszedł do krużganka i chciał wejść do kościoła, Finn wyszedł mu naprzeciw.

– Olafie, czyż nie wiesz, że dopóki nie wypowiedałeś się z tego grzechu

w należyty sposób, nie wolno ci wejść do kościoła? Przypominam ci o tym dlatego, że jak wiesz, obarczasz się jeszcze cięższą odpowiedzialnością przekraczając zakaz.

Olaf stanął wstrząśnięty. Tak jest, wiedział o tym – był wyklęty zupełnie tak samo, jak gdyby obwieszczono klątwę w kościele. Od tak dawna jednak przekraczał ten zakaz, od tak dawna wkradał się tam, gdzie nie miał prawa przebywać, tylekroć popełnił świętokradztwo, że w końcu zapomniał o tym... Nie powiedział słowa, zawrócił i poszedł kruzgankiem.

Ojciec Finn pośpieszył za nim, ujął go za ramię:

– Pamiętaj o tych słowach, Olafie, rozumiesz po łacinie, prawda?

– Trochę.

– Pamiętaj więc o słowach napisanych przez świętego Ambrożego: *Novit omnia Deus, sed expectat vocem tuarn, non ut punit sed ut ignoscat.* Bóg wie wszystko, lecz czeka, aby posłyszeć twój głos, nie po to, by karać, lecz by zapomnieć.

Olaf skinął głową.

Zaledwie znalazł się w swojej celi, padł na kolana przed krzyżem.

Oczywiście wiedział o tym – lecz zapomniał. Oto jest pierwsze brzemie, które musi dźwigać – że mu nie wolno przestąpić kościelnego progu. Zrozumiał, że to kościół był miejscem, gdzie przez te wszystkie lata szukał pokarmu dla duszy, podobnie jak wyjęci spod prawa wielmożni duńscy żyli z grabieży własnego kraju.

Zdjął krzyż z pulpitu i ucałował wizerunek Króla.

– Panie, nie jestem godzien, abys wejrzał na moją skrucę i użyczył mi łaski...

Tyle razy już układał w myślach tę spowiedź, ów łańcuch grzechów swego żywota, od czasu, gdy jego pycha była młoda i dziecięco wrażliwa. Wobec ludzi, do których przywiązało się jego chłopięce serce, posługiwał

się kłamstwem i małymi wybiegami, aby być przez nich uważanym za dojrzałego. Od samego początku nie chodziło o nic więcej tylko o to, że obawiał się ich drwin i uśmieszków, gdyby dostrzegli, że jest tylko dzieciakiem, porywczym, upartym, o miękkim sercu, podczas gdy pragnął uchodzić za mądrego, przezornego i dzielnego. Ale te igraszki z prawdą trwały tak długo, aż został mordercą, krzywoprzysięzcą i świętokradcą; ogniwo po ogniwie wykuwał własne pęta i kamień po kamieniu znosił na własną więzienną celę. Aż zabrnął tak daleko, że za każdym razem, ilekroć zrywał się z bezmyślną odwagą, więzy zacieśniały się; ile razy serce pragnęło wznieść się ku temu, co je wołało, uderzało o kamienną ścianę i padało z powrotem.

Żałować...? Pojął teraz, że nie jest mu pisane życie tak długie, aby mógł zrozumieć w pełni to wszystko, czego musi żałować. Gdyby był wybrał wierność dla swego Władcy i odważył się wziąć na siebie ten ciężar, nie musiałby nigdy żałować, że to uczynił. Nie miał także powodu żałować, iż otwierał na oścież swoje drzwi każdemu, kto prosił o miejsce przy jego ognisku – ale nigdy dosyć nie przestanie żałować, że postąpił z samym sobą w ten sposób, iż tych, których zapraszał do siebie, zapraszał do człowieka zakażonego trędem.

Nic nie mogło się już odstać. Cecylia pozostała w domu nad zatoką z trupem męża, którego zabiła; trzech jasnowłosych chłopców o mysich uszach stało obok niej, czwarte dziecko nosiła pod sercem, ona zaś, matka, zgładziła ich ojca.

Jakże mógł być głuchy na głos własnego serca, gdy go ostrzegało, aby nie dowierzał mężowi, który jako chłopiec zdradził przyjaciela!

Tak długo błędził w ciemności, że nie śmiał dowierzać własnym oczom, choć widział, jak nieodpowiednim mężem dla jego jedyne go dziecka był Jörund. A od tego czasu nie uczynił nic, chociaż teraz zdawało mu się, że powinien był przewidzieć, iż coś może się stać... Ten małżonek,

którego córka broniła słowem i czynem, wierna niby miecz u pasa swego pana – pewnego dnia wystawi jej cierpliwość na zbyt ciężką próbę i wtedy Cecylia zwróci się przeciw niemu. Przypomnił ją sobie z czasów, gdy była małą dziewczuszką: zawzięta i dysząca gniewem, z jasnymi oczami pod zmierzwioną lnianą grzywą. Jakże mógł sądzić, że Cecylia zmieni się kiedykolwiek, chociażby nawet życie wzięło ją w karby i okiełznało... Można obłaskawić niedźwiedzie i sokoły, ale przez to nie staną się jeszcze oswojonymi zwierzętami.

Teraz było za późno i mógł tylko błagać Boga o pomoc. Byłoby butą i zuchwalstwem prosić Go, aby się posłużył nim dla ocalenia córki. Nie pozostało mu nic innego, jak opuścić ludzką wspólnotę i wstąpić na drogę samotnej pokuty. I dziękować za to, że mu na to pozwolono.

Zabrać ze sobą Cecylii nie mógł. Lepiej pójść za Jörundem, aniżeli iść z nim, oświadczyła. W imię Boże, może zmieni swój sąd, gdy się dowie, co jej ojciec uczynił...

Oto pierwszy gorzki kielich, który musiał wychylić: wiedzieć, że zawrócił za późno, i nie mieć nadziei, że Bóg pośle go z powrotem do walki jako swego rycerza. Swoje dzieło na tym świecie doprowadził do kresu i nie mógł uczynić go niebyłym. Wzgardził zaszczytem Szymona z Cyreny i teraz mógł tylko w skrusze czołgać się u stóp krzyża.

Nów wziął krucyfiks do ręki i stojąc przyglądał mu się. Po długim tygodniu walki i męczarni świta poranek Wielkiejnocy; podobnie po śmierci i ogniu czyścącym jemu również dane będzie wiedzieć zwycięstwo oraz chwałę krzyża. Ale tutaj, na ziemi, nie miał nigdy więcej ujrzeć blasku znaku, pod którym mógłby walczyć, wyposażony w dary, które otrzymał w chwili narodzin.

Olaf podniósł wzrok znad pulpitu i odwrócił się; posłyszał jakiś szmer w drzwiach. Wszedł Finn syn Arnvida. Mówił oschle i dziwnie oziębłe. Olaf zrozumiał, że robi to dlatego, aby ukryć wzruszenie.

Mnich oznajmił, że wraca prosto z kościoła Świętego Hallvarda; mówił tam z mistrzem Sigurdem synem Eindrida, który na czas choroby pana Helgego wyznaczony jest do słuchania spowiedzi zabójców. W zakrystii po mszy wysłucha spowiedzi Olafa.

– Masz więc jeszcze dzień i noc, abys się przygotował. I ja będę czuwał tej nocy i modlił się, abys odbył dobrą spowiedź. Pamiętaj jednak, Olafie, że jesteś starym człowiekiem, połóż się spać, gdy poczujesz zmęczenie. Nic nie pomoże, jeśli zechcesz zmuszać ciało do wytrzymania więcej, niż może znieść.

Olaf ściągnął usta. To prawda, był starym człowiekiem, nie mógł polegać nawet na sile ciała. Syn Arnvida przyklęknął na małej ławeczce obok Olafa i długo tam pozostał z twarzą ukrytą w dłoniach, po czym podniósł się w milczeniu i wyszedł z celi.

Godziny mijały. Od czasu do czasu dochodziły z zewnątrz szmery, kroki dźwięczały na kamiennych płytach dziedzińca, ktoś podszedł do studni i czerpał wodę. Deszcz padał i strugi ściekały z dachu, nagle zrywy wichru uderzały z trzaskiem o węgły domu, szumiały korony drzew, z zewsząd niósł się łomot i huk; potem wichura na chwilę ucichła. Dźwięk dzwonów zwiastował, że dzień dobiega kresu, daleki śpiew z kościoła oznajmił, że życie klasztorne idzie codziennym, jednostajnym trybem.

Dzień i noc – czas czekania dłużył się straszliwie. Olaf trzymał krzyż w ręce i od czasu do czasu wpatrywał się w niego, lecz miał wrażenie, jak

gdyby modlitwy spływały zwiędłe z jego warg, niby opadające jesienią liście. Czyż czekanie było aż tak okrutne? Ale On musiał czekać lat trzydzieści. Od zarania czasu aż po ostatni dzień czekał Bóg na ludzi.

Z zapadnięciem ciemności zjawił się młody braciszek i przyniósł coś do jedzenia – czuł, iż tu chodzi o rzecz niezwykłą. Olaf wypił wodę i zjadł kawałek chleba. Potem znów ukląkł i czekał.

Na dworze uczyniła się noc, cisza zaległa dom, tylko deszcz pluła, a wiatr zrywał się i opadał. W pewnej chwili Olaf podszedł do okienka i wyjrzał. Tam, naprzeciw niego w górnym skrzydle budynku za błoniastą szybą rozbłyskiwało słabe światełko... Tam był człowiek, który tej nocy czuwał i modlił się wraz z nim.

Nad ranem zdawało się, że słońce i wicher uspokoiły się. Chwilami niebo rozjaśniało się i słońce wzyrało spoza chmur, tylko tyle, że odbłask migotał na mokrych dachach.

Olaf zerwał się, gdy syn Arnvida stanął w drzwiach. Wziął kapelusz, narzucił płaszcz i poszedł za mnichem wąskimi schodami wiodącymi do krużganku.

Z rozmównicy wybiegł ktoś w wielkim pośpiechu – wysoki mąż w szkarłatnym płaszczu, z kapturem nasuniętym na głowę, przemoczony do nitki. Był to Eirik.

– Ojcze! Cecylia jest niewinna! – Powitał mnicha, stojącego obok ojca, którego spojrzenie było nieobecne. – Tak jest, ojcze, jest tyle rzeczy, które ci muszę powiedzieć, ale to najpierw. Ona jest niewinna! – Olaf utkwiał oczy w synu, zwolna twarz jego powlokła się rumieńcem.

– Bogu chwała, Bogu dzięki i chwała! – Głos jego drżał. – Czy jesteś

tego pewien? Jeśli nie, to nie mów, bo drugi raz nie potrafię uwierzyć...

– Znaleziono mordercę, ojczcie! Jest nim Anki. Biedacy byli tak wystraszeni, że uciekli z dziećmi i całym dobytkiem i ukryli się w lesie nad Kaldbekken. Lecz w niedzielę wieczorem Anki przybył do Rynjuli i prosił Unę, aby poszła z nim do Gudruny. Biedne dziecko nie żyło już, kiedy Una dotarła do lasu. Posłała więc gońca do domu i Torgrim przybył z ludźmi, którzy mieli zanieść zwłoki do gminy. Wówczas znaleźli sztylet i kłamrę Jörunda w jamie z mchu pod ciałem Gudruny. Arnketil nie wypierał się – jak mówił Torgrim, wydawał się raczej uradowany, że rzecz się wydała – niech ludzie wiedzą, że jego dzieci leżą w grobie pomszczone.

Olaf zachwiał się nagle. Kilka zdławionych, rzęzących jęków wyrwało się z posiniałych warg, oblicze również przybrało kolor siny, potem runął niby drzewo zwalone huraganem.

Eirik rzucił się na ziemię obok obcego mnicha, który próbował rozluźnić kaftan na szyi chorego i unieść ciało. Twarz ojca była barwy fioletowej, między nie domkniętymi powiekami ukazały się żółtawe, przekrwione białka, z krtani wydobywał się charczący oddech. Eirik nie rozumiał wyrazu twarzy zakonnika – czy był to wybuch rozpacz, czy też groza, którą usiłował opanować? To przejęło jednak syna jeszcze większą trwogą.

– Umiera?

– Nie – odparł mnich gwałtownie. – Pomóż mi go podnieść i zanieść do celi.

CZEŚĆ SIÓDMA  
SYN-MŚCICIEL



Letnie przesilenie minęło, nim Eirik mógł wreszcie wybrać się z powrotem do Neset.

Słoneczny blask rozjaśnił moczary, odbijał się w błyszczących listkach wierzb, a źdźbła traw połyskiwały na małych falistych łączkach. Woda jeziora odzwierciedlała las z przeciwnej strony, upalne, błękitne niebo i złociste obłoki – dzień chylił się ku wieczorowi.

Kiedy podjechał do ogrodzenia, wionął ku niemu zapach świeżo skoszzonej trawy. Zsiadł z konia i przystanął na chwilę rozglądając się; zachodzące słońce żarzyło się jak złoto i grupa małych domostw na półwyspie rzucała długie cienie na łąkę, gdzie Eldrida ze starą Ragnhildą grabiły siano.

Zona dojrzała go, odłożyła grabie i poszła mu naprzeciw. Szła wyprostowana i lekka, boso, w roboczym stroju. I znów Eirik pomyślał, że nie zna nic piękniejszego od czoła Eldridy, sklepionego ponad wielkimi oczodołami, i od zaokrąglenia jej podbródka, chociaż twarz jej była brunatna jak drzewo, a skóra obciągająca kości napięta. Głębokie rysy porały czoło, wokół oczu były zmarszczki, a z obu stron zaciśniętych ust ciągnęły się głębokie bruzdy.

Nigdy tak mocno nie czuł w głębi serca, że najchętniej tu by pozostał. To życie w borze polubił najbardziej. Tym razem przyjechał tu po raz ostatni jako do swego domu. Ale nie myślał ze smutkiem o losie, który go stąd wypędzał. Kiedyś tak bardzo kochał Hestviken, że wszystkie zmysły i serce drżały w nim, ilekroć znalazł się w pobliżu przedmiotu, należącego do jego rodzinnego domu. Teraz miłował Hestviken, ponieważ dwór go potrzebował, stara służba zwracała się do niego, oczekując, aby kierował i rozkazywał; był bratem, który musiał się zająć Cecylią i jej dziećmi, i

był synem zobowiązany pozostać u boku starca, który żył tam, niemy, otoczony tajemniczym nieszczęściem, niby całunem pomroki.

Mąż i żona podali sobie ręce na powitanie, poza tym jednak wszystko odbyło się tak, jak gdyby Eirik odjechał z domu dopiero wczoraj. Eldrida spytała, jak się powodzi teraz siostrze, a Eirik odpowiedział, że dobrze. A Olaf? Ciągłe tak samo – rzekł Eirik.

Kiedy Eirik zrozumiał, że minie dłuższy czas, zanim będzie mógł wrócić, posłał do Neset Sveina, syna Ragny. Pacholek opowiedział Eldridzie o wypadkach, które wydarzyły się wiosną na Hestviken, toteż Eirikowi ani przez myśl nie przeszło powiedzieć żonie coś więcej albo dowiadywać się, ile słyszała.

W nocy leżał bezsennie i czuł, jak spokojnie Eldrida śpi w jego ramionach. Radował się, że może przez jakiś czas pozostać w tym domu, zanim będą musieli przenieść się na Hestviken i zamieszkać razem z ojcem. Pamiętał dobrze, że jego pożycie z Eldrida poczęło się w ogniu namiętności i że oboje rzucili się na siebie, jak gdyby chcieli się wzajemnie wyssać i pożyć. Powoli to się zmieniło i teraz żyli z sobą tak, jakby oboje zostali już nasyчени i ugasili pragnienie. Eldrida była pierwszym człowiekiem, jakiego znał, u boku którego czuł się tak pewnie, że miał odwagę milczeć. Tak było od początku, zanim ją jeszcze poślubił, od pierwszego dnia, kiedy tu przybył, gdy mu przez myśl nie przeszło, iż będzie do niego należała. Już wtedy nie usiłował wcale gadać byle czego i przechwalać się w towarzystwie Eldridy.

Nie były to jasne, przetrawione myśli; leżał tylko i czuł, że u niej znalazł milczenie i uroczy jak leśny gąszcz pokój i wolność. Więzy łączące go z nią były pierwszymi, które pozwolił na siebie nałożyć i które mu nie ciążyły.

Tej wiosny zobaczył pewnego razu Gunhildę przed kościołem. Oczywiście, była piękna, jak jałowica, obwieszona kosztownościami,

wyglądała dzielnie i dostojnie. Jednak nie pasowaliby do siebie. Był wdzięczny, że znalazł małżonkę, która mu się na pewno nigdy nie uprzykrzy. Nie zastanawiał się nad tym, co w nim znalazła Eldrida. Widział jej ciche obejście, widział, że z uczuciem ufności śpi u jego boku, i to mu wystarczało.

W ciągu następnych dni pracował ze Sveinem na mokrych łąkach; wieczorami wypływał z Eldrida na jezioro i zapuszczał wężycze. W czasie południowej przerwy leżał na trawie pod ścianą domu, a czeladź chętnie skupiała się dookoła niego. Eirik przysłuchiwał się dwojgu starym i gawędził z nimi. Holgeir był rad, że Eirik i Eldrida mają opuścić Neset. Jeśli nawet Svein ożeni się i sprowadzi tutaj, i tak on będzie znaczył więcej na tym dworze jako krewniak pana tych włości. Natomiast Ragnhildę Eldrida postanowiła zabrać ze sobą; staruszka nie wiedziała sama dobrze, czego chce – raz chciała jechać z panią, to znów pozostać. Młody Svein spał z czapką naciągniętą na oczy. Eldrida siedziała nieco z boku, naprawiała odzież.

Pewnego dnia, gdy byli sami, Eirik powiedział:

– Niełatwe będzie to życie, które czeka cię na Hestviken, Eldrido. Wiele rzeczy jest tam nie tak, jak powinno być.

Nie mówił, co właściwie jest aż tak ciężkie. Dużo lat minęło, odkąd Eirik odczuwał potrzebę mówienia z kimkolwiek o tym, co go gnębiło. Właściwie nigdy tego nie robił; za młodu jednak próbował zagłuszyć troskę gadaniem o czym innym lub żartami. Obecnie nauczył się być tak spokojny, jak musi być człowiek, który chce rozplatać węzeł.

Straszno i ciężko było patrzeć na ojca. Eirik jednak nie śmiał okazywać, że dostrzega cokolwiek – nie śmiał nawet okazywać szczególnej czułości lub opieki; przy usposobieniu ojca oznaczałoby to dla niego jeszcze większą mękę.

Kiedy Olaf podniósł się z łoża, jedną stronę ciała miał prawie

całkowicie sparaliżowaną. Z wolna wrócił do siebie na tyle, że mógł chodzić, lecz lewa strona pozostała skurczona, ramię potrafiło wykonać zaledwie parę bezsilnych poruszeń, a zniekształcone, poryte bliznami oblicze ściągnęło się i skrzywiło do reszty. Kiedy próbował mówić, trudno było zrozumieć choć jedno słowo – był to bełkot i jękanie się. Później zaprzestał nawet wszelkich prób.

W miesiąc po przywiezieniu go do Hestviken pewnego dnia pokazał Eirikowi, iż chce, aby mu zgoilił białą, zmierzwioną brodę porastającą całą twarz. Zresztą Eirik wiedział, jak bardzo to dręczy starca, że musi przyjmować pomoc; wciąż na nowo podejmował bezsilne próby, aby samemu dać sobie radę, lecz gdy jadł, pokarm ciekł mu po brodzie i to zapewne było przyczyną jego prośby.

O ile Eirik mógł dostrzec, rozum ojca nie uległ przytępieniu. Może to uczyniłoby wszystko lepszym...

Kiedy Olaf leżał chory w Oslo, Finn syn Arnvida oświadczył, że udzieli mu Ostatniego Namaszczenia oraz poda wiatyk, gdyby miał umrzeć; Olaf okazał bowiem wolę wypowiedzenia się ze swego tajemnego grzechu. Jeśli jednak miałyby ozdrowieć i żyć nadal z pieczęcią tajemnego wyroku na ustach, nikt nie śmie wątpić, że miłosierdzie Boskie jest bez granic, albo sądzić, że można przeniknąć niezbadany sąd Boży. Jak król, który przyjmuje z powrotem do swej łaski niewiernego lennika, każe mu jednak jakiś czas trzymać się z dala od swej świąty, póki go nie wezwie – tak Olaf z męską wytrwałością musi oczekiwać znaku Pana.

W ostatnich dniach pobytu w grodzie Eirik sypiał u swych braci. Tam wypowiedział się u brata Stefana i naradzał się z nim. Nazajutrz zaś rano, gdy przystąpił do ołtarza, by przyjąć Ciało Pańskie, modlił się:

– Boże, Ty który jesteś Królem królów i wieczystą miłością!

Żaden król na tej ziemi, choćby nie wiem jak srogi, nie zabronił synowi złożyć okupu za swego ojca, raczej przyjmuje syna jako zakładnika.

Panie, nie patrz na moje grzechy, lecz wejrzyj na święte rany swego Syna i miej zmiłowanie dla mego ubóstwa, abys przyjął moją prośbę i pozwolił mi zamiast ojca czynić pokutę, którą on miał wykonać.

Brat Stefan powiedział, że on także ma czekać na znak...

Najgorsze chyba było to, że Cecylia nie mogła po prostu patrzeć na ojca; rozumiał, że we wstręcie, który odczuwała, niewiele już mieści się miłości.

Rzucało się w oczy, jak zakwitła i odmłodziła po śmierci męża. Zrobiła się tak ładna w ciągu trzech miesięcy wdowieństwa, iż miało się niemal wrażenie, że dotąd dusiła się w ciemnicy, a teraz odzyskała wolność. To, co powiedziała, kiedy ojciec chciał ją zmusić do położenia ręki na zwłokach męża, nie było prawdą – wyrwało się jej w przerażeniu. I całe szczęście – uważał Eirik – bo byłoby niesamowite, gdyby urodziła dziecko po okrutnej śmierci Jörunda...

Była dobrą i oddaną matką, dbającą o swych dwóch synków; ze średnim, Torgilsem, starzy z Rynjul nie chcieli się rozstać. Kolbein liczył obecnie sześć lat, Audun zaś trzy. Były to zdrowe i ładne dzieci; słuchały ślepo matki i dumne były z niej. Lecz wesołe i rozmowne stawały się dopiero w towarzystwie innych. A odkąd poznały lepiej brata matki, chodziły za nim krok w krok. Dziadka nie obawiała się wcale – nie zwracały na niego uwagi.

Wczesną jesienią Eirik powrócił do Neset – tym razem po to, aby zabrać stąd żonę do Hestviken. Ludzie różnie mówili o tym że Eldrida córka Bersego wróciła w te strony, w których spędziła młodość, i jest gospodynią na jednym z największych dworów. Większość jednak,

była zdania, że dobrze się stało. Wprawdzie miała na sumieniu niejednego grzech, ale były to stare dzieje; słuszne było, że z nędznej chałupy, w której mieszkała lat piętnaście, wróciła do dobrobytu, do jakiego od urodzenia przywykła.

Jej krewne, córki Arnego i ich ród, przyjęli ją do rodowej wspólnoty – Tora i Torgrim serdecznie, Baard i Sygne nieco oziębłe, ale z należnym szacunkiem.

Wciąż jeszcze była piękna i poruszała się pośród ludzi z taką godnością, że starzy, którzy pamiętali jej niezwykłą urodę z czasów, gdy wydano ją za sędziwego Haralda syna Jona, odświeżali wspomnienia tego wesela. Wielu też było takich, którzy całkiem inaczej opowiadali historię o jej rozwiązłym życiu wówczas, kiedy siedziała na Berg i potem na Sigurdstad. Teraz była niemłodą kobietą, blisko pięćdziesiątka, mimo to oboje z Eirikiem nie wyglądali na niedobraną wiekiem parę.

Eirik był tak wysoki i kościsty, że już w bardzo młodym wieku czynił wrażenie starszego. Rosły i barczyste, o potężnym tułowiu i długich, silnych kończynach, chodził nieco pochylony, ze zgarbionymi od ciężkiej pracy plecami. Wąska i szczupła twarz z garbatym nosem i wydatną wysuniętą szczęką była smagła, poorana bruzdami, ogorzała; i chociaż trudno byłoby go nazwać brzydkiem, niełatwo też było uwierzyć, że w młodości uchodził za ładnego. Jedynie wielkie, żółtopiwe oczy były niezwykle piękne; kędzierzawe, ciemne włosy mocno przyprószyła już siwizna.

Z czasem – powiadano – Eirik syn Olafa upodobał się bardzo do ojca, choć nie z wyglądu. Ten wielki i śniady mężczyzna z obwisłymi

ramionami wykazywał raczej zadziwiająco mało podobieństwa do ojca, który był niegdyś jasny i zgrabny. Lecz ludzie rozpoznawali wyraźnie naturę ojca w synu.

Eirik był równie mało mówny – tacy byli wszyscy w tym rodzie. I podobnie jak niegdyś Olaf godzinami stał na skale nad dworem albo też opierał się o plot, tak stał teraz syn na tych samych miejscach i patrzył przed siebie. Był jednak o wiele lepszym gospodarzem niż swego czasu Olaf; nie żeby tamten nie rządził rozważnie i zapobiegliwie; majątek rodowy nie podupadł bynajmniej za jego czasów. Ale pod rządami syna wszystko tchnęło życiem i ruchem; szczęście mu sprzyjało. Dwór w Saltviken, opuszczony za czasów Olafa Półmnicza, rozkwitał znowu. Na Rundmyr zaś usadawił parę młodych ludzi i pomagał im w karczunku lasów na pobliskich stokach.

Liv z resztą dzieci sprowadził do domu położonego na południu Saltviken – znacznie lepszego niż ten, w którym dotychczas żyła; mimo to żałowała, że nie może powrócić do swojej nędznej lepianki. Eirik jednak oświadczył, że lepiej będzie, jeżeli dzieci Ankiego nie będą mieszkały tak blisko Hestviken, gdy synowie Jörunda dorosną.

Ankiemu udało się wymknąć ludziom, którzy go związanego prowadzili do wójta, i zbiec. W ciągu pierwszych dwóch lat dochodziły od czasu do czasu wieści, że widziano mordercę to tu, to tam – na granicach gminy i w sąsiednich gminach; ukrywał się zapewne gdzieś w lasach. A gdy Liv w półtora roku po zniknięciu męża urodziła dziecko, oświadczyła, że ojcem jest Anki, który parę razy zachodził do niej do domu.

Trzeciej wiosny po śmierci Jörunda trzech mężów z gminy wybrało się

do Gardar, idąc najkrótszą drogą przez las. Na wyżynie Svarttjern znaleźli na piargu szczątki ludzkie, zniekształcone i pogryzione przez zwierzęta. Jedna noga w bucie utkwiała między głazami. Mężczyźni zaczęli szukać w lesie nad piargiem, czy nie znajdą śladów jakiejś kryjówki, przypuszczali bowiem, że zmarły był leśnym włóczęgą. W istocie nieco powyżej natrafili na maleńką lepiankę wbudowaną w skalny żleb. Wewnątrz wyglądało tak, jakby temu człowiekowi powodziło się nie najgorzej. Znaleźli sporo odzieży i naczyń oraz wielką kobiałkę, do połowy napełnioną jadem.

Jeden z obecnych był pewien, że uda mu się wyjaśnić prawdę, bo płasko rzeźbione wzory oplatające pałąk kobiałki przypominały te, które Eirik wycinał na Hestviken, a na kołeczku przytrzymującym wieko wyryte były runy. Jeden z mężów, który umiał odczytywać znaki runiczne, wyczytał Eirik. Potem wpadli na myśl, że przecież Eirik w Hestviken nosił podobne buty, tak samo połatane, jak te, które znaleźli na nieboszczyku.

Zanieśli więc szczątki Arnketila do gminy i pochowali tuż obok muru cmentarnego. Po czym oddali znalezione przedmioty w Hestviken i powiedzieli do Eirika; – Niewolnik pozostaje zawsze niewolnikiem, złodziejem był do ostatniego tchnienia.

– Anki nie ukraść tych rzeczy – odparł Eirik utkwivszy duże, przejrzystozłote oczy w twarzy chłopca, który to powiedział. – Niewolnik czy złodziej, pomścił syna i córkę w taki sposób, w jaki potrafił. I Bóg niechaj sądzi, jak wielki był jego grzech.

Nikt więcej nie badał tej sprawy. Jeśli Eirik syn Olafa wspomagał potajemnie zabójcę swego szwagra, była to jego sprawa. Mężowie z Hestviken bronili zawsze swych poddanych, nawet wtedy, gdy słusność nie była po ich stronie. Później dowiedziano się, że kazał odprawić mszę za duszę Ankiego – tak, nieboszczykowi przyda się to bardzo.

Panowie na Hestviken byli zawsze dobrymi chrześcijanami, chętnie dawali jałmużnę. Olaf był hojny, póki rządził we dworze, a Eirik był taki



sam. Olaf jednak słuchał skarg ludzkich jednym uchem, a gdy dawał, wyglądał tak, jakby myślał o czymś innym. Eirik uważał, że pożyczac należy z uśmiechem i obdarowywać z radosną twarzą. I jeśli nawet nie był rozmowniejszy od ojca, to jednak wyczuwało się, że słuchał pilnie tego, co ludzie mówią: nad jego milczeniem nic nie ciążyło. We wszystkim i zawsze był o wiele bardziej przystępny niż stary.

Nazajutrz po rozmowie z owymi ludźmi Eirik przeprowił się łodzią do Saltviken; chciał sam zanieść Liv wiadomość. Nim popłynął z powrotem do domu, zaszedł na dwór, by odwiedzić Cecylię. Wiedział, że nie, odbyła dotąd wywodu. Leżała po porodzie w tej samej izbie, gdzie siedział z ojcem owej nocy, kiedy ona sprowadziła go z Neset.

Wiosenne słońce wpadało przez trzy łukowate okienka i opromieniało głowę kobiety w lnianym czepcu; siedziała na niskiej skrzyni, pochylona nad niemowlęciem. Kiedy brat stanął w drzwiach, podniosła oczy i powitała go uśmiechem. Ale natychmiast spuściła je znów na maleńkiego chłopczyka leżącego przy piersi. Wyglądała młodo, beztrosko i szczęśliwie. Twarz jej nabrała dawnej krągłości, oczy rzuciły blask, a usta odzyskały różaną barwę.

Spokojnie wysłuchiwała opowiadania brata o śmierci Arnketila.

– Tak, musiało się tak skończyć – odezwała się ze smutkiem – jeśli nie chciał posłuchać twej rady i wynieść się z tych stron.

Potem zaczęła pytać o Kolbeina, Auduna i Eldridę, zapytała także o ojca. Ale przez cały czas nie odrywała wzroku od dziecka, które zaspokoiwszy głód, spało spokojnie. Łagodne, zwierzęco czujne spojrzenie młodej matki dziwnie wzruszyło Eirika; z takim wyrazem nie

spoglądała nigdy na tamte dzieci.

Lubiła je, owszem, poszyła dla nich zimą sukienki i poleciła, aby ją odwiedziły po rozwiązaniu. Lecz brat zauważył, że z tym małym Gunnarem sprawa wygląda inaczej. Jego nosiła pod sercem z radością...

Una wniosła piwo i jedzenie dla gościa. Postarzała się i ruchy jej stały się nieco ociężałe, ale zawsze jeszcze sprawiała wrażenie dzielnej i pogodnej. Zbliżyła się do Cecylii, by popatrzeć na dziecko; w tej chwili otwarło oczęta i obie kobiety pochyliły się czule nad maleństwem.

Una podniosła chłopaczka i podeszła do Eirika; musiał go dokładnie obejrzeć. Odsunęła chustkę z małej główki.

– No, czyż nie jest prześliczny?

– Tak, to ładne dziecko – rzekł Eirik. – Ale włosy ma rude – przekomarzał się.

Cecylia spojrzała na niego, policzki jej pokraśniały, brat widział, że lada chwila wybuchnie gniewem. Lecz po chwili roześmiała się:

– Oczywiście, ma rude włosy. Jest tak, jak mówiłam: mój Gunnar całutki od stóp do głów jest taki ładny, jak sobie tylko można wyobrazić. – Zbliżyła się i odebrała mu dziecko.

Eirik oświadczył, że nie może czekać na Asłaka: – Lecz pozdrów go ode mnie! – dodał.

Cecylia córka Olafa żyła zaledwie rok we wdowieństwie, kiedy zgłosił się zalotnik: Ragnvald syn Jona, przyjaciel Eirika z lat młodzięcych. Już dawniej, jeszcze wówczas, kiedy dwie młode dziewczyny prowadziły gospodarstwo, zaglądał nieraz do Hestviken; najpierw upodobał sobie Bothildę córkę Asgera, potem Cecylię. Nic jednak z tego nie wynikło.

Znalazł sobie żonę na pewnym dworze, niedaleko Botn, i mieszkał tam teraz jako wdowiec z dwiema małymi córkami.

Cecylia nie była temu przeciwna, znała Ragnvalda od dziecka. Był to człowiek prawy, miły, dobrze zbudowany, choć nie grzeszył zbytnim rozumem. I Eirik również nie widział przyczyny do dania odmownej odpowiedzi, jeśli Cecylia życzyłaby sobie tego małżeństwa.

Spostrzegł, że siostrze trochę ciężko dzielić władzę gospodyni z Eldridą. Dwie kobiety lubiły się i żyły zgodnie, bez swarów. Ale złożyły się tak, że Cecylia prawie cały czas, odkąd dorosła, rządziła samodzielnie na ojcowskim dworze – teraz zaś Eldridą zajęła pierwsze miejsce; była o wiele starsza i była małżonką Eirika. Najbardziej jednak pragnęła Cecylia uwolnić się od obecności ojca.

Kiedy Eirik mówił ojcu o zaletach Ragnvalda i wyraził swoje zdanie, Olaf skinął potakująco. Tak więc on i Ragnvald omówili warunki. Zrękowiny miały się odbyć w ciągu lata.

Na świętego Botolfa<sup>[36]</sup> Cecylia wybrała się do grodu, by poczynić zakupy na biesiadę. Tego samego wieczoru, kiedy przyjechała z powrotem, w chwili gdy wysiadła z łodzi, Eirik dostrzegł natychmiast, że coś się wydarzyło.

– Co się stało? – zapytał pomagając jej wyjść na pomost.

– Powiem wam później.

Oblicze siostry, zazwyczaj nieporuszone, stało się nagle ogromnie ożywione, zdawała się nasłuchiwać czegoś z zadumany, młodzieńczym wyrazem w modrych oczach, to znów twarz jej zastygała w ponurym zamyśleniu.

Eirik miał właśnie odprowadzić ojca na spoczynek, Eldridą pochyłona odwiązywała zawiązki u jego trzewików, kiedy Cecylia weszła do izby.

– Zaczekaj chwilę, ojczu. Jest pewna sprawa, którą najchętniej

[36] Świętego Botolfa – 17 czerwca. (Przyp. tłum.)

omówiłabym od razu, i proszę, byście mnie wysłuchali. Nie, ty zostań także, Eldrido. Chcę, abys i ty była przy tym. ...Chodzi o to, że nie mogę poślubić Ragnvalda.

– Nie możesz?! – Eirik zwrócił się ku siostrze. – On ma już nasze słowo, Cecyljo!

– Tak, wiem o tym, lecz musi nas zwolnić z tego słowa. Spojrzała na ojca, a on popatrzył na nią swym jednym wyblakłym, niebieskim, nabiegłym krwią okiem; drugie ukryte było pod na wpół sparaliżowaną powieką.

– Przypominasz sobie Aslaka syna Gunnara, ojczu; nazywał się Jon syn Torego tej zimy, którą spędził u nas; spotkałam go w mieście. Dowiedział się, że zostałam wdową, i znajdował się w drodze do nas. Nie ożenił się dotąd. Dałam mu moje słowo.

Eirik zobaczył, że ojciec dostał drgawek, jakie niekiedy wstrząsały obumarłą połówą twarzy i bezwładnym ramieniem.

– W takim razie obiecałaś się dwóm mężom – zachnął się, polem mówił spokojniej: – Za późno już dziś wieczór na omawianie tej rzeczy. Poczekajmy do jutra.

– Niepotrzebne tu długie gadanie. Prawdą jest, że dwóm mężom dałam słowo. Ale jeden tylko mnie dostanie. I tym będzie Aslak!

– Ależ ojciec i ja daliśmy naszą obietnicę innemu mężowi! Stało się to zgodnie z twoją wolą. My nie cofniemy naszego słowa!

– Już raz wyszłam za mąż według waszej rady – zielony płomień, który zapłonął w jej oczach, był tylko błyskiem, lecz przywiódł Eirikowi na myśl ową chwilą, w której posądził siostrę, że mogła zabić męża. – Nigdy nie dam Ragnwaldowi mego przyzwolenia. A jeśli nie chcecie wydać mnie za Aslaka, pójdę i tak za nimi.

– Nie wolno ci tak mówić, Cecyljo, masz trzech synów.

– Myślałam o tym. Oni muszą tutaj pozostać, są twymi spadkobiercami.

– Co ty powiesz, Eldrido? – zwróciła się do szwagierki.

– Powiem, że złamanie słowa nie przynosi nigdy nic dobrego. Ale niedobrze jest również poślubić człowieka, którego się nie chce. Musicie trochę poczekać...

– Aslak i ja czekaliśmy dość długo. Co ty sądzisz, ojcze? Czy nie wydaje ci się, żeśmy dość długo czekali?

Olaf kiwnął głową.

– Ojcze! – zawołał Eirik gniewnie. – O ile dobrze rozumiem, chcesz, abyśmy cofnęli dane Ragnvaldowi słowo?

Olaf położył ciężko zdrową rękę na ramieniu syna i znów kiwnął głową.

– No, jeżeli tak, to... ty tutaj postanawiasz, ojcze.

Niewiele więcej mówiono o tym. Eirik musiał pojechać do Ragnvalda i wyjawić mu, jak sprawa wygląda. Ragnvald początkowo uniósł się gniewem, ale po pewnym czasie uspokoił się i oświadczył, że musi w takim razie porzucić myśl o tym ożenku. – Skoro Cecylia wbiła sobie coś do głowy, nie chcę być tym, który usiłowałby zmusić ją do czego innego.

Tak więc nie Ragnvald, lecz Aslak syn Gunnara, przybył w dniu świętego Olafa<sup>[37]</sup> na Hestviken. Kiedy gość zsiadł z konia i podszedł do Eirika, ten spostrzegł, że Aslak z lekka utyka. Dreszcz przeszył brata, dreszcz niechęci – a może... sam nie wiedział.

Zrękowiny odbyły się w jesieni, a wesele odprawiono na Hestviken na wiosnę następnego roku, w dwa lata po śmierci Jörunda.

Aslak nie mieszkał nigdzie na stałe, przebywał przeważnie u swych braci na Ytre Dal; skupywał konie w gminach, gdzie chłopci trudnili się hodowlą źrebiąt, a potem sprzedawał je w Oslo i dalej, na granicy kraju. Był teraz zamożnym człowiekiem i posiadał udziały w wielu dworach na północy. Ale nigdzie nie podobało mu się aż tak bardzo, aby tam

[37] Świętego Olafa – 29 lipca. (Przyp. tłum.)

zamieszkać. On i Cecylia pozostali więc na Hestviken.

Eirik i Aslak żyli z sobą w przyjaźni i lubili się. Nowy szwagier był rozsądny, dzielny i łatwy w obejściu. Eirik przyznawał to chętnie. Lecz żywsza przyjaźń nie mogła się między nimi zrodzić i obydwaj zdawali sobie z tego sprawę. Pół roku po ślubie Aslak oświadczył Eirikowi, że najlepiej będzie, jeżeli wraz z Cecylią przeniosą się na stałe do Saltviken; i tak Eirik albo on muszą tam wciąż dojeżdżać, by doglądać gospodarstwa, tu zaś, na Hestviken, jest dość ludzi, a teraz, kiedy Cecylia spodziewa się dziecka...

Eirik zrozumiał, że oboje chcą się cieszyć swym szczęściem w miejscu, gdzie nic im nie będzie przypominało dawnych okropnych wydarzeń, i gdzie Cecylia mogłaby rządzić sama i nie patrzeć ustawicznie na ojca. Prędko więc doszedł z Aslakiem do porozumienia.

O tym wszystkim Eirik myślał, kiedy schodził na dół z poddasza i przypominał sobie wyraz twarzy, z jakim siostra pochylała się nad dzieckiem Aslaka. Przyszedł mu na myśl ów dzień późnej jesieni ubiegłego roku, kiedy się tu przeprowadzili; on sam przewiózł ich w swej łodzi. Deszcz padał, droga między opłotkami była błotnista, a w jednym miejscu zupełnie zalana wodą; Aslak wziął żonę na ręce i poniósł ją do domu, choć nogi miała już i tak przemoczone, on zaś utykał, jakkolwiek bardzo nieznacznie. I przypomniał sobie błysk wściekłości w zielonkawych oczach Cecylii, gdy pewnego razu wspomniał o ułomności Aslaka:

– Kuleje dlatego, że sam jeden walczył z pięcioma ludźmi, aż w końcu jeden z nich rzucił się na niego z tyłu, tak że upadł i złamał nogę.

Nie wierzył, aby chociaż cień prawdy był w tym, co gadał Jörund

– Cecylia nie należała do takich, ludzi, Aslak też nie. Siostra miała dobrego opiekuna w tym człowieku i dwór był w dobrych rękach. Eirik miał ochotę pójść w górę rzeki i obejrzeć młyn, który Aslak właśnie budował; uprzykrzyło mu się, mówił, wozić zboże łodzią do Hestviken. Wyglądało tak, jak gdyby nie miał nigdy zbyt wielkiej ochoty widywać się ze szwagrem, chociaż poza tym żyli w przyjaźni. Lubił Aslaka i darzył go zaufaniem, ale na tym też się kończyło. Pewnego dnia zdradził się z tym, przed Eldridą:

– Nie wiem, co to jest, ale ilekroć spotykam Aslaka, wydaje mi się zawsze, że on się nudzi...

– To zrozumiałe – odparła żona z uśmiechem. – Ale widzę, że ty nudzisz się jeszcze bardziej.

Eirik spojrział na nią, zaskoczony.

– Tak, doprawdy, zdaje się, że masz słuszność – odpowiedział z uśmiechem.

Poszedł do sadu wiśniowego i rozglądał się wokoło. Pierwsze drzewka, które zasadził, potworzyły już pnie grubości dziecięcej ręki, o lśniącej korze; dookoła przebijały ziemię nowe pędy. Drobne gałązki pokryte były żółtymi, rozwierającymi się pąkami. Kiedyś wyrosnie tu cały gaj, jak w ogrodzie klasztornym.

Późno po południu przypłynął do Hestviken. Nad samym brzegiem fiordu, przed cyplem najwyższej ze skał rozciągał się piaszczysty pas wybrzeża pod czerwoną skałą. Tam właśnie Eirik dostrzegł ojca z małym łukiem w rękę; starzec próbował, czy nie uda mu się nauczyć ruszać porażonym ramieniem. Boleść ogarniała Eirika za każdym razem, gdy

widział, że ojciec nie może poddać się – Olaf wciąż na nowo usiłował pokonać swoje kalectwo.

Żył w ciągłej trwodze o ojca, ilekroć ten stary, chory człowiek włóczył się sam po okolicy. Włókł się daleko przez wzgórze na południe, widziano go tam siedzącego i patrzącego w stronę Saltviken; ale gdy Eirik zapytał go, czy chce tam pojechać i obejrzeć dwór, Olaf potrząsnął głową. Obchodził dookoła całą zatokę, zapuszczał się w dolinę Kvern i na wzniesienie Byka. Mógł spaść, albo dostać udaru, leżeć gdzieś bez przytomności albo nawet umrzeć. Lecz Eirik nie śmiał posyłać nikogo ze starcem, aby go pilnował; spostrzegł, że niczym nie mógłby sprawić ojcu gorszej udręki. I musiał mu pozwolić na te samotne włóczęgi – starzec nie wytrzymałby siedzenia w izbie albo wleczenia bezwładnego ciała między domami.

Każdego dnia Eirik powtarzał prośbę, by mu wolno było pokutować za ojca. I za każdym razem wstrząsał nim głęboki dreszcz – kalectwo, niemoc, bezsilność – tego się lękał. Bo wiedział, że mężczyzna musi to odczuwać jako upokorzenie bardziej gorzkie i zawstydzające niż świadomość, że jest łotrem. Nigdy do tej pory nie rozumiał tego tak jasno, że najrozkoszniej z wszelakiej pychy smakuje ta, która płynie z poczucia cielesnej siły i zdrowia. Nikt jednak oprócz Eldridy nie wiedział, że Eirik umartwia się cieleśnie; uważał pilnie, aby czeladź nic nie zauważyła w czasie codziennej pracy. Pewnego dnia żona odezwała się:

– Teraz, Eiriku, wszystko jest inaczej, niż gdyśmy się spotkali. Wtedy gnała nas żądza zrodzona z nienawiści, zgryzoty i szyderstwa. Nie będę mówić o tym więcej, ale wiedz, że gotowa jestem, jeśli ty byś tego pragnął, zakończyć nasze pożycie.

– Musisz to sobie dobrze rozważyć, Eldrido – odparł spokojnie mąż.  
– To, o czym myślisz, byłoby dobrym wyjściem, ale tylko wówczas, jeśli oboje zgodzimy się na nie.



Minęła jeszcze jedna zima i nadeszła wiosna – bardzo wczesnie tego roku. Ledwie stają śnieg wokół zatoki, Olafa ogarnął znów niepokój; całymi dniami wędrował po okolicy, choć nie miał już siły oddalać się zbyt od domu. Ze dworu widać było wykrzywioną, pochyloną, ciemną postać na tle rozżarzonych słońcem skal, jak wlecze się powoli nad wodą albo skrajem lasu i polnymi miedzami. Często chodził do ujścia rzeki, gdzie potok z doliny Kvern wpadał do zatoki. Nieco powyżej wybrzeża ciągnął się niewielki, porośnięty suchą trawą stok pod skalnym wiszarem – Eirik nieraz wylegiwał się tam w latach dziecięcych i szukał lapońskich grotów. Teraz Olaf przesiadywał tam często.

Z czasem ułożyło się tak, że Eldrida przyprowadzała go na posiłki. Od pierwszej chwili, kiedy przybyła do Hestviken, Olaf odniósł się do synowej z ową cichą i ujmującą dwornością, która dodawała mu tyle wdzięku w młodzieńczych latach, ilekroć był gotów okazać ją komuś. Eldrida wśliznęła się w życie dworskie i dopasowała do niego o wiele łatwiej niż Aslak, i Eirik zauważył, że ojciec lubi jego żonę. Powoli doszło do tego, że pomoc Eldridy dręczyła go o wiele mniej niż czyjakolwiek.

Pewnego pogodnego poranka Olaf szedł swą zwykłą drogą przez pola. Na miedzach leżała zeszlóroczna trawa, zdeptana i spłowiała ale już świeże, błyszczące pędy przebijały się przez nią w ostatnich dniach; nowa zieleń zapewne wkrótce pokryje zwiędłe poszycie. Ilekroć musiał przystanąć, wpatrywał się w miedzę nic nie widząc, choć ciemne łądygi uschłego dzięglu i miodunki były już całe obsypane młodymi, ledwo

rozwiniętymi listeczkami. Opierał się ciężko na włóczni, której używał zamiast laski. Do bólów w nogach przyzwyczał się tak, że czuł je nie myśląc o tym; zdrowa noga bolała go w stawach i była zawsze zmęczona i wrażliwa, w obumarłej zaś czuł głuchy, rwący ból.

Drzewa liściaste na brzegu lasu rozkwitały pąkami, niektóre zaś były już zupełnie zielone. Były to drzewa, które każdego roku pierwsze się rozwijały – najwcześniej tu, w zatoce oblekała się w zieleń młoda dzika wiśnia rosnąca u stóp kurhanu Hvitserka. Olaf ujrzał dziś nagle, że jest to już potężne, stare drzewo o rozłożystej koronie.

Ptaki latały między drzewami, z tętniącego życiem lasu niesło się świergotanie i pogwizdywanie. Kilka wierzb nadbrzeżnych obsypanych było baziami żółtymi jak złoto, bił od nich zapach delikatny i słodki.

Olaf przeszedł most, wdrapał się z wysiłkiem na zbocze, na swoje zwykłe miejsce pod wiszarem. Wtem posłyszał, że z drugiej strony wzgórza bawi się gromadka dzieci i kąpie się w zatoce. Podszedł bliżej, stanął za kępą osik i spojrzął w dół, ku dzieciom.

To samo suche zbocze rozciągało się tutaj między małymi górkami aż do lasu, po wewnętrznej stronie skały Byka. Dno zatoki opadało tu bardzo łagodnie, czyste, lekko zamulone jasną gliną, tak że woda niby wodniste mleko opływała nagie ciała dzieci, które kąpały się i pluskały w niej. Był tu Kolbein – Olaf poznał płową jak słoma czuprynę wnuka. Miał teraz dziesięć lat i był tak chudy, że żebra sterczały mu w klatce piersiowej, a przeguby kończyn wybrzuszały się jak kolanka żdźbeł. Były tu też dzieci pierwszego parobka, który przyszedł na służbę po starym Tore, kilkoro zaś z nich należało zapewne do młodego małżeństwa, które Eirik osiedlił na Rundmyr.

Kolbein pływał na wyścigi z drugim chłopcem – zanadto się rzucał i prychał, osądził dziad. Na brzegu wśród wyschłych morszczyn dreptał jakiś malec, najmłodsze dziecko pierwszego parobka – mały chłopczek,

który cały Boży dzień plątał się po dziedzińcu. Chwilami wykrzykiwał gniewnie, bo kłuło go w nóżki; nikt jednak nie oglądał się na niego, brodził więc sam dalej. Siostra, która prawdopodobnie miała pilnować dzieci, siedziała znacznie dalej w wodzie na wielkim kamieniu, a przed nią po pas zanurzony stał wysoki, młody, urodziwy chłopak. Tych dwoje było starszych od reszty, każde z nich mogło mieć jakieś dwanaście, trzynaście lat. Dziewczyna brała z rąk chłopca muszle, które otwierał i podawał jej – była ładna i jasna, piersi jej zaokrąglaly się z lekka, ciemne od wilgoci włosy spływały na plecy.

I nagle wydało się Olafowi, że to nieprawda, iż pół wieku minęło, odkąd on i Inguna byli najstarszymi w dziecinniej gromadzie na Frettastein, która bawiła się nad leśnym jeziorkiem. Wydało mu się, że to był raczej sen, który mu się przyśnił, i że nie mogli upłynąć już tyle czasu.

Mały, tłusciutki chłopczyk wgramolił się tymczasem na zbocze. Szedł sobie pomalutku i poważnie, z rozkraczonymi nóżkami i wysuniętym brzuszkiem i w tej chwili Olaf dostrzegł, że tuż pod miejscem, gdzie stał, leży na drodze wielka żmija i grzeje się na słońcu. Pośpieszył na dół – bezwiednie stąpał pewniej niż zwykle. Ale gdy chciał zgnąć żmiję włócznią, uniosła z wściekłością łeb, syknęła i zniknęła pod kamieniami.

Malec zaczął krzyczeć wniebogłosy. Gdy Olaf się obejrzał, reszta dzieci stała na brzegu i gapiła się na niego, a duża siostra biegła rozpryskując wodę dokoła.

W chwilę potem, kiedy leżał pod skałą, dzieci przechodziły dołem, ścieżyną za krzakami; szły już, widać, do domu. Siostra prowadziła malutkiego chłopczyka za rączkę i ciągnęła go, rozmawiając z przyjacielem.

– Nie, nie boimy się go. Matka przykazuje nam tylko żegnać się na jego widok, wówczas nie wyrządzi nam żadnej krzywdy. Ale straszno jest patrzeć na Złego Olafa... stał się takim, kiedy w Oslo przed kościelną

bramą miał złożyć przysięgę na Pismo święte. Przysięgał fałszywie i wtedy tak go poraziło. Lewą rękę ma zupełnie szerniałą.

Mimo woli Olaf spojrział na zmartwiałą rękę. Nie była czarna, zresztą nie składa się przysięgi lewą ręką... Było to tylko dziecięce gadanie... A jednak – czy dzieci mogły wymyślić plotkę o przysiędze i nadać mu takie przezwisko – Zły Olaf?

Znak, znak na który czekał – usiłował dopatrzeć się go wszędzie, w każdej rzeczy. W zabawie dziecięcej gromadki i w słowach małej dziewczynki...

Wieczorem znów spotkał dziewczynkę; szła z matką i dziewczką w stronę lasu. Niosły kubły i cebry, pewnie szły do letniej obory. Nie, nie było w niej teraz podobieństwa do Inguny. Nie wiedział dotąd, jak jej na imię – Reiduna, oświadczyła matka.

Zauważywszy, że starzec przygląda się jej, Reiduna zmieszała się i przeżegnała po kryjomu.

Olaf zdrzemnął się tylko krótką chwilę, tak mu się przynajmniej zdawało, gdy obudził go gwałtowny ból pod żebrami – tej nocy dawał się on bardziej we znaki niż kiedykolwiek, a przy tym Olaf marzył bardzo; między łopatkami czaił się lodowaty chłód i gdy Olaf oddychał, zimno zdawało się pełzać po całym ciele, tak że były na niego zimne poty, a ręce i nogi miał chłodne jak wilgotne kamienie.

Pewnie za długo leżał na zboczu – nie powinien był tego czynić, taki stary wrak jak on...

Potem przyszła fala gorączki i wzmagała się coraz bardziej; poczuł, że głowa i ciało płoną, podczas gdy kończyny były dalej jak ołów. Żar zdawał

się płynąć z wielkiego, bolesnego węzła, ukrytego wewnątrz, pod klatką piersiową. Olaf miał wrażenie, że leży tam rozpalony kamień, a kłujące bóle, które promieniowały stamtąd do płuc i do trzewi, napełniały całe ciało okropną męczarnią. Przeszywał go nieustający strumień płomieni; teraz sięgnął głowy i wirował w czaszce, prócz tego Olaf miał uczucie, że po skórze pełzają mu mrówki. Potem ujrzał iskry; skakały w ciemności, która falowała ciągle, kołysało się również łoże pod nim, a bolesny kłęb w piersi piekł tak mocno, że Olaf aż drżał z wysiłku, by stłumić głośny jęk; pot spływał z niego strumieniami. Chwyciły go wymioty, rozsadziły pierś i gardło, napełniły usta krwią i niesmakiem, aż wreszcie struga skażonej krwi popłynęła spoza tamy zaciśniętych zębów.

Gdy tylko nastąpił krwotok, natychmiast poczuł ulgę. Leżał wyczerpany i czuł, jak boleści cofają się do owego węzła, który teraz znów bolał w sposób czysty i prosty jak rana. Marzył strasznie na przepoconym posłaniu, ale czuł się lepiej. Gdyby jeszcze mógł wytrzeć krew, w której leżał – tak ją było czuć!

Potem nagle znalazł się na jakiejś ścieżce prowadzącej jarem; po obu stronach rozciągały się usypiska, w górze, na zboczu rósł las świerkowy. Głęboko w dole na końcu jaru dojrzał jezioro; niebo było szare, przeciwny brzeg spowijała mgła – poznał tę okolicę: było to w domu na brzegu jeziora Mjös. I kiedy tak szedł, zdawało mu się, że widzi siebie samego, szesnastoletniego, jasnowłosego i zdrowego jak zielona jagoda, uosobienie młodości.

Zobaczył, że Inguna idzie przed nim w starej, czerwonej sukience, grube, jasnokasztanowate, na pół rozplecione warkocze opadały na wąskie plecy. Przyśpieszył kroku. Inguna szła przed nim ciągle tak samo bez pośpiechu, ale chociaż on szedł coraz szybciej a nawet biegł, nie mógł jej dogonić – odległość między nimi nie malała...

Nióśł włócznię na ramieniu – była to włócznia, którą dla niej

sporządził, z czerwonym drzewcem i krótkim ostrzem, ale odkąd darował ją dziewczynie, sam musiał ją zawsze nosić. Włócznia stawała się ciężka, uciskała coraz bardziej, tak że ramię zaczęło go boleć i szedł pochyłony pod tym brzemieniem – Inguna zaś była wciąż daleko przed nim i nie mógł za nią nadążyć...

Tak dotarli nad brzeg i szli wzdłuż zatoki. Wybrzeże było piękne, piasek bielutki, obramowany ciemnym pasem fal, woda na jeziorze była szara. Jeszcze wciąż widział Ingunę w wielkiej oddali, a oszczep na ramieniu przygniatał go ku ziemi, w piersiach zaś miał palącą ranę, z której płynęła krew – widział, jak spływa na piasek, który wsysał ją tysiącem łapczywych, maleńkich ust...

Olaf ocknął się w głębokim mroku, i zrozumiał, że krzyczał. Posłyszał, że obok w izbie ktoś zsuwa się z łoża i roznieca ogień. Po chwili Eirik ukazał się w drzwiach z płonącym łuczywem w ręce, nagi pod płaszczem, którego poły obwiązał dokoła bioder.

– Czyś chory, ojczu?

Za mężem ukazała się Eldrida; oświetlili go.

– Znowu wymiotował – Eldrida przyniosła szmatę, otarła krew na piersi Olafa i oczyściła łoże. Eirik podniósł go. Zamroczony snem dotykał ojca niezgrabnie i szorstko, tak że Olaf nie mógł stłumić cichego jęku; iskry bólu zaczęły w nim znowu wirować.

– Nic, tylko krew i skrzepy...

– Calutki mokry jest od potu. Przykryj go lepiej – Eldrida przyniosła skórę.

– Może cię przenieść do izby, ojczu, na drugie łoże? Olaf potrząsnął głową. Leżał bez sił, oparty o poduszkę.

– Muszę położyć się tutaj, nie sposób go zostawić dziś samego – zwrócił się Eirik do żony.

Olaf znowu potrząsnął głową i zrobił przeczący ruch ręką.

Eldrida i Eirik odeszli i położyli się. Bóle cofnęły się do chorego miejsca i po pewnym czasie, gdy leżał nieruchomo, nie cierpiał już tak bardzo. Gdyby choć pomyśleli o tym, aby mu podać coś do picia... I taki żar był pod tą skórą – Olaf zrzucił ją na podłogę.

Zresztą nie czuł się teraz tak źle. Tylko ten ból tkwił pod żebrami i przy każdym oddechu dudniło w klatce piersiowej. Po jakimś czasie wydało mu się, że jego ciało jest starą, porzuconą na brzegu łodzią, na wpół zatopioną, i za każdą falą, która ją podrzucała, deski rozluźniały się coraz bardziej w spojeniach, zaś dusza jego niby ptak siedziała na jednej z desek dna kołyszącej się z pluskiem zbutwiałej łodzi... A kiedy lódź rozleci się i spłynie z falą, ptak uleci w swoją stronę... Powoli pluskanie wody ukołysało go do snu...

Zbudziło go pragnienie – nie cierpiał już tak bardzo z powodu bólów, czuł raczej ogromne zmęczenie i dręczyły go gorzkie, zastygłe wyziewy starości i śmierci. Nie przypominał sobie, czy śniło mu się coś, lecz ocknął się z takim uczuciem, jakby był młodym więźniem zamkniętym w zużytej i steranej powłoce ciała, które szarpało się w szponach śmierci.

U stóp łoża znajdowała się mała wyzierka zatkana drewnianym kołkiem. Leżał dręczony pragnieniem i dusznością i myślał o tym, aby się podnieść i otworzyć wyzierkę. Kilka razy próbował to uczynić, ale zaledwie się poruszył, czuł, jak bóle szykują się do nowego natarcia.

Potem uczynił to jednak – jeden rzut ciała i kłęczał w nogach łoża. Zgięty wół, zawisnął przez chwilę na desce, czekając, aż ucichną mdłości zbudzone gwałtownym ruchem.

Nowy strumień ognistego bólu rozlał się w nim, gdy chwycił kołek i zaczął ciągnąć; kołek siedział mocno. Olaf zacisnął zęby i stłumił krzyk – miał wrażenie, że szaleją w nim płonące diabły. Potem opadł wyczerpany na rzeźbiony słup łoża, z kołkiem w ręce: to był chyba najcięższy czyn jego żywota. Łzy ciekły mu po zniszczonej twarzy, gdy wdychał rzeński

chłód poranka płynący ku niemu. Na dworze było już widno, był jasny dzień i ptaki budziły się z wolna.

Zsunął się z łoża i zataczając się powlókł do swego ubrania. Wiedział przecież, że jest starym, śmiertelnie chorym człowiekiem, który z wysiłkiem przy pomocy chorej ręki chce się ubrać w ciemnej komorze, i każdy ruch sprawiał mu taki ból, że pot i łzy spływały mu po twarzy; zgrzytał zębami, aby nie wyć głośno i nie obudzić tamtych w izbie. Ale równocześnie czuł, że jego wewnętrzne „ja” gotuje się do tego, aby przełamać krąg wrogów i zmiażdżyć ich... Wspomnienia orężnych walk, w których brał udział, wydawały mu się sennym majaczeniem, teraz jednak była to rzeczywistość. We wściekłym boju zmagał się z sobą, aby zmusić do posłuszeństwa drżące członki. Czepiając się ściany zawlókł się do izby, dotarł do drzwi przedsionka i otworzył je. Stąd przeszedł do drzwi wejściowych, uporał się z nimi także. Potem stał na zimnym jak lód progu, boso, w koszuli i płaszczu; poranny chłód przenikał go na wskroś i rozdymał bolące piersi. Bolało, ale raczej dobrotliwie.

Spojrzał w górę, ku stromej skale, która wznosiła się ponad dachami zabudowań gospodarczych: zielona trawa i krzewy czepiały się skalnych załomów, a każdy liść był cichy i pełen oczekiwania. Sosnowy las na skraju stał nieruchomy na tle jasnego porannego nieba.

Morza nie mógł stąd widzieć, lecz słyszał jego ciche szemranie pod skałą, słyszał, jak drobne fale podbiegają i cofają się między nadbrzeżnymi kamyczkami. Raz jeszcze zapragnął ujrzeć wodę...

Szedł wzdłuż rzędu domostw, ręką czepiając się bali, potem dowlókszy się do ostatniego zabudowania oparł się o węgieł. Ścieżka wiodąca do przystani biegła pusta i samotna wzdłuż brunatnego kobierca żyznego pola, zielone igiełki zboża wschodziły już gęsto. Całkiem w dole, u końca dróżki, szopy okrętowe pochylały się, jak gdyby nasłuchując nad wodą, która pluskała i szumiała dokoła pali. Olaf puścił belkę na rogu izby



czeladnej. Słaniając się, bez podpory, powlókł się dalej. Zdołał jeszcze wdrapać się na skałę ponad dworem, potem siły go opuściły i upadł na ziemię w małe wgłębienie gruntu. Ale sucha, spalona trawa przyjęła go jak miękkie posłanie.

Olbrzymi, jasny strop nad nim, fiord głęboko w dole i lasy nadbrzeżne zaczęły nasycać się ciepłem wstającego dnia, który zakwitał barwami. Ptaki ocknęły się w zagajnikach i po lasach. Z miejsca, gdzie Olaf leżał, widział ptaszka na szczycie młodego świerka – czarny punkt na tle złotej zorzy polarnej – widział, jak nadyma się i kurczy, niby bijące serduszek. Czyste fletowe tony płynęły jak woda źródłana, górując nad sennym, cichym świergotem, a skądś, z mroków boru niósł się odzew. Zwał chmur na niebie zaczęły z wolna różowieć i Olaf niecierpliwił się, że musi leżeć i czekać...

Widział, że wszystko dokoła niego czeka także. Morze, które uderzało o skały, i wrosnięte w skalne rozpadliny jarzębiny, i brzozy, których liście były jeszcze na pół stulone, od czasu do czasu drżały niecierpliwie, a potem uspokajały się. Skała, ku której leżał zwrócony, też czekała, spoglądając w światłość nieba i morza.

Z głębi wspomnień wypłynęły ku górze słowa Jutrzni, które znał nigdyś... Wszystkie drzewa w lasach powinny radować się przed obliczem Pańskim i fale mają klaskać w dłonie, albowiem On nadchodzi i sprawiedliwie sądzić będzie świat... I zrozumiał, że istotnie czekają – drzewa, które rosły na skałach jego dworu i wszystko, co kiełkowało i wyrastało na jego dziedzicznej roli, i fale wpadające do zatoki – wszystko czekało na to, ażeby widzieć, jak zapadnie wyrok na niewiernego i nieudolnego pana... Oto na co czekała ziemia w każdej godzinie; lecz w drzeniu godziny przedrannej oddychała piękna i zdradzona tak, że można ją było posłyszeć – pełna strapienia i niemiłosierna, jak zhańbiona dziewica, ziemia czekała na to, aby dane jej było prawo nad ludźmi,

k którzy jeden po drugim ginęli i szli na sąd umarłych... Ów wyrok zapadał w każdej godzinie i w każdej chwili, to było hasło, które jeden dzień podawał drugiemu i jedna noc szeptała drugiej... Wszystko inne, co Bóg stworzył, śpiewało pienia pochwalne – *Benedicite omnia opera Domini Domino* – znał je za młodu. Ale ci, których Pan ustanowił władcami i książętami ziemi, opuścili Go i walczyli między sobą, zdradzili Boga i zdradzili swoich bliźnich.

Ptaszek na wierzchołku drzewa zanosił się wciąż od śpiewu. On, Olaf, otrzymał również swój żywot w lenno i gdy doszedł do lat męskich, Chrystus, dawca łaski, i jemu również wręczył chorągiew, uzbroił ramię w miecz i włożył pierścień na palec. Ale on nie bronił chorągwi, splamił miecz niegodnym czynem i zapomniał o tym, co miał mu przypominać pierścień; a teraz musiał stanąć i nie mógł powołać się na żaden czyn, którego by dokonał z sercem przepelnionym niezłomną wiernością, nie mógł wskazać ani jednego dzieła, które nazwałby dobrym. Panie, nie w zapalczywości Twej strofuj mnie, ani w gniewie Twoim karz mnie.

Ponad sobą widział całą kopułę niebios pokrytą białymi obłoczkami jakby ogromnym stadem jagniąt, lecz byli to ludzie. Byli biali i prześwietleni jasnością, która z nich promieniowała i która ich wypełniała, jak słońce napęlnia blaskiem chmury. Posuwając się powoli poruszali się wysoko nad nim i patrzyli na niego. Poznał matkę i wiedział, że inni także są wśród nich – Inguna również...

To był wschód słońca, rozumiał to – ale zarazem było to jakby pismo. Podobnie wpatrywał się w delikatne wzory liter na błyszczącym pergaminie, póki nie rozpoznał któregoś słowa – wówczas, gdy Arnvid uczył go odczytywać pisane znaki.

A potem promienie ze źródła światła spłynęły na dół i zalały go. Przez ułamek chwili wpytrywał się otwartym okiem wprost w słoneczną jasność, przepelniony tęsknotą i umiłowaniem pragnął spojrzeć głębiej,

wpatrzeć się w Boga. Opadł z powrotem w czerwony płomień, wszystko dokoła było pożogą i wiedział, że teraz płonie wieża więzienna, którą wznosił wokół siebie. Lecz namaszczony wzrokiem, który go objął, przedzie nietknięty przez rozżarzone zgliszcza swego spalonego domu, na spotkanie Tego, który jest wieczystą błogością; ogień, który go trawił, nie był tak palący, jak jego tęsknota...

Eirik znalazł ojca nieprzytomnego na wzgórzu, gdy wybiegł rano z domu, przestraszony, że go nie zastał w komorze. Zaniósł go do domu i położył na łożu.

Widział, że śmierć krąży w pobliżu. Włosy ojca zlepily się w kosmyki, brudzy koło nosa zapadły się i zbiały. Lecz teraz wydawało mu się, że Olaf nie cierpiał już tak bardzo. Eirik wysłał posłańców – po księdza i po starych na Rynjul, oraz do Saltviken. Siostrze kazał powiedzieć, że tym razem musi przyjechać – odkąd Cecylia wyprowadziła się półtora roku temu z Aslakiem, noga jej nie powstała w Hestviken, a ilekroć Eirik prosił ją, aby odwiedziła ojca, znajdowała zawsze wymówkę.

Wszyscy domownicy i krewni stali w komorze dokoła łoża Olafa, kiedy wszedł sira Magne w albie i stule, śpiewając: *Pax huic domui*, a ministrant niosący krucyfiks, odpowiedział: *et omnibus habitantibus in ea*.

Kolbein i Torgils mieli trzymać gromnice. Stali w napięciu i patrzyli na dziada, który umiera. Dzieci czuły zawsze, że coś mrocznego i tajemniczego otacza starego człowieka, który krążył na skraju ich życia, wykrzywiony, skurczony i niemy. Zazwyczaj niewiele o nim myśleli. Teraz stali, nie zwracając uwagi na to, że podczas gdy wpatrują się w

niego, roztopiony wosk cieknie im po palcach. W łagodnym blasku świec lśnił wieniec siwych włosów na brązowej poduszce – to Eldrida uczesała go tak pięknie. Głowa starca z szarą twarzą i przeciętym policzkiem, ze skrzywionymi ustami i opuszczoną do połowy powieką, lecz z pięknym czołem i drugim policzkiem gładkim i ładnym podobna była do głowy jednej z kamiennych figur w portalu kościoła Panny Maryi. Albowiem ona także miała lewą stronę strzaskaną.

Drżąc z napięcia patrzyli chłopcy, czy się coś stanie, czy zniszczone starcze oblicze nie zmieni się, gdy kapłan odpuści dziadowi grzechy w imieniu Boga. Obok stojącego księdza klęczał wuj Eirik; nieruchomy jak posąg, pochylił przyprószoną siwizną głowę, a w rękach osłoniętych cieniutką chustką płócienną trzymał najpiękniejszy srebrny kielich z sześcioma kłaczkami śnieżnobiałej wełny. Wyraźnym głosem dawał odpowiedzi razem z ministrantem. Chłopcy nie rozumieli odmawianych pacierzy, pamiętali jednak, aby skłonić głowy, ilekroć powtarzało się imię *Jesus* lub *Gloria Patri*.

Potem nastąpiły pytania w języku norweskim zadawane umierającemu, który nie mógł się spowiadać. Przy każdym akcie skruchy, wiary, nadziei i miłości dziad uderzał się w piersi i próbował pochylić głowę. W jego jedynym żyjącym oku, w którym odbijał się blask świec, dojrzeli wnukowie niepojęty dla nich świat, ale rozdartą połowa twarzy nie zrosła się z powrotem, jak oczekiwali. Potem ksiądz i wuj odmówili głośno *Kyrie* i sira Magne odczytał ze swej księgi długą, długą modlitwę; nazwał dziada po imieniu, Olavus, a Eirik pochylił jeszcze niżej głowę i wszyscy w izbie płakali, najgłośniej Una.

Eirik dotknął niemal czołem podłogi, kiedy ministrant mówił *Confiteor* – to dzieci znały; a teraz nastąpiło przebaczenie *Misereatur* i *Indulgentiam*.

Nie widzieli dotąd nigdy, jak namaszcza się umierającego, toteż

wodzili spojrzeniem za palcami księdza i każdym kłaczkiem wełny; ksiądz brał je z kielicha trzymanego przez Eirika, zwilżał olejem i kreśląc krzyż przesuwiał po oczach i uszach, po nosie, ustach i dłoniach dziada. W końcu wuj jedną ręką odchylił nakrycie z nóg umierającego – i tak olejem miłosierdzia wymazane zostało wszystko, co Olaf zgrzeszył oczyma i zmysłami, słowami i rękoma, i każdym krokiem, który go sprowadzał z właściwej drogi.

Teraz dzieci wyczekiwały tęsknie, kiedy skończy się to wszystko, bo były zmęczone staniem bez ruchu i trzymaniem świec... Plecy i ramiona wuja Eirika drgały chwilami, jak gdyby płakał, a głos jego był stłumiony, kiedy dawał odpowiedzi.

Po południu dzieci wyszły na dziedziniec; wiedziały, że nie wolno im się bawić, gdyż sira Magne miał wrócić wieczorem i przynieść dziadowi Ciało Pańskie. Lecz po chwili zapomniały się i zaczęły hałasować; nieczęsto się zdarzało, żeby Kolbein i Audun widzieli brata Torgilsa, poza tym musieli przecie omówić z dziećmi pierwszego parobka wszystkie dziwy, które widzieli z rana. Reiduna także była w komorze i widziała, jak czarna ręka Olafa zbiełała, kiedy ją ksiądz namaszczał; Kolbein i Torgils przytaknęli; widzieli, że stała się w każdym razie o wiele jaśniejsza.

Potem musieli iść do niewieściej izby; siedzieli tu i wypoczywali starzy z Rynjul, a mały rudowłosy braciszek Gunnar nauczył się chodzić od ostatniego razu, kiedy starsi bracia byli w Saltviken. Audunowi przyszło na myśl, że Gunnar jest po raz pierwszy w Hestviken, wyciągnęli go więc na dziedziniec, aż wyszedł Aslak i nakazał im spokój.

Eirik i Cecylia siedzieli sami w starej izbie. Dymnik był otwarty, a wpadające przez otwór promienie zachodzącego słońca zabarwiały błękitne lekkie pasemka dymu, wznoszące się z dogasającego żaru. W górze dym rozpląwał się i zaczynał falować, potem rozprzestrzenił się szeroko pod belkowym pułapem. Rodzeństwo siedziało w milczeniu, śledząc pasemko dymu; ze dworu dochodziły przenikliwe chłopiące głosiki i tupot nóg skaczących po skalistym gruncie.

W pewnej chwili syn podniósł się i wszedł do komory: zajrzał do chorego.

– Śpi teraz – rzekł. A wkrótce dodał: – Gdy się obudzi, może zechciałabyś z nim pomówić chwilę sama?

– Przecież nikt z nim mówić nie może, Eiriku!

– Powiedz mu więc, co ci leży na sercu...

– Wszyscy pożegnaliśmy się już z nim przecież. Cóż tu jest więcej do powiedzenia?

– Cecyljo – odezwał się Eirik ściszym głosem – sądzisz, że ojciec nic nie zauważył? w ciągu czterech ostatnich lat nie chciałaś go widzieć. A gdy wchodził do izby, w której byłaś, wymykałaś się chyłkiem. Tak, tak, nie zapomniałem, że ciężko ci wówczas obraził...

– Przebaczyłam mu to już dawno – przerwała prędko. – Nie o to chodzi... Ale czy nie rozumiesz, bracie? Jeśli niesamowicie czuliście się, ty i Eldrida, gdy widzieliście go tu kręcącego się na pół żywego, a na pół umarłego, to cóż dopiero ja? Dla mnie to było o wiele straszniejsze. Chyba pamiętasz, co zaszło, nim jego życie się skończyło?

– A czy ty pamiętasz, że ja podniosłem na niego siekiere, i Bóg wie, że nie moją jest zasługą, iż nie zabiłem mego ojca? Zastanów się teraz sama, czy lekko mi było widzieć go tutaj przez te lata w tym stanie – mnie, który pamiętam go takim, jakim był dawniej; był to najwspanialszy mąż ze wszystkich, których spotkałem, najpiękniejszy i najbardziej

wielkoduszny.

– Tak mówisz teraz, Eiriku. Ja jednak pamiętam dobrze, że zawsze żyłście w niezgodzie, przez cały czas, odkąd byłeś małym chłopcem, aż do dnia, kiedyś opuścił dom i ożenił się, nie pytając go wcale o radę. Nigdy nie mogłeś wytrzymać w domu, zawsze, ledwo wróciłeś, ciągnąłeś znowu w świat i winę za to przypisywałeś ojcu; powiadałeś, że jest niesprawiedliwy. I zdaje mi się, że miałeś słuszność. Często był niesprawiedliwy wobec ciebie i wszystkim nam ciężko było żyć z nim razem. Ale powiedziałam ci już: wybaczyłam mu z całego serca, jak przystoi chrześcijance...

– Dobrze przynajmniej, żeś mu wybaczyła jak chrześcijanka – Eirik uśmiechnął się z lekka. – Ale czy nie wydaje ci się, że to zbyt mało, jeśli chodzi o ojca i córkę?

Nagle w oczach Cecylii zakręciły się łzy.

– Byłam dobrą i posłuszną córką, Eiriku. Żaden z was nie znał dobrze Jörunda. Bóg niech będzie miłościw jego duszy, ale że nie uczyniłam tego, o co ojciec mnie podejrzewał, temu się sama nieraz dziwiłam... Nie sądzę, aby było grzechem to, że nie chciałam zostać tutaj i mieć go wiecznie przed oczyma teraz, kiedy nareszcie wolno mi jest być razem z Aslakiem, kiedy mogłam powiedzieć, że i ja także cieszę się życiem... Chodził tu przecież jak widmo tego wszystkiego, co było gorsze niż męczarnie, niż wbicie na pal... A poza tym wydaje mi się, że ojciec nie bardziej tęsknił za mną, niż ja za nim tęskniłam.

– Tego nie wiesz. To prawda, ojciec bywał niekiedy szorstki i milczący, lecz sądzę go po czynach, Cecylio. Śmiem twierdzić, że mimo to nie widziałaś nigdy człowieka, który by postępował bardziej wielkodusznie i tak, jak godzi się prawdziwemu chrześcijaninowi, i to we wszystkim. Pierwszy wyciągał ku biednym pełne ręce, pierwszy otwierał swoje drzwi wdowie lub każdemu, kto potrzebował pomocy. Myślę, że i twój

Aslak mógłby coś o tym powiedzieć... Niełatwo było przyjąć pod swój dach zabójcę wówczas, kiedy stary król Haakon sprawował władzę. Nie macie prawa, ani ty, ani on, chować do ojca urazy, że nie dał mu jeszcze ciebie na dodatek, od razu, na pierwsze jego słowo. Czy słyszałaś kiedy, aby nasz ojciec zyskał choćby grosz, choćby piędź ziemi nieuczciwym postępowaniem lub przemocą wobec bliźnich? Nawet najgorszy łobuz tu, w gminie, nie ośmieli się pisnąć słowa, które by rzuciło cień na imię i cześć ojca. Jeśli jednak ktokolwiek, obojętne, mąż czy niewiasta, popadł w nieszczęście i jego dobre imię rzucono krukom na żer, a ojciec nie mógł się przeciwstawić złej plotce, to przynajmniej milczał; złe słowa zawsze ginęły przed jego progiem, chyba że ktoś z nas podniósł je i posiał dalej. Czy zapomniałaś już, że ojciec był pierwszym, który chwycił za broń i zwołał chłopów, kiedy księżę ciągnął ze swymi hufcami przez spokojne gminy, i był ostatnim, który wrócił do splądrowanego dworu, pokryty ranami i nie wynagrodzony przez króla?

Boże, dopomóż mi; Cecylio, nie mam prawa ciebie napominać, ty zawsze byłaś dobrą córką, a ja niedobrym synem. Odpłaciłem mu krnąbrnością i głupim uporem. Z głupoty szalałem, bo zdawało mi się, że ojciec przygniata nas swym milczeniem i surowością. Chociaż rzadko się zdarzyło, aby ukarał mnie tak, jak na to zasłużyłem, na ciebie zaś nie podniósł ręki ani razu. Powinienem był mu lepiej...

Eirik podniósł lewą rękę i spojrział na kikut małego palca.

– Przypominam sobie ów dzień, kiedy ojciec musiał mi go odjąć. Byłem maleńki, nie rozumiałem, że chodzi o życie, jeśli palec nie zostanie natychmiast odcięty. Kiedy zobaczyłem rozpalone żelazo, straciłem z trwogi przytomność, biegałem jak oszalały po izbie, krzychałem i broniłem się, aż wreszcie ojciec musiał użyć siły. Sądziś, że próbował mnie uspokoić słodkimi słówkami? Mówił do mnie twardo, a gdy to nie pomogło, chwycił rozpalone żelazo i przycisnął je do własnego ciała, aby



mnie natchnąć odwagą...

Eirik schylił głowę i ukrywszy twarz w dłoniach zapłakał zduszonym szlochem, lecz prawie natychmiast podniósł znów oczy.

– Niech nam obojgu Bóg wybaczy, moja siostró. Nigdy nie rozumieliśmy, jakim człowiekiem był nasz ojciec. Ale przekonasz się w miarę upływu lat: najlepszym spadkiem, jaki zostawia twoim synom, będzie sąd ludzki oraz Boża zapłata dla potomków prawego męża.

Cecylia siedziała z pochyloną głową, policzki jej płonęły, na twarzy ukazał się wyraz niezwykle łagodny.

– Masz słuszność, bracie. Ojciec był człowiekiem większej miary, niż mogliśmy zrozumieć... A mimo to – szepnęła po chwili – przez pół życia dźwigał winę nie wypowiedzanego zabójstwa. A kiedy po długim czasie chciał tę zbrodnię okupić, Bóg wziął wyrok we własne ręce...

– Nad takimi sprawami nie powinniśmy rozmyślać – odparł Eirik cicho i gwałtownie. – Tajemnicze są postanowienia Boga. Nigdy jednak nie uwierzę, by stało się to dlatego, że grzech ojca był cięższy od grzechów innych ludzi. Może stało się to dla przykładu: przecież my wszyscy żyjemy beztrósko, chociaż obarczeni jesteśmy grzechami. I Bóg wybrał ojca, aby zapłacił pełny okup, bo znał jego serce, wiedział, że był bardziej niezłomny i wierny niż my, nędzni ludzie, którzy nie potrafiliśmy wypić ani jednej kropli z wymiaru Jego sprawiedliwości.

Cecylia odezwała się cicho:

– Aslak słyszał coś niecoś w domu, w okolicy Hamaru... opowiadano tam o naszej matce. W owym czasie, kiedy była młoda, gadano o jakimś pisarzu czy też żaku szkolnym. Zniknął nagle i niektórzy sądzili, że nasz ojciec przyczynił się do tego...

– Nie wstyd ci? – szepnął Eirik z goryczą. – Czy ty i Aslak będziecie powtarzać babskie plotki o naszych rodzicach? Byłem dzieckiem, kiedy matka umarła. Nie liczy się to, co wówczas myślałem. Może to

właśnie było dla ojca najcięższe z wszystkiego: cierpliwie znosić swoje małżeństwo. Tak bardzo różnili się od siebie, a matka była chorowita od młodości... Niech ich Bóg sądzi. Żaden człowiek nie idzie bezgrzesznie przez życie.

Eirik podniósł się, podszedł do drzwi komory i wrócił do siostry.

– Równie dobrze mogę ci to już teraz powiedzieć, choć miałem zamiar obwieścić tę nowinę tobie i Aslakowi dopiero podczas stypy: gdy naszego ojca złożymy do grobu, wracam do klasztoru. Wszystko więc, co on pozostawił, należeć będzie do ciebie, oprócz tego, co Eldrida i ja ofiarujemy za dusze zmarłych.

Cecylia siedziała w milczeniu.

– A Eldrida zgadza się na to? – zapytała w końcu z lekkim niedowierzaniem.

– Tak. Ona uda się do Gimsoy. Nie wiem, czy przywdzieje habit, sama nie wie tego jeszcze. Ale chce ślubować czystość życia i mieszkać w klasztorze.

– Czy robisz to przez wzgląd na duszę ojca? – spytała cicho.

– Tak. I przez wzgląd na moją własną, a także dla Jörunda, ciebie i twoich dzieci. Dla nas wszystkich, którzy opieramy się i buntujemy, kiedy Bóg nakłada na nas brzemię, i którzy zapominamy o Nim całkiem albo prawie całkiem, kiedy darzy nas dobrem... – Tego jednak nie powiedział głośno.

– Powiedziałaś to ojcu?

– Nie. Nasz ojciec nie należał nigdy do ludzi, którzy troszczą się o słowa lub obietnice. Gdy umrze, i tak na czas to zobaczy.

Wkrótce potem Cecylia zerwała się: usłyszeli krzyk Gunnara na dziedzińcu. Matka wybiegła. Eirik wszedł do komory. W półmroku dojrzał, że Olaf leży z otwartym okiem – płonął w gorączce i oddychał szybko; Eirik widział, że jest przytomny, i zastanawiał się, czy starzec

słyszał ich rozmowę. Patrzył na niego tak dziwnie...

Olaf leżał przytomny i słyszał z ust syna wyrok o swym życiu. Przed jego oczyma majaczył przy tym pewien obraz: były to gorączkowe obrazy, on sam zdawał sobie z tego sprawę. Widział pole pełne ostów, mleczków, wierzbówek i głogów. Chwasty wyciągały bezczelnie ku słońcu żółte i czerwone kwiaty, a zboże było tak przyduszone, że z trudem można było rozpoznać, iż posiano tu ziarno. Ale przez pole szedł ktoś – chwilami Olafowi wydawało się, że to jego Anioł Stróż, chwilami jednak był to znowu Eirik, przyjaciel, który nie pytał, czy umierający był dla niego niesprawiedliwy, tylko myślał o tym, aby podnieść każdy biedny kłos, jaki mógł ocalić między ostami. Nie takie powinno było być jego życie; powinno było być podobne łanowi zboża, falującemu przed żniwem. Ale był ktoś, kto zadał sobie trud, aby znaleźć narzędzie kłosów i położyć je na szali...

Kolbein ukazał się w drzwiach wołając z przejęciem, że już dojrzano siwka siry Magnego na dole przy moście. Eirik zapalił gromnicę, drugą podał chłopcu, po czym obaj wyszli.

Skała wznosząca się za zabudowaniami gospodarskimi robiła wrażenie jeszcze cięższe i bardziej przytłaczające w żółtym blasku popołudniowej godziny. Pnie sosen przybrały barwę rudą jak spiż, ich szpilki wyglądały jakby spłwiała po zimowym śniegu, a ponad nimi unosił się rozgorzały błękit nieba. Eirikowi zdawało się, że nigdy dotąd nie widział tak wyraźnie, jak nieskończenie głęboki jest przestwór; na tle tej głębi góry wydawały się jeszcze bardziej skaliste, a sosny były tak bardzo wyraźne, jak nigdy dotąd. Szeroko rozwarłe oko czuwające nad wszystkim spoczywało na każdej muszce tańczącej przed nim w powietrzu i wiedziało o każdym uderzeniu serca w jego ciele. Niesiony przez kapłana na wielkim siwku, który ukazał się w tej chwili na zboczu, przybywał Bóg w postaci Chleba, aby siebie samego ofiarować w Hostii...

Chłopak prowadzący konia zadzwonił małym srebrnym dzwoneczkiem. Domownicy wyszli, ukłękli na podwórzu. Cecylia trzymała maleńkiego synka na ręku. Aslak i starsi synowie klęczeli skupieni w gromadkę. Kolbein i Eirik znajdowali się przed drzwiami izby mieszkalnej, w rękach trzymali świece płonące prawie niewidocznie w słonecznym blasku. Eirik wiedział, że ogień, który się pali w nim w tej chwili, zblednie, skryje się pod popiołem i znów rozbłyśnie jasnym płomieniem, ale nigdy nie zgaśnie.

Na stypie po śmierci Olafa syna Auduna Eirik ogłosił zamiar swój i żony; w okresie letniego przesilenia on i Eldrida rozdzielili majątek i włości. Odprowadził ją do Gimsoy, stamtąd zaś udał się prosto do miasta i przywdział z powrotem habit w klasztorze minorytów. Tym razem uroczystość odbyła się bez rozgłosu pewnego powszedniego dnia, podczas jednej z rannych mszy. Z jego bliskich obecni byli w kościele jedynie Aslak syn Gunnara i Cecylia. Obecnie siostra nie była przeciwna temu, że jej brat zostaje mnichem.

Aslak i jego żona gospodarzyli majątkiem Hestviken tak dobrze, że wszyscy wnukowie Olafa żyli w dobrobycie; Cecylia miała z drugim małżonkiem trzech synów i trzy córki. Z synów Jörunda Kolbein i Audun byli udanymi dziećmi, Torgils był dzikim chłopakiem i utonął w młodym wieku.

Ilekrć dzieci odwiedzały Eirika w klasztorze, zawsze przypominał im, że ich powodzenie w świecie jest nagrodą za pobożne i godne męża życie dziada. Na potwierdzenie swoich słów przytaczał wiele przykładów z Pisma świętego. Dzieci lubiły go bardzo i odnosiły się do niego z

czcią; nie znały go w innym stroju, jak w habicie braci mniejszych. Był zaś mnichem pobożnym, leczył chorych na ciele i na duszy; z czasem stał się także bardzo uczony, a w klasztorze zajmował się przeważnie ogrodnictwem. Lecz siostrzeńcy słyszeli w rodzinnej gminie opowiadania, że Eirik był za młodu niespokojnym chłopcem. Cecylia nie wspominała nigdy dzieciom o dawniejszym życiu brata.

Pośmiertne wspomnienie o Olafie nie było wśród ludzi tak wspiane, jak tego Eirik pragnął, dzieci wiedziały o tym. Mówiono, że był odważnym wojownikiem i uczciwym, prawym kmieciem, lecz nieprzystępnym i niewesołym towarzyszem w gronie ludzi wesołych.

Potem przyszedł wielki mór i zmiotł mnóstwo ludzi w rodzie; mimo to pozostało ich jeszcze wielu po wygaśnięciu zarazy; na południu kraju nie srożyła się tak jak na północy w górach. W klasztorze minorytów uśmierciła prawie połowę zakonników, natomiast w domu zakonu w Nidaros pozostali żywi zaledwie dwaj samotni bracia. Wówczas to polecono, aby brat Eirik syn Olafa oraz trzech młodych braci z Oslo udało się na północ. Eirik miał wtedy trzy razy po dwadzieścia lat, był krzepki i zdrowy mimo ciągłych umartwień cielesnych. Lecz w drodze przez góry spotkała mnichów straszna nawałnica i w kilka dni po przybyciu do nowego klasztoru Eirik oddał ducha na rękach braci.

# POSŁOWIE

Sigrid Undset urodziła się 20 maja 1882 r., a więc w szczytowym okresie rozwoju tej generacji pisarzy, która wywalczyła literaturze norweskiej popularność ogólnoeuropejską. W latach 1881-1884 ogłasza Ibsen *Upiory*, *Wroga ludu*, *Dziką kaczkę*, a Björnson *Ponad siły* (1883). Generacja ta nawet gdy się przeciwstawia supremacji burżuazyjnych „podpór społeczeństwa”, tak jak to czyni Ibsen, pozostaje jednak w kręgu zagadnień i konfliktów typowych dla społeczeństwa, którego warstwę kierowniczą stanowi zamożne mieszczaństwo, mieszczaństwo przeżywające swoją epokę „bohaterską”, mieszczaństwo na dorobku.

W chwili, gdy Sigrid Undset zaczyna swą działalność literacką, sytuacja w życiu i piśmiennictwie norweskim ulega poważnym przeobrażeniom. W 1905 r. zerwana zostaje unia ze Szwecją, Norwegia staje się samodzielnym państwem. Najwybitniejsi przedstawiciele poprzedniej generacji schodzą z widowni (w 1906 r. umiera Ibsen, w 1908 – Jonas Lie, w 1910 – Björnson), a miejsca ich zajmują młodszy, ale dojrzały już pisarze, jak Hamsun i Arne Garborg. Hamsun głosi archaiczny bunt przeciw cywilizacji urbanistyczno-technicznej, kult biologicznego żywiołu i programowy intelektualizm, ale zwraca zarazem uwagę na wieś norweską ukazując ją jako ostoję życia narodowego. Donioślejszą bez porównania rolę w dziele odrodzenia narodowej kultury norweskiej gra daleko mniej głośny Arne Garborg (1851-1924), walczący wytrwale o to, by sztuczny język państwowy (riksmaal), będący właściwie tylko pewną odmianą duńszczyzny, zastąpić językiem ludowym (landsmaal), językiem norweskiej wsi, w którym przechował się żywy spadek dawnej norweszczyny, jaką mówiono za czasów królestwa Ynglingów.

Krytyka ideowego spadku epoki mieszczańskiego liberalizmu i zwrot

do wielkiej tradycji narodowej stały się centralnymi problematami dla generacji, która działalność pisarską zaczynała około roku 1905. Undset podjęła również tę właśnie problematykę, ale w jej rozwiązywaniu szukała dróg jak najbardziej własnych. W powieściach współczesnych stała się bojowniczką sprawy kobiecej, na zupełnie jednak odmienny sposób niż dawne emancypantki. Wystąpiła przeciw liberalistycznie pojmowanej „wolności” kobiety w imię świętości macierzyństwa i ogniska domowego. Powieści jej, wolne od płytkiej tendencyjności i natrętnego moralizowania, zyskały dużą popularność, zwłaszcza *Jenny* (1911), będąca pierwszym wielkim sukcesem młodej autorki, i *Wiosna* (1914), uważana za najlepszą książkę Undset z okresu poprzedzającego *Krystynę córkę Lavransa*. Realizm obserwacji, mistrzostwo rysunku psychologicznego, głęboko humanistyczny stosunek do człowieka i jego spraw znalazły mocny wyraz już w tych książkach, w których Undset wypracowywała dopiero swój styl i swoją metodę pracy artystycznej.

Charakterystycznym rysem powieściopisarstwa autorki *Wiosny* jest obsesjonalne wręcz nawracanie do problematyki małżeństwa. Trudno oprzeć się wrażeniu, że Undset podejmując stale tę samą tematykę porała się z jakimiś własnymi urazami i kompleksami, od których chciała się wyzwolić „wypisując” je z siebie, rzutując na postacie swoich bohaterów. Nawet w obu jej wielkich powieściach historycznych motywy zdrady małżeńskiej, „złej miłości”, niezwykle powikłanych konfliktów psychologicznych o podłożu wyraźnie seksualnym grają bardzo wielką rolę i uzyskują czasem sformułowanie artystyczne wręcz prowokujące do interpretacji psychoanalitycznych w stylu Freuda.

Nie chodzi mi jednak w tym przypadku o podejmowanie prób ustalenia psychologicznej genezy twórczości Undset, gdyż próby takie wyczerpują się zwykle na ryzykownym psychologizowaniu i tworzeniu efektownych może, ale niesprawdzalnych hipotez, lecz tylko o zwrócenia uwagi na



pewną monotonię tematyczną utworów wielkiej pisarki, pozostającej zwykle w dość ciasnym kręgu zagadnień. Podkreślić natomiast trzeba, że w swych powieściach współczesnych pisanych przed nawróceniem na katolicyzm Undset stoi bardzo wyraźnie na pozycjach moralności chrześcijańskiej i że ideologia tych jej utworów da się w pełni bez żadnych sofistycznych zabiegów interpretacyjnych pomieścić w ramach katolickiego poglądu na świat.

Zainteresowania historyczne Sigrid Undset znalazły wyraz już w jej młodzieńczej powieści *Viga Ljot i Vigdis* (1909), stylizowanej na starą sagę norweską, a podejmującej ów tak częsty w twórczości tej autorki motyw kobiety, która zwróciła swe uczucia ku mężczyźnie nie dorastającemu jej duchowo (powieść ta jest jakby pierwszym, próbnym szkicem dziejów Krystyny i Erlenda z *Krystyna córki Lavransa*).

Studia nad literaturą staronorweską stworzyły konieczność rozszerzenia i pogłębienia wiedzy o średniowieczu. Zbierając materiały do *Krystyny Undset* weszła w krąg działania myśli katolickiej, zainteresowała się żywo dziejami katolickiego średniowiecza. W aurze tych oddziaływań powstawała owa wspaniała trylogia, arcydzieło pisarki. Praca nad tym dziełem przebiegała równolegle z procesem duchowych konfliktów i przeobrażeń zakończonych nawróceniem się Undset na katolicyzm.

*Krystyna córka Lavransa*, aczkolwiek osnuta na kanwie dziejów życia tytułowej bohaterki, nie jest książką o niej tylko. Historia Krystyny, jej ojca i jej dzieci wpleciona została w wielki dramat narodu przeżywającego schyłek potęgi. Proces rozpadu państwa i degeneracji grup społecznych, które były jego ostoją, pokazany został przez Undset bez zastosowania jakichkolwiek prób literackiej monumentalizacji, z perspektywy powszechnego dnia. Mimo to *Krystyna* osiąga niezaprzeczalną wielkość narodowej epopoi.

Zamknięta dawniej niemal wyłącznie w kręgu zagadnień moralno-

obyczajowych, tym razem przemówiła Undset również jako poetka wielkich problematów życia narodowego. Na kartach *Krystyny* zogniskowały się centralne dla ówczesnej generacji pisarzy norweskich kwestie i konflikty i dlatego ta powieść o średniowiecznej tematyce stała się książką pokolenia, najważniejszym wydarzeniem w piśmiennictwie norweskim okresu międzywojennego.

Dziś może w nas wzbudzić poważne wątpliwości i zastrzeżenia apoteoza średniowiecznego chłopskiego patriarchalizmu, zbyt mocno może akcentowana sympatia autorki dla anachronicznych już nawet w połowie XIV stulecia form bytowania i stylu życiowego dawnej wsi norweskiej. Nie należy jednak zapominać, że ten pewnego rodzaju odwrót ku ideałom przeszłości był zarazem próbą związania się z najczystszyymi i najgłębszymi tradycjami życia narodowego, przechowanymi wiernie przez norweski lud, a zatraconymi już w znacznym stopniu przez skosmopolityzowane mieszczaństwo. Nie bez znaczenia jest, skoro już mowa o odszukiwaniu żywego i żywotnego ciągle nurtu tradycji narodowej, że Undset właśnie dzięki zbliżeniu się do katolicyzmu zdołała wnikać tak głęboko w życie duchowe katolickiej Norwegii średniowiecza i odnaleźć w nim trwałe wartości, których nie byli w stanie dostrzec i ocenić w pełni wychowankowie zarówno liberalnego i liberalizującego protestantyzmu, jak i fanatyczni wielbiciel reformacji, powodowani zasugerowaną sobie aprioryczną wrogością wobec katolicyzmu. W tym wypadku dojrzewająca już do pełnego samouświadomienia katolickość Undset stała się czynnikiem pogłębiającym świadomość artystyczną pisarki, jednym z głównych uwarunkowań historycznego i psychologicznego realizmu *Krystyny*.

Po nawróceniu Undset nie wycofuje się z czynnego życia pisarskiego i obywatelskiego. W latach 1925-26 wydaje *Olafa syna Auduna*, a w 1929 i 1930 dwuczęściowy cykl *Gymnadenii* i *Krzaku gorejącego*

(wielki, epicki obraz życia współczesnej Norwegii z szeroko rozwiniętym wątkiem zagadnień i losów odradzającego się katolicyzmu norweskiego) oraz kilka innych pozycji beletrystycznych i eseistycznych. W eseistyce jej sporo miejsca zajmują szkice o bojowej tendencji antyfaszystowskiej. Jako katoliczka walczy Undset gorliwie z krzewiącymi się podówczas w Norwegii tendencjami neopogańskimi i rasistowskimi, słusznie widząc w nich forpocztę ideologiczną hitleryzmu. Troska o los narodu, o jego przyszłość i zdrowie moralne skłania Undset do czynnego zaangażowania się w pracę instytucji i organizacji katolickich. Nic więc dziwnego, że po inwazji niemieckiej na Norwegię ta wybitna działaczka katolicka i antyfaszystowska musi opuścić ojczyznę, do której powróci dopiero na krótko przed śmiercią (zmarła 10 czerwca 1949 r. W Lillehammer).

Tyle o życiu Undset. Trzeba z kolei zająć się nią jako artystką. Rozważania nasze na ten temat ograniczymy do szkicowego omówienia *Olafa syna Auduna*.

Zacznijmy od paru przedwstępnych wyjaśnień. Undset wprowadzając do *Olafa* niektóre postacie znane z *Krystyny* (wśród postaci epizodycznych zjawia się Lavrans, ojciec Krystyny; genealogie bohaterów obu powieści sięgają czasów wojny domowej między Haakonem Starym i Skulem) i zachowując ten sam styl narracji i tę samą metodę konstruowania fabuły i struktury zagadnieniowej dzieła sama stworzyła mylącą sugestię dość ścisłej łączności między tymi dwoma utworami. Potraktowany jako saga-epos *Olaf* nie wytrzymuje porównania z *Krystyną* i dlatego uważano go za pogłos znakomitej trylogii. Nie jest to jednak słuszne traktowanie sprawy. W *Olafie* element historyczny, tak bardzo ważny w *Krystynie*, gra rolę drugorzędną. Jeżeli mielibyśmy klasyfikować *Olafa* w kategoriach szkolnej poetyki normatywnej, należałoby nazwać go powieścią psychologiczno-obyczajową, gdyż zagadnienia z tego właśnie zakresu grają w tej książce rolę najważniejszą.

Z sagi przejęła Undset w *Olafie* jedynie kronikarską metodę przedstawiania rozwoju wydarzeń, pewną majestatyczność i powagę toku opowiadania oraz rysunku ludzi i wypadków, wreszcie surową prostotę stylu. Niewiele z typowej dla sag monolitowości mają w sobie natomiast postacie dwojga głównych bohaterów, Olafa i jego żony Inguny. W sprzeczności z poetyką sagi pozostaje również przeniesienie punktu ciężkości z opisu wypadków zewnętrznych na rozwój konfliktów psychologiczno-moralnych, jak i w ogóle położenie nacisku na sprawy osobiste dwojga przeciętnych zgoła ludzi przy równoczesnym odsunięciu

w tło wydarzeń historycznych i zagadnień życia zbiorowego.

Dopiero zdawszy sobie w pełni sprawę z różnic zachodzących między tymi dwiema wybitnymi powieściami Undset będziemy mogli ocenić należycie wartości i odrębność *Olafa syna Auduna*, utworu, który jako reprezentacyjne dzieło chrześcijańskiego realizmu powieściopisarskiego jest utworem może nawet bardziej godnym uwagi niż *Krystyna*. Z tego właśnie punktu widzenia omawiać będziemy *Olafa* zaczynając od kwestii stosunkowo najprostszych i najłatwiej uchwytnych i przechodząc z kolei do wyższych kondygnacji dzieła i głębszych warstw zagadnienia realizmu, realizmu takiego, z jakim spotykamy się w tej powieści.

Pozwólmy sobie wprowadzić na chwilę fikcyjną postać tzw. „przeciętnego czytelnika”, aby zadać mu pytanie: „Czy uważa *Olafa syna Auduna* za powieść realistyczną?” Odpowie on bez wahania: „Tak. Wszystko, co jest opisane w tej książce, mogło zdarzyć się w rzeczywistości”. Pierwotne bowiem, elementarne i naiwne rozumienie terminu „realizm” opiera się na sprawdzianie podobieństwa fikcji literackiej do znanych nam z doświadczenia osobistego faktów życia. Oglądane z tego punktu widzenia dzieło literackie wydaje się tylko i jedynie zbiorem opowieści o faktach. Tak traktujący literaturę czytelnik opiera swoje opinie na przymierzaniu poszczególnych opisanych w książce wypadków do znanych mu z doświadczenia analogicznych zdarzeń życiowych i na podstawie takich czysto empirycznych porównań buduje sumę swojej wiedzy o realizmie czy też irrealizmie danego dzieła.

W wypadku *Olafa* nie zrażą wyznawcy „realizmu doświadczeniowego” nawet sceny o charakterze metarealistycznym (np. opowieść siry Benedykta o jego przeżyciach mistycznych, czy zjawienie się Olafowi widma zmarłej Inguny). Sceny te bowiem są tak potraktowane przez autorkę, że czytelnik może je interpretować od strony ich prawdopodobieństwa życiowego w sposób zgodny z własnymi poglądami i upodobaniami, a więc zmieścić w

swoim obrazie świata, jako np. zjawiska graniczne (zestawiając je choćby z fenomenami spirytystycznymi) czy zgoła chorobliwe. Nie zepsują mu one bynajmniej przekonania, że *Olaf* to „przyjemne poczytanie”. Ostatecznie bowiem scen takich w wielkiej, dziewięćsetstronicowej powieści jest zaledwie parę, a poza nimi nie znajdziemy niczego, co obrażałoby najbardziej wyczulone poczucie rzeczywistości. Postacie nie są potraktowane ani karykaturalnie, ani też nazbyt wyidealizowane czy wystylizowane na jakichś legendarnych półbogów; język zarówno dialogów, jak i partii narracyjnych brzmi naturalnie; nie ma scen oscylujących czy to ku grotesce, czy też ku melodramatowi, ani też scen o charakterze wyraźnie symbolicznym. Zasada prawdopodobieństwa życiowego utrzymana jest konsekwentnie od ekspozycji powieści aż po jej epilog.

Dla nas ten typ koncepcji realizmu ujmującej jako zbiór opowieści o faktach, ważny jest jedynie w odniesieniu do tego, co nazwać by można zastosowaną w danym utworze konwencją przedstawieniową. Jasne jednak, że konwencja ta nie przesądza niczego o wyższych kondygnacjach dzieła. W *Procesie* Kafki np. konwencja realistycznego wyglądu poszczególnych scen przeprowadzona jest konsekwentnie przez całą książkę, a jednak nie można uznać tej powieści za realistyczną.

Teraz wprowadzimy z kolei na scenę czytelnika, który nie zechce się już zadowolić realistycznym wyglądem poszczególnych epizodów, ale chce ująć i zrozumieć dzieło jako całościową strukturę estetyczną. Dla niego *Olaf syn Auduna* będzie reprezentował psychologiczno-obyczajowy typ powieści historycznej. Taki czytelnik zwróci uwagę na konstrukcję fabuły, konsekwencję i prawdę psychologiczną charakterów, motywacje historyczne i społeczne wydarzeń oraz zachowań się ludzkich. Będzie – słowem – odczytywał książkę uzupełniając zasób przyjętych z doświadczenia życiowego sprawdzianów realizmu

sprawdzianami wiedzy naukowej i myślenia dyskursywnego oraz swojej kultury estetycznej. Czytelnik ten traktując *Olafa* wyłącznie jako próbę rekonstrukcji życia moralno-obyczajowego trzynastowiecznej Norwegii, odnajdzie w utworze Undset wszystkie elementy powieści realistycznej. Więcej! Odnajdzie on w nim wielkiej miary realizm krytyczny ukazujący człowieka w kontekście życia epoki, odsłaniający socjalne determinanty ludzkich postaw i ludzkiego losu.

Przede wszystkim: typowość bohaterów i ich losu dla określonej rzeczywistości historycznej. Konflikty moralne Olafa, Inguny i młodszego pokolenia panów na Hestviken są typowe dla ludzi wyrosłych pod ciśnieniem swoistych tradycji narodowych splatających w sobie elementy światopoglądu chrześcijańskiego z pozostałościami starej pogańskiej religii Wikingów nasyconej mocno elementami prymitywnej magii i ponurego fatalizmu. Nieodrodnymi dziećmi swej epoki i środowiska są Inguna i Olaf. Dla niej np. fakt urodzenia martwego dziecka to kara Boża za popełniony niegdyś grzech. Podobnie jak ona rozumuje Olaf, gdy przypuszcza, że to Cecylia zamordowała Jörunda, ponieważ jest święcie przekonany, iż w ten oto sposób bierze na nim odwet Bóg za zabójstwo Teita.

Bardzo wyraźnie odciska swoje piętno na psychice bohaterów również ich sytuacja społeczna. Weźmy dla przykładu postać Torhildy, córki kmiecia, a więc osoby niższej stanem niż Olaf i Inguna. Jakże inaczej przeżywa ona swoją „złą miłość”, jakże inaczej znosi jej konsekwencje. A przecież nie ma w niej nic ze sprytnej awanturnicy, ani śladu cynizmu, ani cienia wyrachowania. Żyje ona po prostu w innej sferze pojęć o życiu i moralności. Rzeczywistość jej dnia powszedniego to ciężka praca, bezustanny mózół trosk gospodarskich, trud walki o zapewnienie elementarnych warunków egzystencji sobie i najbliższym. W jej świecie miłość nie może być sprawą najważniejszą, w jej świecie troska o byt i

obowiązek pracy są wyznacznikami kierunku życia wewnętrznego. Miłość dla niej – to przede wszystkim głos krwi. Swoisty amoralizm Torhildy to typowy amoralizm środowiska zepchniętego warunkami socjalnymi na poziom prymitywu życiowego, amoralizm będący konsekwencją i odzwierciedleniem owego prymitywu. Dzieje serca i i losów tych dwu kobiet to niesłychanie ciekawy przyczynek do zagadnienia socjologii uczucia miłosnego i jego form.

Jeszcze mocniej i wyraziściej zarysowuje Undset ścisły związek świata myśli i poziomu moralnego z sytuacją społeczną kreśląc postać niewolnicy Dalii, tak okrutnie traktującej chorą Ingunę. Dwa motywy grają główną rolę w postępowaniu starej. Pierwszy z nich to chęć wywarcia zemsty nad kimś ze świata wolnych, ale motyw ten zostaje uzupełniony innym, nadającym owej zemście pozory nie osobistego odwetu, lecz wymiaru sprawiedliwości: Dalla występuje wobec Inguny jako mścicielka hańby, którą nieszczęsna dziewczyna ściągnęła na swój ród. I nie należy bynajmniej przypuszczać, że ten drugi motyw jest świadomie dołgany. Dalla dojrzała już w zupełności do tego, by czuć się tylko służką i własnością swoich panów, by wyrobić w sobie poczucie zasadniczej wobec nich niższości i dlatego w obronie ich dobra i honoru, pojmowanego jako wartość absolutna, z najzupełniej dobrą wiarą czynić coś, co „psu byłoby zasługą, człowiekowi – hańbą”. Jej upodlenie moralne jest konsekwencją sytuacji społecznej, spychającej istotę ludzką do roli żywego inwentarza.

Sigrid Undset opiera swoją koncepcję powieści historycznej nie na elementach zewnętrznych. Rezygnuje z archaizującej stylizacji językowej, unika starannie wszystkiego, co byłoby tylko środkiem podkreślenia swoistej egzotyki historycznej. *Olaf* jest powieścią psychologiczną. Z watka charakterów rozwija się nic akcji, ale charaktery te wkomponowane są w nadrzędną wobec nich wizję epoki, ukazaną w



całym bogactwie wewnętrznych różnicowań. Z mocno skreślonego tła wyrastają postacie prawdziwe, głęboko ludzkie, a jednocześnie jakże typowe, jakże niemożliwe do przeniesienia w inny kontekst historyczny, geograficzny, socjalny.

Realizm historyczny Undset nie jest tylko wygodnym sztafajem dla rozwinięcia problematyki, która rzutowana na inne tło może nie zarysowałyby się tak wyraziście. Realizm ten jest pełny i samowystarczalny.

Pełny i samowystarczalny – ale w jakim stopniu? Dla naszego fikcyjnego czytelnika nr 2 może nawet w stopniu zupełnie wystarczającym. Barwna, żywa, sugestywna rekonstrukcja życia ludzi odległej epoki – czyż to nie dosyć? Zapewne, mogłoby to być dosyć, ale książka mówi co innego.

Dotychczas zajmowaliśmy się wyłącznie konwencją przedstawieniową dzieła oraz jego materią fabularną. Stwierdziliśmy też, że materia fabularna została ukształtowana w zadowalającą estetycznie całość. Co jednak całość tę ukształtowało w ten właśnie, a nie inny sposób? Co organizowało poszczególne elementy dzieła w ich jednolity i celowo uformowany zespół?

„Och – powie nasz czytelnik nr 2 – przecież to jasne: ogólne zasady kompozycji literackiej...” Ba! tak to się mówi, ale z tą kompozycją to nie taka prosta sprawa. Pojęcie kompozycji może być ujmowane w dwojakim aspekcie: materialnym (inaczej: technicznym, ograniczającym się do zagadnień tzw. „formy zewnętrznej”) i formalnym (inaczej: merytorycznym, obejmującym zagadnienia „formy wewnętrznej”, czyli formy pojmowanej enteleticznie, tzn. jako czynnik organizujący materię dzieła w jego pełny, ostateczny kształt estetyczny). Rozważania na temat konsekwentnego rozwijania akcji, metody wzajemnego stosunku względem siebie poszczególnych wątków fabularnych, roli opisów w powieści itd. należą właśnie do zakresu spraw związanych z pojęciem

kompozycji użytym w znaczeniu materialnym (lepiej byłoby tu użyć terminu „konstrukcja”), ale nie mówią nic o nadrzędnej wizji centralnej dzieła, ze względu na uwydatnienie której autor stosuje takie czy inne metody techniczno-warsztatowej „obróbki” i porządkowania materiału.

Konstrukcja *Olafa* pomyślana jest w ten sposób, że jako ós kompozycyjna powieści zarysowuje się centralna dla chrześcijańskiej koncepcji losu ludzkiego dialektyka wzajemnego stosunku Łaski, grzechu i wolnej woli.

Ostatecznie motywy religijne można także traktować w sposób czysto estetyczny, bez zaangażowania się *pro* czy *contra*. Dowodem na to np. Flauberta *Legenda o świętym Julianie Szpitalniku*.

Tak, ale w tym rzecz, że to, co oglądane od strony estetyki daje się nam poznać jako centralna podstawowa wizja utworu, od strony pojęciowej i moralnej zarysowuje się jako koncepcja ideowa tegoż utworu. Ścisłej się wyrażając: owa wizja jest obrazową konkretyzacją koncepcji pojęciowej dzieła.

Flaubert koncepcję tę wyraźnie formułuje w ostatnim zdaniu swojej *Legendy*: „I oto jest historia świętego Juliana Szpitalnika – taka mniej więcej, jak ją widzimy na witrażu kościelnym – w moim kraju rodzinnym”. Autor wyraźnie stwierdza, że pragnął dać literacki odpowiednik scen widzianych na witrażach katedry w Rouen. Stylizacja autorska zmierza wyraźnie w kierunku odrealnienia sytuacji, podkreślenia specyficznej fantastyki legendowej utrzymanej w duchu średniowiecznych legend. Typ konwencji przedstawieniowej i techniki warsztatowej zastosowany w tym utworze mówi wyraźnie o braku jakichkolwiek innych aspektów w patrzeniu autora na przedmiot opowiadania poza aspektem czysto i wyłącznie estetycznym.

W powieści Undset sprawa przedstawia się inaczej. Dramat *Olafa* i członków jego rodziny kreślony jest, jak to już starałem się wskazać

poprzednio, z zachowaniem maksymalnej dozy realizmu zarówno w zakresie samej konwencji przedstawieniowej, jak również doboru i konstrukcji materiału tematycznego. Mógłby to, oczywiście, być realizm czysto rodzajowy, którego cel stanowiłaby możliwie pełna i zadowalająca estetycznie rekonstrukcja psychologii ludzi trzynastego wieku. Tak jednak stawiając sprawę znajdujemy w powieści pewną nadwyżkę nie mieszczącą się w ramach owej koncepcji dzieła Undset.

Raz jeszcze musimy powrócić do tych scen, które określiłem powyżej jako „metarealistyczne”, by zastanowić się nad ich rolą w kompozycji powieści. Undset unika starannie bezpośredniego wprowadzania w akcję utworu świata nadprzyrodzonego. Również sceny, o których mowa, mogą być interpretowane, gdy traktuje się jej jako samodzielne epizody, w sposób czysto psychologiczny, bez uciekania się do wyjaśnień mistycznych, czy choćby tylko metapsychicznych. Oglądane jednak w perspektywie kompozycji całości okazują się one scenami o doniosłym bardzo znaczeniu. Są one zwornikami tej kompozycji, punktami, w których odsłania się „harmonia ukryta” dzieła, lepsza zawsze – jak mówi Heraklit – od „harmonii, jawnej”. Otwiera się w nich nadprzyrodzona sceneria ludzkiego dramatu. Może sira Benedykt był święty, a może jego przeżycia dadzą się wytłumaczyć w zupełności tzw. psychologią zawodu i pewnym *creatum* uzdolnień medialnych, ale moment, w którym zjawia się on u Olafa, by podsunąć mu myśl wyspowiadania się z zatajonego grzechu, dobrany jest tak, że nie pozwala „załatwić” owej sceny interpretacją ściśle scjentystyczną. Przez usta tego księdza, posiadającego szczególnie dar wyczuwania konieczności przyjścia z pomocą duszom udręczonym męką grzechu, przemawia w tej chwili sam Chrystus. Nadprzyrodzony plan rzeczywistości przecina się nagle z planem ludzkiej immanencji, ale przecież nie następuje ich pomieszanie. Ta scena otwiera po prostu perspektywę na szerszy, zasadniczy układ odniesienia.

Stosunek wzajemny tych dwu planów rzeczywistości jest w „*Olafie*” pokazany w ten sposób, iż nie możemy wątpić, że dla Undset właśnie rzeczywistość nadprzyrodzona stanowi substancję wszelkiej realności. Poza strukturą artystyczną utworu zarysowuje się wizja świata zbudowana w oparciu o założenia czerpane z filozofii chrześcijańskiej.

Centralna wizja dzieła, jest w *Olafie synu Auduna* konkretyzacją koncepcji ujmującej problematykę losu ludzkiego w perspektywie wyznaczonej przez chrześcijański realizm filozoficzny. Realizm ten akcentuje mocno autonomię sfery doczesnej życia stwierdzając jednocześnie prymat sfery nadprzyrodzonej. Świat nadprzyrodzony nie jest jednak w powieści ukazany bezpośrednio. Konflikt grzechu, Łaski i wolnej woli rozgrywa się w *Olafie* na płaszczyźnie ludzkiej immanencji. Pozwala to autorce potraktować wiele spraw i zagadnień w sposób odnawiający nasze myślenie o nich. Oto np. zagadnienie kary Bożej. Kara ta pokazana jest nie jako fakt z zewnątrz przychodzącego odwetu, ale jako logiczna konsekwencja grzechu. Nie Bóg, mszcząc się na Ingunie, zabija jej dzieci, lecz tocząca organizm nieszczęśliwej choroba. Choroba ta jednak to następstwo wstrząsu psychicznego spowodowanego świadomością wyjścia poza krąg obowiązujących chrześcijanina norm moralnych. Bo nie chodzi w tym wypadku tylko o dawny błąd młodości, chodzi o jego wciąż narastające konsekwencje. Wieczny niepokój o los Eirika oraz wiecznie żywe podejrzenie, że Olaf jest mordercą Teita – oto przyczyny coraz bardziej potęgującego się stanu niepewności i lęku, który targa nerwy nieszczęśliwej kobiety i pogarsza z dnia na dzień stan jej zdrowia.

A oto zagadnienie kary, prześladującej potomstwo grzesznika: Cecylia, córka Olafa, kocha Aslaka. Olaf wie o tym. Sam nie ma nic do zarzucenia Aslakowi. Ale przeraża go jedno: Aslak pochodzi z okolic, w których przebywał Olaf będąc wychowankiem Steinfinna, z okolic,

w których rozegrał się niegdyś dramat jego, Inguny i Teita. Ta właśnie okoliczność zadecyduje, że Olaf nie zezwoli na małżeństwo Cecylii z Aslakiem, a bez większego wahania wyda córkę za szubrawca Jörunda. Tak oto wina ojca mści się na jego dziecku. Ale czy kara ta wymierzona została przez jakieś potęgi zaświatowe? Nie, stanowi ona jedno z ogniw łańcucha konsekwentnie wynikających z siebie następstw dawnych grzechów Olafa.

Olaf jest w mocy zła i dlatego wciąga nawet najbliższe sobie istoty w krąg nieszczęść i cierpienia. Ale jak oładnęło nim zło? Przypomnijmy sobie scenę zabójstwa Teita. Scena ta to popis kunsztu charakterologicznego autorki. Jakże wspaniale odmalowane jest samo narastanie w duszy Olafa zbrodniczej decyzji, a potem jej wykonanie, wykonanie tak precyzyjne i dokładne, a przecież odbywające się jakby bez udziału świadomej woli, jakby w śnie hipnotycznym. Olaf – do pewnego momentu działa świadomie i samodzielnie. Jego własna wolna wola wyzwala tkwiące potencjalnie w skażonej naturze ludzkiej zło. Powoli teoretyczna jakby zrazu i będąca jedynie refleksem ówczesnych mocno barbarzyńskich pojęć o honorze i prawie osobistej zemsty, myśl o zbrodni przekształca się wreszcie w decyzję czynu. Potencjalna energia ludzkiego zła przeobraziła się w kinetyczną, ale równocześnie jakby zamarała wolna wola: od tej chwili Olaf działa jak automat, precyzja i celowość jego dalszej akcji ma w sobie coś przypominającego celowość i precyzję ruchów lunatyka wędrującego po samym skraju dachu wielopiętrowej kamienicy. Ktoś inny myśli, jego myślami, ktoś inny podsyca jego przygasającą chwilami wole, ktoś inny kieruje jego ręką zadającą morderczy cios. Tak oto, wyzwalaając tkwiące w nas złoża immanentnego zła, przywołujemy ich właściciela. I wtedy on zaczyna gospodarzyć w naszej duszy.

Szczupłość miejsca zmusza nas do pozostania przy tych paru przykładach nie wyczerpujących bynajmniej całości zagadnienia.

Wystarczają one jednak, by zorientować nas w metodzie, pisarskiej Undset i zarazem wyjaśnić cel stosowania tej metody z punktu widzenia zasadniczej koncepcji dzieła. Undset kładzie silny nacisk na wartość życia doczesnego. W tym właśnie życiu rozgrywa się dramat grzechu, Łaski i wolnej woli, tu zapada decyzja o wieczności człowieka. „Gdzie kto będzie po śmierci, za życia odgadnie: gdzie chylił się za życia, tam po śmierci wpadnie.” Dlatego właśnie doczesność nie jest tylko jakimś nikłym i bladym refleksem rzeczywistości ponaddoczesnej. Jest ona ważna i cenna sama w sobie. Zbawienie jest poza światem, ale droga do zbawienia wiedzie przez świat. Kiedy np. Eirik ucieka z klasztoru, to dlatego właśnie, że za decyzją poświęcenia się życiu zakonnemu kryła się u niego dezercja przed trudami i dramatycznymi komplikacjami życia. „Pokój – szczęśliwość; ale bojowanie – byt nasz podniebny.”

Człowiek może swoją partię przegrać, tak jak przegrali ją Olaf i Inguna, lecz nigdy nie istnieje konieczność, aby przegrać ją musiał. Nie istnieje żadne fatum niweczące z góry ludzkie dążenia i usiłowania. Ale czyni te w znacznej mierze zależne są od nas. Mówię „w znacznej mierze”, gdyż – jak to już wykazywałem poprzednio – Undset widzi człowieka w uwikłaniu determinacji historycznych i społecznych. Relacja Bóg – człowiek zarysowuje się u niej nie z perspektywy jakiegoś abstrakcyjnego „człowieka w ogóle”, ani też z perspektywy bytującego poza kręgiem socjalnym osamotnionego indywiduum, lecz właśnie przede wszystkim przez zachowanie się człowieka tkwiącego w określonym kontekście spraw ludzkich. Podkreślając ważność uwarunkowań społecznych autorka stwierdza tym samym możliwość, a nawet konieczność zmieniania tych uwarunkowań w sposób zgodny z wolą i świadomością człowieka. Świat uwarunkowań historyczno-społecznych jest dla niej światem widzianym w perspektywie humanistycznej, światem ludzkich zadań i zobowiązań. Koncepcja rzeczywistości zarysowana w powieści

Undset jest humanistyczna i optymistyczna. Autorka podejmuje rozprawę z żywymi dotąd pesymistycznymi tradycjami manicheizmu na jego własnych pozycjach; na dnie ludzkiego cierpienia i ludzkiej niedoli wybiera najtrudniejszą drogę konfrontując koncepcję realizmu chrześcijańskiego z faktami życia pozornie zupełnie beznadziejnie zagubionego w nieszczęściu i grzechu.

Optymistyczny, afirmujący rzeczywistość doczesną i pełen zaufania do człowieka realizm Sigrid Undset nie deformuje bynajmniej tego obrazu świata, jaki budujemy z danych doświadczenia życiowego i danych wiedzy naukowej. Znaczy to, że chrześcijańska koncepcja świata i człowieka wytrzymuje próbę faktów, że zdolna jest ona zapłodnić sztukę adekwatną w stosunku do rzeczywistości.

W powieści Undset nie ma ani śladu rezonerskich referatów apologetycznych oraz moralizującego kaznodziejstwa. Nie zbywajmy tej okoliczności frazesami o „umiarze artystycznym”, „takcie”, „dobrymi smaku” czy czymś innym w tym rodzaju. Bezpośredni dydaktyzm usunięty został z *Olafa syna Auduna* dlatego, że materiałem powieści jest fakt, traktowany jako realny wyraz konkretności rzeczywistości, a nie jako symboliczny obraz, nie jako znak czegoś, o czym można mówić tylko aluzjami, napomknięciami, enigmatycznym językiem, wieloznacznych metafor. Twórczość prozatorska Undset to rehabilitacja faktu. Czym byłyby w tego rodzaju powieści dydaktyzm i rezonerstwo? Kwiatkiem przy kożuchu, marginesową dywagacją niszczącą jedność stylową książki, a zarazem – w płaszczyźnie merytorycznej – gestem niepewności, wyrazem forsowania przy pomocy słów tego, czego nie można udowodnić faktami. Realizm naprawdę konsekwentny i w stosunku do rzeczywistości adekwatny tego rodzaju sztucznych podpórek nie potrzebuje.

Ale to, co nazwaliśmy powyżej „rehabilitacją faktu”, ma jeszcze inne znaczenie: jest zarazem rehabilitacją rzeczywistości ziemskiej. *Olaf syn*

*Auduna* jest apologią światopoglądu chrześcijańskiego, ale dlatego też jest apologią doczesności. Realizm tej powieści wytrzymuje krytykę w odniesieniu do wszystkich kondygnacji dzieła. Jest to wynikiem tego, że artystyczna realizacja utworu wciela we wszystkich szczegółach podstawową jego koncepcję. Z punktu widzenia zaś tej koncepcji doczesność nie może być czymś błahym, wtórnym, czymś z natury rzeczy godnym wzgardy lub obojętności. Ziemia jest warsztatem ducha ludzkiego, w którym realizuje on swoje zbawienie drogą zasługi. Zasługa ta to bezustanne doskonalenie się. Ale czy można doskonalić się nie doskonaląc jednocześnie swego otoczenia? A czyż można doskonalić je nie znając go dokładnie?

Chciałbym tu zwrócić uwagę na rzecz niezmiernie charakterystyczną. Pisałem poprzednio, że Undset unika starannie wszystkiego, co wyglądałoby na kokietowanie czytelnika powabami historycznej egzotyki. Kto będzie wracał do *Olafa syna Auduna* parokrotnie (a sporo będzie takich), ten przegryzłszy się już przez problematykę dzieła i przyswoiwszy ją sobie, zauważy przy którymś z kolei czytaniu, że w powieść tę wpisana jest cała monografia historyczna obejmująca wszystkie niemal dziedziny życia ówczesnych ludzi, od organizacji państwowej i społecznej poczynając, a kończąc na sprawach gospodarki domowej, uprawy roli, hodowli bydła itp. I zdziwi go zapewne, że te rzeczy poprzednio jakby uchodziły jego uwadze. Nie ma w tym jednak nic dziwnego. Sekret polega na tym, że Undset wykorzystuje swoją rozległą i bogatą wiedzę o epoce w ten sposób, ażeby zachowana została hierarchia tematów i zagadnień, że dziedzina realiów przedmiotowych podporządkowana jest dziedzinie wartości humanistycznych, a przez to pozostaje do pewnego stopnia w cieniu. Nie znaczy to jednak, aby była ona potraktowana schematycznie i zbywająco jako nieodzowne, ale w gruncie rzeczy błahie tło rodzajowe. Gdy przy czytaniu powieści zwrócimy uwagę na gospodarkę autorki w



tym olbrzymim magazynie realiów, zauważymy, że posługuje się ona nimi bardzo celowo i precyzyjnie. Te drobne motywy ówczesnego życia codziennego wmontowane są w powieść tak, aby grały bodaj pomocniczą rolę czy to w charakterystyce postaci, czy w konstruowaniu określonej sytuacji, ale nigdy jako przypadkowo zabłąkane przed obiektyw autorskiej obserwacji zbędne akcesoria.

Undset stara się oddać sprawiedliwość całej rzeczywistości widzialnej. Świat ukazany w jej książce jest zwykle mroczny, ponieważ rzucają nań swój cień dramaty ludzkich dusz, ale nigdy nie jest szary tą żalną szarością rzeczy traktowanych przez artystę zbywającego, bez wewnętrznego przekonania. I nie jest to bynajmniej kwestia samego tylko talentu. Jest to kwestia widzenia świata w perspektywie owego podstawowego „faktu chrześcijańskiego”, jak nazywa Jean Danielou fakt wcielenia. Jest to wizja świata, którego sens nie wyczerpuje się w samym tylko materialnym istnieniu, w procesach badanych i określanych przez fizykę, chemię, biologię. Jest to wizja świata ocalonego i uświęconego, świata, w którym każda czynność, każdy przedmiot mają znaczenie z perspektywy ponadskończonej: z perspektywy roli, jaką odegrać mogą w życiu człowieka powołanego do wywalczenia sobie tu, na ziemi, prawa do nieba.

Stefan Lichański

